

JACK DU BRUL

OPERACJA PRZYSTAŃ CHARONA

Przekład
DARIUSZ ĆWIKLAK



Redakcja stylistyczna
Marta Bogacka
Katarzyna Pietruszka

Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lachowska

Zdjęcie na okładce
Copyright © Gandee Vasan/Stone+/Getty Images/Flash Press Media

Druk
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA, Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału
Charon's Landing

Copyright © Jack Du Brul, 1999 All
rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2011 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4009-1

Warszawa 2011. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 02-
952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63 tel.
620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

*Mojemu ojcu i bratu
za wspólną miesięczną krucjatę po Alasce,
w czasie której odwiedziliśmy każdy bar z dżinem
między Ketchikan a Point Barrow*

Homer, Alaska, 17 października

Howard Small wychylił się przez burtę wynajętej łodzi i zwymiotował tak gwałtownie, że omal nie spadły mu okulary. Kwaśna treść żołądka uderzyła głośno o powierzchnię wody, zwracając uwagę załóg innych czarterowych łódek. Spojrzeli w jego stronę i wybuchnęli śmiechem. Howard splunął kilka razy, na próżno próbując pozbyć się niesmaku, po czym się wyprostował. Rękawem parki otarł gruzelkowane brązowe smugi z ust, oparł głowę o kadłub z włókna szklanego i jęknął.

- Chryste, Howard, jeszcze nawet nie odcumowaliśmy. Nie mów, że już masz chorobę morską - naśmiewał się z niego Jerry Small, kapitan łodzi rybackiej.

Byli kuzynami, ale z wyglądu różnili się jak dzień i noc. Howard, o kilka lat młodszy, przedwcześnie wyłysiał, Jerry zaś wciąż miał burzę szpakowatych włosów. Howard był delikatniejszej budowy i wyglądał na mola książkowego, Jerry miał ostrzejsze rysy i twarz ogorzałą od słońca i wiatru, a do tego solidną sylwetkę i ponad sto dziesięć kilo wagi.

- To nie moja wina, Jerry. To przez tego sadystę - odparł Howard, machając niepewnie ręką w stronę drugiego pasażera dzie więciometrowej łodzi. - Jeszcze cztery godziny temu piliśmy tequilę w Salty Dog Saloon.

Pasażer po drugiej stronie pokładu uśmiechnął się jak Kot z Cheshire. Niedbale opierał się o burtę. Jedną nogę położył na ławce, a drugą przyciągnął do piersi, obejmując zniszczonymi dłońmi zgięte kolano. Nosił wytarte dzinsy, prostą czarną bluzę i skórzaną kurtkę lotniczą. Na nogach miał porządne, ale mocno już znoszone trampy. Wyglądał, jakby spał w ubraniu, ale miał w sobie szorstką elegancję w takim stopniu, w jakim eleganckie mogą być most liny czy wysoka tama.

Choć spał zaledwie kilka godzin i wchłonął potężną ilość alkoholu, patrzył przenikliwym i skupionym wzrokiem. Oczy miał w niezwykle

odcieniu szarości, spoglądały twardo, ale zarazem przyjaźnie i z uśmiechem. Była w nich wciągająca głębia, która przykuła uwagę Jerry'ego. Z trudem odwrócił wzrok.

- Wiem, czego ci trzeba. - Drugi pasażer spojrzął na swój zegarek TAG Heuer i zerknął na poranną zorzę. - Tak jak myślałem, w Oslo właśnie mają happy hour.

Z plastikowej lodówki na pokładzie wyjął dwie butelki alaska pale ale i rzucił jedną Howardowi.

- Nie ma to jak klinik. - Uśmiechnął się, odkręcając kapsel z najzaczniejszego jego zdaniem piwa na świecie.

- O wpół do piątej nad ranem to nie klinik, tylko następna kolejka - narzekał Howard, ale otworzył piwo i pociągnął długi łyk.

- Lepiej?

- Lepiej.

- Cumy dziobowe odwiązane, tato. W drogę. - Nastoletni syn Jerry'ego Smalla wyglądał jak większa kopia ojca. Chłopiec, a właściwie już mężczyzna, miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt i barki jak byk. Młodzieńcza twarz nieco kontrastowała z potężną sylwetką.

- Odwiązuj cumę rufową, John - odparł Small, a wielki zamontowany na rufie silnik Chevroleta ożył z warkotem.

John odwiązał ostatnią linę łączącą łódź z brzegiem i wskoczył na pokład „Morskiego Tancerza”. Jak na poobijaną łajbę, która przeżyła niejedną alaską zimę, nazwa była bardzo poetycka. Dwaj pasażerowie weszli za kapitanem i jego synem do otwartej z jednej strony kabiny, dającej jakie takie schronienie.

Jako pierwsza łódź z małej flotylli w Homer wypłynęli na poszukiwanie halibuta, ogromnej żerującej przy dnie ryby, podobnej do flądry. Choć sezon się już kończył, Jerry zapewnił swoich pasażerów, że doprowadzi ich w miejsce, gdzie będą mogli złowić trochę tych potworów. Po prawej burcie minęli jedną z największych naturalnych mierzei na świecie. Ze spokojnych wód Płycizny Cooka, gdzie prąd z zatoki Alaska napotykał prąd z Cieśniny Szelichowa, z wód morza wylaniał się długi na półtora kilometra fragment łądu, tak wąski, że z jednego brzegu na drugi można by dorzucić piłeczką baseballową. W pobliżu tego spiczastego przedłużenia północnego wybrzeża półwyspu Kenai znajdowało się jedno z najlepszych na świecie łowisk łososia i halibuta. A na samej mierzei gniazdowało ogromne stado bielików amerykańskich, które żerowały wokół wysypiska śmieci przy sennym miasteczku.

„Morski Tancerz” opłynął wierzchołek mierzei. Po lewej w mdłym świetle przedświt wznosił się mroczny cień gór Kenai. Słońce obja-

wiło się zaledwie jako czerwone pasmo na horyzoncie. Temperatura wynosiła stopień poniżej zera, więc mężczyźni trzymali się blisko nawiewów grzewczych w kabinie. Wiatr był łagodny, a fale nie sięgały nawet metra - była to łagodna przejażdżka dla łodzi, która mogła wytrzymać nawet trzymetrowe fale.

- Nie wyglądasz mi na jednego z tych jajogłowych, jakich Howard zwykle przywozi na ryby - odezwał się Jerry Small do drugiego pasażera.

Mężczyzna się uśmiechnął.

- Nie, jestem niezależnym konsultantem. Zatrudniono mnie, żebym sprawdził, czy wynalazek Howarda nada się do sprzedaży.

- I?

- Co i?

- Działa to ustrojstwo mojego kuzyna?

- Jeśli Pacific Machine and Die weźmie pod uwagę moją rekomendację, to za rok doktor Howard Small będzie bardzo bogaty.

Howard uśmiechnął się mimo kaca. Po dwóch tygodniach testów terenowych na północ od Valdez oto usłyszał pierwszą pochwałę.

- Dzięki, Mercer.

- Nie ma za co. - Philip Mercer uściskał dłoń Howarda. - To wyłącznie twoje dzieło. Dzięki twojemu wynalazkowi za dwa lata przemysł wydobywczy zmieni się nie do poznania.

Przez ostatnie trzy lata doktor Howard Small i jego zespół na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles pracowali nad minikretem, maszyną do drążenia tuneli. Wykorzystali najnowsze osiągnięcia w dziedzinie naprowadzania laserowego, hydrauliki i mikrominiaturyzacji. Ich dzieło - o nazwie Minnie - właśnie zdało pierwszy prawdziwy egzamin w najtrudniejszych warunkach dla wszelkich maszyn. Minnie wydrążyła trzykilometrowy tunel w granitowej litej skale, odchylając się od wyznaczonego kursu o zaledwie jedną dziesięciotysięczną cala. W przeciwieństwie do innych tarcz drążących Minnie była mała i ekonomiczna. Z dwudziestoosobową ekipą ta pięciometrowa maszyna mogła przez okrągłą dobę wycinać tunel o średnicy jednego i dwóch dziesiątych metra. Dla porównania, tarcze drążące tunel pod kanałem La Manche, łączącym Anglię z Francją, miały sto osiemdziesiąt metrów długości i wymagały setek ludzi do obsługi.

Koncern Pacific Machine and Die, potężny producent sprzętu, zatrudnił Mercera, by ocenił przydatność Minnie do drążenia twardych skał. Taka mała tarcza mogła wyeliminować konieczność stosowania środków wybuchowych w kopalniach, dzięki czemu co roku można by uniknąć setek wypadków, często śmiertelnych.

Mercer w branży wydobywczej cieszył się niezwykłą reputacją, więc jego rekomendacja dawała pewność, że Pac Mac & Die w ciągu kilku miesięcy kupi prawa do produkcji Minnie. Lata pracy Howarda wkrótce miały zaprocentować.

Wyprawa na ryby miała obu mężczyznom pomóc się odprężyć po długich tygodniach prób. Jeszcze niedawno byli sobie całkiem obcy, a dziś odnosili wrażenie, jakby znali się od lat.

- To znaczy, że w końcu zapłacisz mi za rejs? - zapytał Jerry Small kuzyna.

- Nie licz na to.

Po godzinie od wypłynięcia z Homer Jerry przymknął przepustnicę, tak że „Morski Tancerz” leniwie sunął po falach. Wraz z synem intensywnie wpatrywali się w głębokościomierz, porównując jego odczyty z charakterystycznymi punktami na brzegu. Po chwili Small wyłączył silniki i otoczyła ich cisza alaskiego wybrzeża.

- Najlepsze łowisko na tych wodach - oznajmił i zsunął się z fotela, by przygotować grube wędkę.

Kra na Oceanie Arktycznym prawie tysiąc trzysta kilometrów na północ wysysała całe ciepło słońca, które świeciło zimnym, perłowym światłem. Nad przemykającymi niskimi chmurami górował nieprzenikniony całun nieba. Taki efekt specjalny mogła stworzyć tylko natura.

Już po kilku minutach od zarzucenia przynęty Mercer wyciągnął blisko pięćdziesięciokilowego halibuta. Jerry i John za pomocą harpunów przeciągnęli rybę za burtę. Na jej płaskim, białym i gładkim ciele wyróżniały się tylko dwa guzki ochraniające oczy. Choć halibut to jedno z najbrzydszych stworzeń na świecie, wszyscy głośno gratulowali Mercerowi.

- Ale ryba.

- Piękna.

- Wygląda jak moja była. John, tylko nie mów matce, że tak powiedziałem.

Pięć minut później Mercer i Jerry pomogli Johnowi wyciągnąć prawie dwudziestokilowego halibuta, a potem przysła kolej na Howarda - on też wyciągnął jednego potwora z głębokości sześćdziesięciu metrów. Przez godzinę sytuacja się powtarzała - każdy z mężczyzn łowił rybę zaledwie kilka minut po tym, jak haczyk dotarł do dna. Każdy wypuszczał swoją zdobycz do morza. Nie było w tym dużo ze sportu, tylko próba siły podczas wyciągania leniwych stworzeń na powierzchnię.

Jerry porównał łowienie halibutów do wyciągania wielkich materiałów z dna oceanu - żadnej walki, za to ogromny ciężar. Prawdziwą

atrakcją wędkowania było dobre towarzystwo. Jerry stwierdził, że aby przeżyć prawdziwą rybacką przygodę na Alasce, trzeba stanąć po biodra w lodowatej rzece, którą łososie płyną na tarło. Ryb jest wtedy tyle, że ocierają się o nogi rybaka jak o zwykłe przeszkody w wodzie. Tyle że podczas wypraw na tarlisko łososie prawie nie jedzą, więc większość wędkarzy tylko patrzy, jak przepływają im obok haczyków.

- To bardziej frustrujące niż impotencja w burdelu - stwierdził Jerry.

Howardowi kac minął na tyle, że zaczęło mu smakować piwo, które podawał mu Mercer. Jerry Small też popijał. Trzeźwy zamierzał pozostać tylko John, jeszcze za młody, by pić alkohol. Jerry wprawdzie pozwolił mu na kilka piw, ale John wyjaśnił, że trenuje przed nadchodzącym sezonem koszykarskim, i nie pił w ogóle.

Przed dziesiątą rano uznali, że łowią wciąż te same ryby, więc wyciągnęli kotwice i Jerry ruszył w stronę kolejnego łowiska, nieco dalej od Homer. Popłynęli na południe, silnik Chevroleta wył głośno i „Morski Tancerz” zostawiał za sobą spieniony kilwater. Fale nadal były niewielkie, a niebo przetarło się na tyle, że promienie słońca zza chmur błyskały w morskiej wodzie jak sygnały z heliografu.

Po dwudziestu minutach rejsu John wskazał za prawą burtę i krzyknął:

- Tato, co to?!

Jerry natychmiast przymknął przepustnicę i gwałtownie zmienił kurs. Mercer i Howard musieli chwycić się deski rozdzielczej, by nie stracić równowagi. Mniej więcej pięćset metrów od nich na niewielkich falach bujała się dziwna łódź, o sześć metrów większa od „Morskiego Tancerza”. Był to komercyjny kuter rybacki z małą kabiną za maszynowym dziobem i żurawiem do wyciągania sieci na rufie.

Nawet z oddali dostrzegli wyraźnie, że na pokładzie kutra coś się stało. Był nienaturalnie głęboko zanurzony, a pociemniała nadbudówka została osmalona przez ogień. Łódź sprawiała wrażenie zapomnianego statku widma. Spowijała ją nienaturalna, grobowa wręcz cisza. Jerry podprowadził „Morskiego Tancerza” bliżej - na zrujnowanym kutrze nikt się nie poruszył ani nie odpowiedział na jego „halo”.

- Co to za łódź? - zastanawiał się na głos Jerry, dobijając burtą swojej łodzi do kutra.

- Napis na rufie ma wypalony - oznajmił syn, wywieszając osłonki za burtę „Morskiego Tancerza”. - Ale moim zdaniem to „Jenny IV” z Seward.

Mercer był gotów do skoku z cumą, kiedy łodzie stanęły burty w burty. Szybko związał je linami. Podsycane alkoholem przekomarżanki ucichły, kiedy tylko zobaczyli łódź. Mercer działał ze spokojem profesjonalisty, jakby spalone wraki widywał codziennie.

„Jenny IV” leniwie bujała się na falach, a po jej pooranym pokładzie przelewało się od burty do burty około piętnastu centymetrów wody. Teoretycznie wodoodporne buty Mercera szybko przemiękły, kiedy tylko wskoczył na pokład kutra. Stopy zdrętwiały mu błyskawicznie. Rozejrzał się po pokładzie i odwrócił do Jerry’ego.

- Wywołaj Straż Wybrzeża i zgłoś, co znaleźliśmy. Powiedz, że nie muszą się spieszyć, nikt nie przeżył. - W głosie Mercera pojawił się władczy ton, którego wcześniej nie było.

- Skąd wiesz? - zapytał Howard, wychylając się za burtę „Morskiego Tancerza”.

Mercer spojrział przed siebie i dopiero wtedy odpowiedział:

- Bo szalupa wciąż wisi na wysięgniku, a u stóp mam zwęglone zwłoki.

- O cholera - zaklął Jerry Small, stojąc za konsolą swojej łodzi. - John, dzwoń do Straży Wybrzeża.

Przeskoczył na „Jenny IV”, przytrzymując się dla równowagi osmalonej wyciągarki. Wtedy i on zobaczył zwłoki leżące twarzą do pokładu.

- O cholera - powtórzył.

Kuter wyglądał nie najlepiej - osmalony i przeciekający - ale zwłoki na pokładzie znajdowały się w o wiele gorszym stanie. Ktokolwiek to był, nie zginął od razu. Sądząc po ułożeniu ciała, zdołał wydostać się z kabiny. Leżał wyciągnięty na pokładzie, jakby przed śmiercią próbował odczołgać się od ognia. Górna część ciała zachowała się niezłe, ofiara miała na sobie pomarańczowy kapok na flanelowej koszuli w kratę, ale od miednicy w dół nie zostało nic poza poczeriałymi kikutami kości udowych wystających bezwstydnie z bioder. Ręce miał powykręcane jak szpony. Woda przelewająca się po pokładzie obmywała osmalone kości i poszarpane skrawki ciała.

Mercer nie miał ochoty odwracać zwłok, by się przekonać, co pożar zrobił z twarzą zmarłego.

Niezwykły stan ciała tylko pogłębiał tajemnicę, jaką skrywał porzucony kuter. Mercera już zaczął niepokoić wygląd łodzi. Na pokładzie zdarzył się jakiś wypadek i wybuchł pożar, który zaskoczył ofiarę. Ale jak wyjaśnić fakt, że pożar wygasł, choć łódź nie zatęchła? Gdyby ugasili go ludzie z jakiegoś innego statku, to przecież nie zostawiliby na wraku zwłok. Nic nie trzymało się kupy.

- Wracaj na swoją łódź - polecił Jerry'emu. - Potrzebna mi la tarka i toporek.

Jerry z wdzięcznością wrócił na pokład „Morskiego Tancerza” i podał Mercerowi obie rzeczy. Jerry oparł się o burtę i z niepokojem patrzył, jak Mercer kontynuuje dochodzenie.

- Nie uważasz, że powinniśmy poczekać na Straż Wybrzeża?

Howard ma rację, pomyślał Mercer, ale coś z tym pożarem nie dawało mu spokoju i nie miał zamiaru czekać, aż zjawią się władze i rozwikłają zagadkę.

- Za chwilę wracam.

Nieco dalej w stronę dziobu znajdowały się krótkie schodki prowadzące do sterówki. Drzwi obok wiodły do pomieszczenia poniżej. Sterówka, choć tknięta przez ogień, nie była tak zniszczona jak pokład, więc Mercer poszedł do drzwi i spróbował je otworzyć. Drewno wygięło się od żaru tak mocno, że niemal natychmiast drzwi się zaklinowały. Mercer zamachnął się kilka razy toporkiem, aż posypały się drzazgi. Połowa drzwi spadła z pluskiem na pokład.

Włączył silną latarkę i omiół światłem ciasne pomieszczenie pod sterówką. Po lewej znajdował się mały kambuz, a obok dwie ławki i stolik do jedzenia. Wszystko okropnie popalone. Po prawej widać było trzy koje. Dwie puste, jeśli nie liczyć gładkich warstw popiołu po materacach i kocach. Na trzeciej leżał kolejny szkielet, spalony tak doszczętnie, że na kościach nie zachował się nawet skrawek ciała. Puste oczodoły patrzyły na Mercera niemal oskarżycielsko, aż przeszył go zimny dreszcz. Choć miał ochotę czym prędzej zmykać, postanowił jednak zachować spokój i szukać dalej.

Podejrzał, że trzeci załogant „Jenny IV” musiał uciec przed piekłem pożaru za burtę. Mercer położył rękę na stalowej grodzi i stwierdził, że metal jest lodowaty. Poprzednia noc była przenikliwie zimna, więc nie sposób stwierdzić, kiedy dokładnie wybuchł pożar, póki kryminolodzy nie zbadają zwłok.

Sufit kajuty był osmalony przez płomienie, ale najwyraźniej drewno nie zdążyło się przepalić na wylot. Obok drzwi, przez które Mercer wtargnął do środka, znajdowały się kolejne; za nimi krył się krótki korytarzyk prowadzący do ładowni. Z drzwi nie zostało nic, futryna zaś i pobliska gródź zostały wyrzucone dalej przez wybuch. To wyjaśniało, czemu ogień nie strawił kutra całkowicie. Wybuch musiał pozbawić płomienie tlenu i ugasić to piekło.

Mercer zastanawiał się, jakież to ładunek kutra mógł wywołać taki wybuch.

Silniki znajdowały się na rufie, więc zbiorniki paliwa powinny być gdzieś w pobliżu. Poza tym ślady takiego wybuchu widać byłoby na pokładzie. I z pewnością kuter musiałby po nim zatonać. To musiało być coś innego.

Kiedy Mercer skierował latarkę w stronę ładowni, błysnęła ciemnozielona woda. Zapach spalonego drewna i plastiku nie mógł stłumić przejmującego smrodu ryb przewożonych tu od lat. Na powierzchni wody unosiła się gruba warstwa szlamu, a w nielicznych wolnych od niego miejscach połyskiwały tęczo plamy paliwa. Mercer zrobił ostrożny krok do zalanej ładowni. Schodził, szukając oparcia dla stóp. Przez cienki materiał spodni woda wysysała całe ciepło z jego ciała.

Stojąc zanurzony po uda, zdał sobie sprawę, że bez sprzętu do nurkowania niczego nie zdziała. Już miał się odwrócić i wyjść, kiedy snop światła z latarki odbił się od czegoś w wodzie o krok od miejsca, w którym stał.

Jęknął, sięgając pod wodę, by wyjąć ów przedmiot. Zanurzył rękę aż do barku. W dłoni trzymał kawałek błyszczącej nierdzewnej stali długości około dwudziestu pięciu centymetrów i szerokiej na piętnaście. To, co wybuchło na pokładzie, rozerwało stal jak papier - jej krawędzie przypominały krawędzie szrapnela. Mercer podniósł znalezisko do latarki i zobaczył po jednej stronie napis „Roger”. Ostatnia litera znajdowała się w miejscu, gdzie stal się rozerwała.

Wsunął metalowy element do kieszeni kurtki i wrócił na pokład. Stojąc w przymglonym słońcu, wykonał kilka głębokich oddechów. Nagle dotarło do niego, że od chwili wejścia na pokład kutra odychał płytko.

- Coś znalazłeś?! - zawołał Jerry.

- Nie - odparł Mercer. Dopiero teraz zauważył, że zniszczeniu uległ żuraw do wyciągania sieci.

Górna część dźwigu zniknęła, jakby ktoś odciął ją palnikiem. Przyjrzał się bliżej dwóm stalowym kikutom - tylko tyle pozostało z żurawia - i stwierdził, że cięcie było czyste i ostre. Bez śladu wybuchu. Żuraw został po prostu obcięty. Dziwne, pomyślał, a kiedy odwrócił się, zobaczył, że anteny radiowe na „Jenny IV” także zostały odłamane mniej więcej trzydzieści centymetrów od dachu sterówki.

Nie miał pojęcia, jak to wytłumaczyć.

- Wezwaliście Straż Wybrzeża?

- Tak. Wysyłają kuter z Homer. Powinien się zjawić za jakąś godzinę.

- Świetnie. - Mercer rozejrzał się raz jeszcze po kutrze i wsłuchał z powrotem na „Morskiego Tancerza”. - Nie ma sensu przy nim cumować. Dół jest zalany i kuter może w każdej chwili pójść na dno.

Jerry uruchomił silnik, a syn odwiązał liny. Kiedy odpłynęli jakieś pięćdziesiąt metrów od „Jenny IV”, Jerry wrzucił jałowy bieg i utrzymywał stały bezpieczny dystans od wraku. Wypalony kuter i jego trupia załoga kryli jakąś tajemnicę, której nie dało się wyjaśnić wybuchem silnika, i wszyscy czterej doskonale o tym wiedzieli. Milczeli przez wiele długich, niepokojących minut, obserwując cichą jak śmierć „Jenny IV”, która kołysała się na falach. Zwłoki na pokładzie nie były w stanie odpowiedzieć na żadne ich pytania.

- No to chyba koniec z łowieniem na dziś. - Głos Jerry'ego za brzmiał nienaturalnie głośno.

Mercer odwrócił się do niego i uśmiechem zamaskował własny niepokój.

- Nic to, łowienie ryb to tylko jeden z powodów, żeby się napić. A akurat do tego nikt nie musi mnie szczególnie namawiać.

Biały Dom, 19 października

Prezydent długim krokiem przeszedł lekko przez nieformalną jadalnię w prywatnej części Białego Domu. Uśmiechnął się ciepło, kiedy jego gość wstał i uściśnął mu rękę. Gościem była kobieta, znacznie niższa niż mierzący metr osiemdziesiąt prezydent i nieco przysadzistej budowy. Jej ubranie przypominało strój matrony zaopatrującej się w tanim domu towarowym, a makijaż wyglądał jak rzucony kielnią. Nawet życzliwe poranne światło wpadające przez okna z Ogrodu Różanego nie skryło fałd na szyi ani obwisłych policzków. Wygląd tej kobiety nie przystawał do świata, w którym liczyły się dobitne wypowiedzi dla mediów i świetny wygląd. Trzymając się z dala od dziennikarskiego piekielka, pięła się po szczeblach rządowej kariery dzięki czystej determinacji i po prostu dlatego, że zawsze była najlepszym kandydatem na dane stanowisko. Dzięki zaangażowaniu i intelektowi została jednym z najbliższych przyjaciół prezydenta i należała do grona jego zaufanych doradców.

- Dzień dobry, Connie. Miło cię widzieć - powiedział prezydent, siadając przy stole naprzeciw sekretarz ds. energii Constance Van Buren.

Nim znowu usiadła, wygładziła czarną poliestrową sukienkę na nylonowych rajstopach.

- Znasz mnie przecież, nie przepuszczę zaproszenia na darmową wyzerkę.

- Jakie masz wieści? Tylko szczerze.

Connie upiła łyk kawy, a w jej oczach błysnęły wesole iskierki.

- Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam, bo to, co powiem, jest okrutne. Stu Hanson z EPA twierdzi, że słyszał to w jednym z wie czornych talk-show - przerwała. - Według mediów, w najnowszych sondażach tak okłapłeś, że nie pomoże ci już nawet viagra.

Prezydent wybuchnął śmiechem. Napięta skóra wokół oczu wygładziła się, kiedy zaczął się przekomarzać ze starą przyjaciółką. Oficjalnie ich spotkania miały służyć zapoznawaniu prezydenta z problematyką energetyczną, ale w rzeczywistości stanowiły dla niego ucieczkę od napięć, jakie wiązały się z pełnieniem urzędu. Odbywające się dwa razy w miesiącu spotkania istotnie służyły pracy, ale wzajemne towarzystwo sprawiało obojgu taką przyjemność, że cieszyli się na samą myśl o tych naradach.

- Wiesz co, Connie? Kiedy Lloyd Easton z Departamentu Stanu przychodzi na śniadanie, to ma ze sobą dwóch asystentów, cztery teczki i przenośny faks, na wypadek gdyby coś się wydarzyło, kiedy będzie tutaj.

- No tak, Lloydowi wycięto poczucie humoru gdzieś między członkostwem w Mensie a kluczem do stowarzyszenia Phi Beta Kappa. Siedzicie sobie, chłopcy, w tych waszych wielkich gabinetach i zapominacie, że to tylko praca, ważna, owszem, ale tylko praca. Ja wciąż spędzam weekendy z wnukami, piekę im ciasteczka, sztorcuję córkę za to, że wyszła za lenia, i robię mnóstwo innych rzeczy, które robią normalni ludzie.

W oczach prezydenta mignął jakiś cień. Po chwili powiedział:

- Mówiłem ci już, że nie będę kandydował na drugą kadencję, prawda?

- Mówiłeś, że się nad tym zastanawiasz. - Kiwnęła głową. - Myślę, że to dobry pomysł. Oboje wiemy, że twoje małżeństwo kuleje, mówiąc ogólnie. Musicie z Patricią spędzić trochę czasu razem. Nie wiem jak twoje zdrowie, ale kiedyś o ósmej rano ręce ci się tak nie trzęsły.

Prezydent spojrział na swoje długie, szczupłe dłonie i ze zdumieniem zauważył, że lekko drżą.

- Jezu, nie rozumiem, jak w ogóle ktoś mógłby z własnej woli pchać się na drugą kadencję.

- Większość twoich poprzedników nie musiała dokonywać takich trudnych wyborów jak ty, by przywrócić porządek w kraju, więc nie dostawali takich politycznych cięgow.

- Na przykład za ropę.
- Na przykład za ropę - potwierdziła Connie Van Buren.

Prezydent popełnił polityczne samobójstwo zaledwie dziewięć miesięcy po objęciu urzędu. Tego zdania byli zarówno jego zwolennicy, jak i przeciwnicy. W pierwszym orędziu do narodu, emitowanym w czasie największej oglądalności, przedstawił swoją nową politykę energetyczną. Prezydent chciał, by Stany Zjednoczone w ciągu dekady uniezależniły się od zagranicznych źródeł ropy. Poprzez specjalne fundusze celowe administracja miała sfinansować potężne programy tworzenia nowych źródeł alternatywnej energii w całym kraju. Prezydent snuł wizję narodu używającego czystej energii, miast uwolnionych od smogu i ekologicznych katastrof, które nękały USA w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Na wielkich równinach miały wyrosnąć rozległe farmy wiatrowe, a na południowym zachodzie powstać miały plantacje ogniw słonecznych. Prezydent zaproponował budowę elektrowni u wybrzeża stanu Maine, wykorzystującej energię przyływów morza, która zaspokoiłaby niemal w pełni apetyt Bostonu na energię.

Niedawno odkryty pierwiastek bikińium, dzięki swoim niezwykłym właściwościom elektromagnetycznym, zwiłokrotniłby produkcję obecnych elektrowni. Z czasem sam miał się stać źródłem energii. Branża motoryzacyjna, od lat trzymająca w szufladzie gotowe technologie budowy akumulatorów, na których nie była w stanie zarobić, miała zostać zmuszona do masowej produkcji aut elektrycznych. Pod koniec dekady wyznaczonej przez prezydenta połowa sprzedawanych w Stanach samochodów byłaby napędzana elektrycznie. Technologia już jest - mówił prezydent - Ameryka musi się tylko zebrać na odwagę, by z niej skorzystać.

Prezydent postawił przed narodem nie lada wyzwanie, ale ludzie najwyraźniej gotowi byli je podjąć. Do działania pobudził ich ten sam pełen nadziei optymizm, który emanował z prezydenta Kennedy'ego, gdy obiecywał, że człowiek stanie na Księżycu. Ekolodzy już widzieli chwalebny koniec szkodliwej eksploatacji środowiska, jaka wiąże się z wydobywaniem paliw kopalnych. Ekonomisci przyznali, że okres przejściowy będzie trudny, ale zakaz importu ropy pozwoli zakończyć trwającą od dziesięcioleci nierównowagę handlową w bilansie kraju. Technokraci nie mogli się doczekać nowych technologii, które wyrwą Amerykę z uzależnienia od ropy. Departament Stanu zaś tylko czekał, aż bliskowschodnia dyplomacja straci swojego asa w rękawie, czyli groźbę kolejnego embarga na ropę.

Ale zaledwie kilka tygodni po ogłoszeniu owego planu zaskrzeczala polityczna rzeczywistosc.

Siedem najwiekszych firm nafciarskich swiata, tak zwanych siedem siotr, wspolnie dysponuje potega ekonomiczna wieksza niz wiele uprzemyslowionych panstw. Koncerny zrozumialy, ze ich najwiekszy rynek moze niedlugo zniknac, i zaczely wywierac ogromne naciski. Uciekajac sie w istocie do ekonomicznego szantażu, siedem siotr zaczelo podwyzszac ceny benzyny po dziesiec centow za galon, az wzrosly niemal dwukrotnie. Nastepnie dyskretnie dalo do zrozumienia waszyngtonskim kregom wladzy, ze ceny beda rosnać nadal, jesli politycy nie poida na pewne ustępstwa. Prezydent mial dosc wyobrazni, by zrozumiec, ze naftowe olbrzymy moga popchnac gospodarkę swiatowa w spirale smierci, przy ktorej Wielka Depresja bedzie sie wydawac okresem wzrostu i dobrobytu.

Wykorzystal wszelkie polityczne dlugi wdzieczności, jakie zaciagnęli wobec niego koledzy podczas kilku kadencji w Izbie Reprezentantow i Senacie; zlozyl obietnice, ktore mial wypelnic do konca prezydentury, ale udalo mu sie przekonac Kongres, by zezwolil na wydobycie ropy na terenie Narodowego Arktycznego Rezerwatu Przyrody. Dziesiatki tysiecy kilometrow kwadratowych dziewiczej tundry na polnocnym wybrzezu Alaski, na wschod od zatoki Prudhoe, stanowiły ostatnie duze zrodlo krajowej ropy i jeden z najdelikatniejszych ekosystemow na Ziemi. Arktyczny Rezerwat miescil zloza ropy wielokrotnie wieksze niz te, ktore odkryto w okolicach Prudhoe, i siedem siotr od lat ostrzylo sobie nań zęby. Zezwolenie na wydobycie tam ropy bylo cena, jakiej siostry zazadaly za wspolpracę, i prezydent tę cenę zaplacil. Stosowna ustawa po cichu wcisnieto do pakietu z innymi legislacjami zaledwie kilka minut przed glosowaniem, nie dopuszczajac do zadnej debaty w Izbie. Lobbyści i dzialacze ruchow ekologicznych nie mieli o niczym pojecia, a gdy sie dowiedzieli, bylo juz za pozno.

Obawy ekologow powstrzymywaly wczesniejsze proby wydobycia ropy w rezerwacie. Jednak prezydent nie mial wyjścia i musial odsunac je na bok ze swiadomoscia, ze wybiera mniejsze zlo. Wiedzial, ze choeby nie wiadomo jakie srodki ostrozności podjely koncerny naftowe, to owe dziewicze tereny zostana zniszczone wlasciwie na zawsze. Ale czul tez, ze to niewielka cena, jesli jego nowa polityka przyniesie lepsze zycie w pozostalych czesciach Stanow, a kiedyś i na calym swiecie.

Nie spodziewal sie jednak, ze narod zaprotestuje tak ostro, kiedy dowie sie o tym politycznym pakcie. Okazalo sie, ze nagle wszyscy

Amerykanie zaczęli bronić Arktycznego Rezerwatu. Ludzie, którzy nie potrafili wskazać Alaski na mapie, zaczęli sypać jak z rękawa danymi statystycznymi na temat szkód, jakie wyrządza przyrodzie wydobywanie ropy. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiały się plakaty, koszulki i goście w programach publicystycznych. Arktyczny lis i niedźwiedź polarny z miejsca podbity media - a w telewizji godzinami omawiano ich zagrożenie. Co wieczór po ekranach pędziły stada karibu, a komentatorzy poważnymi głosami przekonali, że w ciągu osiemnastu miesięcy od postawienia pierwszego stanowiska wiertniczego zwierzętom tym grozi niemal całkowite wyginięcie. Ludzie byli wściekli, po prezydenckim przemówieniu grupom ekologicznym zaczęto przybywać członków.

W całym kraju rozpoczęły się bojkoty firm naftowych, którym przyznano koncesje na wiercenia. Najmocniej dostało się Petromakowski, który podjął kroki prawne przeciw kilku organizacjom, w tym Greenpeace'owi, przygotowującym protesty. Greenpeace cieszył się na myśl o medialnym zainteresowaniu, jakie wzbudzi nadchodzący proces. By okazać niezłomność, chciał wysłać swój statek „Rainbow Warrior III” do Cieśniny Księcia Williama, ale jednostka przebywała właśnie na południowym Pacyfiku, gdzie protestowała przeciw najnowszej rundzie francuskich testów jądrowych.

Próba ostatecznego rozwiązania wielu problemów Ameryki zmieniła się w ostrą walkę, która podzieliła naród równie głęboko, jak wojna w Wietnamie. Tak jak w przypadku wielu trudnych decyzji okazało się, że wszyscy uważają, iż nowa polityka energetyczna to dobry pomysł, ale nikt nie chce ponieść kosztów.

Prezydent i sekretarz ds. energii Van Buren wspólnie stawili czoło tej burzy, oboje zmagali się z coraz większą krytyką, ponieważ teraz, po blisko roku, na teren rezerwatu zaczęli wkraczać ludzie ze sprzętem do próbnego odwiertów. Amerykanie najwyraźniej zapomnieli o korzyściach płynących z moratorium prezydenta na import ropy. Liczyła się tylko ochrona arktycznej tundry i jej mieszkańców, nawet jeśli miało to oznaczać, że kolejne pokolenie będzie żyło w smogu, kwaśnych deszczach i gazach cieplarnianych.

- Nawet nie będę pytał, czy postępujemy słusznie - zauważył prezydent zmęczonym głosem, bo rozmawiali już na ten temat milion razy. - Wiem, że mam rację. Musimy uniezależnić się od ropy. Kropka. Przy obecnej stopie konsumpcji na Ziemi i tak jej zabraknie w połowie tego stulecia, więc może warto się na to przygotować? Europa i Japonia będą błagać o naszą czystą technologię, a my będziemy mieli w ręku wszystkie atuty. Czy nikt nie widzi, że to nam się opłaci?

Connie Van Buren słyszała już nieraz wszystkie te argumenty, więc milczała. Choć opinia publiczna niewiele o tym wiedziała, Departament Energii był ulubionym miejscem lobbingu siedmiu sióstr i wszystkich innych firm naftowych. Van Buren żyła pod jeszcze większą presją niż prezydent. Ale z wyrozumiałością, na jaką stać tylko kobiety, przyjmowała krytykę i skargi, a na dodatek przychodziła do prezydenta, by przy niej mógł dać ujście frustracji.

- Długoterminowe korzyści z moich propozycji zdecydowanie przeważają nad troską o Arktyczny Rezerwat. Poza tym, do diabła, nie jest wcale powiedziane, że zwierzęta wyginą, jak twierdzą czarnowidze.

Ostatnie zdanie zabrzmiało fałszywie i prezydent dobrze o tym wiedział. Flora i fauna północnego wybrzeża Alaski była niepowtarzalna w skali globu, a tamtejszy ekosystem tak wrażliwy, że nawet najmniejsza szkoda stałaby się nieodwracalna. Arktyczny mech potrzebuje co najmniej stu lat, by odrosnąć, gdy przejedzie po nim nawet lekki pojazd. Kiedy powstaną tam szyby wiertnicze, rurociągi i inne konstrukcje, przyroda już się nie zregeneruje.

- Ale Chryste Panie - grzmiał prezydent - to przecież niewielka cena.

Connie uniosła ręce w obronnym geście.

- Pamiętaj, że stoję po twojej stronie.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się z żalem. - To przez tę presję. Jak ty sobie z tym radzisz, u licha?

Connie wybuchnęła śmiechem.

- Przypominam po prostu wszystkim, że arsenał jądrowy Ameryki znajduje się w jurysdykcji Departamentu Energii. Mówię, że mam pod kontrolą dwadzieścia tysięcy głowic i miewam syndrom napięcia przedmiesiączkowego. Zwykle to wystarcza.

Prezydent zdobył się na zmęczony uśmiech.

- Co słysząc u obrońców praw tubylców?

Prawa rdzennych mieszkańców Alaski też stały się gorącym tematem.

Connie poprawiła się na krześle, odłożyła nóż i widelec na porcelanowy talerz, na którym wciąż była jajecznica z soczystym bekonem.

- Na razie siedzą w miarę cicho. Obrońcy praw tubylców nie mają takiego rozgłosu jak wielkie organizacje ekologiczne, więc się nie wrywają i obserwują, w jakim stopniu administracja zechce poprzeć tę inicjatywę. Chociaż usłyszałam niedawno, że Amnesty International grozi, że jak nadal będziemy naruszać prawa Inuitów do własnej ziemi, to ogłosi ich wszystkich więźniami politycznymi Stanów Zjednoczonych.

- Jezu Chryste! - krzyknął prezydent. - I mówisz, że oni siedzą cicho?

- W porównaniu z tym, co zrobili ci z PEAL, to naprawdę pestka.

- PEAL? - Prezydent uniósł krzaczaste brwi. - Nigdy o nich nie słyszałem. Kolejni ekolodzy?

- Raczej ekoterrorysty. - Connie podniosła z podłogi rozkładaną walizkę i położyła ją na stole. Przekopawszy się przez bałagan w środku, wyjęła szarą teczkę i podsunęła ją prezydentowi. - Interpol sporządził dossier przestępstw w Europie przypisywanych bezpośrednio lub pośrednio PEAL. To dane tylko z ostatniego roku.

Kiedy prezydent przeglądał doniesienia o zamachach bombowych, protestach i napaściach, Connie Van Buren pobieżnie opowiedziała mu o tej organizacji:

- PEAL to akronim od Planetary Environment Action League*.

Założył ją cztery lata temu holenderski profesor, który wypadł z głów nego nurtu akademickiego. Jan Veorhoven to klasyczny przykład charzmatycznego przywódcy. Jest młody, jeszcze przed czterdziestką, świetnie wygląda, pochodzi z bogatej rodziny o znanym w Holandii nazwisku, do tego ma iloraz inteligencji powyżej średniej.

Connie mówiła, jakby recytowała materiał, który prezydent miał przed oczyma. Widać było, że przeglądała teczkę wielokrotnie.

- Do tego roku PEAL się nie liczyła. Drukowali ulotki, a Veorhoven przemawiał na zgromadzeniach w całej Europie Zachodniej, ale grupa była stosunkowo niewielka, miała około stu aktywnych członków. Nawet wśród uczestników innych ruchów ekologicznych PEAL uchodziła za zbyt radykalną.

Veorhoven przyjął swego rodzaju pseudoreligijną więź z naturą i prawa Ziemi stawia ponad prawami człowieka. Po monsunie, który zabił jedenaście tysięcy wieśniaków, pojechał do Bangladeszu i zbeształ tych, którzy przeżyli, że próbują wyrwać naturze to, co należy do niej. W grudniu zeszłego roku, kiedy z francuskiego reaktora atomowego wyciekła nieskażona woda z układu chłodzącego, PEAL zyskała rozgłos, bo Veorhoven wezwał dyrektora elektrowni, by wypił kubek tej wody. To było gigantyczne medialne show, bo dyrektor cierpi na alergię i może pić tylko wodę destylowaną, o czym Veorhoven doskonale wiedział.

Na początku tego roku PEAL stała się modną grupą wśród zawodowych uczestników manifestacji. Zaczęło im przybywać mnóstwo

* Planetary Environment Action League (ang.) - Liga Ochrony Środowiska Planety (przyp. tłum.).

członków i pieniędzy w kasie. W marcu kupili jakiś stary statek pomiarowy i nazwali go „Nadzieja”. Otworzyli filie w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku, Waszyngtonie i San Francisco. I zaczęli używać siły.

W Mozambiku aresztowano członków PEAL wyposażonych w dość materiałów wybuchowych, by wysadzić tamę Cabora Bassa. W Brazylii przyznali się do zniszczenia ciężkiego sprzętu do wycięcia lasu. Straty obliczono na około dziesięć milionów dolarów. W stanie Waszyngton jeden z działaczy PEAL dostał zarzut zabójstwa, bo drwał zaczepił piłą łańcuchową o gwóźdź wbity w drzewo przez tego ekologa i zginął. Twojemu sekretarzowi do spraw wewnętrznych ktoś położył pod drzwiami torbę pełną zdechłych puszczyków plamistych. Torba miała logo PEAL. Są zdolni do wszystkiego.

Niszczą stacje benzynowe w Niemczech, Holandii i Belgii. Podejrzewani są o włamanie do jednej z niemieckich firm chemicznych, gdzie zniszczyli efekty eksperymentów wartych kilka milionów dolarów. Włamywali się do laboratoriów, by wypuszczać przeznaczone do testów zwierzęta, z których wiele było zarażonych różnymi chorobami albo dostawało eksperymentalne szczepionki o nieznanym efekcie ubocznym. Krótko mówiąc, są silnie zmotywowani, mają dość pieniędzy, stanowią zagrożenie, a ich kolejnym celem będzie bez wątpienia Alaska.

Prezydent był zaskoczony podsumowaniem Connie.

- Skąd możesz mieć pewność, że wybiorą Alaskę?

- Bo ich statek „Nadzieja” właśnie cumuje w Cieśninie Księcia Williama, tuż za strefą bezpieczeństwa wokół torów wodnych, którymi pływają tankowce do terminalu w Valdez. I dlatego, że ponoć na jego pokładzie przebywa Jan Veorhoven.

- Coś już zrobili?

- Jeszcze nie, ale samą ich obecność uważam za zagrożenie, a ty nie?

- Po tym, co mi opowiedziałaś, owszem - przyznał prezydent. - Ale przecież, do cholery, nic nie możemy z tym zrobić.

- Wiem, że mają prawo tam być, ale jeśli cokolwiek się stanie, chcę zyskać pewność, że będą numerem jeden na liście podejrzanych.

- Powiem Dickowi Hennie z FBI, żeby miał oczy szeroko otwarte.

- Rozmawiałam z nim, jak tylko się dowiedziałam, że „Nadzieja” płynie na Alaskę. Obiecał, że stanie na rzesach. - Ostatnie zdanie zabrzmiało nieco nonszalancko, ale Connie patrzyła twardym wzrokiem, a usta ściągnęła w wąską kreskę. Mówiła bardzo poważnie. I była przerażona.

Uniwersytet im. Jerzego Waszyngtona, Waszyngton

Mercer stał, a duża grupa studentów zaczęła klaskać, choć nie było po temu powodu. Wiedział, że to nie na jego cześć, lecz dlatego, że nie będą musieli znosić kolejnego wykładu profesora Lynn Snyder. W auli siedziało stu dwudziestu studentów, głównie pierwszego roku. Choć zaczęli naukę zaledwie przed kilkoma tygodniami, już zdążyli szczerze znienawidzić wstęp do geologii. Profesor Snyder wygłaszała wykłady suche jak skały, o których musieli się uczyć.

Lynn Snyder pisała doktorat na Penn State w tym samym czasie co Mercer. Choć niewiele różnili się wiekiem, wyglądała na starszą o piętnaście lat. Po obronie doktoratu on zaczął pracę w amerykańskim Biurze Badań Geologicznych, a później doradzał firmom prywatnym. Tymczasem Lynn od razu wróciła na uczelnię. Mercer zawsze się dziwił, czemu tylu doktorantów poświęca całe zawodowe życie na produkowanie własnych klonów, tworząc niekończący się łańcuch akademickich wykładowców. Lynn wiedziała, że większość grupy ma gdzieś geologię. Zapisali się na jej zajęcia, byle tylko zaliczyć obowiązkowe dwa semestry. Mimo to miała nadzieję, że pojawi się jakiś rodzynek, którego ta gałąź nauki zafascynuje.

Takie rodzynki zdarzały się bardzo rzadko, więc profesor Snyder wpadła na pomysł, by prezentować swoim grupom praktyczne zastosowanie geologii w formie pogadank doktora Philipa Mercera. Mercer był praktykiem. Stanowił żywy dowód, że nauka o inkluzjach magmowych i antyklinach może przynieść miliony dolarów w złocie, ropie czy innych rzadkich minerałach korporacjom wydobywczym, które nagradzają znalazców tych skarbów sutymi prowizjami. Choć wykłady Mercera nie zawierały szczególnej wiedzy, zwykle były zabawne, a studenci zawsze je chwalili w ocenach na koniec semestru.

Mercer uśmiechnął się do Lynn, kiedy go przedstawiła, i podszedł do niej do katedry.

- To co, znowu głową w mur?
- Daj im popalić. - Lynn klepnęła Mercera po ramieniu.

Mercer poprawił mikrofon i zaczął przekładać kartki z notatkami, z których nie miał zamiaru korzystać. Była to prosta sztuczka, by uspokoić publiczność i przykuć jej uwagę na kilka chwil. Setka studentów siedziała rozproszona po całej auli w budynku Fungera na Uniwersytecie im. Jerzego Waszyngtona, jednym z wielu w tym miejskim kampusie. Mercer lewą rękę włożył do kieszeni jasnoszarych spodni od garnituru. Marynarka wisiała na krześle stojącym z tyłu podium. Mimo klimatyzacji w sali było co najmniej trzydzieści

stopni. Z lubością przypomniał sobie chłód powietrza na Alasce, gdzie był zaledwie cztery dni wcześniej.

- Wiem, co sobie myślicie: Super, gościnne występy jeszcze większego nudziarza niż profesor Snyder.

Jakaś studentka odezwała się uwodzicielskim głosem:

- Nawet mi to nie przeszło przez myśl, przystojniaczku.

Niemal natychmiast rozległ się chór dziewczęcych okrzyków i śmiechu. Mercer uśmiechnął się niepewnie i poprawił krawat, by ukryć zakłopotanie.

Kiedy śmiech ucichł, zbliżył się do mikrofonu i spojrzał w stronę, skąd dobiegł pierwszy głos.

- Patrzę na ciebie i żałuję, że w szkołach już nie można dawać klapsów niegrzecznym uczniom.

Początek wykładu Mercera opóźnił się o następne kilka chwil z powodu drugiej fali okrzyków i śmiechu.

- Ilu z was jest tutaj dlatego, że do dyplomu trzeba zaliczyć rok nauk przyrodniczych? Tylko szczerze. - Na sali podniósł się las rąk. - A ilu z was naprawdę chce się uczyć geologii? - Kilka dłoni poszło nieśmiało w górę i szybko opadło. - Tych, którzy liczyli dziś na naukę, przepraszam, bo żaden ze mnie wykładowca. Szczerze mówiąc, nie rozumiem połowy rzeczy, których profesor Snyder będzie w was w tym roku uczyć. Jak wspomniała, rzeczywiście w tym samym czasie robiliśmy doktorat, ale ja wcześniej ukończyłem Szkołę Górniczą w Kolorado. Ona chciała uczyć geologii, a ja chciałem ją praktykować.

Mówił spokojnie i naturalnie, przykuwając uwagę słuchaczy. Snuł opowieści o katastrofach górniczych i cudownych skarbach wrywanych ziemi. Nie była to pogadanka naukowa, jakiej się spodziewali, ale prawdziwe historie przygodowe, których słuchało się jak bajek. Mercer opowiadał o niezwykłych początkach gorączki diamentów w południowoafrykańskim Kimberley, gdzie zdesperowani biedacy z dnia na dzień zostawali milionerami. Dowiedzieli się też o strajku Molly Maguires zorganizowanym w kopalniach odkrywkowych w Pensylwanii; dzięki niemu ustanowiono czterdziestogodzinny tydzień pracy. Opisał, jak pracuje się kilka kilometrów pod ziemią, w szybach pełnych duszącego pyłu i ciemnych tunelach, gdzie świadomość, że jest się stale pod naciskiem miliardów ton skał, doprowadza wielu do obłędu.

Mercer mówił o historii górnictwa i odkrywek, o prehistorycznych poszukiwaniach krzemienia na grotty do włóczni i o najwcześniejszych kamieniołomach, gdzie za pomocą klinów z drewna

nasączonego wodą odrywano bloki skalne, z których powstawały potem świątynie i pomniki wzdłuż Nilu. Opowiadał o starożytnych kopalniach, gdzie dzieci musiały wygrzebywać rudę z ziemi rękoma. Niektóre przeżywały nawet miesiąc, ale częściej umierały zaledwie kilka dni po zejściu do szybu. Przedstawiał postęp technologiczny - mówił o potężnym sprzęcie do grzebania w ziemi, gigantycznych maszynach, które ważyły nieraz i dwadzieścia tysięcy ton, a mimo to były zdolne poruszać się samodzielnie. Opowiadał o materiałach wybuchowych, o tym że dwieście pięćdziesiąt kilogramów dynamitu odpalonych na powierzchni może wywołać wstrząs ziemi o sile siedmiu stopni w skali Richtera. Uczniowie dowiedzieli się też o lontach Primacord, które palą się z szybkością siedmiu i pół kilometra na sekundę. Przez godzinę zabawiał studentów opowieściami i anegdotami ze świata, o którego istnieniu wielu z nich nawet nie wiedziało.

Kiedy skończył, rozległy się gromkie oklaski, najgłośniejsze z tyłu sali. Pierwsza zaczęła klaskać samotna postać w ostatnim rzędzie. Kiedy inni przestali, owa samotna postać - kobieta - klaskała nadal. Robiła to powoli, niemal szyderczo. Kłaśnięcie, przerwa, potem znów kłaśnięcie. I znów przerwa.

Wstała, spod czerwonej bandany wystawały jej pasemka włosów. Mimo niezwykłego upału w auli miała na sobie bezkształtną kurtkę zarzuconą na ciemną koszulkę. Mercer nie widział dokładnie jej twarzy. Kobieta kontynuowała drwiące oklaski, ale w jej pozie było coś przykuwającego uwagę, biły z niej opanowanie i pewność siebie. I nawet workowate ubranie nie mogło tego ukryć.

- Wszystkie te opowieści są bardzo interesujące, doktorze Mercer, nawet dość zabawne, ale pan chwali się swoimi osiągnięciami z zuchwałością godną nazistowskich naukowców, rozmawiających o wynikach swoich ludobójczych eksperymentów. Zastanawiam się, jak pan sypia w nocy.

Ten komentarz zaskoczył Mercera, ale nie z powodu słów zapomnianą języka w gębie, lecz głosu. Od razu domyślił się, że nie jest studentką; miała głos dojrzałej kobiety. Była w nim jakaś muzyka, tembr i szczególnie akcent. Mimo oskarżycielskiego tonu był to jeden z najbardziej urzekających głosów, jakie słyszał. Dopiero po dłuższej chwili zareagował.

- Przepraszam, ale o czym, do diabła, pani mówi?

- Mówię, że nie zastanawia się pan nad tym, co pan robi naszej planecie. Mówię o bezczeszczeniu czegoś, co nie należy do pana. Mówię o gwałcie na Ziemi.

No proszę, powtórka z rozrywki, pomyślał.

- Stał pan tu przez godzinę i opowiadał nam, jakie cuda daje ludzkości górnictwo, a nawet nie zająknął się pan, jaką cenę płaci za to Ziemia. Szkody, które wyrządzają tacy jak pan, są nieodwracalne. Nasz świat jest poorany bliznami po tym, co pan robi, a pan nie ma nawet najmniejszych wyrzutów sumienia. Ludzkość nie pojawiła się na tej planecie, by szabrować jej zasoby naturalne, ale by żyć z nimi w harmonii. Bezcelowe niszczenie, do jakiego pan się swobodnie przyznaje, musi się skończyć, i to natychmiast.

Mówił pan o technologicznym postępie, który uprościł górnictwo i inne branże, ale nie wspomniał pan o innych postępach. Czemu nie opowie nam pan o filtrowaniu przez cyjanek we współczesnych kopalniach złota. A może opowie nam pan o stu dwudziestu dziewięciu milionach dolarów, niezbędnych, by oczyścić teren po katastrofie w Summitville. Niech nam pan opowie o siedemdziesięciu miliardach dolarów potrzebnych, by sprzątnąć po innych ekologicznych katastrofach wywołanych przez chciwe koncerny górnicze. No proszę, niech pan mówi.

Mercer pozwolił, by jej słowa wybrzmiały do końca. Nie miał jak się bronić, bo to, co mówiła, było prawdą. W Summitville rząd federalny wydawał trzydzieści tysięcy dolarów dziennie, a był to tylko doraźny lek na największą katastrofę w amerykańskim górnictwie. Galactic Mining, firma z południowego Kolorado, za pomocą cyjanu wydobywała mikroskopijne cząsteczki złota z rudy rozłożonej na ogromnych arkuszach folii. Jedno z pośpiesznie budowanych urządzeń zaczęło przeciekać i do wód gruntowych dostał się czysty cyjanek. W wypadku nikt nie zginął, ale ziemia w okolicy miała pozostać jałowa przez wiele lat. Nie chciał też wspominać, że jej szacunki co do kosztów sprzątnięcia po innych katastrofach były znacznie zaniżone.

- Widzę, że jest pani lepiej poinformowana niż większość studentów - stwierdził Mercer.

- Nie jestem studentką. Jestem członkiem ligi PEAL. Przyszłam tu dzisiaj, bo wiedziałam, że zaprezentuje pan wyłącznie swoje stanowisko. Czułam się w obowiązku uświadomić studentom, jakich zniszczeń się pan dopuszcza.

- Jak się pani nazywa? - zapytał Mercer.

- Nic panu do tego - odparła obcesowo.

- Siedzi pani sobie anonimowo i obciąża mnie osobistą odpowiedzialnością za czyny, z którymi nie mam nic wspólnego. - Mercer roześmiał się krótko, by rozładować napięcie, jakie narosło w auli. - Wspominając o Summitville, próbuje pani postawić wszystkie firmy wydobywcze w jednym rzędzie z tą, która dopuściła się rażących

zaniedbań. Przykro mi, ale tego rodzaju emocjonalne zagrywki są nieuczciwe. Podobnie jak pani apel, byśmy żyli w harmonii z naturą. Czy natura żyje w harmonii z nami, kiedy zsyła na Karaiby huragan, który zmiata z powierzchni ziemi całe wioski? Albo kiedy dusi tysiące ludzi pod zwałami błota, kiedy Amerykę Środkową nawiedzają ulewne deszcze? Odpowiedź brzmi: nie.

Zwykle Mercer nie dawał się wciągać w tego typu spory, ale tego dnia nie mógł się powstrzymać. Przez cały kraj przetaczała się debata na temat rezerwatu na Alasce, a towarzyszyła jej taka dawka emocji, że Mercer poczuł się w obowiązku zaprezentować głos rozsądku, choćby tylko tej grupie.

- Walczymy z naturą tak, jak ona walczy z nami. Za każdy przejęty metr ziemi ona odbiera nam dwa. Spytajcie kiedyś tych, co przeżyli trzęsienie ziemi w Kobe. Przykro mi, jeśli nadal pani nie rozumie, że życie to ciągłe zmaganie. Od chwili bolesnych narodzin aż po ostatnie tchnienie walczymy o to, czego chcemy. Niektóre rzeczy przychodzą łatwo, inne trudno albo wcale, ale wciąż walczymy. Natura, której tak chętnie pani broni, zmusiła nas do takiej, a nie innej ewolucji.

Pani sposób myślenia jest tak samolubny i pełen samozadowolenia, że aż śmieszny. Miło pewnie żyć tak wygodnie, że może pani pozwolić sobie na poczucie winy z powodu tej wygody. Proszę zapytać górnik z Afryki, czy przejmuje się tym, że to, co robi, zmienia świat, w jakim przyjdzie żyć jego dzieciom. Odpowie pani, że gdyby nie pracował, nie miałby w ogóle dzieci.

Każde zwierzę swoim istnieniem wpływa na naturę, ale tylko ludzie mają z tego powodu poczucie winy. Odłączenie człowieka od natury, która go stworzyła, jest tak egoistyczne, że aż śmieszne. Ewolucja to najbardziej niezwykła z sił. Dziś jesteśmy na szczycie jej łańcucha, ale tak jak dinozaurom to miejsce nie jest nam dane na zawsze. Kiedy natura uzna, że wielki mózg *Homo sapiens* nie jest głównym warunkiem przetrwania na planecie, pozbędzie się nas. Już to przerabialiśmy. Cholera, gruźlica i dżuma niemal zmiotły nas z powierzchni ziemi. Ale przystosowaliśmy się, zmieniliśmy zachowania, przestaliśmy żyć w brudzie, który sprzyja takim chorobom. Czego uczy nas dziś epidemia AIDS? W jakim kierunku ewolucyjnym popchnie nas ten współczesny zabójca? Natura produkuje wirusy szybciej, niż potrafimy je leczyć. To bezpośrednia rywalizacja między naszymi mózgami a doborem naturalnym. Odmawiając nam prawa do używania głowy i wykorzystywania zasobów, po które jesteśmy w stanie sięgnąć, próbuje pani powstrzymać naturalny rozwój

naszego gatunku. Oskarża mnie też pani, że robię coś wbrew woli natury. Radzę dobrze przyjrzeć się ewolucji i odpowiedzieć potem, kto jest bardziej w zgodzie z naturą: ten, kto współdziała z naturalną ewolucją, czy ktoś, kto nie chce przyjąć do wiadomości, że siły ewolucji istnieją? Sądzi pani, że chmara szarańczy przejmując się zniszczeniami, jakie zostawia na swojej drodze? Dlaczego ludzie, najinteligentniejszy z kiedykolwiek istniejących gatunków, próbują podważać to, co jest naturalne dla każdej innej istoty na Ziemi?

- Więc pana zdaniem jesteśmy zaledwie chmarą insektów?

- Dla Ziemi i w skali geologicznej, w której Ziemia istnieje, owszem, właśnie tym jesteśmy. Mówię o czasie liczonym w miliardach lat, pani zaś ogranicza się do okresu swojego nic nieznaczącego życia. Dla planety człowiek jest tylko jedną z wielu dominujących istot i pewnego dnia zostanie przez naturę obalony. - Mercer przerwał i zmienił ton. - Nie przeczę, że człowiek ponosi odpowiedzialność za zarządzanie zasobami natury, powinien je chronić dla przyszłości, ale to nie znaczy, że musimy całkowicie przestać ich używać, a podejrzewam, że taki właśnie cel ma pani organizacja. PEAL i inne ruchy ekologiczne widzą wszędzie tylko dwa bieguny, czern i biel, zło i dobro, rabunek albo ochronę. Ale jest jeszcze coś pośrodku, ta cienka linia, którą zwiemy kompromisem. I pani, i mnie może się to nie podobać, ale właśnie tak jest.

Najbardziej kontrowersyjny kompromis w historii ekologii rozgrywa się właśnie na północy Alaski. Za cenę kilkudziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi Stany Zjednoczone mogą uwolnić się od smogu, który dusi nasze miasta od pokoleń, i uniezależnić na zawsze od paliw kopalnych. Czy to wysoka cena? Oczywiście. Byłem w tym rezerwacie. To jedno z najbardziej spektakularnych miejsc na Ziemi. Ale jeśli wydobywanie ropy na tym terenie oznacza, że przyszłe pokolenia nie będą musiały zmagać się z kwaśnymi deszczami, wysokimi stężeniami tlenu węgla albo ziejącymi dziurami w warstwie ozonowej, to myślę, że warto tę cenę zapłacić.

Przykro mi, jeśli to się pani nie podoba. Też wolałbym, żeby rezerwat zostawiono w spokoju, ale taka już jest natura kompromisu. Za jakiś czas, kiedy nie będzie pani już tak pewna swojej racji, zrozumie pani, o co mi chodzi.

Mercer oderwał wzrok od kobiety i rozejrzał się wśród zasłuchanych studentów. Porwała ich ta wymiana zdań. Uśmiechnął się do siebie, nieco zakłopotany przydługim monologiem.

- Panie i panowie, dziękuję za wasz czas i uwagę. Zanim się rozejdziecie, doktor Snyder ma dla was poprawki do listy lektur.

Kiedy Mercer zbierał niepotrzebne notatki, rozległy się szczerze i entuzjastyczne oklaski. Nim odwrócił się od katedry, znów napotkał wzrok młodej kobiety. Posłała mu kwaśny uśmiech, jakby chciała powiedzieć: jeden zero dla ciebie, ale to nie koniec walki.

Międzynarodowe lotnisko w Los Angeles

Howard Small wysiadł z boeinga pełen nadziei. Ostatni raz czuł się tak w liceum. Przed powrotem do domu spędził na Alasce jeszcze cztery dni z kuzynem, a za tydzień miał wrócić na miejsce próbnego odwiertu. Musiał wpaść na krótko do Los Angeles z powodu wcześniejszych zobowiązań, których nie mógł odwołać. Choć nie był imponującej budowy - miał ledwie metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, dość chude ciało i przedwczesnie łysiejącą głowę - tłumy na lotnisku zdawały się przed nim rozstępować. W teczce, którą nonszalancko wymachiwał, miał ostateczne dane o testowanej minitarczy. Informacje dotyczyły technologicznego przełomu i można było na nich sporo zarobić. Kiedy Howard i jego zespół z uniwersytetu złożył wreszcie patenty, staną się bogaci. Idąc zatłoczonym korytarzem, uśmiechnął się pod nosem.

Szampańskiego humoru nie zburzyło mu nawet uciążliwe oczekiwanie na bagaż. Nie zważał na to, że popychają go liczni pasażerowie, przekonani, że jeśli szybciej zabiorą walizki, to uda im się szybciej opuścić lotnisko.

Z walizką pod jedną pachą, teczką w drugiej ręce, ciągnąc jeszcze jedną walizkę na kółkach niczym niesfornego psa, Howard skręcił w stronę wyjścia z terminalu, za którym trwała południowo-kalifornijska noc. Gdyby ubrany w uniform kierowca limuzyny nie zakaszał, Howard zupełnie by go nie zauważył, choć szofer trzymał w ręku kartkę z jego nazwiskiem. Niepewnie podszedł do smagłoliczego kierowcy.

- Profesor Small to ja - przedstawił się.
- Och, świetnie, sir - odparł kierowca. - Pomogę panu z bagażami
- Chwileczkę. - Howard nie chciał wypuścić z ręki bagaży. - Nie zamawiałem samochodu. Na pewno czeka pan na mnie?
- Kazano mi odebrać doktora Howarda Smalla, który przylatuje z Anchorage na Alasce. - Kierowca mówił tak, jakby długo nie było go w kraju.

- Wiesz, od kogo masz to zlecenie?

- Nie, sir.

Howard zaśmiał się pod nosem i odezwał się bardziej do siebie niż do małomównego kierowcy. Zamiast się martwić, wpadł w zachwyt.

- To pewnie chłopaki z laboratorium zaczęli już szaleć na konto przyszłych udziałów w zyskach.

Oddał kierowcy dwie duże walizki i poszedł za nim w noc. W świetle lamp na podjeździe przed lotniskiem czarna limuzyna pośród poobijanych taksówek błyszczała jak pantera. Kierowca zdalnie odblokował zamki, otworzył Howardowi tylne drzwi i wrzucił walizki do bagażnika. Luksusowy pojazd ruszył gładko, nim Howard zdążył się wygodnie usadowić w luksusowym wnętrzu. W środku pachniało środkiem do czyszczenia dywanów i sprejem do mycia samochodowego wyposażenia.

- Ma pan mój adres w Glendora? - zapytał Howard przez interkom. Ścianka oddzielająca go od kierowcy była podniesiona i Howard nie bardzo wiedział, jak ją opuścić.

- Tak, proszę pana - odpowiedział natychmiast szofer i interkom ucichł.

Ponieważ konwersacja z Arabem nie wchodziła w grę, Howard zastanawiał się, czy nie poczęstować się drinkiem z minibaru, ale przypomniał sobie, że przez ostatni tydzień z Mercerem wypił więcej niż przez całe dotychczasowe życie. Uznał, że rozsądniej będzie dać ciału trochę odpocząć. Znowu parsknął śmiechem. W ciągu siedmiu dni sześć razy miał kaca, tymczasem po Mercerze ani razu nie było widać skutków alkoholu, który wspólnie pili. Facet miał głowę twardszą niż skały, w których drążył.

Jazda do cichej dzielnicy mieszkaniowej na północ od Los Angeles, gdzie Howard miał skromny bungalow, zajęła ponad godzinę. Wpatrując się w światła mijanych samochodów i słuchając szumu opon limuzyny, przerywanego czasem głosem kierowcy mruczącym do dyspozytora, Howard w końcu usnął i obudził się dopiero wtedy, kiedy samochód wjechał na jego osiedle.

Mieszkał w trzecim od końca domu przy ślepej uliczce, która dochodziła do jednego z coraz radszych w okolicy Los Angeles zagajników. Było trochę po dziesiątej, ale na ulicy panowały cisza i ciemność. Świeciły jedynie latarnie, a tu i ówdzie lampki na werandach. Limuzyna bezbłędnie zatrzymała się pod żółto-czerwonym parterowym domkiem Howarda Smalla. Powinien się zaniepokoić, że kierowca tak dobrze zna okolicę, ale jakoś mu to umknęło.

Wysiadł z wozu i rozejrzał się, licząc na to, że jakiś sąsiad zobaczy go, jak wysiada z limuzyny, ale nawet pani Potter, która chyba stale spacerowała ze swoim jamnikiem, szykowała się już pewnie do snu. Kierowca też obrzucił wzrokiem ulicę, taksując teren fachowo, niczym żołnierz. Wyjął walizki z bagażnika i ruszył za Howardem podjazdem, mijając dziesięcioletnią hondę naukowca. Przy drzwiach Howard włożył klucz do zamka, a z kieszeni spodni wyjął dziesięciodolarówkę na napiwek. Przekręcił klucz i już miał wziąć od kierowcy walizki, kiedy ten napał na niego ramieniem i wepchnął go z całej siły do domu.

Howard upadł bez tchu na podłogę pokrytą dywanem. Leżał oszołomiony, tymczasem kierowca rzucił walizki przy wejściu i zatrzasnął drzwi biodrem. W rękę miał już automatyczny pistolet z tłumikiem, który niemal ginał w jego wielkiej pięści. Nim Howard zdążył zareagować, w salonie rozbłysło światło i zobaczył jeszcze trzech mężczyzn - dwóch Arabów i jednego białego z krótko ostrzyżonymi srebrnymi włosami oraz bladoniebieskimi oczyma. Arabowie stali, zaś biały mężczyzna siedział w miękkim fotelu, kołysząc w dłoni prawie pusty kieliszek. Wystarczyło rzucić na nich okiem, by wiedzieć, że ten, który siedzi, jest szefem i najgroźniejszym człowiekiem, jakiego Howard spotkał w życiu.

Miał rację w obu kwestiach.

Iwan Kerikow odstawił drinka na stolik do kawy, starannie celując kieliszkiem w krąg wilgoci widoczny na czystym blacie.

- Nikt nie widział, jak podjechałeś? - odezwał się niskim i złowieszczym głosem z szorstkim gardłowym akcentem z ojczyściej Rosji.

- Nikt nie widział, jak wchodziliśmy - odparł kierowca, przechodząc przez pokój, by stanąć obok jednego z Arabów. Obaj wyglądali na wielkich i groźnych typów o płaskich, beznamiętnych twarzach ochroniarzy.

Trzeci Arab był o kilka lat młodszy - miał nieco ponad trzydziestkę - i w okrutny sposób przystojny: gęste włosy i szczupłe, zwinne ciało jak u skorpiona. Najbardziej zwracały uwagę jego oczy. Były małe i ciemne, buzował w nich wewnętrzny ogień, który w każdej chwili groził wybuchem.

- Mówiłem ci, Kerikow, że złapię go bez trudu - odezwał się młody Arab, szukając potwierdzenia u dwóch osiłków.

- Zamknij się - warknął Kerikow.

Przesłuchanie Smalla w jego domu niosło ze sobą ryzyko, ale Kerikow nie mógł go uniknąć. Do wczoraj nie miał pojęcia o istnieniu Howarda Smalla i nie było czasu, żeby porwać go na Alasce.

Nie miał też czasu, żeby znaleźć jakieś ustronniejsze lokum w Los Angeles. Mimo to torturowanie człowieka w miejscu, gdzie czuł się najbezpieczniej, a zwłaszcza we własnym domu, miało swoje psychologiczne korzyści. Small leżał na podłodze, dygocząc jak dziecko. Dolna warga drżała mu tak bardzo, że musiał ją przygryźć. Oczy stały się wielkie i pełne strachu.

- Nie wiem, czego ode mnie chcecie - zdołał w końcu wyjąkać. - Ale proszę, nie róbcie mi krzywdy.

Wzrok Kerikowa pozostał nieruchomy. Iluż to ludzi błagało go już o życie, zaczął się zastanawiać. Setka na pewno. A może i dwustu. Nigdy nie przychodziło mu to ani łatwiej, ani trudniej. W jego życiu tortury i przesłuchiwanie były po prostu pracą, równie niezbędną i opanowaną jak przygotowanie się do mowy sądowej u prawnika.

Minęło kilka długich sekund. Howard wbił wzrok w Rosjanina, który wstał z fotela.

- Nie chcę, żeby nasze spotkanie stało się bardziej nieprzyjemne niż to konieczne, profesorze Small. - W głosie Kerikowa nie było śladu współczucia. - Ale musi pan zrozumieć powagę moich zamiarów.

Na ten znak młodszy Arab, który posługiwał się pseudonimem Abu Alam, czyli Ojciec Bólu, wyszedł na chwilę z salonu i wrócił z wielkim płóciennym workiem, w którym coś nerwowo się szarpało. Howard wyraźnie usłyszał dobiegający z wnętrza worka wrzask swojego kota, Sneakera. Dwaj ochroniarze podnieśli Howarda z podłogi i zaciągnęli go do kuchni, gdzie Abu Alam stał z workiem nad zlewem. Sięgnął dłonią i włączył młynek do odpadów.

- O Boże, nie, proszę. Zrobię wszystko, co każecie. Proszę, nie róbcie tego! - krzyczał Howard.

Alam nie zwracał na niego uwagi. Włożył rękę do worka i wyjął z niego kota w trzech kolorach z czterema białymi łapami. Przednie i tylne kończyny miał zlepione taśmą tak mocno, że nie mógł się bronić, a jedynie szarpać.

Iwan Kerikow wciąż siedział w salonie i bez emocji słuchał, jak mechaniczne zęby młynka odzierały przednie łapy zwierzęcia ze skóry, a potem meły jego kości na drzazgi. Choć kot niemal od razu zdechł pod wpływem szoku, Abu Alam nadal wsuwał jego zwłoki do młynka. Silnik zaczął się lekko zacinać, przeżuając grubsze kości i tkanki, ale w końcu całe zwierzę zostało przerobione na miazgę. Howard Small szarpał się w rękach dwóch ochroniarzy i pewnie krzyczałby ile sił w płucach, gdyby go wcześniej nie zakneblowano.

Słuchając obrzydliwych dźwięków z kuchni, Kerikow doszedł do wniosku, że jest już za stary na takie przesłuchania. Powinien

siedzieć na emeryturze, gdzieś w dacy w uroczym brzoźowym zagajniku nad rzeką Moskwą, z gabinetem pełnym dyplomów i garstką medali. Powinno mu już szumieć w głowie od szkockiej i powinien pieprzyć jakąś chętną blondynkę, którą państwo podarowałoby mu w podziękę za długoletnią służbę w KGB. Gdyby Rosja nie dała się ponieść fali chciwości, korupcji i nie sprzedała się za świecidełka zachodniego stylu życia, Kerikow nie siedziałby teraz w tej norze w Los Angeles, próbując wydębić informacje od człowieka, na którego nawet nie warto splunąć.

Kerikow odsłużył trzydzieści lat w KGB, bezwzględnie pnać się po szczeblach hierarchii. Kiedy Związek Radziecki zaczął się rozpadać, co od dawna przewidywał, był kierownikiem jednej z najtajniejszych organizacji i dysponował mnóstwem informacji, które w zbliżającym się nowym porządku świata miały mu przynieść fortunę. W przeciwieństwie do innych z najwyższych szeregów KGB, Kerikow nie zamierzał dać się pogrzebać pod gruzami upadającego rosyjskiego imperium.

Kiedy Związek Radziecki w końcu się rozpadł, Kerikow kierował Departamentem 7, czyli działem operacji naukowych - tą częścią państwowej służby bezpieczeństwa, która planowała i wykonywała najsmielsze rosyjskie operacje. W szczycie zimnej wojny Departament 7 miał budżet porównywalny z państwowym programem kosmicznym i mógł się pochwalić naukowcami znacznie większego kalibru. Jego operacje, uruchamiane w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, miały zaowocować dopiero wiele dekad później. Ale kiedy Kerikow przejął ten dział pod koniec lat osiemdziesiątych, prawie cały Departament 7 rozwiązano z powodu ograniczeń finansowych. Rosja nie mogła sobie już pozwolić na planowanie operacji z wyprzedzeniem kilku dekad, skoro rząd nie wiedział, czy będzie jeszcze istniał za miesiąc.

Przeczuwając rychły koniec, Kerikow zdołał podtrzymać kilka operacji, które można było prowadzić nie tylko z centrali w Rosji. Kiedy musiał uciec z kraju i rozpocząć nowe życie, przesmuglował część planów i przygotował się, by oddać je komuś innemu. Nie za darmo.

Tuż po ucieczce z Rosji omal nie sprzedał jednej z operacji Departamentu 7 o nazwie „Kuznia Wulkana”. Chciała ją kupić grupa Koreańczyków za sto milionów dolarów. Gdyby nie wmieszał się w to pewien amerykański inżynier od górnictwa i nie zdradził go zaufany agent, Kerikow nie musiałby się teraz wysilać, by przeprowadzić kolejną operację KGB rodem z zimnej wojny.

„Przystań Charona”. Plan wymyślono w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy stosunki na świecie były skrajnie napięte i sowiecki rząd wierzył, że jest w stanie wygrać wyścig zbrojeń ze Stanami Zjednoczonymi. Operacja miała być gambitem wywołującym wojnę i na krótką metę ograniczającym ekonomiczny potencjał Ameryki. Sprzęt niezbędny do jej przeprowadzenia Departament 7 mógł zainstalować dopiero za dziesięć lat. Ale w tym czasie świat się zmienił i stosunki między dwoma mocarstwami się ociepliły. Mimo to Kerikow nie próżnował i zbudował fundamenty pod „Przystań Charona”, wbrew wyraźnym rozkazom Michaiła Gorbaczowa. Nikt w radzieckich władzach o tym nie wiedział, więc po ucieczce Kerikowa nie zorientowano się, że wykradł projekt.

Po fiasku „Kuzni Wulkanu” Kerikow musiał odczekać rok, aż pojawią się odpowiednie warunki, by mógł spróbować sprzedać kolejną operację. Poroniony pomysł amerykańskiego prezydenta z nową polityką energetyczną ogromnie ułatwił mu poszukiwania nabywcy. Kiedy tylko ogłosił przetarg, mógł przebierać w oferentach. Słuchając, jak Abu Alam z radością przerabia kota Howarda Smalla na papkę, Kerikow zaczął się zastanawiać, czy dokonał właściwego wyboru. W swoim życiu pracował z różnymi wariatami. Po wojnie w Afganistanie większość jego ekipy śledczych z KGB nie potrafiła funkcjonować w cywilizowanym społeczeństwie i trzeba ich było raczej zabić, niż zdemobilizować. Ale żaden nie mógł się równać z Abu Alame. Ten człowiek rzeczywiście zasłużył na swój pseudonim, a przecież Kerikow znał go od niedawna. Alam był prawą ręką Hasaana bin-Ruftiego, ministra ds. ropy w emiracie Adżmanu. To właśnie on zebrał pieniądze niezbędne do wdrożenia „Przystani Charona”. Rufti miał zapłacić Kerikowowi pięćdziesiąt milionów dolarów za pomyślne zakończenie operacji. Jednym z elementów umowy Ruftiego z Kerikowem była obecność Alama przy końcowych etapach. Miał być gwarantem potężnej finansowej inwestycji ministra.

Kerikow sprzedał Ruftiemu „Przystań Charona” prawie rok temu, lecz Alam dołączył do niego zaledwie przed miesiącem. Jednak jego szaleństwo już zaczynało grać na nerwach Rosjaninowi. Przesłuchiwanego często trzeba zmiękczyć przed pytaniami, ale na pomysł z kotem wpadł Alam. Kiedy młynek w końcu ucichł, Kerikow wiedział, że Alam bawił się doskonale. Chwilę później załamanego Howarda Smalla wniesiono z powrotem do salonu i rzucono do stóp Kerikowowi. Abu Alam wycierał poplamione krwią ręce w ścierkę. Ciemne plamy miał też rozmazane na czarnej skórzanej kurtce.

- Profesorze Small, mam do pana tylko jedno pytanie. Odpowiedź na nie oszczędzi panu mnóstwa bólu. Jeśli pan nam odpowie, nie będzie to dla pana nic kosztowało, za to nie będzie pan musiał znosić niewyobrażalnego cierpienia. - Kerikow mówił powoli i wyraźnie, wiedząc, że przesłuchiwany jest w stanie szoku. - Chcę się dowiedzieć, kto był z panem i pańskimi krewnymi na pokładzie „Morskiego Tancerza” na początku tygodnia, kiedy odkryliście spalony kadłub „Jenny IV”.

Od kiedy wepchnięto go do domu, Howard zakładał, że padł ofiarą szpiegów przemysłowych zainteresowanych szczegółami jego minitarczy wiertniczej. W życiu nie przyszłoby mu do głowy, że może im chodzić o tak błahą informację. Kilka sekund zajęło mu opanowanie zdumienia, lecz w tym czasie Abu Alam przeszedł przez pokój i z całej siły kopnął go w żołądek. Naukowiec zawył w knebel, kiedy ból przeszył jego całe ciało i zwinął się na podłodze.

- Odpowiadaj. - Alam zerwał mu knebel i przewrócił Smalla na plecy kolejnym zamaszystym kopniakiem.

- Alam, dość - warknął Kerikow. Nie poczuł bynajmniej litości dla Amerykanina, ale kopanie pokonanego tylko przedłużało przesłuchanie. Poza tym Kerikow wciąż miał w głowie nieudane przesłuchanie dwóch krewnych Howarda na Alasce.

W Anchorage przypadkiem trafił na artykuł w gazecie opisujący odkrycie „Jenny IV”, której był armatorem. Tekst liczył zaledwie dwa akapity, ale padła w nim nazwa łodzi, która dotarła do spalonego kadłuba. Kerikow wyszedł właściciela „Morskiego Tancerza” i wysłał do niego swoich dwóch osobistych ochroniarzy, byłych pracowników tajnej enerdowskiej policji. Jerry Small i jego nastoletni syn zmarli w czasie przesłuchania. Zdążyli wyjawić imię Howarda, ale nie podali nazwiska czwartego uczestnika wędkarskiej wyprawy. Niemcy upozorowali przypadkową śmierć obu ofiar, ale przez ich pomyłkę Kerikow musiał polecieć do Kalifornii. Miał dopilnować, żeby ten ostateczny trop nie okazał się - nomen omen - martwy. Stawka była zbyt wysoka. Wiedział, że ktoś wszedł na pokład „Jenny IV” i może widział jej ładunek, a to zbyt duże ryzyko. Odkrycie tej łodzi mogło narazić na szwank całą operację.

Jeśli chodzi o minimalizację strat, Kerikow był mistrzem, bo ta wymagała zdecydowanej bezwzględności i umiejętności przewidywania nawet najodleglejszych konsekwencji. Właśnie dlatego siedział w tym bungalowie, osobiście wszystkiego doglądając i pilnując, by strata „Jenny IV” nie miała dalszych reperkusji. Kerikow wyjął spod poły marynarki pistolet z tłumikiem i wymierzył lufę w prawe kolano Howarda.

- Pierwsza kula odstrzelił panu nogę w kolanie, profesorze. Jeśli i wtedy mi pan nie odpowie, przekażę pana w ręce moich bardziej kreatywnych współpracowników.

- Philip Mercer - wyszłochał Howard. - To on był z nami na łodzi. Jest inżynierem górnictwa.

To nazwisko wstrząsnęło Kerikowem. Wrócił myślami do Grecji, gdzie ukrywał się od porażki „Kuźni Wulkanu”. Zobaczył samego siebie w ulubionej kafejce, z filiżanką mocnej kawy, jak strąca okruchy croissanta z porannej gazety. „Amerykanie odkryli nowe wulkaniczne wyspy na pacyfiku”. Czytając to, omal nie zerwał się z krzesła. Wulkan, który odkryli, stworzył Departament 7 w 1954 roku, posługując się wybuchem jądrowym. To był jego wulkan, to dzięki niemu miał się wzbogacić.

Przeczytał szybko artykuł, szukając nazwisk, których się spodziewał. Walery Borodin, syn człowieka, który rozpoczął ten projekt. Borodin był jednym z tych, którzy zdradzili Kerikowa na kilka tygodni przed ostatecznym fiaskiem operacji. Tish Talbot, amerykańska kochanka Borodina, przeżyła jako jedyna pasażerka statku, który podpłynął za blisko wulkanu, nim był on gotów do odkrycia przez partnerów Kerikowa. Z artykułu wynikało, że miała pracować ze swoim przyszłym mężem nad minerałem o nazwie bikińium, który wulkan wydobyl z wnętrza Ziemi.

Było tam również nazwisko wspomniane tylko pobieżnie, tak że Kerikow omal go nie przegapił. Tekst oparty na depeszach z agencji prasowych mówił, że wulkan został w istocie odkryty przez amerykańskiego inżyniera górnictwa, Philipa Mercera. Kerikow wcześniej nigdy nie słyszał o Mercerze, ale wiedział z całą pewnością, że to właśnie on pokrzyżował mu plany. To właśnie Mercer udaremnił szansę Kerikowa na sprzedaż wulkanu z jego niewyobrażalnym bogactwem i na anonimową emeryturę.

Kerikow zastanawiał się, czy nie kazać zabić Philipa Mercera. Wciąż miał dość kontaktów, by bez trudu zorganizować takie proste zabójstwo. Jednak ostrożność kazała mu powstrzymać się od egzekucji. Śmierć Amerykanina z pewnością znów wzbudziłaby międzynarodowe zainteresowanie nienaturalnymi narodzinami wulkanu i zagroziłaby samemu Kerikowowi.

Nie zdając sobie z tego do końca sprawy, Kerikow wystrzelił. Kula wycięła elegancką dziurę między przerażonymi oczyma Howarda, rozpadła się w jego czaszce, ale nie zostawiła rany wylotowej.

- Posprzątać dom - rozkazał. - Pozbądźcie się ciała, żeby go nigdy nie znaleziono.

- Znasz tego człowieka, o którym mówił? - zapytał Alam, kiedy jego ludzie pakowali zwłoki Howarda do specjalnego worka, który ze sobą przywieźli.

- O tak, znam go.

Philip Mercer widział „Jenny IV” i wszedł na jej pokład. Pewnie teraz głowił się nad rozwiązaniem tajemnicy łodzi. Kerikow raz darował życie Mercerowi, ale nie miał zamiaru robić tego ponownie. Spojrzał na zegarek, przeliczył różnicę czasu i wybrał numer w komórce, którą zawsze miał przy sobie.

Choć darował Mercerowi życie, doskonale wiedział, gdzie mieszka, gdzie spędza czas, a nawet znał jego ulubione restauracje i bary. Na wszelki wypadek zamówił w jednej z agencji detektywistycznych comiesięczne raporty na temat ruchów Mercera, oczekując na chwilę, kiedy zemści się na nim za „Kuźnię Wulkana”. Kerikow przez całe życie walczył w cieniu i nadszedł czas, żeby znów z tego cienia uderzyć.

Telefon odebrano po czwartym dzwonku, a w słuchawce ktoś odezwał się wytwornie:

- Halo?

- Mamy problem.

Arlington, stan Wirginia

Nieco po siódmej następnego ranka Mercer włożył szorty koloru khaki i wziął z progu egzemplarz „Washington Post”. O tej porze w niedzielę na ulicy panowała cisza. Trwała pełnia słynnego waszyngtońskiego babiego lata, w powietrzu czuć było coraz większą wilgoć. Na owłosionej piersi poczuł pot i wrócił do swojej ceglanej kamienicy.

W przeciwieństwie do innych budynków na tej ulicy, w których mieszkało od trzech do sześciu rodzin w przestronnych mieszkaniach, Mercer w swoim domu był jedynym lokatorem i solidnie przerobił wnętrze, by poczuć się w kamienicy jak u siebie. Jedna trzecia domu od frontu stanowiła trzykondygnacyjne atrium, na które wychodziła biblioteka z dębowymi półkami na pierwszym piętrze oraz główna sypialnia na drugim. Na górę można było wejść starymi spiralnymi schodami. Mercer ocalił je z jakiejś plebanii tuż przed wyburzeniem. Kosztowały niemal tyle, co luksusowy samochód.

Omiótł wzrokiem tytuły, idąc schodami na piętro. Uśmiechnął się do siebie, mijając bibliotekę. Choć mieszkał tu już od ponad

pięciu lat, dopiero niedawno rozpakował ogromną kolekcję książek. Ich grzbiety wyglądały jak kolorowe ptaki, które poprzysiadaly na drewnianych półkach. Skórzany fotel do czytania kusił go przez chwilę, ale Mercer poszedł dalej, do pomieszczenia, które nazywał barem.

Prawie w każdym domu znajduje się pokój rodzinny. Mercer zaś miał bar z sześcioma stołkami przy mahoniowym kontuarze, z mosiężną podpórką na stopy. Na wieszakach wisiły kieliszki, a wykwinicie rzeźbione półki zaopatrzone były lepiej niż w niejednym lokalu w śródmieściu. Pomieszczenie urządzono niczym prawdziwy angielski klub dla dżentelmenów - na podłodze leżał ciemnozielony dywan, na nim stały miękkie skórzane kanapy, a gipsowe ściany były obłożone boazerią z orzechowego drewna. Ponieważ okna w barze wychodziły na wąski zaułek między kamienicą a sąsiednim domem, zawsze panował tam lekko mroczny, intymny nastrój.

Mercer rzucił gazetę na blat i wszedł za bar, by włączyć regulowane światła. Automatyczny ekspres zaparzył mu gorącą miksturę, tak gorzką, że po pierwszym łyku aż się skrzywił. Doskonała.

Do wieży stereo przy starej lodówce zamykanej na rygiel wsunął płytę CD z muzyką instrumentalną i usiadł, by wchłonąć dzienną porcję katastrof, skandali i afer korupcyjnych opisywanych w gazecie. W dziale miejskim wiadomości o morderstwach w Waszyngtonie czytało się niczym wyniki meczu. Gliniarze z dealerami wygrywają pięć do zera.

Lektura „Washington Post” zajęła mu godzinę. Wyciął krzyżówkę dla swojego przyjaciela Harry'ego, po czym złożył gazetę, zostawił ją na skraju baru i tylnymi schodami zszedł na parter. W rzadko używanej kuchni wrzucił do tosterka dwie mrożone kromki, po czym udał się do gabinetu.

Urządzony był podobnie jak bar - drewno, mosiądz i skóra. Pośrodku dominowało ogromne biurko. Komputer i towarzyszące mu gadżety zajmowały jedną trzecią blatu i pół kredensu w tym samym stylu. Przy wejściu Mercer musnął dłonią płaski kawałek kimberlitu. Ten niebieskawy minerał leżący na stoliku to naturalny magnetyt, który występuje we wszystkich kopalniach diamentów na świecie. Był pamiątką po jednej z wypraw do kopalni w Afryce Południowej i jego osobistym talizmanem.

Pokręcony kawałek metalu przywieziony z Alaski leżał zamknięty w górnej szufladzie biurka. Wyjął go i wrócił do kuchni. Toster spalił pieczywo na węgiel, więc wyrzucił je do kosza i wrócił do baru. Nie był zresztą aż tak głodny.

Wyjął zza kontuaru trzydziestocentymetrowy fragment szyny kolejowej oraz pudełko po butach pełne puszek z pastami do polerowania metalu, szmatek i innych przyrządów do czyszczenia. Zaczął czyścić szynę szmatką ze stalowej wełny nasączoną pastą polerską i uważnie przyglądał się kawałkowi metalu z Alaski. Powtarzane ruchy polerskie od lat służyły mu jako sposób na koncentrację, a jeśli wziąć pod uwagę tempo polerowania, czekało go jeszcze ładnych parę kilometrów szyny, nim odgadnie, co to za kawałek metalu.

Przedmiot miał dwadzieścia pięć centymetrów długości, dziesięć szerokości i był wykonany z nierdzewnej stali. Wszystkie krawędzie były poszarpane od wybuchu, który zniszczył „Jenny IV”. Słowo „Roger” wypisane czarnym tuszem było jedynym znakiem szczególnym.

Przed wyjazdem z Alaski Mercer wziął od Straży Wybrzeża listę członków załogi tej łodzi. Wśród ludzi związanych z „Jenny IV” nie było nikogo o imieniu ani nazwisku Roger. A może te litery nie składają się na nazwę własną, głowił się. Jednak nie przychodziło mu na myśl, co innego mogło się pod nimi kryć.

- No dalej, Rog - zwrócił się Mercer do kawałka metalu. - Coś ty za jeden, do cholery, i co robiłeś na łodzi rybackiej z podpisanym bagażem ze stali?

Mercer przez całe życie rozwiązywał zagadki. Jego specjalnością było zbieranie podpowiedzi, gdzie ziemia kryje swoje mineralne bogactwa, interpretowanie danych i w końcu wskazywanie miejsca ze słowami: Tu kopcie. Żył dzięki wyzwaniom wartym miliony dolarów, a od jego słów zależał pewnie los setek ludzi, ale musiał w końcu przyznać, że zagadka kawałka stali go przerasta.

Z rozmyślań wyrwał go przenikliwy dzwonek telefonu. Spojrzał na zegarek i sięgnął po przenośną słuchawkę, która leżała na ładowarce w kącie baru. Za kwadrans dziesiąta. Albo Tiny dzwoni, żeby mu powiedzieć, że właśnie dostał „Daily Racing Form” i żeby przyszedł do baru, albo Harry White chce przypomnieć o krzyżówce.

Ale w słuchawce odezwał się ktoś zupełnie inny.

- Doktor Philip Mercer?

- Tak - odparł ostrożnie. - Tak, a kto mówi?

- Przepraszam, że niepokoję pana tak wcześnie w niedzielę, sir. Nazywam się Dan MacLaughlin. Jestem szeryfem policji w Homer na Alasce. - Mówił niskim i szorstkim głosem, w którym pobrzmiwało zmęczenie.

- Chryste, przecież u was jeszcze nie ma piątej rano.

- Obawiam się, że dla mnie to raczej koniec gównianej nocy, a nie początek dobrego dnia. Czy znał pan Jerry'ego Smalla i jego syna Johna? Pływali na łodzi o nazwie „Morski Tancerz”.

Czas przeszły użyty przez MacLaughlina nie uszedł uwagi Mercera.

- Wie pan, szeryfie, że tak, inaczej by pan do mnie nie dzwonił. Jak zmarli?

- Przepraszam za to pytanie. Jestem cholernie zmęczony i w nerwach. Znałem Jerry'ego, od kiedy się tu sprowadził.

- Też przepraszam, szeryfie. Nie chciałem być opryskliwy. Co się stało? Wypadek na łodzi?

- Dziś nad ranem znalazł ich sąsiad, który wracał z nocnej zmiany w przetwórni ryb. Zdaje się, że Jerry i John wypili w domu parę głębszych i zachciało im się pojechać na kilka następnych. Obaj zmarli w furgonetce Jerry'ego. Samochód stał w garażu. Drzwi były zamknięte, a silnik pracował. To właśnie warkot silnika zainteresował sąsiada. Jak się pan domyśla, podusili się od spalin.

- Jezu - szepnął Mercer.

- Dzwonię dlatego, że z wpisu w dokumentach Straży Wybrzeża wynika, że był pan na łodzi, kiedy Jerry znalazł „Jenny IV”. A więc jako jedna z ostatnich osób widział ich pan żywych. Wygląda na to, że ojciec z synem się poprzytkali. Na całym ciele mieli siniaki. Jerry miał podbite oczy, a John dość szpetnie poobijaną twarz. Jak mówiłem, znałem Jerry'ego dość długo i wydawało mi się, że dogadują się z Johnem lepiej niż niejeden rodzic z dzieckiem, więc bijatyka jakoś mi do nich nie pasuje. Ciekaw jestem, czy kiedy był pan z nimi na łodzi, zauważył pan jakieś problemy. Klócili się, bili czy coś w tym stylu?

- Nie. Wszystko między nimi chyba grało. Kiedy znaleźliśmy ten spalony kadłub, każdy z nas się przejął, ale się nie klócili. - Mercer był wstrząśnięty tym, że Jerry i John wdali się w bójkę. Nigdy by ich nie podejrzewał o takie rodzinne kłótnie. Ale znał ich dość krótko. - Przykro mi, ale chyba nie będę w stanie pomóc. Wyjechałem z Homer tego samego dnia, kiedy znaleźliśmy „Jenny IV”. Może niech pan zadzwoni do kuzyna Jerry'ego, doktora z UCLA. On został u Jerry'ego jeszcze na kilka dni.

- Taki mam zamiar, czekam tylko na bardziej przyzwoitą godzinę. Na naszym wybrzeżu jest jeszcze ciemna noc - MacLaughlin zamilkł. Można było odnieść wrażenie, że chce porozmawiać, wyrzucić z siebie przecucia na temat śmierci przyjaciela, ale nic nie mówił. - Nie będę pana zatrzymywał, doktorze Mercer. Dziękuję za to, że poświęcił mi pan czas.

- Nie ma za co, szeryfie. Przykro mi z powodu Jerry'ego i Johna. - Mercer się rozłączył i wypuścił długi oddech. Zanotował w pamięci, żeby zadzwonić później do Harry'ego Smalla z kondolencjami. Patrzył przez chwilę przed siebie, wspominając Jerry'ego i jego syna, wspólną wyprawę na ryby i odkrycie dziwnego wraku. Polubił ich obu. Uczciwi ludzie pracujący ciężko i z poświęceniem. Ich śmierć była ogromną stratą.

Mercer popatrzył na kawałek metalu, który trzymał w rękach. Zastanawiał się, czy istnieje jakiś związek między śmiercią Jerry'ego i Johna a stalowym fragmentem, ale szybko odrzucił taką możliwość. Już dawno temu nauczył się, że przypadek bywa kapryśnym zwierzęciem. Wiedział, że nie będzie już w stanie się skupić, więc poszedł na górę, by się przebrać, i wyszedł na spotkanie z Tinym i Harrym.

Tiny naprawdę nazywał się Paul Gordon i miał obskurny bar kilka przecznic od domu Mercera. W soboty otwierał wcześniej dla Mercera i Harry'ego White'a, swoich najlepszych klientów, by przy kilku porannych drinkach mogli wspólnie przejrzeć „Racing Form” przed popołudniowymi wyścigami w Belmont Park. Paul był kiedyś dobrze zapowiadającym się dżokejem, ale dorobił się kilku złamań - głównie kolan - po tym, jak nie chciał brać udziału w ustawianiu gonitw. Mimo to wciąż pasjonował się wyścigami konnymi. Przyjmował zakłady od około czterdziestu facetów z Arlington i okolic.

Mercer odkrył jego bar pierwszego dnia po przeprowadzce. Za kontuarem spodziewał się niezdarnego goryla, ale Tiny był, jak wskazuje ksywka, mały. Miał nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu i ważył siedemdziesiąt kilo. Aby wygodnie podawać drinki, musiał zainstalować sobie za barem specjalną platformę. Kiedy Mercer otworzył szklane drzwi, Tiny już ślęczał nad „Racing Form”.

W barze śmierdziało kwaśnym piwem i petami. Choćby Paul użył nie wiadomo ile środków dezynfekujących, odór nie znikał. Przy długim barze stało kilka stołków, zaś z tyłu lokalu można było usiąść w pokrytych winylem łóżach. Na ścianach z odklejającą się tu i ówdzie tapetą wisiały liczne sportowe zdjęcia w tanich ramkach. Obok kasy stały zdjęcia Tiny'ego w uniformie dżokeja, ściskającego dłoń wdzięcznych właścicieli koni po wygranych gonitwach. Tiny miał około pięćdziesiątki, ale z powodu niepozornej postury i pomarszczonej twarzy wyglądał jak stary gnom.

Harry White z kolei był naprawdę stary. Dobijając do osiemdziesiątki, wyglądał, jakby miał za chwilę umrzeć, ale przecież wyglądał tak samo przed laty, kiedy poznali się z Mercerem. Twarz miał tak pomarszczoną, że prawie zapadniętą w sobie. Wysokie i wyprostowane

ciało robiło takie wrażenie, jakby skurczyło się po praniu, a skóra wisiała na nim jak źle dopasowany garnitur. Jego ręce przypominały wiązki patyków obleczonych papierem ryżowym z plamami wątrobowymi. Choć wyglądał, jakby za chwilę miał się rozpaść, nadal był krzepki. Chwalił się swoim libido, a jego jasnoblękitne oczy zdradzały przenikliwy umysł i cięty dowcip. Mówił chropawym głosem, który dudnił niczym grad armatnich wystrzałów. Może to z powodu różnicy wieku, a może wbrew niej, był najlepszym przyjacielem Mercera.

- No, czas najwyższy. Gdzie, do cholery, moja krzyżówka?

- Czemu sam nie kupisz sobie gazety, sknero jeden? - Mercer rzucił złożoną krzyżówkę na blat przed Harrym.

- Proszę, proszę, odezwał się krezus. Stać go codziennie na gazetę.

W istocie Harry miał przyzwoitą emeryturę z Potomac Electric Company. Niedawno otrzymał też od władz znaczną sumę jako odszkodowanie za utratę prawej nogi przed pięćdziesięciu laty. Choć Mercer wiedział o pieniądzach i pomagał nawet w zawarciu ugody, Harry poprosił go, by nigdy o tym nie rozmawiali.

Harry złapał krzyżówkę, starannie ją rozłożył i unióśł długopis w gotowości.

- Jak było na Alasce?

Mercer uśmiechnął się, patrząc na Harry'ego. Pod twardą krodylą skórą krył się prawdziwy przyjaciel.

- Świetnie, ale pod koniec trochę się działo.

Opowiedział im ze szczegółami historię odnalezienia „Jenny IV”. Ani Tiny, ani Harry nie mieli pojęcia, skąd się wzięła tajemnicza stalowa płytką i obaj wąpili, by śmierć Jerry'ego i Johna w jakikolwiek sposób wiązała się z kawałkiem metalu.

Tiny nalał Mercerowi i sobie krwawą mary, a przed Harrym postawił jacka danielsa i piwo imbirowe. Harry wypalił z tuzin chesterfieldów i mruzczał nad krzyżówką, a Tiny i Mercer ślęczeli nad „Racing Form”, przewidując układy w czternastu gonitwach tego dnia z równym oddaniem, co lekarze próbujący ratować życie pacjentowi. Przegryzali się przez trudne do rozszyfrowania szczegóły w gazetce, odrzucali numery, które wydawały im się nieważne, mnożyli inne za pomocą tajemnych systemów, a na koniec często szli za głosem intuicji. Tiny miał znacznie więcej doświadczenia, jeśli chodzi o rodowody, trenerów i ocenę koni według skali Beyera, jednak w kwestii instynktownego wskazywania zwycięzców chylił czoło przed darem Mercera.

Przez cały ranek Tiny odbierał telefony od stałych klientów, przyjmował zakłady i podawał notowania bukmacherów, które otrzymy-

wał od kumpla pracującego na torze. O wpół do dwunastej Mercer i Tiny kończyli obstawiać ostatnią gonitwę. Harry wciąż walczył z krzyżówką, ale brakowało mu już tylko kilku słów.

- Cholera jasna! - krzyknął zde gustowany. - Utknąłem.
 - Na czym? - zainteresował się Tiny.
 - Pięć liter, środkowa to „r”. Weselny Mendelssohna...
 - Frak - rzucił Mercer, nie podnosząc głowy znad „Racing Form”.
 - Złośliwiec, poza tym ma być pięć liter - odparł Tiny. - *Marsz weselny* Mendelssohna. No wiesz, idą młodzi i ta-ta-ta-tam, ta-ta-ta-tam.
 - No tak. A ja myślałem, że *Marsza weselnego* skomponował Mendel - odparł Harry, wpisując właściwe słowo.
 - Nie. Książd Gregor Mendel był pionierem współczesnej genetyki. W XIX wieku robił eksperymenty z krzyżowaniem grochu.
 - Poważnie? Cały czas wydawało mi się, że to Mandelbrot stworzył genetykę.
 - Nieprawda. Benoit Mandelbrot był jednym z twórców geometrii fraktali - wyjaśnił Tiny.
 - W takim razie kto, do cholery, ułożył tablicę okresową pierwiastków?
 - Nazywał się Dimitrij Mendelejew - odpowiedział Tiny.
- Mercer patrzył na przyjaciół.
- Rany boskie, aż mnie ciarki przechodzą, jak prowadzicie takie dialogi.

Minął ranek i nastąpiło popołudnie. W barze robiło się coraz głośniejsze od rozmów sobotnich gości. Wszyscy jak jeden mąż przyszli na wyścigi. Co do jednego byli to starsi mężczyźni, pięćdziesiąt parę lat i więcej, brzuchaci, w trzydziestoletnich garniturach. Stanowili żywy dowód, że stereotypy nie biorą się z powietrza. Mercer był najmłodszy w sali, i to młodszy o co najmniej piętnaście lat, ale czuł się tam jak w domu. Kawalerów zawsze łączyła nić porozumienia, niezależnie od wieku i statusu. Miło było wdać się w rozmowy, które nie obracały się wyłącznie wokół cudzych problemów.

Program gonitw w Belmont był tego dnia krótki. Ostatni bieg ruszył nieco po czwartej. Kiedy Tiny wypłacił wygrane zwycięzcom, w końcu pozwolił sobie na drinka, pierwszego od porannej krawej mary. Harry White pił whiskey, jakby dopiero co uciekł z zebrania anonimowych alkoholików, ale nie wyglądał na podchmielonego. Mercer przerzucił się na wodę sodową i był trzeźwy.

- Co robisz dziś wieczorem, Mercer? - zapytał Tiny, myjąc kie liszki w trzech małych zlewach pod barem. Zmywał ze szkła zapach

alkoholu, ale trudno powiedzieć, że kieliszki stawały się naprawdę czyste.

- Przebieram się za pingwina.
- Jakaś formalna kolacja?
- Kolację mam gdzieś, ale potem jest przyjęcie z otwartym barem.
- Otwarty bar? - szepnął Harry z zazdrością.
- Wiedziałem, że to cię ruszy. - Mercer się uśmiechnął.
- Z jakiej okazji? - zapytał Tiny.
- Inauguracja nowego ośrodka analitycznego pod nazwą Johnston Group, który sponsoruje nie kto inny jak Maks Johnston, właściciel Petromax Oil. Naukowcy, ekonomiści i ekolodzy będą tam pracować nad wdrożeniem prezydenckiej polityki energetycznej.
- Też będziesz w tej grupie? - zapytał Harry, odwijając drugą paczkę papierosów.
- Nie, ale znam Maksa Johnstona od paru lat. Kiedy wróciłem z Alaski, zaproszenie leżało w skrzynce.
- Znów będziesz się spoufalał z bogatymi i sławnymi ludźmi - drażnił się Harry. - Ile tak naprawdę kasy może mieć taki Johnston?
- Chryste. - Mercer przeczeszał palcami gęste włosy. - Do niego należy Petromax Oil, w dodatku kontroluje Johnston Trust ufundowany przez jego ojca, kiedy ten zakładał Petromaks. Myślę, że dwa miliardy dolców, może więcej.
- Sprawdź, czy nie ma córki na wydaniu. - Harry przerwał i zastanowił się jeszcze raz. - Cholera, za taką kasę mogłaby być nawet bezzębna babina, która się moczy. Nie jestem wybredny.
- I o to się módl - wtrącił Tiny. - Mam nadzieję, że się tam wżeni i zapłaci przynajmniej część twojego rachunku w barze.

Harry posłał mu niewinne spojrzenie.

Mercer parsknął śmiechem.

- Muszę iść. Kolacja jest o szóstej, a przyjęcie zaczyna się o wpół do dziewiątej. Chcę zająć dobre miejsce w kolejce do baru.

Powoli wrócił do domu. Pogoda okazała się łagodniejsza, niż oczekiwał, a wilgotność trzymały w ryzach groźne chmury, które czaiły się na wschodzie. Myśli o Jerry i Johnie Smallach powróciły do właściwych proporcji. Mercer żałował ich, ale w końcu zginęli przez własną głupotę. Jeszcze bardziej współczuł matce Johna, gdziekolwiek była. Żaden rodzic nie radzi sobie ze śmiercią dziecka.

Oboje rodzice Mercera zostali zabici w belgijskim Kongu podczas powstania Katangi. Jako sierota wychowywana w Vermoncie przez dziadków ze strony ojca nigdy nie doświadczył trudów fazy dojrzewania. Myśli o nastoletnim buncie przyćmiewała chęć, by pójść

w ślady ojca i zostać inżynierem górnictwa. Nie wyobrażał sobie, co mogło popchnąć ojca i syna do bójk, ale się pobili, a konsekwencje okazały się śmiertelne. Jak mówił MacLaughlin, obaj pili.

Kiedy Mercer przekreślił klucz w zamku drzwi wejściowych, przekrzywił nieco głowę, jakby dobiegł go jakiś głos. W myślach znów słyszał Johna Smalla, jakby stał tuż obok nastolatka na łodzi jego ojca. Mercer zaproponował mu wtedy piwo, a chłopak odmówił, kręcąc głową: „Nie, dzięki. W tym roku jestem kapitanem drużyny koszykarskiej i jest nawet szansa, że dostanę dzięki temu jakieś stypendium”.

Jezu, John nie pił.

Mercer popędził przez cały dom aż do gabinetu, po drodze dotknął kawałka kimberlitu niczym meduzy. Padł na fotel i szybko wykreślił numer do informacji. Kilka chwil później już łączył się z biurem szeryfa w Homer.

- Mówi Dan MacLaughlin. - Głos brzmiał lepiej niż rankiem, ale wciąż słychać było wyczerpanie.

- Szeryfie MacLaughlin, mówi Philip Mercer. Rozmawialiśmy dziś rano o Jerrym i Johnie Smallach.

- Oczywiście, doktorze Mercer. - MacLaughlin wydawał się zaskoczony telefonem od Mercera. - Czym mogę służyć?

- Mówił pan, że obaj byli pijani, prawda?

- Wstępna sekcja wykazała u obu jeden i dwie dziesiąte promila alkoholu. Byli narąbani.

- Szeryfie, tylko że John Small nie pił - powiedział triumfalnie Mercer.

MacLaughlin spodziewał się wielkiej rewelacji, więc rozczarowanie w jego głosie zabrzmiało szczególnie gorzko:

- Doktorze Mercer, to, że był nieletni, nie oznacza wcale, że nie pił. To Alaska. Tu się żyje trochę inaczej. Ba, sam kupuję moim dzieciakom piwo w weekendy.

- Nie w tym rzecz. John wspomniał o grze w kosza i o tym, że nie chce stracić szans na stypendium. Znaleźliśmy zwłoki dwóch osób na spalonej łodzi, a chłopak nie chciał napić się piwa. Na widok czegoś takiego nawet dziesięcioletni weteran klubu AA zastanowiłby się nad kielichem.

MacLaughlin milczał przez minutę. Tylko szum na linii wskazywał, że się nie rozłączył. W końcu przemówił cicho, powoli, a do Mercera zaczęło docierać znaczenie jego słów:

- Syn mojego najlepszego przyjaciela też jest w tej drużynie.

Wszyscy obiecali sobie, że nie będą pić do końca sezonu. Chcieli się skupić i być w pełni sił. Co to, do cholery, może znaczyć?

- Albo John złamał przysięgę, albo coś tu nie gra i idę o zakład, że ma to jakiś związek z „Jenny IV”. Dodzwonił się pan do Howarda Smalla w Los Angeles?

- Nie, jeszcze nie. Ale nagrałem mu się kilka razy na sekretarce. Na pewno oddzwoni jeszcze dziś wieczorem, najdalej jutro.

- A mogę zapytać, co się stało z wrakiem „Jenny IV”?

MacLaughlin nie od razu udzielił informacji. Nie podobała mu się ta odpowiedź.

- Dzień po tym, jak Jerry ją znalazł, przechwycił ją Straż Wybrzeża. Zgodnie z przepisami Jerry miał prawo znalazcy. Właściciel zginął w pożarze, a nikt nie chciał jej odkupić. Nie było na niej nic cennego, więc Jerry kazał tym ze Straży odholować ją i zatopić - znów przerwał i dodał ni stąd, ni zowąd: - We wrakach robią się świetne sztuczne rafy dla rybaków.

- Czy ktokolwiek badał wnętrze wraku? - zapytał Mercer z nadzieją.

- Nie, obawiam się, że nie. Odholowano ją tak, jak została znaleziona, zalana aż po burty.

- Cholera. - Mercer wiedział, że właśnie trafił w ślepą uliczkę. - Cóż, przykro mi, że pana niepokoiłem, szeryfie.

- Dziękuję za telefon, doktorze Mercer. Jeśli to pana pocieszy, ludzie umierają co dzień w najróżniejszych, czasem niezwykle głupich okolicznościach. Nie ma sensu doszukiwać się w tym czegoś więcej.

Odkładając telefon, Mercer wiedział, że MacLaughlin nie zostawi tak tej sprawy, podobnie jak on.

W barze na piętrze zaparzył sobie resztkę kawy z ekspresu. Wyszło pół kubka smolistej zawiesiny, którą można by równie dobrze stosować jako rozpuszczalnik przemysłowy. Mercer pił ją ostrożnie, jego kolacja zaś zaczynała się rozpląwać w kuchence mikrofalowej. Coś łączyło „Jenny IV” z Jerryem i Johnem Smallami. Nie umarli ot tak, zostali zamordowani. Tego był pewien. Trzeba tylko znaleźć winnego, motyw i trochę dowodów.

Falls Church, stan Wirginia

Jaguar Mercera niczym mroczny cień sunął szeroką drogą podjazdową, a potężny silnik V-12 wydawał z siebie zaledwie mruczenie. Opony Pirelli szumiały na mokrym asfalcie. W snopach światel z reflektorów połyskiwała drobna mgiełka. Kierowca wyteżał wzrok, żeby

zobaczyć dom, który musiał znajdować się na końcu drogi. Nikt nie ma przecież takiego długiego podjazdu.

Zerknął na licznik i stwierdził, że przejechał już półtora kilometra od głównej drogi. Kiedy podniósł wzrok, w końcu zobaczył mdły blask bijący od domu Maksa Johnstona. Samochód pokonał kolejny szeroki zakręt i w końcu Mercer miał dom przed sobą.

Był to ogromny budynek w stylu Tudorów, z niezliczonymi szczytami, dębowymi belkami i spiczastymi dachami, które ciągnęły się przez dobre sześćdziesiąt metrów. Choć dom był potężny, dzięki fikuśnemu stylowi nie sprawiał przytłaczającego wrażenia. W licznych oknach na parterze i piętrze paliło się światło, ocieplając wilgotny wieczór mdłym blaskiem. Mercer naliczył osiem kominów, nim zatrzymał samochód przed zadaszonym wejściem.

Na spotkanie wyszedł mu parkingowy i otworzył szeroko drzwi jego jaguara XJS. Mercer zauważył z boku domu kilka tuzinów limuzyn ustawionych w paradnym szyku. Wysiadł z samochodu, wpuszczając na skórzany kubelkowy fotel chłopaka.

Z domu dobiegało mocne vibrato wiolonczeli, której towarzyszyły skrzypce i dźwięk podobny do harfy. Nie znał tego utworu, ale doceniał piękny styl, w jakim go grano. Pod mankietem smokingu nosił swojego wysłużonego TAG heuera. Dziewięćdziesiąt trzydzieści. Doskonale. Kolacja - z całą pewnością nudna - dobiegła końca i zaczynało się prawdziwe przyjęcie.

Podał zaproszenie nieco zamroczonemu portierowi. Mercer spóźnił się skandalicznie, więc służący popatrzył na niego nieufnie. Zaspianymi oczyma z równą podejrzliwością oglądał kartkę i samego Mercera.

- Wpadłem do butelki z wódką i nie mogłem się wydostać - wyjaśnił Mercer, mijając portiera.

Hol wejściowy, wysoki na półtorej kondygnacji, wyłożony był szerokimi deskami, a osłaniał go gipsowy sufit. Pośrodku foyer stał stół z drewna wiśniowego, a błyszczący blat zakrywał niemal całkowicie piękny bukiet dzikich kwiatów. Całe pomieszczenie wypełniał ich subtelny zapach. Nad stołem wisiał błyszczący kryształowy żyrandol, przypominający delikatny stalaktyt.

W pokoju po prawej służący stawiali bufet z deserami. Torty, ciastka, musy i niezliczone inne lepiące się, słodkie wypieki pokrywały cały stół, przy którym bez problemu mogło usiąść trzydzieści osób. Klasyczne trio smyczkowe brzmiało coraz głośniejsze, kiedy Mercer szedł przez jadalnię. Blisko trzymetrowe drzwi na końcu

prowadziły do salonu - znacznie większego niż zwykle w domkach na przedmieściach.

Umeblowanie pochodziło z XIX wieku, głównie z pracowni Duncana Phyfe'a i Johna Henry'ego Beltera. Na ogromnej przestrzeni wydzielono cztery miejsca do rozmów - wokół identycznych stołów porozstawiano niczym umocnienia kanapy, sofy i fotele. Obrazy na ścianach pochodziły spod pędzla amerykańskich prymitywistów, z wyjątkiem portretu matki i córki Sargenta i jakiegoś krajobrazu Granta Wooda. Pod ścianą ustawiono bar, przed którym stała kolejka gości umilających sobie rozmową czas oczekiwania na obsługę.

Pośrodku sali siedzieli muzycy. Mercer obserwował ich przez chwilę. W wiolonczelistkach jest jakiś pierwiastek erotyczny, pomyślał. Ta nie była szczególnie urodziwa, ale i tak przykuwała wzrok. Miała na sobie głęboko wydekoltowaną kremową suknię. Oszałamiające nogi owinęła wokół instrumentu w miłosnym uścisku. Poczł się jak podglądacz, obserwując jej palce wędrujące po strunach. Odwrócił się, by nikt nie zobaczył wyrazu jego twarzy.

Przez ciąg szklanych drzwi na końcu sali Mercer dojrzał na patio ogromny namiot i zestawione stoliki, przy których dwustu gości zjadło kolację. Zdążył jeszcze zobaczyć, że barman ma sok z limonki, żeby zrobić koktajl z wódką, kiedy ktoś złapał go za ramię.

- Co taki łobuz jak ty robi w takim miejscu?

Mercer obrócił się i uśmiechnął, rozpoznając charakterystyczny głos.

- Zamierzam oskubać jakiegoś biurokratę z rządu.

Connie Van Buren stanęła na palcach, żeby pocałować go w policzek.

- Boże, ależ z ciebie przystojniak. I jak pięknie pachniesz.

- Connie, nie wiem, czy pamiętasz, ale masz męża.

- Jest w Nowym Meksyku - droczyła się.

- A ja moje libido wyniosłem do magazynu.

- Wieczny kawaler. Kiedy ty się w końcu ożenisz?

- Poślubię pierwszą kobietę, która rzuci dla mnie karierę.

Poznali się wiele lat temu, kiedy Connie pracowała w Departamencie Spraw Wewnętrznych, a Mercer był konsultantem w niemieckim koncernie wydobywczym Koenig Minerals. Connie wyłaźła wtedy ze skóry, by nie pozwolić tej firmie na otwarcie kopalni w Utah. Koenig Minerals cieszyła się jak najgorszą stawą, jeśli chodzi o dbałość o środowisko. Na prośbę Niemców do akcji wkroczył Mercer i ku ogromnej uldze Departamentu bez problemu wynegocjował

kompromis do przyjęcia dla obu stron. Od tamtego czasu utrzymywali z Connie kontakt i śledzili nawzajem swoje postępy zawodowe.

- Zauważyłam, że nie było cię na kolacji. Miałaś siedzieć po mojej lewej. Zamiast tego musiałam ścierpieć jakiegoś obłudnego prawnika, który mówił, jakby wygłaszał oświadczenia dla prasy.

- Domyślałem się, że będzie kiepsko, ale nie przyszło mi do głowy, że Maks zaprosi też prawników.

- Maks zaprosił wszystkich znajomych ze stolicy. W końcu nie co dzień funduje się ośrodek analityczny za czterdzieści milionów. Chce, żeby wszyscy to dobrze zapamiętali.

Mercer rozejrzał się i zauważył, jak z namiotu na patio przychodzi do środka kolejni goście. Connie miała rację. W sali aż roiło się od znanych osób. Przewodniczący Izby Reprezentantów był pogrążony w rozmowie z szefem Kancelarii Prezydenta, a za nimi kilku znanych w całym kraju dziennikarzy telewizyjnych spijało każde słowo z ust bardzo pijanego doświadczonego senatora. Johnstone Group z całą pewnością będzie chwalona przez waszyngtońską elitę.

- A gdzie nasz gospodarz? - Mercer wodził wzrokiem po sali, szukając Maksa Johnstone'a.

- Jest tu gdzieś i pławi się w blasku sławy. Dziś po południu grał w golfa z prezydentem, który oficjalnie poparł jego instytut. Maks wydał to przyjęcie tylko po to, żeby dać wszystkim do zrozumienia, gdzie go mogą pocałować. - Connie przerwała, bo rozpoznała mężczyznę, który szedł przez środek sali w jej stronę. - Cholera. Robert Baird.

- Kto to? - Mercer spojrzął na mężczyznę sunącego przez tłum.

- To lobbysta z działu badań jądrowych w Petromax Oil, jeden z zauszników Maksa, który chce coś ode mnie wydebić. Przepraszam, ale muszę iść przypudrować nos.

Baird machnął ręką, jakby chciał zakląć, patrząc na obfitą pupę Connie znikającą za drzwiami. Obserwował przez chwilę Mercera, zastanawiając się, czy warto się przedstawić człowiekowi, który rozmawiał z panią sekretarz do spraw energii. Mercer uśmiechnął się tępo i Baird poszedł szukać ważniejszej zdobyczy.

Mercer patrzył, jak przemyka się przez środkowe drzwi na patio, i wtedy ją zobaczył. Stała plecami do niego, nieco pod kątem, pogrążona w rozmowie z zeszlórocznym noblistą w dziedzinie chemii. Dla statecznej waszyngtońskiej socjety odsłaniająca tyle suknia z pewnością była zaprzeczeniem wszystkich wartości, jakie wyznawała stolica. Obecne na przyjęciu kobiety, choć ubrane odświętnie, wciąż roztaczały wokół siebie atmosferę konserwatyzmu, który wykluczał wszelkie erotyczne myśli.

Ale nieznajoma wyglądała, jakby właśnie przysła z hollywoodzkiej gali. Suknia w głębokiej czerni odcinała się mocno na tle białej skóry, a wycięcie na plecach sięgało tak nisko, że nie trzeba było dużej wyobraźni, by niemal zobaczyć cień, gdzie plecy graniczą z dwiema jędrnymi półkulami. Skórę na plecach miała nieskazitelną. Była wysoka, ale nie nadmiernie, wydawało się raczej, że stoi na piedestale, na którym lepiej można ją było podziwiać. Kiedy się odwróciła, zobaczył jej oczy.

Beryl to dość popularny minerał budzący niewielkie albo wręcz żadne zainteresowanie. Jest nawet uważany za produkt uboczny przy wydobywaniu miki i skalenia. Ale kiedy beryl powstaje w obecności glinu, nabiera koloru akwamaryny i staje się kamieniem półszlachetnym. Gdy natura doda ślad chromu zamiast glinu, beryl staje się szmaragdem, jednym z najbardziej pożądanych przez człowieka klejnotów. Głębokość koloru szmaragdu określa wielkość domieszki chromu. Jeśli jest go za dużo, kamień staje się ciemny, atramentowy i martwy. Niedostatek chromu powoduje, że szmaragd jest biały i wypłowiasty. Perfekcyjny kamień, o głębokim kolorze i połysku, ma idealnie szmaragdowozielony kolor i jego wartość odpowiednio rośnie.

Miała zielone oczy. Tak idealnie szmaragdowe, że Mercer poczuł, jak przesywa go prąd. Patrzyła na niego przez chwilę, poprawiając paznokciami krótkie włosy, które były zarazem blond i kasztanowe, a trzymały się przy głowie dzięki odrobinie żelu. Mercer czuł, że tonie.

Rysy twarzy miała doskonale - miękko zaokrąglone zmysłowe usta wyglądały, jakby za chwilę miały się rozciągnąć w uśmiechu. Kości policzkowe wyglądały jak rozłożone z gracją skrzydła mewy, a mocno zarysowany podbródek miał delikatny dołeczek. Zjawiskowe oczy podkreślały szerokie i ciemne brwi, nieco zdumiewające na tak delikatnej twarzy, ale bez wątpienia przydające jej magnetyzmu. Nos miała mały i delikatny, bardzo kobiecy.

Od szerokiego, wysokiego czoła aż po smukłą szyję była po prostu wykwintna. Nie można było jej nawet porównywać z aroganckimi zdobyczami, które wielu zebranych tu mężczyzn nazywało żonami. Wyglądała jak zawodowa modelka, kusząca i nieosiągalna, ale miał wrażenie, że zauważył u niej urok, którego brakowało pozostałym kobietom.

Przestąpiła z nogi na nogę. Suknia przylegała jej do bioder, pełnego gracji łuku poniżej wąskiej talii. Rozcięcie z przodu sukni odsłoniło na chwilę gładkie wnętrze uda kobiety i gdyby Mercer mógł jeszcze oddychać, to ów widok zaparłby mu dech w piersiach.

Przód sukni zakrywał jej całe ciało, od od szyi po łydki, ale zdążył zauważyć, że nie nosi stanika i ma małe sterczące piersi, a chłód wilgotnej nocy sprawił, że pod tkaniną zarysowały się jej twarde sutki.

- Co panu podać, sir? - Barman wyrwał Mercera ze snu na jawie.

Kiedy zamówił koktajl z limonką i odwrócił się w stronę patio, dziewczyna zdążyła zniknąć. Cholera.

Wziął drinka i machinalnie mruknął słowa podziękowania. Wtedy uświadomił sobie, że to krótkie spojrzenie na nią wystarczyło, by się podniecił. Nie zdarzyło mu się to od czasu, kiedy w ósmej klasie przez tydzień mieli zastępstwo z dwudziestoletnią nauczycielką.

- Możesz mnie już ubrać.

- Słucham? - Mercer odwrócił się i oddech uwiązał mu w gardle. Z bliska wyglądała jeszcze piękniej. Usta wyduła w kuszący dzióbek, ku któremu nieświadomie zaczął ciążyć.

- Właśnie rozebrałeś mnie wzrokiem, doktorze Mercer. Byłabym wdzięczna, gdybyś ubrał mnie z powrotem. - Figlarny błysk w jej oczach stanowił dowód, że bawiło ją zakłopotanie Mercera. Oceniał, że dopiero co skończyła trzydziestkę. Dla kobiety to wiek idealny - jeszcze zachowuje młodzieńcze piękno, ale już wzbogaca je doświadczeniem.

- Znasz mnie? - Mercer nie posiadał się ze zdziwienia. Z całą pewnością zapamiętałby spotkanie z tą kobietą.

- Ależ wy macie krótką pamięć. - Roześmiała się i zaczęła oddać. Pupa kołysała się na boki, zaś wąskie plecy trzymały się nieruchomo. Po kilku krokach się odwróciła. - Widzieliśmy się wczoraj rano.

Zniknęła w tłumie i dopiero wtedy Mercer uświadomił sobie, kim jest. Tak bardzo pochłonął go jej wygląd, że nie zwrócił uwagi na głos - gardłowy, ale miękki, kuszący i... znajomy.

Omal nie wylał drinka, kiedy rzucił się w tłum, by ją odnaleźć. To ona tak zawzięcie spierała się z nim na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona. Trudno uwierzyć, że tamta niedbale odziana dziewczyna i oszałamiająca piękność z przyjęcia to ta sama osoba. Co u licha bojowniczką o dobro planety robi na przyjęciu wydawanym przez jedną z największych firm naftowych na świecie?

Szedł szybko przed siebie, przepaszając potrąconych po drodze gości. Nagle jeden z mężczyzn odwrócił się i omal nie zderzyli się twarzami. Obu ich zaskoczyło to spotkanie. Mercer dostrzegł, że mężczyzna zrobił się prawie biały jak ściana, ale szybko odzyskał kolory, a jego przystojną twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Mercer, już myślałem, że nie dotrzesz. - Maks Johnston wyglądał na szczerze uradowanego, że widzi Mercera na swoim przyjęciu.

Johnston miał sześćdziesiąt parę lat, ale wyglądał co najmniej dziesięć lat młodziej. Był szczupły i umięśniony, a to od legendarnych codziennych ćwiczeń i triathlonów co dwa lata. Twarz miał pooraną zmarszczkami i ogorzałą od słońca w rodzinnym Teksasie, ale nabrał też typowej dla absolwentów uczelni z Ivy League oślady, która skutecznie maskowała jego korzenie. Gęste, pofalowane włosy siwiały mu na skroniach. Chwycił Mercera za rękę i ścisnął ją energicznie.

Człowiek, z którym Maks rozmawiał, się oddalił.

- Musiałem napaść kelnera, żeby zdobyć smoking. - Mercer odpowiedział uśmiechem. - Niezłe towarzystwo, gratulacje.

- Wiążę wielkie nadzieje z Johnston Group - oświadczył Maks, jakby czytał przygotowane wcześniej przemówienie. - Prezydent postawił przed Ameryką wyzwanie, by wyrwała się z uzależnienia od ropy. Myślę, że możemy jej w tym pomóc.

- A nie podcinasz w ten sposób gałęzi, na której siedzisz? - zażartował Mercer.

- Bynajmniej. Petromaks jest już tak zdywersyfikowaną firmą, że odcięcie importu ropy może wręcz jej pomóc. Prawdę mówiąc, właśnie dobiłem targu i sprzedaję nasze trzy ostatnie supertankowce. Jesteśmy gotowi, by kształtować przyszłość.

- Nie bierzesz udziału w wydobywaniu ropy w Arktycznym Rezerwacie? - Choć Mercer pragnął znów odszukać tamtą kobietę, wciągnęła go rozmowa z gospodarzem.

- Tak, ale to tylko jeden z wielu planów. Ropa, którą wydobydziemy w rezerwacie, dostarczy Petromaksowi kapitału, który pozwoli nam rozdawać karty na rynku alternatywnych technologii energetycznych. Już zaczęliśmy programy pilotażowe, a nasze laboratoria za chwilę opracują komercyjne urządzenia do rozszczepiania atomów wodoru; ich paliwem będzie woda morska. Kiedy zaczęliśmy przyglądać się fuzji, uznaliśmy, że w materii jest więcej energii, niż kiedykolwiek sobie wyobrażaliśmy. - Johnston podniósł w połowie pełny kieliszek do szampana. - W tym kieliszku jest więcej energii, niż ludzkość wyprodukowała od czasu rozniecenia pierwszego ognia w jaskini jakieś dwieście tysięcy lat temu. Każdy dzień przybliża nas do chwili, gdy uda nam się ją ujarzmić.

Mercer spojrzął ponad ramieniem Johnstona i zobaczył piękną nieznajomą, która szła w ich stronę, kołysząc się w rytm muzyki klasycznej. Wpatrywała się prosto w nich. Wyczuł, że za chwilę znajdzie się w samym centrum konfliktu między Johnstonem a ekolożką.

- Oho.

Maks odwrócił się, spojrzął za wzrokiem Mercera i mruknął:

- O cholera.
- Znasz ją?

Nim Maks zdążył odpowiedzieć, kobieta dołączyła do nich i familiarnie wsunęła rękę pod ramię Maks. Johnston patrzył na nią przez chwilę pobłaźliwie, po czym odwrócił się do Mercera, żeby ich sobie przedstawić. Nim zdążył otworzyć usta, kobieta się odezwała:

- Przepraszam, że cię okłamałam, doktorze Mercer. - Znieczuliła go swoim uśmiechem. - Widzieliśmy się jeszcze przed wczorajszym spotkaniem, ale sądzę, że tego nie pamiętasz. Jakies dziesięć lat temu w Houston, kiedy Petromaks ogłaszał odkrycie złóż ropy na Płaskowyżu Edwardsa. Pamiętam, że miałeś na sobie oliwkowy garnitur i krawat w czarny wzorek. Jako jedyny facet nie nosiłeś obciachowego kowbojskiego kapelusza.

- Kochanie, te kapelusze to symbol najlepszego stanu w całej Unii. - Maks odwrócił się od dziewczyny i spojrzał Mercerowi prosto w oczy. Miał wzrok pełen niepokoju. - Cóż, w takim razie chyba nie muszę was sobie przedstawiać, skoro się już znacie.

Mercer w końcu zdołał wydobyć głos:

- Mimo wszystko chętnie skorzystałbym z podpowiedzi.

Maks uśmiechnął się do kobiety czule.

- To moja córka Agatha.

- Moja babka całe życie musiała się męczyć z tym imieniem. - Wyciągnęła rękę, a Mercer ujął ją niczym pielgrzym cenną relikwię. - Ale ja nie zamierzam. Mów mi Aggie, doktorze Mercer.

Miał wrażenie, że między ich dłońmi przepływa jakiś żywioł. Mercer ścisnął ją dłużej, niż czynią to przedstawiani sobie ludzie, dłużej nawet niż ludzie wzajemnie sobą zafascynowani. Dłużej niż... puścił ją z ociąganiem, dopiero kiedy Maks dyskretnie zakasłał. Nadal jednak patrzyli sobie w oczy, szmaragdowozielone i chmurnoszare, jak dziewicza ziemia i burzowe niebo.

- Zawodowego tytułu używam tylko wtedy, kiedy rezerwuję stolik na kolację. Daruj sobie, proszę, tego doktora i mów mi Mercer. Tak jak wszyscy.

Aggie cofnęła się o pół kroku.

- Tak się wstydzisz swoich osiągnięć, że próbujesz ukryć tożsamość? Boże, przecież własnoręcznie zburzyłeś całą górę w Indiach, kiedy wytyczałeś kopalnię w Ghudatra. A w Australii? Ilu Aborygeńców trzeba było przenieść, kiedy firma, dla której pracowałeś, wyznaczyła czterysta kilometrów kwadratowych pod kopalnię opału? Nie bądź taki skromny, doktorze Mercer. Dla niektórych ludzi jesteś bohaterem. Prawda, tato?

Maks Johnston wyglądał na zakłopotanego. Rozejrzył się wokół, upewniając się, że żaden z dostojnych gości nie usłyszał wybuchu córki. Widać było wyraźnie, że jej poglądy słyszał już tyle razy, że mógłby je recytować z pamięci.

- Wystarczy, Aggie. Obiecałaś, że będziesz dziś wieczorem go spodynią i nie będziesz pleść tych swoich bzdur - syknął Johnston. - Chryste, masz tyle samo taktu co twoja świętej pamięci matka.

Odwrócił się do Mercera.

- Przepraszam cię. Chodźmy się napić.

Objął go silnym ramieniem i odprowadził. Mercer odwrócił głowę i zobaczył w oczach Aggie czystą wściekłość skierowaną na ojca.

- Nie masz dzieci, co? - zapytał Maks, kiedy barman szykował kolejnego drinka z limonką i dolewał gospodarzowi szampana.

- Nie. Już w młodości doszedłem do wniosku, że ledwo potrafię zadbać sam o siebie, więc jak, u licha, mógłbym się opiekować dzieckiem?

Maks uśmiechnął się, nieco się odprężając.

- Jest moją największą radością i jestem dumny ze wszystkich jej osiągnięć, nawet jeśli mają mi dopieć. Wiesz, że studia ukończyła z najlepszym wynikiem w grupie? Ma dyplom z inżynierii środowiska, wyobraź sobie. Jest naprawdę błyskotliwa, ale marnuje czas na tę donkiszoterię. Myślę, że nigdy nie musiała naprawdę dorosnąć. Rozpieściłem ją jak jasna cholera. Ba, i nadal rozpieszczam, bo po zwalam jej się szlajając z tą bandą ekologów.

Mercera nie interesowały problemy w relacjach między Makssem a jego córką. I choć słuchał cierpliwie, to musiał wygłosić swój komentarz:

- Maks, to dorosła kobieta. Czy nie powinna sama podejmować decyzji?

- Gdybym pozwalał ludziom decydować, to tego wszystkiego dziś byśmy nie mieli. - Maks machnął kieliszkiem w stronę sali. Mercer nie był w stanie stwierdzić, czy żartuje, czy mówi poważnie. - Nie powinienem cię tym obciążać. - Maks przestał się rozklejać. - Zresztą od czasu do czasu potrafię się z nią dogadać. Proszę, twój drink. - Mercer pozwolił, by Maks wcisnął mu kolejny koktajl z limonką. - Mogę cię przeprosić? Muszę się przywitać z Connie Van Buren.

Maks Johnston odpłynął w tłum, zostawiając Mercera bez towarzystwa. I dzięki Bogu. Dokończył pierwszego drinka, którego dostał od Maksa, a potem upił trochę z drugiego. Uśmiechnął się do siebie, rozglądając się po bogato urządzonej sali. Nieważne, jaki masz majątek, proza życia zawsze daje o sobie znać.

Maks Johnston nie krył się specjalnie ze swoimi problemami. Był wdowcem - żona popełniła samobójstwo pod wpływem alkoholu. Mercer pamiętał, że zauważył u niej pociąg do kieliszka już wtedy, kiedy poznał Maksa w Houston. Po godzinie przyjęcia Barbara Johnston była tak pijana, że Maks musiał prosić szofera, żeby odwiózł ją limuzyną do domu. Sześć lat później, po niezliczonych programach odwykowych, o których bezpardonowo rozpisywały się media, Barbara połknęła butelkę pigułek nasennych i popiła jedną piątą butelki wódki. W liście pożegnalnym napisała: „Idę spać, obudźcie mnie proszę, kiedy życie stanie się łatwiejsze”. A teraz Maks kłócił się z córką na oczach najpotężniejszych ludzi w kraju.

Jeśli taka jest cena jego sukcesu, stwierdził Mercer, to Maks może mieć wszystko.

Wodząc wzrokiem po sali, nie zauważył Aggie i poczuł niewielką ulgę. Rozmowa z nią teraz byłaby co najmniej niekomfortowa. Kilka minut później rozmawiał już z wiceprezesem sekcji naukowej Johnston Group i zapomniał o gorszącej scenie sprzed kilku chwil.

Pół godziny później poczuł zapach jej perfum. Wcześniej ich nie wyłowił, tak były subtelne. Zauważył wilcze spojrzenia mężczyzn i zazdrosny wzrok kobiet i wiedział, że za jego plecami stoi Aggie Johnston. Odwrócił się. Wyglądała, jakby otrząsnęła się już po spięciu z ojcem, ale dostrzegł w jej niemożliwie zielonych oczach cień, którego wcześniej nie było. Wiedział, że najlepiej zachowywać się, jakby nic się nie stało, a nie prawić banały na temat relacji z ojcem.

- Nie miałem okazji odciąć się za twój atak na moją pracę.

Aggie posłała Mercerowi dziękczynny uśmiech - uniosła lekko usta, czym sprawiła mu niezwykłą przyjemność. Ale kiedy się odezwała, jej głos aż kipiał od sarkazmu:

- Firma mojego ojca zatrudnia aż cztery kancelarie prawne i całą armię specjalistów od public relations. Wymyślają wymówki szybciej, niż reszta kraju powoduje katastrofy ekologiczne. Na pewno się z nimi dogadasz.

Przerwała i spojrzała na niego bez emocji.

- Niech zgadnę. Zaraz mi powiesz, że tworzysz miejsca pracy na całym świecie i dajesz nadzieję głodującym ludziom, którzy wciąż żyją w XIX wieku. Mam rację?

Mercer domyślił się, że Aggie jest typową manifestantką „w sprawie”. Jeśli o jakimś problemie akurat się mówiło, na pewno była zaangażowana. Z całą pewnością należała do licznych organizacji, a szczególnie lubiła nowe, które dopiero zyskiwały popularność. Harry White drwiąco nazywał takich ludzi „liberałami z promocji”.

Nieważne, że część ich przekonań klóciła się z innymi, ważne, że byli politycznie poprawni i na czasie.

Wykorzystał to i naskoczył na nią równie drapieżnie:

- Wiesz, ile milionów dziewczynek nie żyje normalnie, bo muszą nosić wodę do wiosek odległych często o kilka kilometrów? Zostają sprowadzone do poziomu jucznych zwierząt, bo tam, gdzie mieszkają nie ma dostępu do wody i mechanicznych pomp. Dostęp do wody jest tak powszechny, że często traktuje się go jak oczywistość, ale dla wielu ludzi na świecie to luksus, o którym mogą tylko pomarzyć.

Te miejsca pracy, które pomagam tworzyć, a z których tak drwisz, mogą pomóc uwolnić te kobiety. Kiedy firma, dla której pracuję, płaci swoim pracownikom, to wpływa nie tylko na nich, ale i na ich rodziny oraz wioski. Daje ludziom nadzieję. Chryste, odmawianie im czegoś takiego to powrót do kolonialnego wyzysku. Tego właśnie chcesz?

Jak bardzo piękna by się wydawała, nie zamierzał pozwalać sobą pomiatać. Reputacja - zarówno ta dobra, jak i zła - była jego największym skarbem i zamierzał go bronić za wszelką cenę.

Uśmiechnęła się z wyższością i szyderczo.

- Sprytnie, doktorze Mercer. Na większość kobiet by podziałało. I choć wierzę w prawa człowieka i ubolewam nad tym, jak się nas traktuje, jestem ekologiem, a nie feministką. Nie jestem też socjalistką ani przeciwniczką technologii, więc cała reszta twoich argumentów trafia kulą w płot. Mam swoje przekonania, a ty swoje. I nie ma między nimi nic wspólnego.

- Cokolwiek z tego, co mówiłem wczoraj na zajęciach, miało dla ciebie sens? - Mercer liczył na kompromis, byle tylko być blisko niej.

- Nic a nic. Studenci pewnie byli pod wrażeniem, ale truizmy i hiperbole nie robią wrażenia na kimś, kto jest dobrze poinformowany. A co do twojej teorii, że ludzie przystosowują się do ewolucji, niszcząc własne środowisko, to po prostu gówno prawda i dobrze o tym wiesz.

Przekleństwo w jej ustach brzmiało urzekająco.

- Zapamiętaj moje słowa. Im więcej dowiadujemy się o ewolucji i ginięciu gatunków, tym częściej okazuje się, że zachowanie danego gatunku przyczynia się do jego wyginięcia w nie mniejszym stopniu niż środowisko czy jakikolwiek inny czynnik. Jeśli nasze działania doprowadzą nas do katastrofy, widocznie tak wymyśliła to natura. Kropka.

- I nie widzisz powodu, by to zmienić? - zaoponowała.

- Nie widzę sposobu, by to przerwać. Chiński rząd zamierza wyposażyć każdy dom w kraju w lodówkę. Z powodu przestarzałej

technologii wpompują do atmosfery tyle chlorofluorowęglowodoru i innych gazów niszczących powłokę ozonową, że wszelkie zapobiegawcze kroki Zachodu będą daremne. Nie zdążylibyśmy z przepisami zapobiegającymi efektowi cieplarnianemu, którego tak się obawiasz. Dlaczego twoja Liga nie spróbuje powstrzymać Chińczyków? Takie grupy jak wasza specjalizują się w budzeniu kontrowersji i trafianiu na pierwsze strony gazet, ale nie próbujecie nawet zaproponować realnych rozwiązań. Potrafcie tylko krzyczeć, a nie umiecie przedstawić faktów, więc odwołujecie się do emocji, żeby przekonać ludzi do swoich racji. Pewnie zgadzasz się z ustaleniami Szczytu Ziemi w Rio, prawda?

- Brałam w nim udział - odparowała dumnie Aggie.
- Pamiętasz artykuł piętnasty Deklaracji z Rio?

Aggie pokręciła głową.

- Zadałem sobie trud, by nauczyć się go, bo tak mnie zniesmaczył, że postanowiłem go zapamiętać na zawsze. „Brak naukowej pewności nie powinien być wykorzystywany jako powód do opóźniania opłacalnych działań na rzecz zapobiegania degradacji środowiska”. Oznacza to, że nie trzeba żadnego dowodu, żeby podjąć działania. Pieniądze podatników można wydawać na rozwiązywanie problemu, którego być może w ogóle nie ma. Niewiarygodne, że Stany Zjednoczone podpisały się pod tym bełkotem, ryzykując miliardy dolarów.

Wydaje ci się, że próbujesz zmienić sposób, w jaki ludzkość dba o planetę? Kolejny dokument podpisany w Rio, tak zwana Agenda 21, mówi o tym, że jedyny sposób, by powstrzymać niszczenie środowiska na półkuli północnej, to wpompowanie góry pieniędzy w kraje Trzeciego Świata na półkuli południowej. Czy to ci się wydaje sensowne? Bo mnie tak. Tak jak mówiłem wczoraj na zajęciach, przykro mi, jeśli wstydzisz się niektórych naszych osiągnięć, ale część z nas jest z nich dumna.

Mercer odwrócił się, by odejść. Aggie stała bez słowa, z lekko otwartymi ustami.

- I jeszcze drobiazg, nim sobie pójdę. Ci sami naukowcy, których dowody na globalne ocieplenie tak poważasz, w latach siedemdziesiątych twierdzili, że zanieczyszczenia wręcz chłodzią planetę, prowadząc nas do nowej epoki lodowcowej. Porozmawiamy, kiedy będziesz w stanie podeprzeć swoje truizmy i hiperbole jakimiś faktami.

Odszedł, nim Aggie zdążyła zareagować.

Ponieważ Mercer przyjechał na przyjęcie jako ostatni i wychodził jako pierwszy, parkingowy zdążył przyprowadzić jego jaguara zaledwie kilka chwil po tym, jak wyszedł z budynku. Mercer był wściekły

na siebie, że w ogóle wdał się w tę rozmowę, i żałował, że myślał dzisiaj głową, zamiast inną częścią ciała. Nie mógł zaprzeczyć, że Aggie go pociągała, ale wszystko miało swoje granice.

Wsiadł za kierownicę i zamknął głośno drzwi. W chwili kiedy wrzucił bieg, czyjeś białe palce zastukały w okno pasażera. Zdziwiony odblokował drzwi i do jaguara wsiadła Aggie Johnston. Mercer ruszył bez słowa, a silnik zamruczał radośnie, kiedy za mocno wcisnął gaz.

Gdy Mercer wyskoczył na główną drogę, Aggie wyjęła z torebki paczkę papierosów i złotą zapalniczkę. Zmroziła go wzrokiem, powstrzymując wszelkie komentarze na temat papierosów, i zapaliła. Przy intymnym świetle tablicy rozdzielczej płomień zapalniczki przypominał oślepiającą racę.

Postanowił przeczekać jej milczenie, zastanawiając się, dokąd go to doprowadzi. W głębi duszy cieszył się, że za nim pobiegła.

- Nienawidzę go prawie tak samo, jak Kocham. - Mercer wiedział, że Aggie mówi o swoim ojcu. - Pod wieloma względami to najmiłszy, najtroskliwszy człowiek, jakiego znam, ale nie mogę się powstrzymać, by nie robić mu na złość. Ma fioła na punkcie zdrowia, więc jako cztery nastolatka zaczęłam podbierać papierosy od służby, licząc, że kiedyś mnie przyłapie, ale nic nie zauważył. Nadal nie wie, że palę. Ponieważ zarobił cały swój majątek na ropie, postanowiłam, że zostanę ekologiem, jeszcze zanim się przekonam, co to naprawdę znaczy.

Szyba pojechała w dół i Aggie wyrzuciła niedopałek w ciemność.

- Czasami zastanawiam się, czy on w ogóle zauważa to, co robię. Bóg jeden wie, że desperacji matki też nie zauważył, aż było za późno.

Mercer wiedział, że dziewczyna chce się wygadać, więc milczał.

- Zabiła się, kiedy robiłam dyplom. Dowiedziałam się o tym od szofera, którego tata wysłał, żeby przywiózł mnie do domu na pogrzeb. Można by pomyśleć, że byliśmy z matką blisko, ale to nie prawda. Płakałam na pogrzebie i czasem nadal płaczę, ale nie z powodu straty. Z żalu. Tak naprawdę była żalowaną osobą.

Jedynie wyraźne wspomnienia, jakie mam o matce, to chwile, kiedy była pijana, i raz, tuż przed jej samobójstwem, kiedy omal nie przyłapałam jej w łóżku z innym facetem. Tak bardzo chciałam obwinić o to ojca, ale nie mogę. Miała w sobie gen autodestrukcji, który kazał jej trzymać się ojca, zmuszał ją do nadużywania wódki i romansów. Zabiłaby się, nawet gdyby od niego odeszła. Mówiłeś wcześniej o losie ludzkości. Cóż, Barbarze Johnston było pisane zginąć z własnej ręki i nic nie można było na to poradzić.

Mercer spojrzął na Aggie. Ręce jej drżały, kiedy zapalała kolejnego papierosa, ale głos miała opanowany. Nie trzeba było psycho-

loga, by zrozumieć, że jej osobowość ukształtowały emocjonalne konflikty, i to one motywowały ją do działania. Gniew na ojca kazał jej popierać sprawy, które były wbrew jego interesom. Źródłem owego gniewu nie była śmierć matki, ale własna niezdolność, by go powstrzymać. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi mówiły mu, żeby trzymać się od niej z daleka, ale pociągał go w niej ów kontrast między twardością a bezbronnością.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał, kiedy zbliżali się do Waszyngtonu.

- W Georgetown. Mam apartament nad kanałem.

Przez resztę drogi milczeli, ale z jakichś powodów ta cisza była męcząca. Wskazywała mu drogę monosylabami albo po prostu ruchem głowy. W budynku nad kanałem Chesapeake i Ohio, gdzie znajdował się jej apartament, mieścił się kiedyś magazyn. Mercer wiedział, że ceny mieszkań w tej okolicy zaczynały się od ćwierci miliona dolarów i dalej już tylko drastycznie rosły.

Zaczęło padać i kiedy zatrzymał się przy wejściu do apartamentowca, na przedniej szybie pojawiły się mokre plamki. Aggie czekała, aż wiatr nieco ucichnie. Siedziała z torebką na kolanach, a jej szczupłe ciało zapadło się w kubelkowym fotelu jaguara. Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał miękko, niemal nieśmiało:

- Nie chciałam się dziś z tobą kłócić. Tak naprawdę to chciałam cię uwieść. - Popatrzyła na niego, czekając na inicjatywę, której on nie chciał wykonać. - Kiedy cię poznałam, miałam o tobie jak najlepsze zdanie. Myślałam, że jesteś inni niż tamci. To było chyba zauroczenie nastolatki.

Otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Nim zniknęła w budynku, wsadziła głowę do jaguara.

- Cieszę się, że przeżyłam rozczarowanie w młodym wieku.

Drzwi zamknęły się cicho i Aggie zniknęła.

- Stary Mercer znów roztacza swój urok osobisty - mruknął dotknięty jej oświadczeniem.

Zamiast przetrwać spokojnie świeże wydarzenia, postanowił wyrzucić je z głowy i pomyśleć o nich później. Ale kiedy wykręcił numer w telefonie i słuchał sygnału z aparatu blisko pięć tysięcy kilometrów dalej, doszedł do wniosku, że stwierdzenie Aggie o rozczarowaniu dotyczyło raczej jej ojca, a nie jego. Co do uwiedzenia, cóż, nie była pierwszą kobietą, której się to nie udało, i z pewnością nie będzie ostatnią.

Sygnał w słuchawce ucichł. „Dodzwoniłeś się do mieszkania Howarda Smalla. Przepraszam, ale nie mogę odebrać telefonu. Zostaw wiadomość po sygnale”.

- Cholera. - Mercer rozłączył się, nie nagrywając wiadomości.

Osiemnastoletni Jamal Lincoln wiódł typowe życie nastolatka z najbiedniejszych dzielnic Waszyngtonu. Jako trzynastolatek został członkiem gangu, dwa tygodnie później był świadkiem pierwszej akcji - coś poszło nie tak przy transakcji i znalazł się w krzyżowym ogniu. Podniósł pistolet upuszczony przez kuzyna Rufusa, któremu dziewięciomilimetrowy pocisk wybił zęby przez tył głowy, i pociągnął za spust najszybciej, jak mógł. Nikogo nie trafił, ale poczuł wtedy, że to początek zupełnie nowego życia o nieuchronnym finale.

Tydzień po tamtej strzelaninie wpakował dwie kulki w pierś sprzedawcy w spożywcza i za trzydzieści siedem dolców - tyle było warte życie tego człowieka - kupił sobie pierwsze działki cracku. Powoli awansował w gangu, tym wyżej, im więcej zabijał osób. Dziewictwo stracił jako czternastolatek, kiedy dostał na urodziny prostytutkę od Nueysiego Radiego, przywódcy gangu, który chwalił się, że jego imię w języku suahili znaczy Czarny Grom. Jamal chodził jeszcze do szkoły i cały czas snuł się po korytarzach albo występował przed budynkiem, sprzedając prochy i rekrutując dzieciaki do swojego gangu. W obu zadaniach spisywał się celująco. Kiedy skończył siedemnaście lat, przeżył już dość strzelanin, by zostać jednym z głównych doradców Radiego.

Radi miał dwadzieścia cztery lata, był milionerem, któremu kończył się czas. Wszyscy wiedzieli, że dobra passa wkrótce go opuści. Życie, jakie wiódł, w końcu musiało go zabić, a im dłużej się trzymał, tym bardziej zbliżał się do śmierci. Jamal, wtedy już osiemnastolatek, był następnym w kolejce, by przejąć gang, zarobić prawdziwą kasę i zyskać prawdziwą władzę. To dlatego tak się wkurzył, że został wysłany na misję poza teren gangu, by kropnąć jakiegoś faceta, o którym słyszał pierwszy raz w życiu.

Kilka godzin wcześniej Radi zaprosił Jamala do swojej meliny - kilku dużych pokoiów urządzonych w zniszczonym bloku w Anacostii. Radi powiedział mu, co ma robić, i dał czystą spluwę. A z kanapy przy biurku Radiego cały czas gapił się na nich jakiś białas. Białas wyglądał bez dwóch zdań na gliniarza, ale nawet nie mrugnął, kiedy Radi kazał Jamalowi sprzątnąć kolesia z Arlington.

Kiedy wychodził, białas wstał z kanapy i chwycił go za nagi biceps. Jamal miał potężne ramiona, z silnymi mięśniami przeżącymi się pod błyszczącą skórą. Facet miał wąskie, blade i kościste paluchy, ale wbił je tak głęboko, że chłopak aż zatoczył się z bólu.

- Niech to wygląda na napad. Zabierz mu zegarek, portfel, co tylko chcesz. Ale musisz go załatwić. Jeśli przeżyje, ty nie przeżyjesz na pewno.

- Coś ty, kurwa, za jeden, kutasie?! - krzyknął Jamal, próbując wyrwać rękę.

Ucisk dłoni się wzmocnił, aż Jamal padł na kolana.

- Willis, każ swojemu psu, żeby przestał szczelekać, albo oderwę mu łapę i osobiście go nią załłukę.

- Jamal, rób, co mówi, dobrze? Nie zadawaj, kurwa, żadnych pytań.

Nikt nie zwracał się do Radiego jego prawdziwym imieniem i nikt nigdy nie zdołał wzbudzić strachu w jego głosie. Tymczasem słycać było, że Radi boi się białasa.

- Zrobi się, Radi. - Jamal spojrział na swojego szefa i ze zdu mieniem zobaczył, że ten oddycha z ulgą.

Według roleksa, którego niedawno ukradł, chodził już po ulicy od trzech godzin. W tym czasie nie przejechał obok żaden radiowóz. Jamal widział tylko kilku braci, prawie same zebry, czyli czarnych próbujących udawać białasów. Czuł się dość bezpiecznie. Był nieco na widoku, ale wystarczająco anonimowy. Zresztą, co za różnica, jak się czuł - i tak nie może się ruszyć, póki nie załatwi tego gościa. Nie miał ochoty spotykać się znów z tym facetem od Radiego.

Zastanawiał się, czy nie wpaść do baru kawałek dalej, zwłaszcza że zaczęło padać. Fałszywy dowód był dość dobrze podrobiony, ale Jamal nie chciał rzucać się nikomu w oczy. Kiedy facet zginie, świadkowie będą w stanie powiedzieć tylko, że napastnikiem był młody Murzyn w ciemnej skórzanej kurtce. Połowa miasta pasuje do tego opisu.

Jamal zobaczył snop światła przesuający się po ciemnych budynkach i wiedział, że w uliczkę skręcił samochód. Obrócił się i zobaczył reflektory auta sześć przecznic dalej, niedaleko baru. Wielki glock 17 w kieszeni nagle zaczął mniej mu ciążyć. Minął kwadrans po jedenastej i w pozostałych domach było już dawno cicho. To na pewno facet, na którego czeka.

Kiedy Mercer skręcał w swoją uliczkę, poobijany chevy cavalier zwolnił właśnie miejsce parkingowe dokładnie naprzeciw baru Tiny'ego. Jako że nie zwykł dyskutować ze zrzędzeniami losu, wjechał bez namysłu na wolne miejsce i wszedł do baru. Była sobota, kwadrans po jedenastej. Nie może wrócić do domu bez kolejki albo dwóch.

- Powrócił syn marnotrawny! - ryknął Harry White, przekrzykując zestaw stereo, kiedy Mercer stanął w drzwiach. - Co się stało? Zamknęli darmowy bar czy cię z niego wyrzucili?

Mercer jak zwykle zajął miejsce obok Harry'ego i zaczął sączyć koktajl z limonką, który Tiny natychmiast mu nalała. Tiny zbadła palcem materiał, z którego uszyto smoking Mercera i pokiwał z uznaniem.

Mercer pokręcił głową ze smutkiem.

- Nikt już nie potrafi docenić starego dowcipu z wkładaniem abażuru na głowę.

Tylko wizyta u Tiny'ego mogła pomóc Mercerowi zapomnieć o Aggie Johnston i jej problemach. Przekomarzali się z Harrym cały wieczór. Ostro sarkazm pewnie zraziłby większość ludzi, ale oni nie wyobrażali sobie innej rozmowy. Minęło półtorej godziny, dwie kolejki Mercera zmieniły się w bocznice pełną pociągów. Wraz z Harrym i kilkoma innymi stałymi klientami przepijali zawartość portfeli. Tiny zamykał bar o pierwszej. Dla tych, którzy mieli za dużo w czubie, by jechać, zamawiał taksówki, pozostałym przydzielał trzeźwiej szych kierowców. Harry wyszedł z Mercerem. Obaj mieli w rękach po dwa piwa na drogę do domu. Harry mieszkał pięć przecznic dalej w kierunku przeciwnym niż kamienica Mercera. Po kilku pożegnalnych dowcipach na temat smokingu zaczął zataczać się w stronę swojego domu.

Mercer zostawił samochód i ruszył ulicą. Idąc, popijał piwo z butelki, ale przy każdym kroku rozlewał go trochę. Poczul, że jest naprawdę pijany, kiedy zaplątały mu się nogi i omal nie wywinął orla na chodniku. Rozejrzał się, próbując zamglonym wzrokiem przeniknąć ciemność, czy przypadkiem ktoś tego nie widział, ale na ulicy panowała cisza.

Szedł dalej i opróżnił pierwsze piwo, mijając przecznicę tuż przed własną uliczką. Zamiast mocować się z drugą butelką, co w jego stanie byłoby niemożliwe, postanowił zanieść je do domu. Obie butelki trzymane za szyjki dyndały mu w rękach. Znów się potknął, kiedy wszedł na chodnik na swojej ulicy, i zaśmiał się sam z siebie. Od wielu ludzi słyszał, że alkohol wywołuje depresję, ale jemu tak przyjemnie szumiało w głowie, że wszystko wydawało się cholernie zabawne, nawet ta mroczna postać, która wyszła zza furgonetki zaparkowanej kilka kroków przed nim.

Mercer dostrzegł nadchodzący cios i kazał mięśniom się napiąć, ale otępione alkoholem nerwy nie zareagowały. Był całkowicie bezwładny, i to ocaliło mu życie. Rękojeść pistoletu trafiła go w twarz tak mocno, że obracając się, poleciał na chodnik. Dwukrotnie przekręcił się po kopniakach w zebra. Za drugim razem odtoczył się dalej od napastnika, zyskując dostateczną odległość, by stanąć.

Wstał z chodnika. Krew ciekła mu po prawym policzku i sączyła się do ust, wywołując metaliczno-słony smak. Pojawił się glock, a jego dziewięciomilimetrowa lufa mierzyła prosto w pierś Mercera.

Gwałtowność i zaciekłość ataku pewnie zmroziłaby zwykłego człowieka, ale Mercer reagował szybko - choć szumiało mu w głowie od koktajli. Alkohol buzujący w żyłach dodał mu szalonej odwagi. Nie zważając na glocka, skoczył przed siebie. Wieczorowe buty ślizgały się po mokrym od deszczu betonie. Pistolet nie wystrzelił.

Jamala Lincolna tak zaskoczyła szarża Mercera, że nie nacisnął dość mocno na spust z automatycznym bezpiecznikiem. Nie był obeznany z tym typem broni. Poruszył wielki półautomatyczny pistolet w dłoni i w końcu poczuł, że bezpiecznik się odblokował, dosłownie ułamek sekundy po tym, nim Mercer wpadł na Jamalę. Broń była wymierzona w pierś niedoszłej ofiary i z tej odległości pewnie odrzuciłaby Mercera na pół przecznicy.

Mercer wciąż miał w dłoniach butelki od piwa i zamachnął się nimi z całej siły, jaką potrafił z siebie wyrzesać. Dwie butelki równocześnie uderzyły w głowę Jamala. Pełna butelka rozbiła się przy uderzeniu, zalewając ich obu spienionym piwem i odłamkami zielonego szkła. Tymczasem pusta butelka została cała, wytrąciwszy Jamalę z równowagi. Szarpnął prawą rękę do góry i kiedy w końcu strzelił, kula rykoszetem odbiła się od budynku po drugiej stronie ulicy. Jamal omal nie stracił przytomności od ciosu, ale zachował dość opanowania, by szarpnąć się w stronę Mercera, kiedy pusta butelka znowu zaczęła zmierzać w jego stronę i minęła go zaledwie o centymetry.

Butelka świsnęła Jamalowi nad głową, a siła zamachu sprawiła, że Mercer pomknął za nią bezwładnie. Nie namyślając się, wbił napastnikowi resztki potłuczonej butelki głęboko w gardło. Ostre szkło przecięło skórę, mięśnie i naczynia, które prawie nie stawiały oporu, niczym gąbka. Glock upadł na chodnik, a Jamal się zatoczył, łapiąc się za pocięte gardło. To był ostatni ruch, jaki wykonał.

Mercer upadł na ziemię równocześnie z Jamalem. Alkohol, szok i strach wyssały z niego wszystkie siły. Ciemność ogarnęła jego umysł, a przed oczyma miał tylko zamglony tunel. Nawet światła, jakie zabłysnęły w domach po strzale, wydawały się jedynie odległymi punktami. Choć na ulicy pojawiało się ich coraz więcej, w oczach Mercera bladły coraz bardziej. Kiedy oparł głowę o zimny beton, w innej rzeczywistości rozległo się wycie syreny.

- Nie żyjesz, co, Howard? Zdążyli cię kropnąć - wymamrotał Mercer do chodnika, nim stracił przytomność.

Terminal morski Alyeska w Valdez, stan Alaska

W świetle lamp sodowych kadłub statku „Petromks Arctica” był ciemniejszy niż woda w Cieśninie Księcia Williama. Choć było już po dziewiątej wieczorem, za kołem podbiegunowym północnym słońce jeszcze nie zaszło. Mimo poświaty zmierzchu przepisy wymagały, by lampy wysoko na urządzeniach do przeładunku ropy świeciły cały czas. Ich światło zalewało ogromny pokład supertankowca, tworząc na nim wyraziste cienie.

Statek miał ponad trzysta metrów długości, ale największe wrażenie robiła jego szerokość. W najszerszym miejscu kadłub miał czterdzieści siedem metrów, prawie tyle co niejedna kamienica. Pomalowany na czerwono pokład był płaski niczym parking, na którego powierzchni tylko gdzieniegdzie pojawiały się włązy kontrolne. Widać też było biegnącą górą kładkę, która ciągnęła się przez prawie dwieście pięćdziesiąt metrów - od nadbudówki aż po tępo ścięty dziób. Nadbudówka na samej rufie wyglądała jak biały prostopadłościan wznoszący się piętnaście metrów nad pokładem. Na kilku poziomach okalały ją kładki na wspornikach, a po obu stronach wisały otwarte mostki do nawigacji przy dobrej pogodzie. Pojedynczy komin wystawał z samego środka nadbudówki. Tuż pod sześciometrowym masztem widać było podświetlone logo Petromax Oil - stylizowaną wieżę wiertniczą z połączonymi literami P i O.

W przeciwieństwie do innych jednostek pływających supertankowce, jak je natychmiast ochrzczono, zaprzeczają niemal wszystkim zasadom architektury morskiej. Ze względu na rozmiar nie można ich budować tak jak tradycyjnych statków - ze stępką i potężnymi stalowymi wręgami, które wyrastają z niej niczym ogromne żebra z kręgosłupa. Tankowce trzeba budować po kawałku, każda sekcja wodowana jest niezależnie, a spawanie ich razem odbywa się w wodzie. Według inżynierów tankowce są bezpieczne, a mimo to i tak pękają, kiedy natura albo szaleństwo człowieka podda je zbyt dużemu obciążeniu. Tankowce to bękarty zrodzone po to, by zaspokoić głód świata na ropę, nieważne jakim sposobem.

„Petromaks Arctica” był supertankowcem nowej generacji. Miał zaledwie trzy lata. Kadłub o podwójnym poszyciu zabezpieczały najnowsze filtry gazu obojętnego i inne urządzenia. Ale mimo wszystkich nowinek ten ogromny pływający zbiornik z ropą wciąż stanowił zagrożenie. Dlatego kapitan Lyle Hauser traktował swój statek jak unoszącą się na wodzie bombę z podpalonym lontem.

Hauser stał trzydzieści metrów nad wodą na mostku po lewej burcie. Czuł, jak tankowiec osiada pod ciężarem ropy z Alaski tłoczonyj do jego komór pod pokładem w tempie dwudziestu tysięcy baryłek na godzinę. Stał tam już kilka godzin, od kiedy zbrojone węże na nabrzeżu numer 3 zaczęły pompować ropę do ładowni. Specjalnie na ten rejs ściągnięto go z emerytury. Pierwszy raz miał prowadzić tankowiec tej wielkości i nie zamierzał dopuścić do choćby najmniejszych odstępstw od procedury. Jeśli będzie musiał stać na mostku i patrzeć, jak ropa jest pompowana do statku przez najbliższe kilka godzin, to trudno. Tego zwyczaju nabrał jeszcze jako kapitan mniejszego tankowca. Gdzieś w głębi duszy czaił się przesąd, że jeśli nie będzie obserwował całego załadunku, na pewno wydarzy się katastrofa.

System załadunkowy był sterowany przez komputer na statku, więc nie było możliwości, by ropa się rozlała lub by tankowiec stracił nagle środek ciężkości. Mimo to Hauser wahał się ostry zapach ropy i czuł, jak olbrzym pod jego stopami porusza się, gdy wewnętrzne pompy przetaczają ropę między częściami ładowni, by „Arctica” zachowała równowagę.

Z głębokiej kieszeni płaszcza wyjął krótkofalówkę.

- Riggs, jak wygląda poziom tlenu w zbiornikach?
- Pięć procent we wszystkich.

Choć ropa to jedna z najbardziej palnych substancji na świecie, pali się tylko w obecności określonej mieszanki gazów. Jeśli będzie za dużo albo za mało tlenu, nie ma mowy o zapłonie. Ponieważ główny silnik tankowca emitował gaz o dwunastoprocentowej zawartości tlenu, „Petromaks Arctica” został wyposażony w oddzielny system podgrzewania Sun Rod, który dawał mieszanę gazów znacznie poniżej punktu zapłonu ropy. Spaliny z sun rod trafiały bezpośrednio do zbiorników, gdzie tworzyły otulinę gazu obojętnego.

- A jaki mamy poziom załadunku w zbiornikach jeden do trzy po prawej burcie?

- Dwadzieścia siedem procent. Wypełniają się równo, kapitanie - usłyszał odpowiedź pierwszego oficera.

Hauser wiedział, że zbiorniki wypełniają się równo, czuł to pod szeroko rozstawionymi stopami. Chciał się tylko upewnić, czy Riggs siedzi przy komputerze i czuwa.

Choć w walkie-talkie usłyszał niski, prawie gardłowy głos, który łatwo było wziąć za męski, jego pierwszym oficerem była kobieta - JoAnn Riggs, która dziewięć lat temu skończyła cywilną Akademię Morską w Maine.

Hauser miał nadzieję, że przywyknie do myśli, że ma pod swoją komendą kobietę. Z dossier, które przeczytał, lecąc na Alaskę, wynikało, że jest kompetentnym i zdyscyplinowanym oficerem. Co więcej, na tankowcach tej wielkości spędziła więcej czasu niż on sam. Ale w jej skupionych ruchach i stale mrugających oczach było coś, co mu się nie podobało. W ciągu czterdziestu pięciu lat na morzu przyszło mu pracować z setkami ludzi i Hauser stał się doskonałym obserwatorem. Instynkt zwykle go nie zawodził. Po prostu nie podobała mu się JoAnn Riggs. Nie miało to nic wspólnego z płcią, chodziło o nią.

Hauser wyjął cygaro z czarno-złotego pudełka, wsunął paczkę z powrotem do kieszeni i zaciągnął poły grubego, wełnianego płaszcza, chroniąc się przed niezwykłym jak na tę porę roku chłodem. Machinalnie sięgnął do kieszeni spodni po grawerowaną zapalniczkę Zippo - prezent od żony - ale przypomniał sobie, że zamknął ją w biurku w swojej kapitańskiej kajucie. Przestał palić cygara ponad rok temu, ale zapalniczkę zabrał ze sobą. Leżała zamknięta w biurku nie po to, by nie zginęła, ale po to, by on nie zapalił ani jednego z pięciu cygar, które żuł codziennie.

- Cholerny departament zdrowia i jego śmieszne ostrzeżenia - mruknął.

Kiedy zaczął się nad tym zastanawiać, doszedł do wniosku, że zupełnie nie obchodzą go pozostali oficerowie, których poznał rano. Niezwykłe losy kierujące tankowcami i ich ładunkiem sprawiają, że to ludzie muszą się przystosować do statków, a nie odwrotnie. Często nowa załoga, łącznie z kapitanem, jechała na nowy statek gdzieś w odległe miejsca, takie jak Zatoka Perska, Kapsztad czy Alaska. Członkowie załogi nie mieli czasu, by lepiej się poznać przed wyjściem w morze. Bywało, że marynarzy dowożono helikopterami na tankowce, które już zdążyły wypłynąć. Wszystko to tylko zwiększało izolację, w jakiej egzystowały owe lewiatany.

Był to jeden z dehumanizujących skutków handlu morskiego, którego rozwój Hauser obserwował od kilku dekad. Świat uprzemysłowiony narzucił sobie tak sztywne terminy podaży i popytu, że tankowce i ich kuzyni - towarowce i kontenerowce - stały się po prostu kolejną częścią taśmy montażowej. U ich właścicieli i wielu załogantów z nowego pokolenia światowa flota handlowa nie budziła już takich emocji jak jeszcze pół wieku wcześniej. Ot, statki handlowe stały się kolejnym trybikiem w wielkiej przemysłowej maszynie. Może dlatego Hauser nie lubił załogi, którą miał dowodzić, dopóki statek nie przycumuje w rafinerii El Segundo na północ

od Long Beach. Oni należeli do nowego pokolenia. To, co robili, traktowali jak pracę, a nie jak powołanie, nie tak jak on, kiedy jako szesnastolatek wypłynął w morze. Hauser zastanawiał się, czy nie jest przypadkiem zbyt szorstki. Może żona miała rację, może nie powinien dać się wyciągnąć z cichej, nudnej emerytury na ten ostatni rejs. Nawet jeśli potrafiłby zaakceptować kobietę na stanowisku oficera, i tak świat popędził naprzód, a Hauser mógł tylko tęsknić za dawnymi tradycjami, które odeszły na dobre.

- No dobra, daj im trochę czasu. Mają za sobą kilka trudnych dni - odezwał się Hauser na głos. Regularnie mówił sam do siebie i do swoich statków.

Jeszcze trzy dni temu „Arctica” należała do Petromax Oil i dowodził nią kapitan Harris Albrecht. Następnie, w drodze tajnych negocjacji, Petromaks sprzedał całą flotę tankowców - w tym „Arcticę” - spółce Southern Coasting and Lightering, mało znanemu armatorowi tankowców z Luizjany. Tego samego dnia, kiedy wieść o sprzedaży dotarła na statek, kapitan Albrecht, który dowodził „Petromaksem Arctica” od blisko sześciu lat, uległ poważnemu wypadkowi.

Hauser nie dowiedział się jeszcze wszystkiego, ale obrażenia Albrechta okazały się tak poważne, że zabrano go śmigłowcem, kiedy statek był jeszcze trzysta kilometrów od portu. Trafił prosto do szpitala Providence w Anchorage. Riggs opisała w raporcie, że kapitan Albrecht stracił część prawego przedramienia w wypadku w maszynowni i że odciętej części ręki nie udało się odnaleźć. Hauser okazał współczucie i nie wypytywał o dalsze szczegóły, dał Riggs i reszcie załogi czas, by doszli do siebie.

Southern Coasting and Lightering wraz ze statkiem przejął umowy członków jego załogi. Nie mieli jednak kapitana, który mógłby zastąpić rannego Albrechta, więc Hauser zgodził się przerwać emeryturę i przeprowadzić tankowiec z Valdez do Kalifornii. Hauser większość morskogo życia spędził na mniejszych tankowcach, przewożąc olej napędowy, benzynę i inne pochodne ropy wzdłuż Wschodniego Wybrzeża. Po raz pierwszy pracował dla Southern Coasting i po raz pierwszy od lat kierował tankowcem na północnych wodach.

Poza szczegółami wypadku Hauser był też ciekawy, dlaczego „Petromaks Arctica” spóźnił się do Valdez osiemnaście godzin. W tych okolicznościach mógł wybaczyć niepełny opis wypadku w dzienniku pokładowym, ale nie zamierzał ignorować faktu, że Riggs wprowadziła tankowiec do portu z blisko dobowym opóźnieniem, i to bez wyjaśnienia. Taka niepunktualność była niewybaczalna. Ostatni rejs Lyle'a Hausera zaczął się nie najszcześliwiej.

Szklane przesuwne drzwi prowadzące na mostek otworzyły się z sykiem, wrywając Hausera z rozmyślań. Podeszła do niego pierwsza oficer Riggs. Kościste ciało ukryła pod warstwami swetrów i kurtek. Twarz miała ściągniętą i chudą, o głęboko osadzonych oczach nieokreślonego koloru. Były raczej mgliste i małe. Wizerunku dopełniały zaciśnięte wąskie usta i mrugające bez przerwy powieki.

- Sir, telefon z Centrum Kontroli Operacyjnej. - Nawet bez zniekształceń krótkofalówki jej głos brzmiał twardo i męsko.

- Tak, a o co chodzi?

- Przyjechał ciągnik z nowymi tablicami z nazwą statku.

Hauser wypuścił z siebie długi wydech frustracji. Jakby nie dość miał problemów na nowej posadzie, trzeba było jeszcze zmienić nazwę statku przed wyruszeniem do południowej Kalifornii. Kiedy Hauser dowiedział się, że będzie dowodził jednym z najnowszych supertankowców na świecie, poczuł taką samą radość jak wtedy, gdy pierwszy raz samodzielnie prowadził statek. Ale gdy poinformowano go, że podczas dziewiczego rejsu w barwach SC&L trzeba będzie zmienić nazwę tankowca, Hauser poczuł lodowate macki przesądu zaciskające się na jego żołądku.

Wiedział, że tankowce w ciągu swoich dwudziestu lat służby zmieniają nazwy jak rękawiczki, bo są kupowane i sprzedawane szybciej, niż da się wymieniać tabliczki na rufie i dziobie. Jego ostatni statek przed emeryturą był przemianowywany siedem razy, aż w końcu trafił do Pakistanu do pocięcia na żyłki. Ale nie lubił być na statku, a już na pewno nie jako kapitan, kiedy zmieniano jego nazwę. Każdy marynarz wie, że to przynosi pecha.

Kiedy usłyszał o zmianie nazwy, poprosił Southern Coasting, by przełożyli to, aż zawiną do Long Beach, gdzie i tak miał się odbyć zaplanowany przegląd. Ale nowy armator był głuchy na jego prośby. Dyrektor operacji morskich w SC&L wyjaśnił mu, że Petromaks zażądał zmiany nazwy w drodze. Z czystej ciekawości Hauser podczas podróży na Alaskę zadzwonił do Petromaksu i dowiedział się, że to SC&L zażądało szybkiego przemianowania. Zapłacili nawet za robotników i stalowe tablice, które miały zostać przyspawane na rufie. Każda z liter ważyła ponad sześćdziesiąt kilogramów, a wspólnie tworzyły napis „Krzyż Południa” - tak brzmiała najnowsza nazwa statku „Petromaks Arctica”.

Hauser był już bliski rezygnacji z dowództwa. Bóg świadkiem, że żona nie chciała go puścić, by tułał się po świecie na pokładzie supertankowca. Już sama zmiana nazwy była pechowym wydarzeniem, ale najbardziej bolało go, że został okłamany. Nie miało dla

niego znaczenia, kto zlecił zmianę nazwy, ale kłamstwa na ten temat były nierozsądne i dziecinne. Gdyby jednak nie objął dowodzenia na statku, pewnie nie nadarzyłaby się już taka okazja. A pragnął raz jeszcze poczuć pod stopami wielki tankowiec, mieć świadomość, że to on nad nim panuje.

- Mam kazać im wejść na pokład?

Tak go pochłoneły własne myśli, że zapomniał, iż nie jest sam.

- Tak. Niech im pomoże dwóch marynarzy, a stewardzi niech pamiętają, że będziemy mieli na pokładzie kilka dodatkowych osób.

- Tak jest, sir. - Riggs obróciła się na pięcie i wróciła długą otwartą promenadą na główny mostek.

Kapitan Hauser patrzył na cztery kilometry kwadratowe terminalu morskiego Alyeska. Na wzniesieniu górującym nad pięcioma nabrzeżami do przeładunku stało dwadzieścia głównych zbiorników z ropą o pojemności blisko półtora miliarda litrów, otoczonych gigantycznymi wałami ziemi. Poniżej stał budynek, w którym mieścił się zawór końcowy liczącego blisko tysiąc trzysta kilometrów rurociągu biegnącego przez Alaskę. Między tym budynkiem a statkiem Hausera znajdowała się stacja oczyszczania wody balastowej oraz zbiorniki z paliwem dla tankowców zawijających do portu. Dalej mieściło się Centrum Kontroli Operacyjnej, Biuro Operacji Morskich oraz budynek sił ratowniczych. Ta ostatnia część została znacznie rozbudowana po katastrofie tankowca „Exxon Valdez”, który wbił się na rafę Bligh w 1989 roku.

Kiedy Hauser patrzył na główną bramę terminalu, w polu widzenia pojawił się długi, płaski ciągnik buchający spalinami z dwóch rur. Nakryty był ciemnymi plandekami. Tuż za nim jechała biała furgonetka, mrugając światłami w stronę obwieszonych reflektorami ciągnika. Przez plac sunął też dźwig z długim ramieniem wystawionym niczym średniowieczny taran przed atakiem na średniowieczny zamek.

Patrzył, jak trzy pojazdy stanęły przy „Petromaksie Arctice”, bo tak miał zamiar mówić o swoim statku do końca podróży. W kilka chwil pasażerowie ciężarówki i operator dźwigu zaczęli ładować pakiety stalowych płyt na tankowiec. Hauser zauważył, że ośmiu mężczyzn wyposażonych jest tak, że mogli od razu rozpocząć rejs. Ich worki żeglarskie leżały na asfaltowym nabrzeżu. Wyglądało na to, że tylko kierowcy ciężarówki i ciągnika będą wracać do Anchorage.

- Po cholere im aż ośmiu ludzi do zmiany nazwy statku? -

Pytanie Hausera pozostało bez odpowiedzi, bo nagle uderzył go

silniejszy podmuch wiatru. - I dlaczego mają aż tyle bagażu? To nie statek wycieczkowy, na litość boską.

Hauser nie zadał sobie jednego ważnego pytania i później gorzko tego żałował. Dlaczego ośmiu mężczyzn, którzy przyjechali zmienić nazwę statku, poruszało się z precyzją świetnie wyszkolonego oddziału żołnierzy?

Zjednoczone Emiraty Arabskie

Suchy upał pustyni buchał wściekle niczym żar z paleniska. Potężne masy gorącego powietrza porywały kurz z otwartej skalistej równiny i unosiły go wirującymi spiralami, które rosły tak gwałtownie, że upadały pod własnym ciężarem i równie szybko znikwały. Błękitną kopułę nieba nad jałową ziemią jedynie na zachodzie przesłaniała lekka mgielka. To tam Ar-Rab al-Chali, największa pustynia na świecie, stykała się z wodami południowej części Zatoki Perskiej. Pejzaż przypominał powierzchnię Księżyca. Nie rosło tu prawie nic, poza kilkoma akacjami i nielicznymi krzaczkami szałwi. Wystające kamienie słońce rozgrzewało tak mocno, że wiele z nich pękało jak dojrzałe owoce.

Ziemia mieniła się tysiącem odcieni, od oślepiąco białych wydm piaskowych maszerujących falami aż po odległy horyzont, po najgłębszą czerń gór Hadżar na granicy z Omanem, piasek miał jednak na ogół różowy odcień od tlenku żelaza. Pustynia wyglądała jak pokryta rdzą. Choć było późne popołudnie, temperatura wahała się w pobliżu czterdziestu trzech stopni i mimo nadchodzącego wieczoru nie miała szans spaść o więcej niż kilka stopni.

Chamsin, palący letni wiatr, wciąż wiał mocno, mimo późnej pory roku. Orał powierzchnię ziemi, rzeźbił ją i kształtował tak jak od stu milionów lat. Powstało w ten sposób bezlitosne środowisko, w którym przetrwać mogły tylko najtwardsze gatunki.

Książę Khalid Al-Khuddari stał dumnie na otwartej pustyni. Mimo brutalnego upału pod cienką bawełnianą koszulą wystąpiła mu jedynie cienka warstewka potu. Był dzieckiem pustyni, równie twardym, bezlitosnym i urodziwym, jak ziemia wokół. Miał jasną karnację, ale lata spędzone na pustyni sprawiły, że twarz i ręce przybrały kolor ciemnego mahoni. Wysokie kości policzkowe i mocny, zakrzywiony nos przywodziły na myśl Indian z amerykańskich równin. Gęste czarne włosy i ciemne oczy tylko wzmagaly to złudzenie.

Był wysoki, nieco ponad metr osiemdziesiąt, i stale wyprostowany oraz czujny. Pod wyciętą w serek koszulką widać było gładką nieowłosioną klatkę piersiową, zupełnie jak u chłopca, ale pod skórą wyraźnie rysowały się mięśnie. Brzuch miał chudy jak u charta, ale muskularny. Lewą rękę trzymał na wysokości piersi, zgiętą w łokciu, by mógł podziwiać stworzenie, które przysiadło na jego nadgarstku odzianym w ochronny mankiet. Jeśli jakiegokolwiek zwierzę było w stanie oddać osobowość Khalida Al-Khuddariego, to był nim raróg, który wbijał mu szpony tak mocno, że czuł, jak końce pazurów omal nie przebiją skórzanej rękawicy sokolnika.

Raróg, drugi co do wielkości gatunek z rodziny sokołowatych, miał nieco ponad czterdzieści osiem centymetrów długości, czerwonawobrazowe ciało i elegancką jasną głowę. Dziób zakrzywiał się tak bardzo, że prawie dotykał piersi ptaka, i był równie groźny, jak ostry miecz. Wzrok rarogów zaliczał się zaś do jednych z najlepszych. Owe ptaki należą do najsukuteczniejszych myśliwych na świecie, a ich determinacja i odwaga stały się wręcz legendarne.

Używano ich do sokolnictwa od wielu pokoleń, jeszcze zanim udomowiono konia. Raróg może więc pochwalić się najdłuższą historią współistnienia z człowiekiem, dłuższą niż jakiegokolwiek zwierzę poza psem. Sokolnictwo, sport szlacheckiej elity w Europie, zostało podpatrzone i sprowadzone na Stary Kontynent w czasach krucjat. W arabskiej kulturze jest ono równie ważne, jak pięć filarów islamu. Na Zachodzie sokolnictwo podupada z powodu emocjonalnych posunięć organizacji związanych z prawami zwierząt, ale nad Zatoką Perską ten sport kwitnie. Stanowi rozrywkę i bogatych, i biednych. Khalid nauczył się go od pewnego Beduina z pustyni, członka starszyzny jednego z plemion, które krążyły po Półwyspie Arabskim, jeszcze zanim Prorok usłyszał słowo od Boga.

Raróg, samica o imieniu Sahara, siedziała bez ruchu, spokojnie słuchając łagodnych słów swojego pana. Na głowie miała kaptur ze zdobionej skóry, by nie poleciała, póki Khalid nie będzie gotów jej wysłać na polowanie. Skórzanymi pętami wokół łap przywiązana była do jego rękawicy. Khuddari pogłaskał ją po skrzydłach, a ptak odpowiedział cichym *kwiit, kwiit*. Była to wyraźna oznaka zadowolenia, niczym mruczenie kota.

- Jesteś gotowa, skarbie? - zapytał Khalid drapieznika. Twarz zbliżył tak bardzo, że Sahara aż przestąpiła z nogi na nogę, czując jego oddech. Małe dzwoneczki u jej nóg zadźwięczały cicho.

Choć Khalid czuł się, jakby był z ptakiem sam na wielkiej pustyni, to jednak miał towarzystwo. Za jego plecami, pod oslepiająco

białym namiotem obserwowało go czterdziestu gości siedzących za stolikami rozstawionymi specjalnie na polowanie. Wraz z gośćmi zjadł późny obiad - grillowaną jagnięcinę oraz ostre sery i daktyle, popite francuskim szampanem. Wielu zebranych czuło, że powieli swoją dawną plemienną historię. Nawykli do klimatyzowanych wygod Abu Zabi uważali, że popołudnie w plenerze to doskonała przygoda. Nie zauważali, że specjalnie dla nich ustawiono namiot, a armia służących stale dopełnia im kieliszki. Zachodnie wpływy, którym kraj poddał się w 1958 roku, kiedy odkryto tu ropę, całkowicie pozbawiły ich korzeni.

Khalid się obejrzał. Za namiotem niewielka piaszczysta wydma zasłaniała drogę, ale widać było dachy dwóch furgonetek Daihatsu, które przywiozły ludzi i sprzęt na tę wyprawę. Wiedział, że obok furgonetek stoi cała flota limuzyn Mercedesa, a ich kierowcy czekają cierpliwie, aż bogaci klienci skończą się bawić. Nie obwiniał swoich gości, że są bogaci i uprzywilejowani - w końcu był jednym z nich - ale czuł ukłucie rozczerowania, że żaden z nich nie podziela jego miłości do tej ziemi zapewniającej im styl życia, do którego tak bardzo przywykli.

Ziemia. Khalid odwrócił wzrok, nie zważając na pozdrowienia kilku kobiet. Ziemia. Na pierwszy rzut oka nie zdradzała, jakie kryją się pod nią skarby.

Zjednoczone Emiraty Arabskie przeżywały trzy wielkie okresy świetności - raz jako jeden z największych ośrodków produkcji pereł na świecie, raz jako zagłębienie piratów i teraz jako kraj dysponujący jednymi z największych złóż ropy na ziemi. Khalid Al-Khuddari zdawał sobie sprawę, że pod tą równiną na wybrzeżu i pod płytkim szelfem Emiratów kryją się trzydzieści dwa miliardy baryłek tego surowca. Wiedział, że dzień wcześniej rynkowa cena baryłki ropy Brent skoczyła o półtora dolara, co oznaczało, że pod pustynią leży siedemset pięćdziesiąt miliardów dolarów. To bogactwo było własnością dwustu tysięcy obywateli Emiratów. Dzięki niemu ów kraj miał drugi co do wysokości dochód narodowy na głowę mieszkańca.

Khalid śledził te dane i wiedział, co oznaczają, bo był ministrem do spraw ropy Abu Zabi i oficjalnym przedstawicielem Emiratów przy OPEC. Choć wszystkie siedem autonomicznych szejkanatów tworzących Zjednoczone Emiraty Arabskie miały swoje ministerstwa do spraw ropy, jedynie Abu Zabi, dysponujące lwią częścią ropy, było dość duże, by wejść do OPEC. Po Kuwejcie i Arabii Saudyjskiej Zjednoczone Emiraty Arabskie posiadały więcej ropy niż inne kraje zrzeszone w kartelu, dzięki czemu miały ogromny wpływ na

określanie polityki wydobycia i na ceny ropy. Ten wpływ i odpowiedzialność niedawno spoczęły na barkach Khalida, kiedy poprzedni minister przedwcześnie zmarł na raka płuc.

Jego awans na tak wysokie stanowisko był niecodziennym wydarzeniem, nie tylko z racji młodego wieku - Khalid miał za dwa lata skończyć czterdziestkę - ale też dlatego, że nie był członkiem rodu rządzącego Abu Zabi. Nie był nawet z tego samego plemienia, co wielki książę Shaik. Khalid pochodził z plemienia pustynnych wędrowców, Beduinów, którzy nie znali granic poza tymi, które wyznaczały ich stada kóz i wielbłądów. Wierni i poddani byli jedynie swoim braciom i szariatowi, czyli prawu islamu.

Ojciec Khalida nie służył nikomu, ale władca Abu Zabi miał wobec rodziny Al-Khuddarich ogromny dług ze względu na wsparcie, jakiego udzielili mu we wczesnych latach po wyzwoleniu się Emiratów spod władzy Brytyjczyków. Dzięki temu Khalid otrzymał europejskie wykształcenie - w Eton, Cambridge i London School of Economics - a kiedy wrócił do ojczyzny, jego bystry umysł i wielkie zdolności negocjacyjne pchnęły go na szybką ścieżkę kariery w ministerstwie do spraw ropy.

Śmierć poprzedniego ministra tuż po zapowiedzi amerykańskiego prezydenta o wstrzymaniu importu ropy wywołała chaos w ministerstwie. Stara gwardia zderzyła się z nowymi pokoleniami technokratów, którzy wychowali się w bogactwie, jakie dała ropa, i nigdy nie zaznali biedy, jaka trapiła ten region przed II wojną światową. Ostatecznie postanowiono powierzyć to stanowisko komuś spoza rządzącego rodu, a co za tym idzie, oderwanego od rodzinnych kłótni.

Khalid zrozumiał, że rachunki władcy z ojcem zostały wyrównane, i że teraz on sam ma dług wdzięczności wobec królewskiej rodziny Abu Zabi. Traktował tę odpowiedzialność poważnie, nie tylko jako minister, ale także jako przyszywany członek rodziny. To właśnie w tym charakterze zorganizował polowanie. Nie chodziło o poświęcenie popołudnia na jedną z jego wielkich namiętności, ale o demonstrację.

- Panowie! - krzyknął przez szerokie ramię, gładząc zakapturzonego ptaka po piersi. - Może przyłączycie się do mnie, stąd lepiej widać.

Około dwudziestu mężczyzn wstało zza długiego stołu, zaczęło rzucać pogniecione lniane chusteczki na krzesła, wywołując falę uprzejmych śmiechów żon i narzeczonych rozbawionych ich komentarzami na odchodne. Ministra ropy Adżmanu musiało podnieść od stołu dwóch krzepkich służących. Hasaan bin-Rufti ważył

co najmniej dwieście kilo. Jego ciało przypominało bezkształtną, przelewającą się masę. Szyję skrywały warstwy tłuszczu zwisające mu z podbródka jak podgardle wołu. Ręce wyglądały jak rękawiczki chirurgiczne, które napompowano tak, że omal nie pękły. Mimo semickiej karnacji, skóra Ruftiego pobieliała od tłuszczu. Pot i tłuszcz sprawiały, że skóra błyszczała mu jak u larwy. Biały garnitur przypominał rozmiarami namiot, pod którym siedzieli. Kiedy toczył się po luźnym piasku, cielsko drżało mu jak galareta.

Khalid zauważył nieobecność ulubionego psychopaty Ruftiego, Abu Alama. Od swoich informatorów dowiedział się, że Alam jakiś czas temu wyjechał w kraju. Ponieważ siatka wywiadowcza Khalida była najsilniejsza w Europie i żaden z jej członków nie wytropił tego urodzonego we Francji Algierczyka, który stroił się w piórka mużulmańskiego fanatyka, Khuddari podejrzewał, że Alam jest gdzieś w Stanach Zjednoczonych.

Goście podchodzili, a Rufti ciągnął się z tyłu, sunąc przez pustynny piasek. Khalid podniósł rękę, każąc im się zatrzymać jakies pięćnaście metrów od siebie. Gdyby podeszli bliżej, rozproszyliby raroga.

Sahara została wzięta jako pisklą i wychowana przez człowieka, na długo zanim zrzuciła pierwsze pierze i zanim nauczyła się latać. Khalid miał kilka ptaków do polowań, w większości jastrzębi wziętych już w dorosłym wieku i o wiele trudniejszych do ułożenia, ale Sahara była jego ulubienicą, nie tylko z powodu dzielnego serca i bezgranicznej lojalności, ale też dlatego, że był to pierwszy ptak, którego Khalid wyszkolił po powrocie ze studiów. Choć zaczęła się już starzeć i ledwo nadawała się do polowania, wciąż zajmowała szczególne miejsce w jego sercu.

Sto metrów dalej na pustyni, w ledwo widocznym cieniu uschniętego drzewa, dwaj asystenci czekali przy wielkiej klatce z plastiku i stali. W środku siedział drop, potężny ptak łowny o szarym ciele i czarnych tygrysiach prążkach na szerokim grzbiecie. Dropie to ptaki europejskie, sprowadzane na Bliski Wschód specjalnie do polowań. Mają rozpiętość skrzydeł do dwóch metrów i są o wiele większe niż miejscowe ptaki żyjące nad Zatoką Arabską.

- Krótko o tym, co zobaczycie - odezwał się Khalid po angielsku, jako że wśród gości obok obywateli Emiratów było kilka osób z Zachodu. - Na mój znak moi bracia przy klatce wypuszczą ptaka, który polecą prosto na nas. Nie przestraszcie się jego wielkości, nie zdąży do nas dolecieć. Wszyscy gotowi?

Ochoczo pokiwali głowami. Być może utracili część korzeni, ale gdzieś w głębi duszy tliła się w nich isierka dawnego życia przodków.

Widać to było w ich oczach, czujnych głowach i napiętych barkach. Bogactwo nie zdołało całkowicie zatrzeć tego, co odcisnęły w ich duszach setki pokoleń żyjących na pustyni.

Khalid przesunął wzrok i dostrzegł, że Hasaan Rufti wygląda na znudzonego. Świńskimi oczkami zerkał co chwila na jedzenie pozostawione na stole.

Nikt nie dostrzegł sygnału ręką, było to ledwie zauważalne kiwnięcie nadgarstka, ale nagle klatka się otworzyła i wyleciał z niej masywny kształt, który wzleciał nad pustynię na wielkich rozpostartych skrzydłach. Lecąc, wzbijał chmury piasku, póki nie osiągnął wysokości czterech i pół metra. Choć ptak był wielki, wszyscy od razu wiedzieli, że nie będzie on żadnym wyzwaniem dla Sahary. W końcu rarogi słyną z legendarnej szybkości, a drop ledwie sunął w powietrzu niczym przeladowany samolot transportowy.

Ptak nie widział stojących bez ruchu mężczyzn, albo postanowił nie zwracać na nich uwagi, byle tylko wyrwać się jak najdalej od klatki. Leciał prosto na Khalida i małego raroga siedzącego na jego ręce. Khalid opracował system zdejmowania jednym ruchem kaptura i pęt z łap ptaka, by móc podziwiać lekkość, z jaką Sahara namierza cel i rusza w pogoń. Szybciej, niż ktokolwiek mógł zareagować, raróg dojrzał dropia i pomknął w powietrze. Siła pędu aż odepchnęła rękę Khalida.

Khuddari idealnie wymierzył czas przechwycenia ofiary. Niezgrabny drop, kiedy tylko zobaczył raroga, zaczął panicznie zawracać, próbując ratować się przed pędzącą ku niemu Saharą. Ptaki znajdowały się trzydzieści metrów od zebranych gości, którzy w napięciu i z niezdrową fascynacją czekali na nieuniknione zderzenie. Kiedy oba ptaki spotkały się w powietrzu, kilku gości wręcz się wzdrygnęło. Ale do zderzenia nie doszło.

Tak jak sowy i inne ptaki, które padały ofiarą rarogów, drop miał w zanadrzu jeszcze kilka ruchów. Gdy Sahara obróciła się, by uderzyć szponami, drop rzucił się w bok, wygiął i nieco unióś w górę, zaledwie o kilkanaście centymetrów unikając łap drapieżnika. Niczym pilot myśliwca, drop zaczął nabierać wysokości, młóćąc gorączkowo powierze skrzydłami. Sahara zawróciła w chwili, gdy zrozumiała, że drop wciąż lata i zaczęła pościg.

O takim polowaniu marzą wszyscy sokolnicy. Od wieków myśliwi obserwowali, jak ich ptaki unoszą się spiralą w górę, krążąc nad wolniejszą ofiarą, by ją wyprzedzić i nie oddalić się za bardzo od pana. Patrząc, jak Sahara rozplywa się na niebie, Khalid czuł szczególną więź nie tylko z przodkami, ale i z samym ptakiem.

Raróg szybko dogonił uciekającego dropia i pędził dalej, wzbijając się tak wysoko, że z ziemi nie było go widać. U szczytu swojej spiralnej paraboli Sahara rozpostarła skrzydła i runęła w dół, zmieniając się w śmiertcionośny pocisk wycelowany w ślamazarnego dropia. Specjalne klapki na nozdrzach zabezpieczyły jej płuca przed pędem powietrza przy szybkości dwustu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Była pięć razy mniejsza od swego celu, ale pędziła w dół jak rakietka, z odwagą, którą miała we krwi.

Z ziemi uderzenia nie było słychać, ale było je widać. Sahara wbiła się w dropia niczym nóż, łamiąc mu kręgosłup tak pewnie, że natychmiast obwisły mu skrzydła. Wielki ptak zaczął spadać i w końcu runął na ziemię niczym bezładna kupka potrzaskanych kości i piór skropionych krwią.

Khalid nie musiał wabić Sahary żadnymi smakołykami z sakiewki u pasa. Raróg przyleciał do niego, jeszcze nim drop spadł na ziemię. Delikatnie usiadła mu na ramieniu, zupełnie bez siły i furii, jakiej dowód dała przed chwilą. Khuddari nasunął jej ponownie kaptur na głowę i spętał nogi, kiedy tylko skończył gładzić długie pióra na skrzydłach.

Goście zaczęli klaskać, a do owacji dołączyły również kobiety za ich plecami. Sahara przeżyła się i cicho skrzeczała, jakby wiedziała, że te oklaski są dla niej.

- Muszę tu jeszcze chwilę zabawić. Panowie, proponuję, byście zabrali swoje damy i ruszyli do mojego domu w oazie Al-Ain. Dołączę do was za mniej więcej pół godziny - powiedział Khalid do swoich gości.

Część rozrywkowa się skończyła, więc mężczyźni żwawo ruszyli do samochodów. Żaden z nich nie zaproponował, że zostanie i pomoże Khalidowi oporządzić raroga. To nowe pokolenie, uznał, tak ich nauczyli w Ameryce i Europie, łatwo ich zadowolić, a nudzą się szybciej niż małe dzieci.

- Ministrze Rufti - rzekł, wbijając wzrok w korpulentnego urzędnika z Adżmanu, najmniejszego z emiratów. - Może pozwolisz ze mną?

Hasaan bin-Rufti zrozumiał, że zaproszenie Khalida było raczej poleceniem niż prośbą, ale i tak próbował się wykręcić.

- Nie, dziękuję, przyjacielu. - Nacisk tłuszczu na struny głosowe sprawiał, że głos brzmiał mu nienaturalnie wysoko. - Właściwie muszę się już zbierać i lecieć do Adżmanu. Jutro rano odbywa się ważne spotkanie z naszym wielkim księciem, na którym wymagana jest moja obecność. Muszę odmówić twojej uprzejmej gościnności.

- Chodź ze mną. - Głos Khalida zabrzmiał jak trzaśnięcie bicia.

- Oczywiście, oczywiście - odparł Rufti załośnie.

Większość ludzi obecnych na tej wycieczce Khalid uważał za przyjaciół albo przynajmniej partnerów biznesowych, z jednym jedynym wyjątkiem Hasaana bin-Ruftiego. Nikt lepiej niż on nie symbolizował znienawidzonego przez Khalida zła, które trawiło jego kraj. Rufti był niechlujny, chciwy i zaślepiony ambicją. To właśnie chciwość Ruftiego skłoniła Khalida, by go zaprosić. Cały weekend z polowaniem zorganizował tylko po to, by mogli uciąć sobie tę nieformalną pogawędkę.

Czekał, aż Rufti dotoczy się do jego boku, a potem odwrócił się i wyszedł dalej na pustynię, w pobliże dwóch asystentów, którzy czekali przy klatce dropia. Jakby wyczuwając napięcie w gorącym powietrzu, Sahara cały czas kręciła wokół głowy. Choć niczego nie widziała spod kaptura, najwyraźniej skanowała horyzont w poszukiwaniu nowej zdobyczy.

- Ten ptak jest niesamowity. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś takiego. - W głosie Ruftiego dawało się wyczuć nerwowość. Słowami próbował rozproszyć ciężką ciszę.

Khalid milczał, póki nie doszli do asystentów. Nawet się nie odwrócił do ledwo idącej za nim otyłej postaci. Jeden z odzianych w galabiję asystentów wyciągnął ze schowanej mniejszej klatki dużego szarego gołębia, takiego jakie latają w miejskich parkach na całym świecie. Ptak był gruby, z obwisłą piersią. Z ociąganiem poruszał głową.

- Pomyślałem, że z chęcią popatrzysz na kolejny popis mojego raroga, tym razem mniej delikatny niż poprzednio. - Khalid obrócił się do Ruftiego ze znaczącym uśmiechem. - Poprzedni pokaz był stonowany ze względu na panie, ale przecież obaj jesteśmy mężczyźni, prawda? Myślę, że ten... bardziej obrazowy styl polowania bardziej ci się spodoba.

Rufti odprężył się, słysząc te słowa. Przestał napinać barki i można było odnieść wrażenie, że lawina tkanki tłuszczowej spływa mu po rękach i grzbiecie. Roześmiał się nerwowo, ale próbował zachowywać się światowo, więc odpowiedział:

- Wiedziałem, że sokolnictwo to naprawdę krwawy sport i że nie pokazałeś wszystkiego.

Khalid roześmiał się razem z nim, przez chwilę również pozując na światowca.

- Zechcesz wypuścić gołębia? - zapytał, a kiedy dojrzał wyraz obrzydzenia na twarzy Ruftiego, szybko dodał: - Zdajesz sobie sprawę, że to zaszczyt?

- Tak, oczywiście - zgodził się Rufti, choć nie miał na to ochoty. - Co mam zrobić?

Asystent włożył Ruftiemu gołębia do rąk, upewniając się, że palce wielkości serdelków zaciskają się odpowiednio wokół tłustego ptaka. Gołąb miał tak pulchne i miękkie ciało, że palce Ruftiego zagłębiły się mocno, póki nie napotkały oporu kości. Khalid zdjął Saharze kaptur, ale nie uwolnił jej z pęt. Drapieżnik wbił swoje głębokie jak noc czarne spojrzenie w gołębia, jakby zadawał mu ciosy samym wzrokiem.

- Gołębie to w istocie inteligentne ptaki. - Khalid nie patrzył na Ruftiego, ale jego głos przykuwał uwagę nie mniej niż oczy raroga. - Jedzą tylko tyle, ile im trzeba, by przeżyć. Czasami potrafią się utuczyć, jeśli mają dość pożywienia i w okolicy nie ma drapieżników. Tego musieliśmy karmić siłą. Zdaje się, że otyłość to cecha wyłącznie ludzi.

Twarz Ruftiego zaczęła błędnąć. Denerwował się, kiedy przystał na propozycję, by towarzyszyć Khalidowi, ale teraz był po prostu przerażony. Kiedy tylko gospodarz zaczął mówić, natychmiast odkrył związek między sobą a gołębem, ale nie był w stanie nic zrobić. Ostatnie limuzyny odjechały przed chwilą, a wraz z nimi ostatnia szansa ucieczki. Zostały tylko dwie duże furgonetki, które miały zawieźć Khalida i jego asystentów na przyjęcie, które wydawał w Al-Ain.

- Wydaje mi się, że...

- Ani słowa. - Khalid obrócił się do Ruftiego tak szybko, że raróg omal nie spadł mu z ręki. - Czas na polowanie. Mam nadzieję, że ten biedak jeszcze potrafi latać, ale zobaczymy.

Rufti wyglądał na niepewnego i przestraszonego. Przycisnął tłustego ptaka do piersi, jakby jego własny los zależał od losu gołębia.

- Chyba nie chcę na to patrzeć.

- Puszczaj!

Niewiele myśląc, Rufti wykonał polecenie. Gołąb wzbił się ociężale z jego dłoni, rwąc się do lotu wyłącznie siłą woli. Khalid natychmiast uwolnił raroga z pęt, a Sahara zerwała się z ramienia.

Sokoły polują zwykle tak, że najpierw nabierają wysokości, a potem rzucają się bezlitośnie z góry na ofiarę, ale Sahara nie zważała na instynkt. Gołąb był tak powolny i ociężały, że rzuciła się na niego od tyłu z niezwykłą szybkością, do której wystarczyło jej kilka uderzeń skrzydeł. Gołąb nie miał siły ani nie potrafił zmienić toru lotu, choć czuł, że raróg pędzi, by go zabić.

Sahara wysunęła nogi uzbrojone w pazury do przodu, by uderzyć nimi w ofiarę. W chwili zderzenia lekko obróciła się, przekrawając

gołębia na dwie krwawe połówki, które natychmiast z pogardą wypuściła. Pościg zajął siedem metrów. Trzy i pół sekundy.

Dwa strzepy po gołębiu wylądowały na pustyni z tępym łupnięciem, bryzgając krwią na wyschnięty piasek. Sahara runęła na martwego ptaka, rozszarpując go dziobem i szponami, wypełniając wole kawałkami mięsa, które błyskawicznie wyszarpywała ze zwłok. Khalid nie zważał na nią, pozwalając jej się najeść. Odwrócił się do Ruftiego, który był wyraźnie wstrząśnięty rzezią.

- Nawet ktoś tak ograniczony jak ty powinien zrozumieć znaczenie tej sytuacji. Nie mamy żadnych świadków, moi asystenci są z mojego klanu i nie pisną słowa o tym, co się tu działo. Nie myśl, że nie mógłbym cię zabić.

Rufti, może jestem nowy na stanowisku, ale traktuję swoje obowiązki o wiele poważniej, niż możesz sobie wyobrazić. Poświęcam mnóstwo czasu, by poznać wszelkie tajniki branży nafciarskiej w Emiratach. Spotykam się z setkami pracowników, od dyrektorów, aż po robotników obsługujących wieże wiertnicze. Wszystko oglądam i zaczynam wszystko rozumieć. Zaczęły do mnie ostatnio docierać raporty, niepokojące raporty o tym, że do kraju trafiają pieniądze w postaci koncesji na wydobycie ropy, choć nikt żadnej ropy nie wydobywa. Widziałem wizy wjazdowe i wyjazdowe wystawiane ludziom, którzy nie istnieją i doszły mnie słuchy o obozie w twoim ojczystym Adźmanie, głęboko na pustyni, gdzie w zasadzie nie powinno być żywego człowieka.

Khalid obserwował uważnie Ruftiego i w tłustych oczach ministra zauważył błysk oporu. W tym błysku widać było jego prawdziwy charakter, bo choć wyglądał na głupca, w jego otyłym ciele kryło się waleczne serce. Może nie teraz, nie w tych okolicznościach, ale Hasaan Rufti był bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

- Jedenaście miesięcy temu, tuż po deklaracji amerykańskiego prezydenta, widziano cię w Stambule na spotkaniu z niejakim Iwanem Kerikowem, byłym wysokim funkcjonariuszem KGB. Niedługo potem przez ministerstwo do spraw ropy w Adźmanie zaczęły przepływać spore pieniądze, jakbyście nagle wygrali los na loterii. Obaj wiemy, że Adźman nie ma ropy, ale twoje ministerstwo ma trzydzieści milionów dolarów w funduszach, po których ślad się urywa. Skąd masz te pieniądze, Hasaan? Jesteś za głupi, żeby wpaść na coś samodzielnie, więc pytam, kto finansuje to, co robisz.

Rufti otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Khalid natychmiast mu przerwał.

- Zamknij się. Ani słowa. Cokolwiek teraz powiesz, skłamiesz, więc nie strzép sobie języka.

Ze względu na twoją pozycję w rządzie i niepewne czasy, w jakich przyszło nam żyć, obaj wiemy, że nie mogę wszcząć oficjalnego dochodzenia, ale uwierz mi, że nie zamierzam ci odpuścić. Dziś bardziej niż kiedykolwiek Emiraty i OPEC muszą zademonstrować światu jedność. Wiedz, Rufti, że będę z tobą walczył. Będę walczył jako minister do spraw ropy Emiratów, jako przyjaciel rodziny królewskiej i jako człowiek, który wierzy w sprawiedliwość. Uznaj to za ostrzeżenie. Cokolwiek knujesz, nie uda ci się.

Khalid obrócił się na pięcie, ale po chwili znów spojrział na zaskoczonego Ruftiego.

- Odjeżdżamy z moimi dwoma kuzynami. Kiedy dotrzemy do Al-Ain, wyśle po ciebie furgonetkę, byś zdążył na to ważne spotkanie w Adżmanie. Samochód powinien wrócić za godzinę. To będzie najdłuższa godzina w twoim życiu. Wykorzystaj mądrze ten czas. Pomyśl o tym, co ci powiedziałem, bo jeśli przy następnej rozmowie nie spodobają mi się twoje wyjaśnienia, żadna furgonetka nie przyjedzie ci na ratunek.

Ostatnie słowa Khalid rzucił przez ramię, kiedy wraz ze swoimi pobratymcami szli przez twardą skałę w stronę furgonetek. Rufti próbował iść za nimi, ale ogromne cielsko tak go spowalniało, że w końcu skapitulował. Zatrzymał się i patrzył, jak smukły Khuddari sunie po pustyni z rarogiem na ręku, otoczony przez dwóch Beduinów w galabijach.

Rufti stał tak bez ruchu jeszcze przez wiele minut po tym, jak pustka pustyni wchłonęła odgłos odjeżdżających furgonetek. Kiedy w końcu wściekłość opadała w nim na tyle, że był w stanie myśleć, wykrzywił usta i obwisłe policzki we wrednym uśmiechu.

- Spóźniłeś się, Khalidzie Al-Khuddari. Charon czeka już na swej przystani, gotów przewieźć duszę Stanów Zjednoczonych przez rzekę Styks. I nigdy nie dowiesz się, kto opłacił tego przewoźnika, bo zginiesz jako pierwszy.

Arlington, stan Wirginia

Poprzednia noc zasłużyła na miejsce w pierwszej dziesiątce najgorszych nocy Mercera. Po napadzie spędził cztery godziny wśród pandemonium oddziału ratunkowego szpitala DC General. W końcu dostał opatrunek na ranę na policzku, papierowy kieliszek z dwiema

aspirynami na ból i kuksańca w klatkę piersiową, by się upewnić, że nie ma połamanych żeber. Cały czas strzegło go dwóch umundurowanych policjantów, jakby był wrogiem publicznym numer jeden.

Kiedy na wschodzie zaczęło już świtać, zwolniono go ze szpitala i przewieziono na posterunek policji w Arlington, gdzie przez kolejne trzy godziny wysłuchiwał bezsensownych, powtarzanych pytań. Nikt nie wątpił, że nie popełnił przestępstwa, ale najwyraźniej policjanci musieli wyrobić miesięczną normę upierdliwości i Mercer miał pecha, że znalazł się na posterunku w niewłaściwym czasie. W końcu go wypuszczono ze srogim upomnieniem, by nie ruszał się poza okolice Waszyngtonu i by zgłosił wszelkie podejrzone zdarzenia, które zauważy w swoim sąsiedztwie.

Po powrocie do domu Mercer poszedł na górę do baru, zrzucając po drodze marynarkę od smokingu. To, czy podniesie ją jeszcze tego dnia albo jeszcze w tym roku, zupełnie się nie liczyło. Głowa mu pękała, a w ustach czuł taki niesmak, jakby całą noc trzymał tam jakiegoś futrzanego gryzonia. Podkrążone oczy szczypały go, jakby pod powiekami miał piasek. Kiedy wychodził od Tiny'ego, przyjemnie szumiało mu w głowie, ale teraz miał kaca giganta i był wyczerpany.

Zdawał sobie sprawę, że nocny napad nie był przypadkiem. Z całą pewnością ktoś wziął go na cel, podobnie jak Jerry'ego i Johna Smallów. Nie miał wątpliwości, że Howard również jest na tej liście i pewnie już nie żyje. Łączyła ich wszystkich „Jenny IV”.

Co takiego znajdowało się na tym wraku, że warto było zabijać, by chronić tajemnicę? Mercer rozmyślał, ale jedynym śladem był pocięty kawałek nierdzewnej stali z napisem „Roger”. Nie wiedział nawet, czy ma on jakiegokolwiek znaczenie.

Po dwóch zgonach i być może trzecim oraz po zamachu na własne życie, Mercer zdał sobie sprawę, że stawka poszła za wysoko i nie poradzi sobie w pojedynkę. Potrzebował pomocy. Otworzył heinekena ze starej lodówki, usiadł przy barze i sięgnął po bezprzewodowy telefon. Numer prywatnej komórki, który wykręcił, miał zakodowany w głowie.

- Halo?
- Dick, mówi Mercer.
- O cholera. Co tym razem się stało?

Dick Henna był dyrektorem Federalnego Biura Śledczego i jednym z najbliższych przyjaciół Mercera. Poznali się podczas kryzysu na Hawajach i od tamtej pory utrzymywali bliskie stosunki. Mercer bywał częstym gościem na kolacji w domu Henny, a jego żona Fay za wszelką cenę chciała go wyswatać.

- Co za radosne powitanie - odparł Mercer. - Ale masz rację, coś się szykuje. Ktoś mnie napadł, kiedy wychodziłem w nocy od Tiny'ego.

- Jezu, nic ci nie jest? - Choć Henna był formalnie urzędnikiem, nie stracił czujności, jakiej nabył przez lata pracy w terenie.

- Nie, wszystko w porządku, parę zadrapań i siniaków. Dzieciak, który na mnie napadł, nie żyje. Wydaje mi się, że była to próba zabójstwa, które miało wyglądać jak napad.

- Skąd ten pomysł? - W głosie Henny nie było cienia wątpliwości, ale jako policjant niczego nie przyjmował na wiarę, musiał mieć dowody.

- Ten chłopak, Jamal Lincoln, pochodził z Anacostii, czyli był jakieś piętnaście kilometrów od własnego terenu. Wszystkie pojazdy na ulicy w pobliżu domu miały właściwe kwitki parkingowe albo zostały w inny sposób zidentyfikowane przez policję. Mógł przyjechać metrem, ale napadł na mnie po północy, więc nie miałyby potem wrócić do siebie. Musiał mieć jakiegoś współnika, który go przywiózł, a potem uciekł, kiedy napad się nie powiódł.

- No i?

- Daj spokój, Dick, chyba nie muszę ci przypominać, że do napadów dochodzi zwykle w odległości góra półtora do trzech kilometrów od miejsca zamieszkania sprawcy, w okolicy, którą dobrze zna. Poza tym rabusie nie działają w zorganizowanych grupach, z kierowcą czekającym w samochodzie. Zwykle koleś wyrwa coś ofierze i ucieka, najlepiej takiej, która nie będzie w stanie go gonić.

- Może i racja, ale mam wątpliwości. Może był w Arlington z wizytą, potrzebował na taksówkę do domu, a ty okazałeś się najbliższym bankomatem.

- Przyznałbym ci rację, gdyby nie to, że dwóch ludzi, z którymi w zeszłym tygodniu łowiłem ryby na Alasce, wczoraj rano znaleziono martwych. Podejrzewam, że jeszcze jeden facet, który też był tam z nami, również nie żyje. Cały czas do niego dzwonię, ale zgłasza się sekretarka.

Słyszając o Alasce, Henna zastrzygł uszami. Z powodu napiętej atmosfery w kraju w związku z uruchomieniem wierceń na terenie arktycznego rezerwatu wszystko, co działo się na Alasce, miało szczególne znaczenie.

- Wydawało mi się, że pracowałeś nad jakąś maszyną do wiercenia tuneli czy coś takiego.

- Owszem. Kiedy skończyliśmy, popłynęliśmy na ryby z jej wynalazcą, Howardem Smallem i jego dwoma kuzynami.

- I mówisz, że wszyscy nie żyją?
- Nie mam pewności, jeśli chodzi o Howarda, ale obstawiam, że tak. Właściwie dzwonię do ciebie między innymi po to, żebyś wysłał kogoś do jego domu w Los Angeles. Trzeba sprawdzić, czy w ogóle wrócił z Alaski.
- Nie ma sprawy. Skąd przypuszczenie, że ktoś się na ciebie wziął?
- Mercer opowiedział Hennie o „Jenny IV” i swoich podejrzeniach, że zniszczyło ją coś więcej niż tylko ogień. Wspomniał, że ciężkie wsporniki żurawi do wylawiania sieci zostały ścięte, a anteny radiowe powyrywane u nasady. Trzymając w ręku stalowy fragment, opisał go Hennie szczegółowo, niczym patolog relacjonujący sekcję zwłok.
- Przychodzi ci do głowy, co to za Roger?
- Nie. Podzwoniłem do macierzystego portu tej łódki, ale nikt nie słyszał o żadnym Rogerze. A w kapitanacie portu nie pamiętają, by w dniu, kiedy ruszyła w ostatni rejs, na pokład wsiadł ktoś obcy.
- I co o tym wszystkim sądzisz? - W głosie Henny zdziwiony Mercer usłyszał zainteresowanie. Coś zdecydowanie było na rzeczy.
- Nie wiem. Coś na „Jenny IV” eksplodowało po tym, jak wybuchł pożar i go ugaszono. Nie mam pojęcia, co mogło wybuchnąć, nie rozrywając łodzi. Chcę cię poprosić, żeby twoi laboranci w Quantico przyjrzeni się temu kawałkowi stali, może im się uda coś wydedukować. Patrzę na niego od kilku dni i nic mi nie przychodzi do głowy.
- Niezły pomysł. Po południu wyślę do ciebie kuriera. Gdyby to mówił ktoś inny, pomyślałbym, że ma paranoję. Ale znam cię i wiem, że kłopoty wleką się za tobą jak posłuszny pies. Co zamierzasz?
- Ja? Poczekam, co znajdą twoi chłopcy z laboratorium, a potem pakuję manatki i zwijam się stąd. Nie zamierzam czekać, aż ktoś mnie znowu napadnie.
- Słuchaj, Mercer, obaj wiemy, że Alaska to teraz numer jeden we wszystkich amerykańskich domach. Dlatego traktuję to tak poważnie. Możliwe, że twój kumpel z Kalifornii ma się dobrze, tylko przedłużył sobie wyjazd jeszcze o kilka dni, a napad był przypadkowy, ale póki nie będę w stanie tego udowodnić, pilnuję tej sprawy jak oka w głowie. Mam wyraźne rozkazy od prezydenta co do Alaski - ciągnął Henna. - Cokolwiek, naprawdę cokolwiek, co może stanowić choćby najdrobniejsze zagrożenie, mamy prześwietlać na wylot, bez żadnych pytań, ilu potrzeba do tego agentów i jakie są koszty. Muszę mu składać cotygodniowe raporty na temat działalności ekologów, którzy zainstalowali się w Valdez i Anchorage.

Mam mu też przesyłać kopie listów z groźbami wysyłanych do firm naftowych, które zaczynają wiercenia w rezerwacie. Średnio trafia nam się osiemdziesiąt takich pogróżek tygodniowo, a moi agenci traktują je wszystkie jak najpoważniej. Czy to możliwe, że któraś z tych grup uwzięła się na ciebie? Rozumiem, że twoja praca miała związek z budową drugiej nitki rurociągu przez Alaskę, prawda?

- Tak, Howard Small współpracował z firmą budującą TAP 2. Ostateczny odwiert testowy wykonaliśmy w górze, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na północ od Valdez, równoległe do starego rurociągu. Tym tunelem pobiegnie nowa rura. Miniarca oszczędziła nam około dziesięciu tygodni ostrych wybuchów i usuwania kamieni - odparł Mercer, wiedząc, do czego zmierza Henna. - Ale wszystko było dobrze zabezpieczone. Mało kto wiedział, co tam robiliśmy. Poza tym to nie wyjaśnia, dlaczego zabito kuzynów Howarda. Przyznaję, że mam tylko poszlaki, ale jeśli się potwierdzą, to zdecydowanie dzieje się tam coś, co przeoczyli twoi agenci.

- Jeśli coś złego przydarzy się nowemu rurociągowi albo ekipom pracującym w rezerwacie, to mnie skopią tyłek - powiedział Henna. Mercer wiedział, że jego przyjaciel nie ma wyjścia. - Lepsze poszlaki niż nic. Słuchaj, chcesz ochronę? Analiza tego kawałka metalu może potrwać kilka dni.

Mercer zastanowił się przez chwilę, po czym się zgodził.

- Żaden ze mnie bohater. Jeśli chcesz, możesz tu przysłać cały pluton wojska. W grupie rażniej.

- Przydzielę ci jednego agenta, póki nie wyjedziesz z miasta. Rozgryziemy to wszystko, pod warunkiem że czegoś się dowiemy o tym kawałku metalu. Zadzwoń do ciebie, jak tylko ekipa z Los Angeles sprawdzi dom Howarda Smalla. Dopilnuję, żeby laboratorium uwinęło się z analizą do poniedziałku rano.

Mercer podał Hennie numer i adres Howarda Smalla, po czym się rozłączył. Dopił resztę heinekera i zastanawiał się, czy nie wyleczyć kaca kolejnym piwem, ale doszedł do wniosku, że potrzebuje długiego prysznica i ośmiu godzin snu.

Nim udał się do sypialni, podszedł do sejfu zamontowanego w szafce w gabinecie. Otworzył go i wyjął dziewięćmilimetrową beretę z czarną kaburą na ramię. Broń pochodziła z magazynów amerykańskiej armii, dostał ją od Dicka Henny w miejsce pistoletu, który zgubił w zeszłym roku na Hawajach. Henna dał mu też pozwolenie na noszenie broni wszędzie na terenie Stanów Zjednoczonych poza pokładem samolotów pasażerskich. Zamknął sejf i wsunął naładowaną broń oraz zapasowy magazynek do kabury pod ramieniem.

Po raz pierwszy od czasu, kiedy Henna dał mu tę broń, poczuł, że naprawdę jej potrzebuje. Jej obecność dodawała mu otuchy.

Kurier przyjechał po stalowy fragment dziesięć minut po tym, jak Mercer wyszedł spod prysznic. Siniaki na ciele były ciemnoróżowe i fioletowe. Zamiast jednak iść do łóżka, siedział przy barze i wpatrywał się w tajemniczy kawałek stali. Tę kontemplację przerwało przybycie kuriera i agenta, który miał jako pierwszy objąć wartę przed domem Mercera. Kiedy oddał stalowy przedmiot i pogadał przez chwilę ze strażnikiem, padł na łóżko jak zabity.

Dick Henna zadzwonił dwie godziny później.

- Przykro mi, że dzwonię z takimi wieściami, ale wygląda na to, że Howard Small nie żyje. Sąsiadka, która obserwowała jego dom, twierdzi, że nie widziała go od wyjazdu na Alaskę. Nie ma bagażu, a na sekretarce nagrało się ponad dwadzieścia wiadomości. Po bliższych oględzinach odkryliśmy ślad po kuli w podłodze i ślady krwi na dywanie, zgodne z grupą krwi Smalla. Znaleźliśmy też coś, co wygląda na zwłoki kota w młynku pod zlewem w kuchni. Dom został profesjonalnie wyczyszczony, żadnych odcisków, żadnych śladów opon. Tylko krew, dziura po kuli i kot.

- W takim razie to nie przypadek. Ktoś na nas poluje. - W głosie Mercera słychać było wyraźnie nieokreślony gniew.

- Na to wygląda. Ten kawałek stali właśnie dotarł do Quantico. Doktor Goetchell twierdzi, że jutro przed południem będzie miała wstępny raport. Kiedy tylko go dostanę, odezwę się, a potem masz zniknąć.

- Nie martw się o mnie. Stanę się niewidzialny.

Mercer obudził się ponownie tuż po szóstej. Tym razem z błęgiego stanu nieważkości wyrwało go walenie w drzwi. Światlik nad łóżkiem pociemniał, niebo zasnuło się deszczowymi chmurami. Wciągnął dzinsy, narzucił koszulę i zbiegł schodami na dół. Poturbowane ciało było zeszywniałe, więc poruszał się jak staruszek, powoli szurający nogą za nogą.

Wyrzał przez judasz i zobaczył agenta specjalnego Mike'a Petersa, a obok niego kogoś, kogo nie miał już nadziei ujrzeć. Otworzył drzwi i uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Przepraszam, że pana niepokoję, ale ta kobieta nalegała, bym pana poinformował, że przyszła.

O ile Aggie Johnston w markowej sukience wyglądała pięknie, to w dzinsach i prostej białej koszulce prezentowała się uroczo. Włosy upchnęła pod baseballówką. Jej twarz wyglądała jak u zadbanej studentki. Wyróżniały się jedynie uszmkowane usta, które podkreślały jej niedopowiedzianą zmysłowość.

- A to ci niespodzianka - odezwał się Mercer, spoglądając w jej zielone oczy.

- Wpadłam z kolacją. - Podniosła plastikową reklamówkę ozdobioną smokami i chińskimi znakami. - I ani się zorientowałam, a ten facet zaczął mnie obmacywać. Co tu się dzieje? - Przerwała, kiedy dostrzegła opatrunek na policzku Mercera. Głos jej złagodniał. - O Boże, co ci się stało?

Mercer odwrócił się do Petersa.

- Przeszukałeś ją?

Wielki agent FBI wyglądał na zmieszanego.

- Musiałem się upewnić, czy nie ma broni.

- Szczęściarz. Gdybym spróbował czegoś takiego, to pewnie poobrywałaby mi ręce i nogi.

- Mercer, co ci się stało? - przerwała im zniecierpliwiona Aggie.

- Może wejdziesz? Wszystko ci opowiem.

Odsunął się, by wpuścić Aggie, i mrugnął do Petersa, kiedy weszła za próg.

- Tego się nie spodziewałam. - Aggie oglądała wysokie atrium. - Jak tu pięknie.

- Dziękuję. Chodź na górę. Zrobię ci drinka. - Poszedł za nią po schodach, szczęśliwy, że ma oczy na wysokości jej szczupłej pupy, która poruszała się z gracją, gdy Aggie pięła się na górę.

Zatrzymała się w bibliotece, by przejrzeć tytuły. Powiodła palcami po grzbiecie jednego z dwudziestu ośmiu tomów osiemnastowiecznej *Encyclopedie Methodique* Denisa Diderota. Oglądała półki jak urzeczona, jak prawdziwy bibliofil. Mercer miał w swoim księgozborze wiele wczesnych wydań najświetniejszych prac z geologii i mineralogii. Podeszła do jednej z półek i wyciągnęła *Ziemię na krawędzi* Ala Gore'a.

- Nigdy bym nie podejrzewała, że znajdę u ciebie tę książkę - droczyła się.

- To prezent - szybko zareplikował Mercer. - Przysięgam, że nawet jej nie przeczytałem.

W barze Aggie przesunęła ręką po masywnym mahoniowym blacie i studiowała subtelnie zdobiony bar zajmujący niemal cały pokój.

- To bardziej do ciebie pasuje. Męski, przytłaczający i nastawiony tylko na alkohol.

- Twój ojciec ma chyba o mnie lepszą opinię, niż sądziłem, skoro tak świetnie mnie scharakteryzował. Rozumiem, że to on ci powiedział, gdzie mnie znaleźć?

- Tak naprawdę wykradłam twój adres z jego notatnika. - Aggie postawiła torbę z jedzeniem na blacie i usiadła na stołku, podwijając jedną nogę. Siedząc w ten sposób, bezwiednie wcisnęła dżinsy w punkt między udami. Mercer z trudem oderwał wzrok od tego kuszącego widoku. - Charakterystyki osobowości dokonałam sama. Powiesz mi w końcu, dlaczego kuśtykasz i masz opatrunek na twarzy?

Od chwili, gdy weszła do domu, droczyła się z Mercerem, ale teraz w jej głosie słychać było prawdziwą troskę, która łagodziła kąśliwe uwagi.

Mercer zanurkował za bar. zaproponował jej drinka, ale bardziej chodziło mu o to, żeby nieco oddalić się od Aggie Johnston. Miał nadzieję, że fizyczna bariera w postaci baru pomoże mu wznieść barierę psychologiczną. Wiodąc chaotyczne życie, zupełnie nie miał ochoty poddać się uczuciu, jakie zaczęło się w nim rodzić.

- Może być białe wino? - zapytał, sięgając do lodówki po butelkę.

- Wolałabym stingera.

Mercer uniósł brwi z uznaniem i sięgnął po brandy oraz biały krem miętowy.

- Kiedy odwoziłem cię wczoraj wieczorem, wpadłem do baru tu niedaleko na jednego przed snem.

Postawił przed nią drinka, a sobie nalał sporą szklaneczkę brandy. Na blacie stała popielniczka, z której korzystał głównie Harry White. Aggie uznała jej obecność za zezwolenie na papierosa. Paczkę i złotą zapalniczkę Dunhilla położyła obok drinka.

- Wyszedłem ze dwie godziny później, dość nastukany, muszę powiedzieć. Tak czy siak, kiedy wracałem do domu, jakiś chłopak mnie napadł. Jak widzisz, wyciął mi niezły numer. - Mercer dotknął opatrunku na policzku. - To od uderzenia pistoletem.

- Jezu! - krzyknęła Aggie. - I co się potem stało? Jak uciekłeś?

- Nie uciekłem. Zabiłem go w końcu. - Mercer czekał, aż Aggie się skrzywi, ale przypomniał sobie, że to przecież córka Maksa Johnstona. Śmierć byle kryminalisty tak łatwo nią nie wstrząśnie. - Wyszedłem z baru z dwiema butelkami. Obiłem mu nimi głowę, a potem dźgnąłem go rozbitą szyjką. Zemdlałem i ocknąłem się w szpitalu, jak pielęgniarka zmywała mi krew z twarzy.

Aggie milczała przez chwilę. Ta historia nie wymagała natychmiastowych wyrazów współczucia i udawanych emocji. W końcu zapytała:

- Nadal cię boli?

- Tylko kiedy się śmieję. - Mercer się uśmiechnął. - Najgorszy w tym wszystkim był potężny kac.

- Skoro cię napadnięto, to czemu przed drzwiami stoi agent FBI i obmacuje gości?

- Nie wiedziałem, że będzie obmacywał, słowo. A stoi tam w ramach przysługi. Pomyślałem, że w tym napadzie brał udział ktoś jeszcze. Mam lekką paranoję na punkcie ewentualnej zemsty.

Mercer mieszał fikcję z faktami, by uwiarygodnić swoją opowieść, ale znów nie docenił Aggie.

- Ojciec zawsze cię lubił i wiedział, że się w tobie podkochiwałam, więc jak tylko coś o tobie usłyszał, zaraz się ze mną droczył. Twój chłopak zrobił to, twój chłopak zrobił tamto - mówiła drwiącym i ironicznym głosem, naśladując swojego ojca. - Kiedy byłam młodsza, moje zauroczenie było widać jak na dłoni. Opowiedział mi o wszystkim, co robiłeś przed wojną w Zatoce, o tym jak poprowadziłeś oddział komandosów do Iraku, żeby ocenić ich kopalnię uranu.

Powiedział mi też, że są na tym świecie ludzie, którzy choćby nie wiem jak się starali, zawsze wdepną w kłopoty. I że ty jesteś jednym z nich. Wiem, że nie wierzysz, że padłeś ofiarą zwykłego napadu, i wiem, że zdajesz sobie sprawę, że ja też w to nie wierzę. Nie będę się czepiać twojej bajeczki, ale jak następnym razem nie będziesz chciał mi czegoś zdradzić, po prostu mi o tym powiedz. Zgoda?

Mercer nie posiadał się z radości na myśl o tym, że szykował się jakiś następny raz. W istocie był zdumiony, że Aggie w ogóle tu jest. Zapytał, czemu przyszła.

Zapaliła kolejnego papierosa, bardziej z nerwów niż z nałogu. Mówiła ze spuszczonego wzrokiem:

- Wczoraj wieczorem powiedziałam coś, czego nie powinnam była mówić, rzuciłam na ciebie wiele własnych problemów. Jestem trochę zażenowana.

Widać było wyraźnie, że przeprosiny nie przychodzą Aggie łatwo. W nieśmiałym, elfim uśmiechu odsłoniła piękne białe zęby, a w kącikach jej oczu pojawiły się zmarszczki. Lecz kiedy na niego spojrzała, szmaragdowe oczy patrzyły niemal błagalnie, odsłoniła się prawie tak, jakby stała nago.

Roześmiała się, rozładowując nagłe napięcie.

- To, że tu jestem i przepraszam, nie znaczy, że przestałam cię nienawidzić za twoją pracę.

- Obiecuję nie gwałcić planety, póki tu jesteś.

Zjedli chińskie dania i rozmawiali godzinami. W ramach niewypowiedzianej umowy starali się nie mówić o sobie, bo poprzedniego wieczoru padło na ten temat za dużo słów. Mimo sprzecznych przekonań oboje byli niezwykle inteligentni i oczytani. Nawet kiedy

towarzyska rozmowa zmieniła się w dysputę, obojgu niezwykle się ona podobała. O wpół do dziesiątej siedzieli już na skórzanej kanapie tak blisko, że prawie się dotykali. Tuż przed dziesiątą Aggie wykonała pierwszy ruch i sięgnęła do dłoni Mercera. Właśnie coś mówił, ale kiedy poczuł jej dotyk, głos uwiązł mu w gardle.

Przerwał, spojrzał na jej twarz. Oczy zaszyły jej wilgotną mgiełką, a źrenice miała dwa razy większe niż zazwyczaj. Usta rozchyliły się zapraszająco. Mercer świetnie odczytał wszystkie sygnały i objął jej głowę z tyłu dłonią, by nieco ją unieść, aby ich usta mogły się spotkać.

W tej samej chwili po domu rozniósł się chropawy głos Harry'ego White'a.

- Hej, Mercer, jesteś? Myślałem, że wpadniesz do Tiny'ego, pooglądać futbol.

Nastrój chwili prysnął od razu.

Odsunął się od niej szybko. Gdyby tego nie zrobił natychmiast, nie byłby w stanie się zatrzymać.

- Harry! - ryknął sfrustrowany. - Aleś sobie wybrał porę.

- No właśnie, pora. To nie ja postawiłem dwadzieścia dolców na Steelersów i nie raczyłem potem nawet przyjść i pogapić się na mecz. - Głos Harry'ego przybierał na sile, w miarę jak ten wspinał się po spiralnych schodach. Z każdym krokiem coraz wyraźniej słychać było jego kuśtykanie.

Nagle Mercer zdał sobie sprawę z sytuacji i przeszył go prąd.

- Harry, jak u licha się tu dostałeś?

- Przecież pięć lat temu dałeś mi klucz. Na mózg ci padło, czy co?

- Kryj się! - krzyknął Mercer. - Aggie, uciekaj za bar i się nie wychylaj.

Harry wszedł do domu, nie spotkawszy agenta Petersa. To oznaczało, że strażnikowi z FBI coś się przydarzyło. Mercer wybiegł z baru i rzucił się tylnymi schodami w stronę sypialni. Z atrium dochodziło tylko tyle światła, by mógł dojrzeć wstętny kształt beretty, którą zostawił na szafce nocnej przed popołudniową drzemką. Rzucił się ciężko przez łóżko. Kiedy sięgnął po broń, świetlik nad wielkim łóżem eksplodował rozerwany siłą strzału z automatu. Kule przecięły materac i kołdrę, rozsypując wokół chmurę piór, szklanych odłamków i łusek.

Mercer wykonał przewrót, kiedy zetknął się z podłogą i zarazem zsunął broń z szafki. Wylądował na plecach, z nogami opartymi o zniszczone łóżko i pistoletem wycelowanym w sufit. Przesunięcie bezpiecznika kciukiem zajęło mu ułamek sekundy i po chwili już pociągał za spust, opróżniając magazynek tak szybko, jak obiecywał producent broni.

Kiedy napastnik spadł przez rozbity świetlik, Mercer już stał. Bezwładne ciało zamachowca wyrznięto w łóżko tak mocno, że pękła rama i zwłoki spadły na podłogę, zostawiając karmazynowe plamy na pościeli. Mercer wysunął opróżniony magazynek i włożył nowy, a potem pewnym ruchem wprowadził nabój do lufy.

Adrenalina buzowała mu w żyłach jak wstrząśnięty szampan, wyostrzając zmysły do granic możliwości. Jeśli Harry wszedł, nie spotkawszy po drodze Mike'a Petersa, to można założyć, że agent nie żyje i co najmniej jeden napastnik jest w domu na dole. Mercer mógł mieć tylko nadzieję, że ten z dachu był jedynym towarzyszem tego, który czaił się na dole.

Ubezpieczający właśnie zginął w spektakularnym stylu, a Mercer nie miał pojęcia, co zrobi jego kumpel. Istniała możliwość, że ucieknie, ale dość znikoma. To już druga próba zamachu na jego życie w ciągu dwudziestu czterech godzin i na pewno chcieli w końcu załatwić sprawę jak należy. Ponieważ znał swoją kamienicę lepiej niż przeciwnik, jedyną szansą był atak. Musiał myśleć o Aggie i Harrym. Podkraść się do krańca antresoli, wystawił głowę nad poręczą, by upewnić się, że w holu na dole nikogo nie ma, a następnie wystrzelił trzy kule w marmurową podłogę. Pociski odbiły się rykoszetem, iskrząc jak sztuczne ognie. Natychmiast rzucił się do ucieczki przez sypialnię na schody z tyłu. Ten, kto czaił się na dole, zapewne uzna, że to osłona dla osoby, która zejdzie spiralnymi schodami, ale Mercer zamierzał zająć przeciwnika od flanki, zamiast nacierać prosto na niego. Na wąskich tylnych schodach nie napotkał nikogo, kiedy ostrożnie skradał się na dół z berettą gotową do strzału. Palec na spuście w każdej chwili gotów był opaść. Drzwi do dwóch sypialni dla gości były pozamykane. Mercer doszedł do wniosku, że przeciwnik nie miał czasu, by zastawić tam pułapkę, więc je minął. Bar mieścił się w głębi korytarza. Mercer wahał się, czy chronić Aggie, czy atakować. Ale wątpliwość rozwiązała się sama.

- Wyjdź albo twój ojciec zginie. - Nieznajomy aż kipiał od gniewu, ale mówił władczym głosem.

Biblioteka, pomyślał Mercer. Facet trzyma Harry'ego w bibliotece i sądzi, że to mój ojciec. Zbiegł tylnymi schodami, sunąc tak szybko, że bosymi stopami ledwie muskał stopnie. Przez korytarz, który oddzielał kuchnię od pokoju do bilardu, przebiegł bezgłośnie. Wiedział jednak, że robi to za wolno. Napastnik spodziewa się odpowiedzi w ciągu kilku sekund, a on już zmitrężył za dużo czasu.

Podbiegł do spiralnych schodów i zaczął się wspinać z wyciągniętym przed siebie pistoletem. Tuż przed wejściem na piętro przeszedł

przez barierkę i wisząc trzy metry nad holem, szedł dalej w górę, kurczowo trzymając się palcami stóp zewnętrznych krawędzi dębowych stopni. Uniósł się, by zajrzeć do biblioteki. Gdyby normalnie stał na stopniach, ten szybki ruch przyplaciłby życiem.

Uzbrojony mężczyzna stał w miejscu, gdzie zbiegały się dwie półki z książkami. Plecami wcisnął się w kąt i trzymał przed sobą Harry'ego jak żywą tarczę. Ruch głowy Mercera chowającej się za barierką nie uszedł uwagi zamachowca. Wystrzelił błyskawicznie. Pocisk przeszedł daleko, ale gdyby Mercer stał tam, gdzie powinien, już by nie żył. Miał zaledwie ułamek sekundy na reakcję. Następny strzał będzie już celny.

Rzucił się ze schodów w stronę grubych słupków wzdłuż balkonu biblioteki. Wyciągnął się jak struna i chwycił jedną ręką gruby dąb. Pęd skoku wygiął go w taki łuk, że poczuł, jakby za chwilę miało mu wyrwać bark ze stawu. Lufa pistoletu znalazła się na poziomie podłogi w bibliotece. Strzelił za szybko. Trafił Harry'ego White'a tuż poniżej kolana. Siła postrzału z dziewięćmilimetrowego pocisku ugięła pod Harrym nogę. Padając na podłogę, pociągnął za sobą napastnika.

Mercer prawą ręką złapał kolejny słupek. Ścisnął go ze wszystkich sił, próbując nie upuścić beretty. Przerzucił się przez poręcz, korzystając z chwili, kiedy zabójca się uwalniał od ciężaru oszołomionego Harry'ego, nie zważając na kałużę krwi, jaka się pod nimi utworzyła. Zamachowiec wyswobodził się ułamek sekundy przed Mercerem. Podniósł broń spokojną wyciągniętą ręką. Mercer strzelił ponownie, a oba wystrzały zlały się w jeden wielki grzmot. Poczuł na barku strumień wrzącego kwasu, kiedy kula wyłobila płytki rowek w jego ciele. Siła strzału rzuciła go na barierkę. Trzy słupki pękły i omal nie poleciał na twarde marmur w holu. Mimo bólu zobaczył, że trafił wroga w sam środek klatki piersiowej. Pocisk z beretty poderwał go w górę, jakby ktoś szarpnął sznurki marionetki. Zwłoki wylądowały w barze, rozciągnięte na podłodze w nienaturalnej pozie. Wrzask Aggie przeszył powietrze niczym syrena, to wznosząc się, to opadając. Mercer nie zważał na nią, bo krzyczała ze strachu, nie z bólu. Harry leżał bez ruchu na podłodze, z trupio-błądą twarzą jak z wosku. Mercer podczołgał się do starego przyjaciela. Krople krwi z barku wsiąkały w beżową wykładzinę. Mercer obawiał się, że trafił Harry'ego nie w tę nogę.

- Ty sukinsynu. - Harry odwrócił się, trzymając w rękach po-trzaskane resztki swojej protezy. Plastik koloru ciała był postrzępio-ny w miejscu, gdzie przeszła przez niego kula. - Masz pojęcie, ile to kurewstwo kosztuje?

Z ulgi Mercer opadł na podłogę. Leżał z twarzą zanurzoną w grubą wykładzinę, adrenalina uchodziła z niego niczym alkoholowy rausz.

- Wystawisz mi rachunek - wydyszał.

- Mercer! - wrzasnęła Aggie, a strach w jej głosie przeszył go jak elektryczny wstrząs.

Napastnik wstał z podłogi z pistoletem wycelowanym w Aggie skuloną w pobliżu skraju baru. Na udzie miał burgundową plamę, tam gdzie musiała go trafić pierwsza kula Mercera, przeszedłszy przez protezę Harry'ego. Wdychał łapczywie powietrze, próbując odzyskać oddech po tym, jak ogłuszyła go druga kula, zatrzymana przez kerlarową kamizelkę. Mercer ryknął i rzucił się w stronę baru z wściekłością w szarych oczach.

Wróg odwrócił się w stronę dźwięku i szybkim płynnym ruchem przeniósł cel z Aggie na Mercera. Ten nie zważał na broń wymierzoną w jego stronę. Zrobił sześć mocnych kroków i wpadł na obcego, wbijając mu zraniony bark w klatkę piersiową. Obaj runęli na tylną ścianę, aż zadrzało szkło za barem. Mercer wykorzystał swoją niewielką przewagę, by obrócić pistolet i wbić go w brzuch napastnika, tuż pod kamizelką, która przed chwilą uratowała mu życie. Wcisnął go z całej siły, czując przez chwilę opór twardych mięśni. Wwiercił broń głębiej, prawie rozcinając mu skórę, a w końcu skierował lufę do góry i wystrzelił cztery kule w klatkę piersiową. Wewnętrzne organy mężczyzny zmieniły się w mokre strzępy, które wyszły mu przez plecy i rozbryzgały się na boazerii.

Mercer cofnął się i pozwolił zwłokom opaść na podłogę. Dłoń miał całą we krwi. Odwrócił się. Aggie stanęła już na nogi, ale nieco chwiejnie. Idąc przez pokój, patrzyła na trupa z mieszaniną strachu i odrazy, a w końcu padła w ramiona Mercera.

Syknął z bólu, kiedy przesunęła ręką po jego barku, naruszając świeżą ranę. Kiedy opadł na podłogę, Aggie kucnęła z nim, nie puszczać jego szyi. Wzrok miała wciąż wbity w zwłoki leżące o metr dalej.

- To, to... - jąkała się, ale nie była w stanie wykrztusić słowa.

- Co? - wydyszał Mercer. Serce tłukło się mu trzy razy szybciej niż zazwyczaj, a ręce dopiero teraz zaczęły się trząść ze strachu, na który do tej pory nie zważał.

Oderwała wzrok od trupa i zauważyła ranę Mercera.

- Postrzelił cię.

- Nic mi nie jest. To tylko draśnięcie. - Mówiąc to, delikatnie zdjął jej rękę ze zranionego barku.

- Jezu Chryste. Dopiero co odstrzeliłeś mi nogę i już trzymasz kobietę w ramionach - zbeształ go Harry, stojąc u wejścia do baru.

Aggie aż podskoczyła, kiedy zobaczyła, kto przemówił. Harry opierał się o futrynę drzwi między barem a biblioteką. Stał tylko na jednej nodze. Druga nogawka spodni zwisała pusta. Oderwaną protezę trzymał niczym karabin po komendzie „prezentuj broń”. Mercer nie mógł się powstrzymać od śmiechu, patrząc na ten absurdalny obraz.

- Wyglądasz jak statysta z kiepskiego horroru *Noc beznogich pijaków*.

- Też mam cię w dupie - prychnął Harry. - Co tu się, do cholery, stało i kto to, do diabła, jest? - Wskazał protezę na Aggie niczym palcem wskazującym.

- Przed chwilą doszło do drugiej w ciągu doby próby zamachu na moje życie, a to jest córka Maksa Johnstona, Aggie. Aggie, ten żaloszny typ to Harry White, mój najstarszy przyjaciel w sensie chronologicznym i człowiek, któremu oboje zawdzięczamy życie. Harry, gdybyś tu nie wtargnął, ci faceci przyłapałiby nas z gaciami u kostek. - Mercer uświadomił sobie, jaką palnął gafę i szybko dodał: - Oczywiście w sensie metaforycznym.

Aggie pomachała niepewnie ręką i uśmiechnęła się lekko. Harry dostrzegł, na co patrzy, i opuścił protezę.

- Nie przejmuj się tym. Straciłem ją tak dawno, że nie pamiętam już, jak to jest mieć obie.

Zaczął skakać przez pokój, przy każdym skoku przytrzymując się jakiegoś mebla, aż w końcu usadowił się przy barze, a uszkodzoną protezę oparł o podnózek niczym parasol.

- Należysz mi drinka, jak będę dzwonił na policję, czy sam mam wszystko zrobić?

Słyszając spokojny głos Harry'ego, Mercer wstał z podłogi. Pod tym względem można było na Harry'ego liczyć - w każdym miejscu i sytuacji potrafił zachować godne podziwu opanowanie i nic nie było w stanie wytrącić go z równowagi.

- Świetny pomysł. - Mercer złapał kilka ścierek z baru i przykrył nimi ciało, a potem nalał Harry'emu jacka danielsa i piwa imbirowego, a sobie porządną kolejkę brandy. To lepiej znieczuli bark niż pigułki, które dostanie w szpitalu. - Aggie, jeszcze jednego stingera? Myślę, że ci nie zaszkodzi.

Aggie spojrzała na zwłoki i odezwała się:

- Nie, muszę stąd uciekać, i to już. Jej

nerwowość zirytowała Mercera.

- Spokojnie - mruknął Harry. - On już ci nic nie zrobi.

- Nie o to chodzi. - Aggie zerwała się na równe nogi i ruszyła do drzwi.

Mercer poszedł za nią i dogonił ją przy wejściu na spiralne schody.

- Wszystko w porządku?

To naturalne, że chciała jak najszybciej oddalić się z miejsca takiego koszmaru, ale Mercer był pewien, że za jej reakcją kryło się coś jeszcze. Przeżył już dość krwawych starć i wiedział, jak ludzie reagują, zwłaszcza gdy po raz pierwszy mają do czynienia ze śmiertelnym postrzałem. Wiedział więc, że Aggie ucieka z jakiegoś innego powodu, niemającego związku z tym, co się właśnie stało. Objął ją ramieniem.

- O co chodzi? - zapytał z taką troską w głosie, że ściszył go niemal do intymnego szeptu.

- Nie może mnie tu być - odparła, wyplątując się z jego uścisku. - Policja nie może mnie tu zastać.

Wypadła z domu, trzaskając drzwiami z takim hukiem, że Mercer poczuł ból większy niż w zranionym barku.

Anchorage, stan Alaska

Kerikow trzasnął słuchawką o telefon tak mocno, że wąski biurowy aparat rozpadł się na dwie części, które łączyło jedynie kilka cienkich drucików. To jednak nie wystarczyło, by się uspokoił. Szarpnął cały aparat ze stolika i rzucił nim o ścianę hotelowego apartamentu. Telefon roztrzaskał się w drobny mak o twarde dębowe panele. W geście maniaka Kerikow pobiegł na drugi koniec pokoju i zaczął wciskać butem szczątki telefonu w dywan, póki nie poczuł, jak wbijają mu się w podeszwę. Oddech i puls przyspieszyły, a na szerokie czoło wystąpił pot.

Odwrócił się, żeby wyjrzeć przez okno z widokiem na największe miasto Alaski. Jego apartament w Anchorage Holiday Inn, chyba najlepszym hotelu w mieście, znajdował się tylko jedno piętro niżej niż pokój kapitana Cooka. Choć spędził w pokoju tylko kilka godzin od powrotu z przesłuchania Howarda Smalla w Kalifornii, miał czas, by zauważyć widok na pokryte śniegiem szczyty Gór Brookska. Z rzadka zza warstwy chmur wylaniał się też zarys szczytu McKinley. Między miastem a górami ciągnęły się dwie czarne wstążki bazy lotniczej Elmendorf.

Kiedy Kerikow zameldował się w pokoju, od razu zobaczył samoloty zwiadowcze AWACS, startujące z bazy. Ich charakterystyczne płaskie jak talerz anteny na grzbiecie wyglądały niczym inżynierska niedoróbka. Obserwując jedną z takich maszyn pnącą się w niebo,

mocno dymiącą z czterech silników, Kerikow zastanawiał się, po co Amerykanie w ogóle to robią. Nie ma już czego szpiegować.

Stał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w przedwieczorną panoramę miasta i gór, skupiając się na oddechu, oczyszczając umysł, próbując na próżno poskromić emocje. Wiedział, że właśnie przeżył coś, co nazywał epizodem - moment, gdy tracił świadomość i działał powodowany wyłącznie emocjami. Przeształ panować nad swoimi poczynaniami, a umysł wypierał wszystko, co się wtedy działo. Te chwile, zwykle pełne przemocy, stawały się niepokojąco częste i coraz dłuższe. Kiedy to się zaczęło, w czasach, gdy był śledczym KGB w Afganistanie, epizody trwały zaledwie chwilę i przydarzały mu się raz na dwa, trzy miesiące.

Wówczas sądził, że to skutek stresu wywołanego przez walkę na najbrudniejszym froncie wojny, której nie dało się wygrać. Pod koniec wojny zdarzało się, że tracił świadomość nawet na cały dzień. Czasami odzyskiwał ją gdzieś w innej części kraju i nie miał pojęcia, jak tam trafił ani dlaczego. Epizody ustały, kiedy wojna dobiegła końca. Gdy Związek Radziecki wycofał swoją armię jak niepyszny, podobnie jak Amerykanie z Sajgonu, zaćmienia Kerikowa ustały na kilka lat. Przeształ nawet pamiętać o tych zdarzeniach. Ale pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych powróciły. Zdał sobie sprawę, że jego kariera w KGB nie ma przyszłości, widząc, jak radzieckie państwa satelickie jedno po drugim się reformują i zmieniają na modłę zachodnią, a jego ukochana *rodina* znika pod falą kapitalizmu. Wtedy epizody powróciły, a ich czas i częstotliwość wzrosły wykładniczo. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Kerikow w ślepej furii zabijał nawet ludzi. Podczas ostatnich miesięcy w Rosji ocknął się po takim zdarzeniu i zobaczył, że czterech podwładnych zginęło z jego ręki - siedzieli wokół stołu konferencyjnego z poderżniętymi gardłami. Nie pamiętał, jak to robił ani jak zdołał obezwładnić pozostałych, kiedy zabijał ich kolegów.

Zdając sobie sprawę z powrotu mrocznej strefy własnego umysłu, Kerikow odwrócił się szybko, by sprawdzić, czy w nieokielznanym gniewie znów kogoś nie zabił. Jego gość, szczupły chłopak o wyglądzie naukowca, siedział w czarnych dżinsach i golfie, patrząc na niego przez grube okulary. W zamglonych oczach widać było, że nie rozumie tego, czego był właśnie świadkiem.

Iwan Kerikow ukrył ulgę na widok wciąż żywego młodego Amerykanina. Przeszedł ponownie przez pokój i nalał sobie nieco szkockiej do szklanki z grubego szkła. Nie zavrcając sobie głowy lodem, wlał trunek prosto do gardła. Ogień przeszył mu wewnątrz

niczym pazury drapieżnika. Ostrożnie odstawił szklanę na stolik do kawy, dbając o to, by ustawić ją dokładnie pośrodku wąskiego kółka rozlanej whisky na szklanym blacie. Ten małeńki rytuał celebrował porządek, którego on sam nie mógł osiągnąć we własnym umyśle. Stał nad młodym człowiekiem z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Ten gest onieśmielał tak samo jak wymachiwanie wielką pięścią. Mówił dobrze modulowanym i jednostajnym głosem. Buzujące emocje tymczasowo schował za fasadą.

- Przez niekompetencję innych masz teraz o wiele trudniejsze zadanie.

Ted Mossey nic nie mówił. Przycupnął na skraju mocno wypchanego fotela jak wystraszony ptak, gotów zaraz zerwać się do lotu.

- Dzwonił mój człowiek z Waszyngtonu. - Kerikow skinął głową w stronę zniszczonego telefonu. - Nie udały się dwie próby powstrzymania wroga, który teraz przypuści na nas atak. Znam go dobrze i wiem, że jedyną naszą szansą na pokonanie go jest przyspieszenie działań. Musisz być gotowy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. W przeciwnym wypadku będziemy musieli zrezygnować z projektu.

- Nie! - Gniew w głosie Mosseya zelektryzował całe jego ciało. Napiął wąskie ramiona i miękką skórę na podbródku.

Ted Mossey miał twarz w kształcie szpadla. Słaby podbródek stanowił jego spiczastą końcówkę, a okrągłe policzki tworzyły zaokrągloną górę. Był jakby pozbawiony kości policzkowych, więc twarz mu się zapadała, a charakteru nadawał mu jedynie mały nos. Okulary miał zatknięte za odstające uszy ukryte pod prostymi blond włosami. Całą jego twarz pokrywały wściekle czerwone blizny - młodzieńczy trądzik prześladował go również w dorosłym życiu, i to z pożałowania godną intensywnością. Ale Kerikow nie zatrudnił Mosseya ze względu na wygląd. Ten dwudziestoosmiolatek dołączył do ekipy przygotowującej „Przystań Charona”, bo był komputerowym wirtuozem.

Potrafił czyścić jeden program z błędów i jednocześnie pisać inny, na dwóch różnych klawiaturach, bo pisał jednakowo sprawnie prawą i lewą ręką. Wzrok biegał mu między ekranami tak szybko, że zlewały się w jeden obraz. Mossey odpowiadał za generatory grafiki trójwymiarowej do gier komputerowych najnowszej generacji, a jego program do kaskadowej obróbki danych geometrycznych był tak zaawansowany, że aby go wdrożyć, trzeba było odczekać, aż szybkość komputerów wzrośnie stukrotnie.

Kerikowa w Tedzie Mosseyu zainteresowało jednak coś jeszcze innego, coś, co wyróżniało go spośród innych komputerowych

geniuszy, których w Stanach Zjednoczonych było na pęczki. Choć wielu wcześniejszych kandydatów dysponowało odpowiednimi umiejętnościami, to tylko u Mosseya dostrzegł coś, co pozwalało go łatwo pozyskać. Mossey był wściekłym ekologiem, ekoterrorystą, który wykorzystując swoją wiedzę komputerową, siał zniszczenie wśród firm drzewnych, kopalni i w spółkach przemysłu ciężkiego. Dla wielu działaczy ruchów ekologicznych bardziej liczył się rozgłos niż efekty, ale Mossey wolał pracować w cieniu, niszcząc systemy komputerowe i powodując milionowe straty w tych firmach, które jego zdaniem szkodziły planecie. Kiedy Kerikow zgłosił się do Mosseya i w krótkich słowach wyłożył mu zasadę działania „Przystani Charona”, młody Amerykanin prawie błagał, żeby móc wziąć udział w projekcie.

- Nie pozwolę na to - powiedział gniewnie Mossey. - To zbyt ważna sprawa. Dam radę w czterdzieści osiem godzin, nie ma sprawy.

Kerikow usłyszał w głosie Mosseya brawurę. Nie potrzebował zapewnień, chciał prawdy, więc odezwał się oskarżycielskim tonem:

- W terminalu morskim masz pracować dopiero za trzy dni, a ja chcę, żebyś tam był za dwa. Jak to zrobisz?

- To proste. Jak tylko dostałem posadę programisty w spółce Alyeska, wprowadziłem im do systemu wirusa, który zablokuje wszystkim stacjom roboczym dostęp do serwera centralnego. Nikt nie będzie w stanie korzystać z komputera. Mogę uruchomić wirusa z domu i zamrozić każdy komputer w firmie obsługującej rurociąg. W ciągu ostatnich kilku miesięcy parę razy korzystali z moich eksperckich porad, więc i tym razem zadzwonią, żebym zreperowałem system. - Ted mówił o komputerach z pewnością siebie, która maskowała fizyczną delikatność.

- Nie zorientują się, że ktoś wszedł do systemu z zewnątrz?

Z nieśmiałością Mossey pokręcił głową na tę obrazę dla jego umiejętności.

- Już wykasowałem odpowiedni podprogram w ich systemie antywirusowym. Nie ma żadnego śladu po kontakcie z zewnątrz.

- Jeśli tak, to czemu nie potrafisz z własnego komputera odpalić mojego głównego programu na serwerze centralnym? - zapytał zdroworozsądkowo Kerikow. Nie rozumiał subtelności komputerowego hakerstwa, ale miał nadzieję, że będzie w stanie uniknąć ryzyka, jakie wiązało się z umieszczeniem Mosseya wewnątrz terminalu morskiego Alyeska.

- Już mówiłem. - Mossey westchnął. - Twój program został zaszyty w jądrze systemu podczas uaktualniania go w 1986 roku.

Kiedy wasz programista wpisywał go na serwer, zablokował możliwość aktywacji ze wszystkich innych miejsc poza główną salą komputerową w Valdez. W ten sposób nikt nie był w stanie natknąć się na niego w żadnym komputerze biurkowym ani znaleźć go po włamaniu do systemu. Program jest nie do wykrycia, ale zarazem jest bardzo trudno dostępny. Moje kasowanie śladów to pikuś w porównaniu do zabezpieczeń, jakie zainstalował wasz człowiek.

Kerikow zrozumiał, że nie ma innego wyjścia i musi wprowadzić go do pokoju komputerowego w Valdez, aby mógł uruchomić programy zapisane na serwerze ponad dekadę temu przez jednego z najlepszych agentów Kerikowa. Sabotaż komputera był jedynym aktywnym elementem „Przystani Charona”, jaki Kerikow przeprowadził przed upadkiem Związku Radzieckiego. Potem wszystko robił już na własną rękę, przy finansowym wsparciu Hasaana bin-Ruftiego i innych. Aby skopiować operację byłego członka KGB, potrzebne mu były jedynie kody komputerowe.

- Jak szybko możesz ich zablokować i przenieść się do terminalu? - zapytał, czując już w powietrzu zapach zwycięstwa. Philip Mercer wprawdzie jeszcze żyje, ale nie zdoła powstrzymać Kerikowa, kiedy zostanie uruchomiony program kontrolny.

- W jakieś cztery godziny po powrocie do mojego mieszkania w Valdez. Kiedy zamrozę im system, od razu do mnie zadzwonią. Wtedy wystarczy mi dosłownie kilka godzin, żeby uruchomić wasz program.

- Doskonale. Jeszcze dziś wieczorem masz wrócić do Valdez, ale na razie nie blokuj komputerów, czekaj na mój telefon. Opóźnienie nie powinno być większe niż dwadzieścia cztery, maksymalnie trzydzieści sześć godzin, rozumiesz?

- Tak, jasne, ale po co czekać?

- Uruchomienie mojego programu to dopiero pierwszy etap całej operacji, są jeszcze inne, o których nie wiesz. Muszę mieć pewność, że wszystko jest na swoim miejscu, nim całkowicie przejmemy system. - Kerikow nie był w nastroju do wyjaśniania swoich rozkazów.

Nie czekając nawet, aż Mossey wyjdzie, przeszedł z salonu do sypialni. Tylko tamten telefon w apartamencie jeszcze działał. Wykręcając wewnętrzny numer do Abu Alama mieszkającego dwa piętra niżej, szukał w kieszeni spodni paczki papierosów i zapalniczki.

- Słucham - odebrał Alam.

- Wyjeżdżamy za kilka godzin. Pojawiły się drobne komplikacje. Ludzie z Waszyngtonu nawalili.

- Mercer nadal żyje? - Mimo swej niestabilności Alam zachował dość profesjonalizmu, by zadawać właściwe pytania.

- Tak. Zamiast próbować jeszcze raz, postanowiłem ściągnąć go na Alaskę, żeby szukał wiatru w polu. Zajmiemy się nim później. Żeby przyjechał na pewno, musimy wrócić do Homer. Zatankuj samochód. Spotkamy się w holu. - Kerikow spojrzął na zegarek. - O dziesiątej.

- Mamy być uzbrojeni? - Nawet Alam czuł respekt przed amerykańską policją i swój ulubiony półautomatyczny karabin SPAS-12 zabierał w podróż tylko wtedy, kiedy musiał.

- Tak. Zabierzemy moich ludzi. - Kerikow potrzebował pewniejszych rąk swoich dwóch niemieckich ochroniarzy zamiast morderczych arabskich rewolwerowców Alama. Choć byli agenci Stasi schrzaniłi przesłuchanie rybaka i jego syna, byli dobrze wyszkoleni i zdyscyplinowani, a dziś w nocy będzie mu potrzebny ich profesjonalizm. Rozłączył się i natychmiast wykręcił inny numer.

- Nie mogę teraz mówić, wciąż trwa załadunek - odezwał się zdawkowo jakiś głos i połączenie się urwało.

Kerikow patrzył przez chwilę na milczącą słuchawkę, ale był zadowolony, bo chciał się dowiedzieć od swojego agenta, co się dzieje. Wykręcił jeszcze jeden numer, nie zważając na różnicę czasu, mając gdzieś, że obudzi mężczyznę na drugim końcu linii.

- Halo - odezwał się zaspany głos po kilku dzwonekach.

- Znow pokpięś sprawę. Mercer wciąż żyje. - Kerikow słyszał, jak rozmówca zrywa się z łóżka.

- To niemożliwe. Wysłałem najlepszego człowieka. Jeszcze nigdy mnie nie zawiódł.

- Jeden z moich starych znajomych w Waszyngtonie właśnie zadzwonił do mnie z ulicy, przy której mieszka Mercer. Stoją tam jakieś dwa tuziny glin. Mówi też, że widział, jak Mercer rozmawia z samym Dickiem Henną.

- Ktoś jeszcze tam był?

- A jakie to ma znaczenie? Mercer żyje, a ty zawiódłeś mnie dwukrotnie. Twoja nieudolność jest niedopuszczalna. - Po ostatnim zdaniu Kerikow zrobił długą pauzę.

- Jutro będzie martwy, nawet jeśli miałbym zabić go własnymi rękami.

- Nie bądź głupi - warknął Kerikow. - Strzeże go teraz FBI. Jedyne sposob, by go powstrzymać, to zwabić go na Alaskę. Tu zajmę się nim osobiście. Mam z nim stare rachunki do wyrównania.

- Co mam zrobić?

- Na razie nic. Czy z Ruftim wszystko ustalone?

- Rozmawiałem z nim dziś wieczorem. Mówi, że Khalid Al-Khuddari coś podejrzewa, ale zapewnia mnie, że jest gotów uderzyć, zanim Khuddari domyśli się, co naprawdę grozi rodzinie królewskiej.

- Broń?

- Wszystko jest na pokładzie „Petromaksu Arabii”, która stoi w porcie w Abu Zabi i, tak jak zaplanowałeś, czeka na pozaplanową inspekcję konserwacyjną. - Mężczyzna mówił coraz pewniejszym głosem. - „Arctica” powinna wypłynąć z Valdez za dwie godziny, więc wszystko idzie zgodnie z planem. Mercer może i żyje, ale nie jest w stanie przerwać tego, co uruchomiliśmy. Nie martw się, Iwan. Za kilka dni ostatnie źródło ropy w Ameryce stanie się niedostępne, ceny benzyny się podwoją, a mapę Bliskiego Wschodu trzeba będzie znów rysować na nowo. I tym razem nikt nie zdoła nawet kiwnąć palcem, żeby powstrzymać zmiany. Wszyscy trzej dostaniemy to, na czym nam zależy: ty pieniądze, ja zyski, a Rufti własny kraj.

- Uwierzę, jak zobaczę. Pycha gubiła większych ludzi niż ty - dociął mu Kerikow, po czym powiedział bardziej zamyślonym tonem: - Boję się o Ruftiego. Po prostu nie wierzę, że ten tłuścioch ma jaja i dość oleju w głowie, żeby wykonać swoją część planu. Jeśli mu się nie uda, wszystko się wyda.

- Masz jeszcze czas, żeby wyeliminować Khuddariego? - zapytał wspólnik Kerikowa.

- Nie. I to mnie właśnie niepokoi. Przyspieszyłem nasz terminarz o cały dzień, więc nie da się już z tym nic zrobić. Obawiam się, że Rufti jest zdany na siebie, póki to wszystko się nie skończy. - Kerikow skrywał gniew. W dawnych czasach wysłałby jakiegoś zabójcę, który sprzątnąłby Khuddariego i wyeliminował ryzyko. Ale teraz nie miał już takiej władzy.

- Znam Hasaana Ruftiego dłużej niż ty. Mnie też zmyliła jego słabość do jedzenia. Myślałem, że to oznaka większej słabości jako człowieka. Khuddari może okazać się trudnym przeciwnikiem, ale Rufti jest dość chciwy i przebiegły, by się go pozbyć. I nie będzie się przejmował ani kosztami, ani żadnymi przeszkodami. Nie ma absolutnie żadnych skrupułów. Poznałeś jego przydupasa, Abu Alama. Chryste, Rufti jest dwa razy bardziej pieprznięty niż ten wariat i dziesięć razy groźniejszy. Ale będę jeszcze rozmawiał z Ruftim jutro rano. Dopilnuję, żeby zrozumiał, jakie masz obawy.

- Nie wie, że pracujemy razem? - Kerikow omal nie krzyknął, a twarz poczerwieniała mu od paniki i wściekłości.

- Oczywiście, że nie - uspokoił go szybko rozmówca. - Będzie myślał, że to moje obawy. Nie martw się, Iwan. Nie ma pojęcia o naszej umowie.

- Nie spieprz tego, bo Bóg mi świadkiem, że jak cię dopadnę, będziesz marzył o śmierci. - Nerwowo odłożył telefon. Nonszalancja jego współnika omal nie przyprawiła go o zawał.

Raz już prawie zrealizował swój plan, ale wszystko się posypało przez paskudną chciwość i udział Philipa Mercera.

Zapalił kolejnego papierosa, by ukoić stargane nerwy. Miał tylko kilka minut do spotkania z Alameem i dwójgim swoich ludzi przed wyjazdem do Homer. Kiedy już podsunie Mercerowi fałszywy trop, będzie mógł znów skupić się na innych częściach „Przystani Charona”.

Przed wyjściem z apartamentu musiał zadzwonić w jeszcze jedno miejsce. Łączenie trwało nieco dłużej niż normalnie, bo sygnał szedł przez satelitę, a potem był przenoszony na częstotliwość morską. Odezwał się męski głos.

- Czy to „Nadzieja”? - zapytał.

- Tak - zaszczębiotała kobieta.

- Mówi Iwan Kerikow. Powiedz swojemu szefowi, że przyspieszamy atak o dwadzieścia cztery godziny. Macie być gotowi. Będzie pod telefonem rano w razie pytań.

Budynek J. Edgara Hoovera, Waszyngton

Centrala FBI mieści się w centrum Waszyngtonu, w potężnym budynku ze stali i szkła, który bardziej pasuje do korporacji high-tech niż głównej agencji śledczej Ameryki. Za murami budynku nazwanego na cześć najczujniejszego Amerykanina w dziejach FBI kieruje niezliczonymi operacjami na terenie całego kraju, od najbardziej przyziemnych po te najniebezpieczniejsze, a każdą zajmuje się z najwyższą starannością, która zdaniem wielu graniczy z paranoją. Jednak niez mordowani pracownicy Biura wiedzą, że swoją pracą zabezpieczają własny naród jak zaden inny na świecie.

Dick Henna miał kilka gabinetów na najwyższym piętrze. Kiedy nie musiał robić wrażenia na gościach i potrzebował prywatności, wołał prostą salę konferencyjną kilka pięter niżej. W ten sposób próbował utrzymywać więź z instytucją, którą kierował, i nie zamykać się w wieży z kości słoniowej jak wielu jego poprzedników. Henna miał twarz buldoga z wielką zuchwą, wygiętym nosem i małymi oczkami. Ciało pasowało zresztą do twarzy - szerokie barki i tłusty

brzuch osadzone na krótkich nogach. Wyglądał jak pałkarz z niechlubnej przeszłości związków zawodowych. Mimo wieloletniej wspinaczki po szczeblach kariery w agencji i rocznego już stażu na fotelu dyrektora FBI Henna nie stracił wyglądu przepracowanego ulicznego agenta.

Naprzeciw niego spoczął wygodnie Mercer. Nie wyglądał dużo gorzej po ostatnim zamachu i nocy spędzonej pod czujnym okiem FBI w hotelu Willard, jednym z najlepszych w Waszyngtonie. Rana postrzałowa nie była głęboka, raczej irytująca niż groźna. Draśnięcie miało się zagoić w kilka dni. Ze względu na powagę spotkania założył garnitur. Leżał na nim równie dobrze, jak ulubiona para dżinsów czy koszulka do rugby. Kiedy wieczorem do jego kamienicy przyjechała policja oraz Henna i dwa samochody pełne agentów specjalnych FBI, dostał czas na spakowanie podstawowych rzeczy i został zawieszony do Willarda. Harry'ego White'a odwieziono i przesłuchano w jego mieszkaniu.

Aż do północy dwójka twardych śledczych wypytywała Mercera o każdy element napaści na jego dom. Za każdym razem przypominały mu się kolejne szczegóły, kiedy przetrząsał umysł w poszukiwaniu informacji. Był całkowicie szczery i współpracował ze śledczymi. Utrzymywał jednak, że był sam, kiedy zjawił się Harry. Choć miał ogromne poczucie zdrady, uznał, że lepiej nie wspominać o Aggie Johnston. Harry w ramach przysługi dla Mercera miał potwierdzić, że kiedy przybył, zastał przyjaciela samego.

Mercer nie miał czasu, by zastanowić się nad reakcją Aggie. FBI przepytowało go tak długo, że czuł się zmęczony samym powtórnym opowiadaniem wydarzeń poprzedniego wieczoru. Ale niepokoiło go jej nagłe odejście, nie wiedział, co mogło oznaczać.

Henna nietypowo jak na siebie był zgaszony. Rozmawiał już z wdową po agencie Petersie i zamierzał ją odwiedzić w ciągu dnia. Nie palił się do tego obowiązku, ale nie pozwoliliby zrobić tego nikomu innemu. Choć nie znał osobiście młodego agenta, śmierć Petersa przeżył głęboko, jakby następnego dnia szykował się pogrzeb jego najlepszego przyjaciela.

Do sali weszła asystentka z kawą na tacy. Mercer wziął czarną i czekał, aż Dick rozcieńczy swoją sporą ilością mleka i dorzuci dwie łyżeczki cukru.

- Dlaczego wyglądasz gorzej niż ja? Przecież to na mnie wczoraj napadli. - Mercer próbował go trochę rozruszać, ale nie był w stanie odmienić grobowego nastroju Henny.

- Nie wiem jak ty, ale ja wczoraj poczułem, że gównu naprawdę wpadło do wentylatora. - Henna ze smutkiem pokręcił głową. - Po zamachu na ciebie zadzwoniłem do prezydenta, nawet go obudziłem. Dał mi pełnomocnictwo, żebym pogrzebał w CIA i Narodowej Agencji Bezpieczeństwa w poszukiwaniu wszystkiego, co może dotyczyć Alaski albo ciebie. - Henna wyjął ciasno poskładaną kartkę z kieszeni i prostował ją, mówiąc dalej: - NSA przysłało to dwie godziny temu.

Mercer przejrzał kartkę, nie zwracając uwagi na biurokratyczny żargon i zbędne słowa, które zaśmiecały każdy rządowy dokument. Istota informacji sprowadzała się do tego, że jakiś mężczyzna o imieniu John Krugger wjechał do Stanów dwanaście dni wcześniej.

- No i co z tego?

- Komputery NSA automatycznie oznaczają paszporty z podejrzanyimi nazwiskami. Przetwarzają tysiące takich ostrzeżeń tygodniowo. Chodzi o nazwiska czy fałszywe nazwiska identyczne lub podobnie brzmiące jak nazwiska terrorystów i innych niechcianych osób. Naturalnie większość tych alarmów to tylko nic nieznaczące przypadki. Ale komputer oznacza też na czerwono pewne nazwiska osób, którymi się interesujemy. To natychmiast zostało oznaczone.

- Nadal nic mi to nie mówi. - Mercer zachowywał się nonszalantko, ale włoski na karku się mu zjeżyły, bo zaczynał coś przeczuwać.

- John Krugger to zanglizowana wersja Johanna Kreigera - odparł beznamiętnie Henna.

Mercer wzruszył ramionami, ale bezwiednie zaparł się mocniej stopami, jakby oczekiwał ciosu.

- Johann Kreiger był ulubioną fałszywą tożsamością Iwana Kerikowa, a według KGB, które nadal życzy mu śmierci, Kerikow ma angielski paszport na nazwisko John Krugger.

- Kerikow jest w kraju? - wychrypiął Mercer.

Zawirowały w nim emocje, nieukierunkowane, przypadkowe. W chaosie zaczął tworzyć się ład i przez burzę przebiło się jedno dominujące pragnienie. Mercer chciał zemsty. Iwan Kerikow, autor „Kuźni Wulkana”, którą skradł dawnemu KGB, omal nie zabił Mercera z dziesięć razy. Mercer chciał dopaść Rosjanina i go wykończyć, ale Kerikow trzymał się z daleka. Wytrawnie manipulował innymi, by wykonywali dla niego zadania, sam zaś trzymał się z dala od Stanów. Ale teraz Kerikow przyjechał do Ameryki, na teren Mercera. I Mercer chciał dostać kolejną szansę, by zabić Rosjanina. Z wściekłości żołądek zacisnął mu się w supel.

- Dick, on jest mój.

- Porozmawiamy o tym później. Na razie musimy się dowiedzieć, po co tu przyjechał.

- Myślisz, że to może mieć coś wspólnego ze mną i Alaską?

- Ponieważ na Hawajach stracił przez ciebie sto milionów dolarów, jestem pewien, że cię w to wciągnie. Zważywszy na nastroje w kraju i w rządzie, zakładam, że dziś wszystko ma związek z Alaską.

Rozległo się pukanie do drzwi i ktoś wszedł, nie czekając na zaproszenie.

Doktor Lynn Goetchell była starszym analitykiem w Laboratorium Kryminologicznym FBI pod Waszyngtonem i rządziła swoim królestwem niczym dobrotliwy dyktator. Fartuch laboratoryjny, w którym stale chodziła, był dla niej niczym płaszcz cesarza. Usiadła obok Mercera, prawie go nie zauważając. Nie była źle wychowana, ale trzy doktoraty, które miała na koncie, wymagały pewnych poświęceń i towarzyskie umizgi poszły na pierwszy ogień. Miała na sobie skromną niebieską garsonkę, a jedyną biżuterią były klipsy ze sztucznych minerałów.

Mercer nie widział jej nigdy wcześniej, ale podejrzewał, że Goetchell nie spała, odkąd otrzymała metalowy fragment z „Jenny IV”. Na bladej twarzy widać było wyraźnie cienie pod oczami koloru dojrziałych siniaków. Mercer poczuł zapach odczynników chemicznych, jakie osadziły się na jej skórze.

- Właściwie mogę powiedzieć, że nie udało nam się dowiedzieć absolutnie nic o tej próbce, którą mi przesłaliście - przyznała Lynn Goetchell, kiedy się przywitani. - Mieliśmy niespełna dwadzieścia cztery godziny, a to za mało na pełną analizę, ale stawiam moją reputację, że o wiele dalej się nie posuniemy.

- A co już wiecie? - zapytał Henna.

- Ot, zwykła stal nierdzewna, kompletnie pospolita pod każdym względem. Tusz, którym wydrukowano słowo „Roger”, to zwykły produkt licencjonowany przez dwadzieścia różnych firm tylko w samych Stanach. Nie do wyśledzenia. Obecność sodu i okrzemków na powierzchni da się wyjaśnić zanurzeniem w wodzie morskiej. Stężenie soli odpowiada jej zawartości w wodach północnego Pacyfiku i Cieśniny Księcia Williama. Obejrzelśmy ją pod mikroskopem elektronowym w dwustutysięcznym powiększeniu i nie odkryliśmy niczego niezwykłego...

- A miejsce, w którym metal został wyszczerbiony? - wtrącił się Mercer.

- Odpowiada gwałtownym wybuchom, implozjom albo rozerwaniu. Takie pęknięcie mogło wywołać niemal wszystko. Nie mogę po-

wiedzieć nic ponad to. Wokół uszkodzonych odcinków nie było śladów środków chemicznych, żadnego osadu czy środków wybuchowych.

- Ślepa uliczka - mruknął Mercer niepokieszony.

- Właśnie - przyznała Goetchell. - Znaleźliśmy tylko jedną rzecz, której nie widać na pierwszy rzut oka. Za pomocą komputerowej ekstrapolacji odkryliśmy, że fragment został oderwany od cylindra o obwodzie około dziewięćdziesięciu sześciu centymetrów.

Mercer przeliczył w myślach i wyobraził sobie tubę z nierdzewnej stali o średnicy około trzydziestu centymetrów. Nadal nic mu to nie mówiło.

- W takim razie co dalej?

- Dalej mamy inne dowody z „Jenny IV”. - Goetchell wyjęła teczki ze swojej dyplomacji. - Raporty z sekcji zwłok, bardzo zresztą kiepskie. Osobiście odebrałabym licencję patologowi z Anchorage.

Otworzyła cieńszą z dwóch teczek zawierającą ostatnie słowa o ludziach, którzy zginęli na „Jenny IV”.

- Szczątki szkieletu znalezione w kabinie łodzi były zbyt zniszczone, by coś z nich uzyskać. Stopień zwęglenia fragmentów kości wskazuje, że pożar osiągnął temperaturę ponad ośmiuset stopni. To by odpowiadało substancjom palnym, występującym na łodziach: drewno, plastik i paliwo. Nie było nawet dość DNA do analizy. Identyfikacji trzeba było dokonywać przez uzębienie.

- A ciało znalezione na pokładzie?

- Przyczyną śmierci był ostry wstrząs poparzeniowy. Mężczyzna stracił w płomieniach czterdzieści procent masy ciała. Płuca miał tak zwęglone, że nawet gdyby przeżył pożar, i tak umarłby w ciągu kilku godzin. - Rozdała im kilka ponurych fotografii. Zwłoki były koszmarnie zdeformowane, tak jak zapamiętał je Mercer. Z poparzonych rąk odstawały fragmenty skóry, przypominające papier wyjęty z niszczarki. Zwęglone kikuty w miejscu nóg i twarz bardziej zniszczona niż Mercer mógł sobie wyobrazić - zmarły nie miał powiek, uszu ani nosa, a usta spłonęły, odsłaniając pokrzywione żółte zęby.

- A to co? - Henna podniósł jedno ze zdjęć.

Goetchell zerknęła.

- Tego nie było w raporcie patologa, ale wygląda na zdjęcie z biopsji komórki. Chyba komórki podskórnej tkanki tłuszczowej.

- Wyglądają, jakby się zapadły - zauważył Mercer. Naoglądał się dość programów naukowych w telewizji, by wiedzieć, jak prezentuje się struktura zdrowej komórki. Te wyglądały jak porozrzucone cegły z sypiącego się muru. Ściany komórkowe, zwykle wyraźnie określone i zwarte, tu były rozsmarowane i porozrywane.

Doktor Goetchell wzięła zdjęcie od Henny i przyjrzała mu się uważniej.

- A niech mnie. Zupełnie mi to umknęło. Kolejna zagadka, jakbyśmy ich mieli za mało.

- Skąd się biorą takie zniszczenia? - zapytał Mercer.

- Wzrost pozakomórkowego stężenia soli, cukrów i białka zmusza komórki do wydzielania wody, by zrównoważyć stężenia rozтворów - wyjaśniła cierpliwie Lynn Goetchell. - Jeśli nierównowaga chemiczna jest szczególnie duża, komórki nie są w stanie wydzielić dość wody, by rozcieńczyć swoją warstwę ochronną. Odwadniają się i w końcu zapadają w sobie, a właściwie implodują. Ten mechanizm obronny komórek w końcu prowadzi do ich samozagłady.

- Co mogło być tego przyczyną? - dopytywał się Henna. Grał zupełnie nie w swojej lidze i starał się jak mógł, by nadażyć za tokiem rozumowania.

- Mnóstwo związków chemicznych. Ludzkie ciało jest bardzo wrażliwe na toksyny w swoim otoczeniu. Tego rodzaju uszkodzenia zdarzają się też, kiedy ciało zamarzło.

- Jezu! - wykrzyknął Mercer. - Zamarzanie. Dlaczego, do cholery, nie wpadłem na to wcześniej?

- Ale o co chodzi? - Henna pokręcił głową. - Zwłoki znaleziono na Alasce przy wyjątkowo chłodnej pogodzie jak na tę porę roku. Nic dziwnego, że ciało zmarzło.

Mercer odwrócił się do niego. Pojawiła się cieniutka niteczka, która mogła doprowadzić ich do rozwiązania zagadki.

- Dick, zwracaj uwagę na samogłoski. Pani doktor nie powiedziała „zmarzło”, tylko „zamarzło”. - Zerknął na Lynn Goetchell i w nagrodę otrzymał skinienie głowy. - O jakich temperaturach mówimy? Minus sto trzydzieści?

- Komórki są zniszczone całkowicie, a ponieważ nie znamy czasu reakcji, nie ma sposobu, by to obliczyć.

- Nieważne - odparł Mercer. Oderwał kartkę z notatnika, który Henna miał pod łokciem i z kieszeni marynarki wyjął długopis. Henna i Goetchell patrzyli w milczeniu, jak Mercer pisze słowo, którego znaczenia żadne z nich nie potrafiło odgadnąć: „Roger”. - Zauważcie, że ten kawałek stali został rozerwany na samym końcu ostatniej litery „r”, prawda? - Nie czekał na odpowiedź. - A jeśli to w ogóle nie było „r”? - Pociągnął dalej górny łuk litery i zjechał w dół, tak że powstało słowo „Rogen”.

Szybko podniósł wzrok. Lynn Goetchell od razu zrozumiała, dokąd zmierza Mercer, ale Henna wciąż wyglądał na zagubione-

go. W skupieniu opuścił kąciki ust. Mercer dokończył słowo z namaszczeniem, uzupełniając litery, które zostały oderwane podczas wybuchu na pokładzie „Jenny IV”: „nitrogen”. Azot. Potem dodał jeszcze słowo, które musiało widnieć wcześniej na obudowie cylindra o trzydziestocentymetrowej średnicy w ładowni zniszczonej łodzi: „liquid nitrogen”. Ciekły azot. Dodał nawet symbol - trójkąt z kółeczkiem - oznaczający zagrożenie dla życia.

- Idę o zakład, że na „Jenny IV” znajdowało się o wiele więcej niż jeden zbiornik z ciekłym azotem - powiedział Mercer triumfująco. - Pamiętam, że żuraw na rufie i wszystkie maszty anten zostały zerwane. Teraz to ma sens. Ogień musiał ogrzać ciekły azot w ładowni. Ponieważ znalazłem zwłoki leżące jeszcze na koi, oznacza to, że ogień musiał rozprzestrzenić się szybko. Drugi członek załogi był na pokładzie, kiedy płomienie wywołały wybuch zbiorników z azotem. Statek musiał ogarnąć mgła schłodzonego gazu, która zdusiła płomienie. To dlatego ciało było częściowo tak mocno poparzone, a częściowo nietknięte. Ogień został zduszony i nie zdążył spalić tego człowieka do końca. - Mercer przerwał, wyobrażając sobie ból towarzyszący takiej śmierci. Wzdrygnął się i odsunął od siebie ten makabryczny obraz. - Gwałtowna zmiana temperatury osłabiła żurawie i anteny, popękały pod własnym ciężarem.

Henna spojrzał na Goetchell, szukając potwierdzenia.

- Zważywszy na wstępne ustalenia z sekcji zwłok, to się trzyma kupy. Azot skrapla się w temperaturze minus dwustu trzydziestu jeden stopni, około sześćdziesięciu siedmiu stopni powyżej zera absolutnego na skali Kelvina. To dość, by wywołać takiego rodzaju zniszczenia komórkowe. I nie wymaga drogiej aparatury chłodzącej jak ciekły wodór czy hel. Ogień w pobliżu zbiorników mógłby teoretycznie wywołać wrzenie cieczy i pęknięcie zbiorników. Wyrzuciłby azot na zewnątrz w postaci chmury. Tego rodzaju schłodzenie na pewno może osłabić metal, plastik czy drewno do tego stopnia, że łamie się ono pod nawet najmniejszym naciskiem. Chyba każdy uczeń widział, jak paznokieć zanurzony w ciekłym azocie rozpada się na kawałki od uderzenia młotkiem.

- Dlaczego? - Henna zastrzeżił tym pytaniem Mercera.

- Hej, daj mi chwilę. Jeszcze dziesięć sekund temu nie wiedzieliśmy, co przewoziła „Jenny IV”.

Zapadła cisza, podczas której ścienny zegar z białą tarczą odmierzył swoim cykaniem pięć minut. Cienka czerwona wskazówka minutowa bezlitośnie, mechanicznie pokazywała upływ czasu. Mercer przeciągnął się i wpatrzył w coś, co widział tylko on.

- Skąd go wzięli? - mamrotał pod nosem. - Nie ma sensu zabierać ciekłego azotu z ładunku i wywozić go w morze. Raczej przewozili go w stronę portu, kiedy wybuchł pożar. Skąd, u licha, wzięli zbiorniki z ciekłym azotem na środku zatoki Alaska?

- Kolejna zagadka na naszej liście - odezwał się Henna ponurym głosem.

- Zaraz, zaraz. - Mercer odwrócił się do Lynn Goetchell. - Możesz mi podać datę i godzinę śmierci?

- Zwłoki znaleziono siedemnastego, a patolog określił czas zgonu na wczesne popołudnie dnia poprzedniego. Nie jestem w stanie tego udowodnić, ale obstawiam, że nie pomylił się więcej niż o kilka godzin.

- Popołudnie szesnastego października. - Mercer odwrócił się do Henny. - Daj mi telefon i za dwie godziny, a powiem ci, skąd wzięli te cylindry. Miejmy nadzieję, że potem będę w stanie odpowiedzieć na pytanie po co.

- Zapomnij. Zrobiłeś już, co do ciebie należało.

- Co ty wygadujesz? - Mercer był wstrząśnięty, że przyjaciel chce odsunąć go od śledztwa.

- Jeśli do tej pory się nad tym nie zastanawiałeś, to przypominam ci, że w ciągu ostatnich dwóch dni dwa razy próbowano cię zabić. Odsuwam cię od tej sprawy, i to ze skutkiem natychmiastowym.

- Dick, nie zgrywaj mi tu biurokraty. Nadal nie masz pojęcia, co się dzieje, więc próby zamachów na moje życie wcale się nie skończą. Skoro to ja ryzykuję głowę, chcę mieć coś do powiedzenia w śledztwie.

- Zapomnij, Mercer - odparł twardo Dick Henna. - Na Alasce i w okolicach pracuje teraz prawie dwustu agentów, szukają cokolwiek, co może zagrozić otwarciu Arktycznego Rezerwatu i budowie drugiego rurociągu przez Alaskę. Na razie nic nie znaleźli. Chryste, wczoraj w nocy podłożono bomby pod dwie stacje benzynowe w Anchorage, nie dalej niż pięć przecznic od naszej filii terenowej. Teraz, kiedy mamy już jakiś trop, moi ludzie za nim pójdą. Ale nie ty.

- Daj spokój, żaden z twoich ludzi nie ma mojego przygotowania naukowego. Gdyby agenci FBI wiedzieli, że nawóz azotowy w połączeniu z olejem napędowym może utworzyć mieszaninę wybuchową, pewnie nigdy nie doszłoby do zamachu na budynek w Oklahoma City. Ja robiłem takie bomby już jako dzieciak.

- Doktor Goetchell, czy może nas pani zostawić samych? - powiedział Henna głosem nieznoszącym sprzeciwu. Kobieta wstała

szybko, uściśnęła rękę Mercera i skinęła głową szefowi, a następnie wyszła z sali konferencyjnej. Henna mówił dalej:

- Po pierwsze to, że się przyjaźnimy, nie oznacza, że możesz się tak do mnie zwracać w obecności moich ludzi. To podważa mój autorytet, a ty wychodzisz na durnia. Po drugie, doceniam to, czego tu dokonałeś, ale to nie znaczy, że dam ci teraz wolną rękę. To śledztwo FBI, a nie osobista krucjata. Lubię cię i nie chcę, by ktoś cię zabił. Ostatnio Kerikow nie zdołał się do ciebie zbliżyć, ale teraz jest w kraju i jeśli zaczniesz węszyć, skończysz jak twoi trzej kumple. Jeśli wydaje ci się, że jestem upierdliwy, to masz rację. Ten kraj siedzi na beczce prochu, Alaska to lont, który w każdej chwili ktoś może podpalić. Mam dość na głowie i niepotrzebne mi twoje osobiste porachunki.

Mercer wiedział, że Henna mówi szczerze. Rząd przyparł go do ściany, jego ludzie poświęcali mnóstwo czasu kryzysowi na Alasce i nie mieli żadnych wyników. Mercer właśnie dostarczył im ważny ślad, ale Henna w żaden sposób nie mógł mu pozwolić na udział w śledztwie. Mercer to rozumiał, szanował Hennę, ale nie miał zamiaru się wycofywać.

Zamiast błagać dalej, zmienił temat.

- A ci faceci, którzy wczoraj na mnie napadli? Dowiedzieliście się o nich czegoś?

Henna błędnie uznał, że to pytanie oznacza, iż Mercer wycofuje się ze śledztwa.

- Facet, którego załatwiłeś w swoim barze, nazywał się Burt Manning. Zanim w 1990 roku odszedł z CIA, był znany pod ksywką Duch. Masz szczęście. Z tego, co udało nam się ustalić, jesteś pierwszym człowiekiem, który stanął mu na drodze i wyszedł z tego żywy od czasu, kiedy Manning zaczął pracę dla Phoenix Project. Facet ma za sobą cztery lata w Azji Południowoschodniej i dwadzieścia lat doświadczenia z zimnej wojny, z wszelkich frontów walki ze Związkiem Radzieckim. Prowadził operacje w Afryce, Ameryce Południowej i Środkowej, Europie Wschodniej i Zachodniej, a nawet w Rosji. Jego teczkę w Langley czyta się jak szpiegowski thriller.

Kiedy odszedł z Agencji, założył tu w Waszyngtonie małą firmę doradczą w kwestiach zabezpieczeń dużym korporacjom, które są przekonane, że ich najwyższemu kierownictwu grozi porwanie albo zabójstwo. Ten drugi to były kolega Manninga z CIA. Ustaliliśmy, że Manning wynajął go, by mieć wsparcie. Weszliśmy do biura Manninga, ale kiedy wyważyliśmy drzwi, uruchomił się alarm i skasował wszystko w jego komputerach. Dwóch naszych ulubionych

hakerów próbuje odzyskać pliki, ale nie dają większych nadziei. Pewnie nigdy się nie dowiemy, kto go wynajął.

- Cholera - zaklął Mercer. - Gdybyśmy się tego dowiedzieli, zaoszczędzilibyśmy wam mnóstwo czasu.

- Dobrze, że w ogóle dowiedzieliśmy się, co to za jeden. - Henna zerknął na zegarek. - Czas na mnie. Muszę połączyć się z biurem w Anchorage i pogonić ich do pracy nad tym nowym tropem. Potrzebujesz czegoś?

- Pojadę do domu się spakować i rozejrzę się za kimś, kto mi naprawi potłuczony świetlik. A potem wybiorę się na wakacje, może na ryby do Belize.

- W twojej kamienicy już pracuje firma budowlana, rachunek pokrywamy my. Przynajmniej tyle możemy zrobić. Zanim wyjedziesz, zadzwoń, żebyśmy dali znać agentom pilnującym twojego domu. Baw się dobrze. Myślę, że wszystko rozstrzygnie się za tydzień, góra dwa. Do tego czasu nie wracaj do domu.

Kiedy Mercer wrócił do pokoju w hotelu Willard, w progu zdjął marynarkę, a kiedy rzucił klucz na dębowy kredens, już zdążył rozwiązać krawat. Na wielkim biurku w kącie pokoju stał zdobiony zegar wahadłowy. Wpół do jedenastej.

- A chrzanić to - powiedział na głos i wykręcił numer do obsługi hotelowej. - Poproszę dwa koktajle z wódką i butelkę jacka danielsa. W minibarze skończy mi się za chwilę piwo imbirowe, więc przyślijcie proszę jeszcze kilka puszek.

Rozłączył się i wykręcił numer na mieście. Po chwili w słuchawce usłyszał chrapliwe „halo” Harry’ego White’a, które zabrzmiało bardziej jak przekleństwo niż powitanie.

- Dobrze się wczoraj bawiłeś?

- Mercer, znajomość z tobą wykończy mnie szybciej niż fajki i wódka.

- Najpierw wykończą cię baby, ty zboreźniku - droczył się z nim Mercer. - Jak noga?

- Przez dwa tygodnie będę kuśtykał o kuli, póki mój ortopeda nie przygotuje nowej protezy, ty niewdzięczny draniu.

- Niewdzięczny, mówisz? To co powiesz na to: w dowód wdzięczności pozwolę ci kilka dni pomieszkać w moim nowym lokum.

- A gdzie jesteś? - zapytał podejrzliwie Harry.

- W hotelu Willard.

- Będę za godzinę.

- Nie będzie mnie, ale zostawię ci klucz w kopercie w recepcji. Numer pokoju masz na kluczu. Na stoliku nocnym znajdziesz bu-

telkę Jacka Daniela. Jeśli będziesz potrzebował więcej, wykręć zero. Mają tu kablówkę z mnóstwem programów i za wszystko płaci FBI. Możesz tu mieszkać, póki cię nie wyrzucą.

- A ty dokąd się wybierasz?
- Z powrotem na Alaskę.
- Wiesz już, co to za Roger?
- Tak, kawał drania.

Terminal morski Alyeska w Valdez, stan Alaska

W ciemności tuż przed świtem lekka mżawka zmieniła się w zacinający deszcz ze śniegiem. Bezlitośnie przemacał wszystko, na co spadł, także marynarską kurtkę Lyle'a Hausera, który stał na skraju mostka z krótkofalówką w drętwiejących palcach. W blasku potężnych reflektorów terminalu niebo wyglądało jak wirująca powódź mączona przez wiatr o szybkości dwudziestu węzłów. Wody Cieśniny Księcia Williama odzwierciedlały wstrętne nastroje nieba. Białe grzywy fal przecinały brudnoszarą wodę jak sztylety. Widoczność była tak kiepska, że Hauser nie mógł dostrzec światła Valdez po drugiej stronie zatoki.

- Zaczyna się kolejny gówniany dzień - mruknął Hauser do swego statku. Podniósł krótkofalówkę do ust i warknął: - Meldować.
- Wszystko gra, kapitanie. Silnik pracuje, sześćdziesiąt dziewięć obrotów na minutę. - Dzięki swoim rozmiarom silnik Hyndaia nawet na tak wolnych obrotach osiągał na śrubie moc ponad trzydziestu sześciu tysięcy koni mechanicznych. To wystarczało, by załadowany tankowiec mógł poruszać się z nominalną prędkością rejsową szesnastu węzłów. - Ciśnienie w układzie hydraulicznym wysokie i stabilne.

- Wizualna kontrola steru?
- Sześć mówi, że wszystko w najlepszym porządku.

Choć prawo morskie wymaga, by główny inżynier sprawdził ster i silniki dwanaście godzin przed wyjściem w morze, Hauser zażądał drugiej kontroli, by mieć spokojną głowę na swoim nowym statku. W 1979 roku supertankowiec „Amoco Cadiz” przewożący dwieście dwadzieścia tysięcy ton ropy stracił ciśnienie hydrauliczne w potężnym sterze i osiadł na wybrzeżu Francji, rozlewając niemal cały ładunek do kanału La Manche. Od tamtego czasu Hauser pilnował, by główny inżynier osobiście wszystko sprawdzał, nim wyprowadzi jakąkolwiek jednostkę z portu. Kontrola wizualna mogła nie wykryć

słabego spawu czy lekkiego pęknięcia gumowej uszczelki, ale i tak lepsze to niż nic. Ot, kolejny z wielu jego przesądów.

- Pierwszy oficer?

- Jestem, sir - zaskrzeczała JoAnn Riggs w krótkofalówce.

Hauser spojrział w stronę dwóch wież z kominami pośrodku statku, prawie dwieście metrów od miejsca, gdzie stał. W sztucznym świetle z nabrzeża i z tej odległości Riggs wyglądała jak kruszynka, widoczna tylko dzięki jaskrawożółtemu płaszczowi przeciwdeszczowemu.

- Dajcie rozkaz rzucenia cum dziobowych. Mostek, powoli naprzód, proszę.

Obserwował, jak potężna konopno-nylonowa lina zsuwa się z pachołka i zostaje wciągnięta na statek za pomocą mechanicznego bębna. Usunięto ostatnią nitkę łączącą statek z lądem i „Petromaks Arctica” mógł rozpocząć podróż do południowej Kalifornii.

Pod pokładem dziewięciocyndrowy silnik poczuł opór wody, kiedy włączono napęd i śruba zaczęła walczyć z potężną inercją tankowca. Według prawa Newtona ciało nieruchome pozostaje nieruchome, póki nie zadziała nań inna siła. Ponieważ ciało ważyło dwieście pięćdziesiąt pięć tysięcy ton, siła potrzebna, by ruszyć je z miejsca, musiała być równie duża. Pod płaską rufą śruba ze stali i brązu - powyginana konstrukcja wielkości skrzydła samolotu pasażerskiego - miała powoli wodę i leniwie zaczęła ciągnąć statek po wodzie. Choć śruba znajduje się na końcu jednostki, działa w ten sam sposób jak śmigło w samolocie - wytwarza niskie ciśnienie przed łopatom i wysokie za nimi. Dzięki temu nie pchają one statku po wodzie, lecz ciągną.

Tłoki - każdy o ponadmetrowej średnicy - pracowały z taką siłą, że były zdolne wprawić w drżenie nawet statek wielkości „Petromaksu Arctiki”. Na Hausera to lekkie drżenie pokładu pod stopami działało kojąco.

Zmienił częstotliwość w krótkofalówce i odezwał się ponownie:

- Wieża w Alyeska, tu „Petro...” - Ale szybko się poprawił. - Tu „Krzyż Południa”. Odbiliśmy o drugiej czterdzieści trzy, ruszamy do Segundo.

Cholerna zmiana nazwy.

- Zrozumiałem, „Krzyż Południa”. Kuter ratunkowy gotowy do eskorty.

Kuter ratunkowy był jednym z najnowszych zabezpieczeń wprowadzonych w terminalu w Valdez. To jedna ze zmian, jakie wdrożono po katastrofie „Exxon Valdez”. Każdy tankowiec, który

cumował w Alyeska, dostawał specjalny kuter, który śledził go jak cień, póki nie wypłynął na wody zatoki Alaska. Kutry ratunkowe miały natychmiast reagować na wycieki ropy, przewoziły prawie półtora kilometra materiału chłonącego ropę, którym można owinąć płamę i zatamować jej rozlew. Dysponowały także matami na drobne wycieki i działkami wodnymi do przesuwania ropy po wodach cieśniny. Załogi kutrów ratunkowych składały się wyłącznie z doskonale wyszkolonych specjalistów od czyszczenia wycieków ropy. Pięćdziesięciopięciometrowy kuter, który podążał za „Petromaksem Arctica” przez całą zatokę Valdez, a raczej fiord długi na dwadzieścia kilometrów, był najnowszym nabytkiem terminalu Alyeska.

„Arctica” ruszyła w drogę. Kapitan Hauser jako jedyny oficer z załogi miał certyfikat, pozwalający mu przeprowadzić wyładunek po brzegi supertankowca przez te niebezpieczne wody. Musiał więc pozostać na mostku, póki nie przepłyną przez Cieśninę Księcia Williama. Wszedł do kabiny i usiadł w fotelu kapitana, przy którym czekał kubek kawy. Po objęciu statku w pierwszej kolejności polecił, by przez całą dobę na pokładzie była dostępna kawa oraz by nie podawano mu napoju, który stał dłużej niż pół godziny od zaparzenia. Bywało, że wypijał i dwadzieścia pięć kubków dziennie. Potrafił uwolnić się od nałogu nikotynowego, ale z potrzebą kofeiny nie był w stanie walczyć.

Ten rejs źle się zaczynał. Statek płynął bez zarzutu, ale Hauser nie mógł dogadać się z załogą, a zwłaszcza z JoAnn Riggs. Rozmawiał z nią krótko o wypadku, w którym stracił rękę były kapitan, ale nadal nie zadowalały go jej odpowiedzi. Uparcie unikała wyjaśnień. Pozostali oficerowie i główny inżynier wyglądali na kompetentnych, ale nie było ich przy tym, jak kapitan Albrecht stracił rękę, i nie mogli nic od siebie dodać.

Kolejne godziny mijały bez zakłóceń. Wielki tankowiec sunął na południe, ogromny dziób rozsuwał wodę na bok, zamiast ją ciąć. Tak wielki statek nic sobie nie robił ze wzburzonych wód cieśniny. Fale wirowały wokół kadłuba, ale nie mogły nawet lekko nim zabujać.

- Kuter do „Krzyża Południa”. - Wezwanie przez radio było pierwszym dźwiękiem, jaki rozległ się na mostku w ciągu ostatnich dwóch godzin, jeśli nie liczyć cichych korekt kursu z ust Hausera.

- Tu „Krzyż”. Mówcie.

- Wprawdzie tego nie widzimy, ale Loran pokazuje, że jesteśmy u wejścia do cieśniny. Dalej płyniecie sami. - Głos w radiu był zmęczony.

Sztorm, który w Valdez przysypał pokład tankowca dziesięciocentymetrową warstwą śniegu, wcale nie ustał. Przed zbrojoną szybą

mostka rozciągnęła się stała biała kurtyna. Śnieg sypał w jedną stronę, a po chwili natychmiast zmieniał kierunek. Trudno było dostrzec linię horyzontu między morzem a niebem - jedno i drugie było ciemne i złe. Światła dziobowe tankowca wyglądały jak konstelacja gwiazd daleko od przestronnego, wygodnego i ogrzewanego mostka.

- Zrozumiałem. „Krzyż Południa” potwierdza, że został odprawiony przez Cieśninę Księcia Williama - odparł formalnie Hauser. Jego statek był już zdany wyłącznie na siebie.

Nim zszedł z mostka, odczekał jeszcze dziesięć minut, żeby sprawdzić, czy wszystko działa, jak należy. Powoli obszedł przestronną kabinę na mostku z ogorzałymi dłońmi splecionymi na plecach. Odczytywał dziesiątki wskaźników i zegarów, które podawały najrozmaitsze informacje o statku. Tak jak podejrzewał, wszystko było w najlepszym porządku. Kiedy skończył krótki obchód, przystanął u wyjścia z mostka, koło dużego stołu nawigacyjnego.

- Sternik. - Podczas szybkiej prezentacji przed wyjściem z terminalu Hauser nie zapamiętał nazwiska mężczyzny. - Pierwszy oficer Riggs spóźnia się ośmiem minut na swoją wachtę. Kiedy się zjawi, proszę ją poinformować, że wpisuję to sobie do dziennika. Jeśli nie przyjdzie w ciągu dziesięciu minut, zadzwonię do mnie do kabiny.

Hauser koniecznie musiał iść do łazienki i nie mógł czekać, aż Riggs zastąpi go na wachtce.

Ponieważ współczesne supertankowce obsługuje niewielka załoga licząca trzydzieści osób, każdy ma na pokładzie mnóstwo miejsca dla siebie. Większość otrzymuje prywatne kabiny albo mieszka co najwyżej z jedną osobą. Kapitan miał do dyspozycji wszelkie luksusy. Apartament kapitański mieścił się jeden poziom pod mostkiem i składał się z dużego pokoju przy wejściu, zwanego pokojem dziennym, oraz sypialni wielkości sporego mieszkania. Na podłodze leżała gruba i miękka wykładzina o intensywnie niebieskim kolorze, a ściany wyłożone były drewnianymi panelami najwyższej jakości, a nie zwykłym chłamedem jak w innych kajutach oficerskich. Na biurku piętrzył się już stos papierów do natychmiastowego przejrzenia. Nie podobało mu się to, ale musiał przyznać, że praca kapitana częściej wiązała się teraz z administracyjnymi drobiazgami niż smakowaniem morskiej soli i dotykiem twardej stali. Takich dożyliśmy czasów. Dawniej kapitanowie bywali romantycznymi postaciami, otoczonymi legendą i sławą. Dziś są po prostu uwielbianymi menedżerami zajętymi papierkową robotą.

Zrzucił buty i zdjął kurtkę od munduru z czarnej czesankowej wełny. Krawat już kilka godzin temu zdjął i wepchnął do kieszeni,

przysięgając sobie, że wyjmie go dopiero, jak zobaczy Long Beach. Nigdy nie uważał, że dyscyplinę na statku się utrzymuje, przestrzegając zasad właściwego ubioru. Uważał, że jeśli członkowie załogi będą wygodnie ubrani, to będą lepiej pracować.

Hauser kończył wizytę w łazience, kiedy brzęknął interkom.

- Tak, o co chodzi?

- Przepraszam, że pana niepokoję, kapitanie - odezwał się sternik. - Pierwszy oficer Riggs jeszcze się nie pojawiła. Dzwoniłem do jej kabiny, ale nikt się nie zgłasza.

- Już idę - mruknął poirytowany Hauser. Riggs postępuje już nie tylko niegrzecznie. Zaczyna lekceważyć obowiązki.

Wsunął buty i postanowił nie zakładać kurtki od munduru.

Wściekły otworzył z impetem drzwi od kabiny i wpadł prosto na Riggs, która właśnie zamierzała zapukać. Kobieta upadła na podłogę. Hauser otrząsnął się ze zdumienia i pochylił, żeby podać jej rękę i przeprosić. Wtedy na pokrytej wykładziną podłodze zauważył pistolet, który wypadł jej z ręki. Riggs też zobaczyła broń i szarpnęła się w jej stronę z wyciągniętą ręką i rozczapierzonymi palcami.

W jej oczach zobaczył morderczą wściekłość, więc niewiele się namyślając, stanął jej na nadgarstku, przyszpilając dłoń. Riggs krzyknęła z nagłego bólu, wijąc się, żeby wyrwać rękę. Już miał zażądać wyjaśnień, kiedy piętro wyżej rozległ się odgłos strzałów z broni maszynowej, na mostku lub gdzieś w pobliżu. Hauser spojrzał wzdłuż korytarza i zobaczył, jak cień uzbrojonego mężczyzny wylania się z wyjścia awaryjnego, przeskakuje przez korytarz i wpada do kabiny głównego inżyniera.

Hauser miał tylko kilka chwil na reakcję. W jego głowie galopowały myśli, ale instynkt kazał mu uciekać. Nie mógł ryzykować kilku sekund, by zabrać pistolet Riggs, po prostu rzucił się do ucieczki. Wypadł przez wyjście awaryjne i pomknął w górę po prostych schodkach, głośno dysząc. Zatrzymał się na górze i przytknął ucho do drzwi do krótkiego korytarzyka prowadzącego na mostek.

Choć przez całe życie obcował z niebezpieczeństwem i uczył się, jak na nie reagować, ze zbrojnym konfliktem na pokładzie statku nie miał jeszcze do czynienia. Ale pierwsze myśli Hausera nie dotyczyły tego, co działo się na tankowcu. Najpierw pomyślał o siwowłosej i pomarszczonej żonie, która wciąż była najpiękniejszą kobietą, jaką poznał w życiu. Nie mógł uwolnić się od wspomnienia jej grobowejminy, kiedy wsiadał do samolotu na Alaskę, a myśl o pełnym dezaprobaty wzroku żony dała mu impuls do działania. Ostrzegła go, żeby nie podejmował tego rejsu, i oto musiał przyznać jej rację.

Mimo to odpowiadał przecież za bezpieczeństwo statku i jego załogi. Ogień z broni maszynowej mógł oznaczać tylko jedno. Terrorysty przejmują tankowiec, a Riggs jest z nimi w zмовie. Minęło trzydzieści sekund, od kiedy na nią wpadł, a już zaczął snuć w głowie plan. Musi się dostać na mostek, żeby wysłać sygnał alarmowy.

Ile jeszcze osób z załogi z nimi współpracuje? Hauser nie próbował nawet zgadywać.

Drzwi, za którymi się ukrywał, znajdowały się w połowie korytarza łączącego mostek z główną windą supertankowca. Kiedy już ruszy, nie będzie miał żadnej osłony, póki nie dotrze na mostek. W korytarzu będzie jak kaczka wystawiona na strzał. Zbierając się na odwagę, o jaką sam siebie nie podejrzewał, wykonał głęboki wdech, otworzył drzwi i popędził szybciej niż kiedykolwiek w swoim życiu.

Jeden z ludzi wysłanych do wymiany nazwy tankowca stał przy zamkniętych drzwiach windy. U jego stóp leżały zwłoki członka załogi zastrzelonego podczas próby ucieczki. Kiedy Hauser wypadł z wyjścia awaryjnego, strażnik stał odwrócony tyłem.

Do mostka było może dwadzieścia kroków. Hauser zobaczył terrorystę w chwili, kiedy rzucił się do biegu, ale teraz nic nie mógł już poradzić. Jeszcze dziesięć kroków. Strażnik w końcu zauważył Hausera i błyskawicznie podniósł izraelski pistolet maszynowy Uzi. Cztery kroki. Hauser słyszał przez otwarte drzwi mostka stałe ciche pikanie z radaru. Trzy kroki.

Korytarz eksplodował. Uzi zawył jak piła łańcuchowa, a kule jęczały i wbijały się w ściany, czasami odbite rykoszetem wpadały na mostek. Korytarz wypełniły kwaśny dym, ogłuszający hałas i trzydzieści dwie kule z opróżnionego magazynku.

Kilka pocisków wbiło się w wykładzinę, kilka kolejnych utkwilo w ścianie po lewej, ale większość przeorała panel kontrolny supertankowca i wbiła się w szybę, tworząc okrągłe pajęczynki w grubym na ponad dwa centymetry szkłe. Sternik został prawie przecięty na pół. Dwie oddzielne części ciała runęły na podłogę i leżały w coraz większej kałuży krwi. Hauser uciekł przed kanonadą, rzutem pokonując ostatnie kilka kroków i przetaczając się za grubą drewnianą podstawę stołu nawigacyjnego.

Ołowiane niebo było wciąż ciemne, noc sączyła się na mostek przez okna i drzwi, czając się w zaciemionych kątach. Kula przecięła jakiś kabel w płataninie przewodów za deską rozdzielczą i w systemie elektrycznym doszło do spięcia - zaiskrzyło i nagle wysiadły wszystkie światła. Natychmiast włączyły się światła awaryjne, a w powie-

trzu rozległ się ostry dzwonek alarmu. Pograżony w mroku mostek śmierdzał dymem, ozonem i krwią.

Hauser zdołał zyskać kilka sekund, ale jeszcze nie uciekł. W konsoli na mostku zamontowano dwa oddzielne systemy alarmowe, ale nie miał czasu, by szukać któregoś z nich. Mógł jedynie wybiec na latający mostek, gdzie we wnęce leżał kanister w pomarańczowym kolorze, a w nim alarmowy sygnalizator ze wskaźnikiem pozycji. Jeśli zdoła do niego dotrzeć i wyrzucić go za burtę, to po zetknięciu ze słoną wodą urządzenie włączy system i prześle do satelity wezwanie pomocy. Później będzie się martwił, co zrobić dalej.

Zebrał w sobie wszystkie siły, by nie zważać na zwłoki sternika, i poczołgał się w stronę uszczelnianych drzwi na latający mostek. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że prawie nie mogły utrzymać jego ciężaru. Ze strachu poczuł pot na całym ciele i aż zadrżał z zimna. Choć większość dorosłego życia spędził na pokładach supertankowców, nigdy nie zdawał sobie do końca sprawy z tego, jak są szerokie, póki nie musiał przeczłochać się przez cały mostek, popychany strachem przed kulą zamachowca.

Dotarł do drzwi, napiął ciało w oczekiwaniu na nieuchronny strzał w plecy, ale nic takiego nie nastąpiło. Nie rozumiał, czemu się ociągają. Wstał z podłogi i sięgnął do drzwi, za którymi czekała chwilowa wolność, kiedy ostro rozbrzmiał nieznamy głos:

- Nie ruszaj się.

Hauser nie posłuchał polecenia. Czując przyływ adrenaliny, rozsunął drzwi i rzucił się w lodowaty wiatr, który szalał po statku. Wypadł na pokryty śniegiem latający mostek. Pistolet wystrzelił szybko trzy razy, a kule świsnęły zaledwie kilka centymetrów od wijącej się sylwetki Hausera. Wzbiły małe gejzery śniegu i stworzyły gorące plamki na metalowej podłodze, z których podniósł się zapach przypalanej stali. Hauser pędził najszybciej jak potrafił, ale nieco już zrezygnowany. Latający mostek był ślepą uliczką. Znalazł się w pułapce.

Widoczność na dworze wynosiła około dziesięciu metrów. Śnieg, deszcz ze śniegiem i marznący deszcz nacierały na niego pchane siłą natury i pędem statku prosto w wicherę dmącą z szybkością czterdziestu węzłów. Nie był właściwie ubrany na taką pogodę. Zięb i wilgoć przenikały jego koszulę od munduru i tylko strach nie pozwalał mu zamarznąć na śmierć. Hauser wiedział, że po kwadransie z powodu hipotermii straci władzę nad własnym ciałem. Pistolet znów ryknął. Kula została wystrzelona na ślepo w wirującą burzę, ale przeleciała na tyle blisko, że musiał się przed nią uchylić. Nie zdąży doświadczyć hipotermii.

Lyle Hauser nigdy nie uważał się za odważnego człowieka. Owszem, robił w życiu rzeczy, jakich nie robili inni ludzie. Jako dwudziestolatek skoczył na przykład na pokład płonącej barki, by uratować marynarza uwięzionego w pożarze. Zawsze robił to, co uważał za konieczne. Jeśli inni uznawali te czyny za odważne i bohaterskie, to cóż, ich sprawa. Hauser po prostu robił, co do niego należało.

Teraz musiał przeżyć. Miał tylko jedno wyjście i wymagało ono całej jego odwagi. Popędził na koniec mostka i zatrzymał się, by wziąć siedemdziesięciocentymetrowy kanister z sygnalizatorem alarmowym, ale urządzenie zniknęło, zostało po nim tylko puste miejsce. Riggs musiała usunąć je na wszelki wypadek, kiedy zaczęła przejmować statek. Hauser nie miał już czasu. Wyjrzał przez sięgającą mu do piersi balustradę mostka. Poniżej widać było jedynie białą kurtynę, ale gdzieś pod spodem znajdował się balkon drugiego pokładu, nie dalej niż cztery i pół metra. Jeśli zdoła wylądować na tej wąskiej kładce, będzie miał szansę uciec, zaszyć się gdzieś na chwilę i zastanowić nad kolejnym ruchem. Ale jeśli nie trafi w wąską promenadę okalającą niższy poziom, czeka go lot na główny pokład dwanaście metrów niżej. Jeśli i tam by się nie zatrzymał, to wody północnego Pacyfiku zabiją go w chwili, gdy się w nich zanurzy.

Stał w miejscu, gdzie latający mostek wystawał poza burzę. Przed skokiem musiał podejść bliżej środka tankowca, czyli bliżej ludzi, którzy próbowali go zabić. Stali na mostku z wyciągniętą bronią i przenikliwym wzrokiem wpatrywali się w burzę, czekając, aż pojawi się jego cieli.

Rzucił się z powrotem wąską kładką, ślizgając się po oblodzonym mostku. Stłumił chęć, by krzyknąć, biegnąc, by uwolnić strach, który kąsał go w środku nie mniej dotkliwie niż wiatr smagający po twarzy.

Kiedy dostrzegł czerwony blask świateł awaryjnych na mostku, zebrał się w sobie i wskoczył na szeroką na piętnaście centymetrów balustradę. Trzymał równowagę za pomocą stóp, rąk i piersi, gubiąc krok tylko na sekundę. Nie zważając na przepaść, która czekała na niego poniżej, biegł dalej. Kiedy czuł, że stopy zsuwają mu się z oblodzonej balustrady, parł ze wszystkich sił naprzód.

Uzbrojona postać, która wyłoniła się z zaśnieżonej nocy, była zaskoczona niezwykłym położeniem Hausera. Mężczyzna trzymał pistolet nisko, gotów na frontalny atak, a nie ten niepewny kłus na wysokości ramienia. Terrorysta zaczął się obracać, unosząc pistolet pełnym gracji ruchem jak w balecie. Hauser zaryzykował jeszcze dwa kroki, ale przy ostatnim wychylił się za mocno i raczej spadł z balustrady niż z niej skoczył. Zniknął w jednej chwili.

Na mostku JoAnn Riggs natychmiast zaczęła porządkować chaos. Nie trzeba było uciekać się do przemocy przy przejmowaniu statku z nieuzbrojoną załogą, ale nie poszło im tak, jak planowali. Dwaj członkowie załogi zginęli, Hauser zniknął, a mostek był prawie całkiem zniszczony. Riggs zaczęła od wyłączenia sygnałów alarmowych i przełączenia świateł na normalny nocny tryb. Jeden z terrorystów, który wpadł na mostek po strzałach, zdołał już zgasić ogień wśród kabli elektrycznych pod stanowiskiem sternika, a dwaj kolejni wynieśli zwłoki na drugi latający mostek. Riggs poleciła, by sprowadzić z masy przetrzymywanych tam ludzi: głównego inżyniera, elektryka i drugiego sternika.

Nie próbowała ukrywać przejętej właśnie władzy. Komenderowała załogą i terrorystami z równą stanowczością. Z tyłu mostka terroryści patrzyli beznamiętnie, jak Riggs zmusza załogę do posprzątania bałaganu i odzyskania kontroli nad tankowcem.

Wszyscy zamarli na chwilę, kiedy drzwi latającego mostka otworzyły się, wpuszczając do środka impet ostrego arktycznego powietrza. Z nocy wyłonił się przywódca terrorystów, mężczyzna o granitowej twarzy, znany jako Wolf. Członkowie załogi spoglądali na niego i w milczeniu zastanawiali się, co im z jego strony grozi. Riggs i reszta patrzyli na niego w oczekiwaniu.

Pełną napięcia ciszę przerwała Riggs:

- Dopadłeś go?

Wolf strząsnął śnieg z ciemnych włosów i wsunął wielkiego sig sauera do nylonowej kabury. Mówił z niemieckim akcentem, brutalnie i twardo:

- Próbowałem mnie minąć, biegnąc po barierce, ale nie udało mi się. Stracił równowagę i spadł.

- Jak daleko byłeś na mostku? - zapytała nerwowo Riggs.

- Prawie w połowie. Spadł albo do wody, albo na główny pokład.

- Weź paru ludzi i się upewnij. On nie może przeżyć.

Odwróciła się do członków załogi, nie zważając na ich oskarżycielskie spojrzenia. Zrozumieli, że Riggs mówi o ich nowym kapitanie. Dwadzieścia minut później Wolf wrócił z trójką swoich ludzi. Oblepiani byli śniegiem jak błyszczącymi klejnotami. Jeśli pogoda im dokuczała, to nie dawali tego po sobie poznać. Kiedy otrzepywali się ze śniegu, robili to bardziej z rozdrażnienia niż dlatego, że śnieg im przeszkadzał. Jakby ta mroźna noc nie zasługiwała nawet na ich uwagę. Riggs wiedziała, że kiedyś należeli do wschodnioniemieckich sił specjalnych i szkolono ich w warunkach znacznie gorszych niż te, które panowały na pokładzie supertankowca.

- No i?
- Nie znaleźliśmy po nim śladu. Śnieg zniknął z pokładu przez wiatr i temperaturę ropy w zbiornikach, więc nie widać żadnych śladów, ale po takim upadku nie mógłby nie zostawić krwawego śladu, nawet gdyby gdzieś się odczołgał. Pewnie nie trafił w pokład i wypadł do morza.

- Dobrze, jedno zmartwienie mniej. - W głosie Riggs slychać było ulgę.

- A co z tym? - Wolf kiwnął w stronę częściowo rozmontowanego pulpitu sterowniczego.

Elektryk i jego pomocnik czołgali się pod konsolami. Widać było tylko ich plecy i pośladki - głowy i barki zanurzyli w płataninie kabli, obwodów drukowanych i układów scalonych, dzięki którym tankowiec funkcjonował.

- Na razie nie wygląda to dobrze. Radar całkiem wysiadł, bo kula zniszczyła lampę i cyfrowy przetwornik obrazu. Można go spiąć na straty. Panujemy nad sterem, ale sterować silnikami można tylko z maszynowni. Z tym da się żyć. Nasz największy problem to wewnętrzne pompy. Kiedy kule trafiły w panel kontrolny, przepięcie uszkodziło kabinę kontroli pomp i wyeliminowało większość systemów. Sporym uszkodzeniom uległy monitory, liczniki ciśnienia i składu gazu, a także same systemy sterowania pompami. Nie możemy przepompowywać ropy między komorami zbiorników, by utrzymać równowagę statku; nie wiemy też, czy opary nad przewożoną ropą mają groźny skład. Same pompy są w porządku, ale czujniki w zbiornikach nie działają. Bez naocznej kontroli nie jesteśmy w stanie określić, ile ropy jest w każdym zbiorniku.

Zarówno Riggs, jak i Wolff wiedzieli, jak ważny jest ten system dla utrzymania kontroli nad tankowcem. Bez pomp „Arctica” na większych falach może nawet pęknąć na pół. A kiedy dotrą już do właściwego celu, pompy będą niezbędne dla powodzenia operacji.

- Da się to naprawić?

- Skąd mam wiedzieć? Nie jestem inżynierem - warknęła Riggs. - Twój napalony żołnierz wpięprzył nas w to bagno.

- Zostanie zdyscyplinowany. - Wolf nie przejął się jej gniewem.

- Wiele nam to da - syknęła Riggs. - Powinam go zamknąć w mesie z resztą załogi, ale może będzie nam jeszcze potrzebny przed końcem podróży. - Riggs spojrzała znacząco na Wolfa. - Ale kiedy zakończymy ten etap, chcę, żeby zginął.

- Jest pod moją komendą.

Riggs spojrzała na niego jeszcze mroczniej.

- A ty pod moją.
- Na okrutnie przystojnej twarzy Wolfa pojawił się ironiczny uśmiezek.
- Tak jest.

Zjednoczone Emiraty Arabskie

Wirujące łopaty śmigłowca Aerospatiale Gazelle wywoływały na pustyni gwałtowne burze piaskowe, które ścigały pędzącą maszynę niczym niezmordowany cień. Wojskowy helikopter leciał niespełna dwanaście metrów nad pustynią, a pilot robił wszystko, by nie roztrzaskać maszyny o ziemię. Skomplikowaną nawigację zostawił siedzącemu po prawej drugiemu pilotowi.

Słońce dopiero wstawało na horyzoncie, ale na tle granatowego nieba widać było jeszcze co jaśniejsze gwiazdy. Ziemia pod helikopterem była ciemną, nieokreśloną równiną z piasku i kamieni. Tylko po prawej coś zakłócało ten bezkresny widok. Siedemdziesiąt kilometrów dalej wznosiły się widoczne na tle nocy góry Hadzar, poszarpany mur chroniący Zatokę Arabską przed wiecznym wpływem pustynnej pustki.

Pułkownik Wayne Bigelow zapalił papierosa i popatrzył na drugiego pasażera z ojcowską czułością. Miał swój udział w tym, że z nieopierzonego młodzika wyrósł tak wspaniały mężczyzna. Bigelow, absolwent Sandhurst i człowiek obeznany z Bliskim Wschodem, mieszkał nad Zatoką przez większość życia, najpierw jako żołnierz brytyjskich sił okupacyjnych, a potem jako doradca wojskowy Wielkiego Księcia Emiratów. Stanowisko było raczej honorowe niż praktyczne. Księżę po prostu lubił słuchać wojennych opowieści Bigelowa. Często nadmieniał, że Bigelow powinien żyć w czasach, kiedy T.E. Lawrence wraz ze starym Fajsalem jechali na Turków. Tamta epoka lepiej do niego pasowała. A Bigelow nigdy się z tym poglądem nie spierał.

Obok niego w spartańskiej gazelle siedział Khalid Khuddari, kolejny człowiek bardziej pasujący do minionej epoki, ale odnajdujący się równie dobrze i w tej. Bigelow wiedział, jakim sukcesem jest dla Khuddariego obecne stanowisko, tym bardziej że nie urodził się w rodzinie królewskiej. Wielki księżę zwierzył się kiedyś Bigelowowi w tajemnicy, że kocha Khuddariego bardziej niż własnych synów. Trzech z nich mieszkało w Europie z kobietami, które najwyraźniej do życia potrzebowały częstych zastrzyków gotówki.

Bigelow widział na własne oczy, jak ojciec Khalida przywiózł z pustyni swojego syna i przypomniał wielkiemu księciu o obietnicy, że zaopiekuje się chłopcem w zamian za przysięgę wierności Beduinów. Wielki książę dotrzymał słowa i przyjął młodego Khalida do swego domu. Bigelow miał szczęście zostać jednym z wielu nauczycieli chłopca. Był to przyjemny obowiązek, bo Khalid był niezwykle bystry i oddany nauce. Kiedy Bigelow patrzył na mężczyznę, który wyrósł z tamtego chłopca ćwierć wieku później, nie mógł powstrzymać dumy. Jako wieczny kawaler Bigelow uważał Khalida za syna, którego nigdy nie miał.

- Rozluźnij się. Najgorsze już za nami! - Bigelow próbował przez krzyczeć ryk silnika nad ich głowami. Mówił bezbłędnie po arabsku.

Khuddari nie mógł się otrząsnąć z ponurego nastroju.

- Obawiam się, że najgorsze dopiero przed nami.

- Jeśli wielki książę dowie się, co robimy, to dopiero będziemy mieli czym się martwić - zauważył nie od rzeczy Bigelow.

Śmigłowiec wleciał bez pozwolenia daleko w przestrzeń powietrzną Adżmanu. Choć siedem szejkanatów tworzących Zjednoczone Emiraty Arabskie międzynarodowa społeczność uznawała za jedno państwo, każdy członek tej unii zachowywał ogromną dozę suwerenności na własnym kawałku pustyni. Wlatując na teren Adżmanu, Khuddari i Bigelow w istocie przekroczyli granicę państwa, wcześniej o tym nie informując. Ich czyn można by bez trudu określić jako inwazję.

- Opowiedz, jak na to trafiłeś - poprosił Khalid.

Bigelow pochylił się w stronę młodszego towarzysza podróży, by nie krzyczeć ile sił w płucach. Khuddari dysponował ekskluzywnym śmigłowcem z najnowszym systemem wygłuszania wnętrza, którym leciało się w ciszy niczym w luksusowej limuzynie, ale obaj zgodzili się, że prosta gazelle lepiej nadaje się na wyprawę przez pustynię.

- Nie ma tu żadnego cudu. Drogi z Adżmanu nie prowadzą aż tak daleko, więc wszystko, co potrzebne do budowy, zwozili śmigłowcem, przeważnie nocą. Miałem swojego człowieka na lotnisku, który obserwował ich, jak latają wte i wewte od zmierzchu do świtu. Ponieważ nie mogliśmy dyskretnie śledzić ich śmigłowców, po prosiłem o przysługę starego znajomego. Doradca sił powietrznych w Arabii Saudyjskiej i ja spędziliśmy razem cztery miesiące w siłach pokojowych na Cyprze w 1964 roku. Ocalałem mu życie w czasie bombardowań dziewiątego sierpnia. W każdym razie zadzwoniłem do niego wczoraj wieczorem, tuż przed wylotem kolejnego śmigłowca Ruftiego. Jednemu z kilku AWACS-ów, które Saudyjczycy kupili od

jankesów, kazał zboczyć z normalnego patrolu na irackiej granicy i zajrzeć na chwilę w nasze miejsce.

- I?

- Koordynaty, jakie nam przekazał, okazały się bezbłędne. Nasza grupa uderzeniowa odnalazła obóz cztery godziny temu. Dolecieli jak po nitce.

- I co znaleźliście? - zapytał Khalid z oczekiwaniem.

Rozmowę przerwał im skrzek interkomu i głos pilota:

- Będziemy za dwie minuty.

- Za chwilę sam się przekonasz. - Bigelow pogładził wąsy i oparł się wygodniej.

Śmigłowiec przeleciał nad niską wydumą, płozami prawie ścinając jej czubek. Pustynia przed nimi była już dość jasna, by dostrzegli dymiące ruiny kilka kilometrów przed sobą. Ziemia była spalona na czarno, wyglądała jak mała kupka popiołu na czystym białym piasku. Nitki dymu wciąż unosiły się w migoczące niebo.

Kierując się ruchami rąk jednego z żołnierzy Bigelowa, który wypatrzył solidne lądowisko, pilot posadził śmigłowiec kilkaset metrów przed obozem. Khuddari i Bigelow wyskoczyli lekko i pochylili nisko głowy, by uniknąć wirujących łopat. Obaj mieli na sobie pustynny kamuflaż, ale tylko Bigelow był uzbrojony. Przy jego grubym pasie zwisał ciężki rewolwer Webley Mark VI. Upał zaczynał się wzmaczać i kiedy przeszli połowę drogi do obozu, na rumianej twarzy Bigelowa pojawiły się kropelki potu. Mężczyzna jednak szedł dalej lekko po miękkim piasku, dotrzymując tempa Khuddariemu, który stawiał dłuższe kroki.

Obóz leżał w naturalnej pustynnej dolince, okrągłym wgłębieniu otoczonym wydmami, które wyglądały jak mury zamku z ziemi. Środek obozu pełnił funkcję placu do parad albo obszaru szkoleniowego. Wokół stały resztki kilkudziesięciu namiotów. Ich nadpalone maszty wyglądały jak żebra prehistorycznego potwora. Na placu do parad leżały porozrzucane części stalowych rusztowań osmalonych przez ogień. Oczywiście było, że z jakiegoś powodu musiano je tu postawić, ale wyglądały jak klocki porozrzucane przez gniewne dziecko. Piach już osadzał się na ich krawędziach wystawionych na wiatr. Dwie zakamuflowane toyoty land cruiser, którymi przyjechali żołnierze Bigelowa, stały na krawędzi obozu, a kierowcy strzegli ich za pomocą zamontowanych na dachu karabinów maszynowych kaliber 50.

- Skąd się dowiedział? - syknął Khuddari, rozglądając się wśród zniszczeń wokół. - Jak, do diabła, ten tłusty drań się dowiedział?

- W ostatnich lotach śmigłowce nie uzupełniały zapasów w bazie. Już wtedy się wycofywali. Mój agent był za daleko od lotniska, by rozróżnić jedno od drugiego. Na razie możemy powiedzieć tylko tyle, że wszystko to podpalono wczoraj wczesnym wieczorem. - W głosie Bigelowa słuchać było wyraźnie, że jest wściekły, bo musi przyznać, iż trochę się spóźnili, jednak nie było sensu rozpamiętywać porażki. - Ale opróżnienie obozu tej wielkości trochę trwa, więc musieli zacząć kilka dni przed twoją rozmową z Ruftim.

- Na Allaha, wiedział, że zagiąłem na niego parol. Twoi ludzie znaleźli cokolwiek, co pozwoliłoby domyślić się, co tu wyczyniał Rufti?

- Na razie nie. - Bigelow kopnął stosik spalonego płótna, które leżało u ich stóp. - Ale rusztowania przypominają mi moje dawne szkolenia w brytyjskich siłach specjalnych SAS. Tam wykorzystywano takie rzeczy, by udawały budynki. Zarzucano na nie płótno z wyciętymi kwadratami na okna. W ten sposób tanio i prosto można było szkolić ludzi w zwalczaniu terroryzmu w mieście. Założę się o resztkę emerytury, że ludzie Ruftiego robili tu dokładnie to samo.

Khuddari skinął głową i patrzył przez dłuższą chwilę na zniszczone rusztowania. Nawet jeśli udawały znany mu róg ulicy czy park, to nie był w stanie go rozpoznać. Bigelow wzruszył ramionami, kiedy Khuddari spojrzał na niego pytająco.

- Równie dobrze może to być jakiś róg ulicy w Manchesterze, gdzie dorastałem. - Bigelow splunął w piasek.

- Rufti nie ma wyobraźni, by wykorzystać coś spoza granic Emiratów. To musi być jakaś uliczka w Abu Zabi. Ale chyba nie sposób dojść która.

- Co mamy robić?

Nim Khuddari zdążył odpowiedzieć, zawołał do nich jeden z żołnierzy Bigelowa. Klęczał tuż po prawej od placu do parad, daleko od skupiska namiotów. Uśmiechał się pod czarnym gęstym wąsem, odsłaniając olśniewająco białe zęby. Bigelow i Khuddari znaleźli się przy nim natychmiast i popatrzyli mu przez ramię na to, co znalazł w piasku.

Bigelow podniósł przedmiot i przyjrzał mu się tak krytycznie, jak mistrz jubilerski patrzy na diament, nim zdecyduje się na krytyczny pierwszy szlif.

- Dziewięćmilimetrowa łuska parabellum - powiedział od razu. - Na dole ma napis „Fio”, co oznacza, że wyprodukowano ją we włoskim Fiocci. Spłonka została spłaszczona przy strzale, więc możemy założyć, że nabój włożono do rozgrzanego pistoletu. Sądząc po głębokości uszczelnacza, jaki został w łusce, myślę, że wypełnio-

na była śrutem 124 i prochem winchester AA7. Biorąc pod uwagę zniekształcenie, jakieś dziewięć śrucin na pocisk.

- Możesz stwierdzić, z jakiej broni ją wystrzelono?

- Do tego potrzebne jest laboratorium i kilka tygodni. To mogło być cokolwiek, od lugera po uzi. - Bigelow wsunął zużytą łuskę do kieszeni na piersi kurtki. - Mogę powiedzieć, że wystrzelono ją co najmniej kilka tygodni temu. W ogóle nie czuć w niej kordytu. Chryste, to cholerstwo równie dobrze może tu leżeć od II wojny światowej.

- Oby. - Khuddari się odwrócił i ruszył z powrotem w stronę śmigłowca. Bigelow szybko go dogonił. - Każ swoim ludziom wracać do domu. Wystarczy. Niczego więcej się chyba nie dowiemy.

Bigelow gwizdnął donośnie i natychmiast jego starszy sierżant zaczął wypełniać rozkaz, zwołując swoich ludzi. Żołnierze ruszyli do dwóch pojazdów z bronią w gotowości. Pięknie wykonany manewr taktycznego odwrotu. Ludzie Bigelowa byli doskonale wyszkoleni i zdyscyplinowani, tak jak ten, który ich trenował.

Kiedy podeszli do gazelle, rotor już obracał się leniwie. Turbina jeszcze nie osiągnęła prędkości, przy której wydawała ogłuszający jęk. Dwaj mężczyźni wskoczyli do kabiny i zapięli pasy. Po chwili zbudowany we Francji helikopter uniósł się w powietrze. Siła ciągu rotora wyrzuciła w powietrze chmurę pyłu, który zatarał ślady lądowania. Khuddari i Bigelow milczeli podczas lotu powrotnego, każdy z nich szanował pełną namysłu ciszę drugiego. Dopiero kiedy bezpiecznie dolecieli do strefy powietrznej Abu Zabi, Khalid się odezwał:

- Rufti wyjechał dziś rano do Londynu, by pełnić funkcję obserwatora na spotkaniach OPEC, które zaczynają się za dwa dni. Jego ludzie ewidentnie skończyli szkolenie do czegoś, co zaplanowali, więc na pewno wkrótce uderzą. Rufti to mięczak i woli być daleko, kiedy zaczną świstać kule.

- Jesteś przekonany, że planują jakiś zamach?

- To oczywiste. Nie znamy jeszcze tylko celu. Dziś po południu mam audiencję u wielkiego księcia i powiem mu o wszystkim, co odkryliśmy. Powiem mu też, że nie pojedę na spotkanie OPEC w Anglii.

- Myślisz, że to dobry pomysł? Reszta rodziny może źle odebrać twoją rezygnację z wyjazdu. To pierwsze posiedzenie kartelu, od kiedy zostałeś ministrem do spraw ropy.

- Mam to gdzieś - warknął Khuddari. - To ważniejsze niż moja kariera. Nie mogę sobie pozwolić, by siedzieć w jakiejś sali, kiedy Rufti uderzy. Powinienem był zabić tego tłustego Lootee, kiedy miałem szansę.

- Dorwiemy skurczybyka, zapamiętaj moje słowa.

Abu Zabi rozpościerało się pod przelatującym śmigłowcem. Tylko garstka budynków miała więcej niż dwadzieścia pięć lat. Tradycyjną architekturę z kamienia zastąpiły budynki z superwytrzymałego betonu i przyciemnianego szkła. Naród wchodził właśnie w XXI wiek. Jeszcze nie tak dawno tutejsi mężczyźni walczyliby ze sobą na śmierć z powodu kradzieży kozy czy obrazy członka rodziny. Ta bezwzględność nadal cechowała ludzi znad Zatoki. Ale dziś, kiedy petrodolary podniosły stawkę do najwyższego poziomu, rywalizacja nie zakończyłaby się na pojedynczej śmierci, ale na setkach, a może i tysiącach. Rufti zamierzał zdestabilizować konfederację Emiratów, która i tak się chwiała. Poświęcił na ten plan mnóstwo pieniędzy i sił. Niezależnie od tego, co obrał sobie za cel, Khuddari wiedział, że mogło to oznaczać koniec Emiratów jako państwa.

Ropa była dla tego narodu zbawieniem, ale wieże wiertnicze bezustannie pompujące ten surowiec spod ziemi wbijały mu też gwoździe do trumny. Pieniądże należące do elity Emiratów nie zdołały utemperować nieustępliwej natury tych ludzi, a wręcz ją podsycaly. Chciwość Ruftiego może w końcu odciąć dostęp do ropy, która pozwalała mu egzystować.

Khuddari musiał przyznać, że jeśli Rufti planuje przewrót, nie mógł wybrać lepszej chwili. Wielki książę poróżnił się prawie ze wszystkimi członkami Najwyższej Rady Federacji, złożonej z sześciu władców pozostałych emiratów, oraz z Radą Ministrów, czyli narodową legislaturą. Podziały zaczęły się po zapowiedzi Amerykanów, że w ciągu dziesięciu lat przestaną importować ropę. Takie posunięcie może nadwerężyć opartą na pieniądzech strukturę władzy w Emiratach i osłabić pozycję księcia. Wtedy przewrót byłby postrzegany jako korzystna zmiana, a nie akt agresji. Klimat polityczny dojrzał do zmian na kogoś, to stawi czoło tej nowej, niepewnej przyszłości i Rufti być może znalazł doskonały moment, by to wykorzystać. Khalid miał nadzieję, że te słabe dowody wystarczą, by przekonać wielkiego księcia, że on i kraj są w niebezpieczeństwie. Ale choć Khuddari w oczach władcy był człowiekiem wiarygodnym, pojedyncza łuska i głębokie podejrzenie to jednak nie za dużo. Obawiał się, że książę pozostanie głuchy na jego błagania.

Obrócił głowę, żeby spojrzeć przez okno na miasto w dole. Tak blisko brzegu woda w zatoce przybrała opalizujący kolor akwamaryny, bardziej pasujący do neonów niż do natury. Ponieważ woda miała tu tylko osiemnaście metrów głębokości i blisko trzydzieści osiem stopni, nie zanieczyszczały jej niemal żadne żywe organizmy.

Pusty supertankowiec płynął tam, gdzie zatoka stawała się ciemniejsza i głębsza. Górny pokład miał pomalowany matową minią, która pasowała do koloru sześciometrowego brzucha poniżej linii zanurzenia. Z tej odległości Khalid nie potrafił odczytać nazwy na rufie, ale rój małych łodzi krążących wokół monstrualnego statku stanowił dowód, że tankowiec przyplłynął do naprawy.

Odwrócił głowę i zaczął się zastanawiać, dlaczego właściwie statek nie trafił do ogromnej nowej stoczni w Port Rashid w pobliżu Dubaju. Gazelle zbliżała się do lądowania i Khuddari przestał się nad tym zastanawiać.

Droga Richardsona na północ od Valdez, stan Alaska

Droga Richardsona, chyba jedna z najpiękniejszych tras na świecie, biegnie wzdłuż rzeki Tiekel, wijącej się przez skalisty kanion. Może się poszczycić aż dwudziestoma pięcioma punktami widokowymi na pierwszym sześćdziesięciokilometrowym odcinku na północ od Valdez. Miejscami rzeka i dwa pasy ruchu ledwo mieszczą się w dolinie, która gdzie indziej rozszerza się, dając miejsce bezkresnym alpejskim łąkom i bocznym dolinkom z niezwykle widokami na góry Chugach i Lodowiec Worthingtona. Droga przechodzi też przez Przełęcz Thompsona, gdzie odnotowano trzy amerykańskie rekordy opadów śniegu - w sezonie, w miesiącu i w ciągu doby. Jednego dnia w 1955 roku na przełęczy, na wysokości blisko ośmiu kilometrów, spadło ponad półtora metra śniegu. Ale tej nocy nie zanosilo się na rekord. Burza przyniosła opady, ale był to śnieg z deszczem, tworzący marznącą breję, która pryskała spod ciężkich opon cysterny pędzącej na północ.

Kierowca osiemnastokołowego potwora nie dostrzegał pięknych widoków - nawet potężne reflektory ciężarówki nie mogły przeniknąć zamieci na tyle, by stały się widoczne górujące klify po lewej czy wspaniałe krajobrazy po obu stronach. Czasami mignął mu niezamarnięty jeszcze wodospad. Jęzor lodowatej wody błyskał w światłach lamp na tle czarnej nocy, ale kierowca nie odrywał wzroku od czarnej wstążki rozwijającej się przed ciężarówką.

Brock Holt nie był w dobrym nastroju mimo muzyki country dudniącej z ośmiu głośników w kabinie cysterny. Nie przejmował się specjalnie warunkami na drodze. Dla mieszkańca okolic Cieśniny Księcia Williama taka zamieć była jedynie drobną uciążliwością. Martwił go za to ładunek - beczka blisko trzydziestu tysięcy litrów

benzyny z Petromaksu. Kurs z magazynu w Anchorage miał mieć dopiero za dwa dni, ale zjechało się tylu dziennikarzy, że zabrakło benzyny w całej okolicy Valdez. Dyspozytor zapewnił go, że trzeba wybrać się po paliwo wcześniej, ale kiedy dojechał na stację Petromaksu, okazało się, że nikt go nie wzywał. Co więcej, nie będą jej potrzebować nawet za dwa dni, kiedy miał ruszyć w planowy kurs.

Właściciele stacji narzekali, że wzięli ich sobie na cel jacyś bojkotujący ekolodzy. Inne stacje w mieście sprzedawały paliwo zwyczajnie, a te z szyldem Petromaksu - nie więcej niż dwieście litrów przez cały tydzień. Dyspozytor pewnie uznał, że skoro na innych stacjach jest ruch, to na tych Petromaksu również.

- Pierdolnik jak zwykle - zaklął Holt i zaczął długą drogę powrotną na północ. Swojemu dyspozytorowi, Hankowi Kelsowi, miał ochotę przegryźć gardło.

Przez ten kurs ominęło go rozdanie nagród za muzykę country, które właśnie emitowano powtórnie na kablówce, więc Holt pocieszył się, wybierając kolejny album z dziesięciopływowego odtwarzacza CD w ciężarówce. Dobre przy całym tym bałaganie było to, że w taką noc jak ta droga była niemal pusta. Dusił więc wielki diesel, na ile tylko starczało mu odwagi, w płonnej nadziei, że może zdążyć na wielki finał gali tuż przed północą.

Czterdzieści pięć kilometrów za Valdez, po drugiej stronie Przełęczy Thompsona, na opustoszałym zwirowym parkingu z widokiem na Lodowiec Worthingtona, stał w ciszy żółty range rover z wygaszonymi światłami i silnikiem pracującym tylko po to, by podgrzewać kabinę. Jediną oznaką, że ktoś siedzi w luksusowym aucie, były zamarzające na szybach oddechy pasażerów. Przemalowane auto stało tu tak długo, że śnieg zdążył zasypać ślady po jego oponach.

Dwóch z trzech mężczyzn siedzących w roverze wierciło się od dwóch godzin na miękkich skórzanych fotelach, wzdychając od czasu do czasu i spoglądając na telefon komórkowy na desce rozdzielczej w nadziei, że w końcu zadzwoni. Trzeci - kierowca - siedział w spokoju, wpatrując się w zamieć. Śledził wzrokiem płatki śniegu, jakby potrzebowały jego zgody na wylądowanie. Błękitne oczy patrzyły z taką intensywnością, że prawie topiły płatki, nim te zdążyły opaść.

Silne i mocno opalone dłonie położył na kierownicy, a jego niepokój zdradzało jedynie sporadyczne postukiwanie palcem wskazującym. Przystojna twarz stężała mu niczym lodowiec, który mieli po lewej. Gdy dwaj pozostali okryli się warstwami wełny, nylonu i Goreteksu, on miał na sobie jedynie norweski sweter rybacki z golfem

i dzinsy. Jego towarzysze drżeli i narzekali, siedząc w kabinie rovera, ale on w ogóle nie czuł chłodu. Uważał, że do niskiej temperatury trzeba przywyknąć, zamiast się przed nią bronić.

Jego zdaniem z naturą nie należy walczyć, trzeba się nią cieszyć. Walka jedynie podsyci konflikt i zmusza przyrodę do jeszcze ostrzejszych ataków. Często mawiał, że ilekroć próbujemy zdominować naturę, ona kontratakuję, i to z większą siłą. Według niego o wiele sensowniej pogodzić się z żywiołową siłą przyrody i napawać się jej wspaniałością.

Próbował uczyć tego swoich ludzi, ale mało kto naprawdę go rozumiał. Owszem, niektórzy pływali z nim na podarktycznych wodach albo chodzili po upalnych pustyniach, ale kierowała nimi raczej siła woli, a nie kontakt z naturą. Dla nich był to sposób, by udowodnić, że potrafią przetrwać najgorsze, co przyroda może zgotować człowiekowi. Stawali z żywiołami oko w oko nie jak wasale, ale jak równy z równym. On sam traktował to jako najwyższą formę uwielbienia. Stając wobec siły natury, czuł się, jakby stał przed samym Bogiem.

Jedyną osobą, która rozumiała go w pełni, była Aggie. Ona przestrzegała przyrodę tak samo jak on. Potrafiła docenić fale rozbijające się podczas zimowej burzy o pusty brzeg albo deszcz tak intensywny, że trudno było oddychać. Dostrzegała w tym najwyższą formę doskonałości. Niech inni podziwiają w zdumieniu obrazy Picassa czy Kaplicę Sykstyńską. To dzieła człowieka, skażone od samego początku. Błądły przy doskonałym pięknie zachodu słońca w tropikach czy rafy koralowej. Aggie wierzyła mu, kiedy mówił, że ludzkość tak bardzo zmieniła się od początku swej historii, że stała się groźna dla własnej planety. Nie obruszała się, kiedy twierdził, że jeśli ceną za ocalenie Ziemi miałby być koniec człowieka, niech tak się stanie.

Dzwonek telefonu brzęknął cichutko, ale mężczyźni w roverze aż się poderwali na jego dźwięk. Czekali na niego dwie długie godziny. Nie musieli odbierać telefonu. Ich szpieg na szczycie Przełęczy Thompsona już zdążył się rozłączyć i wracał do Valdez.

Wyszli z wozu w milczeniu. Rozciągali się przez chwilę, żeby rozprostować kości po tylu godzinach bezruchu. Kierowca otworzył drzwi bagażnika rovera, gdzie stały dwudziestolitrowe czerwone kanistry, które załadowali w Valdez. Ważyły po piętnaście kilogramów. Każdy mężczyzna wziął dwa, ale tylko kierowca nie zataczał się ani nie szarpał ze swoim ładunkiem.

Zamieć siekła ich bezlitośnie, śnieg i wiatr uderzały z całą siłą w trzy postacie sunące przez parking w stronę pobocza Drogi Richardsona. Wybrali to miejsce z dwóch powodów. To najbardziej

stromy odcinek zjazdu z przełęczy, a na dodatek droga ostro zakręca wzdłuż niebezpiecznego brzegu rzeki Tiekel, wijącej się ponad siedem metrów niżej.

Wszystkie czynności mieli doskonale zaplanowane i wykonywali je niemal bezbłędnie. Człowiek wystawiony na czatach potwierdził, że cysterna Petromaksu właśnie minęła najwyższy punkt Przełęczy Thompsona. Poza nią w ich stronę nic nie jedzie. Każdy z mężczyzn wylał na drogę wodę z kanistrów tak, by jak najwięcej powierzchni pokryło się niemal natychmiast warstwą niewidzialnego czarnego lodu. To byłoby za mało, by ciężarówka wpadła w niekontrolowany poślizg, więc zanim cysterna się pojawi, musieli wrócić do rovera.

- Szybciej - ponaglał ich kierowca, choć po wcześniejszych próbach wiedział, że mieli jeszcze kilka minut.

Opróżniono ostatni kanister i woda przez chwilę spływała po pochyłym asfalcie, by za moment zamarzając, spowolnić do tempa płynącej melasy. Trzej mężczyźni pobiegli do rovera, kierowca usiadł w fotelu i wrzucił bieg. Jego dwaj towarzysze mamrotali coś o pogodzie i strzepywali śnieg, ale na ich młodzieńczych twarzach widać było pełne napięcia oczekiwanie. Zrobili właśnie psikus a i uszło im to na sucho. Traktowali to jak grę.

Kierowca, starszy od nich o piętnaście lat i mądrzejszy o kilka stuleci, wiedział, co jest w niej stawką. Rozumiał doskonale, co właśnie zrobili, i w duchu żałował, że nie mogą tego robić częściej.

Brock Holt przejechał przez szczyt przełęczy i wrzucił wyższy bieg. W ciągu ostatnich sześciu lat jeździł tą drogą wiele razy i wiedział, że będzie musiał zredukować bieg dopiero dwa kilometry dalej, kiedy droga zacznie mocno opadać w dół kanionu. Od kiedy wyjechał z Valdez, zamieć przybrała na sile, ale wciąż nie było powodu do niepokoju. Trzymając kierownicę jedną ręką, drugą wziął z centralnej konsoli listek gumy do żucia i wsunął sobie do ust. Zaczął rytmicznie poruszać mocną zuchwą porośniętą brodą, żując gumę i mrużąc słowa piosenki dudniącej z zestawu stereo. Cyfrowy zegar na desce rozdzielczej mówił mu, że ma szansę dotrzeć do Anchorage i zdążyć na finał koncertu w małym czarno-białym telewizorze w kantorku Hanka Kelsa.

Droga zaczęła mocniej opadać i Brock zredukował bieg. Wielki diesel zaryczał, wyężając się, by spowolnić cysternę. Kierownica w rękach Holta wiła się i szarpała jak żywa istota, kiedy prowadził swego osiemnastokółowca z Przełęczy Thompsona. Gdy droga zaczęła opadać jeszcze mocniej, znów zredukował bieg, zwolnił jeszcze

bardziej i ostrożnie prowadził ciężarówkę drogą. Kiedy przednie koła trafiły na czarny lód, jechał dość wolno, by skorygować krótki poślizg, ale oblodzenie było znacznie większe, niż mógł się spodziewać.

Cysterna zaczęła tracić przyczepność. Holt czuł, jak koła kręcą się bezskutecznie po śliskiej powierzchni, ale nie miał wyboru i musiał obrócić kierownicę, by wejść w niebezpiecznie zbliżający się zakręt. Musnął tylko pedał hamulca i zredukował biegi, hamując silnikiem, by odzyskać choć trochę przyczepności i utrzymać wóz na drodze. Kiedy ciężarówka zaczęła reagować, poczuł, że serce podeszło mu do samego gardła. Przez ułamek sekundy omal nie wypadł z drogi, ale zdążył już opanować cysternę niczym dzikiego konia szarpiącego za uzdę.

Wtedy właśnie zobaczył, jak z parkingu prosto na niego wyjeżdża żółty range rover.

Odruchowo docisnął pedał hamulca do podłogi. Klnąc na idiotę w roverze, poczuł, że cysterna znów zaczyna tracić przyczepność. Ciężarówka nie była w stanie zablokować potężnej rozpędzonej naczepy. Cysterna zaczęła się łamać - naczepa spychała ciągnik ciężarówki na bok drogi pod kątem. Range rover szybko zjechał na właściwy pas i uciekł przed ciężarówką, która wyrwała się spod kontroli. Brock Holt nie mógł już nic zrobić.

Kabina złożyła się pod kątem prostym w stosunku do naczepy i sunęła po oblodzonej drodze pchana siłą ciężkości. Koła ślizgały się po oblodzonym asfalcie. Bariierka oddzielająca drogę od śmiertelnie groźnej przepaści nad rzeką była tylko wąskim kawałkiem stali, który nie mógł równać się z siłą rozpędzonej cysterny. Brock próbował wyjść z poślizgu i wrócić ciągnikiem przed naczepę, ale ta, wypełniona dwudziestoma ośmioma tonami benzyny, bezlitośnie parła naprzód, nie poddając się żadnej kontroli. Przedni zderzak ciągnika dotykał już bocznej ściany cysterny, pędzącej wzdłuż drogi.

W akcie desperacji Brock Holt docisnął gaz, licząc na to, że uda mu się obrócić naczepę i ustawić ją za ciągnikiem. Prawie mu się udało. Koła napędowe zjechały już z oblodzonego asfaltu i zaczęły ciągnąć cysternę, stopniowo odzyskując nad nią panowanie. Gdyby miał do zakrętu jeszcze ze trzydzieści metrów, zdołałby z tego wyjść. Tył ciągnika uderzył w barierkę jako pierwszy, wyginając metal tak mocno, że kiedy chwilę później uderzyła naczepa, kawał barierki się rozpadł.

Ze zgrzytem rozrywanego metalu osiemnastokołowa ciężarówka wypadła z drogi, z pociętą barierką zawiniętą wokół kół. Naczepa wykonała obrót, a góra ciągnika rozbiła się o skalisty brzeg, otwierając

się niczym kwitnący dziki kwiat. Ciężarówka obracała się dalej, chlapiąc benzyną i uderzając o ciemne kamienic, które posypały się do rzeki jak grad pocisków z karabinu maszynowego. Obie części ciężarówki splotły się nierozdzielnie i całe czterdzieści ton zsunęło się do atramentowej rzeki, wrywając potężny rów w ziemi.

Dwaj pasażerowie rovera rzucili się do drzwi, ale kierowca zatrzymał ich ostrą komendą. Wrzucił bieg i powoli wycofał się z parkingu, póki wszystkie cztery koła nie stanęły na Drodze Richardsona. Potem, równie ostrożnie, znów posunął się naprzód, jadąc po własnych śladach, by wyglądało, jakby dopiero co wjechali na parking.

- Butelka - powiedział, wyłączając silnik.

Pasażer z tylnego siedzenia, wierząc się, wyciągnął srebrną pierścionkę ze swojej parki. Ostrożnie wlał do każdego z sześciu kanistrów po kilka łyżeczek płynu o ostrym zapachu i schował butelkę do kieszeni. Wystarczyło potrząsnąć kilka razy, by wewnątrz kanistrów pokryło się cieczą.

- Zapamiętajcie scenariusz - ostrzegł kierowca. - Właśnie byliśmy świadkami okropnego wypadku i jesteśmy na miejscu jako pierwsi. Wasze ślady na śniegu mają dowodzić, że gorączkowo staliśmy się pomóc kierowcy cysterny. Do roboty.

Wyskoczyli z rovera, drepcząc nieco w miejscu, jakby byli w szoku, po czym puścili się biegiem w stronę rozbitej barierki. Pierwsze duszące fale oparów benzyny wypełniły im gardła, od miejsca wypadku dzieliło ich około pięćdziesięciu metrów. Kiedy stanęli na skraju, odnieśli wrażenie, jakby w ziemię uderzyła gigantyczna siekiera. Staczająca się ciężarówka przeorała kamienie, ziemię i nieustraszoną roślinność na zboczu.

Cysterna leżała do połowy w bystrej wodzie niczym wywrócony potężny żuk. Ciągnik przypominał błyszczący panczyk, a zniekształcone koła kręcące się na pogniętych osiach były niczym wijące się odnóża. W świetle silnych latarek, które ze sobą przynieśli, prąd rzeki za ciężarówką połyskiwał tęczowo od plamy benzyny ciekącej z potężnego zbiornika. Z miejsca, gdzie stali, nie widać było kierowcy ciężarówki. W kabinie panowała ciemność, nie docierało tam światło nawet z maglite'ów na cztery baterie.

- Dopilnujcie, żeby zginął - polecił kierowca. Oznaczało to, że nawet jeśli szofer ciężarówki jakimś cudem przeżył, mieli go dobić, nie ratować. - Ja pójdę zadzwonić na policję.

Wrócił do rovera, oświetlając latarką emblemat wymalowany na przednich drzwiach. Logo pokazywało kulę ziemską ze wszystkimi szczegółami. Każdy kontynent i jego wybrzeże były oddane

niemal doskonale. Ale świat na tym rysunku pocięty był na kawałki rozłożone niczym skórka pomarańczy. Obraz zapadał w pamięć, logo ilustrowało zarówno uwielbienie dla Ziemi, jak i niepokój o jej przyszłość. Pod spodem, wysokie drukowane litery tworzyły napis „Peal”. Wykręcił 911. Błyskawicznie dozwonił się na posterunek policji w Valdez.

- Halo, nazywam się doktor Jan Voerhoven. Przed chwilą byłem świadkiem wypadku na Drodze Richardsona.

Policja przyjechała dopiero po godzinie - dwa radiowozy i karetka. Voerhoven zapewnił władze, że nie ma pośpiechu, bo nikt nie przeżył wypadku. Cztery wozy satelitarne wjechały na parking tuż po samochodach policyjnych. Na każdej z furgonetek widniało logo stacji telewizyjnej. Voerhoven uśmiechnął się dyskretnie, kiedy zobaczył pierwsze wozy z antenami satelitarnymi. Doskonale. Dobrze przecież wiedział, że dziennikarze podsłuchują rozmowy na częstotliwościach policyjnych.

Z uwagi na złą światową sławę PEAL policjanci drobiazgowo ich wypytywali. Dwaj funkcjonariusze przeszli po śladach opon od drogi do miejsca, gdzie parkował rover i przyglądali się śladom butów na śniegu. Wyglądali na zadowolonych z wyjaśnień Voerhovena - jechali do Valdez, kiedy zobaczyli, jak cysterna wpada w poślizg.

Oficer dowodzący - otyły mężczyzna z nosem czerwonym od zimna, a może nie tylko - polecił jednemu z ludzi Voerhovena, by otworzył wszystkie sześć kanistrów w bagażniku rovera. Wąchał każdy z osobna, by potwierdzić, że we wszystkich ludzie PEAL wieźli własne paliwo, przyjazną środowisku mieszankę benzyny i etanolu, niedostępną w sprzedaży od czasu kryzysu naftowego w latach siedemdziesiątych. Kilka gramów takiego płynu wkropionych z butelki wystarczyło, by przekonać policjanta, że kanistry były wcześniej wypełnione alternatywnym paliwem.

Dzięki ostrożności Voerhovena i dbałości o szczegóły PEAL - wiecznie podejrzewanej o najgorsze - udawało się unikać odpowiedzialności za popełnione czyny.

Kiedy tylko policja skończyła przesłuchanie Voerhovena, odesłał on swoich towarzyszy do rovera, a sam wyszedł do dziennikarzy, którzy stali niczym chór oczekujący na dyrygenta.

- To dość trudna dla mnie sytuacja i nie mam przygotowanego oświadczenia, ale jestem pewien, że mają państwo wiele pytań. - Kiedy mówił z lekkim akcentem, jego naturalnie urzekający głos z miejsca tworzył atmosferę ufności. Błękitne oczy atrakcyjnie błyszczały w ostrym świetle kamer.

- Jako że aktualnym celem protestów PEAL jest Petromax Oil, nie uważa pan, że to ironia, iż to właśnie pan trafił na ten wypadek?! - pytanie wykrzyzczała ostrym głosem jakaś lokalna dziennikarka, nikt ze znanych twarzy.

- Ironia? Raczej tragedia, że musimy patrzeć na to, co się dzisiaj wydarzyło. - Zignorował ją natychmiast i wskazał na dziennikarza z weekendowych wydań CNN, który od kilku tygodni pochlebnie mówił o PEAL, od kiedy ich statek „Nadzieja” wpłynął do Cieśniny Księcia Williama.

- Doktorze, co pan poczuł, widząc ten wypadek, i jaka będzie oficjalna reakcja pańskiej organizacji?

Tak jak się spodziewał, dziennikarz z CNN podsunął mu trampolinę, od której mógł się odbić.

- Co czuję? Szczerze mówiąc, nie na żarty się wystraszyłem. Kierowca tej ciężarówki jechał za szybko jak na tę pogodę, to chyba najlepszy dowód lekceważącego stosunku jego pracodawcy. Petromax Oil udowodnił dziś, że nie można mu powierzyć transportu kilkudziesięciu tysięcy litrów benzyny na dobrze utrzymanej drodze, a mimo to za chwilę będą pompować miliony baryłek ropy w dzie wiczym środowisku Arktycznego Rezerwatu.

Petromaks zatruł właśnie niewielką część rzeki wypływającej z lodowca i natura sobie z tym poradzi, ale co się stanie, kiedy tej samej firmie przydarzy się znacznie poważniejszy wypadek w rezerwacie? Nieodpowiedzialność jednego człowieka rodzi konsekwencje, z którymi jesteśmy w stanie sobie poradzić, ale działalność koncernu, dla którego pracował, będzie nas prześladować w przyszłości. Kiedy Petromaks i inne firmy naftowe zmienią rezerwat w śmierdzącą równinę pełną szlamu, nie oczyści jej święte oburzenie całego świata.

Co do oficjalnego stanowiska PEAL, jesteśmy tu po to, żeby do tego nie dopuścić. - Voerhoven skinął głową do innego znanego w całej Ameryce reportera.

- Kiedy prezydent ogłosił, że zawiesza import ropy, PEAL oficjalnie tego nie skomentowała, ale od czasu otwarcia Arktycznego Rezerwatu pańska organizacja zabiera głos na ten temat. Czy chciałby pan coś o tym powiedzieć?

Voerhoven uśmiechnął się, a w oczach błysnęły mu chochliki.

- Te oświadczenia nastąpiły tak szybko po sobie, że nie mieliśmy czasu, żeby zareagować. - Dziennikarze wybuchnęli śmiechem razem z nim. - Oczywiście przyklaskujemy wstrzymaniu importu ropy. Wstrzymanie kursów choćby jednego supertankowca to ogromne zwycięstwo. W pełni popieramy też poszukiwania alternatywnych

źródeł energii. Ale zaledwie kilka tygodni po przemówieniu prezydenta widzimy, jaką cenę trzeba zapłacić za to zwycięstwo. Kapitulując tak szybko przed lobby naftowym, prezydent udowodnił, że nie obchodzi go tak naprawdę los środowiska. Kiedy minie wyznaczony dziesięcioletni termin i nadal nie będziemy mieli wiarygodnego alternatywnego źródła energii, to wiercie mi, że firmy naftowe staną w kolejce, gotowe znów sprzedawać swoją truciznę.

- A co z badaniami, które ma prowadzić Johnston Group, finansowana przez prezesa Petromax Oil? Jedynym ich celem ma być znalezienie sposobu na uniezależnienie świata od ropy.

Voerhoven świdrował wzrokiem dziennikarza, który zadał to pytanie.

- Zrobią dużo szumu, będą obiecywać, że za chwilę dokonają wielkiego odkrycia, ale za dziesięć lat nie będą nam mieli nic do pokazania i Johnston Group po cichu się zwinie. A Maks Johnston wróci do branży naftowej.

Gorycz odpowiedzi Voerhovena skłoniła tego samego dziennikarza do zadania kolejnego, jeszcze bardziej drażliwego pytania:

- A jak pan odpowie na zarzuty, że PEAL to grupa tak zwanych ekoterrorystów?

- Nazywa pan moją organizację bandą ekoterrorystów? - grzmiał Voerhoven. - A przyjrzał się pan bliżej ciężarówce, która wypadła za barierkę i rozlała tysiące litrów benzyny do rzeki? Na cysternie nie ma napisu „Peal”, tylko „Petromax Oil”. Proszę mnie nie nazywać terrorystą, bo to oni niszczą naszą planetę.

- Doktorze Voerhoven, dobrze pan wie, co mam na myśli. Wielu ludzi czuje, że stosowane przez PEAL sposoby promowania świadomości ekologicznej na świecie są tak ekstremalne, że graniczą z aktami terroru.

- Dlaczego kiedy ktoś walczy o przekonania, z którymi się nie zgadzamy, nazywany jest terrorystą? A kiedy sympatyzujemy ze sprawą, o którą walczy, traktujemy go jak bojownika o wolność? - ripostował Voerhoven. - W dzisiejszym świecie kontekst nie określa już znaczenia. Dziś wszystko jest kwestią percepcji. Czy cele i metody PEAL są ekstremalne? Z pewnością dla niektórych tak, ale kiedy ktoś nazywa nas terrorystami, sam staje przeciw naturze. Jeśli ktoś sądzi, że nie warto walczyć o zdrowie naszej planety, to owszem, dla niego jesteśmy ekoterrorystami. Ale dla tych, którzy uważają, że walczymy o słuszną sprawę koniecznymi metodami, jesteśmy bojownikami o wolność. Prowadzimy wojnę, by ocalić to miejsce, które dało nam wszystkim życie.

Aby wygrać tę wojnę, musimy wygrywać każdą bitwę. Alaskę czeka wkrótce masowa napaść ze strony firm naftowych nastawionych na szybki zysk, a PEAL jest tutaj po to, by pomóc jej się bronić. Ale jak zobaczyliśmy dziś w nocy, natura nie jest całkowicie bezbronna. Dała to jasno do zrozumienia. Firmy naftowe i ich chęć niszczenia nie będą tolerowane. - Voerhoven skończył i odwrócił się od kamer, po czym zdecydowanym krokiem ruszył w stronę range rovera.

W koszmarnym wypadku zginął człowiek, który zostawił żonę i dwie córki, a mimo to dziennikarze, pakując sprzęt, czuli niemal radość. Taką siłę miało przemówienie Jana Voerhova.

Georgetown

Czterdzieści osiem godzin temu wszystko było proste. Jej życie było poukładane i płynęło gładko. Jedne zdarzenia prowadziły do innych tak naturalnie, że nawet się nad tym nie zastanawiała. Prywatna szkoła do liceum, liceum do studiów. Studia doprowadziły ją do dziedziny, którą uprawiała z taką pasją, że w ogóle nie wydawała się pracą. Dziesięć miesięcy temu w jej życiu pojawił się Jan Voerhoven i choć formalnie się nie oświadczył, jasne było, że wezmą ślub. Była w stanie podejmować decyzje bez trudu, nie bacząc na konsekwencje. Na miesiąc przed trzydziestymi drugimi urodzinami wiodła życie takie, jakie sobie wymarzyła: była w nim kariera, ważna sprawa i pokrewna dusza.

Ale teraz wszystko się zmieniło. Wybory stały się trudniejsze, a ich konsekwencje zmienią jej życie na zawsze. Prawdziwa odpowiedzialność przerażała Aggie Johnston bardziej, niż była skłonna przyznać.

Wszystko runęło, kiedy na przyjęciu u jej ojca pojawił się Philip Mercer w smokingu podkreślającym szczupłe, muskularne ciało. Czuprynę miał gęstą, że aż chciało się w niej zanurzyć palce, a oczy uwodzicielskie jak sam diabeł. Uśmiechowi Mercera nie mogła się oprzeć żadna kobieta.

Aggie wstała z kanapy i przeszła przez salon do szklanych drzwi na balkon. Miała mieszkanie z widokiem na kanał Chesapeake i Ohio, a balkon nad ciemną wodą był jednym z jej ulubionych miejsc. Po drugiej stronie kanału widać było niemal nieprzerwaną paradę biegaczy. Stała tak, póki popołudniowa wilgoć nie zrobiła się nieprzyjemna. Krótka koszulka zaczęła lepić jej się do ciała. Wróciła do klimatyzowanego pokoju i zasunęła drzwi ze stanowczością, jakiej w ogóle nie czuła.

W mieszkaniu miała to, co dał jej ojciec - cenne meble i olejne obrazy, których ani nie lubiła, ani nie ceniła. Trzymała je tylko po to, żeby zrobić mu przyjemność. Jediną rzeczą, którą naprawdę kochała, był stary głęboki fotel. Kupiła go w jakimś komisie jeszcze jako studentka. Ciągnęła go ze sobą jak ulubionego zwierzaka. Przez te wszystkie lata fotel reperowano tyle razy, że z oryginału nie zostało prawie nic. Ale dla niej był to wciąż ten sam fotel z cudownych lat w Westminster. Usiadła w nim z wdzięcznością, oddając się jego objęciom. Czuła się prawie tak, jakby ją przytulał. Cholernie jej tego teraz brakowało.

Wiedziała, że Mercer jest na liście zaproszonych na przyjęcie gości. Ojciec droczył się z nią, kiedy tylko zaczął rozsyłać zaproszenia. Miała nadzieję, że się nie pojawi, a zarazem modliła się, by przyszedł. Kiedy nie potwierdził udziału w imprezie, poczuła dziwną mieszkankę ulgi i żalu. I nagle wyszedł z jadalni, a jej dziewczęce zadurzenie wróciło z taką siłą, że poczuła się jak niedoświadczona uczennica, jaką była, gdy go poznała. Jej proste życie w jednej chwili skomplikowało się o wiele bardziej, niż mogła się spodziewać. Przez głowę przemykały jej nowe myśli, nowe pomysły i nowe możliwości, a kiedy w końcu stanęli przed sobą, była w stanie jedynie zachować się wobec niego opryskliwie.

Nie wiedziała, po co pojechała do niego wczoraj. Ale świadomie lub nie, założyła najbardziej skąpą bieliznę. Od chwili, kiedy weszła do kamienicy Mercera, nawet przez moment nie pomyślała o Janie. Nie mogła stłumić uczuć wobec Mercera, i to ją frustrowało. Nigdy jeszcze nie przydarzyła jej się taka gorączka emocji, nawet wtedy kiedy poznała Jana.

- Cholera jasna! - zaklęła i energicznie wstała z fotela.

Zaczęła szukać papierosów i znalazła je w końcu pośród bałaganu na kuchennym blacie. Szybko zapaliła jednego, uspokajając się.

Nie powinna była wczoraj do niego iść, ale nie mogła się powstrzymać, niczym nałogowiec. Kochała Jana, miała zostać jego żoną. Tego chciała. Był związany ze wszystkim, co szanowała w świecie. Dlaczego nagle miałaby go rzucić dla człowieka, którego potępiała?

Zastanawiała się nad tym tak długo, aż w popielniczce znalazły się trzy świeże niedopałki, ale nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Nie wiedziała, co to oznacza dla jej życia. Czy zawsze będzie niewierną żoną, oddającą się przygodnym romansom, ilekroć ktoś wpadnie jej w oko? Aggie aż do teraz nigdy w siebie nie wątpiła. Ale niepokoiło ją coś jeszcze, coś bez wątpienia istotniejszego. Ilekroć zaczynała o tym myśleć, tak bardzo bała się odpowiedzi, że dawała sobie

spokój. Czuła się jak wtedy, kiedy spóźniał się jej okres i bardziej bała się testu ciążowego niż tego, że może być naprawdę w ciąży.

W galimatiasie myśli w końcu jednak pojawiło się to ważne pytanie. Dlaczego ojciec wysłał wczoraj wieczorem Burta Manninga, by zabił Mercera?

Manning pracował dla jej ojca od lat. Aggie знаła go od ostatniego roku studiów. Nigdy nie przeżyła czegoś tak wstrząsającego jak atak na dom Mercera, ale kiedy zobaczyła na podłodze martwego Burta, tego było już za wiele. Uciekła najszybciej, jak mogła, bo natychmiast zrozumiała, dlaczego ojciec nie pozwalał jej spotykać się z Mercerem. Wiedział, że Burt pójdzie do Mercera, żeby go zabić.

Oczy zaszyły jej łzami, które zaczęły skapywać na piersi. Myślała, że wyplakała się już w nocy, ale kiedy sięgnęła po chusteczkę z pudełka zagrzebanego wśród rupieci na blacie, zdała sobie sprawę, że może ją to prześladować przez całe życie. Nieme łzy zmieniły się w rwący szloch, który wstrząsał jej ciałem. Osunęła się na podłogę z terakoty, przytulając się do szafek.

Konsekwencje dopadały ją nieznośnie szybko. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin wszystko, na co pracowała i o czym marzyła, wywróciło się do góry nogami. Jej narzeczony, człowiek, którego kochała i szanowała najbardziej na świecie, pod każdym względem wypadł blado przy Philipie Mercerze. A ojciec, którego nigdy nie lubiła, ale zawsze kochała, okazał się potworem, zatrudniającym najemnych zabójców. Chciała zamknąć oczy i przespać to wszystko, a potem się obudzić i przekonać, że to tylko koszmarny sen.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, usłyszała go jak przez mgłę, gdzieś daleko. Ale kiedy dotarł do niej zgrzyt klucza w zamku, zerwała się na równe nogi. Przeczesała włosy palcami i wytarła kciukami słone łzy spod oczu.

Do kuchni wszedł ojciec z głęboko zatroskaną twarzą. Miał na sobie swój typowy strój - doskonale dopasowany ciemny garnitur, białą koszulę i krawat w delikatny wzorek. Mimo bólu Aggie dojrzała, że buty też miał takie jak zawsze - nieprzetarte, ale mocno zniszczone. Nie lubił butów na wysoki połysk, uważał, że to dobre dla tych, którzy bardziej przejmują się własnym wizerunkiem niż tym, co istotne.

- Cały dzień próbuję się do ciebie dodzwonić, ale masz wyłączony telefon. Martwiłem się o ciebie - odezwał się, nim zauważył ślady po łzach na policzkach Aggie. - Skarbie, co się stało?

Nie przejmowała się, że ojciec dowie się o papierosach. Zapaliła jednego.

- Tato, byłam tam wczoraj. Wiem, co próbowałeś zrobić.

- Aggie - rzekł czule Maks Johnston. - O czym ty mówisz?

- Byłam wczoraj u Mercera. Byłam tam, kiedy Burt Manning próbował go zabić.

- Burt Manning?

- Włamał się do domu Mercera. On i jeszcze jeden człowiek. Przyszli, żeby zabić Mercera. I wiem, że to ty ich wysłałeś. Wiem, że chciałeś zabić Mercera. - Mimo gniewu Aggie znów zaczęła płakać.

Johnston wstrząśnięty otworzył szeroko oczy.

- Burt Manning próbował wczoraj zabić Mercera? Jesteś pewna?

- Tato, byłam tam. Burt i ten drugi włamali się do domu. Zabili agenta FBI. Burt omal nie zabił i mnie, ale Mercer go zastrzelił. Sam dostał w bark, a jego przyjaciel w nogę, ale to była proteza, więc nic mu nie jest. - Aggie miała świadomość, że bełkocze. Chciała być silna w starciu z ojcem, ale słowa wylewały się z niej jak rwący potok. - Wiem, że ich wysłałeś. To dlatego nie chciałaś, żebym spotykała się z Mercerem.

Maks wziął Aggie w ramiona i przytulił jej drżące ciało. Gładząc ją po włosach, cicho szeptał jej do ucha:

- Już dobrze, nic ci nie grozi.

Po kilku minutach Aggie się opanowała i przestała szlochać. Kiedy się uspokoiła, Maks odsunął ją od siebie na odległość ramion, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Nic ci się nie stało?

Aggie pokręciła głową, a on znów ją przytulił, ściskając mocno z ulgi.

- Aggie, posłuchaj - powiedział w końcu. - Burt Manning już dla mnie nie pracuje. Od miesięcy. Ma własną firmę, zajmuje się bezpieczeństwem. Kiedy pracował dla Petromaksu, wiedziałem, że bywa nieźrównoważony. W pracy radził sobie świetnie, ale nie sposób było nad nim zapanować. Wyrzuciłem go wiosną. Nie miałem pojęcia, że próbował zabić Mercera, ale mogę cię zapewnić, że nie ma to nic wspólnego ze mną.

Maks uśmiechnął się, a w jego oczach pojawiły się troska i miłość.

- Już od dziecka zarzucałaś mi wiele rzeczy, czasami nawet miałaś rację. Ale nigdy w życiu nie dopuściłem się morderstwa. Zresztą, po co miałbym zabijać Mercera? To mój dobry przyjaciel.

- Ale nie kazałaś mi się do niego zbliżać - odezwała się cicho oskarżycielskim tonem.

- Skarbie, tylko po to, żeby cię chronić. Wiem, że durzyłaś się w nim, i nie chciałem, żebyś cierpiała. Mercer to pies na baby. Szkolne

zauroczenie to jedno. Ale choć od waszego spotkania minęło tyle lat, z całą pewnością złamałby ci serce. Lubię Mercera, ale nie oddałbym mu ciebie. Dlatego cię ostrzegałem. Moja biedna mała dziewczynka. Przytulili się znów, a Aggie żałowała, że nie robiła tego częściej w dzieciństwie. Ale nawet teraz nie było za późno.

- Aggie, wiem, że zaangażowałaś się w związek z przywódcą tej organizacji, dla której pracujesz. Nie podoba mi się ten czło-wiek, ale wiem, że dobrze cię traktuje i jesteś z nim szczęśliwa. - Nie wiedział, że rozmawiali o małżeństwie. Nie miała odwagi mu tego powiedzieć. - Wybij sobie Philipa Mercera z głowy. Tak będzie lepiej. Dobrze?

Aggie kiwnęła powoli. Łzy w końcu przestały lecieć.

- To co, mała, może tak się umówimy: ja nie będę się czepiał palenia ani nie będę pytał, po co wczoraj poszłaś do Mercera kwa drans po dziesiątej, za to ty obiecasz mi, że o nim zapomnisz.

Aggie uśmiechnęła się do ojca niepewnym, smutnym uśmiechem pełnym zaufania. Znów objęła go rękoma, wtulając się w niego jak w swój ukochany fotel.

- Kocham cię, tato.

- Skarbie, jesteś całym moim życiem. Nie zapominaj o tym. Na pewno wszystko w porządku?

- Nic mi nie będzie. Chyba wyjadę na jakiś czas z miasta. Muszę uciec od tego wszystkiego.

- Bardzo słusznie. Słuchaj, firmowa rezydencja na Hilton Head stoi teraz pusta. Odrzutowiec Petromaksu może cię tam zawieźć w godzinę. Mam to załatwić? - Aggie kiwnęła głową. - Świetnie. Wiesz co? Muszę wyskoczyć na dwa dni do Londynu. Jak wrócę, to może do ciebie pojadę, dobrze?

- Byłoby świetnie. - Uśmiechnęła się najładniej, jak potrafiła.

Kiedy tylko ojciec wyszedł, Aggie wykręciła numer do US Airways. Po kilku frustrujących minutach przedzierania się przez automatyczny system odezwała się przedstawicielka biura sprzedaży.

- Jaki macie najbliższy wolny lot z lotniska Reagana? - zapytała obcesowo Aggie.

- A dokąd chce pani polecieć?

- Na Alaskę, ale teraz to nie ma znaczenia, muszę się wydostać z Waszyngtonu.

Aggie nie powiedziała ojcu, o której była u Mercera. A mimo to wiedział. O Boże.

Arlington, stan Wirginia

Kiedy Aggie Johnston gorączkowo przygotowywała się do ucieczki ze stolicy, Mercer, zaledwie piętnaście kilometrów dalej, robił to samo, tyle że gnany strachem. W dziedzinie pakowania uważał się za eksperta. Rzadko woził ze sobą coś, czego by nie używał, nie zdarzało mu się też zapomnieć niczego ważnego. Nie dość, że pakował się ekonomicznie, w dodatku robił to szybko. Od chwili, kiedy rzucił na zniszczone łóżko skórzaną torbę i plecak, do momentu, kiedy zapiął jedno i drugie, minęło jedenaście minut.

Od kiedy późnym rankiem wyszedł z hotelu Willard, było to pierwsze jedenaście minut, które spędził bez telefonu przy uchu. Jeśli miał zamiar wyslizgnąć się z opiekuńczych objęć FBI, musiał zwiększyć swoje szanse. Zbierając informacje, mogące mu się przydać na Alasce, Mercer dzwonił do ludzi, którzy mieli u niego długi wdzięczności i sam zaciągał nowe. Choć wiedział, że Kerikow próbuje go zabić i z całą pewnością podwoi starania, i tak nie zamierzał odpuścić. Był wściekły, że wtargnęli do jego domu i narazili na niebezpieczeństwo jego przyjaciół. Mógłby poradzić sobie z tym, że coś zagraża jego życiu, ale nie z tym, że ktoś grozi jego bliskim, zwłaszcza Harry'emu, a teraz Aggie. Od znajomego z firmy telefonicznej zdobył jej zastrzeżony numer, ale sfrustrowany ciągle słyszał w słuchawce przerywany sygnał.

Telefon zadzwonił, kiedy miał już znosić bagaże na dół. Przenośny aparat leżał na szafce nocnej.

- Halo.

- Doktor Mercer? Mówi szeryf MacLaughlin z Homer. Dostałem wiadomość, że próbował się pan ze mną skontaktować.

- Dzięki, że pan oddzwonił. Mam pewne podejrzenie i chciałbym, żeby coś pan dla mnie sprawdził. Ma to związek ze śmiercią Jerry'ego i Johna Smallów.

- Obawiam się, że będzie pan musiał trochę poczekać, doktorze Mercer. Zeszłej nocy mieliśmy tu morderstwo i całe miasteczko aż huczy.

- Morderstwo? Co się stało?

- Jakies półtora kilometra na południe od miasta znaleziono na brzegu kuter rybacki. W kabinie dziobowej leżał właściciel z poderżniętym gardłem. Wyglądało to dość przerażająco, rozumie pan.

- To była miejscowa łódka? - Mercer czuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

- Tak, cumowała w naszym porcie. Właściciel urodził się i wychował w Homer.

- Co to była za łódź?
- Przepraszam, doktorze, ale naprawdę nie mam na to czasu. -
W głosie MacLaughlina pobrzmiwało zmęczenie, jakby przez ostatnie kilka dni za dużo widział i za dużo się napracował.
Mercer mu współczuł, ale nie odpuszczał.
- Nie pytałbym, gdyby to nie było ważne.
- Nie był to duży kuter połowowy, ale przyzwoitej wielkości łódź rybacka. Zresztą chyba największa w mieście. Mogła zabrać na pokład i dwadzieścia osób.
- Szeryfie, czy ofiara знаła koordynaty miejsca, gdzie Straż Wybrzeża zatopiła wrak „Jenny IV”?
- Jasne. Ci ze straży upublicznili dane, żeby rybacy je sobie nanieśli na mapy, w końcu za parę lat ten wrak obrośnie koralowcami.
- Trzeba wysłać kogoś, żeby przeczesał dno i sprawdził, czy wrak nadal tam leży. - Mercer podejrzewał, że już go nie ma, ale musiał zyskać pewność.
MacLaughlin obruszył się na władczy ton Mercera.
- Chwileczkę, do jasnej cholery. Cenię pańską współpracę przy sprawie Smallów, ale prowadzę ważne śledztwo i nie mam czasu na takie rzeczy.
Mercer odezwał się nieco spokojniej.
- Przepraszam, ale jeśli moje podejrzenia są słuszne, to przekonacie się, że właściciel łodzi, którego wczoraj zamordowano, został zmuszony do odholowania „Jenny IV” z miejsca, gdzie zatopiła ją Straż Wybrzeża. Na wraku było coś, czego nikt nie zauważył, dowód, który trzeba było pogrzebać na zawsze. Ci sami ludzie, którzy zabili Jerry'ego i Johna Smallów oraz ich kuzyna Howarda, z całą pewnością popełnili i to ostatnie morderstwo.
- A co to za ludzie? - zapytał MacLaughlin podejrzliwie, ale mimo wszystko zaintrygowany.
- Jeszcze nie wiem - skłamał Mercer - ale może mi pan wierzyć, że się dowiem.
MacLaughlin odezwał się po długim milczeniu.
- Chyba mogę poprosić szwagra, żeby popłynął tam i spuścił hak na długiej linie. Jestem pewien, że znajdzie wrak za pierwszym podejściem.
- Niech pan na to nie liczy, szeryfie. „Jenny IV” tam nie ma. Kiedy szwagier wróci, niech pan nie dzwoni do mnie do domu. Lecę wieczorem na Alaskę, odezwę się później.
- Jasne. Gdyby mnie nie było na posterunku, to niech pan sobie zapisze mój domowy numer.

- Jestem panu dożgonnie wdzięczny - odparł Mercer. Zapisał numer MacLaughlina i odłożył telefon.

Odetchnął głęboko, czując ulgę, że szeryf z Alaski zgodził się pomóc. Mercer źle się czuł, okłamując MacLaughlina, ale nie miał innego wyjścia. Wątpił, by śledztwo szeryfa wyszło poza granice Homer, więc im mniej wiedział, tym mniejsze szanse, że wejdzie w drogę Iwanowi Kerikowowi. Nie byłby w stanie odpowiednio ostrzec go przed spotkaniem z międzynarodowym terrorystą w rodzaju Kerikowa, a nie chciał mieć na sumieniu kolejnego zabójstwa, gdyby MacLaughlin za bardzo zbliżył się do Rosjanina. Zajawszy go poszukiwaniami „Jenny IV”, Mercer mógł ruszyć innymi tropami.

Zdjął bagaże z łóżka i dostrzegł, że ostre słońce wpadające przez nowy świetlik suszyło pierwszą warstwę farby na ścianach. Za dzień lub dwa znikną fizyczne ślady po napaści. Zgodnie z obietnicą Dick Henna wynajął ekipę do remontu jego domu. W barze, gdzie połała się krew Burta Manninga, leżała już nowa wykładzina, a stolarz naprawiał dziury po kulach w bibliotece, na antresoli i w historycznych schodach.

Mercer z doświadczenia wiedział, że efekty psychiczne po takim zdarzeniu ustępują znacznie, znacznie dłużej.

Telefon zadzwonił ponownie, kiedy zszedł do połowy schodów. Zostawił bagaże w bibliotece i pobiegł, żeby odebrać w gabinecie.

- Powiedział to Enrico Caruso - odezwał się triumfalnie głos w słuchawce, nim Mercer zdążył się przywitać.

- Trochę ci to zajęło - droczył się z uśmiechem.

Z Davidem Saulmanem, starym przyjacielem, Mercer od początku znajomości grał w zgadywanki na temat różnych ciekawostek. Obaj doskonale się przy tym bawili - Saulman dzięki temu mógł wykorzystać swoje niewyczerpane zdolności badawcze, Mercer zaś testował swoją fenomenalną pamięć.

Ostatnie pytanie Mercer zadał trzy miesiące wcześniej i tyle czasu zajęło Saulmanowi odszukanie odpowiedzi. Kto powiedział o wielkim trzęsieniu ziemi w San Francisco osiemnastego kwietnia 1906 roku: „Żyrandol próbował dotknąć sufitu, a krzesła ganiały się po podłodze?” To było jedno z najbardziej ezoterycznych pytań Mercera, ale czuł się usprawiedliwiony, bo sam nie pamiętał, że Benjamin Briggs był kapitanem „Mary Celeste”, a taka była odpowiedź na poprzednie pytanie Saulmana.

Pytania Mercera niezmiennie dotyczyły nauk geologicznych lub inżynierskich, Saulman zaś ograniczał się do tematów

marynistycznych i historii. Obaj byli ekspertami w swoich dziedzinach i mogli czerpać z niezgłębionej wręcz studni wiedzy.

David Saulman jako nastolatek podczas II wojny światowej był majtkiem na statkach handlowych. Powoli piął się po szczeblach kariery, a raczej po masztach. Niestety, w wybuchu silnika na początku lat sześćdziesiątych stracił rękę i szansę na dalszą karierę. Zdjęty z pokładu, zaczął interesować się prawną stroną handlu morskiego, skończył nawet studia prawnicze. Został jednym z najlepszych specjalistów od prawa morskiego i stać na niego było tylko najmniejszych. W jego biurze w Miami pracowało blisko stu pięćdziesięciu prawników, a niedawno otwarta filia kancelarii w Londynie, opodal słynnego Lloyd'sa, radziła sobie lepiej, niż można było oczekiwać. Saulman miał kontakty wszędzie, od dokerów po wielkich armatorów, i wiedział o tej branży więcej niż ktokolwiek na świecie.

- Sekretarka przekazała mi dziś rano wiadomość od ciebie - powiedział Saulman. Nawet po tylu latach w jego głosie słychać było wciąż brooklyński akcent. - Mam informacje, o które prosiłeś.

- Jestem zaskoczony, że tak szybko je zdobyłeś.

- Nie mam pojęcia, jak myśmy mogli pracować, zanim wynaleziono komputery - stwierdził Saulman, myśląc o tych, którzy naprawdę pamiętali czasy, gdy świat nie był jeszcze opanowany przez krzemowe mikroprocesory. - Komu mam tym razem wystawić rachunek?

Mercer wybuchnął śmiechem. Choć Saulman mógłby wykonać tę kwerendę gratis, wiedział, że kiedy Mercer prosi o przysługę, zawsze jest ktoś jeszcze równie zainteresowany tymi informacjami.

- Wystaw na FBI. Faktura z twojej kancelarii nie będzie wyglądała źle, kiedy Dick Henna dowie się, że go nabrałem, jeśli chodzi o kierunek podróży. To co masz dla mnie?

- Już mówię. - David Saulman przerwał i Mercer słyszał, jak układa dokumenty na biurku. - W okresie, o który pytałeś, w zatoce Alaska przebywały sto trzy statki. Z tego dziewięćdziesiąt cztery to prywatne bądź komercyjne kutry rybackie, a wśród nich „Jenny IV”. Znalazłem też cztery duże promy linii Alaska Marine Highway. Trzy kontenerowce należące do Lykes Line albo wiozły na północ sprzęt do budowy nowego rurociągu, albo płynęły prosto na południe. Była też łódź o nazwie „Nadzieja” należąca do organizacji ekologicznej PEAL i tankowiec płynący do terminalu Alyeska w Valdez.

Usłyszawszy o PEAL, Mercer poczuł, jakby przeszył go prąd.

- Co wiesz o „Nadziei”?

- Stary angielski statek pomiarowy, kupiony mniej więcej rok temu i przerobiony na pseudonaukowe pływające laboratorium. Bar-

dziej tu chodzi o public relations niż prawdziwą naukę. Pojawia się wszędzie tam, gdzie rodzą się jakieś ekologiczne spory. W Cieśninie Księcia Williama kotwiczy od prawie trzech tygodni.

- Wypływała gdzieś ostatnio? - zapytał szybko Mercer z błyskiem zwycięstwa w mrocznych szarych oczach.

- Przykro mi, ale nie. - Saulman zdusił w nim nadzieję.

Łódź PEAL byłaby jedynym logicznym środkiem do szmuglowania ogromnych ilości ciekłego azotu, ale skoro nie wypływała z Valdez, to znaczy, że się mylił.

- W porządku, a ten tankowiec?

- Niech no sprawdzę. - Saulman sięgnął po dane na temat tankowca. - Proszę bardzo. To „Petromaks Arctica”, pojemność dwieście pięćdziesiąt pięć tysięcy ton, regularny rejs między Valdez a Long Beach...

- Petromaks? - przerwał mu Mercer. - Nie dalej jak dwa dni temu rozmawiałem z Maksem Johnstonem. Twierdzi, że sprzedał swoje tankowce.

- Nie dałeś mi dokończyć, a miałem właśnie powiedzieć, że do Valdez dołynął jako „Arctica”, ale przedwczoraj wypłynął już jako „Krzyż Południa”. Nowy armator to Southern Coasting and Ligh-tering z Nowego Orleanu. Dla SC&L to wielki krok.

- W jakim sensie?

- To spółka średniej wielkości. Zanim przejęli flotę Petromaksu, ich największym statkiem był czternastoletni tankowiec o ładowności stu tysięcy ton. Na „Arctice” i jej siostry wyłożyli sto pięćdziesiąt milionów dolarów. Dla nich to jak przesiadka za jednym zamachem z yugo do kolekcji bentleyów.

- Twoja kancelaria przygotowywała może papiery do tej transakcji?

- Nie, wszystko robili w Luizjanie. Ale kiedy o tym usłyszałem, nabrałem nieco podejrzeń i trochę powąszyłem. Wszystko wyglądało dziwnie od samego początku. Petromaks pozbywał się tych statków w takim tempie, jakby go parzyły. Już pierwszego dnia, kiedy roz-niosło się, że Maks chce się pozbyć tankowców, pojawiła się spółka Southern Coasting, która grzecznie wystawiła mu czek na sto pięćdziesiąt milionów dolarów, bez negocjacji, bez organizowania kredytów, bez niczego.

- Wygląda na to, że potrzebne mu były pieniądze - stwierdził Mercer.

- Grecy czy Japończycy kupiliby te tankowce w mgnieniu oka, i to znacznie drożej. Chryste, „Petromaks Pacifica” ma dopiero osiem

miesiący. Tylko ten jeden tankowiec musi być wart z siedemdziesiąt pięć milionów dolarów - zauważył Saulman.

- Bez jaj.
 - No, bez jaj - potwierdził Saulman. - Jest jeszcze coś dziwnego. Southern Coasting zażądało, żeby zaraz po podpisaniu umowy zmienić nazwy statków, nie tylko w księgach, ale żeby zmienić je fizycznie, na kadłubach. Zapłacili nawet za to, żeby ekipa poleciała do Valdez i przemianowała „Arcticę” w drodze z Alaski do Kalifornii.
 - A dwa pozostałe tankowce?
 - „Petromaks Arabia” jest w Zatoce Perskiej. Teraz nazywa się „Południowy Akcent”. A „Petromaks Pacifica” wyladowuje towar w Tokio, gdzie zostanie przemianowany na „Południową Gościnność”.
 - Dziwne, ale niewiele mi to daje. - Mercer starał się ukryć rozczarowanie. - Masz coś jeszcze?
 - Cóż, „Arctica” przyплыnęła do Valdez z osiemnastogodzinnym opóźnieniem, a jej kapitana trzeba było przewieźć śmigłowcem do Anchorage, bo przydarzył mu się jakiś wypadek.
 - Jezu, czemu od razu mi tego nie powiedziałaś?
 - Hej, przecież prosiłeś o listę statków w zatoce Alaska. Nie mówiłeś po co.
 - Przepraszam - odparł potulnie Mercer. - Spóźnienie tankowca to częsty przypadek?
 - Chyba żartujesz. Godzina pracy takiego potwora kosztuje mniej więcej tysiąc dolarów, więc mówimy o osiemnastu tysiącach tylko na paliwo, płace i ubezpieczenie. Do tego trzeba dodać stracony czas i kary za spóźnienie. Tankowce nigdy się nie spóźniają.
 - Nie wiesz przypadkiem, co się przydarzyło kapitanowi?
 - Nie. W notatce z wypadku wysłanej do Lloyd'sa napisano tylko, że stracił przedramię. Petromaks zapłacił za przewiezienie go do specjalisty w Seattle.
- Mercer milczał przez dłuższą chwilę. Chciał wierzyć, że to „Arctica” przemycała cylindry z ciekłym azotem i przekazywała je potem „Jenny IV”, ale to nie miało sensu. Petromaks był światowym liderem w wydobyciu ropy. Niemożliwe, żeby bawili się w szmugiel, zwłaszcza czegoś tak niewinnego jak ciekły azot. I tak mieli już trudną sytuację na Alasce z powodu protestów przeciw otwarciu rezerwatu arktycznego. Na pewno nie zrobiliby nic, żeby ją pogarszać.
- Zdaje się, że szczekamy pod niewłaściwym drzewem - oświadczył w końcu Mercer.
 - Powiedz mi, czego szukasz, to może uda mi się to znaleźć - zaproponował Saulman.

- Dave, przykro mi, nie mogę. Słuchaj, i tak mi podpowiedzia-
łeś, gdzie mam nie szukać. Wiem już o wiele więcej.

Aby wyrwać Mercera z ponurego nastroju, który słychać było
w jego głosie, Saulman zaproponował kolejną zgadywanke:

- To, zanim się rozłączymy, powiedz, kto zaprojektował pierw-
szą wersję „Monitora” dla amerykańskiej marynarki?

- Łatwizna - odparł Mercer bez wahania. - John Ericsson.

Odłożył słuchawkę, słysząc, jak Saulman klnie na niego do
brodusznie.

Kilka minut później Mercer zaparkował jaguara tuż obok wy-
służonego pontiaca Tiny’ego na tyłach baru byłego dżokeja. Wrzu-
cił bagaże na tylne siedzenia sedana swojego przyjaciela i zamknął
drzwi jaguara.

W barze było pusto, jeśli nie liczyć Harry’ego. Mercer ze zdumie-
nieniem zobaczył, że przyjaciel siedzi na tym samym miejscu co
zwykle i w kościstej ręce trzyma prawie pustą szklankę, a z białych
ust zwisa mu papieros. Obok ma kartonowe pudło, z którego wystają
szybki butelek z rozpoznawalnym logo Jacka Daniela.

- Co ty tu robisz, u diabła? - zapytał Mercer, wchodząc do baru
przez rzadko używaną kuchnię.

- Nie uwierzysz. - Harry był podniecony jak dziecko przed
Gwiazdką. - Zamówiłem cztery skrzynki jacka danielsa, a ci idioci z
hotelu cały czas mi je przynosili. Wzięli nawet taksówkę, żebym
mógł je przywieźć. Jeszcze kilka godzin i nie musiałbym płacić tu
za drinki przez najbliższy rok.

- Ile życzą sobie za skrzynkę? - zapytał Mercer, bojąc się od-
powiedzi. Henna go zabije, kiedy dostanie rachunek.

- Nie wiem, coś koło stówy za butelkę - rzucił Harry lekcewa-
żąc, kończąc drinka, bo Tiny zdążył już postawić przed nim następ-
nego. - Niech Bóg błogosławi Wuja Sama i jego kieszenie bez dna.

Mercer milczał. Mógł się wściekać na Harry’ego za to, że nad-
użył propozycji, by skorzystał z apartamentu w hotelu, albo mógł
się do niego przyłączyć.

- Następnym razem weź dla mnie ze dwie butelki absoluta, ale
niech to będzie ostatnia wyprawa. Willard na pewno lada chwila za-
wiadomi biuro Henny. I przywieź butelkę remy martina dla Tiny’e-
go. Wiem, że mu się skończył.

- Cóż za łaskawość - odparł cierpko Tiny. - Wiesz, co się stanie
z moim lokalem, kiedy Harry zyska dostęp do własnego źródła wódki?

- Kasuj go podwójnie za piwo imbirowe. I tak będzie przycho-
dził - zażartował Mercer. - Paul, mam prośbę.

Tiny zauważył powagę w ostatnich słowach Mercera i odparł bez wahania:

- Mów, o co chodzi.
- Potrzebuję podwózki na lotnisko. I żebyś ukrył na kilka dni moją brykę.

- Co się dzieje? - Mimo upojenia Harry też wylał ton Mercera.
- Mam trop prowadzący do tych drani, którzy urządzili sobie wczoraj u mnie strzelaninę.

- Myślałem, że FBI nad tym pracuje.

Mercer spojrział zgryźliwie na Harry'ego.

- Są na to za krótkcy. Kerikow wrócił.

Harry siedział chwilę bez słowa, przyswajając tę wiadomość. W brakującej nodze poczuł fantomowy kurcz. To przez radziecki plan o nazwie „Kuźnia Wulkana” Harry stracił nogę. I to właśnie Kerikow wprowadzał ten plan w życie. Tiny nie zrozumiał, co pomysłeli sobie Mercer i Harry, nie wiedział, jakim złym żywołem jest Kerikow. Ale Harry i Mercer wiedzieli to aż za dobrze. Często zastanawiali się, czy Kerikow jeszcze kiedyś wypłynie, i właśnie do tego doszło. Harry znów poczuł skurcz w nodze, której mu brakowało, czuł go tak wyraźnie, jakby znów ją miał.

- Myślisz, że chodzi mu o zemstę?

Mercer pokręcił głową.

- Chodzi o coś znacznie więcej, ale jeśli oberwę przypadkiem, to jestem pewien, że ten sukinsyn nie uroni nawet łyży.

- Cóż, to nie może być przypadek - zauważył Harry.

- Nie, ale może to los. - Kiedy ostatnio zmierzył się z Kerikowem, w Stanach Zjednoczonych omal nie doszło do wojny domowej. Był przerażony, co może się stać tym razem.

- Tiny, zawieź go na lotnisko. Ja popilnuję baru. - Po takiej wypowiedzi Harry'ego zwykle nastąpiłaby seria żartów, ale Tiny odwiązał fartuch i rzucił go na blat bez słowa.

Mercer już dochodził do tylnych drzwi, idąc za niską postacią Paula Gordona, ale odwrócił się jeszcze do Harry'ego:

- Jeśli nie wrócę, nie afiszuj się za bardzo, dobrze? Ciebie też zna.

- Jeśli nie wrócisz, to równie dobrze mogę popełnić samobójstwo, oszczędzę Kerikowowi zachodu. - Harry spojrział przez chwilę na szklanę, a kiedy podniósł wzrok, w jego oczach buzowały emocje. - Uważaj na siebie, Philip.

Po raz pierwszy, od kiedy się poznali, Harry zwrócił się do niego po imieniu i zabrzmiało to jak ostateczne pożegnanie. Mercer

przystanął, popatrzył w oczy staremu przyjacielowi i niemal niedostrzegalnie skinął głową.

Cieśnina Księcia Williama

"Nadzieja" powstała w 1964 roku w stoczni Yarrow and Company jako statek badawczy klasy Hekla, zbudowany dla Brytyjskiej Królewskiej Marynarki Wojennej. Zachowała oszczędną wojskową sylwetkę, widoczną nawet pod warstwami jaskrawożółtej farby, nadającej jej wygląd gigantycznej zabawki do wanny. Płaski dziób napierał niemal prostopadle na wzburzone fale, rufa była podobnie ścięta. Miała siedemdziesiąt metrów długości. Dwie trzecie pokładu głównego zajmowała trypoziomowa nadbudówka, pośrodku której wystawał kwadratowy komin. Na pokładzie rufowym znajdowało się ładowisko dla śmigłowców, a w garażu pod mostkiem stały dwa żółte range rovery. Pochylony do przodu żuraw o udźwigu dziesięciu ton był gotów w każdej chwili przerzucić samochody z brzegu lub na brzeg.

„Nadzieja” mogła przewozić sto dwadzieścia trzy osoby załogi, więc dwudziestu dwóm członkom PEAL, którzy ją obsługiwali, miejsca nie brakowało, podobnie jak sześćdziesięciu innym działaczom, którzy z nimi pływali. Zasięg do trzydziestu pięciu tysięcy kilometrów pozwalał „Nadziei” poźeglować w dowolne miejsce na świecie, by zwrócić uwagę na szkody wyrządzone środowisku. Nie był to demon prędkości - wyciągała najwyżej trzynaście węzłów, ale dzięki poprzecznemu silnikowi dziobowemu dawała się dobrze sterować. Trzy turbodiesle pax-man ventura V-12 i wzmocniony kadłub pozwalały jej pływać nawet pośród grubego lodu.

Kiedy kupiła ją PEAL, w środku nie zmieniono wiele. Zostawiono dwa laboratoria i studio fotograficzne oraz dużą ładownię. Wszystkie przejścia i korytarze wyłożono wykładziną o morskim kolorze, a zwykłe szare ściany przemalowano na łagodne pastele - liliowy i kremowy. W wielu miejscach powywieszano plakaty. Wszystkie były na podobny temat - zachęcały do ratowania lasów deszczowych, oceanów i zagrożonych gatunków. Najczęściej pojawiały się na nich pandy i wieloryby, a do tego niepokojące zdjęcia, przedstawiające zakłady przemysłowe trujące powietrze i wodę.

Najbardziej sugestywna fotografia wisiała na honorowym miejscu w mesie. PEAL wykorzystywała ją w swoich kampaniach reklamowych. Widać było na niej sześciolatniego Indianina z Ameryki

Południowej ubranego jedynie w podarte szorty. Za nim wysoko w powietrze strzelały dymiące płomienie palącego się brazylijskiego lasu deszczowego. Chłopiec ponuro patrzył na potężny buldożer, jadący w jego stronę. Twarz kierowcy skrywała bańkowata maska przeciwgazowa. Nie trzeba było żadnego podpisu.

Jako że zanurzenie „Nadziei” wynosiło ponad cztery i pół metra, nie mogła cumować przy nabrzeżu w Valdez. Stała na kotwicy kilkaset metrów od brzegu i była największą jednostką w Cieśninie Księcia Williama, nie licząc stałej procesji tankowców płynących do terminalu naftowego po drugiej stronie zatoki i z powrotem. Od zawinięcia do cieśniny tylko raz przyплыnęła do brzegu, by wyładować na ląd jednego range rovera w terminalu promowym.

Dzięki temu że statek stał z dala od brzegu, Jan Voerhoven miał kilka minut, by popatrzeć, jak jego gość płynie na pokład „Nadziei” w jednej z ich żółtych gumowych łodzi. Choć słońce mocno świeciło, było przenikliwie zimno. Arktyczny front trzymał Alaskę w swoim uścisku i temperatura była dobre dziesięć stopni poniżej normy. Miejscowi twierdzili, że to może być najgorsza zima od ćwierć wieku, a była dopiero połowa października. Para ludzi obsługujących motorówkę kuliła się przed lodowatymi podmuchami wiatru szalejącego w cieśninie. Kaptury mieli naciągnięte mocno na głowy, za to ich pasażer najwyraźniej nic sobie nie robił ze złej pogody. Stał spokojnie pośrodku gumowej łodzi, wyprostowany, z uniesioną okrągłą głową. Nie założył nawet czapki, by chronić ciało przed wychłodzeniem. Voerhoven z daleka widział srebrzyste pasemka jego krótko ostrzyżonych włosów.

Jan Voerhoven wielokrotnie stawał twarzą w twarz z naturą w ten sam sposób, zawsze chciał być jak najbliżej niej. Ale ten człowiek nie przyjechał po to, by smakować siłę natury, ale by ją zdominować. Nawet z tej odległości Voerhoven widział jego arogancję. Wyglądał, jakby nie czuł nic wobec sił przyrody, nic sobie nie robił z jej delikatnych pieszczot ani ostrych smagnień. I wydawał się zupełnie nie zważać na zimno. Voerhoven czuł, jak wzbiera w nim buzująca wściekłość.

Jan, od kiedy tylko pamiętał, zawsze kochał świat wokół siebie. Nie miasta, drogi i wybudowane przez człowieka kanały w swojej rodzinnej Holandii, ale środowisko naturalne, świat wiatru, oceanów i ziemi. Jako chłopiec godzinami wpatrywał się w chmury pędzące po niebie nad jego podwórkiem. Uważał, że nie ma nic doskonalszego niż Ziemia, na której mieszka. Jako dziesięcioletek dowiedział się, że to wszystko kłamstwo.

Dowiedział się, że cały jego kraj, wszystko, co widział w swoim młodym życiu, został zbudowany na terenie wykradzonym Morzu Północnemu. Jego nauczyciele dumnie wyjaśniali, że ziemia została „odzyskana”. Wzdłuż brzegu zbudowano wały ziemne i tamy, by niegdyś żyzne dno morza można było osuszyć, zrekultywować i zabudować. Nauczyciel powiedział, że to cud ludzkiego geniuszu i wytrwałości.

Młody Jan uznał stworzenie Holandii za świadomą kradzież. Jak można coś odzyskać, skoro nie miało się do tego prawa? Jako dziesięcioletek zdał sobie sprawę, że jedno z największych osiągnięć inżynierii było jedynie rabunkiem dokonany na dziewiczej przyrodzie przez chciwych ludzi. Wierzył, że Holendrzy nie mieli prawa do tego, co zrobili. Uświadomił sobie, że natura nie była w stanie ich powstrzymać, nie potrafiła chronić swej równowagi przed szaburującymi ludźmi.

Tamtego dnia, w tamtej właśnie chwili, poświęcił swoje życie przywracaniu równowagi w przyrodzie, powstrzymywaniu nienasyconego pragnienia ludzkości, by niszczyć planetę. Był za młody, żeby przyłączyć się do ruchu Zielonych, który przetoczył się przez Europę, ale na początku lat osiemdziesiątych na studiach aktywnie działał, organizował gwałtowne bojkoty i demonstracje, jednocześnie studiując ekologię. Cudowne lata jego młodości upłynęły mu na starciach z policją, wdychaniu gazu łzawiącego, dyskusjach do późna w nocy i wydawaniu podziemnych gazet.

Doktorat zrobił głównie po to, by jak najdłużej być w kontakcie z niespokojnymi studentami. Nigdy nie miał wątpliwości, że po obronie będzie uczył, przekazując innym swoją charakterystyczną mieszankę ekologicznego aktywizmu i przemocy. Cztery lata temu został wyrzucony z uczelni. Musiał odejść, bo jego gorące hasła stały się zbyt radykalne nawet jak na liberalne kręgi akademickie w Europie. Nie czuł goryczy, bo dzięki temu powstała PEAL. Gdyby ciągle wykładał, nie miałby czasu na stworzenie organizacji, która za chwilę miała przyćmić Greenpeace jako najaktywniejsza grupa ekologiczna na świecie.

Motorówka zbliżała się do „Nadziei”. Jej śliski gumowy kadłub przecinał wodę zwinnie niczym wydra morska, których mnóstwo mieszkało w cieśninie. Voerhoven wrócił myślami do człowieka, który płynął do niego w odwiedzin.

Miał już do czynienia z wieloma groźnymi ludźmi - neonazistowskimi skinheadami, których wynajmował do rozpędzania własnych zgromadzeń, by zyskać większy rozgłos w mediach,

profesjonalnymi podpalaczami, na zamówienie podkładającymi ogień pod stacje benzynowe w Holandii i Belgii, a także gangami włamywaczy, których zatrudniał, by uczyli działaczy PEAL, jak wdzierać się do laboratoriów, gdzie prowadzono badania na zwierzętach. Choć było wśród nich wielu fanatyków i złowrogich typów, to żaden nie mógł się równać z człowiekiem, zbliżającym się do pokładu „Nadziei”.

Pierwszy raz spotkali się ponad rok temu. Mężczyzna wszedł do ciasnego biura PEAL w pobliżu amsterdamskiego dworca i po zdawkowym przedstawieniu się położył Voerhovenowi na biurku czek bankowy. PEAL miała wówczas niespełna dwudziestu członków, głównie wolontariuszy, i budżet rządu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, z czego większość pochodziła z funduszu inwestycyjnego Voerhovena. Czek wystawiony dla PEAL opiewał na dziesięć milionów dolarów.

- Pieniądze są wasze pod pewnym warunkiem - powiedział bez ogródek dobroczyńca Jana.

Voerhoven przypomniał sobie, jak spojrział w lodowate oczy przyszła i zobaczył w nich śmierć, ale nie przeszkodziło mu to ochoczo przyjąć oferty. Równie chętnie zaprzedałby duszę, gdyby zgłosił się do niego sam Lucyfer. Iwan Kerikow był złośliwy i śmiertelny jak rak. Dzięki swym kontaktom w Europie Voerhoven dowiedział się później, że Kerikow był zbuntowanym oficerem KGB, którego poszukiwały Stany Zjednoczone, jego byli przełożeni z Rosji i wiele innych grup. Opowieści o jego brutalności przypominały koszmary.

W ciągu kilku tygodni Kerikow zmienił PEAL w doskonale zorganizowaną instytucję, wykorzystując naturalną charyzmę Voerhovena i jego niezwykle oddanie sprawie. Kerikow umożliwił im zakup starego statku pomiarowego, który nazwano „Nadzieją”, i wynajął szanowaną agencję reklamową, by zarządzała wizerunkiem PEAL. Minęły czasy kserowanych ulotek przyczepianych do słupów telefonicznych w krajach Beneluxu i rekrutowanie chętnych do PEAL za pomocą szeptanki. Liga przeprowadziła się do luksusowych biur w budynku jednego z banków w śródmieściu, zyskała pełną obsługę sekretarską, potężny system komputerowy i dość miejsca dla dwustu pracowników. W ciągu kilku miesięcy liczba członków PEAL wzrosła o tysiąc procent i nadal rosła w niezwykłym tempie. Dawniej PEAL była niewielką grupą oddanych sprawie wolontariuszy, teraz rozkwitła w ogromną siłę, do której ludzie garnęli się sami i chcieli nawet za to płacić. PEAL błyskawicznie przekształciła się z nieznanej organizacji na skraju ruchu ekologicznego w jednego ze światowych liderów ochrony przyrody.

Kerikow zdołał osiągnąć to wszystko z makiawelicznym tu-
petem, nie ujawniając się nikomu poza Voerhovenem. Ale zdobył
tyle, ile nie osiągnął żaden znany Janowi człowiek. Kerikow miał
zdolność do usuwania problemów, a także ludzi. Kiedy podczas po-
żaru podłożonego przez jednego z aktywistów PEAL zginął przy-
padkowo właściciel stacji benzynowej, wściekła i głośna wdowa po
nim wkrótce potem zniknęła. Kerikow bezwzględnie i z ogromnym
poświęceniem tworzył PEAL, choć ani razu nie zdradził dlaczego.
Voerhoven przyjmował pieniądze i pomoc Kerikowa, lecz nie
śmiały pytać, jaką cenę będzie musiał kiedyś zapłacić za opiekę
Rosjanina.

Dopiero trzy miesiące temu Kerikow w końcu ujawnił warunek,
o którym mówił, kiedy przyszedł do siedziby PEAL. Voerhoven był
zafascynowany samym zarysem propozycji Kerikowa i zdumiony, jak
daleko posunęła się realizacja planu bez jego wiedzy. Kerikow dał
PEAL możliwość dokonania najwyższego aktu protestu ekologicz-
nego, sposobność zapobieżenia nieuchronnej katastrofie naturalnej
i ocalenia ekosystemu. Plan Kerikowa dawał pewność, że nie dojdzie
już nigdy do wycieku takiego jak z „Exxon Valdez” i że Arktyczny
Rezerwat będzie na zawsze poza zasięgiem firm naftowych.

Motorówka podpłynęła do „Nadziei” w pobliżu drabinki wej-
ściowej. Jeden z marynarzy przytrzymał łódź nieruchomo przy
kadłubie, a Kerikow ruszył w górę po drabinie na pokład PEAL,
zwawo jak na człowieka po pięćdziesiątce.

Voerhoven stał na szczycie drabinki, by powitać Rosjanina. Ke-
rikow nie wykonał żadnego gestu powitania, a Voerhoven starał się
ukryć zakłopotanie. Spotkanie było nieplanowane, Kerikow zadzwonił
do niego dopiero rano. Voerhoven zrozumiał już, że tamten nie robił
niczego bez powodu, ale nie wiedział, jaki był cel tego spotkania.

- Chodźmy do twojej kajuty. - Kerikow znał dobrze statek i
poszedł przodem do przestronnej kabiny, w której kiedyś mieściła
się mesa oficerska.

Voerhoven zajął największą kabinę na pokładzie „Nadziei”, kie-
dy zamieszkał na niej na Alasce. W kabinach nie czuło się, że się
przebywa na statku. Stalowe ściany obłożono kartonowo-gipsowymi
płytami i pomalowano, na podłodze leżała podwójna warstwa wy-
kładziny, by wygłuszyć metalowy pokład. Dwa małe okrągłe bulaje
stanowiły jedyny dowód, że apartament mieści się na statku. Składał
się z trzech pomieszczeń: łazienki wciśniętej za sypialnię oraz gabi-
netu; stało w nim dębowe biurko i stół konferencyjny, przy którym
mogło usiąść nawet dziesięć osób.

Kiedy tylko Voerhoven zamknął wodoszczelne drzwi, Kerikow chwycił go za ramię, obrócił i uderzył w twarz tak mocno, że Jan zatoczył się na ścianę i zrzucił na podłogę zdjęcie w ramce.

- Co ku...

Kerikow uderzył go ponownie, tym razem w skroń. Voerhoven upadł na podłogę, rozcinając sobie dłonie szklanymi odłamkami na wykładzinie.

- Zamknij się - rozkazał Rosjanin. - Powiem ci, kiedy będziesz mógł się odezwać.

Przeszedł przez szeroki pokój, usiadł na krześle u szczytu stołu konferencyjnego, zostawiając Voerhovena, by sam podniósł się z podłogi. Kerikow obserwował gadzimi oczyma, jak Holender osuwa się na krzesło naprzeciwko. Z kącika ust Voerhovena sączyła się strużka krwi, ale nie wykonał ruchu, by ją obetrzeć.

- Nie będę pytał, co sobie myślałeś, robiąc ten wyglup zeszłej nocy, bo wiem, że w ogóle nie myślałeś. - Kerikow mówił monotonnym, dobrze modulowanym głosem, ale pod każdą sylabą czaił się gniew. - Wpompowałem w tę operację dziesięć milionów, rozbu dowalem twoją żalostną grupkę demonstrantów i przez ponad rok pracowałem, żebyśmy doszli do tego punktu, a ty ściągasz na nas uwagę, zabijając kierowcę ciężarówki, tylko po to, żeby rzucić parę błyskotliwych uwag w wieczornych wiadomościach.

- Nie zabiłem go... zrobił to Petromaks - odparł szybko Voerhoven.

- Zamknij jadaczkę, do kurwy nędzy - warknął Kerikow. - Możesz bając świata o swoich szlachetnych celach i chciwych korporacjach, ale ja mam to gdzieś. Zabiłeś kierowcę, Petromaks zabił kierowcę, pieprzeni kosmici zabili kierowcę, co to ma za znaczenie. Byłeś tam, kiedy to się stało i byłeś gotów to wykorzystać przed kamerami. Pozwoliłem ci na bojkot stacji Petromaksu, bo to uwiarygodnia twój pobyt tutaj. Ale nie pozwoliłem ci prowadzić krucjaty poza Cieśniną Księcia Williama. I tak mam dość problemów, bo ktoś się pod was podszywa i podpala stacje w Anchorage. A jeśli się dowiem, że to też wasza sprawa, to wyrwę ci wszystkie flaki i powieszę na drzewie.

Voerhoven nic nie mówił, spuścił wzrok. Nie śmiał otwarcie sprzeciwić się Kerikowowi.

- Skoro już wyjaśniliśmy sobie ten nieszczęśliwy wypadek, zajmijmy się innymi sprawami. - Choć zmienili temat, w głosie Kerikowa wciąż słychać było złość. - Załatwiłeś dość ciekłego azotu, żeby uzupełnić cylindry, które straciliśmy na „Jenny IV”?

- Myślę, że opróżniliśmy wszystkie zapasy w Vancouver i Seattle, ale już mamy. Konkretnie w Fairbanks. Udało nam się zdobyć cztery tony.

- W pożarze „Jenny IV” straciliśmy sześć ton.

- Dwie tony były na wszelki wypadek. Teraz nie możemy sobie pozwolić na taki luksus. Nad północno-zachodnim Pacyfikiem nie ma dość sklepów i firm chemicznych, żeby znów tyle łączyć. Aby uniknąć podejrzeń, moi ludzie z biura w San Francisco musieli mocno się gimnastykować, wymyślając kolejne bajeczki.

- Co mówili dostawcom?

- Udawali koordynatorów efektów specjalnych do wysokobudżetowego filmu akcji.

- Doskonale. - Kerikow zapalił papierosa.

- Nie rób tego, proszę - odezwał się Voerhoven i wskazał na dymiącego Marlboro w dłoni Kerikowa.

Kerikow spojrzął na niego ostro, rzucił papierosa na podłogę i wdeptał go nogą w wykładzinę, zostawiając na niej smolistą czarną plamę. Drwiąco zapalił kolejnego, a pokój wypełniły kłęby sinoszarowego dymu. Voerhoven milczał.

- Będziemy musieli przewieźć ciekły azot śmigłowcami, i to w kilku rundach. Przez to staniemy się bardziej widoczni, niż chciałem.

- Za dobre pieniądze piloci będą milczeć - odparł Voerhoven.

- Nie chodzi o pilotów, martwi mnie personel naziemny i inni ludzie na lotnisku. - Kerikow milczał przez kilka sekund. W końcu przemówił twardym i zdecydowanym głosem: - Niech twoi ludzie wynajmą ciężarówkę i przewiozą zbiorniki dalej na północ, do miasteczka Fox albo innej wioski z własnym lotniskiem. Tam śmigłowce przejmą azot, znów pod przykrywką ekipy filmowej.

A kiedy piloci przewiozą już wszystkie cylindry, zabijemy ich. Kerikow zatrzymał tę ostatnią myśl wyłącznie dla siebie.

180 kilometrów na zachód od Kolumbii Brytyjskiej

Fale powstawały na pełnym oceanie, wzbudzone przez prądy i pływy morskie. Wielkie góry wody pędziły przez Pacyfik z prędkością blisko pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, z każdą chwilą nabierając szybkości i siły. Nie były to uwielbiane przez amerykańskich surferów drobne fale wzniesione przez burzowe wiatry. Te pulsujące góry przesuwwały miliony ton wody z taką siłą, jakby napędzała je energia ze środka Ziemi. „Petromaks Arctica”, zwana teraz „Krzyżem

Południa", przecinała je śmiało. Ćwierć miliona ton unosiło się lekko jak piórko, a śmiertelnie groźny ładunek przesuwiał się w zbiornikach tak, że jęczały ich stalowe ściany. Kiedy od czasu do czasu przypadkowa fala rozbijała się o dziób, wznosił się nad nim wybuch białej piany i ciemnozielonej wody. W mdłym popołudniowym świetle zderzenia wyglądały jak atak torpedowy. Na pokład spadały strugi wody, a każde uderzenie wstrząsało całym tankowcem.

Statek był przygotowany na takie fale i mimo gwałtownej konfrontacji z morzem radził sobie dobrze. Na te wody zapuszczały się jedynie większe kutry rybackie i tankowce. Długi ciąg promów i statków wycieczkowych pływających na Alaskę nigdy nie wypuszczał się poza Inside Passage, szlak morski, który przed niszczycielską siłą otwartego oceanu osłaniał ciąg wysp od Vancouver po zatokę Alaska.

Niemal namacalne napięcie na mostku nie miało nic wspólnego z pogarszającą się pogodą. Od przejścia statku każdy członek załogi patrzył na sytuację z równą dozą strachu i nadziei - strachu o życie i nadziei, że nadarzy się okazja, by odbić tankowiec. Poza wachtą członkowie załogi przetrzymywani byli w głównej mesie pod czujnym okiem co najmniej dwóch strażników. Rozmowy przy długich stołach miały dotyczyć wyłącznie spraw służbowych.

Mimo niewiarygodnych rozmiarów, supertankowce są obsługiwane przez niewielką załogę - zaledwie dwudziestu marynarzy i dziesięciu oficerów. A ponieważ obserwacji wymagają tylko trzy kluczowe miejsca - maszynownia, pomieszczenie z monitoringiem zbiorników i mostek - ośmiu terrorystów pod wodzą JoAnn Riggs mogło długo panować nad statkiem.

Riggs siedziała w fotelu kapitana, jednym z dwóch wygodnych siedzisk po obu stronach przestronnego mostka. Tkwiła tam od czasu przejścia kontroli nad tankowcem, wykrzykując rozkazy, obserwując załogę na mostku drapieżnym wzrokiem i paląc jednego papierosa za drugim. Po prawej miała sternika, który mocno trzymał dwie dźwignie służące za koło sterowe tankowca. Kiedy nie wpatrywał się w otwarty horyzont, obserwował cyfrowe wyświetlacze informujące o stanie silnika albo zerkał na nowego kapitana. Za sternikiem przy tylnej grodzi stał przywódca terrorystów Wolf. Pistolet maszynowy dyndał mu pod skrzyżowanymi rękoma. Mimo jego obecności, Riggs czuła się odkryta i bezbronna. Aby to ukryć, wydierała się na załogę, wykrzykiwała rozkazy, zmuszała ich, by pracowali po godzinach przy naprawie zniszczeń, które powstały, gdy terroryści próbowali pojmać Lyle'a Hausera.

JoAnn Riggs nie umiała dowodzić supertankowcem ani terrorystami, ale z powodu nieszczęścia, jakie przytrafiło się pierwszemu kapitanowi, Harrisowi Albrechtowi, przypadło jej to w udziale. Albrecht miał dowodzić statkiem aż do Long Beach i stanąć na czele terrorystów, a JoAnn miała być jego pierwszym oficerem. Ale stracił rękę i trzeba go było ewakuować, a Southern Coasting and Ligtering musiał poprosić Petromaks o zastępstwo, bo Riggs nie miała doświadczenia na tych wodach. Musiała zmienić plan; zamierzała wykorzystać Hausera, póki statek nie odpłynie na bezpieczną odległość od Alaski, a potem zamknąć go z resztą załogi. Dalej sama poprowadziłaby jednostkę do miejsca przeznaczenia. Z powodu nieobecności Albrechta wynagrodzenie Riggs podwoiło się, ale została jedynym oficerem i musiała współpracować z Wolfem oraz jego ludźmi. Ciężka na niej ogromna odpowiedzialność, zwłaszcza że członkowie załogi stali się więźniami, a wiele ważnych systemów albo szwankowało, albo zostało całkowicie zniszczonych.

Kolejna fala rozbiła się o dziób. Gęsta piana uniosła się niemal na wysokość mostka, po czym uderzyła o pokład i spłynęła przez szpigaty niczym rzeka podczas powodzi. Kiedy woda zniknęła z pokładu, na konsolce rozbłysnął rząd żółtych i czerwonych lampek ostrzegawczych. Zabrzmiał dzwonek alarmowy.

Riggs zareagowała od razu, zrywając się z fotela jak pantera. Dopadła barku sternika, nim zdążył się zorientować, że wstała.

- Co się dzieje? - warknęła, obawiając się, że fala naruszyła dziób.
- Automatyczna blokada silnika. Komputer wyłączył główną maszynę.

- Dlaczego?

- Jeszcze nie wiem. Program diagnostyczny ciągle pracuje - odparł sternik.

Riggs podniosła mikrofon interkomu i wybrała numer do mesy.

- Mówi Riggs. Główny inżynier i trzech jego ludzi natychmiast do maszynowni. - Wyłączyła przycisk, ale trzymała mikrofon przy ustach na wypadek, gdyby musiała wydawać dalsze rozkazy. - Pali się?

- Nie. Temperatura w maszynowni normalna, a system gaśniczy się nie uruchomił.

Wyjrzała przez okno mostka i z ulgą zobaczyła, że horyzont jest czysty. Nawet jeśli nie uda się uruchomić silnika od razu, nie ma czym się martwić. W okolicy nic nie pływało, a od brzegu dzielił ich kawał drogi. Z powodu inercji, jaką dawało dwieście tysięcy ton

ropy w zbiornikach, tankowiec zatrzyma się dopiero po dwudziestu siedmiu kilometrach i około sześciu godzinach. Potem będą zdani na łaskę północnego Pacyfiku.

- Mostek, tu maszynownia - rozległ się w interkomie głos głównego inżyniera George'a Patroniego. - Nic nam nie grozi. Mogę wznowić pracę silnika w ciągu godziny, ale mamy inny problem.

- Jaki? - zapytała Riggs, a potem szybko zmieniła zdanie. - Nie mów. Schodzę na dół.

Maszynownia „Krzyża Południa” była gigantyczną jamą ze stali, aluminium i miedzi. Sufit znajdował się cztery piętra nad podłogą i zasłaniał go spleciony system hydrauliczny składający się z kilometrów rurek, rynienek i elektrycznych kabli wijących się po całym statku. Choć w środku panowała niemal sterylna czystość, pomieszczenie było przesiąknięte ciężkim odorem okrętowego paliwa i oleju maszynowego. Zapach przenikał wszystko, także ubranie oraz skórę każdego, kto tu się zapuścił.

Sam silnik miał wielkość czterech autobusów ułożonych po dwa jedno na drugim. Gigantyczny motor dieslowski nie pracował, ale czuło się bijącą z niego siłę. Silnik idealnie pasował do statku, który można by opisać wyłącznie przymiotnikami w stopniu najwyższym. Kiedy działał, nikt nie był w stanie znieść ogłuszającego ryku tej dziewięciocylindrowej maszyny, ale nawet teraz hałas z zapasowych generatorów i pomp systemu sterowania ocierał się o próg bólu.

Kiedy JoAnn wyszła z cichej windy na główny poziom inżynierski, trzy piętra nad podłogą maszynowni, zatoczyła się do tyłu, jakby hałas ją uderzył. Patroni stał na pomoście nad wyprofilowaną głowicą silnika i pochylony naradzał się ze swoimi asystentami. Wyglądał jak hydrant przeciwpożarowy. Wolf jakimś cudem znalazł się tu przed Riggs i obserwował inżynierów z odległości kilku kroków. U boku miał jednego ze swoich ludzi. Z powodu hałasu nikt nie zauważył, jak przyszła, póki mocno nie poklepała Patroniego w zgarbione plecy.

- No i?! - Musiała wrzeszczeć mu do ucha, by przekrzyknąć odgłos maszyn.

Patroni podniósł pokryty bliznami palec i kazał Riggs iść za sobą.

Poszła do sterowni w gorącym powietrzu, zapach przyprawiał ją o mdłości. Patroni rozsunął szklane drzwi i czekał, aż wszyscy wejdą, by je zamknąć. Przez grube szkło sterowni mieli doskonały widok na maszynownię, ale hałas został zredukowany jedynie do głuchego dudnienia. Lecz dzięki klimatyzacji było czym oddychać.

- No i? - powtórzyła Riggs.

Patroni przez chwilę nie zwracał na nią uwagi, przyglądając się niezliczonym rzędom konsolek wciśniętych w trzy ściany sterowni. Patrząc na kolejne wyświetlacze, mrucał coraz głośniejszym, a grymas niezadowolenia na jego mopsiej twarzy się pogłębiał.

- Mówiłem, że w sterowni cały czas ktoś musi dyżurować. Ten wypadek to wyłącznie wasza wina - wybuchnął, nie zważając na wymierzone w niego dwa pistolety maszynowe.

- Powiedz w końcu, co się stało - poleciła mu Riggs gniewnie.

- Według danych z komputera, na filtrze paliwa w piątym cylindrze mocno podniosło się ciśnienie. Gdyby ktoś tu był, łatwo byłoby przełączyć go na zapasowy wtrysk, oczyścić filtr i ponownie włączyć wtrysk główny, ale nie było tu ani mnie, ani moich ludzi. Filtr nawalił i do piątego cylindra dostało się zanieczyszczone paliwo. Zaczął się dusić. Komputer to wykrył, ale znów - spojrzał wściekle na Riggs - nikogo tu nie było. Gdyby morze było spokojniejsze, poczulibyśmy, że silnik wibruje i piąty cylinder zaraz wybuchnie. Z tego co widzę, w cylindrze powstało takie ciśnienie, że zerwało głowicę z tłoka. Komputery wyczuły kawałki metalu w systemie i awaryjnie wyłączyły silnik.

- Mówiłeś, że potrafisz go uruchomić.

- Jasne. Po prostu zdejmę napęd z cylindra piątego i pozwolę mu działać na jałowym biegu, ale w skrzyni wału korbowego mamy ze sto kilo odłamków metalu i kiedy włączymy silnik ponownie, kawałki rozerwą pozostałe cylindry.

- Spuść olej i uzupełnij go olejem ze zbiorników - odparła Riggs.

- W ten sposób pozbedziemy się większości odłamków, ale nie wszystkich - zauważył Patroni. - Silnik znów się zanieczyści. Jeśli zdejmemy trochę mocy, może uda nam się dopłynąć do Seattle, nim zatrze się na dobre.

- Mam gdzieś, co zrobisz, ale ten statek musi dopłynąć do San Francisco, albo Bóg mi świadkiem, każę wykastrować po kolei całą załogę, a na końcu osobiście cię zabiję. Wyrażam się jasno? - Riggs odwróciła się do Wolfa, w którego oczach pojawił się szacunek wobec tego, jak sobie radziła. - Możliwe, że to sabotaż?

- Nikt tu nie schodził od kiedy przejeżdżaliśmy statek, poza regularnymi inspekcjami, które obserwują moi ludzie. To wypadek.

- Nie ma wypadków - warknęła Riggs i wyszła ze sterowni, by wrócić na swój spokojny mostek.

- No dobra, panowie - zwrócił się Patroni do trzech pomocników. - Ken, Paul, idźcie do ładowni i spuśćcie ze trzy beczki

ropy. Potem zacznijcie otwierać zawory spustowe na wszystkich cylindrach. Podłóżcie jakieś filtry przy kanale ściekowym, żebyśmy widział mniej więcej, ile tego gówna jest w komorze wału. Przepłuczemy wszystko raz, włączymy silnik ze dwa razy i przepłuczemy jeszcze raz. A potem dolejemy oleju do pełna. Aha, i sprawdźcie podgrzewacz paliwa, dobrze? Ma być gotów do pracy. Kiedy znów uruchomimy maszynę, paliwo będzie zimne. Muszę iść się przebrać w robocze ciuchy. - Ludzie Patroniego mieli już na sobie grube kombinizony, ale on wciąż ubrany był w mundur i musiał się przebrać, nim zajmie się brudną robotą przy wymianie trzystu litrów oleju silnikowego. Spojrzał na Wolfa i zapytał ironicznie: - Nie masz nic przeciwno?

Wolf machnął tylko ręką. Bardziej martwił się, by ludzie Patroniego w jakiś sposób nie zaczęli sabotować naprawy silnika. Był pewien, że główny inżynier zdaje sobie sprawę z ryzyka i szybko wróci do maszynowni.

George Patroni wściekle stukał w przycisk wzywający windę i po cichu kłął na wszystkich, którzy zawinili awarii jego ukochanego silnika. Główną winowajczynią była oczywiście ta suka Riggs, a zaraz potem Wolf i reszta jego bandy rzezimieszków. Następni w kolejce stali idioci, którzy zainstalowali wadliwy wtrysk paliwa i barany, które go wyprodukowały. Kiedy winda nadjechała i wsiadał do pustej kabiny, wciąż dodawał kolejne osoby do swojej listy kretynów.

Nie zauważył nawet, że otworzył się właz awaryjny w suficie windy, póki ktoś nie zawołał:

- Unieruchomiłem statek?

Patroni omal nie wyskoczył ze skóry. Uderzył plecami o ścianę kabiny i spojrzał w ciemny otwór nad głową. Z otwartymi ustami patrzył na zaglądnącego przez właz kapitana Lyle'a Hausera.

- Jezus Maria, Józefie święty - wymamrotał Patroni.

Hauser wyrwał go ze stanu bliskiego panice.

- Wyłącz alarm i zatrzymaj windę.

Patroni odkleił się od ściany i otworzył małe drzwiczki pod przyciskami sterującymi windą. Błyskawicznie zrobił zwarcie w alarmie windy. Kiedy wcisnął guzik Stop, dzwonek milczał. Hauser omal nie wpadł do środka, gdy kabina gwałtownie przyhamowała.

- Myślałem, że pan nie żyje - wykrztusił w końcu Patroni.

Hauser wsunął się przez właz i zeskoczył na podłogę obok Patroniego. Winda aż się zatrzęsała.

- Ja też.

Hauser był o włos od śmierci. Kiedy poprzedniej nocy zeskakiwał z latającego mostka, w krytycznej chwili stracił równowagę i uderzył w twardy reling otaczający niższy balkon. Mimo koszmarne bólu, miał dość przytomności, by mocno chwycić się barierki i nie spaść kolejne dwanaście metrów na główny pokład. Przez kilka długich chwil wisiał, trzymając się na słowo honoru, póki znów nie zdołał nabrać powietrza w obolałe płuca.

Wiedział, że Riggs wyśle kogoś, żeby upewnić się, czy zginął. Musiał się gdzieś schować. Zziębnięty, odrętwiały i obolały jak diabeł, Hauser włamał się do jednej z trzech krytych szalup, tej, która wisiała na rufie. Pozostałe dwie łodzie na lewej i prawej burcie było widać z mostka, więc nie wchodziły w grę. Hauser zastanawiał się, czy nie odczepić szalupy i nie uciec, ale był przecież kapitanem „Petromaksu Arctiki” i nie mógł porzucić statku oraz załogi.

Mimo strachu, Hauser zjadł co nieco z zapasów umieszczonych w szalupie. Włożył żółty kombinezon ratunkowy, żeby się nie wychłodzić i udało mu się nawet zdrzemnąć przez kilka godzin. Kiedy nastał świt, wypoczął na tyle, że mógł wcielić w życie plan, który przyszedł mu do głowy w nocy.

Hauser spędził tylko kilka godzin na pokładzie „Petromaksu Arctiki”, nim przejęli go terroryści, ale przez całe życie pływał na statkach, a zwłaszcza na tankowcach. Bez trudu poruszał się kanałami i tunelami dostępowymi wcisniętymi między pokłady. W ten sposób mógł przemieszczać się niepostrzeżenie po całym statku. Leżąc w ciasnych rurach przewodów wentylacyjnych, był w stanie obserwować strażników i członków załogi.

Kiedy rano dotarł do maszynowni, przekonał się, że Patroni i jego pomocnik wykonują planową inspekcję pod czujnym okiem jednego z terrorystów. Nadzieje na sabotaż upadły. Nie mógł nic zrobić, póki ktoś kręcił się w maszynowni. Ale gdy przygotowywał się do powrotu na szalupę, strażnik zagonił Patroniego i jego pomocnika z powrotem do windy.

Z powodu gęstej płataniny rur biegnących do silnika, włązy dostępne umieszczono w łatwo dostępnych miejscach. Jeden z nich dał mu dostęp do głównego zbiornika paliwa dla nieparzystych cylindrów. Metalowe opiłki, które znalazł na podłodze w warsztacie przylegającym do maszynowni, doskonale nadawały się do tego, co zamierzał. Po prostu wrzucił kilka garści do gęstego paliwa dieselskiego i czekał, aż silnik się zatrze. Tankowiec nie opóźni się zbyt - nie uszkodził go tak bardzo. Nie chciał całkowicie unieruchomić statku, obawiając się zagrożenia, jakie stanowiłby dryfujący

zbiornikowiec tej wielkości. Mimo to liczył, że w tym zamieszaniu uda mu się przez kilka minut porozmawiać z którymś z członków załogi. Spotkanie z głównym inżynierem w windzie było darem niebios.

- Nie mamy za dużo czasu - powiedział Hauser do wciąż zdumionego Patroniego. - Będą się zastanawiać, czemu się spóźniasz, więc szybko powiem ci, jak się sprawy mają.

- Cóż, terroryści przejęli statek, a Riggs z nimi współpracuje.

Hauser mu przerwał:

- Wiem o tym. W jakim stanie jest statek i załoga?

- To, co pan wsypał do paliwa, wywaliło tylko cylinder numer 5, potem komputer unieruchomił silnik. Za godzinę, dwie możemy go znów uruchomić. Ale będzie pracował najwyżej na pół gwizdka, żeby do końca się nie rozwalił. Riggs powiedziała mi, że statek musi dopłynąć do San Francisco.

- Frisco? Dlaczego akurat tam?

- Tego nie wyjaśniła, ale wyraźnie data do zrozumienia, że tam płyniemy.

- Co z załogą?

- Nic nam nie jest. Poza wachtą trzymają nas w głównej mesie. Jeść dostajemy tylko raz dziennie i musimy spać na podłodze albo na krzesłach, ale mogło być o wiele gorzej. Kilka razy nam grozili, na razie dwóch naszych nie żyje. Jeden to Larry Walker, sternik, którego trafiły kule przeznaczone dla pana.

- A co z resztą statku? Mostek był nieźle podziurawiony.

- Ano tak. Radar można spisać na straty, nie zdołam go naprawić. Poszły też czujniki ciśnienia w zbiornikach. Riggs chce, żeby jak najszybciej je naprawić. Kazała elektrykowi wymontować potrzebne części z innych systemów, żeby tylko je uruchomić. Ster działa bez zarzutu, ale moc silnika można zmieniać ręcznie tylko z poziomu maszynowni.

- Nie mają kontroli nad silnikiem, a mimo to zostawiają go na automacie? - Hauser był wstrząśnięty tym zaniedbaniem. Automacyjny system kontroli motoru pracuje tylko wtedy, kiedy personel inżynieryjny ma wolne. W normalnych warunkach tankowiec płynie na automacie jedynie nocą i przy spokojnym morzu.

- To nie ja wydaję rozkazy. Tylko je wykonuję.

- Zastanawiam się, dlaczego tak ważne jest dla nich monitorowanie zbiorników. Przecież istotniejsze powinno być odzyskanie zdalnej kontroli nad silnikiem - odezwał się Hauser niemal retorycznie. Ani on, ani Patroni nie potrafili odgadnąć motywów, jakimi kierowali się ludzie, którzy przejęli ich statek. - Co wiesz o terrorystach?

- Tylko tyle, że ich przywódca nazywa się Wolf i nawet on słu-
cha rozkazów JoAnn Riggs.
- Co o tym wszystkim sądzisz? Pływałeś już z Riggs.
- Sam nie wiem, panie kapitanie. Owszem, pływałem z nią,
ale tylko dwa razy. Jestem nowy na tej łajbie prawie jak pan. Wiem
tylko tyle, że spoufalą się z poprzednim kapitanem, Harrisem
Albrechtem.
- Myślisz, że Albrecht miał z tym coś wspólnego? - zapytał
Hauser, który dodawał dwa do dwóch, ale wciąż wychodziło mu trzy.
- Jestem tego pewien.
- Wiesz, co mu się przytrafiło i dlaczego statek spóźnił się do
Valdez?
- Kiedy wpłynęliśmy do zatoki Alaska, Albrecht zamknął załogę
w kabinach. Nikt nie mógł wyjść na pokład prócz niego i Riggs. Nie
pierwszy raz się tam zatrzymywaliśmy, ale tak długo jeszcze nigdy.
Nie wiem, co się stało Albrechtowi w rękę. Ale wiem, że jej nie od-
naleziono, rozumie pan.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Patroni patrzył przez chwilę na Hausera, jakby nie był w stanie
uwierzyć, że kapitan go nie zrozumiał.
- Wie pan, ten statek jest wielki i niebezpieczny, ale jeśli ktoś
straci rękę, to czym prędzej ją znajduje i liczy na to, że lekarze ją
przyszyją. Kapitan Albrecht nie odzyskał ręki, a śmigłowiec ratun-
kowy przyleciał już dwadzieścia minut po wypadku. Co się stało z tą
ręką?
- Wypadła za burtę?
- Co takiego przy relingu mogło obciąć mu rękę?
- Hauser nie potrafił odpowiedzieć.
- Rozmawiałem z kumplami, którzy trochę pływali z Riggs
i Albrechtem. Robią to od kilku miesięcy, zatrzymują się pośrodku
oceanu i zamykają załogę pod pokładem. Marynarze dostawali za
tę uciążliwość drobną premię, więc nikt nie narzekał.
- Petromaks nigdy się nie skarżył na spóźnienia?
- Patroni pokręcił głową.
- O ile wiem, to nie. Hauser
spojrzał na zegarek.
- Zbieraj się, nim zaczną się zastanawiać, gdzie jesteś. Zade-
kowałem się w szalupie na rufie. Musisz mi przekazywać wszystkie
informacje, jakie zdobędziesz.
- Tak jest, panie kapitanie. Też chcę się pozbyć tych sukiny-
nów ze statku.

- Posłuchaj... - Hauser dowodził za krótko, żeby poznać imiona swoich oficerów.

- George - odpowiedział Patroni.

- Posłuchaj, George. Być może będę musiał opuścić statek. Radiostacja na szalupie ma niewielki zasięg, a powinniśmy powiadomić kogoś, co się stało. Spróbuj wymyślić sposób, żeby wyrzucić szalupę, nie wzbudzając podejrzeń. Nie chcę, żeby moja ucieczka naraziła załogę na jakieś problemy.

- Rozumiem - odparł Patroni. - Zrobię zwarcie na głównej konsolce, żeby wyłączyć wskaźniki dotyczące szalupy. Niech pan pamięta, szalupę rufową może pan spuścić sam, ale musimy wszystko zgrać w czasie.

- Jeszcze nie teraz - powiedział Hauser, przygotowując się do wejścia z powrotem na dach windy. - Ale bądź gotów. Postaram się skontaktować, jak tylko nadarzy się okazja.

Już na dachu windy odwrócił się i spojrzał przez otwarty właz.

- George, dbaj o załogę. Cokolwiek by się zdarzyło, oni są najważniejsi.

- Zadbam, panie kapitanie. Może pan na mnie liczyć.

Chwilę później Patroni wyłączył blokadę i winda szarpnęła do góry.

Abu Zabi, Zjednoczone Emiraty Arabskie

Khalid Al-Khuddari nie miał zamiaru trzaskać drzwiami, gdy wchodził do swojego gabinetu, ale tłumiona frustracja wzięła górę. Prawie trzymetrowe drzwi walnęły o futrynę z takim hukiem, jakby ktoś strzelił z karabinu. Siri Patal, osobista sekretarka Khuddariego, podniosła głowę i spojrzała zdziwiona wilgotnymi oczyma łani. Na delikatnej twarzy malował się niepokój, kiedy patrzyła, jak Khalid stoi przy drzwiach i stara się uspokoić.

- Przepraszam - powiedział, uśmiechając się z zakłopotaniem. - Fatalny dzień, a jeszcze nie ma nawet południa.

Siri patrzyła na niego z ledwie skrywanym uwielbieniem. Od kiedy zaczęła dla niego pracować, myślała prawie wyłącznie o tym, żeby być z nim, ale okoliczności i tradycja sprawiały, że to marzenie nie mogło się ziścić. Ona była Hinduską, drugą córką bogatego kupca, który w czasie boomu w latach sześćdziesiątych przeniósł się wraz z rodziną nad Zatokę. A Khuddari był Arabem. On muzułmanin, a ona hinduistka. Tych podziałów nie dało się przekroczyć.

Odrzuciła emocje i uśmiechnęła się ciepło.

- Aż tak źle?

- Aż tak. - Na jego przystojnej twarzy widać było nieskrywane rozczarowanie.

Khalid wrócił właśnie ze spotkania z wielkim księciem. Spotkanie pierwotnie miało się odbyć dzień wcześniej, ale władca Emiratów w ostatniej chwili je odwołał. Zamiast tego spotkali się na późnym śniadaniu, co nie było dobrym znakiem. Ponieważ książe dobiegał osiemdziesiątki, większość ważnych spotkań odbywała się popołudniami, po poobiedniej drzemce. Wiek nie przeszkadzał księciu sprawować władzy, ale z upływem lat musiał czynić pewne ustępstwa na rzecz potrzeb ciała. Khalid stawił się posłusznie o dziesiątej i referował zaspanemu władcy, czego się dowiedział, bezstronnie przedstawiając swoje podejrzenia wobec Hasaana bin-Ruftiego. Powiedział też księciu o wyprawie przez granicę z Bigelowem.

Książe słuchał w milczeniu. Trudno było dostrzec jego minę, bo twarz zakrywała mu siwa broda tak przerzedzona, że przypominała piórka starego kurczaka. W ciemnych oczach, wciąż bystrych i uważnych, też nie można było nic wyczytać. Nie sposób było ocenić, czy książe jest zainteresowany, czy znudzony.

Kiedy Khalid skończył raport, oparł się wygodniej o krzesło w stylu regencji, a jedną rękę zwiesił za orzechowe oparcie, licząc, że tym swobodnym gestem zamaskuje swoje podniecenie. Książe nalał im obu po jeszcze jednej kawie. Ręce nieco mu drżały, kiedy kawa po turecku kapłała do małych filiżanek. Głos miał równie kruchy, jak ciało, ale wiek nie osłabił mocy jego słów.

- Od czasu naszego proroka Mahometa każdy przywódca na świecie musiał się mierzyć z bezpośrednim podważaniem jego władzy. Można by rzec, że to ryzyko zawodowe. - Mówił niczym w minionym stuleciu, elegancko i formalnie. - Oto przychodzisz do mnie z synowską miłością w sercu, dbając o moje interesy i opowiadasz mi o kolejnej próbie wyrwania mi władzy z rąk. Dziękuję ci za wielkie oddanie pracy, Khalidzie. Jednak wyszedłeś poza swoje kompetencje. Nie jesteś policjantem. Jesteś ministrem do spraw ropy, odpowie działnym za ochronę naszego najważniejszego surowca naturalnego. Nie powinieneś być robić tego, co zrobiłeś. Naruszenie przestrzeni powietrznej Adżmanu bez zezwolenia to bardzo poważny występki. Nie sądzę, byś zdawał sobie sprawę, w jakim położeniu bym się znalazł, gdyby złapano ciebie i twoją ekipę. Sam dobrze wiesz, że moja pozycja w Najwyższej Radzie Federacji jest najsłabsza od lat. Twoja wyprawa mogła mi wyrządzić ogromną szkodę.

Khalid próbował przerwać księciu, ale zobaczył tylko machnięcie kościstej ręki władcy.

- Wiem, że czułeś się usprawiedliwiony. Dowody, które zdobyłeś przeciw Ruftiemu, świadczą o próbie zamachu na moje życie. Ale nie możemy zniżyć się do jego poziomu i naruszać suwerenności naszych sąsiadów. Współudziałem pułkownika Bigelowa w tej sprawie zajmę się później. Jest na tyle stary i mądry, że nie powinien iść za młodym na taką wyprawę.

Khalid zaczął bronić swojego mentora:

- Pułkownik Bigelow nie odpowiada za swoje czyny. Choć nie mam prawa wydawać mu rozkazów, zgodził się pojechać ze mną po długich namowach.

Wielki książę uśmiechnął się po raz pierwszy tego ranka.

- O ile znam Bigelowa, zgłosił się na ochotnika, kiedy tylko usłyszał, co planujesz, ale twoja lojalność wobec niego jest godna pochwały. Posłuchaj, Khalidzie. Zdaję sobie sprawę, że zrobiłeś to dla mnie. Ale musisz zrozumieć, że gra toczy się o znacznie wyższą stawkę.

Hasaan bin-Rufti to tylko ostatnie wcielenie dawnego zagrożenia, sięgającego czasów, kiedy ludzie zdecydowali po raz pierwszy, że potrzebują przywódców. Zawsze znajdzie się ktoś, kto gotów jest podważyć, a w końcu przejąć to, co do niego nie należy. Choć Rufti może wydawać się groźniejszy z uwagi na czas, w jakim żyjemy, nie różni się niczym od zagrożeń, jakim musiałem stawić czoło do tej pory. Wiem o jego intencjach od kilku miesięcy, właściwie prawie od roku, od kiedy zeszłej zimy pojechał do Stambułu.

Ale nie mogę wykonać ruchu, póki on tego nie zrobi. Z uwagi na urząd mogę się tylko bronić. Nie zgodzę się na działania ofensywne, bo wzbudzę gniew innych członków Rady Najwyższej.

- Więc nic książę nie zrobi?

- Jeślibym go aresztował, szejk Adżmanu natychmiast mnie potępi i obawiam się, że zyska przychylność Dubaju oraz kilku innych emiratów. Taka koalicja mogłaby okazać się na tyle silna, by odwołać mnie ze stanowiska przewodniczącego Rady.

Stoimy w obliczu kryzysu, nie tylko w Emiratach, ale w całym regionie Zatoki, a większość ludzi nawet sobie z tego nie zdaje sprawy. Przez pięćdziesiąt lat mieliśmy moc, by unieruchomić Zachód, przykręcając im dopływ ropy. Embargo z lat siedemdziesiątych było tylko sygnałem, że nie można ignorować nas, krajów znad Zatoki. Prezydent Stanów Zjednoczonych odebrał nam jedyną kartę atutową, której się obawiali. Kiedy Ameryka przestanie

importować ropę i przerzuci się na alternatywne paliwa, Europa i Azja zrobią to samo. I z czym wtedy zostaniemy? Będziemy jak rymarze robiący siodła po wynalezieniu samochodu. Ropa stanie się nieszkodliwym dziwactwem używanym przez kilku zapalonych tradycjonalistów.

Jedyny powód, dla którego Emiraty istnieją jako naród, to jedne z największych na świecie rezerw ropy, które posiadamy. Kiedy przestanie to mieć znaczenie, kiedy ropę zastąpi coś innego, nasz kraj się rozsypie, podobnie jak większa część regionu. Myślisz, że gdyby Kuwejt nie miał ropy, to prezydent Bush wysłałby pół miliona ludzi do jego obrony?

Khalid siedział w milczeniu i słuchał. Musiał przyznać, że mimo wieku, wielki książę nadal obserwuje świat bardzo uważnymi oczyma. Jednak Khuddari miał wątpliwości co do Amerykanów.

- Naprawdę książę wierzy, że potrafią obyć się bez ropy?

- Nauczyłem się w życiu, że nie wolno lekceważyć Stanów Zjednoczonych. Chodzą po świecie jak rozwydrzone dzieci, dotykając wszystkiego, co znajdują. Ale tak jak dzieci mają też w sobie upór, którego nie sposób objąć rozumem. To inteligentny naród i jeśli powiedzieli, że znajdują alternatywne źródło energii, lepiej w to uwierzyć.

Khalid nie podzielał tej oceny Ameryki. Wracając do pierwotnego wątku, zapytał:

- Zatem co mam zrobić z Ruftim?

- Powinieneś pojawić się na spotkaniu OPEC w Londynie. Chcę, żebyś tam pojechał. Jesteś ministrem do spraw ropy, a nie moim ochroniarzem. Musisz być w Anglii, pilnować interesów naszego kraju, a nie niańczyć starca.

- Ale przecież widzieliśmy ten obóz szkoleniowy.

- Mamy jeszcze dziesięć lat, nim Amerykanie przestaną kupować naszą ropę. W tym czasie czeka nas wiele wyzwań, ale to na razie zbyt odległy termin, by sądzić, że Rufti stwarza zagrożenie. Istnienie tego obozu szkoleniowego rzeczywiście jest niepokojące. Jednak nie wierzę, by Rufti w najbliższym czasie miał porwać się na moje życie. W ciągu dekady przed wejściem w życie amerykańskiego moratorium będzie nadal obrastał w tłuszcz i czerpał zyski z naszej ropy, zarówno jako obywatel Emiratów, jak i minister do spraw ropy Adżmanu.

- Brytyjczycy sądzili, że mają czas, kiedy podpisywali dzierżawę Hongkongu na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Dziś nie mają już dzierżawy i jeśli zapytać kogokolwiek, kto się na tym zna, okaże się,

że ostatnia dekada upłynęła najszybciej - odezwał się Khalid ostro i natychmiast uświadomił sobie, że przekroczył granicę. Wstał szybko, by pokryć swoje zakłopotanie. - Jeśli mam jechać na spotkanie OPEC, to muszę się zbierać.

Wielki książę miał już odprawić Khalida, ale zatrzymał młodego człowieka pytaniem:

- Czytasz dużo powieści detektywistycznych?
- Nie, książę. Rzadko mam czas poczytać coś dla przyjemności.
- A to szkoda - rzekł książę. - Wszyscy śledczy najwyraźniej kierują się pewnym aksjomatem, który zawsze wydawał mi się interesujący. Kiedy nie wiesz, co daną osobą kierowało, sprawdź pieniądze.
- Nie rozumiem - odparł Khalid.
- Wprawdzie powiedziałem ci, żebyś dał sobie spokój z Ruftim, ale nie spodziewam się, żebyś mnie posłuchał. Kiedy będziesz prowadził dalej swoje poszukiwania, pamiętaj o tych słowach. - Gdy staruszek to powiedział, w jego oczach błysnęła iskierka czułości.

Po wejściu do swojego biura Khalid szybko zrzucił marynarkę. Choć wielu biznesmenów w świecie arabskim chodziło w tradycyjnych białych galabijach z bawełny, on wolał garnitury w stylu zachodnim. Nie nosił jednak drogich włoskich niedopasowanych ubrań. Wolał brytyjski konserwatywny krój i najwyższej jakości dzianinę. Siri wstała zza swojego wielkiego biurka, żeby powiesić marynarkę na zdobionym wieszaku. Khalid wszedł do gabinetu, zamykając za sobą drzwi, jakby w ten sposób mógł się oddzielić od problemów, jakie go nękały.

Siri weszła chwilę później, poruszając ciałem we własnym rytmie. Khalid nie zwracał na nią uwagi, kiedy siadała przed nim przy biurku.

Gabinet był duży, o wiele za duży na jego ascetyczny gust. Ściany zrobiły bogato rzeźbione panele z drewna wiśniowego, codziennie olejowane, by świeciły w słońcu wpadającym przez wysokie okna za nienagannie posprzątanym biurkiem. Podłoga również wyłożona była drewnem, pokrywał ją ozdobny dywan pochodzenia afgańskiego lub uzbeckiego. Na ścianach wisiało tylko kilka obrazów. Jeden z nich był oficjalnym portretem wielkiego księcia, pozostałe to oleje z miejscowymi pejzażami, z których każdy oddawał ducha otwartej pustyni czającej się tuż za miejskimi budynkami ze szkła i stali.

- Czy dzwonił już Trevor James-Price? - zapytał Khalid, bez wiednie przeglądając dokumenty, które przygotowała mu Siri w czasie jego spotkania z wielkim księciem.

- Nie, telefon milczał przez cały ranek. - Dziwne. Jego telefon rzadko kiedy milczał przez pięć sekund, nie mówiąc o całym poranku. Ale większość ludzi pewnie sądziła, że poleciał już do Londynu. - Wybiera się pan na spotkanie OPEC?

Khalid podniósł zmęczone oczy.

- Nie mam wyboru. Zarezerwuj mi najbliższy wolny lot. Ale po cichu, bez oficjalnego powitania na lotnisku i bez ochroniarzy.

- Może pan skorzystać ze służbowego odrzutowca.

Jako minister do spraw ropy Khalid zasiadał w radzie nadzorczej AD-NOC, Narodowym Koncernie Naftowym Abu Zabi, z którym to stanowiskiem wiązały się liczne przywileje. Ale z powodu, którego Siri nie rozumiała, Khalid nie chciał z nich korzystać i wolał latać rejsowymi samolotami. Nie chciał zwyczajowej pompy, jaka wiązała się z jego stanowiskiem. To pociągało ją w nim jeszcze bardziej.

Siri wróciła do swojej części biura, żeby poczynić przygotowania do podróży. Zostawiła Khalida samego z myślami, które frustrowały go tak, że nie mógł się skupić. Zamiast zająć się raportami na spotkanie OPEC, które przygotowała mu Siri, obrócił się w fotelu i wyrzwał na Zatokę Perską. Od razu rzucił mu się w oczy tankowiec, który widzieli z Bigelowem podczas powrotu z rekonesansu. Wciąż stał przycumowany, choć dziś nie widać było wokół niego żadnego ruchu. Przypominał wymarły statek.

Khalid obrócił się z powrotem do biurka, starając się zapomnieć o tankowcu. Przez kilka minut przeglądał dokumenty, ale w końcu ciekawość wzięła górę. Jim Gibson, geolog doradzający im w sprawach ropy, zajmował gabinet dwa piętra niżej. Amerykanin miał przy biurku piękny mosiężny teleskop, przez który podglądał plażowiczów z hotelu Sheraton. Khalid chwycił telefon i wykręcił numer wewnętrzny. Gibson odebrał po pierwszym dzwonku.

- Jim, tu Khalid Khuddari. Jest na co popatrzeć na plaży?

- Nie, panie ministrze, kiedy ostatnio zaglądałem, leżały dwie chude laski i jakiś babsztyl, który ważył ze dwieście kilo. - W słuchawce jego północnoteksański akcent aż dźwięczał.

Khalid roześmiał się z napalonego Amerykanina.

- Czy w takim razie możesz mi wyświadczyć przysługę i sprawdzić, jak nazywa się ten tankowiec pośrodku zatoki?

- Jasne, sekundkę. - Gibson odłożył telefon i milczał przez prawie minutę. - Z mojego punktu kiepsko widać, ale wygląda na to, że to „Południowa Arabia”.

- Dzięki, Jim. Zauważyłem go wczoraj i zastanawiałem się, skąd jest.

- Wczoraj? Ta łajba stoi tu ze dwa tygodnie.

- Wiesz coś o niej? - Khalid nabrał zainteresowania.

- Przykro mi, ja tylko szukam, nie zajmuję się transportem. - Gibson mówił o ropie.

- No cóż, dzięki mimo wszystko. Spotkajmy się, kiedy wrócę z Londynu.

- Dziwię się, że pan minister jeszcze tam nie jest.

- My biurokraci mamy wciąż pełne ręce roboty, niezależnie od stanowiska. - Khalid rozłączył się, nim Gibson zaczął wypytywać, dlaczego oficjalny przedstawiciel Emiratów opóźnia wyjazd na spotkanie OPEC.

Komputer Khalida już był włączony. Wygaszacz ekranu pokazywał geometryczne figury odbijające się od krawędzi monitora niczym piłeczki pingpongowe. Przez kilka minut przedzierał się przez niekończące się menu, by znaleźć potrzebne informacje - alfabetyczną listę tankowców, które regularnie pływały po Zatoce. Myszka przewinął całą listę, ale nie znalazł na niej wzmianki o „Południowej Arabii”. Zainteresowany miał już zadzwonić do kapitanatu portu, kiedy w interkomie rozległ się melodyjny głos Siri:

- Panie ministrze, pan Trevor James-Price na linii pierwszej.

- Dziękuję, Siri - odparł, sięgając po słuchawkę. Uśmiechając się do siebie, wspominał wspólne czasy studiów z Trevorem w Cambridge.

W czasach studenckich Trevor był jedynym z przyjaciół Khalida, który nie postrzegał życia jako pasma przeszkód do pokonania. Każdy dzień był dla niego cennym darem, z którego należało wycisnąć jak najwięcej, by wykorzystać każdą chwilę. Niezależnie od tego, czy uczył się do egzaminów, czy odpoczywał w pubie z piwem i piękną dziewczyną, Trevor zawsze potrafił korzystać z życia. Kiedyś wyjaśnił matematyczne nieprawdopodobieństwo ludzkiego życia. Ile przypadkowych zdarzeń musiało zajść od stworzenia świata do teraz, by ktoś mógł istnieć, a ktoś inny nie. Podsumował to wszystko stwierdzeniem, że zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa na życie mamy szansę jak jeden do nieskończoności. Więc czemu nie wykorzystać jak najlepiej tego największego trafu, jaki mógł nam się przydarzyć? Trevor ukończył dwa fakultety - filozofię i literaturę klasyczną. W długiej historii Cambridge jego wynik należał do najlepszych.

W wieku zaledwie dwudziestu czterech lat wydał swoją pierwszą książkę o filozofii, a koło trzydziestki stał się ulubieńcem eu-

ropejskiej elity intelektualnej. Jako trzydziestopięcioletek był już wypalonym alkoholikiem po rozwodzie i z trójką dzieci, których nie widział od lat. Zarabiał teraz na życie jako dziennikarz freelancer i pisał właśnie expose na spotkanie kartelu OPEC. Khalid poprosił Jamesa-Price'a, by miał na oku Hasaana bin-Ruftiego podczas jego pobytu w Londynie.

- Trev, co słyhać w starej mokrej Anglii?
- Nie wiem, co bardziej mokre, pogoda czy majtki kobitek.
- No właśnie, słyzałem, że ponoć na Wyspach od dłuższego czasu nie było deszczu.
- Nie dasz mi pomarzyć, co, stary? Boże, co za okrutny wyzyskiwacz - jęknął Trevor teatralnie.
- Jak tam szczyt?
- Już po grze wstępnej, wszystkie urzędasy zdołały już dopilnować, żeby przez następny rok nie pójść na zasilek. Jak sam wiesz, szefowie kartelu spotykają się jutro. Sądząc po szumach na linii, wnoszę, że nie dzwonisz z Anglii, prawda?
- Jeszcze siedzę w Abu Zabi. Kogoś jeszcze brakuje?
- Tylko ciebie i Juana De la Bruille'a z Wenezueli. Pozostali petronababowie już są, policzeni co do głowy, łącznie z twoim korulentnym przyjacielem.
- Rufti nie jest moim przyjacielem - przypomniał mu łagodnie Khalid. - I co on knuje?
- Chcesz poznać pełną rozpiskę czy tylko najważniejsze punkty?
- Mów krótko. Mam jeszcze masę pracy przed wylotem.
- A zatem jaśnie pan nas zaszczyci? - droczył się z nim Trevor.
- Sam się zaszczyc, jak by ci powiedział ten Amerykanin, z którym mieszkałeś w pokoju na drugim roku.
- Oj, wrażliwi jesteśmy.
- Owszem, Trev, jestem. Nie jest tu wesoło. Można by rzec, że nasz domek z kart musi się szykować na mocną bryzę.
- Tkwisz między Scyllą i Charybdą, co?
- Można i tak powiedzieć, choć nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- Klasyczna grecka mitologia. W swobodnym tłumaczeniu: jesteś między młotem i kowadłem.
- I to by się zgadzało - westchnął Khalid.
- W takim razie porozmawiamy o tym później. - Trevor wyłapał podteksty w słowach przyjaciela i rozsądnie wycofał się z tego tematu. - Cóż, Rufti bardzo się brata z pokojówkami, a nawet z niektórymi dziewczkami kuchennymi.

Pokojówkami Trevor nazywał przedstawicieli siedmiu siostr, siedmiu wielkich koncernów naftowych. Dziewki kuchenne to z kolei reprezentanci dowolnej innej mniejszej firmy naftowej.

- Z kimś konkretnie?

- Owszem, tak. Z samym Maksem Johnstonem wyobraź sobie. Od kiedy Johnston przyleciał dziś rano, nie odstępują się nawet na krok.

- Jakież plotki?

- Z tego co słyszałem, Rufti chce wydebić od Petromaksu trochę pieniędzy na wydobycie w Adźmanie. Zdaje się, że chodzi o szybkie odwierty: wycisnąć ile się da z danego szybu i przenieść się do kolejnego. Zważywszy na to, ile czasu zostało jankesom na import ropy, to chyba jedyne, co są w stanie zrobić.

- To ma sens - przyznał Khalid. - Adźman ma trochę złóż, które chcieliby wyekspluatować, nim wejdzie w życie amerykańskie moratorium.

- Katar i Kuwejt negocjują podobne umowy z wielką siódmką - dodał dziennikarz. - Godzą się na potężną redukcję cen, byle tylko rzucić ropę na rynek.

- Odniosłeś wrażenie, że OPEC planuje ogólną obniżkę cen?

- W żadnym wypadku - odparł James-Price. - Te umowy zawierane są pod stołem. Giełdy towarowe nic się o nich nie dowiedzą. Publicznie ministrowie myślą o podwyżce o cztery centy za baryłkę w reakcji na skok cen ropy Brent.

- A więc w zachowaniu Ruftiego nie ma nic podejrzanego?

- Tego nie powiedziałem. Rufti i minister do spraw ropy z Iranu oraz przywrócony niedawno przedstawiciel Iraku spotykają się potajemnie w różnych dziwnych miejscach.

- Iran i Irak? Co on, do cholery, z nimi robi?

- Nie mam pojęcia, stary. Ochronę na tych spotkaniach mają ciałniejszą niż koloratka u księdza, mysz się nie przecisnie. Za dnia wszyscy trzej omijają się szerokim łukiem, ale przez ostatnie dwie noce ich limuzyny widywano zaparkowane przed tym samym hotelem albo restauracją. Nie wiem, o czym rozmawiają, ale na pewno o czymś ważnym i bardzo tajnym.

- Trev, musisz się tego dowiedzieć.

- Z chęcią, ale mam artykuł do napisania. Zabawa w detektywa to miła rozrywka, ale moje alimenty są wyższe niż PKB niejednego państewka. Muszę wrócić do pisania. Przykro mi.

- Wypisuję właśnie czek na sto tysięcy dolarów. Zdobądź dla mnie te informacje i czek jest twój.

- Khalid, nie potrzebuję twojej łaski - odparł gniewnie Trevor.
- Ale ja potrzebuję twojej. - Khalid odłożył słuchawkę bez pożegnania.

Terminal morski Alyeska w Valdez, stan Alaska

Jako częsty pasażer samolotów Mercer uodpornił się na jet lag. Potrafił zmusić się do tego, by nie spać lub zasnąć od razu po przylocie, w zależności od tego, ile stref czasowych pokonał. Do pełnej aklimatyzacji wystarczył mu jeden dzień, niezależnie od tego, czy spał trzynaście godzin, czy trzy. Jednak podróż na Alaskę przez Chicago i Seattle, skąd leciał wodnopłatowcem, już w Chicago przerwała najpierw zła pogoda, a potem jakaś awaria, przez co musiał spędzić noc w hotelu na lotnisku. W Anchorage wylądował ostatecznie tuż po dziesiątej rano, wyspany i przytomny.

Mercer wynajął blazer z napędem na cztery koła i przejechał prawie pięćset kilometrów na południe do Valdez, zatrzymując się tylko na tankowanie, kawę i od czasu do czasu na toaletę. Do Valdez dojechał tuż przed czwartą i zamiast zameldować się w hotelu, postanowił od razu pojechać do terminalu morskiego.

Podjechał blazerem do małej wartowni przy wjeździe na potężny terminal. Z ulgą przekonał się, że jego nazwisko wciąż widnieje na liście gości jeszcze od czasu, kiedy z Howardem Smallem urządzili sobie tu bazę wypadową do testów minitarczy. Mercer wjechał na teren terminalu, objechał budynek Wschodniego Węzła, w którym monitorowano ropę płynącą przez rurociąg w tempie osiemdziesięciu ośmiu tysięcy baryłek na godzinę, i minął ogromne zbiorniki, w których oczyszczano skażoną wodę morską balastującą tankowce podczas rejsu do terminalu.

Zaparkował na miejscu „tylko dla personelu” przed centrum operacyjnym, tuż przy nabrzeżu numer cztery, gdzie średniej wielkości tankowiec napelniał trzewia alaską ropą. Kiedy wysiadł z przytulnej kabiny furgonetki, prosto w twarz uderzył go ostry mróz, a wiatr wiejący od cieśniny kłuł niczym setki szpilek. Śnieg przykrył większą część terminalu, ale na parkingach i ostrych zakrętach dróg przecinających cały teren był elegancko odgarnięty i usypany w gigantyczne góry. Stwierdzenie, że było dość zimno jak na tę porę roku, wypadłoby równie niestosownie, jak to że Kain i Abel tylko od czasu do czasu się kłócili.

Mercer szybko przemknął z blazera do centrum operacyjnego. Rozpiął kurtkę, kiedy tylko poczuł podmuch ciepłego powietrza z nawiewu w budynku. Recepcjonistka czytała jakiś thriller i spojrzała na Mercera tak wściekle, że był pewien, iż oderwał ją od jakiejś ważnej sceny.

- Czym mogę panu służyć?

- Dzień dobry, dzwoniłem do państwa. Nazywam się Philip Mercer.

- A, tak, na spotkanie z Andym Lindstromem. - Wstała z krzesła, które zaszurało metalowymi nogami po podłodze pod jej niemalym ciężarem. - Tędy, prosto. Spodziewał się pana trochę później, ale chyba nie będzie miał nic przeciwko.

Lindstrom, dyrektor operacyjny terminalu, stał za biurkiem, kiedy Mercer wszedł do jego gabinetu. Miał na sobie dzinsy i grubą flanelową koszulę, a na głowie baseballówkę drużyny Seahawks. Był średniego wzrostu i budowy, jeszcze przed pięćdziesiątką, ale wyglądał na znacznie starszego. Skóra po ponad dwudziestu latach na Alasce i dwóch paczkach papierosów dziennie mocno mu poszarzała. Na brodzie miał dwudniowy rudy zarost, a w błękitnych oczach większe zmęczenie niż ostatnim razem, kiedy Mercer się z nim widział.

Gabinet był mały i typowo urzędowy. Światło wpadające przez pojedyncze okno uzupełniał rząd świetlówek wbudowanych w podwieszany sufit. Na biurku Lindstroma piętrzyły się dokumenty poukładane byle jak w spiralnie zakręcone stosy, które wyglądały, jakby za chwilę miały się rozsypać. Na kredensie i szafce też pełno było dokumentów, grubych instrukcji technicznych i katalogów części. Jedyne meble nieprzywalonymi papierami były dwa drewniane krzesła przed biurkiem. Na ścianie wisiała duża mapa topograficzna - Alaska obcesowo przecięta wijącą się czerwoną linią, która przedstawiała rurociąg. Naprzeciw mapy powieszono krzykliwy plakat jakiegoś biura podróży, przedstawiający plażę pełną dziewczyn w bikini.

Lindstrom powitał Mercera uniesionym palcem, a potem wskazał na słuchawkę, którą ścisnął w drugiej dłoni. Na twarzy poczerwieniał pod wpływem słów rozmówcy.

- Chwila, do jasnej cholery. Dwa dni temu wysłałem sprzęt do magazynu w Fairbanks. Jeśli jeszcze nie dotarł, to ich opieprzajcie, a nie mnie. - Przerwał i przewrócił oczami, patrząc na Mercera. - Moment, moment, nie jestem, kurwa, twoim chłopcem do bicia. To jest wasz wewnętrzny problem. Próbowałem tylko wyświadczyć wam przysługę. Ale to nie znaczy, że macie do mnie wydzwaniać,

ile razy wam się coś spieszy. Może następnym razem kupicie sobie amerykański sprzęt.

Odłożył słuchawkę i odetchnął głęboko.

- Niech zgadnę - zagał Mercer, kiedy Lindstrom odpałał papieroś. - Jedna z firm naftowych z terenu rezerwatu?

- Jakbyś zgadł. Ayeska obiecała im pomóc, a teraz wydzwanają do mnie gdy tylko zabraknie im papieru toaletowego. Chryste, kiedyś tak nie było. Te barany nie mają pojęcia o swojej pracy. Zdziwił mnie trochę wczoraj twój telefon - powiedział Andy, ściskając dłoń Mercera. - Myślałem, że wyjechałeś po zakończeniu tych prób z Howardem Smallem. No i nie mogę wytrzymać z ciekawości, dlaczego chciałeś, żeby zaprosić na spotkanie szefa ochrony. Mike Collins zjawi się za kilka minut. Zdradzisz mi, co robisz znowu na Alasce?

- Wolałbym poczekać na Collinsa. To dość skomplikowana historia i nie chciałbym jej powtarzać.

- Mam rację, że ma to jakiś związek z tym projektem, który prowadziliście na górze z Howardem?

- Pośrednio. A właśnie, słyszałeś o Howardzie?

- Nie, a co miałem słyszeć?

- Obawiam się, że nie żyje. Zamordowano go. I ten, kto go zabił, dwa razy próbował dopaść też mnie.

- Jezu, przez tę jego tarczę do wiercenia tuneli?

Nim Mercer zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi i po chwili, nie czekając na zaproszenie, do gabinetu wszedł Mike Collins. Był wielki, ważył dobre dziewięćdziesiąt kilo. Wyglądał tak staro, że zdaniem Mercera szrama na jego prawym policzku mogła pamiętać wojnę w Wietnamie. Tak jak Lindstrom, ubrany był swobodnie - w dżinsy, flanelową koszulę i buty od Tony'ego Lamasa numer czterdzieści siedem.

Ponieważ nie spotkali się, kiedy Mercer był poprzednio w Valdez, Lindstrom przedstawił ich sobie. Collins miał pewny i silny uścisk i dłonie stwardniałe tak samo jak Mercer. Dyrektor operacyjny opowiedział Collinsowi o śmierci Howarda Smalla i dwóch zamachach na życie Mercera.

- Więc chodzi o Minnie? - zapytał ponownie Lindstrom.

- Nie, nie o nią. Kiedy zakończyliśmy próby, wraz z Howardem popłynęliśmy na ryby łodzią jego kuzyna z Homer. Na morzu znaleźliśmy spalony wrak kutra rybackiego, jakieś sześćdziesiąt kilometrów od brzegu. Zabiło go coś, co znaleźliśmy na jego pokładzie.

- Tak? A co takiego? - zapytał Collins czujnie jak gliniarz, który nie może znaleźć sobie miejsca na emeryturze.

- Laboratorium FBI w Waszyngtonie nieźle się nabiedziło, żeby dojść, że kawałek stali, który zabrałem z wraku, to fragment zbiornika z ciekłym azotem. Podejrzewamy, że kuter przemycił cylindry z azotem na Alaskę.

- Po co ktoś miałby przemycać coś, co można normalnie kupić i po co ktoś miałby zabijać, żeby zatrzeć ślady?

- Federalni nad tym pracują - odparł Mercer. - Mnie bardziej martwi, co zamierzali z tym azotem zrobić.

- Myślisz, że to może mieć jakiś związek z nami? - zapytał Collins.

Nim Mercer zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Lindstrom:

- O jakiej ilości ciekłego azotu mówimy?

- Przed wyjazdem z Waszyngtonu zadzwoniłem do kapitanatu portu w Seward, gdzie cumował ten kuter. Powiedział mi, że „Jenny IV” w ciągu ostatniego roku wypływała w morze osiemnaście razy, a mimo to żadna z przetwórci ryb, które obdzwoniłem, nie ma żadnych dokumentów, by coś od nich kupowała. W kapitanacie w Seward powiedzieli mi też, że jej kapitan niedawno kupił za gotówkę nowego pikapa, więc jakoś jednak zarabiał. Zakładam, że przewoziła ten towar co najmniej osiemnaście razy, a mieściła około trzynastu ton. Sami sobie policzcie. Mogli nazwozić tego azotu do jasnej cholery.

- Nadal nie rozumiem. Nie jest to ani narkotyk, ani materiał wybuchowy, ani nic nielegalnego. Tyle że jest zimny. Więc o co chodzi?

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, i moim zdaniem Dick Henna z FBI podziela moje zdanie, to sabotaż - ciągnął Mercer, widząc zdziwione miny obu mężczyzn. - Ciekły azot może zmienić siłę wiązań cząsteczkowych dowolnego materiału. Osłabia stal tak mocno, że może ona pęknąć pod własnym ciężarem. I nie będzie nawet śladu, że ktoś przy tym grzebał. Powiedzmy, że spryskasz takim azotem jakiś sprzęt. W czasie użytkowania może pęknąć i nikt nie zdoła wykryć ani logicznie wytłumaczyć dlaczego. A gdyby ktoś wykorzystał ciekły azot, żeby osłabić jakiś fragment rurociągu? Kiedy się zawali, ni z tego, ni z owego będziecie mieli ogromny wyciek. Od kiedy zaczęła się budowa nowej rury, jesteście pod lupą mediów, więc pomyślałem, że nadajecie się jak mało kto, żeby jacyś terroryści potraktowali was w ten sposób.

Mercer dostrzegł, że udało mu się przykuć uwagę Andy'ego Lindstroma. Ale ten nafciarz od trzech pokoleń nie był wcale przekonany. Instynkt podpowiadał Mercerowi, by milczeć i dać Lindstromowi samemu pomyśleć. Ledwo się jednak powstrzymał, by nie okazywać poruszenia. Zrzucił właśnie bombę na biurko dyrek-

torowi operacyjnemu, ale Lindstrom nie wiedział, że Mercer nie jest podatny na paranoidalne fantazje i teorie spiskowe. No dalej, do cholery, dalej. Wiesz dobrze, że to może być groźne.

- Rurociąg wydaje się dobrym celem, ale nic by z tego nie wyszło - powiedział w końcu Lindstrom, wyciągając z szuflady biurka butelkę bourbona z jedną piątą zawartości i rozlewając alkohol do trzech małych kubków. - Ściany rury wykonane są z superwytrzymałej stali grubości ponad centymetra i mogą wytrzymać wewnętrzne ciśnienie rzędu prawie osiemdziesięciu dwóch atmosfer. Nawet gdyby ktoś zamroził jego fragment, i tak potrzebowałby buldożera, żeby wywołać pęknięcie, a nasza ekipa ratunkowa dotarłaby na miejsce, zanim sprawcy zdążyliby uciec.

- A wsporniki? - odparł błyskawicznie Mercer, wiedząc, że musi działać szybko albo jego ostrzeżenia na nic się nie dadzą.

Naziemne fragmenty rurociągu biegły ponad zmrożoną tundra wsparte na siedemdziesięciu ośmiu tysiącach wsporników. Owe wieże stały mniej więcej co osiemnaście metrów i rurociąg mógł się przesuwac w ich łożysku o trzy i pół metra w poziomie i sześćdziesiąt centymetrów w pionie, by kompensować rozszerzanie i kurczenie się ścian rury. Wsporniki służyły także jako bufor na wypadek trzęsienia ziemi, takiego jak to, które zniszczyło Alaskę w Wielki Piątek 1964 roku. Podstawy wkopano na cztery i pół do nawet osiemnastu metrów, w zależności od poziomu wiecznej zmarzliny. Miały pasywny system chłodzenia amoniakiem, by nie przewodzić ciepła płynącej ropy, które mogłoby rozmrozić skutą mrozem ziemię, która nadawała stabilność wspornikowi.

- To samo. Nawet gdyby udało się je osłabić ciekłym azotem, i tak potrzebny byłby ciężki sprzęt, żeby je przewrócić. Pamiętaj, że do budowy tego rurociągu trzeba było uzyskać tysiąc trzysta czterdzieści siedem pozwoleń stanowych i federalnych. I można postawić dolary przeciw orzechom, że urzędasy zabezpieczyły sobie tyłki i całość zbudowana jest tak, że sam Bóg nie byłby w stanie tego rozpirzyć.

- To samo mówiono o „Titanicu”. - Po tym zdaniu Mercer zawiesił na dłuższą chwilę głos, a potem mówił dalej: - A część mostów? Jeden zdaje się ma ponad trzysta metrów długości?

- W miejscu, gdzie rura biegnie nad rzeką Tanana, most podwieszany ma trzysta sześćdziesiąt metrów, ale znów, nawet gdyby osłabić kotwice i wsporniki, trzeba by dynamitu, żeby zawalić całość. Po co mrozić stal, skoro i tak trzeba użyć ładunków wybuchowych?

- Wiem, że dodajecie do ropy jakieś chemikalia, żeby podnieść jej naturalną temperaturę, bo w ten sposób łatwiej płynie od

Prudhoe. A gdyby tak zamrozić ropę w rurociągu, tak na stałe? Czy coś takiego wywołałoby duże zniszczenia?

- Gdyby ropa zamarzała, jej rozszerzalność termiczna nie wystarczyłaby, by ściany rury pękły, a my oczyścilibyśmy rurociąg w kilka miesięcy - odparował Lindstrom. Mercer zrozumiał, że Lindstrom zaraz rozbije jego teorię w puch. - Zapominasz też o innych ważnych celach na Alasce, na przykład bazie lotniczej Elmendorf czy sieci stacji radarowych na północnym wybrzeżu. A te nowe instalacje produkcyjne w rezerwacie? Kilka z nich już działa, tłocząc ropę do zatoki Prudhoe, skąd trafia do naszego rurociągu. - Lindstrom zapalił kolejnego papierosa i nagle przyszedł mu do głowy nowy pomysł. - Jedyne miejsce, w którym można by zaatakować Alyeskę, to nasz magazyn sprzętu w Fairbanks, gdzie mamy wiertła, tarcze i inne wyposażenie warte jakieś pół miliarda dolarów.

- Spryskują ciekłym azotem wiertło do wiercenia w ziemi, a potem wał w nie miotem. - Collins nie wyczuł sarkazmu w głosie Lindstroma i poważnie zastanawiał się nad tą możliwością. - Wiertło by nie pękło, jest za mocne, ale na pewno pojawiłyby się mikro-szczeliny. Kiedy zaczęłoby się kręcić, w końcu by się jednak rozsy-pało i całkowicie zniszczyło odwiert.

- Jaką tam macie ochronę? - Mercer pomyślał, że jeśli uda mu się przekonać choć jednego z nich, to już będzie coś.

- Drogi sprzęt, na przykład diamentowe głowice do wiercenia, są zamknięte pod kluczem i strzeżone przez dwadzieścia cztery godziny na dobę - odparł Collins. - Ale rury z wiertłami leżą zwinięte na dworze i czekają na transport na północ. - Collins potarł dłonią łysiejącą głowę, a w złotym sygnecie marines błysnęły ostatnie promienie zachodzącego słońca.

- Proponuję zwiększyć tam załogę - powiedział łagodnie Mercer.

- Nie rozumiem - zauważył Lindstrom, wciąż się nie przejmując. - Jeśli przewieźli ponad dwieście trzydzieści ton ciekłego azotu, to planują pewnie coś znacznie większego niż atak na części zapasowe w jakimś magazynie.

- Twoim zdaniem na co? - Mercer znów próbował wciągnąć Lindstroma w zgadywanke, licząc, że tym razem dyrektor operacyjny potraktuje poważniej jego ostrzeżenie.

- Tu w terminalu jesteśmy bezpieczni, a zatoka Prudhoe jest tak odizolowana, że odpada.

- W takim razie co zostaje?

- Niewiele. Rurociąg jest po prostu zbyt wytrzymały na coś takiego, co sugerujesz. Alyeska może być celem terrorystów i nie

wykluczam niczego, zanim nie skończy się ten kryzys w rezerwacie, ale używanie do tego celu ciekłego azotu po prostu nie ma najmniejszego sensu.

Mercer odwrócił się do Collinsa, licząc, że wciąż jest zaintrygowany.

- Dlaczego mówiłeś, że sam terminal jest bezpieczny? Nie miałem problemów, żeby tu wjechać.

- Nadal jesteś na liście gości, wszystkich innych zawracamy. Wstrzymaliśmy nawet regularne wycieczki autobusowe z miasta. Poza drogą wjazdową nie ma innego sposobu, by dostać się na teren terminalu. Mamy tu płoty, aktywne i pasywne czujniki i patrol, które nie pozwalają zbliżyć się nikomu na mniej niż półtora kilometra do najważniejszych obszarów.

- Mercer, tak się zafiksowałeś na tym, dlaczego ktoś szmuglował ciekły azot na Alaskę. A nie zadałeś sobie pytania, kto to zrobił? - Choć Lindstrom wyraźnie nie wierzył, że coś grozi jego królestwu, sam przyznał, że akty terroryzmu są możliwe.

- Ależ oczywiście i nawet już wiem kto - odparł ostro Mercer.

- PEAL? - zapytał Collins.

- Nie. To byłoby w ich stylu, ale są na to za krótkcy.

- PEAL? - Lindstrom nie od razu rozpoznał skrót. - Zaraz, czy to nie ci ekolodzy, których wielki statek badawczy cumuje w zatoce?

- Tak - potwierdził Collins. - Są tu od dwóch tygodni, bojkotują stacje benzynowe Petromaksu, udzielają wywiadów armii dziennikarzy, którzy za nimi się uganiają i ogólnie wkurzają wszystkich jak cholera.

- Nie mają z tym nic wspólnego - powtórzył Mercer. - Chcą wstrzymać wiercenia w Arktycznym Rezerwacie, ale to ponad ich możliwości. Bojkotowanie stacji benzynowych to jedno, ale skoordynowanie ataku na Alyeskę to zupełnie inna para kaloszy. Pano wie, słuchajcie, nie przyjechałem tu oficjalnie, śledztwo prowadzi federalni. W zasadzie jestem na Alasce wbrew wyraźnemu poleceniu dyrektora FBI. Ale oni uganiają się w poszukiwaniu tropów, za to zapominają, żeby pilnować celów. Jestem zdziwiony, że nikt z Biura z wami nie porozmawiał. Tak się dzieje, kiedy zatrudnia się za dużo absolwentów prawa, a za mało ludzi, którzy potrafią myśleć.

- Mówisz, jakbyś wiedział, kto przemycił ten ciekły azot. Kto to? - zapytał Collins.

- Były pułkownik KGB, niejaki Iwan Kerikow. Miałem już z nim do czynienia. Jest absolutnie bezwzględny. Zabija bez wahania. O cholera, coś mi się przypomniało. Mogę zadzwonić?

Lindstrom kiwnął głową i Mercer szybko wykręcił numer, jeden z około setki, które potrafił wymieniwać w każdej chwili z pamięci.

- Komisariat w Homer, szeryf MacLaughlin przy telefonie.
- Szeryfie, mówi Philip Mercer...

MacLaughlin nie dał Mercerowi dokończyć:

- Skąd pan, do cholery, wiedział, że „Jenny IV” tam nie będzie?
- Przeczucie.

- Gówno prawda - wybuchnął MacLaughlin. - Nikt nie ma takich przeczuć. Właśnie przekwalifikowałem zgonę Jerry'ego i Johna Smallów z wypadku na morderstwo. Jeśli dodać do tego śmierć Dave'a Hellera, tego, którego znaleźliśmy w łodzi wyrzuconej na brzeg, to mamy trzy nierozwiązane zabójstwa w mieście, w którym nie zdarzyło się ani jedno morderstwo, od kiedy zostałem tu szeryfem. Chcę wyjaśnić, do cholery.

- Szeryfie, dostanie je pan gdy tylko będę je miał. Przepraszam, ale nic więcej na razie nie mogę powiedzieć. Zapewniam pana, że nie znajdzie pan morderców w swoim mieście. Dawno już zniknęli.

- Co pan powie - rzekł z przekąsem MacLaughlin. - To, że jestem gliną z małej miejsciny, nie oznacza, że jestem głupkiem.

- Tego nie mówię, ale myślę, że pańskie śledztwo posunie się naprzód, jeśli skupi się pan na tym, gdzie zatopiono po raz drugi „Jenny IV”.

- Akurat mi się uda. Kiedy szwagier nie zdołał jej znaleźć, ciągnąc trał po dnie, wysłałem do zatoki prawie wszystkie łodzie. Popłynęło czterdzieści, wszystkie wyposażone w sonary do poszukiwania ławic ryb, i nic. Przeczesały chyba z dwieście pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych.

Mercer mógł sobie wyobrazić te poszukiwania. Kapitanowie i załoganci lekko zamroczeni alkoholem, podnieceni, że przez jeden dzień mogą grać gliniarzy, pływali pewnie bez ładunku i składu po wodzie, bez żadnego logicznego planu poszukiwań. Mercer podejrzewał też, że te dwieście pięćdziesiąt kilometrów to w rzeczywistości pewnie bliżej dwudziestu pięciu. Ale nie było sensu wytykać tego MacLaughlinowi. Był teraz tak nabuzowany, że każda krytyka sprawiłaby, że wybuchłby niczym wulkan. Mercer nie mógł winić MacLaughlina - trafił na sprawę tak wielką, że nie wiedział, z której strony zacząć.

- Naprawdę? - rzekł Mercer, udając że jest pod wrażeniem, a zarazem myśląc, czy nie zadzwonić do Dicka Henny i nie ściągnąć na miejsce jakiegoś kutra wykrywacza łodzi podwodnych. Dzięki sonarowi o szerokim zasięgu znalazłby wrak za pierwszym podej-

ściem. - Ogromne dzięki, szeryfie, naprawdę. Dam panu znać, jeśli dowiem się czegoś więcej.

Mercer rozłączył się, nim MacLaughlin zdążył zaprotestować.

- O co chodziło? - zapytał podejrzliwie Collins.

- Może to coś ważnego, a może tylko zmyłka. Ale dwie noce temu „Jenny IV” została przeniesiona z miejsca, gdzie zatopiła ją Straż Wybrzeża. Ten, kto to zrobił, zabił też właściciela łodzi, która przeciągnęła wrak.

- Myślisz, że to ten Kerikow?

- Albo on, albo ktoś, kto dla niego pracuje - odparł Mercer, pilnując się mocno, by nie wybuchnąć gniewem. - Tak jak mówiłem, nie mam tak naprawdę prawa tu być i z wami rozmawiać. Ale chodzi o moją dupę. Jestem jedynym żywym świadkiem odkrycia „Jenny IV” i sądzę, że Kerikow nie spocznie, póki mnie nie ukatrupi. Mam jeden wybór: muszę go powstrzymać pierwszy. Nie chcę wyręczać władz, ale jeśli zdarzy się tu cokolwiek niezwykłego, naprawdę cokolwiek, to chciałbym o tym wiedzieć.

- Nic się nie zdarzy, ale na pewno damy ci znać - odparł Lindstrom pobłażliwie.

Mercer podał mu nazwę hotelu, w którym miał się zatrzymać. Czuł, że mimo skąpych informacji zrobił tyle, ile był w stanie. Mógł jedynie liczyć na to, że ktoś się w końcu przejmie jego ostrzeżeniami.

Dwadzieścia minut później zaparkował blazera przed hotelem, sporym budynkiem obłożonym białą deską, który pamiętał lepsze czasy. Nie był to najlepszy hotel w mieście, ale to mu odpowiadało. Rozpakował się w pokoju, wziął szybki prysznic, a potem zjadł na kolację łososia w prawie pustej jadalni. Przylegający do niej bar też był prawie pusty, więc postanowił wyjść i może porozmawiać z działaczami PEAL, jeśli znajdzie ich w mieście.

Choć nie sądził, by PEAL miała coś wspólnego ze szmugłem ciekłego azotu, chciał się lepiej przyjrzeć tej grupie, po części dla celów swego śledztwa, po części dlatego, że chciał się dowiedzieć czegoś więcej o Aggie Johnston, a PEAL zdaje się zajmowała ważne miejsce w jej życiu.

Od chwili kiedy wypadła z jego domu, nie przestawał o niej myśleć. Początkowo próbował zapomnieć o niej siłą woli, ale w końcu się poddał. Aggie była kobietą, o której Mercer nie potrafił zapomnieć. Błyskawicznie zapadła mu w serce tak głęboko, że pamiętał zapach jej włosów i to, jak czule spojrzała na niego, kiedy zobaczyła opatrunek po uderzeniu pistoletem. Mercer nie wierzył nigdy w ten wyświechtany frazes, że kto się czubi, ten się lubi, ale też nigdy

czegoś takiego nie doświadczył. Cierpiał i nie wiedział, co sądzić o tym, że Aggie nie próbowała się z nim skontaktować. Ale miał teraz za dużo na głowie, żeby o niej myśleć. Mimo to chciał się o niej dowiedzieć więcej, znacznie więcej. Wszystkiego.

Szedł wzdłuż North Harbor Drive, która biegła obok niewielkiej mariny jachtowej. Słońce już zaszło i z ciemności dobiegał chlupot fal uderzających o kadłuby setki jachtów. Brzmiało to jak jakieś upiorne nagranie. Kilka latarni rzucało na chodnik rozmyte plamy światła, a ich blask odbijał się delikatnie od chromowanych wykończeń najbliższych łodzi. Powietrze było ciężkie od zapachu oceanu. Choć na chodnikach było stosunkowo tłoczno jak na miasto liczące trzy tysiące osób, czuło się tu samotność, tak charakterystyczną dla całej Alaski poza większymi miastami. Na wodach zatoki widać było światła jakiegoś dużego statku, to musiała być zapewne „Nadzieja”.

Mercer znalazł w końcu bar, który wyglądał obiecująco. Wywieszony przed nim neon rzucał jaskrawe kolorowe plamy w ciemność. Kiedy para młodych ludzi otworzyła drzwi, ze środka dobiegła go muzyka country. Mercer wszedł zaraz za nimi. Podziękował im skinieniem głowy za przytrzymanie drzwi i rozejrzał się po sali.

Nie był to może przytulny pub, ale i nie speluna. Na podłodze leżała wykładzina poplamiona gumami do żucia, tak wydeptana, że przypominała cement. Ściany pożółkły od dymu z papierosów, który wisiał w powietrzu jak smog. Bar w kształcie litery U mieścił około dwudziestu osób, a kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że jego mocno politurowana powierzchnia pokryta jest wrytymi inicjałami. Jak w wielu innych lokalach, tak i tu szukano jakiegoś wabika na gości. W tym miejscu można było sobie zapewnić nieśmiertelność, wycinając własne imię na blacie baru. W sali stało około dziesięciu stołów, znalazło się też miejsce na niewielki parkiet taneczny i jeszcze mniejszą scenę, choć teraz akurat przygrywała poobijana szafa grająca przy drzwiach wejściowych. Miejsca pozajmowane były mniej więcej w połowie.

Mercer miał ochotę na koktajl z wódką, ale w takich miejscach piło się albo piwo, albo czystą whiskey. Zamówił piwo u biuściastej barmanki i usiadł na stołku w rogu, obok faceta, który wyglądał na rybaka, zważywszy na gabaryty i gumowe buty. Kobieta zza baru pochyliła się mocno, podsuwając Mercerowi kufel coorsa, oferując świetny widok na to, co i tak ledwo skrywała pod mocno wydekoltowaną bluzką. Uśmiechnął się do niej, dziękując i za piwo, i za widok. Każdy bar miał swoje wabiki i każdy barman również.

- Jesteś nasz czy ich? - zapytał bez wstępu mężczyzna siedzący po lewej stronie Mercera.

- Zależy kim jesteśmy my, a kim są oni. - Nie miał pojęcia, czy mężczyzna jest pijany, czy niespełna rozumu.

- Oni to ci ekolodzy i stado dziennikarzy, którzy za nimi przyjechali. - Skinął głową w stronę zestawionych stolików pod jedną ze ścian, przy których mniej więcej dziesięć osób tworzyło własną enklawę. - A my to właściwie wszyscy pozostali.

- Wierz mi, jestem jednym z nas - odparł Mercer, łapiąc dowcip mężczyzny. - Jestem inżynierem górnictwa. A ty?

- Pracuję na kutrze, który eskortuje tankowce przez Cieśninę Księcia Williama - odparł i upił łyk piwa. - Wiesz co, nie rozumiem, z czego żyją ci manifestanci. Płacą im za to, żeby się wtrącali innym w życie?

- Zdziwiłbyś się, ile kasy ma większość grup ekologicznych. I co najmniej jeden z nich ma forsę jak lodu.

- Teraz kapuję. Leniwi bogacze mają wyrzuty sumienia, więc starają się, żeby nikt inny nie zarobił pieniędzy.

- Współczesne szlachectwo zobowiązuje - mruknął Mercer.

Przez chwilę obserwował grupę siedzącą przy stołach. Rozróżnienie dziennikarzy od członków PEAL było banalnie proste. Dziennikarze z dumą nosili na twarzach cynizm, który nabyli z doświadczenia albo nauczyli się udawać. Ekolodzy byli zwykle młodszy, naiwni i pełni energii. Uśmiechali się szeroko i swobodnie parskali śmiechem, przypominali bardziej zwycięskich piłkarzy ze swoimi dziewczynami. Na ich twarzach widać było jeszcze resztki niewinności i silne poczucie wspólnoty, które łączyło ich bardziej niż przyjaźń. Byli krzyżowcami, towarzyszami broni walczącymi podczas świętej misji.

- Co o nich wiesz? - zapytał Mercer swojego sąsiada przy barze, który jak wielu Alaskan był skory do rozmowy z obcymi.

- Niewiele. Za to wiem na pewno, że chcę, żeby się wynieśli z mojego miasta - warknął. - Siedzą tu od kilku tygodni. Oni i ci dziennikarze. Wszystkim działają na nerwy, pouczają nas i traktują jak debili. A ci demonstranci są jeszcze gorsi - spuwentował żartem.

Marynarz z kutra zaczął właśnie opowiadać Mercerowi o wywróconej cysternie z paliwem, kiedy drzwi do baru się otworzyły i do środka wpadł podmuch zimnego powietrza. Mercer odwrócił się i zobaczył, że do lokalu wchodzi spora grupa ludzi, śmiejąc się od drzwi. Dziewięciu mężczyzn i pięć kobiet, choć trudno było różnić płeć, sądząc tylko po długości włosów.

Kiedy ją zobaczył, nie zdziwił się. To logiczne, że jest na Alasce. Jej organizacja prowadziła tu w Valdez swój największy protest, a ich flagowy statek cumował w zatoce. Nie było powodu, dlaczego nie miałyby w tym brać udziału. A ten bar znajdował się najbliżej miejsca, gdzie Mercer widział przycumowane gumowe motorówki PEAL. Patrząc na nią, zastanawiał się, czy znalazł się tu rzeczywiście zupełnym przypadkiem, jak chciał wierzyć. A może przyszedł do tego konkretnego baru, licząc, że i ona tu będzie? Choć w głębi duszy chciał, żeby przyszła, nie był na to przygotowany.

Aggie Johnston nie widziała go, kiedy weszła do środka w gronie przyjaciół, promieniejąc na twarzy. Wszyscy poszli od razu w stronę stolików zajętych już przez członków PEAL i przymilnych dziennikarzy. Tak jak na uniwersytecie, kiedy spotkał ją po raz pierwszy, miała na sobie bezkształtną zieloną kurtkę.

Śledził ją wzrokiem przez całą salę, słuchał radosnych okrzyków jej kumpli, kiedy do nich dołączyła. Widać było wyraźnie, że nie widzieli się z nią od dłuższego czasu, a jej przybycie wprawiło ich w nastrój do świętowania. Obserwował ich jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym nagle się odwrócił, zły na siebie, że zachowuje się jak zakochany nastolatek cierpiący pod koniec letniego romansu.

- Jezu - westchnął sąsiad Mercera. - Albo jestem taki pijany, że mam zwidy, albo otrzeźwiałem w niebie.

Mercer spojrzał i zobaczył, że Aggie zdjęła kurtkę, pod którą miała obcisły czarny golf. Podejrzewał, że jego przyjaciel z baru gustuje raczej w biuściastych dziewczynach z rozkładówek, ale i on padł ofiarą uroku Aggie Johnston.

- Po czymś takim tak czy siak czeka cię kac gigant - mruknął ponuro Mercer.

Dwa piwa później Mercer zaczął zbierać się do wyjścia. Bar zappełnił się po brzegi, a kapela zrobiła sobie właśnie pierwszą przerwę i w lokalu rozbłyły światła. Kilku miejscowych próbowało poprosić kobiety ze stolika PEAL do tańca, ale wszyscy musieli obejść się smakiem, zbywani okrutnymi docinkami. Aggie miała najwięcej potencjalnych adoratorów, ale choć oganiała się od nich nieco milej, to nie mniej stanowczo.

Od stołu wstał jeden z mężczyzn, czarnobrody olbrzym, który chyba był jakimś przywódcą, bo kiedy się podniósł, wszyscy posłusznie ucichli. W ciszy po ostatniej piosence olbrzym wziął szklankę, by wznieść toast.

- Za Brocka Holta, truciciela, który zapłacił za to, co robił.

Choć wznosił toast do swoich ludzi, wodził oczami po pełnej sali, wyraźnie licząc na jakąś reakcję. Oczy miał zamglone ogromnym

zapałem i kilkoma kuflami piwa. Nikt nie wiedział, że był z Janem Voerhovenem na tym pustym odcinku drogi. Nawet cyniczni reporterzy byli zdumieni tymi niewłaściwymi słowami.

Nie musiał czekać długo na reakcję. Z końca baru, jakieś dziesięć stołków za Mercerem, ktoś ryknął podchmielonym głosem:

- Coś ty powiedział, palancie?

- Wydaje mi się, że nie mówiłem do ciebie - odparł kąśliwie ekolog.

Atmosfera na sali zrobiła się napięta. Barmanka już sięgała po telefon, żeby zadzwonić na policję. Trzech ochroniarzy z baru nie miałoby szans, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Brock był moim kumplem. - Miejscowy stanął na chwiejnych nogach. Mówił z trudem, ale emocje wyrażał dosadnie. Miał na sobie niebieską parkę z logo Petromaksu na lewej piersi.

- W takim razie powinieneś się cieszyć razem z nami, że nie będzie już woiły trucizny przez cały stan - usłyszał drwiącą odpowiedź. Aggie próbowała usadzić swojego kumpla, ale odepchnął jej rękę, zbyt nakręcony, żeby zastanowić się, co mówi i gdzie.

Obaj mężczyźni zaczęli się zbliżać. Na sali zaczęły szurać krzesła, bo zebrani dzielili się na dwa obozy. Bójka między działaczami i miejscowymi wisiała w powietrzu, od kiedy PEAL pojawiła się w Valdez. Po kilku kolejnych gorących obelgach sala wybuchła. Każda ze stron była przekonana o swej racji - ekolodzy wiedzieli, że walczą o ocalenie planety, miejscowi - że chcą chronić swoje życie i rodziny. Dziennikarze schronili się za stołami i obserwowali zamieszanie z niezdrowym podnieceniem.

Stało się jasne, że jedynie około trzydziestu miejscowych miało ochotę na walkę, reszta uciekła z baru jak najszybciej. Niemal wszyscy z dwudziestu pięciu działaczy PEAL rwali się do bójki, nie wyłączając kilku kobiet. Początkowo Mercer chciał dołączyć do pospiesznie uciekającego tłumu, ale kiedy ruszył do wyjścia, zdał sobie sprawę, że nie może spuścić Aggie z oka, póki nie będzie miał pewności, że nic jej nie grozi. Odwrócił się i przepchał z powrotem do baru przez spanikowanych ludzi.

Kiedy przedzierał się w luźniejsze miejsce, usłyszał jej krzyk - dochodził wyraźnie ponad okrzykami i wyciem, ponad stękaniami i piskiem, ponad brzękiem tłuczonego szkła i trzaskiem łamanych mebli. Stała przy ścianie naprzeciw baru, wygięta do tyłu nad jedną z wielkich kolumn głośnikowych. Na jej bladej, wykrzywionej w bólu twarzy błyskały na czerwono światła reflektorów. Śniady facet w czarnej skórzanej kurtce trzymał ręce nad jej głową, a na

skórce z podniecenia wystąpił mu błyszczący pot. Aby się tam przebić, Mercer musiał przejść i ominąć walczących, rozdzając ciosy i kopniaki bez patrzenia komu.

Ktoś uderzył go porządnie w brzuch, a potem w szczękę. Cofnął się pod naporem tych ciosów, dając sobie kilka chwil, by ochłonać. Jakiś działacz PEAL rzucił się za nim z rękami ułożonymi do uderzenia. Mercer pozwolił mu się zbliżyć, taksując go doświadczonego okiem. Kiedy tylko napastnik zamachnął się, by wymierzyć mu solidny prosty, Mercer cofnął się tylko tyle, by pięść minęła jego policzek. Chwycił napastnika za wyciągniętą rękę, wyhamował swój cel, po czym przyłożył mu serię ciosów w odsłonięty bok. Pięści masakrowały twardą grupę mięśni pod ramieniem ekologa. Dwa żebra pękły z koszmarnym trzaskiem.

Mercer odsunął się od upadającego ekologa i rzucił się w stronę tego, który trzymał Aggie. Mężczyzna uwolnił jedną rękę i obmacywał ją między nogami. Skulił się, by osłonić się przed jej nieskutecznymi ciosami. Mercer odsunął dwóch walczących mężczyzn, którzy stali mu na drodze i dotarł do Aggie zaledwie sześćdziesiąt sekund po tym, jak wybuchła bójka.

Gdyby napastnik nie posunął się do obmacywania, Mercer pewnie zostawiłby ją na pastwę losu, żeby poniosła konsekwencje swoich czynów. Bawiła się życiem innych w ramach hobby, nie zważając na to, co to oznacza dla ludzi mieszkających w Valdez. Takie demonstracje były przygotowywane dokładnie na potrzeby mediów. PEAL nie przybyła na Alaskę, by podnieść świadomość ekologiczną, tylko by uświadomić światu swoje istnienie. Ich zainteresowanie Valdez potrwa dokładnie tyle, ile zainteresowanie mediów nimi samymi. A potem ruszą gdzieś dalej. Ale facet trzymający Aggie popełnił błąd, próbując zaspokoić pożądanie i dobierając się do niej.

Kiedy Mercer chwycił z jednego z nielicznych stojących jeszcze stołów do połowy pełną butelkę z piwem, miał nadzieję, że do Aggie dobrał się ktoś, komu mniej się zebrało na amory. Chciała wziąć udział w zielonej rewolucji, a tak wyglądała jej rzeczywistość. Rozwał wszystko, co istnieje, a potem martw się konsekwencjami. Zamachnął się z całej siły i butelka roztrzaskała się na głowie napastnika. Runął na ziemię szybciej niż ostatni odłamek szkła z butelki.

Jego upadek wytrącił Aggie z równowagi. Zsunęła się z kolumny i stanęła na ziemi. Kiedy zobaczyła przed sobą Mercera, oczy zrobiły jej się jak talerzyki deserowe.

- I co taka miła dziewczyna jak ty... Zresztą nieważne, spadajmy stąd. - Mercer chwycił ją za nadgarstek i wyprowadził tylnym

wyjściem w chwili, gdy do baru wtargnęli policjanci. Kiedy uciekali, Mercer zauważył, że niemal wszyscy działacze PEAL jeszcze się bili, podczas gdy podłoga baru zasłana była ciałami najtwardszych obywateli Valdez.

Zaułek za barem był słabo oświetlony, a śmieci w koszu przy wyjściu ledwo się mieściły. Aggie próbowała się zatrzymać, ale Mercer chciał oddalić się jak najbardziej od baru. Nie zamierzał spędzić nocy w miejskiej izbie wytrzeźwień ze skacowanymi przeciwnikami, którzy mieli ochotę dalej walczyć. Zaciągnął ją na oświetloną ulicę, jedną przecznicę w głąb ładu.

Kiedy stali już w bezpiecznej plamie światła z latarni, zatrzymała się i wyrwała z uchwytu Mercera.

- Co ty tu, do diabła, robisz ?

- Nie ma za co.

- Odpowiedz, do cholery.

- Cóż, znalazłem się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Jeśli chcesz wracać, nie krępuj się. Jestem pewien, że ten facet z rozkoszą dokończyłby to, czego omal nie zaczął - powiedział Mercer z większym gniewem, niż czuł naprawdę.

- Wal się.

- Do widzenia, Aggie. - Zaczął odchodzić, ale poczuł ulgę, kiedy podbiegła i chwyciła go za rękaw.

- Przepraszam. Nie obchodzi mnie, dlaczego się tu dziś zjawiłeś, ale jestem ci z całą pewnością wdzięczna. - Spojrzała na niego oczyma jak dwa klejnoty.

Najbardziej na świecie chciał ją pocałować, wziąć jej usta w swoje. Ale odwrócił się i szedł dalej. Nie znosił takiej burzy uczuć i naturalną reakcją była ucieczka, jakby dystans od niej mógł zmniejszyć cierpienie w głowie.

- Mercer, zaczekaj! - Znów go dogoniła i zaczęli iść równo. Dzięki długim nogom była w stanie dorównać jego gniewnym krokom. Bez słowa zdjął skórzaną kurtkę i narzucił jej na ramiona. Otuliła się nią jak ulubionym kocem. Po chwili odezwała się:

- Musimy porozmawiać.

- Nie wydaje mi się.

- Znałam tego człowieka, który włamał się do ciebie.

- Tak, wiem - odparł Mercer beznamiętnie, dziękując w myślach, że nie uniknęła drugiego tematu, który nie dawał mu spokoju od tamtej nocy. - Nie widziałem nigdy, żeby ktoś się zachowywał w obliczu śmierci tak jak ty. Na twarzy malował ci się nie strach czy zniesmaczenie, ale błysk rozpoznania.

Pierwszej bomby częściowo mógł się spodziewać, ale na drugą był kompletnie nieprzygotowany.

- Pracował dla mojego ojca.
- Co? - Mercer stanął jak wryty i obrócił ją twarzą do siebie.
- Właściwie to pracował kiedyś. Zapytałam o to ojca wczoraj. Powiedział mi, że Burt Manning nie pracuje dla niego od dwóch miesięcy.
- I uwierzyłaś mu?
- Tak. Nie. No, może. Sama nie wiem.
- Aggie, tu chodzi o życie. Konkretnie moje.
- Podczas rozmowy z ojcem okazało się, że wie, o której byłam u ciebie w domu, a mógł się tego dowiedzieć tylko od Manninga, który mógł zadzwonić do niego przed włamaniem. Manning musiał pracować dla niego. - Aggie milczała przez sekundę, dusząc łzy. - Po prostu w to nie wierzę. Mój ojciec to potwór, ale nie kazałby przecież nikogo zabijać, a zwłaszcza ciebie. Przyjaźnicie się. Po rozmowie z nim byłam tak przerażona, że sama nie wiedziałam, co myśleć, więc przyjechałam tutaj dwa dni wcześniej, niż planowałam.
- Aggie, zadbaj o siebie i wyjedź w cholerę z Alaski. Nie jesteś tu bezpieczna.
- Bezpieczniejsza niż w Waszyngtonie. - Znów zaczęły iść.
- Manning nie polował na ciebie. Chodziło mu o mnie i to z powodu, który nie ma nic wspólnego z twoim ojcem. Wróć do domu.
- A co ma mój pobyt na Alasce do czegośkolwiek?
- Więcej niż ci się zdaje, ale nie mam czasu, żeby ci to wyjaśnić. - Mercer zdążył wyłączyć emocjonalną półkulę mózgu, więc kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie nie było śladu gorczy, jakiej się spodziewał. - Ty i twoi przyjaciele z PEAL powinniście się spakować i wyjechać stąd.
- Nikt stąd nie wyjedzie, póki nie zakończymy swojej pracy - powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.
- Jeśli chcecie się poprzykuwać do drzew i urządzić marsze, to dobrze, ale tu zginęło już kilka osób i obawiam się, że to jeszcze nie koniec. Nie rozumiesz? Zaraz wplącesz się w coś znacznie groźniejszego niż bójka w barze. Czy twoje życie jest mniej niż trochę hałasu o środowisko? Posłuchaj, Aggie, twój ojciec nie miał nic wspólnego z napadem na mój dom. Za sznurki pociągał były oficer KGB o nazwisku Iwan Kerikow. Jest teraz na Alasce i zabił już czterech ludzi, w tym trzech moich znajomych.
- Ale tata wiedział, że byłam u ciebie w domu - upierała się Aggie.
- Wrócili na przystań, gdzie grupa działaczy PEAL stała wokół dwóch wielkich motorówek z gumy. Sądząc po śmiechu, aresztowa-

no tylko kilku z nich i żaden poważnie nie ucierpiał w bójce. Mercer podejrzewał, że łagodność policji należy zawdzięczać obecności mediów. Potwierdziło się jego pierwsze wrażenie, że są jak grupka studentów, którzy wyszli się zabawić. Kiedy znaleźli się z Aggie w cieniu wystawy, zatrzymał się na chwilę i obserwował ekologów bardziej krytycznym okiem. Wyglądali na zbyt zrelaksowanych i z tego powodu coś mu nie dawało spokoju.

- No proszę, masz swoich znajomych. Wiem, że nie posłuchasz moich rad, bo jesteś uparta jak osioł, ale chcę, żebyś był ostrożna, dobrze?

- Mercer, ja...

- Po prostu uważaj na siebie. - Odwrócił się i zniknął w ciemności tak szybko, że jego nieobecność ją zdziwiła.

Po chwili dołączyła do swych znajomych, śmiała się z nimi, kiedy opowiadali o wyczynach w barze. A w końcu wsiadła na jedną z motorówek, by po krótkiej podróży dotrzeć na pokład „Nadziei”. Cały czas wpatrywała się w ciemność, licząc, że zobaczy patrzącego na nią Mercera, ale ten zniknął.

Kiedy grupa ekologów wsiadła na gumowe łódzie, obserwował ich ktoś inny skryty głęboko w cieniu. Namiętnie masował sobie krocze, gdy patrzył, jak Aggie wsiada na motorówkę. Kiedy przez chwilę stała w rozkroku między nabrzeżem a łodzią, pod materiałem dzinsów rysowało się jej gibkie ciało.

Ma tyłeczek młodego chłopca, pomyślał Abu Alam. Dotknął guza na głowie, gdzie dostał butelką. Dziś nie mógł się jeszcze zemścić na tym człowieku. Kerikow czekał na raport na temat poczynań PEAL w miasteczku, ale teraz Alam poznał już dokładnie twarz tego mężczyzny. A kiedy już go usunie, nic nie powstrzyma go przed sprawdzeniem, czy ten tyłeczek jest naprawdę taki jędrny, na jaki wygląda.

„Nadzieja”

Drewniane schodki zwisające przy burcie statku PEAL można było opuścić z głównego pokładu do poziomu wody prawie jak średniowieczny most zwodzony. Mężczyźni i kobiety czekali na gumowych motorówkach w nastrojach saksońskich wojowników gotowych do szturm na normański zamek, gotowi do kontynuowania balangi na pokładzie statku. Aggie weszła wraz z nimi, uważając, by nie pośliznąć się na grafitowych paskach pokrytych szadzią. Nie udzielił jej się szampański humor pozostałych towarzyszy.

Ostatnie kilka stopni pokonała w objęciach wielkiego studenta z Norwegii, prawie o dziesięć lat młodszego od niej, który śmiejąc się, postawił ją z galanterią na pokładzie. Włosy miał niemal tak białe jak wyszczerzone w uśmiechu zęby. Próbowała odwzajemnić uśmiech, ale wszystko wokół stało się jakies nierealne, zaczęła się czuć tu nie na miejscu, jakby nie był to już jej świat.

Poczucie wyobcowania towarzyszyło jej gdy weszła do głównego salonu, wdzięczna za ciepłe powietrze bijące z nawiewu. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że ma na sobie skózaną kurtkę Mercera. Podniosła kołnierz i zaczęła wdychać bogaty aromat znoszonej skóry, ślad jego piżmowej wody po goleniu i jedyny w swoim rodzaju zapach samego właściciela kurtki. Zapach był przyjemny, pocieszający. Zdjęła kurtkę i powiesiła ją szybko na krześle, jakby wstydziła się, żeby ktoś nie zauważył, co właśnie poczuła.

Czuła się nieobecna na toczącej się wokół imprezie. Ledwie zauważyła butelkę piwa, którą ktoś przed nią postawił i ożywione rozmowy ekologów. Zastanawiała się, czy wyjechała na tak długo, że teraz będzie potrzebowała trochę czasu, by przywyknąć do ich hałaśliwego sposobu bycia. A może zmieniła się w ciągu tego miesiąca, od kiedy ostatnio była na pokładzie „Nadziei” jako członek tej wielkiej rodziny?

Z pewnością ostatnie wydarzenia w jej życiu nie pozostały bez wpływu na nią - śmierć Burta Manninga, ewentualny udział jej ojca. I Mercer. Bezwiednie wodziła palcem po szorstkiej powierzchni kurtki. Skóra była porwana bliznami i zużyta, zupełnie jak właściciel kurtki.

Czuła się całkowicie bezbronna, kiedy mężczyzna w barze dorwał ją i zaczął obmacywać. Mógłby ją tam zgwałcić i pewnie nikt by tego nie zauważył w tym zamieszaniu. I nagle pojawił się Mercer, niczym bohater z jednego z kiepskich romansów, w jakich zaczytywała się jako dziewczyna. Wciąż nie wiedziała, skąd się tam wziął, ale była mu wdzięczna. Jednak tego nie okazała. Sprzeczne emocje, jakie w niej wzbudzał, były nie do zniesienia. Przyciągał ją magnetyzmem, któremu nie sposób było się oprzeć, ale ilekroć byli razem, udawało mu się ją wkurzyć do białości kilkoma słowami, a czasami nawet jednym spojrzeniem.

Zastanawiała się, czy wściekała się na niego przez własne poczucie zagrożenia, czy nie chciała z tego powodu przypadkiem wznieść między nimi muru. Aggie wiedziała, że nie powinna nawet myśleć o Mercerze w ten sposób. Kochała Jana i miała nadzieję, że pewnego dnia zostanie jego żoną. Nie miała pewności, tylko niejasne poczucie ulegania czemuś, z czym może sobie nie poradzić.

Aggie zapaliła papierosa i mechanicznie wstała, nie zważając na imprezę i piwo, które stało przed nią w przezroczystej plamie wilgoci na blacie stołu. Jana nie było na pokładzie „Nadziei”, kiedy przyjechała do Valdez. Wiedziała, że zamiast imprezować, powinna poczekać na jego powrót. Nie widziała go od miesiąca i powinna tęsknić za spotkaniem. Ale czuła się pusta jak delikatna skorupka, która może pęknąć pod nawet delikatnym dotykiem.

Szła, nieobecna, korytarzem w stronę wielkiej kajuty Jana, przeklinając sama siebie za brak zdecydowania. Zawsze wiedziała, czego chce i zawsze to zdobywała. Ale teraz? Boże, nie znoszę tego, myślała. Zapukała nieśmiało do drzwi kajuty i weszła, nie czekając na zaproszenie.

Jan siedział za biurkiem, w grubym swetrze mimo ciepła panującego w środku. Widać było wyraźnie, że dopiero co wszedł na pokład, inaczej by się przebrał, bo nie lubił gorąca. Na biurku miał porozkładane papiery, nad którymi pochylał się w skupieniu. Długopis trzymał gotowy do pisania. Zanotował coś gorączkowo, a w końcu podniósł głowę i uśmiechnął się, widząc Aggie przy drzwiach. Stała częściowo za nimi, jakby spodziewała się kary. Jan wydawał jej się taki piękny.

- Aggie! O Boże, tak się cieszę, że jesteś. - Wyszedł zza biurka, otworzył szeroko długie ramiona i mocno ją przycisnął. Podniósł jej twarz do siebie i wpił się w jej usta. Kiedy nie zareagowała, lekko się cofnął. - Kochanie, co się stało?

- Och, Janie - Aggie przerwała, sama niepewna, co się stało. - Tak się wystraszyłam. Słyszałeś o bójce w barze?

- Tak, już się dowiedziałem. Heinz i Pierre posiedzą do rana w areszcie za awantury po pijanemu. Ktoś mi mówił, że omal nie padłaś ofiarą molestowania, ale jakiś miejscowy cię wyprowadził tylnym wyjściem. To musiało być okropne.

- Tak - odparła po prostu Aggie. Czuła ulgę, że Jan nie podejrzewał, iż umysł zaprzętało jej coś innego.

- Szkoda, że nie wiedziałem, że przyjedziesz wcześniej. Wyjechałbym po ciebie do Anchorage. Dlaczego nie zadzwoniłaś? - Voerhoven trzymał ją na wyciągnięcie ramion i wpatrywał się intensywnie w niewiarygodnie zielone oczy.

- Sama nie wiedziałam, że przyjadę. To był taki chwilowy kaprys. - Nie wspomniała nic o panice, z powodu której uciekła z Waszyngtonu.

- Nieważne. Cieszę się, że cię widzę. - Jan uśmiechnął się do niej, a lekko chrapliwy głos wyraźnie zdradzał jego zamiary.

- Janie, proszę, nie dzisiaj. Wiem, że nie widzieliśmy się tak długo, ale źle się czuję. Jakoś nieczysto. Ten człowiek... - urwała w pół zdania.

- Och, kochanie, nie to miałem na myśli. To znaczy częściowo właśnie to. Ale posłuchaj, lada chwila będą się tu dziać ważne rzeczy. Coś, czego powinnaś być świadkiem, uczestnikiem.

Nagle przez głowę przebiegło jej ostrzeżenie Mercera.

- Jakie rzeczy, Janie?

- Aggie, niedługo zadamy prawdziwy cios faszystowskiemu korporacjom, których chciwość niszczy naszą planetę.

- Łącznie z korporacją mojego ojca? - Nie chciała, żeby zabrzmiało to jak obrona ojca, ale powiedziała te słowa ostrym i oskarżycielskim tonem.

- Rozmawialiśmy o tym - odparł Voerhoven, unosząc ręce, jakby miał zamiar bronić się przed atakiem. - Myślałem, że rozumiałaś, że on od dawna jest jednym z naszych największych wrogów. Petro-maks to jeden z najbardziej bezwzględnych krwiopijców tego świata. Myślałem, że pogodziłaś się z tym, co robimy. Tyle razy mówiłaś, że chcesz się na nim odegrać. Teraz masz szansę! Za chwilę dokonamy tu czegoś wielkiego, czegoś, co ocali Alaskę i może resztę świata. W ciągu kilku najbliższych dni zmusimy świat, żeby obchodził się bez ropy, Aggie. Masz pojęcie, co to oznacza?

- Nie, Janie, co to oznacza? - odparła ostro. Czar, który do tej pory roztaczał wokół niej, najwyraźniej przestał działać. Po raz pierwszy zobaczyła jego prawdziwą twarz, nie tę, którą chciała zobaczyć. Co ten Mercer ze mną zrobił? - zastanawiała się.

- Zrozumiesz, kiedy skończymy. Zobaczysz. Niedługo ocalimy planetę przed największym zagrożeniem, przed jej apetytem na ropę.

Aggie znów wspomniała słowa Mercera.

- A czym ją zastąpicie?

- Co? - zapytał Jan czule.

- Jeśli odetniecie świat od ropy, to jak zapewnicie energię szkołom, szpitalom, jak dacie pracę milionom ludzi, którzy zarabiają na życie dzięki ropie? - Aggie wyrwała się z jego objęć.

- Aggs, nie zamierzam odcinać świata od ropy. Zamierzam uczynić z niej tak odrażające źródło energii, że nikt nie będzie chciał z niej korzystać.

- Co ty wygadujesz?

Wziął ją znów w ramiona i przycisnął swe nabrzmiałe krocze do jej ciała, rękoma gorączkowo gładząc ją po plecach.

- Później, Aggie. - Całował wgłębienie pod szyją, zręcznie mu skajac językiem jedno z jej najbardziej wrażliwych miejsc.

- Janie, proszę. Mówiłam ci.

Nie zważał na jej prośby.

- Aggie, tak długo się nie widzieliśmy. Boże, pragnę cię.

Poczuła, jak wyprowadza ją z biurowej części kajuty do sypialni. Pozwalała sobie manipulować, pomyślała, bo przecież mogła stawić opór. Nawet jeśli poczuł sztywność jej ciała, nie zważał na to.

Kiedy dotarli do łóżka, ułożył ją delikatnie na puchowej kołdrze.

- Jesteś taka piękna - dyszał czerwony na twarzy z pożądania.

- Janie, proszę, nie - szepnęła Aggie. Dlaczego to się dzieje?

Dlaczego na to pozwala? Bardzo chciała go powstrzymać, ale gdzieś w głębi duszy czuła, że jest mu coś winna. A kiedy o tym pomyślała, zdała sobie sprawę, że to błąd. Nic mu nie jest winna.

Odpiął guzik jej dzinsów i powoli rozsunął zamek błyskawiczny. Nie próbowała mu pomóc ani nie starała się go powstrzymać. Doskonałe znała dotyk jego dłoni, pieszczących jej wąskie biodra, wodzących palcami po piersiach. Czy jest mu coś winna? Są kochankami od blisko roku. Ma do tego prawo.

Rozebrał się i po chwili wszedł w nią boleśnie, bo jej ciało nie reagowało na jego pieszczoty. Chyba nawet tego nie zauważył. Przykrył ją całą, wspierając się na dłoniach, wchodził w nią i wychodził, z głową odchyloną do tyłu i zamkniętymi oczyma. Doszedł i w niej eksplozji wtulił głowę w jej ramię.

Aggie czuła się jak dziwka.

Mercer dotarł do hotelu około północy, umysł pracował mu jasno, a szalejące jeszcze godzinę temu emocje miał już zdecydowanie pod kontrolą. Przemarzył do szpiku kości. Oddawszy kurtkę Aggie, musiał wrócić do hotelu w samej koszuli, a pogoda nie była na taki strój. Zastanawiał się, czy nie wziąć prysznic, ale kiedy sprawdził, która jest godzina, uznał, że najpierw musi zadzwonić, a dopiero potem będzie mógł ulżyć potrzebom ciała.

Wykręcił numer i zdziwił się, że telefon odebrano dopiero po czterech dzwoneczkach.

- Co? - mruknął głos po drugiej stronie.

- Dobry wieczór, Dick. Tu Mercer.

- Jezu Chryste, Mercer, gdzie jesteś, do cholery?! - wybuchnął Henna. - Tabun moich ludzi cię szuka.

- Daj spokój, Dick. Jestem w hotelu Willard, tam gdzie mnie zostawiłeś - odparł niewinnie Mercer.

- Bardzo śmieszne, naprawdę - prychnął Henna. - Dostaniesz rachunek za całą tę wodę, którą Harry wyniósł z hotelu. A teraz mów, gdzie jesteś.

- W Valdez na Alasce.

- Mówiłem, żebyś się nie zbliżał do Alaski. Głuchy jesteś czy co?

- Dick, wyluzuj. Latimerie przybyły na tarło. Zapowiada się fantastyczne wędkowanie.

- Jeśli chcesz wiedzieć, latimerie pływają tylko w Oceanie Indyjskim.

- To pewnie dlatego żadnej jeszcze nie złapałem - roześmiał się Mercer. - A już myślałem, że coś nie tak robię z przynętą.

- No dobra, jesteś na Alasce - powiedział Henna zrezygnowany. - Czego się dowiedziałeś?

- Na razie niczego konkretnego, ale mam pewne podejrzenia - odparł Mercer. - A tak swoją drogą, Dick, gdzie ty jesteś?

- W Białym Domu z prezydentem i panią sekretarz do spraw energii. Masz ochotę z nimi porozmawiać?

- Powiedz Connie, że powinna pozbyć się tych babcynich butów, które pewnie ma na sobie.

Mercer usłyszał niepowtarzalny śmiech Connie Van Buren i wiedział, że Henna włączył tryb głośnomówiący w swojej komórce.

- Jak się bawisz z córką Maksa Johnstona?! - krzyknęła Van Buren. - Widziałam jak wychodziliście razem z przyjęcia.

- Wiesz jak to jest ze mną i kobietami, Connie - zachichotał Mercer. - Nie znosi mnie. Posłuchaj, Dick, potrzebuję pomocy.

- Co ty nie powiesz?

- Znasz organizację PEAL? Tych ekologów? Wydaje mi się, że coś tu knują.

- Mercer, z naszej strony wygląda to trochę inaczej. Sprawdzamy ewentualny udział Kerikowa. PEAL nijak tu nie pasuje.

- Przed chwilą widziałem, jak kilku z nich porozstawiało po kątach bar pełen miejscowych osiłków. Poruszali się jak dobrze wyszkolona armia. Trochę to dziwne jak na bandę miłujących Ziemię kandydatów na druidów, co?

- Jeśli dasz mi dojść do słowa, to powiem ci, czego się dowiedzieliśmy o Iwanie Kerikowie! - krzyknął Henna. - Zdaje się, że współpracuje z jakimiś typami z Bliskiego Wschodu, a nie z radykałami z własnym funduszem inwestycyjnym.

- Mów, co wiecie. - Z głosu Mercera zniknęły ostatnie ślady rozbawienia.

- Namierzyliśmy jego fałszywy paszport w hotelu Holiday Inn Tower w Anchorage. Wynajął trzy różne pokoje. Dla siebie apartament, dwa pozostałe pokoje chyba dla swoich ochroniarzy. Personel hotelu pamiętał, że trzech strażników, Arabów, i człowiek przypominający z opisu Kerikowa, wyjechali z hotelu na dwa dni. Czas zgadza się z terminem zniknięcia Howarda Smalla. Niestety, kiedy dziś rano wpadliśmy do hotelu, minęliśmy się z nimi o kilka godzin. Cała banda zdążyła się już wymeldować.
- Cholera - zaklął gorzko Mercer. - Zaraz, a dzwonił gdzieś?
- Też chyba ślepa uliczka. Owszem, dzwonił ze dwa razy, ale na prywatną ręczną centralkę w Nowym Jorku.
- Na co?
- To coś jak anonimowa skrytka pocztowa, tyle że dla rozmów telefonicznych. Dzwonisz w takie miejsce, a oni łączą cię z inną linią za pomocą starej ręcznej centralki. W ten sposób wszelkie programy do namierzania kończą pracę na centralce, a nie na osobie, do której dzwoniczo. KGB od lat stosuje u nas takie urządzenia.
- Nadal coś mi tu nie pasuje. W ciągu dwóch miesięcy przemycano na Alaskę ponad dwieście ton ciekłego azotu. Żeby coś z tym zrobić, Kerikow będzie potrzebował więcej ludzi niż tylko kilku Arabów i dwóch ochroniarzy.
- I sądzisz, że PEAL jest w to jakoś zamieszana? - Trudno było nie rozpoznać głosu prezydenta, który przysłuchiwał się rozmowie.
- Tak, panie prezydencie, tak uważam. Nie mam żadnego dowodu, ale wzbudzają we mnie cholerne podejrzenia.
- Czego potrzebujesz? - zapytał Henna.
- Żebyście przeszukali ich statek i sprawdzili, czy mają ciekły azot na pokładzie albo czy mają jakieś specjalne zamrażarki, coś, w czym można to przechowywać. Aresztujcie ich wszystkich, jeśli traficie choćby na automat do lodów. Wiem, że maczają jakoś w tym palce.
- Mercer, nie mogę tak sobie przeszukiwać statków pod obcą banderą.
- Daj spokój, Dick, przecież rządysz cholernym FBI. Na pewno coś wymyślicie, żeby wprowadzić swoich ludzi na pokład „Nadziei”. Przebierzcie się za inspektorów sanepidu szukających brazylijskich wszy łonowych albo coś w tym stylu. Wymyślcie cokolwiek.
- Jeśli się mylisz, to ty wypniesz dupę do bicia - zagroził Henna.
- Zdaje mi się, że już to zrobiłem, przyjeżdżając na Alaskę - odciął się Mercer.
- No dobrze, czego jeszcze się dowiedziałeś?

- Niczego. Albo wszystkiego. Wiem, że Burt Manning pracował kiedyś dla Maksa Johnstona. I Johnston widział dokładnie, o której miał miejsce napad na mój dom.

- Co ty wygadujesz? - Prezydent z miejsca wyczuł wiszącą w powietrzu skandal. Dopiero co rozegrał partię golfa z Johnstonem.

- Nie wiem, panie prezydencie, ale niedawno rozmawiałem z jego córką i nieźle ją wystraszył.

- Mercer - wtrącała się Connie Van Buren. - Chyba nie sądzisz, że Johnston ma z tym coś wspólnego? Ma na Alasce do stracenia więcej niż ktokolwiek inny.

- Zgadzam się, Connie. Dlatego nie jestem pewien, czy ma z tym jakiś związek. To tylko informacja, którą zdobyłem i chciałem się z wami podzielić.

- Sprawdzimy „Nadzieję”, ale masz wrócić natychmiast do Waszyngtonu - przerwał mu Henna.

- Wrócę, Dick - odparł Mercer poważnie. - Ale chcę wziąć udział w przeszukaniu „Nadziei”.

- To śledztwo federalne. Jesteś tylko cywilem.

- Daj spokój, mógłbyś docenić tego cywila. Niewykluczone, że podałem ci właściwy trop, podczas gdy kilkuset twoich agentów kręci się po całym stanie i wraca z niczym.

- Doktorze Mercer, dopilnuję, żeby wziął pan udział w przeszukaniu, ale tylko jako obserwator. - Prezydent przemówił chłodnym i neutralnym głosem. - Ale musi mi pan zagwarantować osobiście, że potem wróci pan najbliższym samolotem do Waszyngtonu.

- Proszę mi zaufać - odparł Mercer.

Richard Henna zamknął komórkę, kiedy zrozumiał, że Mercer się rozłączył i oparł się ciężko w fotelu. Siedzieli z Connie Van Buren przed prezydentem w Gabinetce Owalnym. Choć mieli na sobie nieoficjalne stroje, w powietrzu panowała sztywna atmosfera.

Siedzieli tu od blisko dwóch godzin, rozmawiając o wdrażaniu prezydenckiej polityki energetycznej. Henna miał dopilnować, by odbywało się to bez przeszkód. Nikt z waszyngtońskiej wierchuszki nie był na tyle naiwny, by wierzyć, że obejście się bez poważnych sprzeciwów wobec prezydenckiego planu, zarówno w kraju, jak i za granicą. Nie tylko koncerny naftowe i grupy ekologiczne uważały, że to izolacjonistyczne posunięcie im zagrazi.

Duża grupa państw produkujących ropę brała to za kolejny krok Ameryki, by zniszczyć ich styl życia. Trwało właśnie ich spotkanie w Londynie. Wojownicze frakcje w OPEC mogły zacząć straszyć Stany Zjednoczone, bo wciąż miały w ręku potężną broń ekono-

miczną. Trójka ludzi siedzących przy wielkim biurku miała za zadanie dopilnować, by ewentualne konsekwencje nie uderzyły w samą Amerykę.

- Sukinsyn - powiedział ciepło Henna, idąc do szafki pod jedną ze ścian służącej za mały barek. Nalał sobie sporo szkockiej do szklanki i wychylił ją jednym gładkim łykiem.

- Czemu tak go nazywasz? - interesowała się Connie.

- Bo wie więcej niż my. I to znowu. Bóg mi świadkiem, ten facet wywołuje te kryzysy tylko po to, żebym wyszedł na głupka - stwierdził Henna zmęczonym głosem. - Ale nie rozegrał pan tego za dobrze, panie prezydencie.

- A to czemu? - obruszył się prezydent.

- Bo on może naprawdę posłuchać pańskiego polecenia i wróci do domu, a wtedy stracimy najlepszego człowieka na Alasce.

- A co z resztą twoich agentów? Masz ich tam chyba ze dwie czy trzy setki - zapytała Connie.

- Mam dwustu agentów, którzy niczego nie znaleźli. Moi ludzie chodzą za kurierami FedEksu, jeśli tylko doręczają jakieś podejrzane paczki. W takiej jesteśmy desperacji. W ciągu kilku dni Mercer dał nam więcej tropów niż wszyscy moi ludzie razem wzięci. Żaden z moich ludzi nie ma jego naukowych kwalifikacji ani przenikliwości, żeby kojarzyć fakty tak jak on. Mercer wie, co może zrobić ciekły azot i do czego można go użyć, a ja mam stado chętnych do roboty krótko ostrzyżonych facetów o mentalności zapaśników, czekających tylko, by rozwalić jakieś drzwi i dać komuś po łbie. Żaden z nich nie potrafi tak dedukować jak Mercer. To nasz najlepszy człowiek na Alasce i jeśli postanowi wrócić do domu, możemy za to drogo zapłacić.

- Dick, znam Mercera dłużej niż ty - odezwała się Connie Van Buren. - Nie sądzisz, że trochę za wysoko go cenisz?

- Connie, nie miałaś do czynienia z kryzysem na Hawajach - odparł zamyślony prezydent. - Mercer nie jest mnie w stanie już niczym zadziwić. - Odwrócił się do Henny. - Myślisz, że w jego podejrzeniach wobec PEAL i Maksa Johnstona może coś być?

- Co do PEAL, owszem. Ich przywódca to patologiczny sukinsyn. - Henna opadł z powrotem na fotel. - Ale co do Johnstona, nie ma mowy. Facet jest patriotą do szpiku kości.

- Dick - odezwał się prezydent głosem, w którym słychać było powagę sytuacji. - Obaj znamy Philipa Mercera. Uratował mi tyłek podczas wydarzeń na Hawajach. Jeśli on ma podejrzenia, to ja też. Powiesz trochę wokół Johnstona. Ale po cichu.

Valdez, stan Alaska

Świt miał nastąpić dopiero za kilka godzin i niebo było czarne jak atrament. Nawet gwiazdy wydawały się jakieś odległe i chłodne w niemej przestrzeni. W mieście też panowała cisza. Przerzywał ją tylko delikatny chłopot fal i od czasu do czasu podmuch wiatru wyjącego między luźnymi kablami energetycznymi. Dochodziła czwarta nad ranem, czas kiedy ludzie i wszelkie inne istoty nieprzewodzące nocnego trybu życia śpią w najlepsze. Mimo elektrycznego oświetlenia i wyrafinowanej technologii człowiek wciąż bał się tej pory nocy i krył się przed nią tak samo jak jego pierwotni przodkowie wieki temu. Był to czas wiedźm i diabłów. Czas Iwana Kerikowa.

Nocną ciszę zmąciło ciągle bzyczenie zbliżające się do miasta od północy. Bzyczenie przeszło w jęk, a potem w gardłowy warkot dwóch benzynowych sześciocylindrowych silników samolotu Cessna 310. W ciemności rozbłysły jasno światła lądowania. Pilot wstukał kod w swojej krótkofalówce i automatyczne światła pasa na lotnisku w Valdez rozbłysnęły, oświetlając dwukilometrowy asfaltowy tor. Zniżał samolot, pamiętając o bocznym wietrze znad cieśniny.

Dzięki zręcznym manewrom przepustnicą i klapami, samolot dotknął pasa, a potem usiadł pewnie na trójkołowym podwoziu. Pilot miał aż nadto miejsca, żeby wyhamować. Błysk latarki wskazał mu miejsce, gdzie na pustym lotnisku czekała grupka ludzi. Ich oddechy w nocnym powietrzu wyglądały jak obłoki papierosowego dymu.

Pilot wyłączył silniki i na lotnisku znów zapadła cisza. Kilka chwil później z sykiem otworzyły się tylne drzwi przedziału pasażerskiego i na lotnisko zszedł Kerikow, wydobywając swoją sporą sylwetkę z sześciomiejscowego samolotu. Twarz miał ściągniętą i słabo widoczną w mdłym świetle wewnętrznych lampek cessny. Ale jasnoniebieskie oczy nadal spoglądały śmiertelnie groźnie.

- Voerhoven?! - zawołał spokojnie.

Jan Voerhoven odłączył się od swoich ludzi i podszedł do samolotu, oświetlając mokry asfalt latarką. Dotarł na lotnisko tuż przed lądowaniem Kerikowa, zostawił Aggie skuloną i śpiącą na pokładzie „Nadziei”.

- Jesteś gotów. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Tak, wszystko gotowe - odparł Voerhoven. - I mam dobre wieści. Dowiedzieliśmy się, że nasze informacje na temat stacji pomp numer 5 były niewłaściwe. Przepustki na wjazd na Drogę Daltona nie są konieczne, chyba że ktoś chce zapuścić się poza przełęcz Ati-gun. Dalej droga dostępna jest tylko dla pojazdów Alyeski. Miesiąc

temu przewoziliśmy zestawy zamrażające helikopterem na północ od stacji pomp numer 5, sadiłem, że znów będą nam potrzebne przepustki. Myliłem się. Resztę ciekłego azotu możemy przewieźć ciężarówkami, które już czekają na nas w Fairbanks.

- Jak daleko jest do stacji pomp?

- Nieco ponad trzysta kilometrów od miejsca, gdzie przechowujemy azot. Jednak większa część drogi jest nieutwardzona. Musimy zarezerwować sobie co najmniej cztery godziny na dojazd.

Kerikow podciągnął rękaw, by spojrzeć na zegarek. Zrobił to oszczędnym, niemal wojskowym gestem.

- Czyli będziemy przy stacji pomp około dwudziestej pierwszej. Ruchu na drodze praktycznie nie będzie, a patrole robotników z Alyeski nie powinny nam przeszkadzać. Doskonale, Janie. Świetnie to obmyśliłeś.

- Jeszcze coś - powiedział Jan twardszym głosem. - Chcę wiedzieć, na co mogą być narażeni moi ludzie.

- Jak to narażeni?

- Pozostałe zestawy do zamrażania przyczepialiśmy do rurociągu w odległych miejscach, bez ryzyka, że ktoś nas nakryje. Tym razem zbliżymy się do stacji pomp pełnej robotników.

- Tylko mi nie mów, że ogarnęły się wątpliwości - drwił z niego Kerikow, a leniwy uśmiech działał na Jana równie silnie, jak zniewaga.

- Nie, ale chcę wiedzieć, czy moim ludziom grozi jakieś niebezpieczeństwo.

- Nasza dywersja w Fairbanks jest już przygotowana. W najlepszym wypadku będziemy mieli do czynienia z połową załogi stacji pomp numer 5. - Śmiech Kerikowa zabrzmiał nienaturalnie głośno na pustym lotnisku. - Poza tym pracownicy Alyeski nie noszą broni. To będzie równie proste, jak zabicie nieuzbrojonego kierowcy ciężarówki, Janie. Jeśli twoi ludzie tak rwą się do zamrożenia rurociągu, jak mówisz, to jestem pewien, że nie mogą się też doczekać jakiejś akcji. Ale jeśli chcesz, mogą zostać w ciężarówkach, moi ludzie poradzą sobie z wszelkim oporem.

Voerhoven otworzył usta, by zaprotestować. Ale przypomniał sobie upokorzenie sprzed dwóch dni, kiedy Kerikow go pobił i zamilkł. Kerikow dostrzegł reakcję Jana i skinął głową, doskonale zdając sobie sprawę, że ma Holendra w garści.

- Wsiadaj do samolotu. Startujemy za chwilę.

Kerikow odszedł kawałek od cessny, głębiej w noc. Z kieszeni kurtki wyjął cienki telefon komórkowy i wybrał jeden z wielu zapisanych w nim numerów. Musiał zadzwonić dwa razy, bo raz zgłosiła

się automatyczna sekretarka, nim człowiek, do którego dzwonił zdażył podnieść słuchawkę.

- Halo - mruknął zaspany głos w słuchawce.
- Mossey, tu Kerikow. Już czas.
- Chryste - jęknął Ted Mossey. - Jest czwarta nad ranem.
- Wiem - Kerikow przyznał rację młodemu geniuszowi komputerowemu. - Voerhoven i ja zaraz ruszamy na północ, żeby zainstalować ostatnią partię. Musisz dostać się na teren terminalu. Do zainicjowania pierwotnego wirusa unieruchamiającego komputery pozostały jakieś dwadzieścia cztery godziny. Musisz natychmiast zacząć go instalować.

Mossey otrzeźwiał nieco bardziej, słysząc te słowa. Jego słaby głos nabralł mocy, kiedy dowiedział się, co się dzieje. Kiedy się odezwał, między słowami słychać było zapierające dech w piersiach oczekiwanie:

- Tak szybko? O mój Boże, to fantastycznie! Za dwie godziny unieruchomię im system. Natychmiast mnie wezwą. O kurcze, ale numer!

- Uspokój się - warknął Kerikow. - Gdy zamrozisz im komputery i wezwą cię do terminalu, wtedy przygotowanie i uruchomienie naszego starego programu zajmie ci jakieś dziesięć godzin, z tego co mówiłeś. Zgadza się?

- Tak, dziesięć, może dwanaście. Przeglądając dokumentację waszego programu, widziałem, że wasz człowiek zakopał go głęboko w systemie głównego serwera. Nie tak łatwo się do niego dostać.

Kerikow przerwał mu szybko, by nie rozpoczął kolejnego nieznośnego wykładu na temat komputerów i tego, co potrafią:

- A kiedy już do niego dotrzesz, będę mógł uruchomić program zdalnie, tak?

- Wystarczy jeden telefon, nawet z komórki, którą masz przy sobie. O kurcze, ale będzie zabawa. Największy włam w historii. I jeszcze dostanę za to kasę. Nikt w to nigdy nie uwierzy.

Po tych ostatnich słowach Kerikow nabral pewności, że komputerowy geniusz musi umrzeć. Voerhoven i jego ludzie ochoczo podejmowali ryzyko, bo wierzyli, że mają rację, że sprawa, o którą walczą, jest najważniejsza, ale Mossey był inny. Kerikow wiedział, że do pomocy przy „Przystani Charona” skłoniły go nie tylko ekologiczne przekonania. Swoją rolę odegrało też ego i chęć dokonania czegoś niemożliwego. Działacze PEAL nigdy nie rozpowiadali o swoim udziale w akcji, bo to wyrządziłoby szkody ich organizacji. Zwłaszcza kiedy Kerikow zrealizuje już obydwie części swego planu. Ale Mossey po jakimś czasie nie wytrzyma i zacznie się przed

kimś chwalić, pewnie przed jakimś innym komputerowym maniakiem, i wkrótce dowie się o tym cały świat. Jedna kulka sprawi, że zamilknie na wieki.

- Uspokój się - zganił Kerikow młodzieńca. - Jeszcze nie dolecieliśmy na miejsce. Pamiętaj, nikt z terminalu nie może podejrzewać, że dzieje się cokolwiek złego.

- Nie martw się. Wszystko pójdzie jak po maśle. Dla nich jestem po prostu jednym z wielu komputerowców. Dobry stary Ted. Ale kiedy zadzwonisz, żeby odpalić ten program, ja będę już w połowie drogi do Japonii i znacznie lepszego życia. Masz pojęcie, ile tam płacą dobrym programistom?

Kerikow się zawahał. Mógł opóźnić wyjazd Mosseya z Valdez, by Abu Alam miał dość czasu, by go zabić, może w czasie, gdy Mossey będzie jechał na lotnisko w Anchorage. Na tym polegało piękno Valdez - przechodziła przez to miasteczko tylko jedna droga, droga niebezpieczna, na której zaledwie kilka dni temu zdarzył się groźny wypadek. Dzięki samowolce Voerhovena śmierć Mosseya nie będzie budziła podejrzeń.

- Ted, kiedy zainicjujesz nasz program, wróc do siebie i czekaj na telefon ode mnie - polecił mu naprędce.

- Po co, do cholery?

- Bo tak ci każe - ryknął Kerikow. Natychmiast ściszył głos, kiedy zobaczył, że Jan się ogląda. Voerhoven nie miał pojęcia o istnieniu hakera Mosseya ani o skutkach, które miał przynieść uruchamiany przez niego wirus komputerowy. - Będę pamiętał, żebyś miał dość czasu na ucieczkę z Alaski, nim uruchomię wirusa.

- Zaraz, nie taka była przecież umowa - jęczał Ted Mossey.

- Ale teraz jest taka i już. - Kerikow wyłączył telefon i sięgnął do wewnętrznej kieszeni po papierosa. Płomień zapalniczki, którą podpalił marlboro, oślepił go na chwilę.

Zadzwonił w jeszcze jedno miejsce, tym razem numer wyszukał nie w pamięci komórki, ale we własnej. Mimo wczesnej pory Abu Alam odpowiedział po pierwszym dzwonku. Sądząc po głosie, już nie spał, o ile w ogóle spał.

- Nie udało mi się dzisiaj jej dopaść - powiedział na powitanie, bo wiedział, że tylko Kerikow zna numer jego komórki.

- Co się stało?

- Ktoś z nią był. Mieliśmy szansę i prawie już ją miałem, ale jakiś drań walnął mnie w głowę i odwiózł ją na statek PEAL. Żeby ją dorwać, musielibyśmy najpierw zająć się nim, a mówiłeś, że mamy ją porwać bez nadmiernego zamieszania.

- Jezu Chryste! Wystarczył jeden człowiek i się wystraszyliście? - powiedział zde gustowany. - Jeden człowiek to nie przeszkoda. Trzeba było go pobić i ją zabrać. Słuchaj mnie uważnie. Masz ją porwać nie później niż jutro wieczorem. Potem masz z nią czekać na platformie. Pilnuj jej dobrze, Alam, ale nie waż się jej dotykać. Zrozumiano?

- Po co jej pilnować? Aggie Johnston nie ma dokąd pójść.

- Żadnych nazwisk, do cholery! Musisz pojechać na „Omegę” i poczynić ostatnie przygotowania. Kiedy odpalę zbiorniki z azotem, będziesz musiał też załatwić naszego eksperta komputerowego.

- Co się dzieje, Kerikow? Zapewniałeś ministra Ruftiego, że nad wszystkim panujesz, że ufasz swoim ludziom i nie potrzebujesz żadnej pomocy. A już drugi raz prosisz mnie i moich ludzi, żebyśmy ratowali ci tyłek. Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? Myślę, że czas poinformować ministra, że nie wszystko idzie zgodnie z planem.

- Wszystko idzie zgodnie z planem. Tyle że nie znasz całego planu - odparł rozniewany Kerikow. - Dorwij tę kobietę, zawieź ją na „Omegę” i czekaj na moje polecenia. Wiedziałeś przecież, że kiedy Rufti wszedł w tę operację, będziesz nie tylko biernym obserwatorem.

- Rufti o wszystkim się dowie - groził Abu Alam. - Możesz być tego pewien. Nie jesteś tym, za kogo się uważasz.

- Ależ jestem, jestem. - Kerikow złożył telefon i wsunął go z powrotem do kieszeni.

Mimo całego życia spędzonego na grze wywiadowczej Kerikow nie mógł się wciąż nadziwić, jak szybko współpracownik potrafił zmienić się w zagrożenie. Sojusznik i wróg to nie antonimy, to jedno i to samo. Różniły ich tylko czas i okoliczności. Odnosiło się to zarówno do stosunków między supermocarstwami, jak i ludzi. A w branży szpiegowskiej ta prawda dawała o sobie znać najdobitniej.

Rzucił niedopałek na płytę lotniska i rozdeptał go na drobne kawałki, a potem wrócił do samolotu. Kiedy pilot go zobaczył, odpalił silniki, a ostre jak brzytwa śmigła zaczęły rozcinać chłodne powietrze tak szybko, że wkrótce zniknęły, tworząc rozmyte srebrzyste dyski.

Valdez, stan Alaska

Walenie do drzwi brzmiało niczym ostra seria z karabinu maszynowego, donośnie i przesywająco. Mercer zakrył na chwilę uszy, a po chwili stoczył się z łóżka. Nie pamiętał, gdzie jest. Spadając na podłogę, ściągnął ze sobą kołdrę i tak grzmotnął o szafkę przy łóżku, że omal nie doznał wstrząśnienia mózgu. Szybko zerwał się na równe

nogi i jęcząc, masował guz. Obolała głowa przypomniła mu, że jest na Alasce - i że poprzedniej nocy wypił więcej, niż mu się zdawało. Wciągnął spodnie i otworzył drzwi. W korytarzu przed jego pokojem stało trzech mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie ciemnogrnatowe nylonowe kurtki. Mercer wiedział, że na plecach wielkimi żółtymi literami mają wypisane „FBI”. Nadszedł czas, by przeszukać „Nadzieję”.

- Doktorze Mercer, nazywam się Dave Fielding - odezwał się agent stojący pośrodku. - Dostałem polecenie, żeby zabrać pana, zanim popłyniemy na statek PEAL.

Fielding składał się z góry mięśni, ścięgien i testosteronu. Miał mocne czoło i orzechowe oczy. Jego podbródek był tak ostry, że omal nie rozcinał powietrza.

- Dajcie mi minutę - powiedział Mercer i odwrócił się, zostawiając Fieldinga i dwóch pozostałych agentów przy drzwiach.

Mercer chwycił z torby grubą koszulę i zapinał ją, idąc do łazienki. Sikając, wziął do ust trochę pasty do zębów z tubki, którą położył na szafce. Obracając ją w ustach, zapiął rozporek, umył zęby, a potem wyplukał usta odrobiną wody. W lustrze zobaczył, że jego oczy prezentują się w odcieniach czerwieni i szarości.

Fielding i jego ludzie czekali, aż Mercer włoży skarpetki i zawiąże ciężkie buty. Wyszli z pokoju zaledwie dwie minuty po tym, jak agenci zapukali. Dochodziła szósta rano.

Do zatoki od hotelu były zaledwie dwie przecznice. Kiedy szli nad morze, Mercer dałby się pokroić za kubek kawy, ale sądząc po napięciu, z jakim maszerował, Fielding gotów był do nalotu na statek. W porannym powietrzu wisiała zapowiedź nieuchronnych kłopotów. Kabura z pistoletem wypychała nieco materiał kurtki Fieldinga.

W porcie cicho terkotał już na jałowym biegu dwunastometrowy kuter Straży Wybrzeża. Jego błyszczący biały kadłub i nadbudówkę przecinał charakterystyczny pomarańczowy pas - symbol tej służby. W kopolce na pokładzie dziobowym miał dwa działka maszynowe kaliber 50, a w kokpicie na rufie czekało pół tuzina uzbrojonych marynarzy, ściskających karabinki M-16, z palcami w pobliżu spustu. W porcie poza tym nie było żywej duszy. Duże trawlerzy rybackie stały cicho na kotwicach. Kutry i łodzie wycieczkowe też wyglądały na zapomniane i porzucone. Mercer nie miał wątpliwości, że rybakom wybierającym się na połów kazano wziąć sobie dzisiaj wolne, a rachunek za straty wystawić FBI.

Miał nadzieję, że się nie myli co do PEAL.

Fielding wprowadził Mercera na pokład kutra Straży Wybrzeża i usadził go na ławce przy burcie. Agenci FBI i strażnicy działali bez

zbędnych ruchów. Byli na nogach od kilku godzin, planując poranny nalot. Dla federalnych miała to być nagroda pocieszenia za miesiące śledztwa, które utknęło w martwym punkcie. Siedzieli na Alasce zbyt długo, czekając, aż coś się stanie. I w końcu się doczekali. Tylko Mercer wiedział, że ten nalot miał być przede wszystkim ostrzeżeniem.

Był pewien, że nie znajdą niczego na pokładzie „Nadziei”. Nawet jeśli miał rację, podejrzewając PEAL o związki z Iwanem Kerikowem, to nie są takimi głupcami, żeby trzymać na wierzchu dowody tej współpracy. Mercer chciał, żeby poranna kontrola stała się dla nich utrapieniem, żeby Kerikow dowiedział się, że jest ścigany. Mercer sądził, że Dick Henna właściwie odczytał wczoraj jego intencje w czasie rozmowy telefonicznej, inaczej przecież by go tu nie było. Ale najwyraźniej Henna nie wyjaśnił wszystkiego swoim ludziom. Można było odnieść wrażenie, że są gotowi do prawdziwej bitwy morskiej. M-16 pachniały świeżym smarem.

Jeden z marynarzy w kevlarowej kamizelce i bojowym kasku odrzucił cumę dziobową, a w tym samym czasie to samo zrobił inny marynarz na rufie. Nagle zaczęli wychodzić z portu. Sternik dodał nieco gazu i kuter energicznie odbił od nabrzeża. Kiedy zaczął wypływać na cichą zatokę, agent Fielding usiadł obok Mercera, ustawiając karabinek między kolanami.

Góry otaczające zatokę pokryte gęstwiną sosen i dębów wyglądały jak śpiące zwierzęta. Każdy szczyt jeżył się drzewami niczym szczotka do włosów. Po pokładzie kutra patrolowego hulał ostry i czysty wiatr. Od tego wiatru Mercerowi zaczęły łzawić oczy, częściowo ożył mu też mózg.

„Nadzieję” mieli wprost przed sobą, jej cytrynowożółty kadłub obmywały delikatne fale. Nad głównym pokładem zwisały puste ramiona dźwigów na burcie niczym ramiona szkieletu gotowe do wzięcia kogoś w objęcia. Tylko z nielicznych bulajów dochodziło światło. Pozostałe były ciemnymi kropkami na kadłubie. Na statku panowała cisza. Nikt nie wychodził tak rano na pokład. Jedynie ze ściętego komina unosiła się strużka dymu. Nad rufą krążyło kilka morskich ptaków - maskonurów lub rybitw. Szukały resztek jedzenia, które kuk wyrzucił w nocy za burtę.

- To dość niecodzienna sytuacja! - odezwał się Fielding, prze krzykując ryk silników. - O ile się orientuję, to pan dał nam cynk, tak?

Mercer przytaknął. Nadal był zbyt zaspany, żeby coś powiedzieć. Podniecenie agentów wcale mu się nie udzielało.

- Niech pan czeka na kutrze, dopóki nie zabezpieczymy „Nadziei”. Nie spodziewamy się żadnych kłopotów, ale bezpieczniej

będzie, jak pan będzie się trzymał z daleka. Ma pan być właściwie obserwatorem, prawda?

- Panie Fielding, to nie jest inwazja - odezwał się w końcu Mercer. - Ten nalot zarządzono nie w oparciu o dowody, ale raczej przecucie. Proponuję, żebyście się wszyscy trochę wyluzowali. Ci ekolodzy nie będą stawiać oporu, najwyżej sobie ponarzekać pod nosem.

- Strzeżonego Pan Bóg strzeże. - Fielding rozsunął zamek kurtki i odpiął pasek zabezpieczający w kaburze. W każdej chwili mógł błyskawicznie wyciągnąć wielkiego colta .45.

- Mogę coś zasugerować? - Mercer wskazał ręką na port, od którego dzieliło ich już ze dwieście metrów. - W tym miasteczku mieszka trzy tysiące osób, większość to ranne ptaszki. Jeśli nie chce pan cyrku na oczach wszystkich, to lepiej byłoby wejść na „Nadzieję” od sterburty, z dala od wzroku ciekawskich. Wczorajszej nocy zauważyłem, że PEAL ma dwie gumowe motorówki. Nie widziałem ich dziś w porcie, nie ma ich też przy tej burcie. Podejrzewam, że stoją zacumowane po drugiej stronie.

Agent Fielding rzucił Mercerowi gniewne spojrzenie. Po minie widać było, że o tym nie pomyślał i chciał chyba dokonać abordażu na statek PEAL za pomocą lin i harpunów. Pokręcił głową i odwrócił wzrok, a następnie poszedł na dziób, żeby polecieć sternikowi, by opłynął „Nadzieję” i podszedł od sterburty.

Kuter patrolowy zatoczył szeroki łuk, kilwater z tyłu rozszerzał się w spienioną białą smugę. Kadłub pochylał się przy tym tak mocno, że szczyt burty znalazł się zaledwie kilka centymetrów nad wodą. Okrążywszy ściętą rufę „Nadziei”, agenci zobaczyli schodki opuszczone do poziomu wody. Gumowe motorówki przycumowano do ich dolnego stopnia. Na głównym pokładzie u szczytu schodków jakiś mężczyzna obserwował kuter Straży Wybrzeża przez lornetkę. W drugim ręku miał strzelbę.

Widząc broń, Fielding i pozostali agenci zareagowali natychmiast. Ci, którzy jeszcze nie trzymali ręki na spluwie, natychmiast to zrobili - podnieśli z pokładu strzelby i wyjęli pistolety z kabur. Zrobili to tak szybko, że Mercer nie posiadał się ze zdumienia. Ktoś rzucił Fieldingowi megafon - agent złapał go wolną ręką i płynnym ruchem podniósł do ust.

- Tu FBI. Odłóż broń i połóż ręce na głowie. Nie ruszaj się z miejsca albo otworzymy ogień. - Wzmocniony przez megafon głos poniósł się po wodzie w ciszy, jaka nastąpiła po przerzuceniu silników kutra na jałowy bieg.

Kiedy kuter siłą bezwładności zbliżał się do „Nadziei”, agenci trzymali człowieka z pokładu na muszce z precyzją działek lotniczych. Ekolog na statku nie odłożył broni, za to puścił lornetkę, która zaczęła mu dyndać na skórzanym pasku na szyi.

- Odłóż broń. już! - krzyknął Fielding.

- Nie możecie wejść na pokład - krzyknął mężczyzna głosem cichutkim w porównaniu do wzmocnionych elektrycznie okrzyków Fieldinga. Mówił z akcentem francuskim, a może holenderskim. - Jesteśmy zarejestrowani w Holandii. Nie macie prawa. Pływamy pod banderą przyjaznego kraju.

- Palancie, jesteś na wodach terytorialnych Stanów Zjednoczonych! - krzyknął wkurzony Fielding. - Jeśli zechcę, to mam prawo nawet zatopić tę waszą pieprzoną łajbę.

Jego słowa podkreślił mechaniczny trzask dwóch piętnastek osadzanych w siodle na pokładzie. Pasy z amunicją szczękały niczym łańcuchy.

Na pokładzie pojawiły się kolejne postaci, większość w pełni ubrana, co kazało Mercerowi przypuszczać, że obserwowali kuter Straży Wybrzeża, od kiedy tylko wypłynął z portu. Na szczęście nikt z pozostałych nie miał chyba przy sobie broni. Kuter zbliżał się do schodków wejściowych. Załoga „Nadziei” wychylała się za burtę, obserwując smukłą jednostkę Straży Wybrzeża i agentów na jej pokładzie.

- Francois, natychmiast odłóż broń - odezwał się damski głos. Mercer rozpoznał go w mgnieniu oka. To połączenie naturalnego autorytetu i gardłowej zmysłowości było niepowtarzalne.

- Aggie, nie możemy im pozwolić, żeby weszli - zaprotestował mężczyzna, do którego zwróciła się Francois. - Pamiętasz, co Francuzi zrobili z „Rainbow Warrior”?

- Natychmiast.

Francois rozmawiał z Aggie Johnston, tymczasem Fielding i jego ludzie pokonali niespełna metr dzielący dwa statki i po chwili dudnili butami po drewnianych schodkach. W ciągu kilku sekund cała ósemka rządowych agentów znalazła się na pokładzie „Nadziei”, każąc położyć się wszystkim płasko na pokładzie z dłońmi splecionymi za głową. Męskie okrzyki mieszały się z krzykami kobiet, kiedy agenci FBI rzucali działaczy PEAL na pokład. Mercer usłyszał krzyk Aggie i natychmiast rzucił się do działania, nie zważając na zalecenia Fieldinga. W mgnieniu oka znalazł się na pokładzie „Nadziei” i zaczął szukać Aggie pośród leżących postaci.

Jeden z agentów wyjął mały automatyczny pistolet zza paska spodni jednego z mężczyzn, a drugi agent wycelował M-16 prosto

w głowę tego ekologa. Wzdłuż pokładu znajdował się rząd okien mesy. Pojawiły się tam twarze kolejnych ludzi, które natychmiast zniknęły, kiedy zorientowali się, że ktoś robi nalot na statek. Z wnętrza zaczęły dobiegać odgłosy strachu i przerażenia.

- Jasna cholera, Fielding, niepotrzebnie wszystko komplikujesz! - krzyknął Mercer.

Fielding odwrócił się do niego i obrzucił go wzrokiem pełnym bitewnego zapału.

- Mówiłem ci, żebyś czekał z tyłu. Spieprzaj stąd.

- Ani mi się śni! - odkrzyknął Mercer, biegnąc do miejsca, gdzie na pokładzie leżała Aggie. Uklęknął przy niej i położył jej delikatnie rękę na plecach. Podniosła głowę i obróciła ją, by zobaczyć, kto za nią stoi.

Kiedy ujrzała Mercera, jej oczy zapłonęły zielonym gniewem.

- Ty sukinsynu.

- Przyszedłem tylko po swoją kurtkę. - Mercer uśmiechnął się i pomógł jej wstać. Aggie otarła dłonie i odsunęła się, jakby kontakt z Mercerem ją zbrukał.

Jeden z agentów został, żeby pilnować mniej więcej dziesięciu ekologów, zaś reszta weszła do nadbudówki przez drzwi niedaleko schodków.

- Słuchaj, Aggie, wszystko będzie o wiele łatwiejsze, jeśli poprosisz Voerhovena do interkomu, żeby kazał swoim ludziom współpracować. - W tej chwili oboje usłyszeli ze środka wysoki krzyk, po którym nastąpiła głucha cisza.

Nagle rozległ się strzał i więźniowie się skulili. Kilku wstało na kolana.

- Leżeć, kurwa! - krzyknął agent pilnujący ekologów na pokładzie, omiatając lufą strzelby swoich więźniów.

- Aggie, zrób to, na litość boską.

- Nie ma go tu - odparła beznamiętnie. Dopiero teraz zaczęła do niej docierać powaga sytuacji.

- Chodź - powiedział Mercer i chwycił ją za rękę.

Wszedł z nią do nadbudówki, niemal ciągnął ją za sobą przez puste korytarze, zgadując drogę na mostek. Trafił na niego, pokonując dwa poziomy wąskie schodki i wodoszczelne drzwi. Dwaj uzbrojeni aktywiści PEAL mierzyli z pistoletów w jego głowę. Pięści mieli mocno zaciśnięte na kolbach wielkich automatów. Mercer był bez żadnej broni, więc nie miał wyboru. Puścił Aggie i podniósł ręce do góry. Zatoka za szybą była gładka jak staw.

- Nie - powiedziała Aggie Johnston do swoich dwóch towarzyszy. - Wszystko w porządku. On jest ze mną.

Opuścili broń, ale patrzyli na Mercera z mieszaniną nieufności i gniewu. Aggie podeszła do centralki komunikacyjnej i podniosła mikrofon ze stalowego uchwytu.

- Uwaga. - Jej głos poniósł się po całym statku. - Mówi Aggie. Proszę wszystkich o współpracę. Nie walczcie. Oni tego właśnie chcą. Uwierzcie mi, zapłacą za to drożej niż my. Róbcie na razie to, co każą, a potem chwycimy ich za jaja. - Odłożyła mikrofon i odwróciła się do Mercera. - Nawet nie masz pojęcia, co narobiłeś. Boże, sami byśmy tego lepiej nie potrafili zainscenizować.

- Przykro mi, że odebrałem wam tę radość. Podobno inscenizacja wydarzeń to normalna praktyka w PEAL - zadrwił z niej, po czym odezwał się śmiertelnie poważnym głosem: - Gdzie jest Jan Voerhoven?

- Mówiłam ci, że go tu nie ma.

Mercer dostrzegł cień w jej oczach i uświadomił sobie, że są z Voerhovenem kochankami. To odkrycie nim wstrząsnęło. Nagle poczuł się zazdrosny o Voerhovena i bardzo go to zezłościło. Nie powinien nic czuć wobec niej, ale czuł i go to bolało. Miał ogromne poczucie straty, choć Aggie nigdy nie była jego.

- Aggie, nawet wasz fundusz nie będzie w stanie wypłacić kaucji za coś takiego. Mów, gdzie on jest.

- Nie wiem. Wyjechał w środku nocy.

- Rozstaliśmy się około północy, a on wyjechał ze dwie godziny temu. Długo się sobą nacieszyliście.

- I tak było lepiej niż z tobą - odszczeknęła się Aggie.

Stojąc przed nim w za dużej koszulce i starych spodniach od dresu, z potarganymi włosami i twarzą zarumienioną od snu i wydarzeń z ostatnich kilku minut, i tak była najpiękniejszą kobietą, jaką Mercer kiedykolwiek widział. Dlaczego tak się dzieje, pytał sam siebie, czując rosnący kamień w żołądku. Dlaczego muszą traktować się jak wrogowie w sprawie, która przerastała ich oboje?

Wściekły przestał zadawać sobie te pytania i znów schował emocje pod ochronny pancerz, który w obecności Aggie wydawał się znacznie cieńszy niż przy innych znanych mu kobietach. Nie chciał nawet myśleć, co będzie, jeśli kiedyś ów pancerz pęknie.

Fielding i jeden z agentów wpadli na mostek w chwili, kiedy Aggie i Mercer obrzucali się wściekłymi spojrzeniami. Powietrze między nimi aż iskrzyło. Agent towarzyszący Fieldingowi miał M-16 przy ramieniu i obserwował całą scenę przez muszkę. Dwaj ekolodzy z PEAL odłożyli broń na konsolę nawigacyjną i unieśli ręce.

Mercer nie zważał na ruch na mostku. Odezwał się tak cicho, że prawie nienaturalnie.

- Dokąd pojechał, Aggie?
- Mówiłam ci, że nie wiem. - Przeczesała dłonią włosy, doprowadzając je do jakiegoś porządku. Ale w jej oczach znów pojawił się cień. Gdzieś w głębi duszy cierpiała.

- Posłuchaj mnie uważnie, Voerhoven nie wie, z kim ma do czynienia. Kerikow zniszczy jego i resztę PEAL, gdy tylko skończy to, co ma tu do zrobienia. Twój chłopak siedzi w tym zbyt głęboko, żeby to zrozumieć. Pomóż mi, Aggie. Pomóż jemu. Jeśli będzie trzeba, mogę kazać aresztować wszystkich ludzi na tym statku. Ci, którzy nie mają amerykańskich paszportów, zostaną deportowani, a obywatele USA zostaną oskarżeni o to, co postanowię. Mówiłam ci już, że masz do czynienia z czymś znacznie groźniejszym, niż ci się wydaje. Zeszłej nocy dostałaś pierwsze ostrzeżenie i nie zamierzam udzielać ci kolejnego.

Dave Fielding opuścił broń i kręcił głową, patrząc to na Aggie, to na Mercera. Jeszcze nim Aggie zdała sobie z tego sprawę, spostrzegł, że dziewczyna się podda.

- Nic mi nie powiedział, rozumiesz? - odezwała się zagniewana. - Poszliśmy do łóżka, a kiedy rano obudziłeś mnie wraz ze swoimi kumplami faszystami, już go nie było. Nie mam pojęcia, dokąd pojechał. Podczas rozmowy zachowywał się dziwnie. Powiedział, że wkrótce coś się wydarzy, ale nie powiedział co takiego. - Ściszyła głos do złowieszczego syku. - Nienawidzę cię.

- Chciałbym móc powiedzieć to samo, Aggie, ale nie potrafię.

Mercer wyszedł z kabiny, mijając agenta towarzyszącego Fieldingowi, jakby go zupełnie nie widział. Fielding wyszedł zaraz za nim. Dogonił Mercera na pokładzie pod mostkiem. Chwytał go za łokieć i obrócił, przygważdżając do ściany. Mercer nie protestował. Fielding poczerwieniał na twarzy, a mięśnie żuchwy drgały mu, kiedy próbował opanować buzujący gniew.

- Co to, kurwa, miało być? - Kiedy mówił, w kącikach ust pojawiły się kropelki śliny.

- Wykonałeś zadanie. Tym, którzy mieli pistolety, postaw zarzuty posiadania broni palnej i zejźdź mi z oczu - odparł twardo Mercer. Próbował się wywinąć, ale Fielding go nie puszczał i przyciskał wielkimi łapskami jego barki do ściany.

Mercer podniósł kolano i wbił je Fieldingowi między uda. Agent FBI zgiął się wpół, ledwo oddychając. Ból promieniujący z krocza powalił go na pokład, a w płucach zaczęło mu brakować powietrza. Mercer stał spokojnie i patrzył, jak Fielding próbuje złagodzić ból, masując krocze.

- Ta misja miała być ostrzeżeniem - powiedział beznamyślnie Mercer, spoglądając na agenta FBI. - Ale osoby, której szukam, nie ma tutaj. Mogę tylko mieć nadzieję, że otworzyłem oczy komuś jeszcze ważniejszemu.

Mercer spojrział w stronę mostka i uśmiechnął się smutno. Odwrócił się i zszedł na główny pokład, mając ochotę zejść jak najszybciej ze statku ekologów.

Czas pokaże, czy bardziej pomógł, czy zaszkodził sprawie.

Krzyki i skrzek mew nad pokładem „Nadziei” zabrzmiały jak śmiech.

Supertankowiec „Krzyż Południa”

Fale się uspokoiły. Potężny statek przestał się kołysać i bujać, płynął gładko jak łódź po górskim jeziorze. Główny silnik, choć uszkodzony, wciąż był w stanie przesuwać jego potężne cielsko po wodzie w przyzwoitym tempie dziesięciu węzłów. Grube kliny ciemnozielonej wody odrywały się od dziobu i uderzały o burty w niekończącym się rytmie. Wiatr uderzał od rufy z tą samą prędkością dziesięciu węzłów, więc na pokładzie panował prawie spokój.

Pod pokładem w mesie czuć było zapach niemytych ciał ściśniętych zbyt długo w jednym miejscu, dym z papierosów i uderzający do głowy smród przepelnionych koszy na śmieci przy komórcie kuchennej. Ponieważ drzwi do pobliskiej toalety były ciągle otwarte, a zdenerwowani marynarze kiepsko celowali, smród z łazienki docierał z pełną siłą do wielkiej mesy. W sumie to spektrum zapachów przyprawiało o mdłości.

Członkowie załogi więzieni już od czterech dni siedzieli w ciszy, otepieni głębokim przygnębieniem i wszechobecnymi pistoletami maszynowymi terrorystów. Pod niegolonymi brodami widać było popielate twarze oraz puste oczy bez życia. Kiedy mechanicznie pili kawę ze stale dopełnianych kubków, robili to powolnymi, rozmyślnymi gestami. Wpadli w taką depresję, że rzadko spoglądali sobie nawzajem w oczy.

Kiedy zaczęło się zamieszanie, widać było gorączkowe spojrzenia i subtelne gesty pocieszenia. Wśród zebranych tliła się jakaś nadzieja ucieczki albo ratunku. Ale z upływem czasu, dzień za dniem, gdy terroryści byli coraz uważniejsi, zamiast coraz bardziej ospali, nadzieja szybko zaczęła gasnąć. Teraz siedzieli potulnie z opuszczonymi głowami. Z ust zwisały papierosy, nawet u tych, którzy wcześniej nie

palili. Zamiast doświadczyć słynnego syndromu sztokholmskiego, kiedy to pojmani zaczynają wchodzić w komitywę z porywaczami, oficerowie i załoga supertankowca popadli w stupor.

Wszyscy poza głównym inżynierem George'em Patronim i jego trzema pomocnikami.

Patroni zdołał poinformować swoich ludzi o spotkaniu z Hauserem w windzie. Powiedział im o tym, gdy tylko silnik znów zaczął pracować, a jego ogłuszający ryk nie pozwolił podsłuchać rozmowy strzegącym ich dwóm terrorystom. Pomocnicy zachowali się na tyle profesjonalnie, że mimo dobrych wieści panowali nad sobą i nie zachowywali się inaczej niż reszta otępiełej załogi. Poza regularnymi inspekcjami i ciężkimi wachtami, siedzieli w mesie z innymi, spali na podłodze, kiedy się dało albo powoli siorbali kawę, ani razu nie zdradzając się, że coś wiedzą.

Niski i przysadzisty, ale niezwykle silny Patroni był synem nowojorskiego dokera i od małego wiedział, że spędzi życie na morzu. Choć ojciec chciał, żeby skończył liceum i poszedł w jego ślady, wyławiając wielkie statki, dzięki którym Nowy Jork dostawał towary z całego świata, to jednak Patroni senior zrozumiał syna, kiedy siedemnastoletni George zaciągnął się jako pomocnik mechanika na kontenerowcu.

Kiedy George Patroni po raz pierwszy zobaczył gigantyczną maszynownię napędzającą statek towarowy, wiedział, że pewnego dnia zapanuje nad taką maszyną. Głównym inżynierem został dopiero po dwudziestu latach, a kolejne pięć lat zajęło mu opanowanie potężnych silników supertankowców, ale ani razu nie żałował decyzji z młodości. Dziś żona i trójka nastoletnich dzieci mieszkali bezpiecznie w skromnej dzielnicy Jersey City. Podczas jego rzadkich urlopów okazywali sobie więcej miłości i rodzinnych więzów niż większość ludzi, którzy pracują od dziewiątej do piątej.

Patroni przeżył już kilka niebezpiecznych sytuacji. Kiedy pływał na tankowcach, to głównie między Zatoką Perską i Europą. Okrążał Przylądek Dobrej Nadziei w czasie słynnych zimowych sztormów i przebijał się przez cieśninę Ormuz, kiedy irańskie i irackie kutry bojowe strzelały do wszystkiego, co się rusza. Patroni na własne oczy widział jak „Seawise Giant”, największy tankowiec świata, dostał rakieta niecałe dwa kilometry od jego statku.

Ale nic nie przygotowało go na tę sytuację - wyczuwalny strach kolegów, gniewne miny porywaczy i obrzydliwe, wszechobecne karabiny.

Patroni siedział przy własnym stole w mesie, silnymi rękoma niczym filarami podpierał pochyloną głowę. Pusty kubek po kawie

stał w wyschniętym kółku rozlanej kawy zaledwie kilkanaście centymetrów od niego. Przed sobą miał popielniczkę z wytłoczonej blachy. Pięć zduszonych niedopałków wyglądało jak kikuty wystające z popiołu. Patrzył w stół, nic nie myśląc, kiedy nagle na stole pojawił się zwitek papieru, jakby wyrósł spod blatu.

Patroni nie poruszył się, ale podniósł oczy i omiół wzrokiem pokój. Nikt nie zwracał na niego uwagi, w pobliżu nie było też nikogo, kto mógłby mu podrzucić papierek. Oparł się wygodniej i ziewnął szeroko, wyginając kręgosłup o oparcie krzesła i patrząc w stronę sufitu. Nad głową miał kratkę wentylacyjną spasowaną równo z podwieszanym sufitem. Kiedy spojrzął, kratka poruszyła się lekko, jakby ktoś odstawił ją na właściwe miejsce.

Strzepnął z blatu popiół i tytoń. Tym samym gestem wziął w dłoń papierowy zwitek. Kiedy otrzepał sobie dłonie o kombinezon, karteczka zniknęła w jego kieszeni. Gest był tak gładki, że nikt nawet nie spojrzął w jego kierunku.

Postępując zgodnie z poleceniami terrorystów, Patroni podniósł rękę i trzymał ją, póki strażnicy nie uznali, że zebrało się dość chętnych, by odprowadzić ich do łazienki.

Pod lufami karabinów dwaj terroryści wyprowadzili z mesy w sumie siedmiu członków załogi, którzy podnieśli ręce. Twardym wzrokiem wypatrywali wszelkiego zagrożenia. Choć drzwi do łazienki były zawsze otwarte, żeby terrorystom łatwiej było się komunikować, członkowie załogi mogli liczyć na pewną dozę prywatności w kabinach. Patroni cierpliwie czekał na swoją kolejkę z opuszczonymi po bokach rękami. Jedynie drobny tik w prawym policzku zdradzał jego podniecenie. W końcu zwolniła się dla niego kabina. Rozpiął kombinezon, opuścił go do kostek i usiadł na cieplej jeszcze desce. Korzystając z okazji, wypróżnił się głośno i wyjął karteczkę z kieszeni, prostując ją grubymi palcami, żeby odczytać eleganckie pismo.

*Mam się dobrze. Nikt nawet nie wpadł na mój ślad. Podслу-
chałem, jak Riggs mówi o przyspieszeniu planu i zrobieniu tego w
Seattle. Z moich obliczeń wynika, że jesteśmy trzy dni od tego
nowego celu. Musimy zacząć działać, zanim dotrzemy do miasta.
Wiem, że nie jesteś w stanie skontaktować się ze mną, ale muszę
zejść ze statku i dostać się bliżej brzegu, żeby użyć radiostacji rat.
Jeśli możesz, zrób zwarcie w systemie dziś o północy, a ja odpalę
szalupę. Jeśli nie, to jutro w nocy o tej samej porze.*

Hauser

Wrzucił karteczkę do muszli, dokończył potrzebę fizjologiczną i wyszedł z kabiny. Gdy mył ręce, jeden ze strażników patrzył na niego spod gęstych brwi. W rękach kołysał nonszalancko niemiecki karabin H&K MP-5. Patroni czuł, że wzrok terrorysty wypala mu dziurę w karaku. Ale nie zdradził się z żadną myślą, które krążyły mu po głowie.

Musieli czekać w łazience, póki nie załatwi się ostatni z więźniów i dopiero wtedy byli odprowadzani grupą do mesy. Terrorysta, który obserwował Patroniego, uderzył go mocno w nerki, tak że inżynier przeleciał przez korytarz i wpadł do mesy. Utrzymał się na nogach tylko dzięki temu, że złapał się krzesła.

Patroni obrócił się, uniósł pięści i przyjął postawę obronną. Nagle ktoś dotknął jego biodra - elektryk, na którego krzesło wpadł.

- On tego właśnie chce - szepnął tak cicho, że prawie nie poruszał ustami.

Patroni odprężył się, wyprostował i opuścił wielkie pięści. Wrócił na swoje zwyczajowe miejsce z tajemniczym uśmiechem na twarzy. Jakoś znajdzie sposób, żeby pomóc Hauserowi.

Hauser był na to zdecydowanie za stary i dobrze o tym wiedział. Serce waliło mu jak młotem, próbując wyrwać się spomiędzy żeber niczym dzikie zwierzę chcące wydostać się z klatki. Pot zalewał mu oczy, które zmieniły mu się w obolałe szparki. Powietrze w kanałach inspekcyjnych nad mesą tak przesiąkło dymem papierosowym, że miał wrażenie, iż wdycha kwasowe opary z rozbitej baterii. I pomyśleć, że palił kiedyś z własnej woli. Trzymał się cienkiej stalowej linki biegnącej przez kanał, a nogami obejmował rury wentylacyjne. Dłonie zaciskał tak mocno, że aż bolały go palce. Barki piekły go żywym ogniem po długim przebywaniu w jednej pozycji. Gdyby się puścił, spadłby przez podwieszany sufit. Pełznąć z wysiłkiem, wzniecał tumany kurzu, co groziło atakiem kichania w każdej chwili.

Kapitan Hauser zaczął wycofywać się z przestrzeni nad mesą, centymetr po centymetrze, jak gąsienica. Powietrze szumiące w biegnącej obok trzydziestocentymetrowej rurze wentylacyjnej szumiało na tyle głośno, że zagłuszało jego świszający oddech. Kiedy dotarł nad kuchnię, opuścił się do wygodniejszej pozycji - sufit był tu wzmocniony i ogniotrwały, więc mógł utrzymać jego wagę. Oddychał jak miech kowalski i minęło dobrych kilka minut, nim przestały mu drżeć ręce.

- Jestem o połowę za stary, cholera - mruknął cicho.

Przez kolejne pół godziny pełzł, przeciskał się i sunął przez liczne przestrzenie tankowca, aż dotarł do szybu wentylacyjnego

i wyjścia na zewnątrz. Chłodna bryza wciągana przez klimatyzatory uderzyła go prosto w twarz. Cudowne uczucie po dymie, kurzu i upale, które musiał znosić przed chwilą. Ale warto było. Wiedział, że Patroni znajdzie jakiś sposób, by wyłączyć kontrolki na mostku w czasie, kiedy on spuści szalupę. I że zrobi to tak, by nikt niczego nie podejrzewał. Na tym polegała sztuka - sprawić, żeby terroryści nie podejrzewali, że ktokolwiek uciekł.

Choć w wojnie w Wietnamie Hauser brał udział, tylko przewożąc ropę i ładunki do Azji Południowowschodniej, to poznał dość żołnierzy, by wiedzieć, że człowiek z bronią w ręku podejrzewał wszystko i każdego. Wszystko, co odbiega od normy, oznacza kłopoty, a jedyną logiczną reakcją na kłopoty było otwarcie ognia z broni maszynowej. Jeśli terroryści nabiorą podejrzeń, to Hauser nie miał wątpliwości, że zginie część załogi.

Zdjąwszy kratkę wentylacyjną z zatrasków, Hauser wysunął się z szybu wentylacyjnego i opadł lekko na pokład. Był blisko rufy tankowca, nie więcej niż cztery i pół metra od szalupy ratunkowej gotowej w każdej chwili do zwodowania. Tak jak liczył, nie było tu nikogo. Terrorystów było za mało, by skutecznie patrolować tak wielki statek.

Pozwolił sobie na luksus patrzenia przez chwilę na szumiące fale mijane przez statek, a w końcu otworzył wodoszczelny właz do szalupy z włókna szklanego i wskoczył do jej klaustrofobicznego wnętrza. Choć załoga tankowca liczyła trzydzieści osób, na wszelki wypadek każda z trzech szalup mogła zabrać dwadzieścia osób. Każda wyposażona była w awaryjne systemy lokalizacji i dwustronną radiostację morską. Pobyt w szalupie nie powinien nigdy trwać dłużej niż dzień, dwa, zwłaszcza na uczęszczanych szlakach, jakimi poruszają się tankowce, ale wody i żywności było tu pod dostatkiem na tydzień.

Siedząc na plastikowej ławce, Hauser sprawdził, czy kilka bułajów z pleksiglasu zakrytych jest kocami z magazynku na szalupie i dopiero wtedy się odprężył. Za kilka godzin Patroni zamaskuje jakoś wodowanie szalupy. Hauser odpłynie od tankowca i będzie czekał, aż jakiś inny statek albo ktoś z brzegu usłyszy jego sygnał. Do tego czasu musi być cierpliwy, boleśnie odliczając kolejne godziny. Zaczął rozmyślać nad pytaniem, które nie dawało mu spokoju od chwili, kiedy podsłuchał rozmowę dwóch terrorystów w jednej z kabin.

Seattle. Co Riggs zamierza zrobić w Seattle?

Przez głowę przemykały mu różne myśli i pomysły, ale nic na tyle konkretnego, by dać odpowiedź. Choć przypominał sobie wszelkie strzępy informacji o statku i terrorystach, nic nie wskazywało na to, by główny port stanu Waszyngton miał być z jakiegos powodu istot-

ny. Próbował sobie przypomnieć co mówił Patroni, który system był tak ważny dla Riggs. Aha, kontrola ropy w zbiornikach. Chciała móc przepompowywać ładunek tankowca ze zbiornika do zbiornika. Ten system pozwalał lepiej ustabilizować statek na wzburzonym morzu albo kiedy wyładowywano część ropy w jednym porcie i dalej płynięto z resztą. Utrzymanie równowagi było ważne dla normalnego działania statku, ale nie było aż tak istotne.

To wszystko nie miało sensu.

Najbardziej na północ wysunięty port Stanów Zjednoczonych - nie licząc Alaski - i możliwość przepompowywania ropy w przepastnym kadłubie... gdzie tu związek? I nagle Hausera olśniło. Ze strachu i przerażenia omal się nie udławił.

- O mój Boże, nie zrobią tego. Nikt by się nie odważył.

Londyn

W Londynie w połowie jesieni możliwe są dwa rodzaje pogody: ciepła i deszczowa z całkowitym zachmurzeniem albo zimna i deszczowa z jeszcze ciemniejszymi chmurami. W ciągu kilku chwil, jakie zajęło przeskoczenie z limuzyny do holu dyskretnego hotelu w dzielnicy Belgravia, Khalid Khuddari przemarzył do kości, a ulewny deszcz zostawił na jego płaszczu Burberry plamy jak do kamuflażu. Drżał przez chwilę w holu pełnym marmuru i złocień i wyżywał ręką wodę z gęstych włosów. Portier obserwował go z ponurą miną, bo skok Khalida do holu odebrał jako osobisty afront. W końcu parasol, który trzymał w ręku, mógłby spokojnie osłonić przed deszczem czteroosobową rodzinę.

Concierge zaprowadził Khalida do recepcji, a właściwie do osiemnastowiecznego biurka z mosiądzu i teku, intarsjowanego perłową macicą wzdłuż delikatnych zakrzywionych nóg i wokół błyszczącego blatu. Dokładne odbicie mebla widać było na błyszczącej podłodze z białego marmuru z Carrary. Uśmiech recepcjonistki wystarczył, by Khalid zapomniał o koszarnej pogodzie.

- Dzień dobry, panie ministrze Khuddari. Przepraszam za pogodę. W telewizji mówili, że lada chwila powinno się przejaśnić.

Khalid nie zdziwił się, że znała jego nazwisko. W takich hotelach jak ten wiedziano o gościach wszystko.

- Będę musiał porozmawiać o tym z kierownictwem. - Uśmiechnął się chłopięco. - Specjalnie prosiłem, żeby nie padało podczas całego mojego pobytu.

- Przekażę pańską prośbę do meteorologa z BBC i zobaczymy, co się da zrobić. - Recepcjonistka odwzajemniła uśmiech.

Podobnie jak starsze i bardziej wybredne banki w Szwajcarii, które nie wyglądały z zewnątrz jak przybytki mamony, hotel St. James w Belgravii też nie wyglądał wcale jak hotel. Przypominał raczej dobrze utrzymany duży prywatny dom. Budynek w stylu epoki króla Jerzego, z witrażami i kamiennymi ścianami zdolnymi wytrzymać ostrzał artyleryjski, nie miał nawet szyldu przed wejściem. Hol wyglądał jak teatralne foyer. Oprócz biurka stały tu trzy czerwobrunatne krzesła wokół niskiego stolika z drzewa wiśniowego. Do jednej ze ścian stał przytulony kredens pod lustrem ze złoceniami. S'wały na nim kryształowe karafki, szkło do kompletu i charakterystyczna zielona szyjka szampana Dom Perignon w srebrnym kubelku na lód.

Trzeba było mieć pieniądze, żeby w ogóle wiedzieć o takich hotelach, a jeszcze więcej, żeby móc się w nich zatrzymywać.

Khalid uśmiechnął się ukradkiem. Wiedział, że Siri nie dość, że zarezerwowała mu lot pierwszą klasą z Emiratów, ale załatwiła też hotel i limuzynę z lotniska. W ten sposób drażniła się z nim i okazywała swoje uczucie, którego był zresztą świadom.

- Panie ministrze, w normalnej sytuacji nie śmiałabym prosić - odezwała się recepcjonistka, prawie przepraszając - Ale nie zatrzymywał się pan u nas jeszcze. Muszę obejrzeć pański paszport.

Wysunął dokument z kieszeni na piersi i otworzył go przed nią. Przepisała niezbędne dane do karty gościa i oddała mu dyplomatyczny paszport z kolejnym uśmiechem.

- Dziękuję bardzo, panie ministrze. Portier już zaniósł pańskie bagaże do pokoju i jeśli sobie pan życzy, może je kazać rozpakować. Ma pan pokój numer siedem. Alfred pana zaprowadzi.

W apartamencie Khalid odesłał dwóch portierów, nie pozwalając im rozpakować bagaży. Zauważył, że nie czekają na napiwek i znów się uśmiechnął. W takich hotelach jak ten nie nagabywano gości po plebejsku o napiwki, ale był pewien, że to, iż wszyscy ci ludzie odprowadzili go do pokoju, kosztowało pewnie więcej niż jego dziadek zarobił przez całe życie. Do pokoju wrócił po szybkim prysznicu i goleniu, by pozbyć się resztek zmęczenia po locie z Emiratów. Limuzyna czekała, zgodnie z poleceniem.

- Savoy - polecił hinduskiemu kierowcy, kiedy usadowił się na miękkiej skórzanej kanapie czarnej długiej limuzyny.

Jak na taki duży wóz zdołali przecisnąć się przez miejski korek w rekordowym czasie i wkrótce podjeżdżali boczną uliczką do chyba najslynniejszego hotelu świata.

Trevor James-Price był przystojny i potrafił wyrecytować z pamięci dziesięć tysięcy wierszy romantycznej poezji, więc nic dziwnego, że pochłonięty był rozmową z najatrakcyjniejszą kobietą w amerykańskim barze w Savoyu. James-Price i kobieta siedzieli przy długim blacie zwróceniu do siebie. Z daleka widać było między nimi intymność i skupienie wyłącznie na sobie tak charakterystyczne dla kochanków z pozamałżeńskiego romansu. Kiedy Khalid podszedł bliżej, usłyszał śmiech kobiety - słodki i czysty, z delikatną domieszką zmysłowej gardłowości.

- Aha, tu jesteś, Trevorze. Wszyscy pielęgniarze szukają cię po całym mieście, od kiedy wydało się, że zbiegłeś z wariatkoma bez leków. - Przy Trevorze Khalid mógł sobie ulżyć i pozwolić na sztu backie żarty.

James-Price szybko podniósł głowę. Blond grzywka na czole uniosła się i opadła niczym skrzydło ptaka. W oczach błysnęła mu radość. Uścisnęli sobie serdecznie dłonie.

- Khalidzie, poznaj proszę Millicent Gray. Millie, oto Złodziej z Bagdadu, Khalid Khuddari. - Trevor przerwał na chwilę, by Khalid mógł ująć dłoń kobiety. - A teraz, jeśli pozwolisz, muszę przekonać go, żeby nie wysadzał Parlamentu. Do zobaczenia w Les Ambassadeurs o dziewiątej.

Wstając, musnęła dłonią rękę Trevora, uśmiechnęła się do Khuddariego i przemknęła przez salę. Co najmniej pięć głów obróciło się za nią.

- No no, Les A? A myślałem, że jesteś splukany - droczył się Khalid.

- Cóż mam powiedzieć? To ona mnie zaprosiła. - Trevor dopił gazowaną wodę i skinął na barmana, by przyniósł dwie kolejne. - Cieszę się, że dotarłeś na swój pierwszy szczyt OPEC jako minister do spraw ropy.

- Niewiele brakowało, żebym nie przyjechał - powiedział Khalid niewesoło.

- Domyślam się. Chcesz o tym porozmawiać?

- Niekoniecznie. Niewykluczone, że ganiam za własnym cieniem albo stoję w obliczu prawdziwego mroku. - Khalid pokręcił głową.

Trevor siedział w milczeniu przez chwilę.

- Hm, może rzeczywiście czeka cię otchłań. Dowiedziałem się o tych konszachtach Ruftiego z Irakijczykami i Irańczykami. Jeśli im się uda, to ten czek na sto tysięcy dolarów, który ponoć wypisałeś, będzie wart mniej niż papier, na którym jest wydrukowany.

Nim Khalid zdążył zareagować, Trevor mówił dalej:

- W końcu skłoniłem kogoś do zwierzeń, pewnego saudyjskiego księcia, który skarżył się, że Rufti go szantażuje i chce dokopać temu tłustemu draniowi. Zdaje się, że ów członek królewskiej rodziny ma dość płacenia okupu tylko dlatego, że gustuje w egzotycznych przyjemnościach.

W zeszłym roku Rufti spotkał się z byłym agentem KGB o nazwisku Iwan Kerikow. Do spotkania doszło w Stambule na pokładzie jachtu tego właśnie szantażowanego księcia. Dowiedziałem się, że od tamtego czasu Kerikow spotykał się też oddzielnie z Irakijczykami i Irańczykami. Podejrzewam, że wszyscy maczają palce w czymś nieprzyzwoitym, więc przekupiłem kelnera z restauracji, gdzie wczoraj w nocy spotkali się Rufti i jego drużyna. Podłożył im pod stół dyktafon.

- I? - dopytywał się Khalid, kiedy Trevor zrobił przerwę dla nadania dramatycznego efektu.

- Z powodu ekonomicznego przymusu wywołanego amerykańskim dekretem Irakijczycy i Irańczycy zgodzili się odłożyć na bok różnice religijne w imię wyższego dobra, a konkretnie swoich szwajcarskich kont bankowych. Z pomocą Emiratów próbują ni mniej, ni więcej tylko zawładnąć całym rejonem Zatoki Perskiej. Jak wiesz, z pomocą Emiratów Iran jest w stanie odciąć cały ruch morski przez cieśninę Ormuz, i tankowcom, i okrętom wojennym. Potem, dzięki połączonej armii liczącej dziesięć milionów żołnierzy oraz środkom chemicznym i biologicznym, których istnienia inspektorzy ONZ nawet nie podejrzewali, Irak i Iran połkną Kuwejt i znaczną część Arabii Saudyjskiej, nim ktokolwiek zdąży się zorientować, co się dzieje.

- To jakiś absurd. Amerykanie zareagują natychmiast i wesprze ich NATO. To byłaby powtórka z wojny w Zatoce.

- Doprawdy? - Trevor uniósł jasne brwi. - Kiedy Saddam najechał na Kuwejt w 1990 roku, popełnił tylko jeden błąd w założeniach. Nie przypuszczał, że amerykańscy żołnierze będą mogli wykorzystać Arabię Saudyjską jako bazę do swoich ataków odwetowych. A jeśli pamiętasz, Saudyjczycy ledwo zgodzili się na obecność zagranicznych wojsk na Półwyspie Arabskim. Wy, turbaniarze, jesteście mocno przeczuleni na punkcie tego, kto chodzi po waszej świętej ziemi.

Saddam nigdy by się nie zatrzymał na granicy saudyjskiej, gdyby wiedział, że Amerykanie będą mogli założyć tam bazy. Tym razem możesz być pewien, że ich czołgi zatrzymają się dopiero w śródmieściu Rijadu.

Co więcej, mimo zapewnień prezydenta Busha, w wojnie w Zatoce chodziło tylko i wyłącznie o ropę. Amerykanie mieli gdzieś niedolę Kuwejtczyków. Aż do wojny większość Amerykanów była pewnie przekonana, że Kuwejt to rodzaj owocu. Żadnych wyższych wartości, zasad moralnych, po prostu dobra zdrowa polityka gospodarcza. A teraz, za dziesięć, a właściwie już za dziewięć lat, Ameryka będzie miała gdzieś ropę. Zakręcą kurek i pozwolą Bliskiemu Wschodowi, by się zawalił jak domek z kart. Jeśli połączone siły Irakijczyków i Irańczyków znów spróbują zaatakować, Kongres powie: a do diabła z nimi. - Tu Trevor zaczął udawać amerykański akcent: - A niech ci pustynni Murzyni obżerający się figami pozabijają się, jeśli tego chcą. To już nie nasza sprawa, powie jakiś senator z Południa. Nie wysłaj wojska w sprawie, która nie dotyczy portfela Amerykanów. Kropka.

Zresztą, jeśli Arabia Saudyjska zostanie przecięta na pół, a cieśnina Ormuz zamknięta przez okręty Iranu i Emiratów, to Amerykanie i tak nie będą mogli nic zrobić. Nie będą mieli taktycznych możliwości w regionie. Musieliby korzystać z baz lotniczych w Turcji i na Cyprze, a to maksimum zasięgu odrzutowców sojusznicznych. Gdyby chcieli atakować lądem z zachodniej Anatolii, musieliby przejść przez trudne góry, które powstrzymały już niejedną armię w ciągu ostatnich kilku tysiącleci. Nie mieliby szansy, choćby użyli nie wiadomo jak inteligentnych bomb i niewidzialnych myśliwców. Nie, mój przyjacielu, to z pewnością nie byłaby powtórka z wojny w Zatoce. I wierz mi, kiedy Iran i Irak rządziłyby nad Zatoką z pomocą marionetkowego reżimu w Emiratach, kostki domina zaczęłyby się szybko przewracać. Jordania, Syria, a nawet Izrael zostałyby połknięte, kiedy tylko opadłby kurz po pierwszym ataku.

Khalid opadł na stołek, jakby dostał cios w brzuch. To, co mówił Trevor, było jak najbardziej wykonalne. Podstawą zaangażowania Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie była konieczność zapewnienia nieprzerwanych dostaw ropy z Zatoki. Jeśli ten imperatyw zniknie, region stanie się równie nieważny jak Togo czy Bhutan. Ameryka pompuje miliardy dolarów do krajów Lewantu w postaci wojskowych kredytów, byle tylko zachować militarną równowagę między tamtejszymi krajami. Zwykle owe próby były jednostronne i mało subtelne, a w ich wyniku wyrastali dyktatorzy, dokładnie tacy jakich Stany Zjednoczone się obawiały. Mimo to od pięćdziesięciu lat ropa płynęła bez większych przeszkód, jeśli nie liczyć kilku drobnych potknięć.

Bez apetytu na ropę Ameryka nie ma tak naprawdę żadnego interesu na Bliskim Wschodzie. Będzie potrząsać szabelką, przepchnie

kilka potępiających rezolucji w ONZ, ale nie zacznie działać. Historia aż roi się od wojen. Większość podręczników podkreśla ich przyczyny i skutki, jakby wojna była jednym z naturalnych elementów rozwoju cywilizacji. Bez wyjątku, wszystkie wojny toczyły się o jakieś korzyści ekonomiczne.

- Widzę jedną poważną lukę w twoim rozumowaniu - odparł w końcu Khuddari. - Emiraty nigdy nie przyłączą się do Iranu i Iraku, jeśli te kraje najadą Kuwejt czy Arabię Saudyjską.

Trevor potrafił niczym dyrektor szkoły spojrzeć z góry na rozmówcę.

- Poza wielkimi demokracjami średni czas sprawowania władzy przez jeden rząd w większości krajów wynosi mniej więcej osiem lat. Obecna władza w Emiratach istnieje od prawie trzydziestu i myślę, że kończy wam się czas.

- Masz na myśli Ruftiego?

- Otóż to.

- Rozmawiałem o tym z wielkim księciem i muszę zgodzić się z jego oceną. Może i masz rację co do Ruftiego, ale będzie zagrożeniem dopiero za kilka lat, więc mamy aż nadto czasu, żeby się nim zająć.

- Stary, co ty chrzanisz? Może nie spróbuje od razu przejąć całego rządu, ale jestem pewien, że nie będzie miał nic przeciwko, żeby chapnąć twoje stanowisko. Chryste, facet chodzi po Londynie, jakby już był ministrem do spraw ropy całych Emiratów, a nie tylko swojego zadupia.

Tego Khalid nie brał pod uwagę.

Wprawdzie jego stanowisko było raczej posadą administratora, ale Khalid zdawał sobie sprawę, że minister do spraw ropy akredytowany przy OPEC wciąż musiał budzić ogromny szacunek wśród międzynarodowej społeczności ekonomistów. To byłby świetny punkt wypadowy dla kogoś, kto chce zyskać władzę, nie zwracając na siebie uwagi. Zważywszy na napięte stosunki między siedmioosobową Najwyższą Radą Federacji Emiratów, mniejsze emiraty mogłyby wyrzucić presję na wielkiego księcia, by mianował na to stanowisko Ruftiego, jeśli Khalid z jakichś powodów nie będzie w stanie wypełniać swoich obowiązków. Na przykład jeśli umrze.

- Spokojnie, staruszkule, wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha - powiedział Trevor, wrywając Khalida z zamyślenia.

- Bo zobaczyłem. Własnego. - Obóz szkoleniowy, który sprawdził wraz z Bigelowem, niepokoił go coraz bardziej. - Słuchaj, jesteś pewien co do Ruftiego i Irakijczyków?

- Cóż, sporo sam wydedukowałem - przyznał Trevor. - Informacje z nagrania były dość ogólne, ale z pewnością to wszystko potwierdzają. Tym bardziej że widzę, jak ty się ostatnio zachowujesz.

Khalid spojrział na zegarek.

- Muszę jechać na przyjęcie do British Museum. Saudyjczycy wypożyczyli muzeum jakiś pakiet wczesnoislamskich tekstów i dziś otwarcie wystawy. Mam wziąć udział w wielkiej gali, bo to część programu szczytu OPEC, takie nieformalne spotkanie przed jutrzejszymi naradami. Normalnie bym cię o to nie prosił, ale musimy się spotkać później u mnie w hotelu. Będziesz musiał odwołać randkę z panną Gray.

- Jeśli naprawdę sprawy wyglądają tak poważnie, a wiem, że tak jest, to przyjdę. - Trevor wstał i uściśnął dłoń Khalida. - A tak przy okazji, to pani Gray, a nie panna. Tak właściwie to lady Gray.

Khalid czekał przez chwilę pod ciemnym portykiem Savoya na swoją limuzynę. Odźwierny odprowadził go do daimlera i kilka sekund później już sunęli przez korek w stronę dzielnicy Bloomsbury i British Museum. Khalid źle się czuł w limuzynach i chciał porozmawiać z kierowcą, żeby szybciej minęła mu krótka podróż, ale ciemna szklana przegroda między kierowcą a przedziałem pasażerskim była zamknięta i nie reagowała na przycisk.

Zastanawiał się, czy nie zapukać w szybę, ale w końcu usiadł wygodnie i obserwował ludzi za oknem, kiedy jechali przez Soho. Na Cambridge Circus skręcili w prawo w Bloomsbury Street, gdzie nocy rozświetlały neony teatrów i iluminowane tablice reklamowe. Deszcz za szybami limuzyny wyglądał jak bożonarodzeniowe konfetti.

Za New Oxford Street miasto zmieniło się całkowicie. Niskie budynki z epoki Tudorów, drewniane szyldy dyndające nad wąskimi wystawami i stojące gdzieniegdzie gazowe latarnie nadawały mu charakter zupełnie jak z powieści Dickensa. Wielki kamienny gmach British Museum znajdował się kawałek dalej po prawej. Nienaturalny blask telewizyjnych świateł przygotowanych na uchwycenie twarzy celebrytów zalewał całą Great Russell Street. Nawet z tej odległości Khalid widział błyski fleszy przypominające małe błyskawice. Taki entuzjazm fotografów mogła wzbudzić tylko jakaś gwiazda filmu albo muzyki.

Limuzyna skręciła w Great Russell, a muzeum zaczęło górować nad nimi po lewej. Mała uliczka po prawej ciągnęła się między osiemnastowiecznymi kamienicami z licznymi oknami. Tuż za wejściem do muzeum, drogę blokowały radiowozy policji, furgonetka ochrony i kilka motocykli. Umundurowani policjanci strzegli tej prowizorycznej

barykady przed dziennikarskim narybkiem i mniej więcej setką gapiów. Bardziej doświadczeni dziennikarze i fotografowie byli na terenie muzeum, oblepiając boki schodów prowadzących do wejścia.

Miał uczucie deja-vu. Choć Khalid był w tym muzeum wielokrotnie podczas studiów, miał wrażenie, że gdzieś już widział taki wieczer. Barykada, ulice, a nawet budynki wyglądały jak sceneria ze snu.

Pustynia, dopiero co porzucony obóz szkoleniowy, zniszczony dokładnie, ulice, budynki, to miejsce.

Kiedy wszystko zrozumiał, przesłona między przedziałem kierowcy i pasażerskim zaczęła sunąć w dół. Limuzyna zatrzymała się w kolejce innych luksusowych samochodów czekających na wjazd do muzeum. Hindusa, który wiozł go z Belgravii do Savoya, zastąpił jakiś Turek, a może Afgańczyk. Khalid miał tylko chwilę, by to dostrzec, bo nagle kierowca podniósł automatyczny pistolet.

Khalid rzucił się w bok. Stłumiony strzał wybił równą dziurę w skórzanej tapicerce, a w aucie rozszedł się ostry zapach prochu. Szarpnął za klamkę i rzucił się na ulicę. Drugi pocisk przeorał szew na ramieniu płaszcza, ale nie dosięgnął ciała.

Uderzył mocno o chodnik, przetoczył się po nim i zerwawszy się na równe nogi, skoczył za ciężką donicę z kwiatami. Czuł, że wszystkie kamery skierowały się w jego stronę. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej nagi, ale nie mógł się ruszyć. Kierowca otworzył okno i widać było, że go wypatruje. Donica dawała mu tylko minimalną osłonę.

Khalid zastanawiał się, czy nie obieć samochodu i nie zanurkować w boczną uliczkę, licząc, że jakoś umknie uwagi napastnika. Ale przypomniał sobie dziewięćmilimetrową łuskę, którą znalazł Bigelow w opuszczonym obozie. Khalid wiedział sporo o broni i rozpoznał w ręku kierowcy automatyczny pistolet kaliber 22. A to znaczy, że polują też na niego inni.

W mieszkaniu naprzeciwko, na piętrze, rozbłysnęło światło. Zmieniło się w smugę, która w ułamku sekundy pokonała dystans między budynkiem i samochodem. Khalid rzucił się do biegu, kiedy rakietą z ręcznej wyrzutni uderzyła daimlera prosto w maskę i wybuchła.

Limuzyna przestała istnieć, a powietrze wypełniło się płonącym paliwem, stopionym metalem i śmiertelnie groźnymi odłamkami. Uderzył o żelazną bramę u wejścia do muzeum, a wstrząs wysłał mu całe powietrze z płuc. Kierowca zamachowiec z daimlera wyparował.

Próbując odzyskać oddech, mimo dzwonienia w uszach, Khalid usłyszał ogień z broni automatycznej, niczym stukot jakiejś wielkiej maszyny. Obejrzał się i zobaczył, że w jego stronę pędzi cała armia z karabinami plującymi ogniem.

Gdzieś nad Atlantykiem

Niczym strzała o tępym grocie błyszczący boeing 737 pędził na wysokości ponad ośmiu kilometrów, a jego silniki odrzutowe mruczały sennie połową swojej maksymalnej mocy. Samolot zaprojektowany został jako długodystansowa maszyna pasażerska, zdolna do przewożenia ponad setki ludzi. Ale ten konkretny samolot przewoził tylko jednego pasażera w dekadentckim komforcie, jakiego nie widziano od czasów brytyjskich radzów.

Maks Johnston na pół leżał w pokrytym skórą fotelu w głównym salonie. Za plecami miał kambuz, w którym można było przyrządzać wyrafinowane posiłki, stół konferencyjny z afrykańskiego wiazowca oraz prywatną sypialnię z antycznym łóżem przykręconym do podłogi. Komoda w sypialni utrzymana w stylu regencji była starsza od samolotu o ponad sto lat, a srebrna powłoka wiszącego nad nią lustro była tak nadgryziona zębem czasu, że przypominała starą fotografię. Wykładziny w całym samolocie miały rdzawoczerwony kolor podkreślający gustowne tapety i orientalne kilimy, które do pewnego stopnia skrywały funkcjonalne elementy wyposażenia.

Samolot należał oficjalnie do Petromax Oil i miał do niego dostęp każdy członek najwyższego kierownictwa koncernu. Jednak wszyscy rozumieli, że boeing był prywatnym odrzutowcem Maksa Johnstona i w ciągu dwóch lat, od kiedy należał do koncernu, korzystał z niego wyłącznie Johnston.

Szkocka w opuszczonej luźno dłoni była już tak rozcieńczona przez roztopiony lód, że wyglądała jak uryna, a kiedy pociągnął szybki łyk, smakowała podle. Marynarka leżała zwinięta byle jak na fotelu obok. Była tak pomięta, że pewnie po powrocie do Waszyngtonu będzie musiał ją wymienić. Koszulę miał poplamioną alkoholem, a nieskoordynowane próby zdjęcia krawata skończyły się jego zaciśnięciem na dobre kilka centymetrów pod grdyką. Skórę miał bladą i woskowatą, pod oczyma ciemne smugi podkreślające worki, których nabawił się zaledwie w ciągu kilku bezsennych nocy. Wyglądał jak wisielec opuszczony z szubienicy.

Johnston wstał z fotela i wylał drinka do zlewu ukrytego za barem. Nie zwracając sobie głowy lodem, nalał sobie do szklanki dwudziestoczteroletniej whisky Single Malt i wychylił ją niczym mrożoną herbatę. To był jego czwarty drink od startu samolotu z londyńskiego lotniska Gatwick przed dwiema godzinami. Choć czuł się pijany i nogi odmawiały mu posłuszeństwa, tak że musiał przytrzymać się wnęki z telewizorem, uczucie nienawiści i obrzydzenia

do samego siebie wcale nie zniknęło. Co gorsza, narastało, wrzynając mu się głębiej w ciało, paraliżując duszę.

Znów opadł na fotel, oparł brodę o pierś, całkowicie się poddając i pogrążając w rozpacz. Znajdował się w przeddzień swego największego dokonania. Kilkoma śmiałymi ruchami miał wprowadzić Petromax Oil na ekskluzywną orbitę superkorporacji, na równi z takimi koncernami jak General Motors, Exxon czy IBM. Nazwę tej firmy będą znali wszyscy na świecie. Podejmując ryzyko o wiele większe niż w normalnym biznesie, Jonston dość dosłownie zaprzedał duszę, by pokonać te ostatnie kilka schodków na szczyt sukcesu. Kiedy wyjechał z Londynu, poczuł się jak jeden z renesansowych księząt handlu, którego umowy miały wpłynąć nie tylko na zawartość jego portfela, ale też na los całych narodów.

Ale teraz, zaledwie kilka godzin po przyklepaniu umowy, był pijany i przybity. Depresja nadeszła, kiedy tylko samolot wyleciał z Anglii, ale wiedział, że ów głos słyszał już, kiedy limuzyna wiozła go na lotnisko. Głos.

Głos ojca.

Ręka ducha ojca dotknęła jego ramienia i Maks Johnston aż podskoczył, wylewając drinka na jedwabny egipski dywan, na którym stał fotel. Ten gest, który wyobrażał sobie tak często, wywołał lawinę emocji. Ale tak jak poprzednio, gdy czuł obecność ojcowskiego widma, myśli i uczucia szybko spalały się, krystalizując się w jedno gorzkie wspomnienie. Cokolwiek Johnston by zrobił, ile by osiągnął, miał świadomość, że sukces nigdy nie wymaże tego, co zdarzyło się, kiedy miał szesnaście lat i zjadliwych uwag, które potem nastąpiły.

Jako nastolatek Johnston pomógł przyjacielowi ściągnąć na egzaminie - pokazał mu swoje odpowiedzi. Oczywiście obu przyłapano i obu zawieszono w prawach ucznia. Owego wieczoru młody Maks siedział w gabinecie rezydencji, która stała się ich domem po tym jak Keith Johnston, biedny poszukiwacz ropy, się dorobił. Siedział i się bał. Keith Johnston zrobił majątek dzięki ciężkiej pracy, determinacji i ogromnemu szczęściu. Udało mu się odkryć dwa pola roponośne w ciągu pół roku i uruchomić Petromax Oil, firmę, którą nazwał od imienia swego jedynaka. Maks wyobrażał sobie rozczarowanie u człowieka, którego uważał za boga i ów wstyd był nie do zniesienia. Tego wieczoru ojciec spóźnił się o godzinę i Maks czekał jak żołnierz, który za chwilę stanie przed plutonem egzekucyjnym, gotów przyjąć wszystko, co niesie los.

Keith Johnston wszedł do gabinetu późnym wieczorem w zakurzonej garniturze, bo choć odniósł sukces, to wciąż lubił osobiście

wszystkiego doglądać. Nadal uwielbiał odwiedzać pompy, maszyny i ludzi, którzy wydobywali ropę spod południowoteksańskich równin. Żona powiedziała mu o zawieszeniu Maksa i Keith był w podłym nastroju. Maks, chłopiec spory jak na swój wiek, aż się skulił.

- Ściąganie! - krzyczał Johnston senior. - Nie ma nic gorszego niż ściąganie, może tylko dawanie ściągać komuś innemu, okazanie takiej słabości i danie przyzwolenia, żeby ktoś cię ograbił. Posłuchaj mnie uważnie, chłopcze, bo nie będę tego powtarzał.

Zbudowałem tę firmę dla ciebie. Kłamałem, oszukiwałem i kradłem, żeby stworzyć to wszystko dla ciebie, żebyś mógł pójść w me ślady. I oto dowiaduję się, że mój syn, jedyny powód, dla którego to wszystko robię, jest tylko słabym, bezwolnym sługusem, który oddaje za darmo to, co zyskał. Gdybyś ściągał po to, żeby dostać lepszy stopień, może bym jeszcze zrozumiał, ale znałeś odpowiedzi na pytania i dałeś je komuś innemu, żeby dostał taki sam stopień jak ty. Przynosisz mi wstyd, będziesz ofiarą dla każdego, kto się nawinie. Nie wierzę, że jesteś moim synem.

Zaczynaliśmy od niczego i nie waży się nas sprowadzić z powrotem do tego poziomu, bo Bóg mi świadkiem, zabiję cię własnymi rękoma. - Nienawiść w głosie ojca była najgorszą rzeczą, jaką Maks słyszał w całym swoim życiu. - Niedobrze mi się robi, jak na ciebie patrzę.

Tego dnia rozmawiali po raz ostatni. Keith Johnston nie pojawił się na uroczystości zakończenia liceum przez syna ani na zakończeniu studiów na Uniwersytecie Teksańskim, gdzie Maks wygłosił mowę jako prymus. Nie przyszedł też na ślub Maksa, a po przejściu na emeryturę nie pogratulował Maksowi objęcia fotela prezesa koncernu nazwanego wszak na jego cześć. Stary jeszcze żył, kiedy pod wodzą Maksa wartość Petromaksu przekroczyła miliard dolarów, ale nie odezwał się nawet słowem. Ostatnie zdania testamentu Keitha Johnstona, odczytane przez zakłopotanego rodzinnego prawnika, zraniły Maksa tak głęboko, że wyrzucił z pracy człowieka, z którym przyjaźnił się od lat.

To, że mnie już nie ma, nie oznacza, że ci przebaczyłem albo że zapomniałem, kim naprawdę jesteś. Żadne osiągnięcie nie przekreśli faktu, że jesteś słabeuszem. Pewnego dnia zniszczy to ciebie i firmę, na którą nigdy nie zasłużyłeś.

Maks wciąż czuł w gardle palącą gorycz. Próbował ją splukać szkocką, ale ulga była tylko chwilowa, bo choć alkohol buzował mu w brzuchu, mięśnie zuchwy napinały się, a do ust napływała drażniąca ślina.

- Jeszcze będziesz mnie szanował - powiedział cicho Johnston, błagając nieśmiało o akceptację człowieka, który nigdy nie mógł mu jej ofiarować.

Naukowcy nie imponowali jego ojcu, który sam nie ukończył liceum i pracował od dwunastego roku życia. Miejsce w czołówce najlepszych uczniów w liceum i na studiach nie dało Maksowi pochwał, których tak desperacko pragnął. Powinien był wiedzieć, że takie zaszczyty dla ojca nic nie znaczą. Maks uświadomił sobie, że ojcem powodowało pragnienie bogactwa, nie wiedzy.

Przekształcenie Petromaksu w światowy holding o rozległych interesach i miliardach dolarów na kontach na pewno przemówiłoby do starego, pomogłoby odzyskać upragnioną miłość. Myślał, że bilans rzędu pół miliarda dolarów zwróci uwagę ojca. Kiedy tak się nie stało, Maks uczynił z firmy miliardowego giganta. Potem dwumiliardowego.

Kiedy i to nie pomogło, Maks zaczął się zastanawiać, co oznaczają te pieniądze. Jaki jest cel bogactwa? Wiele lat zajęło mu zrozumienie tego, co rozumiał jego ojciec, zrozumienie, że gromadzenie bogactwa jest nieistotne. Istotą posiadania pieniędzy była władza, jaka się z nimi wiązała. Tego właśnie pożądał stary i to szanował. Keith Johnston był śliniącym się zniedołężniałym starcem, który sam nie był w stanie się załatwić, kiedy Maks zdobył pierwsze zaproszenie do Białego Domu. Nie żył już od sześciu lat, kiedy Maks sfinansował pierwszą skuteczną kampanię wyborczą, kupując sobie młodego kongresmana za drobne osiem milionów dolarów. Choć ojciec odszedł, Maks uparcie podążał za tym, co jego zdaniem wywarłoby wrażenie na starszym Johnstone, co pomogłoby mu zyskać wiarygodność i charakter - coś, czego ojciec u niego nie widział. Dziś prezydent Stanów Zjednoczonych regularnie konsultował się z Makssem na temat Bliskiego Wschodu i kwestii energetycznych, a mimo to Johnston i tak wiedział, że na starym nie zrobiłoby to wrażenia. Władza. Możliwość bezkarnego kontrolowania życia innych. Maks Johnston miał właśnie zyskać więcej władzy niż jakikolwiek człowiek od czasów Józefa Stalina i Adolfa Hitlera. Nie były to akademickie zaszczyty zdobywane nauką do późna w nocy. Nie były to góry pieniędzy zarobionych dzięki sprytnym transakcjom finansowym. Nie były to też zaloty polityków bardziej zainteresowanych ponownym wyborem niż przyjęciem powierzonej im odpowiedzialności. Tego właśnie zawsze chciał Keith Johnston, skupienia takiej władzy, żeby świat to zauważył. Teraz Maks wreszcie miał odzyskać szacunek starego. Wszystko w jego życiu było tylko wstępem do tej

chwili. Cała nauka i całe pieniądze prowadziły do tej najwyższej nagrody, tego, co pozwoli mu odzyskać miłość ojca.

Nie liczyły się konsekwencje tego, co zamierzał zrobić. Śmierć jest nieistotna, nieważne, ilu ludzi umiera i kim są. Za jego sprawą miały wybuchać wojny, upadać narody, być może nawet jego własny. Ale warto będzie dla tej chwili, kiedy ojciec w końcu zacznie go szanować i kiedy wreszcie ucichnie ów nocny głos.

Johnston nienawidził się za to, kim się stał, nienawidził samego siebie - od wyrafinowanego krezusa, którego oglądał świat, po zawstydzonego szesnastolatka, który wciąż w nim mieszkał. Stał się tym samym zimnym, pełnym nienawiści, nieustępliwym człowiekiem, który zdominował całe jego życie. W tej pogoni łamał kodeksy etyczne, omijał szerokim łukiem moralne idee i nie zważał na międzynarodowe prawa. Dziś nie było takiej rzeczy, której by nie zrobił. Nie istniały dla niego żadne granice. Nic innego się nie liczyło.

Szklanka, z której pił, w jakiś dziwny sposób się opróżniła, więc wstał, żeby wlać sobie następną. Stronił od swego odbicia w lustrze za minibarem. Kiedy w końcu spojrzął na siebie i zajrzał głęboko w rozgorączkowane oczy, zobaczył tylko pozbawioną cienia wyrazistość i cel, do którego dążył po trupach.

Sposób na to, by Maks Johnston mógł wreszcie uśpić swoje osobiste demony, miał wkrótce zmienić oblicze ziemi, obrócić w perzynę tysiące kilometrów kwadratowych i spowodować śmierć niezliczonych tysięcy ludzi. Patrząc na swe odbicie, wiedział, że to niska cena. Zrobiłby wszystko, osiągnął każdy cel i zniszczył każdą przeszkodę, byle tylko w końcu zyskać miłość zmarłego dawno temu potwora.

Wiedział, że córka jest na Alasce, przypadkowo w samym środku jego osobistej krucjaty. Ale nawet jej śmierć byłaby niczym, gdyby tylko ojciec w końcu zostawił go w spokoju.

Londyn

Kiedy w British Museum sytuacja wróciła do normy, wszyscy wciąż zadawali sobie pytanie, kto pierwszy zareagował na odgłosy strzałów odbijające się echem w wyłożonych marmurem salach - kobiety, które zaczęły krzyżeć, gdy tylko przed budynkiem rozległa się strzelanina, czy niezliczeni ochroniarze, tajniacy i inni specjaliści od bezpieczeństwa wynajęci do ochrony imprezy. Kiedy rakieta terrorystów zniszczyła daimlera Khalida, strażnicy już zaganiali swoje

spanikowane owieczki w stronę jednej ze stref „tylko dla personelu” na tyłach budynku. Tam najłatwiej było ich bronić.

Większość bogatych gości, zarówno Arabów, jak i Anglików, doświadczyła już zagrożeń terrorystycznych - czy to ze strony islamskich ekstremistów, czy separatystów z IRA - i wielu zachowywało się o wiele spokojniej, niż można było się spodziewać. Spokojnie, nie szarpiąc się, pozwolili strażnikom zaprowadzić się w bezpieczne miejsce. Idąc dużą grupą długimi marmurowymi korytarzami, wymieniali tylko zdawkowe uwagi i mijali przeszklone szafy wystawowe, aż uginające się pod ciężarem cennych dzieł i skarbów archeologicznych. O dziwo, pary arabskie okazywały sobie więcej czułości niż angielskie. Małżonkowie trzymali się za ręce i pocieszali wzajemnie, poganiani przez uzbrojonych strażników.

W czasie tego zamieszania w stronę muzeum nie poleciała ani jedna kula.

W nielicznych thrillerach, które Khalid zdołał doczytać do końca, kule, przelatując tuż obok człowieka, świszczą i można poczuć wzbudzony przez nie pęd powietrza. Ale żaden autor nigdy nie wspominał o ogromnym cieple, jakie wydzielają przelatujące kule. Jemu poparzyły skórę na twarzy i karku.

Kawałki betonu, wyrywane wokół z chodnika przez kule, kasały mu ręce, twarz i oczy. Toczył się najszybciej, jak potrafił, starając się jak najmocniej skulić. Tymczasem pięciu strzelców szło w jego stronę, terkocząc karabinami.

Na ogień z automatów zareagowali policjanci ustawieni przy barykadzie na Great Russell Street. Skulone ciało Khalida dostało się w śmiertelnie groźny krzyżowy ogień. Nie miał gdzie się ukryć - płonący wrak daimlera był zbyt gorący, ale oleisty dym unoszący się z kupy poskręcane metalu stanowił niewielką zasłonę, za którą można było się schować. Kiedy wchodził w dym z limuzyny, jakaś kula przeorała mu plecy, zostawiając ognisty ślad od barku do biodra. Rzucił się przed siebie i stoczył na poziom ulicy. Piętnastocentymetrowy krawężnik był jak pancerz czołgu bojowego w porównaniu z tym, jak nieosłonięty był na poprzedniej pozycji.

Garnitur zaczął mu się tlić od żaru płonącego wraku, a na lewej dłoni, leżącej bliżej samochodu, zaczęły pojawiać się pęcherze od oparzeń. Ale Khalid nie śmiał się ruszyć.

Dwaj napastnicy już polegli skoszeni ogniem z karabinka policyjnego snajpera, a dwaj inni byli ranni. Terrorysty znajdowali się mniej więcej trzydzieści metrów od Khalida, ale dym i ogień ukryły

go na tyle skutecznie, że ich serie łądowały dobrych kilka metrów dalej. Gapie oglądający otwarcie specjalnej wystawy uciekli w panice, potykając się i przewracając o siebie nawzajem, nie zważając na tych kilku pechowców, którzy wpadli pod nogi rozgorączkowanego tłumu.

Zaden z dziennikarzy nawet nie zmrużył oka, kiedy zaczął się atak. Od czasu kiedy Herb Morrison opisał widzianą na własne oczy katastrofę „Hindenburga” i zyskał sławę, a przy okazji zmienił wpływ dziennikarstwa na świat, każdy reporter marzył o takiej chwili. Wszyscy starali się jak najlepiej ją wykorzystać. Spokojnie, niczym widzowie obserwujący serwis tenisowy, przenieśli wzrok z pewnego parlamentarzysty wysiadającego z auta na jatkę zaledwie sto metrów dalej. U wszystkich w jednej chwili śmiertelnie znudzone miny zastąpiła nieskrywana rozkosz, kiedy tylko zaczęły latać kule. Jeden z dziennikarzy wręcz się roześmiał, gdy wybuchł daimler.

Khalid nie widział tego wszystkiego, kuląc się przed świszczącymi wokół kulami. W każdej chwili się spodziewał, że za moment nic już nie będzie czuł. Oczy zacisnął tak mocno, że w ciemności pod powiekami zaczęły mu migać mroczki. Ale leżał całkowicie nieruchomo przy krawężniku na Great Russell Street. Nic w życiu nie było w stanie przygotować go na takie przerażenie, ale był zdziwiony swoim opanowaniem w obliczu śmierci.

Wtem wszystko ucichło tak nagle, jak się zaczęło. W huraganowym ogniu z policyjnej barykady padło dwóch ostatnich terrorystów, zaledwie dwanaście metrów od Khalida. Jeden dostał pojedynczą kulę w lewe oko, a drugi został rozerwany prawie na pół przez serię dziesięciu kul wystrzelonych przez młodego agenta sekcji specjalnej. Całą scenę uwieczniały szybkostrzelne nikony i leiki.

Spadło dość deszczu, by przy krawężniku popłynęła wąska strużka wody. Omijała liście i kawałki cementu oraz zakrętkę od butelki coca-coli, zmywała tłuszcz i brud z policzka Khalida. Chłód wody sprawił, że jęknął, nie ze strachu czy bólu - bo na to miał przyjść czas później - ale z niewyobrażalnej ulgi, że wciąż żyje.

Policyjne syreny przerwały ciszę po ataku. Karetki też były w drodze, podobnie jak kolejni żołnierze, dziennikarze i mnóstwo innych ludzi. Khalid leżał przy krawężniku, czuł, jak deszcz kapie mu na plecy, wije się po szyi i w końcu skapuje na drogę. Dopiero kiedy usłyszał, że ktoś podchodzi i mówi „Jezu Chryste”, spróbował w końcu wstać.

Zdołał unieść się zaledwie o dziesięć centymetrów, ale po chwili przytłoczyły go nieznośne fale bólu. Odnosił poważniejsze rany, niż sądził.

- On żyje! - krzyknął głos w pobliżu. - Dajcie tu lekarza, do cholery, ale już.

Czyjaś dłoń dotknęła uspokajająco barku Khalida i Arab aż westchnął z bólu.

- Wszystko w porządku, stary - odezwał się głos na tyle przekonująco, na ile można być przekonującym, widząc tak zakrwawionego człowieka. - Masz w sobie więcej dziur niż durszlak, ale nic ci nie będzie.

- Wiesz może, kto to? - zapytał sanitariusz żołnierza, rozpoczynając swoje czynności.

- Tak, największy farciarz, jakiego w życiu widziałem.

Hasaan bin-Rufti uderzył stojącego przed nim człowieka. Choć użył całej siły, zwały tłuszczu zwisające mu pod ręką nie pozwoliły wykonać naturalnego zamachu i część siły została wyhamowana. Cios wierzchem dłoni w drugą stronę był znacznie skuteczniejszy, zwłaszcza kiedy sygnet z czterokaratowym diamentem zdarł skórę z policzka bitego człowieka. Zadawalony z krwawego śladu Rufti uderzył go raz jeszcze w podobny sposób. Tym razem ostrą krawędź klejnotu wbiła mu się w tłusty palec i on też zaczął krwawić. Przeklinając, łapczywie wsadził palec do ust i zaczął ssać, jakby bał się, że przez tych kilka kropli krwi straci życie.

- Całe życie z kretynami! - krzyknął Rufti płaczącym głosem do dwóch mężczyzn stojących za człowiekiem, którego uderzył. Wyjął palec z ust na chwilę, by pochłonąć tost posmarowany kawiozem. Zaraz potem wsunął go znowu do ust, głośno siorbiąc. Mówił dalej z palcem w ustach. - Jak trudno jest trafić rakieta do nieruchomego celu? Mielicie strzelać, kiedy tylko się zatrzymają, ale wy uznaliście, że trzeba odczekać i dać Khuddariemu uciec.

- Ależ proszę, kierowca był moim bratem... zapewne pan o tym wie? - jęknął pochylony kurdyjski bojownik.

- Dałem waszej organizacji milion dolarów w zamian za śmierć jednego człowieka, a ty mi mówisz, że nie chcesz nic poświęcić dla waszej sprawy? Kierowca miał zginąć, obaj o tym wiedzieliście. Miał zastrzelić Khuddariego, a potem zginąć w wybuchu rakiety. Jego męczeństwo było kluczem do całej operacji. Jak na Allaha i jego proroka zamierzacie walczyć o swoją sprawę, skoro nikt nawet nie wie, kim jesteście? Żeby świat się dowiedział, potrzebujecie męczenników. - Wściekłość i frustracja sprawiły, że gumowe usta Ruftiego opadły mu obrzydliwie. - Wiecie, że po angielsku Kurd brzmi prawie tak samo jak rodzaj sera? Przez to ludzie i tak się

z was śmieją. Kurdyjska ojczyzna. Brzmi jak kraina mlecznych krów i serowarów.

Rufti spojrział na zegarek - specjalnie dla niego trzeba było przygotować bransoletkę zdolną opasać trzydzieści centymetrów nadgarstka.

- Za dziesięć minut BBC dostanie list z oświadczeniem, że dzisiejszy atak był dziełem waszej organizacji, Zjednoczonego Kurdystanu, i że ataki będą się powtarzały, jeśli nie zostaną spełnione wasze żądania, by utworzyć niepodległe państwo. Po tej wpadce świat powie: „No to proszę, atakujcie sobie dalej. Siedmiu Kurdów padło trupem i zdołali rozstrzelać trochę cementu z chodnika. Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce nie będziecie mieli kim walczyć, więc proszę bardzo”. Umawialiśmy się - ciągnął poirytowany Rufti, trzęsąc swoimi licznymi podbródkami - na pieniądze za zabójstwo Khalida Khuddariego. Wiem, że jesteście za głupi, żeby zrozumieć, jak ważna jest dla mnie jego śmierć, ale nie płaszczcie się przede mną i nie jęczcie, że w ostatniej chwili się rozmyśliliście.

W tych cennych chwilach Rufti czuł się dokładnie tak, jak sam siebie postrzegał. Miał władzę, prawdziwą władzę. Jego dwaj asystenci zabiliby Kurdów, gdyby im tylko kazał. Miał zresztą zamiar to zrobić, ale dreszczyk emocji, jaki dawał mu bojownik płaszczący się u stóp, był zbyt upajający, by kończyć za szybko. Chciał to przeciągać, smakować, czuć władzę, na którą zasłużył, władzę czynienia dobra i zła, szafowania życiem i śmiercią. Kaligula tak się musiał właśnie czuć, pomyślał.

Z ogromnej tacy Daultona, na której Ruftiemu przyniesiono przystawkę, minister wybrał krakers z pasztetem z gęsich wątróbek i wepchnął go sobie do ust tak szybko, że drugi, który podniósł, zniknął w nich za jednym zamachem. Patrząc na klęczącego Kurda, zastanawiał się nad trzecim krakersem, który trzymał w ręku. Pokusa wzięła górę i ten również zniknął. Wychylił kieliszek bezalkoholowego bruta i tak ochoczo dołał sobie udawanego szampana do delikatnego kryształu, że rozlał go na niską pułę stojącą obok fotela, w którym spoczywało jego cielsko.

Poza spotkaniami z Irańczykami i Irakijczykami Rufti spędził ostatnie kilka dni, przygotowując przemówienie na jutrzejszą ceremonię otwarcia szczytu OPEC. Starannie połączył w niej odpowiednią dozę żalu z podziwem dla Khalida Khuddariego, wściekłością na bezsensowny atak, w którym stracił życie, oraz ze znużoną zgodą na przyjęcie funkcji oficjalnego przedstawiciela Emiratów na tym szczycie. Choć plan zabójstwa Khuddariego był snuty od

tygodni, a nawet miesięcy, pisanie przemówienia zostawił sobie na sam koniec, by pośpiech przy jego tworzeniu dodał mu wiarygodności.

Kiedy pomyślał, jak będzie tłumaczył Irańczykom i Irakijczykom, dlaczego Khuddari wciąż żyje, poczuł nieprzyjemny skurcz w jelitach. To zabójstwo miało uruchomić tyle wydarzeń, że Rufti sam nie był w stanie ich spamiętać. A teraz żadne z nich się nie urzeczywistni. Szczególnie Irakijczycy będą domagali się zwrotu zapłaty. Wyłożyli lwią część pieniędzy na szkolenie kurdyjskich bojowników. Większość tych pieniędzy trafiła zresztą na osobiste konto Hasaana Ruftiego. Teraz Irakijczycy będą domagać się wyjaśnień.

Co mówił przedstawiciel Iraku? Na wieść o śmierci Khuddariego przerzucą na południową granicę dwadzieścia tysięcy żołnierzy i osiem tysięcy czołgów. Rufti znów upił łączywie z kieliszka, a jego gładka, świńska twarz stężała, kiedy spojrzał na Kurda klezczącego przed nim. Chcę zabić tego kozojebcę własnymi rękoma, pomyślał.

Gdzieś w głębi dziesięciopokojowego apartamentu zadzwonił cicho telefon. Chwilę później do drzwi zapukał asystent. Na srebrnej tacy przyniósł czarny przenośny telefon, podając go niczym kawałek ciemnego ciasta.

- Co? - warknął Rufti.

- To Tariq, panie ministrze. Jest w szpitalu, do którego zabrali Khuddariego. - Tariq był jednym z ludzi Ruftiego.

- Allahowi niech będą dzięki. - Rufti chwycił telefon i spojrzał znacząco na pozostałych mężczyzn. - Przynajmniej ktoś wykazał się odrobiną inicjatywy.

Do słuchawki przemówił ostrym i nieznośnym sprzeciwu głosem, nie rozdrażnionym jak jeszcze przed chwilą:

- Tariq, powiedz mi, że masz dobre wieści i że ten szakal zdechł od ran.

- Nie, panie ministrze. Khuddari wciąż żyje, ale jego stan określono jako krytyczny. Kiedy tu dojechałem, pielęgniarz jeszcze ścierał krew z podłogi w izbie przyjęć.

Rufti wiedział, że Tariq rozmawia z nim z niezabezpieczonej komórki, więc zbeształ go za używanie nazwisk, po czym ciągnął, jakby własne rady nie dotyczyły jego samego:

- Posłuchaj mnie. Zostań w szpitalu, ale nie zbliżaj się do Khuddariego. Nie mogę pozwolić, by ktoś połączył twoją obecność ze mną. Jak wygląda ochrona?

- Na razie niezbyt mocna. Chyba nie wiedzą, kim jest Khuddari. - Tariq włożył w głos tyle pewności siebie, ile był w stanie. -

Mogę bez trudu dostać się do jego pokoju. Jedna kula więcej chyba nie będzie miała aż takiego znaczenia?

- Nie. Trzymaj się w pobliżu. Muszę się przez chwilę zastanowić. Może wyślę tego kurdyjskiego idiota, żeby raz na zawsze skończył z Khuddarim. - Rufti wyłączył telefon i wskazał na wciąż klęczącego Kurda. - Zamknąć go na razie. Jeszcze z nim nie skończyłem.

Rufti żałował, że nie ma przy sobie Abu Alama. On wpadłby do sali Khuddariego, plując ogniem z karabinu, i uciekł, nim władze zdążyłyby się zorientować, co się stało. Rufti nie miał takiego samego zaufania do swego drugiego przybocznego. Tariq był dobry, ale ostrożny. Brakowało mu psychotycznej gorączki Alama. Ale Alam był niezbędny na Alasce, by pilnować go przed zdradą Kerikowa i nadzorować porwanie Aggie Johnston. To po to, by jej ojcu nagle nie przyszło do głowy wycofywać się z umowy.

Ból szarpał Khalida Khuddariego, wykrzywając mu twarz w grymasie tak mocno, że zmarszczki miały mu pozostać na zawsze. Oczy zaszyły mu mgłą i na zawsze miały stracić swój blask. Ból. Zaczynał się w pośladkach i szedł w górę po plecach, promieniując z kręgosłupa tysiącami nerwów, które rozgałęziały się niczym poplątane korzenie jakiejś rośliny. Ból okrywał mu barki niczym peleryna, przyciskając go płasko do łóżka. Ale szczególnie mocno bolała go głowa. Czuł koszarne łupanie, jakby mózg mu spuchł i naciskał na czaszkę. Miał wrażenie, że twarz pokąsał mu cały rój pustynnych os.

Khalid jęknął, a jakiś głos powiedział:

- Aha!

Z trudem otworzył powiekę, obawiając się, że oko wyjdzie mu z orbity. Głos należał do Hindusa około pięćdziesiątki, ze szpakowatymi włosami i niemal białymi wąsami. Skórę miał koloru mocnej herbaty, a oczy wyglądały na nieco rozmyte za okularami w drucianej oprawie. Miał na sobie zielony szpitalny fartuch. Na szyi dyndał mu stetoskop, niczym martwy wąż.

- Wydaje mi się - odezwał się hinduski lekarz ze szczególną mieszkanką snobistycznej angielskiej arogancji i wrodzonej od pokoleń usłużności - że ogromnie cierpi pan z bólu, ale nie wiem, czy chciałby pan zażyć morfinę, by go złagodzić. Wydaje mi się, że jest pan muzułmaninem i poglądy religijne mogą panu nie pozwalać na używanie takich leków, prawda?

- Daj mi zastrzyk - zdołał wycharczeć Khalid przez odretwiąłe usta.

- Ależ z całą pewnością, proszę pana, otrzyma pan lek. - Le karz zajął się wstrzykiwaniem morfiny do kroplówki wiszącej nad łóżkiem Khalida.

O Boże, pomyślał Khalid. Moje życie jest w rękach lekarza jakby wziętego prosto z dowcipu.

- Ma pan ogromne szczęście, z całą pewnością. Ale proszę pozwolić, że się przedstawię, nazywam się doktor Ragaswami. Przyj-mowałem pana na oddziale ratunkowym. Proszę mi wierzyć, że obficie pan krwawił, kiedy pana przywieziono. Ale ani jedna kula nie przeszła przez pana. Z całą pewnością, ani jedna kula. Trzy pana drasnęły, niektóre zostawiły długie blizny wymagające wielu szwów, ale żadna nie wyrządziła poważniejszych szkód. Wyjąłem też z pana prawie czterdzieści gramów cementu, zapewne z odłamków poodłupywanych przez kule. - Ragaswami patrzył na monitor EKG obok Khalida i z zadowoleniem stwierdził, że pacjent ma się lepiej.

- Jak długo? - wydyszał Khalid.

- Mamy teraz dziesiątą wieczorem - powiedział Ragaswami wysokim głosem, zerknąwszy na tani cyfrowy zegarek. - Jest pan tu od ponad pięciu godzin. To wręcz niesamowite, że już pan oprzy-tomniał. Z całą pewnością jest pan bardzo silnym człowiekiem. Ktoś słabszy leżałby nieprzytomny co najmniej do jutra.

Ragaswami pewnie mówiłby dalej, gdyby Khalid mu nie przerwał:

- Muszę zadzwonić.

- Och, tak, właśnie miałem o tym powiedzieć. Zanim pana tu przywieziono, zgubił pan dokumenty. Nie mamy jak skontaktować się z pańską rodziną.

Morfina zaczynała działać. Khalid czuł, że płomień liżące jego plecy słabną, ogień powoli przygasał.

- Nie mam tu rodziny - mruknął Khalid chrapliwie - ale mam przyjaciela, Trevora Jamesa-Price'a. Dziś wieczorem miał być na kolacji w Les Ambassadeurs.

Po kilku minutach Ragaswami polecił pielęgniarce dyżurnej od-szukać Jamesa-Price'a, a sam w tym czasie oglądał powierzchowne rany pokrywające plecy Khalida. Mruczał przy tym pod nosem i raz nawet z dumą zakrzyknął, jakie to solidne szwy założył.

- Przykro mi, ale w restauracji nie mają rezerwacji na nazwisko James-Price - odezwała się wiedźmowata pielęgniarka, zaglądając do sali Khalida.

- Zaraz, to nie on rezerwował. - Khalid odtworzył w pamięci spotkanie z Trevorem, była z nim ta kobieta. Nie wyglądało na to, żeby znali się od dawna. Kolacja to był jej pomysł, nie jego. Ktoś taki

jak Trevor nie mógłby z marszu dostać rezerwacji w Les A. - Stolik jest zarezerwowany na Millicent... - przerwał na blisko minutę. Morfina coraz silniej działała na umysł, blokowała nie tylko ból, ale i świadomość. Świat stawał się... szary. - Millicent Gray, to ona robiła rezerwację. Proszę powiedzieć Trevorowi, że go potrzebuję. Pięć minut później Khalid chwiał się nad skrajem ciemności, głębokiej przepaści, która go wołała, do której chciał wejść za wszelką cenę, ale bronił się przed nią jak Saladyn przed krzyżowcami pod Ghalali. Pielęgniarka wróciła w końcu z bezprzewodowym telefonem. Położyła go na łóżku tak, by Khalid mógł rozmawiać bez ruchu, inaczej mógłby sobie porozrywać szwy na ranach pokrywających całe ciało.

- No, stary, to trochę nie fair - odezwał się Trevor nieco obruszony. - Sądziłem, że spotkamy się nieco później. Nieczęsto zdarza mi się taka laska jak Millie.

- Zamknij się, Trev - jęknął Khalid. - Mam kłopoty.

- Co ty nie powiesz? Wy, turbaniarze, ciągle macie jakieś kłopoty. Przez ten wasz Koran i dżihadystyczne bzdury. Ta książka jest o wiele za brutalna, a wy się nią zaczytujecie jak bajką dla dzieci.

- Trevor, zamkniesz się wreszcie? - Dzięki morfinie było mu łatwiej mówić, ale zaczynał gubić wątek. - Leżę w szpitalu pod okiem jakiegoś hinduskiego felczera, z całą pewnością. Musisz tu przyjechać. I twoja przyjaciółka też.

- Co ty wygadujesz? - W zwykłym nonszalanckim głosie Trevora pojawiła się nuta niepokoju.

- Postrzelili mnie, do cholery, baranie. Musisz mnie stąd wyostać. To jeszcze nie koniec. To się nigdy nie skończy.

- Nie wiem, o czym ty mówisz, Khalidzie. Daj mi swojego lekarza.

- Nie - uciął Khalid. Ragaswami wyszedł z sali, obiecując, że wróci za kilka chwil. - Nie dzisiaj. Nie dam rady. Jutro rano musisz tu przyjechać i przywieźć ze sobą Millicent Gray. Jest dość wysoka.

- Khalidzie, co ty wygadujesz? Jezu, porządnie mnie nastraszyłeś. Wszystko z tobą w porządku?

- Jestem na morfinie. Nie mogę dłużej rozmawiać.

Khalid zaczął bełkotać, spadając w ciemność.

- Jutro rano, bądź tu z panią Gray. Ubierz ją w czador, zakryj całą. Musi być osłonięta od stóp do głów jak wierna muzułmanka. Powiedz, że to moja żona. Rozumiesz?

Trevor usłyszał desperację w głosie Khalida.

- Możesz być pewien, przyjacielu, zjawimy się, jak tylko nam otworzą. Chryste, dla ciebie sam mogę się przebrać w ten pieprzony czador.

Khalid osunął się w nieświadomość wywołaną lekami i bólem. Gdyby usłyszał kilka ostatnich słów przyjaciela, być może ocaliłby mu życie. Telefon zsunął się z poduszki i upadł na podłogę tak mocno, że wypadła z niego bateria i połączenie się zerwało, tak jakby Khalid odłożył słuchawkę.

W Les Ambassadeurs Trevor oddał telefon stojącemu nad nim kelnerowi i zwrócił się do podnieconej towarzyszki.

- Pamiętasz mojego przyjaciela, którego spotkaliśmy w Savoyu? Zdaje się, że potrzebuje naszej pomocy.

- Nie mów, że wie, że mój mąż jest parlamentarzystą?

- Moja droga. - Trevor wziął jej wąską dłoń w swoje ręce, odsuwając na bok talerz z wyśmienitą szkocką wołowiną. - Nie bądźmy takimi plebejuszami. Jutro rano będziesz władczą haremu. A ja będę haremem.

- Sądziłam, że do haremu mogą należeć tylko dziewczęce?

- Owszem, ale obawiam się, że dzisiejszej nocy będę musiał pożegnać się z dziewictwem.

„Nadzieja”

Ciepłe powietrze z centralnego ogrzewania było suche i miało zapach ozonu. W kajucie pachniało, jakby przed chwilą doszło do zwarcia elektrycznego. Przeszarżały system zgrzytał za każdym razem, kiedy przepompowywał wodę w trzeszczących rurach, i to tak głośno, że Aggie, i tak już podminowana, aż podskoczyła, kiedy rura strzeliła niczym pistolet. Za bulajem popołudniowe słońce kryło się za warstwami chmur i rzadką mgłą. Marznący deszcz uderzał w szkło, smagany ostrym wiatrem wiejącym prosto z bezkresnych pustkowi kręgu polarnego. Według cyfrowego termometru przy wejściu do kajuty na zewnątrz było minus dwa stopnie, ale przez wiatr odczuwalna temperatura na pewno sięgała dziesięciu stopni poniżej zera.

Była dopiero połowa października i zima zaczynała skuwać tę krainę białych nocy.

We wnętrzu kajuty było około dwudziestu stopni, ale Aggie wydawało się, że jest o wiele cieplej. Skończyła właśnie pięćdziesiąt przysiadów i leżała na podłodze na plecach, a długie nogi uniosła pod kątem trzydziestu stopni nad ziemią. Trzymała je tak długo, że mięśnie brzucha zaczęły jej drżeć. Ćwiczyła od dwóch godzin, robiąc ćwiczenia izometryczne, aerobik i stepping na metalowej szafce na buty. Wykonała dwieście wyrzutów w przód, których uczyła się na

lekcjach szermierki. Przy każdym ataku była tak skupiona, że prawie czuła, jak wyimaginowana szpada dosięga przeciwnika. Skóra błyszczała jej od potu, a mokre włosy przylegały do głowy. Spodnie od dresu i koszulka przylgnęły jej do ciała jak druga skóra.

Kiedy wstała, żeby wykonać ostatnie ćwiczenia, zobaczyła swoje odbicie w lustrze na ścianie. Przywykła do własnego wyglądu po ćwiczeniach, więc nie przejmowała się włosami, ubraniem czy potem kapiącym z podbródka. Ale oczy... wciąż płonęły zimną szmaragdową furią. Godziny ćwiczeń ani trochę nie ugasiły buzującego w niej gniewu.

- Faceci - warknęła do swojego odbicia.

Przez całe życie udowadniała niezależność, podejmowała wyzwania, radziła sobie z nimi, najczęściej stosunkowo łatwo. Sama zdobyła dyplom, sama doprowadziła niegdyś niezdarne i kościste ciało do obecnego wyglądu, sama budowała własną osobowość, przez całe lata walcząc z wpływami rodziców i ich pokręconego życia. Zasłużyła na szacunek, poświęciła temu mnóstwo czasu i ciężkiej pracy. Ale w ciągu ostatniej doby została potraktowana jak mebel albo domowe zwierzę.

- Pieprzyć ich obu!

Jan i te jego tajemnicze wyjazdy oraz przechwałki, że ropa stanie się tak odrażająca, że nikt nie będzie już chciał z niej korzystać. Mercer i to jego protekcyjne polecenie, żeby dla własnego bezpieczeństwa wyjechała z Alaski. To nie XIX wiek, nie jest przecież jakąś minoderyjną damulką, którą trzeba ratować. Obaj zachowywali się, jakby wiedzieli wszystko lepiej, jakby jej życzenia i opinie nic nie znaczyły. Jezu Chryste!

Jan w nocy ją zgwałcił. Mężczyzna, który chciał się z nią ożenić, wdarł się w nią, nie zważając na jej uczucia. Równie dobrze mogłaby być dla niego nadmuchiwana lalką, zabawką do masturbacji. Sądziła, że go kocha - myślał i czuł tak podobnie - ale teraz zrozumiała, jak bardzo się różnią. Od początku wiedziała, że ma rozdęte ego i jest skupiony na sobie, ale dopiero teraz zobaczyła, że to właśnie ego go napędza. Już sama myśl o nim była nieznośna, jakby po skórze pełzał jej owad o wielu odnóżach.

A Mercer i jego poranny nalot aż kipiący od testosteronu? Krzyczeli i biegali z wyciągniętą bronią, jakby odbijali samolot z rąk terrorystów. A te groźby, że może kazać wszystkich aresztować? Powinien był to zrobić, wszyscy na pokładzie „Nadziei” chcieli iść do pudła za swoje przekonania. W ten sposób znów potraktował ją protekcyjnie. I ten docinek o działacze ekologicznej z funduszem

powierniczym. Niemal słyszała, jak mówi: uważaj, Aggie, bawisz się teraz z dorosłymi i nie chcemy, żeby stała ci się krzywda.

Zaraz, przecież też jestem dorosła, pomyślała z goryczą. Wiem, co robię. Za miesiąc miała skończyć trzydzieści dwa lata, a on traktował ją jak sześciolatkę. Tylu mężczyzn w jej życiu traktowało ją podobnie, jak jakiś cenny przedmiot, który trzeba chronić za wszelką cenę. Zwłaszcza ojciec - ukrywał problemy z matką, aż było za późno. Obawiał się, że rozwód, a nawet separacja za bardzo skrzywdzi Aggie. Dobrze sobie. A samobójstwo matki niby miało po niej spłynąć?

I co u licha miał na myśli Mercer, mówiąc: „Chciałbym móc powiedzieć, że też cię nienawidzę, ale nie potrafię?”

Ku swemu zdumieniu Aggie zobaczyła w lustrze, że wzrok jej mięknie, napięcie na twarzy ustępuje, a grymas zdenerwowania prawie zmienia się w uśmiech.

Wiedziała, co to oznacza.

- No dobrze, doktorze Mercer, dostaniesz, co chcesz - odezwała się Aggie lodowatym głosem. - Wyjadę. Z daleka od Jana i Alaski, ale przede wszystkim jak najdalej od ciebie. Ale najpierw muszę postawić na swoim i skończyć z tym idiotycznym zadurzeniem, z którym powinnam była skończyć wieki temu.

Kiedy rozmawiali z Janem o małżeństwie, nie wręczył jej diamentowego pierścionka. Twierdził, że nie chce przyczyniać się do niszczenia środowiska przez przemysł wydobywczy i nie zamierza podpisywać się pod powszechnym przekonaniem, że diamenty oznaczają wieczną miłość. Z okazji zaręczyn dał jej pierścionek z rogu jelenia. Wydawał się uroczy i odpowiedni do tego, w co oboje wierzyli. Wyjęła go z bagażu. Małeńkie aksamitne pudełko wydawało się zbyt wyrafinowane dla prostego beżowego pierścionka.

- Ty tani draniu - syknęła Aggie i zostawiła pudełko na biurku Jana z otwartym wieczkiem. Wyglądało, jakby śmiało się jej w twarz.

Wzięła prysznic, ubrała się i ukryła mokre włosy pod czapką baseballową. Spakowała kilka rzeczy do plecaka, zostawiając większość ubrań i „niezbędnych” przedmiotów, które przywiozła ze sobą na Alaskę. To, co będzie jej potrzebne, kupi sobie w San Diego, rodzinnym mieście dawnej przyjaciółki ze studiów. Aggie chciała zostawić za sobą wszystko: Jana, Mercera, PEAL i cały ten zmarnowany rok życia. Balansowała na krawędzi, czas było wrócić do normalności.

Aggie знаła nazwę hotelu Mercera z rachunku za kolację, który znalazła w kieszeni jego kurtki. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić, ale uznała, że niespodzianka będzie o wiele skuteczniejsza.

Mercer leżał oparty o wezglowie łóżka. W telewizji szedł świetny mecz futbolowy studenckich drużyn ze stanowych uczelni na Florydzie i w Georgii. Trwała właśnie trzecia kwarta, a wynik - tylko dziesięć do czternastu. Obrona obu drużyn zatrzymywała świetnie wykonane rajdy tuż przed polem bramkowym. W zasięgu ręki na szafce nocnej miał piwo. Gruby krąg wilgoci otaczał brązową butelkę niczym średniowieczna fosa.

Pociągnął łyk i zerknął na zegarek. Miał nadzieję, że reszta kończącego się popołudnia minie w spokoju. Od nalotu na statek ekologów Mercer nie oddalił się dalej niż metr od telefonu. Bardzo pragnął, żeby nie zadzwonił, ale wiedział, że wcześniej czy później zadzwoni.

Znów miał to przecucie. Coś było nie tak. Nieobecność Jana Voerhove na pokładzie „Nadziei” była najbardziej oczywistym tego znakiem, ale były też inne, które trudno mu było wyjaśnić, nawet przed sobą. Mercer znów zaczął myśleć o skojarzeniach, drobiazgach, które dawały mu taką pewność. Tego rodzaju domysły były niepotrzebne i groźne, ale w ten właśnie sposób rozwiązywał problemy, choćby nawet najprostsze.

Zaczęło się od ton ciekłego azotu szmuglowanego na Alaskę. Po co? Kto miałby to robić i w jakim celu? Po drugie, najbardziej radykalne ugrupowanie ekologiczne na świecie pojawiło się na Alasce, a jego przywódca wyjechał na jakąś tajemniczą misję, o której nie wiedziała nawet jego dziewczyna. Do tego jeszcze Iwan Kerikow, międzynarodowy terrorysta, a właściwie dealer terroryzmu. Człowiek nielojalny wobec nikogo poza samym sobą, ale najwyraźniej o nieograniczonych możliwościach. Też pojawił się na Alasce z kilkoma Arabami. Jaką oni odgrywali rolę?

Co były agent KGB, kilku arabskich zabijaków i grupa ekologów mogą zrobić z ciekłym azotem w przeddzień rozpoczęcia eksploatacji złóż w Arktycznym Rezerwacie? Już choćby jeden element tej układanki musiał budzić zaniepokojenie. A było tego więcej.

Na przykład wyznanie Aggie o jej ojcu. Twierdziła, że Maks Johnston wiedział, o której była w jego domu, znał dokładny moment koszmarnego ataku, który tylko dzięki wejściu Harry'ego White'a nie zamienił się w masakrę. Czy Maks miał z tym jakiś związek? Czy to nie jeden z jego tankowców spóźnił się do terminalu Alyeska po załadunek ropy z zatoki Prudhoe? Czy to coś znaczy?

Mercer poruszył się na łóżku, żeby sięgnąć po telefon. Chciał zadzwonić do Dave'a Saulmana w Miami. Chciał, żeby jego znajomy prawnik morski powiedział mu coś więcej o tym tankowcu. To był strzał w ciemno, być może pudło, ale warto spróbować. Już sięgał

dłonią po telefon, kiedy rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Wstał, a kiedy otworzył, szybko się cofnął. Aggie Johnston miała na sobie dzinsy, sweter i swoją oliwkową kurtkę. Spod baseballówki na głowie wystawały kosmyki włosów delikatnych jak jedwabne nitki, które opadały jej za uszy. Pod pachą trzymała jego skórzaną kurtkę. Pod wściekłą miną dostrzegł ukryte emocje, o których nawet ona sama nie wiedziała, bo inaczej na pewno próbowałaby je przed nim ukryć. Widział, że cierpi i jest przerażona. Mercerowi serce waliło jak młotem. Odezwała się szorstkim głosem:

- Muszę ci powiedzieć kilka rzeczy.

- Naprawdę? - Zmuszał się, by mówić obojętnym głosem.

Aggie wepchnęła mu się do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Chcę, żebyś wiedział, że wyjeżdżam z Alaski i rzucam Jana.

- Dlaczego? - Na twarzy Mercera pojawił się uśmiezek zaintrygowania.

- Dlaczego co? Dlaczego odchodzę?

- Nie, dlaczego mi o tym mówisz? - Mercer uśmiechnął się szerzej, widząc złożoną grę emocji na twarzy Aggie. Widać było wyraźnie, że nie spodziewała się tego pytania.

- Po prostu chcę - odparła poirytowana Aggie. - Mam dość. Dość Jana, jego ego i protekcyjności, i dość twojego udawanego nadętego heroizmu.

- Wcale nie udawanego - droczył się z nią Mercer.

- Cholera jasna, Philipie, czy ze wszystkiego musisz żartować?

- Jego imię w jej ustach zaskoczyło go w równym stopniu, jak ją samą. Nagle w pokoju zapanowała intymna atmosfera, w powietrzu wisiało coś namacalnego.

- Nie, Aggie. - W jego głosie zabrzmiała czułość, jakiej jej wcześniej nie okazywał. - Nie żartuję z Kerikowa ani z twojego byłego narzeczonego. Nie żartuję z ataków na mój dom ani ze śmierci Howarda Smalla i jego krewnych. To nie żarty. To właśnie próbuję ci powiedzieć.

- A co z nami? - zapytała Aggie tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Tym razem to on był zaskoczony pytaniem, którego się nie spodziewał. Nim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się do drzwi i przestała na niego patrzeć.

- Nieważne - powiedziała. - To nie ma znaczenia. Wszystko się skończyło... PEAL, Jan, a nawet moje zadurzenie w tobie.

Sięgała do klamki, kiedy Mercer zawołał ją po imieniu. Nie mógł pozwolić jej odejść. W jego głosie słychać było pożądanie. Po raz pierwszy żadne z nich nie musiało się bronić. Stali przed sobą nie

jako przeciwnicy, ale jako mężczyzna i kobieta, gotowi przyznać się do uczucia. Dwie dusze zbliżyły się tak mocno, jak chciały tego ich ciała.

Aggie przeszła przez pokój, zrzucając po drodze kurtkę. Wpadła na niego z taką siłą, że niemal nie przewróciła go na łóżko. Objęła rękoma jego skronie i przyciągnęła głowę do siebie, wpijając się dziko w usta.

Mercer objął ją i jedną ręką wyciągnął koszulkę ze spodni, a drugą wodził po jej gładkiej skórze na plecach, aż dotarł do smukłej szyi. Przycisnęła go mocniej do siebie, próbując zatopić się w jego objęciach jak wystraszone zwierzę, ale żadnej nieśmiałości nie było widać w ruchach jej języka, buszującego w ustach Mercera.

Poruszali się jak w gorączce, dłonie wędrowały bez końca, napędzane żądzą odkrywania, pieszczot i posiadania. Bez chwili namysłu padli na łóżko, a materac pulsował w rytm wijących się ciał, wciskających się w siebie nawzajem. Usta odrywali tylko na chwilę, by cicho jęczeć i dyszeć.

- Dlaczego? - zapytał Mercer z nabożną ciekawością.

- Zamknij się, oboje tego chcemy. - Chwyciła go za pośladki i przyciągnęła do siebie.

Aggie miała koszulkę wokół szyi. Wyrwała się z jego objęć na ułamek sekundy, by pozbyć się bawełnianego T-shirta. Nie nosiła stanika i kiedy Mercer zobaczył jej piersi, poczuł szczyt seksualnego napięcia. Jego dłonie zaczęły żyć własnym życiem i nie sposób było ich powstrzymać. Jedna dłoń odnalazła jej lewy sutek. Objął ją w pełni, tak że palcami sięgał do żeber. Miała drobne, niemal dziewczęce piersi zakończone maleńkimi czerwonymi sutkami nie większymi od pięciocentówek.

Kiedy Mercer dotykał kobiecego ciała, zawsze trochę wstydził się swoich dłoni. Były pokryte odciskami i porane bliznami od fizycznej pracy. Skórę na nich miał szorstką jak u jakiegoś pustynnego gada. Palce tak mu stwardniały, że stawy przypominały średniowieczną zbroję. Kiedy dotknął dłonią piersi Aggie, dziewczyna oderwała się od jego ust i krzyknęła. Mercer natychmiast cofnął rękę w obawie, że coś jej zrobił. Ale Aggie natychmiast znów przycisnęła jego dłoń, przesuwając szorstką skórą po najwrażliwszych częściach swego ciała, w tym szybszym tempie, im bardziej przyspieszał jej ciężki oddech.

- O mój Boże! - zdołała krzyknąć prosto w usta Mercerowi.

Aggie oderwała jego dłoń i powiodła ją do miejsca, gdzie łączyły się jej uda. Przez dżinsową tkaninę Mercer poczuł wilgoć. Niewiele myśląc, szarpnął za pierwszy guzik jej dżinsów; liczyło się już tylko pożądanie. Kiedy mocował się z zapięciem, dotknął ustami jej piersi,

lizął ją namiętnie, aż sutek stwardniał i zaczął przypominać malinę, słodką i kuszącą. Odpiął ostatni guzik. Majtki wyglądały jak wilgotny skrawek jedwabiu, głęboko wciśnięty w fałdy nabrzmiałego ciała.

Nagle rozdzwonił się telefon, a jego dźwięk zabrzmiał natarczywie jak kościelne dzwony.

Nigdy w życiu Mercer nie pragnął bardziej zignorować telefonu, ale wiedział, że nie może. Wściekły oderwał się od Aggie i spojrział na nią. Telefon zadzwonił ponownie. Jej zmieszana mina zabolęła go bardziej niż cokolwiek innego w życiu. Zmusił się, żeby mimo wszystko oderwać wzrok, i podniósł słuchawkę.

- Halo.

- Mercer, tu Mike Collins z terminalu. - Mercer przypomniał sobie szefa ochrony Alyeski, spokojne czujne oczy byłego gliniarza i długą poszarpaną bliznę byłego żołnierza.

- Czekałem na twój telefon - powiedział gorzko, obserwując, jak Aggie ubiera się, siedząc plecami do niego.

- Andy Lindstrom tak właśnie sądził. Mamy tu piekło. W głównym magazynie w Fairbanks doszło do jakichś zamieszek, na dodatek wszystkie komputery w terminalu są zablokowane. Andy poprosił, żebym do ciebie zadzwonił. Skoro wiedziałeś, że coś się szykuje, to wiesz może co?

- Już do was jadę. Powiadomiliście władze? - Mercer patrzył, jak Aggie szarpie się z kurtką. Patrzyła na niego przez chwilę i w końcu wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi. Mercer nie mógł jej zatrzymać i zrozumiał, że nie chciała, aby to robił. Aggie dokonała wyboru, a Mercer wyboru nie miał. Ze smutkiem skupił się całkowicie na rozmowie z Collinsem.

- Jeszcze nie, na pewno nie o komputerach. W sprawie tych zamieszek w Fairbanks dzwoniła do nas policja. Zdaje się, że protest przed bramą magazynu wymknął się spod kontroli. Według policji z Fairbanks to nie PEAL, ale jakaś grupa obrońców praw rdzennej ludności. Wykrzykują coś o bezczeszczeniu świętej ziemi.

- Nie przejmujcie się tymi zamieszkami. To nic ważnego. - Mercer wcisnął sobie telefon między ramię a głowę, równocześnie wolnymi rękoma zaczął sznurować buty. Podał Collinsowi numer komórki Dicka Henny. - Zadzwon do niego, powiedz, kim jesteś, i powiedz, że chcę, żeby postawił w gotowości bazę lotniczą Elmendorf.

- Po co? Przecież sam powiedziałeś, że zamieszki w Fairbanks to nic ważnego. Po prostu banda miłośników Eskimosów trochę sobie pokrzyczy i tyle. Wysłałem już do nich część mojej ochrony z dalszych stacji rurociągu. Rozgonią ich w dwie godziny.

- Tak, ale kiedy twoi ludzie będą uganiać się za cieniami, Kerikow zaatakuje naprawdę zupełnie gdzie indziej, a twoich ludzi nie będzie na miejscu - odparł ostro Mercer. - Będę za dwadzieścia minut. Kiedy uruchamiał na parkingu blazera, nie widział nigdzie Aggie. I wiedział, że jeśli później nie zacznie jej szukać, już jej więcej nie zobaczy. W dołku poczuł pustkę, ale wydawało mu się, że wyjdzie mu to na dobre.

Aggie czekała przy automacie z przekąskami w głębi korytarza. Zamglonymi od łez oczyma patrzyła, jak Mercer wychodzi. Oddanie pierścionka Janowi było zdecydowanym aktem zamknięcia, kończącym jej związek i przynależność do PEAL. Chciała postąpić tak samo z Mercerem; chciała przeżyć ostateczną wspólną chwilę, by uzyskać odpowiedź na pytania o nim i o nich obojgu. Ale nie doszło do tego. Znow zawiśli w jakimś niebycie - ani wrogowie, ani kochankowie. Wiedziała teraz, że przyszła przespać się z nim i oczyścić się ze swoich uczuć. Ponieważ to nie nastąpiło, uczucia tylko się wzmogły. Nie przespała się z nim i w ten sposób udało jej się przedłużyć szansę na związek. Ale kiedy patrzyła, jak Mercer idzie korytarzem, jak zdecydowanym krokiem oddala się coraz bardziej, poczuła ból w piersiach. W końcu łzy pociekły jej z oczu.

Odczekała jeszcze kilka minut, nim wyszła z hotelu. Chciała mieć pewność, że Mercer odjechał. Na parkingu było prawie pusto. W pobliżu bramy wyjazdowej stała ciemna furgonetka, a w pobliżu wejścia do hotelu parkował zniszczony pikap. Wynajęty samochód Aggie stał przy furgonetce, maską tuż przy budynku.

Poszukała kluczyków w kieszeni. Duże kółko stawiało opór i wyciągnęła kluczyki dopiero po dłuższej chwili. Tak się skupiła na srebrnym elemencie przy klamce drzwi samochodowych, że nie zauważyła, iż silnik furgonetki pracuje. Kiedy drzwi odsunęły się z trzaskiem, Aggie się obróciła i ułożyła sobie kółko z kluczykami w dłoni tak, że wystawały spomiędzy jej palców jak metalowe szpony. Zrobiła to odruchowo, ćwiczyła ten gest wielokrotnie w Waszyngtonie, schodząc nocą do samochodu.

Z drzwi furgonetki wyskoczyły dwie postaci. Poruszały się harmonijnie, zachodząc Aggie z obu stron i blokując ją między dwoma samochodami. Obróciła się w ułamku sekundy, patrząc na obu mężczyzn. Zaczęła wpadać w panikę, kiedy dotarło do niej, jak precyzyjnie zastawili pułapkę. Jeden z mężczyzn trzymał w ręku białą szmatkę, nie zbliżając jej do siebie, jakby gałganek zawierał coś groźnego. Aggie rozpoznała w nim człowieka, który nagabywał ją poprzedniej nocy w barze. Odwróciła się plecami do nieznanego,

skupiając się na znanym zagrożeniu. Kiedy to zrobiła, ten drugi rzucił się na nią z tyłu, chwycił ją za ręce i zablokował je za plecami, tak że nie mogła się ruszyć.

Wbiła piętę w stopę trzymającego ją mężczyzny. Kiedy na sekundę rozluźnił uchwyt, Aggie wyrwała się mu, obróciła i podniosła rękę, by wbić mu łokieć w szczękę. Napastnik zatoczył się na furgonetkę. Nie stracił przytomności, ale był oszołomiony. Między nim a jej samochodem powstała niewielka luka i Aggie rzuciła się w tę stronę, próbując się uwolnić.

Napastnik ze szmatką skoczył w jej stronę. Mocną ręką chwycił ją za ramię, wbił stalowe palce w skórę poniżej karku. Ból niemal sparaliżował Aggie. Próbowwała się wyrwać, ale bezlitosny nacisk zwiększył się tak, że aż krzyknęła i upadła na kolana.

Otworzyło się hotelowe okno naprzeciwko dwóch samochodów i wyjrzał z niego mężczyzna z nagą piersią. Na rumianej, ale miłej twarzy miał siwy zarost. Grube włosy na piersi i brzuchu miał czarne i gęste jak futro norki.

- Co się tam, do cholery, dzieje? - odezwał się chropawym głosem prowincjusza.

Abu Alam wypuścił Aggie Johnston i upuścił nasączoną chloroformem szmatkę, po czym obrócił się tak, że aż zawirował mu płaszcz, odsłaniając kolbę strzelby SPAS-12. Chwycił ją w mgnieniu oka i uniósł do strzału. Rzępy specjalnej kabury puściły ją błyskawicznie. Pierwszy strzał rozbił szybę. Śrut nie rozprysnął się na tyle, by trafić ciekawskiego. Drugi strzał nastąpił od razu po pierwszym, tak że zwały się w jeden huk niosący się po parkingu. Tym razem mężczyzna w oknie dostał prosto w twarz. Głowa wygięła mu się do tyłu jak gumowa maska na Halloween, aż w końcu pękła i zawartość czaszki rozprysnęła się po ścianach pokoju.

Dopiero co wychylał się z okna zaniepokojony tym, co dzieje się na parkingu, a już po chwili leżał jako bezgłowe zwłoki sączące fioletowoczną krew z rozszarpanego kikuta, gdzie kiedyś była jego szyja. Alam schował strzelbę Franchi pod skórzany płaszcz i znów spojrzał na Aggie. Leżała u jego stóp z twarzą bladą jak ściana i drżącymi ustami.

- Wsiadaj do samochodu - polecił jej Alam, podnosząc nasączoną chloroformem szmatkę.

Aggie nie była w stanie się ruszyć. Patrzyła nad ramieniem Alama w miejsce, gdzie przed chwilą stał człowiek. Ale kiedy Alam podszedł z zaciśniętymi złowrogo ustami, Aggie zaczęła się otrząsać i wstawać z ziemi. Mężczyzna, którego uderzyła, oprzytomniał

i znów ją chwycił, tym razem mocniej, i odsunął stopy poza jej zasięg. Aggie czuła, że napastnik przyciska do jej pośladków twardy członek. Abu Alam przycisnął jej szmatkę do ust, a Aggie szeroko otworzyła zielone oczy.

Mimo wysiłków nie była w stanie pokonać słodkawego, pachnącego szpitałem chloroformu. Umysł zaczął jej zachodzić mgłą, ciało traciło czucie. Twarde palce jednego z mężczyzn ocierające się o jej krocze wydawały się zupełnie nierealne. Stała się manekinem, plastikową wersją samej siebie, którą starannie zapakowano do furgonetki z rozłożonymi szeroko nogami, by Abu Alam, Ojciec Bólu, mógł gapić się na jej zakryte dżinsami krocze. Jego pomocnik usiadł za kółkiem.

Mercer, jadąc do centrum operacyjnego terminalu morskiego Alyeska, spodziewał się harmideru, pandemonium albo przynajmniej rozruchów na małą skalę. Jednak na parkingu przed kłockowatym budynkiem brakowało floty czerwonych aut Alyeski, a głośniki pod dachem milczały. Wznoszącą się na budynku wieżę radiową prawie całkowicie okryła mgła. Elektrownię za centrum i dziewięćdziesięciometrowe kominy zakładu odzyskiwania oparów było widać jedynie dzięki błyskającym światłom bezpieczeństwa. W samym budynku na korytarzach panowała pustka i podejrzana cisza. Ciężki odgłos jego zdecydowanych kroków niósł się echem, kiedy szedł w stronę centrum dowodzenia.

Andy Lindstrom, dyrektor operacyjny terminalu Alyeska, stał nad jedną z oświetlonych na niebiesko konsoli. Na pobliskim biurku ze sklejki znajdował się kubek z kawą. Przed Lindstromem siedział młody człowiek w czarnym golfie; na jego obwisłych ramionach widać było obfity łupież. Młodzieniec o przekrwionej twarzy patrzył w skupieniu na linijki komputerowego kodu przesuwane się na jednym z monitorów. Mercer dostrzegł, że chłopak ma brudne okulary, a ich końcówki za dużymi uszami są poobgryzane.

Mike Collins rozmawiał przez telefon. Postawił but na jednym z czarnych krzeseł z chromowanymi nogami, a w ustach ścisnął wielkie cygaro. Koszulę rodem z westernu miał pod pachami mokrą od potu. Blizna na policzku nabrała żywego fioletowego koloru. Lindstrom i komputerowiec nie zważali na pokrzykiwania Collinsa pod adresem jego rozmówcy.

- Pieprz się, Ken. Jakoś nie miałeś problemu, żeby pożyczać nasz sprzęt, a nawet ludzi, kiedy mieliście u siebie podbramkowe sytuacje, więc nie mów mi teraz, że zamieszki w magazynie to nasza sprawa, która nie dotyczy twojej policji stanowej, dobra? Już posłałem moich ludzi ze stacji pomp pięć i sześć, ale mają przed sobą kilka godzin

jazdy. Według naocznych świadków policja z Fairbanks wysłała radiowozy na miejsce, ale demonstranci przewyższają ich liczebnie. - Collins przerwał i słuchał przedstawiciela policji stanowej. Blizna zmieniła kolor z fioletowego na czerwony, a jemu stężał wzrok. - Wiem, że nie dzwonili do ciebie po wsparcie. Na litość boską, jak myślisz, dlaczego z tobą teraz rozmawiam? To ja cię proszę o pomoc. Jezus, Maria i Józefie święty coś nigdy nie przeleciał żony, słuchasz mnie? Potrzebujemy pomocy w magazynie sprzętu, Ken. I to już!

Collins odłożył słuchawkę z mocnym stuknięciem i odwrócił się do Mercera. Na twarzy miał gniew i frustrację.

- I pomyśleć, że sam byłem takim gliną jak on i też się trzymałem pieprzonych regulaminów i zasad. Chryste, co za burdel.

- Co się dzieje? - zapytał Mercer. Zdjął kurtkę i rzucił ją na stolik w głębi sali.

- Wszystko - odparł Andy Lindstrom, wyręczając szefa ochrony. - Mercer, to jest Ted Mossey, nasz ekspert komputerowy, choć zdaje się, że te piekielne maszyny na razie go nie słuchają.

Mossey nie podniósł się ani nie wyciągnął do Mercera ręki, lecz tylko obejrzał się przez ramię. Mercer przypomniał sobie jego twarz z poprzedniej nocy. Mossey był w barze w czasie bójki między pracownikami firm naftowych i działaczami PEAL, ale nie mieszał się do niej. Dostrzegł, że Mossey też go rozpoznał, bo za szybko odwrócił delikatną młodzieńczą twarz i wrócił do komputerów. Mercer był pewien, że przez tę krótką chwilę zobaczył w jego oczach strach.

O co, u licha, chodzi?

Lindstrom odpalił kolejnego papierosa od niedopałka. Palcami roztarł zmęczone, zażawione oczy z czerwonymi obwódkami.

- Zdaje się, że gówno walnęło w wentylator, i to porządnie. Wczesnym rankiem nasza ochrona magazynu w Fairbanks znalazła cztery osoby na terenie obiektu, w pobliżu materiałów przygotowanych do wysyłki w miejsce odwiertów. Zatrzymali tych ludzi i na tychmiast wezwali policję. Potem, około dziesiątej, PEAL zwołała wielką konferencję prasową w Fairbanks, twierdząc, że nielegalnie przetrzymujemy ich ludzi. Oskarżyli nas, że porwali ich z ulicy niczym żołnierze gestapo, na litość boską. Cholerni dziennikarze nawet się nie pofatygowali, żeby do nas zadzwonić i dowiedzieć się, co naprawdę się stało. Po prostu śpiewali tak, jak im PEAL zagrała. Po dwóch godzinach przed główną bramą magazynu protestowało już około dwustu ludzi. Początkowo demonstracja była pokojowa, ale teraz to już zamieszki. Za płot rzucają butelki, kładą się na drogach dojazdowych i tak dalej. Co więcej, ci demonstrian-

ci w ogóle nie należą do PEAL. To zbieranina, głównie zwolennicy praw rdzennej ludności, przeciwnicy energii jądrowej, którzy są tu zupełnie od czapy, ale przecież kiedy ktoś zaczyna wrzeszczeć, zaraz zbiegają się wszystkie świrry z całego stanu. Te tłumy mnożą się i mutują szybciej niż wirusy.

- Ma to jakiś związek z awarią komputerów? - zapytał Mercer.

- Nie - odparł Lindstrom zmęczonym głosem. - Awaria komputerów to dzisiejszy pasztet numer dwa. Dwie godziny temu cały system się wywalił. Zamarzył na amen, nie działały klawiatury, dyski, nic. Ted próbuje się dowiedzieć, co się stało.

- I co to może być? - Mercer skierował pytanie w stronę zgarbionych pleców Mosseya.

- Taka blokada? Podejrzewam, że jakiś błąd w konfiguracji albo przepięcie uszkodziło UPS.

- A może to jakiś haker?

- Nie, problem tkwi za głęboko. Protokoły bezpieczeństwa wykryłyby nieautoryzowany dostęp, automatycznie go zawiesiły i wysłedziły atakującego w takim tempie, że haker nie zdążyłby wstać od komputera, a już by siedział w kiciu. Ten system jest szczelniejszy niż centralny serwer FBI.

- A właśnie, przypomniało mi się. - Mercer odwrócił się do Collinsa.

Collins spodziewał się tego pytania i zaczął pierwszy.

- Tak, dzwoniłem. Do tej pory nie wierzę, że masz prywatną komórkę dyrektora FBI. Jezu, nieźle przeżycie porozmawiać z samym Dickiem Henną.

- Mike, w głębi duszy to taki sam gliniarz jak ty. Ma po prostu większe biuro i dłuższy tytuł, to wszystko. Czy potwierdził, że skontaktuje się z Elmendorf?

- Tak, powiedział, że admirał Morrison powiadomił generała Kelly'ego, głównodowodzącego lotnictwa w Połączonych Sztabach. Współpracują z nami w pełni.

- Lotnictwo? Mercer, czego ty się spodziewasz, III wojny światowej? - zażartował Lindstrom.

- Nie, Andy, marszobieg harcerskiego. Przygotuj się.

- Panowie. - Mossey odwrócił się od komputera ze ściągniętą twarzą. - Nawet w ciszy niełatwo mi się uporać z tym bajzlem. Może byście przestali gadać. Dym z fajek też nie pomaga.

- Jasne, Ted - odparł Lindstrom zaskoczony ostrym tonem Mosseya. Od kiedy Ted zaczął pracę w terminalu Alyeska, był łagodny jak owieczka. Lindstrom uznał, że pewnie awaria jest trudniejsza do

usunięcia, niż Mossey daje po sobie poznać. - Pójdziemy do mojego gabinetu. Daj znać, jeśli coś znajdziesz.

- Świetnie. - Mossey odetchnął i odwrócił się do ekranu z przewijającym się kodem. Kościste palce zawiesił nad klawiaturą niczym muzyk czekający na wejście.

W biurze Lindstroma zaczęło się oczekiwanie.

- Jezu Chryste, odpręż się - powiedział Lindstrom, widząc niepokój na twarzy Mercera. - Rozmawialiśmy o tym wczoraj. Zgodziliśmy się, że gdyby ktoś miał użyć ciekłego azotu, by zakłócić transport ropy, to jedynym logicznym miejscem byłby magazyn sprzętu w Fairbanks. I przyłapaliśmy drani.

- Mieli ze sobą zbiorniki z ciekłym gazem? Jakies cylindry z nierdzewnej stali? - spytał Mercer ponuro.

- No nie. Pewnie poszli na zwiad, żeby sprawdzić, gdzie najlepiej użyć tych zabawek. Cholera, ten magazyn ma jakies sto sześćdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych, a budynki i góry sprzętu leżą porozrzucane wszędzie. Dwie godziny szuka się tam kibla.

Mercer spojrział bez słowa na Lindstroma i z miejsca go uciszył. Mike Collins kiwnął głową w stronę Mercera w geście uznania ze strony zawodowca.

Kilka minut upłynęło im w ciszy.

- System komputerowy - odezwał się Mercer. - Jaką część działalności kontroluje?

- Ba, dosłownie wszystko. Wiesz, jak to dzisiaj jest: komputer musi ci pozwolić na wszystko.

- Jest w stanie odciąć cały rurociąg?

- Jasne. Moglibyśmy sterować stąd całym systemem, ale tego nie robimy. Wszystkie stacje pomp są autonomiczne, monitorowane dwadzieścia cztery godziny na dobę. I to ludzie na miejscu mają ostatnie słowo o tym, co się u nich dzieje. Jeśli mają jakiś problem, też mogą zamknąć całą rurę.

- Istnieje jakies automatyczne obejście? Jakiś sposób, żeby odebrać sterowanie stacjom pomp, odciąć je od informacji i sterować wszystkim niezależnie?

- Nie bardzo rozumiem.

Mercer mówił powoli i wyraźnie, żeby nie było żadnych wątpliwości.

- Czy wasz komputer może przejąć kontrolę nad rurociągiem?

Lindstrom myślał nad odpowiedzią kilka sekund, a kiedy już się odezwał, Mercer nie był zadowolony z odpowiedzi:

- Nie wiem.

Zadzwoił telefon i Collins z Lindstromem aż podskoczyli. Lindstrom podniósł słuchawkę, słuchał przez kilka sekund, a następnie oddał telefon szefowi ochrony. Odwrócił się do Mercera i nerwowymi ruchami starał się zapalić papierosa. Wytrzeszczył oczy i spoił się na twarzy, choć w budynku było dość chłodno. Collins nie mówił wiele, tylko stęknął kilka razy i raz zaklął po cichu. Kiedy się rozłączył, wyraźnie pobleł i zaczęły mu drżeć ręce.

- To był Ken Bassett z policji stanowej. Był wypadek. Obie furgonetki wiozące ludzi ze stacji pomp pięć i sześć w stronę magazynu zjechały z Drogi Daltona. Dojechały tam dwa radiowozy, ale wygląda na to, że nikt nie przeżył.

- Kiedy? - Głos Mercera zabrzmiał jak trzaśnięcie bicia.

- Policja dopiero dotarła, ale furgonetki mogły zjechać z drogi jakiś czas temu. Sądząc po miejscu katastrofy i po czasie, gdy wyjechały ze stacji, powiedziałbym, że co najmniej sześć godzin temu.

Mercer spojrzął przez otwarte miniżaluzje w oknie za biurkiem Lindstroma. Do zmierzchu było zaledwie kilka minut. Za chwilę zrobi się całkiem ciemno. Po szybie spływały srebrzyste strugi deszczu.

- Musimy się tam dostać.

- To osiemset kilometrów na północ stąd.

- W takim razie nie siedźmy i nie dyskutujmy o odległościach - warknął Mercer. - Pewnie macie śmigłowiec o takim zasięgu?

- Tak, ale... - Lindstrom ewidentnie nie był w swoim żywiole. Miał na głowie kryzys i wcale sobie tego nie uświadamiał. Mercer bez trudu wypełnił próżnię, jaką wytworzyło jego wahanie.

- Mike, zadzwoń do tych stacji pomp. Upewnij się, czy wszystko w porządku.

- Można się z nimi skontaktować przez komputer - zauważył Collins.

- Komputery nie działają, zapomniałeś już? Większość ludzi z tych stacji została odesłana do Fairbanks i zginęli. Upewnij się, że ci, którzy zostali, jeszcze żyją.

Collins natychmiast zrozumiał, że trzy pozornie odrębne wydarzenia może coś łączyć. Wypadł z gabinetu, żeby podzwonić z własnego biura.

- Andy, skontaktuj się z waszym pilotem i niech złoży awaryjny plan lotu w stronę Drogi Daltona. Ja idę do biurka twojej sekretarki, żeby zadzwonić do Elmendorf. Będziemy potrzebować ich pomocy. - Mercer już szedł w stronę drzwi.

- Co tu się dzieje? - Lindstrom był już wyraźnie wstrząśnięty.

- Trzecia wojna światowa.

Terminal morski Alyeska

Dwadzieścia nieznośnych minut wlokło się ponad miarę. Tykanie ściennego zegara brzmiało jak bicie serca umierającego człowieka. Mercer zadzwonił do Elmendorf i zapewnił sobie dwa śmigłowce Huey, w każdym po ośmiu uzbrojonych po zęby komandosów sił lotniczych. Zgodnie z obietnicą Dick Henna postawił na nogi wszystkich świętych w Waszyngtonie. Andy Lindstrom zadzwonił do jednego z dyżurnych pilotów Alyeski, jakiegoś kowboja, który pewnie będzie skakał z radości, że może przelecieć się do stacji pomp na północy. Pilot miał się z nimi spotkać za pół godziny na lotnisku miejskim w Valdez. Mercer i Lindstrom czekali, aż Mike Collins oderwie się od telefonu. Następnie zapytali Teda Mosseya o postępy w przywracaniu systemu komputerowego sterującego rurociągiem. Dziesięć minut przed wyjazdem na spotkanie z pilotem śmigłowca Collins w końcu wyszedł ze swojego gabinetu. Jego ogorzała twarz była ponura. Oczy zrobiły mu się szkliste i bez życia. Tytoń do żucia wypychał mu lewy policzek niczym piłka do tenisa.

- Nie mogę się skontaktować ze stacjami pięć i sześć. Próbowałem telefonicznie, za pomocą walkie-talkie i krótkofalówką. Nawet faksem. Żadnej odpowiedzi.

- Jak to żadnej odpowiedzi? Chyba nie wysłałeś wszystkich do Fairbanks, co? - zapytał Lindstrom w panice.

- Oczywiście, że nie. Wyglądam na idiotę?

- Dajcie spokój. - Mercer wyczuł, że każdy z nich zaczyna chronić własny tyłek i przerwał im z miejsca. Nie miał ani cierpliwości, ani czasu na takie biurokratyczne bzdury. - Mamy poważny problem i szkoda czasu, żeby tu siedzieć i się nawzajem oskarżać.

Kolejny raz Mercer musiał podejmować decyzje za Lindstroma i Collinsa, i znów obaj go słuchali.

- Andy, zostań tutaj i koordynuj naszą łączność. Dopilnuj też tego komputerowca. Koniecznie musisz odzyskać kontrolę nad systemem. Mike, my jedziemy do stacji pomp numer pięć. Trzeba zobaczyć na własne oczy, co tam się dzieje. Czy w śmigłowcu jest sprzęt, żeby skontaktować się z Elmendorf?

- Nie wiem - przyznał Collins. Przełożył tytoń z jednego policzka do drugiego, a spomiędzy zaciśniętych ust strzyknęła żółta strużka śliny. - Musisz porozmawiać z Edem, pilotem.

- W takim razie chodźmy porozmawiać z Edem. - Jeśli Mercer w ogóle się wahał, to nie dawał tego po sobie poznać. Polegał całkowicie na własnej intuicji, której nigdy nie podwazał.

Kiedy dotarli na lotnisko, noc zakradła się niepostrzeżenie, całkowicie zaciemniając niebo. Deszcz, który padał przez całe popołudnie, nagle się skończył. Ale drzewa aż uginały się pod ciężarem wody. Nawet najmniejszy podmuch wiatru wywoływał pod nimi małe ulewki. A tej nocy nie wiała lekka bryza. Po otwartej przestrzeni hulał mocny wiatr, którego podmuchy omal nie przewróciły Mercera idącego przez lotnisko.

Samotny bell jetranger pośród awionetek cessna 182, twin otterów i jednego prywatnego odrzutowca wyglądał jak przerośnięty owad skąpany w sztucznym świetle. Stał czterdzieści metrów od terminalu. O ostro wygiętą szybę z pleksiglasu opierała się nonszalancko ciemna postać z rękoma skrzyżowanymi na szerokiej piersi.

W świetle lamp pilot mógł szybciej przyjrzeć się pasażerom niż oni jemu. Wpatrywał się w idące ku niemu postaci i roześmiał się gromko, kiedy rozpoznał jedną z nich.

- Ani kroku bliżej, Mercer - ostrzegł go czarnoskóry pilot głębokim barytonem. - Sędzia powiedział, że mam prawo kopnąć cię w dupsko, jeśli zbliżysz się do mnie na mniej niż piętnaście metrów.

- Eddie?! - krzyknął Mercer. - Eddie Rice?

- Nie kto inny, białasie. I wcale nie żartuję. Trzymaj się ode mnie z daleka. Otacza cię jakieś złe *juju* i nie mam zamiaru znowu się narażać. Póki nie wpięprzył się w moje życie, byłem pilotem z bezbłędnym stażem i zamierzam ograniczyć się tylko do tej jednej katastrofy, aż do emerytury ze złotym zegarkiem.

- Eddie, dostaniesz złoty zegarek i przehandlujesz go za dwie whisky. Nadal siadasz za sterami po kielichu?! - zawołał Mercer i wyprzedził nieco Collinsa.

Stanął przed Eddie Rice'em i uścisnęli się jak przyjaciele, przekonani, że więcej się już nie zobaczą. Nawet w ocieplanym kombinezonie lotniczym Eddie wyglądał masywnie. Ciało miał silne i mocno umięśnione. Nie był tak wysoki jak Mercer, ale miał szersze barki, a kark gruby jak pień drzewa. Rice był przystojny, wyglądał trochę jak sportowiec albo gwiazdor muzyczny. Miał błyszczącą, gładką skórę i głęboko osadzone duże i jasne oczy. Ich biel i błękit zakłócała jedna ciemna żyłka w prawym oku. Nieatrakcyjne miał tylko zęby - drobne i niekształtne. Dwa rzędy pożółkłych kości były rozstawione albo za ciasno, albo za rzadko.

Rok temu Eddie Rice był porucznikiem marynarki wojennej, pilotem śmigłowca dowodzącym maszyną Sikorsky Sea King, która stacjonowała na okręcie „Inchon”. Miał pecha, bo w czasie kryzysu na Hawajach przewoził Mercera z lotniskowca „Kitty Hawk”

na „Inchon”. Mercer porwał śmigłowiec Rice'a i kazał mu lecieć na Hawaje, by przerwać katastrofalną inwazję, która na zawsze zaszkodziłaby Stanom Zjednoczonym. Uciekając, zapobiegłszy wcześniej wybuchowi jądrowemu, Mercer, Eddie i rosyjski naukowiec Walery Borodin byli zmuszeni rozbić śmigłowiec w wodach północnego Pacyfiku. Eddie w katastrofie ucierpiał najbardziej i spędził trzy miesiące w szpitalu marynarki wojennej w Pearl Harbor. Mercer dowiedział się, że marynarka zwolniła Rice'a z honorami i przyznała mu rentę inwalidzką, dzięki której do końca swoich dni mógł żyć wygodnie. Mercer prędzej spodziewał się niedźwiedzia polarnego niż emerytowanego pilota marynarki wojennej Eddiego Rice'a.

- Sam się przekonasz. Dwadzieścia minut temu minęło dwa naście godzin, od kiedy skończyłem butelczynę - odgryzł się Rice.

W czasie desperackiej ucieczki z Hawajów, podczas której tropili zbuntowany radziecki okręt podwodny, Mercer zaproponował Eddiemu piwo, które ten z wdzięcznością przyjął, bo szanse na to, że przeżyje i będzie musiał stanąć przed komisją dyscyplinarną, wydawały się wtedy znikome. Na poprzednie święta Eddie wysłał Mercerowi puszkę piwa Sapporo, takiego samego, jakie pili wspólnie podczas owego pamiętnego lotu.

- Co ty tu robisz? - zapytał Mercer.

- Cholera, też bym cię chciał o to zapytać. Wzywają mnie w wolny dzień na jakiś awaryjny lot i kto się pojawia? Najgroźniejszy facet, jakiego w życiu spotkałem. A ty skąd się tu wzięłeś?

- Pamiętasz tego Ruska, który zorganizował aferę na Hawajach? Wrócił i być może jest kilka godzin na północ stąd.

- Kto? Ten Iwan Keri-coś tam? Jaja sobie robisz?

- Chciałbym.

- Jasna cholera, ten facet to Tonton Macoutes i Baron D'Mort w jednym - stwierdził Rice, przywołując dwa największe strachy swojej haitańskiej babki, byłego szefa tajnej policji na Haiti i jedną z mrocznych postaci tradycji wudu.

- Dorzuć jeszcze Kubę Rozpruwacza i będziesz miał połowę Kerikowa.

Chwilę później płozy jetranglera uwolnione od nacisku rozprężyły się tak, że prawie wyrzuciły śmigłowiec w powietrze. W miarę jak maszyna się wznosiła, dolina rzeki Tiekel szybko malała, aż w końcu zmieniła się w wąską szczelinę po rąbnięciu toporem. Mercer siedział w fotelu drugiego pilota, Collins natomiast zajął miejsce z tyłu, wyciągając nogi prawie do kokpitu. Wszyscy trzej mieli na głowach hełmofony, więc rozmowę prowadzili przyciszonymi,

niemal nieobecny głosami. Kontrolki w kokpicie rzucały dziwną zieloną poświatę.

Zamontowany na nosie jetranger stroboskop wysyłał samotny sygnał w noc.

- No to mówcie, o co tu chodzi? - zapytał Eddie, kiedy śmigłowiec wzniósł się na właściwą wysokość.

- Dwie godziny temu wysłałem kilku ludzi ze stacji pomp pięć i sześć do Fairbanks - odpowiedział Mike Collins. Laryngofon miał za blisko ust, więc jego głos był trochę zniekształcony. - Wszyscy zginęli w wypadku, dwie furgonetki pełne facetów, których znałem od lat. A potem, jakieś czterdzieści minut temu, straciliśmy łączność z resztą ludzi, którzy zostali w piątce i szóstce.

- To ma jakiś związek z zamieszczeniem w magazynie, o którym mówili w wiadomościach?

- Tak - odparł Mercer. - Ale to tylko podpucha. Moim zdaniem naprawdę zagrożona jest któraś ze stacji pomp.

- No dobra, Mercer. - Collins przysunął się bliżej i wepchnął głowę między dwa przednie fotele. - Zdaje się, że wiesz coś więcej o tym, co tu się dzieje. Może w końcu oświeciłbyś i mnie. Straciłem dziś kilku ludzi i coś mi mówi, że na tym nie koniec. Wiesz coś i nie chcesz mi powiedzieć. A mam prawo wiedzieć, do jasnej cholery.

- Co się stało kapitanowi „Petromaksu Arctiki”? - odpowiedział pytaniem Mercer.

- Co?

- Poprzedni kapitan „Petromaksu Arctiki” został zabrany z tankowca śmigłowcem do Anchorage, a potem przewieziony prywatnym samolotem ratunkowym do Seattle. Za lot zapłacił sam Maks Johnston. Wiesz może, czemu tankowiec spóźnił się o kilka godzin do terminalu? Jeśli zadali sobie trud, żeby zabrać Harrisa Albrechta z tankowca, to nie sądzisz, że po to, żeby „Arctica” zdążyła na czas? W takim razie dlaczego się spóźniła? Co u licha robił pusty super-tankowiec w zatoce Alaska bez kapitana, w czasie gdy trzymano dla niego miejsce na nabrzeżu?

- Co ty wygadujesz? To nie ma nic wspólnego z tym, co się teraz dzieje. „Petromaks Arctica” był tu na długo przed...

Mercer przerwał Collinsowi w pół zdania.

- Odpowiedz na to pytanie i może sam się domyślisz.

- Harris Albrecht został zabrany do traumatologa w Seattle, specjalisty od przyszywania kończyn i dobierania protez.

- Sprawdziłeś tego lekarza? - Mercer obrócił się i świdrował Collinsa spojrzeniem.

- Podzwoniłem tu i ówdzie po wypadku.
- I? - Mercer uniósł ciemną brew.
- Specjalizuje się w odbudowywaniu tkanek po odmrożeniach. To jeden z najlepszych... - Collins zamilkł.

Nad głowami wirnik śmigłowca dudnił im tak głośno, że zagłuszał ryk turbiny jetranglera. Eddie prowadził maszynę prosto i równo. Nie ulegał pokusie, żeby zejść w doliny i lecieć tuż nad powierzchnią ziemi, jak uczono go w wojsku. W czasie wojny w Zatoce przewoził oddziały zwiadowcze marines w najbardziej nieprzystępne miejsca i ciągle lubił takie szalone latanie.

Mercer przerwał ciszę.

- Ile razy w ciągu ostatniego roku „Arctica” dokowała w terminalu Alyeska bez przeszkód? Ile razy Harris Albrecht przybijał gładko do brzegu? Powiedz mi, jak mógł stracić rękę i wymagać pomocy specjalisty od odmrożeń podczas normalnego rejsu z Long Beach w Kalifornii do Valdez na Alasce? Szmuglował ciekły azot na Alaskę, i to pod waszym nosem. Ale podczas ostatniego rejsu coś poszło nie tak.

- Chyba nie myślisz, że to wszystko ma ze sobą związek?

Mercer skarcił go spojrzeniem.

- Na litość boską, oczywiście, że ma. A jak sądzisz, dlaczego lecę śmigłowcem z wariatem za sterami, choć mógłbym siedzieć w domu i popijać sobie spokojnie w pobliskim barze? Mike, Howard Small nie żyje, nie żyje jego kuzyn i jego syn. Paru ludzi do mnie strzelało, a to wszystko dlatego, że trafiliśmy na wrak łodzi, wiozącej zbiorniki z ciekłym azotem z pokładu „Petromaksu Arctiki” na brzeg. Kerikow i PEAL próbują się bronić, eliminując każdego, kto przypadkiem trafi na ich działania. A ta awaria komputerów? To też nie przypadek, wbrew temu, co mówi ten wasz komputerowiec. Zamieszki w magazynie, wypadek furgonetek? Plan Kerikowa właś nie wchodzi w życie!

Nie zamierzał tak wybuchnąć, to nie było w jego stylu, ale napięcie zaczęło brać górę. Coś uparcie mówiło mu, że jest już za późno. Nie był zły na Mike'a Collinsa, że nie dostrzega zagrożeń. Był zły na samego siebie, że dostrzegł je tak późno. Powinien był wkroczyć do akcji, kiedy Aggie Johnston powiedziała, że jej narzeczony wyjechał na jakąś tajemniczą misję. Powinien był wtedy wezwać kawalerię i zarządzić poszukiwania przywódcy PEAL na terenie całego stanu. Był pewien, że w tę samą sieć wpadłby Kerikow i nie trzeba byłoby pędzić teraz śmigłowcem na złamanie karku.

- Eddie, kiedy dolecimy do bazy Elmendorf?

- Nie mam pojęcia, zgłosiłem plan lotu do Fairbanks. A co jest w Elly?

- Dwa śmigłowce bojowe i paru narwanych żołnierzy. - Mercer uśmiechnął się do Rice'a. - Nie mam zamiaru znów wystawiać się na strzał.

- Amen, bracie. - Rice odwzajemnił uśmiech. Zęby jarzyły mu się od blasku w kokpicie. - W tych warunkach myślę, że dolecimy w godzinę i dziesięć minut.

- Jak tylko będziesz mógł, połącz mnie z nimi. Czekają na moje wezwanie. - Mercer przeszedł w końcu na bardziej relaksujące tematy. - A jak się tu podoba twojej żonie?

- W ogóle się nie podoba - odparł Rice z żalem. - Rozstaliśmy się, kiedy leżałem w szpitalu. Zdaje się, że lekarz z Pearl Harbor kłął nie tylko mnie.

- Stary, przykro mi.

- A co tam. Życie toczy się dalej, nie? Poza tym wyobrażasz sobie, jak to jest być Murzynem na Alasce? Laski tak się garną, że nie wyrabiam. - Eddie znów się uśmiechnął, choć w jego głosie pobrzmiewała nutka goryczy.

Godzinę później pod jetrangerem rozlała się jasna plama światła Anchorage. Wody Płycizny Cooka były czarne jak atrament. Sztorm, który smagał Valdez przez całe popołudnie, przesunął się na północ i teraz nękał stolicę Alaski. Deszcz chłostał śmigłowiec, uderzał w przednią szybę tak, jakby była obrzucana kamieniami. Wycieraczki zbierały strumienie wody i na szybie powstawały łukowate kaskady. Wiatr uderzał w śmigłowiec, niebezpiecznie nim huśtając mimo wysiłków Eddiego. Pilot nie przeproszał nikogo za trudny lot. Twarz mu stężała w skupieniu, a rękoma i stopami wykonywał skomplikowany taniec po lewarkach i pedałach. Mniej utalentowany pilot nie odważyłby się polecieć w taką noc.

- Alyeska sto jedenaście, mamy cię na radarze dwadzieścia kilometrów od nas, kąt trzysta pięć stopni.

- Zrozumiałem, Elmendorf - potwierdził Eddie. - Czas do lądowania pięć minut. Podejście na trzysta dziesięć, transponder zero-dwa-dwa-zero. Potwierdzam.

- Potwierdzam, sto jedenaście.

- Wiesz, co robisz? - drażnił się z nim Mercer.

- Nie mam pojęcia.

Cztery minuty i czterdzieści sekund później Eddie posadził śmigłowiec Bell na płycie w pobliżu wielkiego hangaru z blachy fałistej. Obok miejsca, na które wieża skierowała maszynę z Alyeski,

stały dwa wojskowe śmigłowce transportowe Huey UH-1. Nawet w mdłym świetle dochodzącym z hangaru wyglądały groźnie. W odsuniętych bocznych drzwiach widać było obrotowe ciężkie karabiny M-60. Jeszcze nim łopaty jetrangerów przestały się kręcić, śmigłowce obskoczyli już technicy, niezważający na marznący deszcz na lotnisku. Podjechała cysterna i dwóch mężczyzn przygotowywało się do podłączenia grubego węża do śmigłowca.

Mercer wyskoczył z jetrangerów i pomknął w kierunku osłoniętego hangaru. Butami wzbudzał gwałtowne fale w kałużach na asfalcie. Zimno wdzierało mu się pod podniesiony kołnierz skórzanej kurtki, a dłonie zdążyły przemarznąć, nim dobiegł do rozświetlonego hangaru.

W ogrzewanym wnętrzu skóra Mercera nieco się rozgrzała, ale wciąż czuł chłód strachu i niepewności. W hangarze dominowały dwa mające kształt delty myśliwce F-15 Strike Eagle. Podwójne stateczniki pionowe wznosiły się na niemal sześć metrów nad wygładzoną betonową podłogą. Za nimi, na tyłach, czekała w ciszy grupka mężczyzn z twarzami pomalowanymi w ochronne kolory. W dłoniach, na których mieli rękawiczki bez palców, trzymali fachowo karabiny szturmowe M-16A1. Nie gapili się na nadchodzącego Mercera, wystarczyło im pobieżne spojrzenie, po czym wrócili do niekończącego się sprawdzania sprzętu. Mercer szedł dalej w ich stronę, aż w końcu od grupy odłączył się jeden mężczyzna.

Był niski i mocno zbudowany, miał krótko przycięte włosy, twarz zaś zdecydowanie przydałaby się brzytwa. Gęste krzaczaste brwi zbiegały się nad haczykowanym nosem. Pod nimi twardo, ale czujnie, jak zauważył Mercer, spoglądały ciemne oczy ze zmarszczkami w kącikach. Całkowity kontrast stanowiły jego usta, pełne i zmysłowe.

- Pułkownik Knoff?

- Pewnie Mercer? - Uścisk dłoni Knoffa był jak włożenie ręki do jakiejś wiejskiej maszyny, która bezlitośnie i mocno miele wszystko. Mercer przez chwilę zastanawiał się, czy nie odpowiedzieć tym samym, ale uświadomił sobie, że to nie jakiś męski pojedynek, tylko naturalny uścisk pułkownika. - Muszę przyznać, że złapałeś nas trochę nieprzygotowanych. Godzinę temu oglądałem pornosy z kilkoma kumplami, a tu nagle dzwoni generał Samuel Kelly, głównodowodzący lotnictwa. Nawet nie chcę zgadywać, co ty za jeden, że masz takie chody.

Mercer od razu polubił Knoffa. Nie traktował cywilów z butą jak inni żołnierze. Widać było, że nie zapomniał, iż to on ma służyć cywilom.

- Proszę zapytać dowolnego polityka, a powie panu, że jestem najpotężniejszym człowiekiem w tym kraju. - Mercer się uśmiechnął. - Amerykańskim podatnikiem.

- A powiesz mi, o co tu chodzi?

Rozumiał pytanie pułkownika. Knoff zadał je, bo obawiał się o swoich ludzi. Mercer jednak nie zamierzał tracić choćby minuty na roztrząsanie tych kwestii. Muszą być gotowi natychmiast.

- Pułkowniku, skoro udało mi się przekonać pana przełożonych, że to ważna misja, to proszę zaufać ich ocenie i ruszać w drogę. Być może będzie to tylko strata czasu, ale jeśli nie, jeśli mam rację, to czeka nas bardzo gorąca strefa zrzutu. Nie mogę panu nakreślić ogólnego obrazu, ale muszę wiedzieć, czy ma pan jakieś pytania taktyczne dotyczące tej operacji. Jeśli ich pan teraz nie zada, część pańskich chłopców może nie wrócić.

- Panie Mercer, nie przejmuj się pan nami. - Knoff wyprężył się jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe. - Generał Kelly objaśnił nam, czego mamy się spodziewać. Martwi mnie tylko obecność twoja i tego twojego ptaszka. Moi piloci nie znają twojego, a nie chcielibyśmy, żeby cywilny śmigłowiec się nam kręcił w miejscu gorącego zrzutu.

Mercer spodziewał się takiego problemu i szybko uspokoił Knoffa:

- Latałem z tym pilotem w zeszłym roku podczas kryzysu na Hawajach. Poza tym to były pilot marynarki wojennej i weteran wojny w Zatoce. Będziemy trzymać się kilka kilometrów od waszych stref zrzutu i nasłuchiwać przez radio. To wy dostajecie kupę pieniędzy za to, że do was strzelają, nie my. Niech wasz głównodowodzący przekaze instrukcje mojemu człowiekowi, a on będzie się ich trzymał co do joty.

- A ty jakie masz doświadczenie? - zainteresował się Knoff.

- Był pan w Iraku? - Knoff przytaknął. - Byłem tam i zdążyłem wrócić, zanim czołgi Abrams przejechały przez granicę. Byłem specjalistą w operacji „Poszukiwacz” prowadzonej przez oddział Delta. Miałem dopilnować, żeby żaden z was nie nadział się na broń jądrową podczas walki. Widziałem pewnie więcej strzelanin niż wszyscy pańscy chłopcy. Możemy tu siedzieć i porównywać blizny przez całą noc, ale nie mam na to czasu. Coś jeszcze?

Knoff był nieco zdumiony odpowiedzią Mercera. Środowisko sił specjalnych, choć pełne wewnętrznej rywalizacji, trzymało się dość blisko i opowieści o tajnych operacjach krążyły między tymi ludźmi dość swobodnie, oczywiście bez szczegółów, by nie zaszkodzić trwającym misjom. Po reakcji Knoffa widać było wyraźnie, że

słyszał o operacji „Poszukiwacz” i wiedział, że pewien cywil uczynił z tej porażki sukces i ocalał większość ekipy, która miała go chronić.

- Nie. To mi wystarczy. Mam zamiary na stacje pomp i odręczny szkic, który przesłał nam faksem jakiś Lindstrom. Myślę, że uderzymy jednocześnie na obie.

- Nie - odparł spokojnie Mercer. - Jeśli rozdzielimy siły, stracimy przewagę ognia i pewnie przewagę liczebną. Zanim tam dolecimy, będę już wiedział, którą stację zajęto.

- W porządku. - Knoff nie miał więcej pytań.

- W takim razie w drogę - oznajmił Mercer z większą brawurą, niż czuł.

Iwan Kerikow siadł w fotelu przy konsoli sterującej pompą. Na kolanach trzymał karabin Heckler & Koch MP-5. Ciała kilku pracowników Alyeski, którzy zostali w stacji, już wyrzucono na zewnątrz. Zdjął ciężki płaszcz i zastanawiał się, czy nie ściągnąć grubego swetra, który miał pod spodem. Pod koniec lat siedemdziesiątych przydzielono go jednej z drużyn komandosów KGB jako oficera wywiadu. W ramach misji szkoleniowej mieli kiedyś odbić „okupowaną przez terrorystów” przepompownię gazu ziemnego głęboko w sercu Syberii. Nigdy nie zapomniał tej samotnej stacji daleko w tundrze. Była obskurna, spartańsko urządzona i zimna jak diabli. Spodiewając się tego samego na Alasce, przed atakiem na stację numer pięć włożył na siebie o kilka warstw za dużo.

Na razie pomylił się jedynie w doborze ubioru.

Od kiedy przybył na Alaskę, pojawiały się wpadki, opóźnienia i tysiące innych problemów. Radził sobie z nimi w typowy dla siebie sposób. Jeśli coś się zepsuło, trzeba to wymienić. Jeśli brakuje czasu, trzeba plan przyspieszyć. A jeśli przeszkadza człowiek, trzeba go zabić. Ale teraz zaczynał widzieć efekty tych przygotowań. Dzięki byłemu kapitanowi „Petromaksu Arctiki” i pracownikom PEAL zdążyli założyć w strategicznych miejscach na rurociągu zbiorniki z tysiąc ośmiuset tonami ciekłego azotu. Specjalnie wykonane elementy miały zapobiegać przedwczesnemu zamrożeniu i były ukryte jako metalowy płaszcz obejmujący rurę ze stali węglowej o średnicy stu dwudziestu centymetrów. Zbiorniki z azotem wykonano tak dobrze, że nawet przy bliższej inspekcji pracownicy Alyeski nie mogli ich odróżnić od normalnego płaszcza. Kerikow kazał je nawet postarzyć, żeby nie różniły się od tych części, które od ćwierć wieku stawały czoło tutejszej pogodzie. Inspektorzy nie zwracali uwagi na nieco grubszą obudowę. A niektóre zbiorniki wisiały już od miesięcy.

Sięgnięcie po PEAL było najbardziej mistrzowskim posunięciem Kerikowa. Ale siedząc w sterowni stacji pomp, pozwolił sobie na jeszcze jedną refleksję i przyznał, że już samo stworzenie PEAL było mistrzostwem. Hasaan bin-Rufti niechętnie odnosił się do planu Kerikowa. Chciał wysłać swoich ludzi, żeby przeprowadzili delikatną operację rozmieszczania zbiorników z azotem, ale Kerikow uświadomił mu, że pięćdziesięciu Arabów uganiających się po Alasce wzbudziłoby za dużo podejrzeń. Za to grupa działaczy ekologicznych, przekonywał Kerikow, których nie brakowało w całych Stanach, a zwłaszcza na Alasce, od kiedy prezydent ogłosił otwarcie poszukiwań ropy w Arktycznym Rezerwacie, nie wzbudzi niczyjego zdziwienia, nie mówiąc już o zaniepokojeniu. Będą widoczni, protestując w wielu miastach i różnych miejscach wzdłuż rurociągu, a tymczasem ich towarzysze zaczną okładać rurę azotem.

Nieźle było też to, że członkowie PEAL nie wiedzieli, że za ich działaniami kryją się jakieś bardziej nieczne motywy. Jan Voerhoven i jego żałosna banda rozemocjonowanych wymoczków nie zdawała sobie sprawy, że ich sabotaż miał być czymś więcej niż tylko ekologicznym manifestem. Naiwnie wierzyli, że uwolniony azot zamrozi ropę w rurze i na zawsze zablokuje transport surowca przez Alaskę. Wierzyli w to, bo tak im powiedział Kerikow i dlatego że chcieli w to wierzyć. Żaden z nich nie zastanowił się, że zamrożenie rury tylko na jakiś czas zaszkodziłoby Alyesce i otwarciu wierceń w Arktycznym Rezerwacie. Voerhoven był z nich wszystkich najgorszy. Był inteligentny, o ile Kerikow się orientował, miał pewnie iloraz inteligencji geniusza. Ale liczyło się dla niego głównie nadęte ego. To Iwan Kerikow zmienił go z członka jakiejś niszowej bandy wariatów w główną siłę napędową wojny z przemysłem, a Voerhoven sądził, że to tylko jego zasługa. Przez dwadzieścia lat na różnych stanowiskach w KGB Kerikow nauczył się, jak manipulować innymi. Czasami wystarczyły pieniądze, czasami potrzebny był strach. W przypadku Jana Voerhovena wystarczyło polechtać trochę jego ego i Holender tańczył, jak się mu zagrało. Kiedy PEAL zaczęła umieszczać azot wokół rury, Voerhoven przekonał sam siebie, że pomysł ataku od samego początku był jego autorstwa.

- Szefie. - Jeden z ludzi Kerikowa wszedł do sterowni, strze-
pując śnieg z szerokich barków. - Zakładanie azotu potrwa jeszcze
ze dwie godziny. - Mówił po rosyjsku z niemieckim akcentem,
przepraszającym tonem. - Nie wiedzieliśmy, że rurociąg będzie tu
tak wysoko nad ziemią. Mamy tylko dwie ciężarówki z żurawiami,
więc praca idzie znacznie wolniej.

Samozadowolenie uszło z Kerikowa w jednej chwili.

Ostatnie zbiorniki, niezbędne do powodzenia całej akcji, stracił, kiedy jeden z nich pękł podczas przeładunku z „Arctiki” na łódź „Jenny IV”. Kapitan Albrecht odmroził sobie rękę, kiedy zalał ją azot o temperaturze minus stu dwudziestu ośmiu stopni. W trakcie zamieszania po wypadku na „Jenny IV” wybuchł pożar. Ekipa nie była w stanie go ugasić, nim dotarł do zbiorników z azotem już złożonych w ładowni. Eksplozja praktycznie zniszczyła łódź rybacką. JoAnn Riggs zapewniała Kerikowa, że wrak nie będzie pływał dłużej niż godzinę po uwolnieniu go od tankowca. Oczywiście „Jenny IV” nie zatonała i następnego dnia została odkryta. Choć Kerikow musiał zająć się ludźmi, którzy odnaleźli wrak, pilniejszą potrzebą było znalezienie dodatkowego ciekłego azotu i przewiezienie go na miejsce. Pierwotny plan „Przystani Charona” przygotowany w KGB przewidywał, że na nurze schodzącej z Gór Brooksa zostanie załadowanych osiemdziesiąt ton ciekłego azotu. Ten punkt był oddalony o jakieś osiemdziesiąt kilometrów od miejsca, gdzie się teraz znajdował. Nie mając tyle azotu, Kerikow musiał zmienić plan i umieścić jak najwięcej substancji bezpośrednio w stacji pomp numer pięć.

Zaplanował wszystko tak, żeby między napadem na stację a uwolnieniem azotu mieć tylko dwanaście godzin, ale każda sekunda spędzona tutaj zwiększała ryzyko, że ktoś ich przyłapie albo że będą musieli uwolnić azot przedwcześnie, zmniejszając efekt jego działania. Zaczął nawet sobie wyrzucać, że nie kazał Voerhovenowi obłożyć tej najważniejszej sekcji na samym początku operacji, a nie teraz, na samym końcu. W przyjazd tutaj wkalkulowane było ryzyko, ale jak każdy kalkulujący człowiek, Kerikow kombinował tak, by ryzyko zminimalizować.

- Powiedz swoim ludziom, żeby przestali pomagać tym z PEAL przy okładaniu rurociągu. Wiem, że wszystko pójdzie wolniej, ale ty i twoi żołnierze macie być gotowi na reakcję Amerykanów. Pewnie już wiedzą, że tu jesteśmy. Spodziewam się, że lada chwila przypuszczą kontratak. - Kerikow mówił pewnym siebie głosem. Znów był w swoim żywiole. - Rozmieście grale i RPG-7. Poślijcie też jeden pojazd kawałek dalej drogą, jako tylną straż. Władze nie miały czasu na zorganizowany atak, więc mamy taktyczną przewagę. Pamiętajcie, żeby strzelać dokładnie. Jeśli spudłujecie choć raz, to któryś helikopter zdoła nadać wezwanie o pomoc. Policja na pewno zainteresowała się już tymi furgonetkami z ludźmi z Alyeski, które zjechały z drogi. Jeśli domyślą się, że coś się tu dzieje, mogą zjawić się w try miga.

Większość działaczy PEAL przyjechała do stacji numer pięć ciężarówkami, które wiozły ciężkie zbiorniki z azotem. Ale Iwan Kerikow, Jan Voerhoven i dwaj ochroniarze Kerikowa przylecieli tam śmigłowcem. Kerikow uznał, że jeśli Amerykanie zdołają nawet zrzucić większą liczbę szturmowców, to będzie mógł uciec śmigłowcem, zostawiając ekologów, by sami się bronili.

Jeśli Voerhoven podejrzewał nawet, że jego ludzie mają zostać potraktowani jak mięso armatnie, to tego nie okazywał. Był na zewnątrz, stawiał czoło arktycznej burzy i zagrzewał wszystkich do pracy, jakby była to jakaś wielka przygoda, którą za kilka lat będą wspominać z sentymentem.

Kerikow nie zamierzał zostawić ich przy życiu, nawet jeśli jakimś cudem przetrwaliby nadchodzący atak Amerykanów. Uśmiechnął się zaciśniętymi ustami i zapalił papierosa.

„Krzyż Południa”

Według maleńkiej konstelacji fosforyzujących kropek na zegarku Lyle'a Hausera za dwadzieścia minut miała wybić północ. O tej porze mija termin, kiedy główny inżynier Patroni powinien zamaskować spuszczenie szalupy z tankowca. Ale jeszcze nie teraz. Musi upłynąć te dwadzieścia minut. Musi nadejść północ. Dopiero wtedy.

Godzinę wcześniej przez kadłub szalupy z włókna szklanego usłyszał przeszywającą serię z broni automatycznej. Wystrzały dochodziły najprawdopodobniej z mostka, ale Hauserowi wydawały się równie groźne, jakby to do niego strzelano. Leżał owinięty kilkoma warstwami koców, otoczony okruszkami z żelaznych porcji w magazynie szalupy. Strzały mogły tylko oznaczać, że Patroniemu nie pozwolono unieruchomić wskaźników opuszczenia trzech szalup. JoAnn Riggs i jej towarzysze terroryści musieli dostrzec działania Patroniego i zabili go, rozcinając jego zwłoki na pół ołowianymi kulami ze swoich uzi. Hauser nie mógł uwolnić się od tego ponurego obrazu.

Wszystko przepadło. Riggs na pewno będzie chciała sprawdzić, dlaczego inżynier chciał unieruchomić wskaźniki. Tkwiąc w swojej pułapce, Hauser nie mógł nic zrobić. W szalupie nie było żadnej broni, tylko pistolet wyrzucający pomarańczową flarę. Jego wielka lufa była dwa razy większa niż strzelba dziesiątka. Ale wystrzał z tego pistoletu w szalupie równałby się samobójstwu. Fosforowa raca podpałiłaby całą łódź. Toksyczne wyziewy ogarnęłyby każdego,

kto siedziałby w środku. Taki nieszczęśnik leżałby przyduszony, a na jego ciało kapąłoby plastik i włókno szklane z topiącej się szalupy.

Dziesięć minut do północy.

Patroni nie żyje, ale może Riggs nie wie, co zamierzam zrobić, myślał Hauser z nadzieją. Może uda mu się przecześć w ciepłej szalupie jeszcze kilka godzin i potem zdecyduje, co będzie lepsze nie tylko dla niego, ale i dla reszty załogi. Gdyby uruchomił szalupę teraz, zaświeciłaby się kontrolka na mostku, włączając liczne alarmy. Riggs miałaby mnóstwo czasu, żeby wysłać jakiegoś żołnierza, by to sprawdził, zanim Hauser zdołałby odpłynąć od tankowca. Seria z karabinu maszynowego z rufy zakończyłaby tę najkrótszą ucieczkę w historii.

Zaczął rozmyślać nad nowym planem. Było jasne, że nie będzie w stanie uciec z „Krzyża Południa” niepostrzeżenie. Riggs i jej ludzie za bardzo kontrolują statek. Jediną nadzieją był ponowny sabotaż tankowca, by nie dopłynął do żadnego portu na kontynencie. Hauser przypominał sobie, jak bardzo Riggs zależało, żeby dopłynąć do Seattle. Według jego obliczeń na oko od tego portu dzielił ich jeszcze jakiś dzień drogi.

Nagle w pobliżu rozległ się jakiś głos:

- Sprawdzam szalupę rufową.

Hauser zareagował w jednej chwili. Odrzucił koce i wymierzył z flary w stronę włazu do szalupy. Z zewnątrz ktoś zaczął majstrować przy ryglu. To koniec. Hauser stawiał już czoło niejednemu niebezpieczeństwu, ale nic nie mogło się równać z tym. W gardle mu zaschło, drżące dłonie zaciskał na flarze. Pot ściekał mu po twarzy, szczypiąc w oczy wpatrzone w wewnętrzny właz szalupy, który zaczął się odblokowywać. Jeszcze tylko delikatny nacisk i terrorysta otworzy właz do środka, a wtedy znajdzie Hausera w jego kryjówce.

Tak czy siak, strzeli. Riggs wie już o nim z powodu Patroniego, więc to tylko kwestia czasu, kiedy go wytropi i przykładowie zastrzeli. Lepiej wystrzelić racę w terrorystę, kiedy zajrzy do szalupy. Hauser zginie, ale przynajmniej zabierze ze sobą jednego z tych drani.

Kłapa w końcu ustąpiła z lekkim sykiem i się uchyliła, aż zatrzymały ją wewnętrzne hamulce. Lyle Hauser wkopał się pod koce tak, że jego obecność zdradzała tylko lufa pistoletu z flarami. Dopiero kiedy otworzył się zewnętrzny luk, dotarło do niego, jaki zaduch panuje w środku szalupy. Mężczyzna, który wsadził głowę do środka, wpuścił za sobą szczypiącą przyjemnym chłodem bryzę. Strażnik był ubrany na czarno. Na szerokich barkach wisiał mu uzi, a w ręku miał automatycznego colta kaliber 45. Wcisnął się do połowy w ciasny

luk. W zębach trzymał jak cygaro latarkę - miniaturowego maglite'a. W rozbieganym snopie światła Hauser był tylko ciemną kupką w kącie. Terrorysta trzymał w lewej dłoni walkie-talkie, opierając lekko kciuk na przycisku rozmowy. Hauser nie wiedział, że strażnik go nie widzi, ale w pewnej chwili bezwiednie się przesunął i przykrywając go koce poruszyły się jak fala.

- Chyba kogoś znalazłem! - krzyknął strażnik do krótkofalówki.

W tej samej chwili Hauser ruszył się energiczniej i stał się bardziej zauważalny niż kiedykolwiek w życiu. Strażnik wybałuszył oczy, widząc flarę, i nawet nie zdążył otworzyć ust do krzyku, kiedy Hauser pociągnął za spust.

Odpalona raca huknęła ogłuszająco i wyssała cały tlen z szalupy. Stopiona kula czerwonego fosforu wypadła z lufy i trafiła strażnika prosto w pierś. Jego ciężka parka natychmiast zajęła się płomieniami. Hauser zobaczył, że płonące ciało blokuje mu jedyną drogę ucieczki z szalupy i wiedział, że śmierć jest tuż-tuż.

JoAnn Riggs czuła presję wywołaną nową funkcją. Przybyło jej zmarszczek, pojawiły się ciemne obwódki pod oczami. Była wyczerpana i otepiała. Już zdążyła zapomnieć o krótkiej chwili wytchnienia sprzed godziny, kiedy Wolf pokazał jej na mostku, jak strzelać z uzi. To była świetna rozrywka, JoAnn upajała się dotykiem broni plującej ogniem i szarpiącej się jej w rękach. Ale teraz wróciła na mostek, po to by jak zwykle czujnie obserwować członków porwanej załogi.

Wolf, przywódca ekipy wynajęty przez Iwana Kerikowa, naprawę nazywał się Wolfgang Schmidt. Stał teraz za fotelem kapitańskim, w którym siedziała. Kaburę miał rozpiętą, tak że mógł sięgnąć po swoją broń zaledwie w ułamku sekundy. Sternik trzymał dwa lewarki kontrolujące kurs statku, a oficer nawigacyjny pochylał się nad stołem z mapami i starał się nie zważać na terrorystów. George Patroni klęczał przy otwartych drzwiczkach pod główną konsolą, szukając uszkodzonego połączenia. Klęczał z wypiętym tyłkiem jak jakiś podrzędny hydraulik. Obok niego pochylał się elektryk. Jeden z ludzi Wolfa obserwował ich uważnie, mrużąc oczy przed mnóstwem nocnych świateł na mostku. Przy biodrze zwiślał mu uzi.

„Krzyż Południa” nadal miał uszkodzony system sterowania silnikami z poziomu mostka. Patroni i jego ludzie zdołali jednak naprawić tymczasowo system monitorowania zbiorników. Zrobili to, wyjmując komponenty z innych systemów, które Riggs uznała za mniej ważne. Pracując w ciągłym zagrożeniu i w nieludzkim tempie, mechanicy dokonali wręcz cudu. Ostatnim zadaniem miało być

przywrócenie sterowania silnikiem, ale Patroni zamierzał je przedłużyć. Z pomocą elektryka zdołał już opóźnić naprawę systemu o kilka godzin. Specjalnie zrobili spięcie, żeby spod konsoli uniosł się obłok białego dymu. Ostrzegł podejrzliwą Riggs, że naprawa może się nie udać, żeby nie przejmowała się zbytnio opóźnieniami.

Patroni znajdował się na mostku z jeszcze jednej, ważniejszej przyczyny - po to by spuścić szalupę kapitana Hausera. Ale wskaźniki i alarmy uruchomienia szalup znajdowały się po drugiej stronie mostka. Mógł udawać naprawę, póki Riggs nie zacznie nabierać podejrzeń. Wiedziała, ile czasu Patroni potrzebuje, żeby albo naprawić sterowanie, albo stwierdzić, że nie da się tego zrobić.

- I co, Patroni? - warknęła, nie wyjmując papierosa z zaciśniętych ust.

- Przykro mi, ale chyba nic z tego. Główna magistrala zasilania jest podziurawiona jak rzeszoto, woltomierz nic nie pokazuje w całym systemie. Tego się nie da tak łatwo załatać jak systemu kontroli zbiorników. Układ kontroli silnika wymaga konkretnych części zamiennych, których nie mamy. - Patroni wstał, masując sobie plecy. Specjalnie złapał się za krocze, żeby rozdrażnić Riggs.

- Naprawisz to - odezwał się Wolf z drugiego końca mostku. W każdej sylabie słychać było groźbę.

George Patroni zaczynał mieć już dość Wolfa, Riggs i reszty terrorystów.

- Chcesz, żebym to naprawił?

Mówiąc to, przesunął się wzdłuż głównej konsoli, otwierając drzwi szafek i pokazując splątana masę elektroniki. Dla każdego poza nim i elektrykiem owe kable, płytki drukowane i inne części były nieprzeniknioną dżunglą, w której nie wiadomo, co jest czym.

- No to chodź i sam spróbuj. Kombinuj, sukinsynu. Nie? Nie potrafisz? To zejdz ze mnie, do cholery.

Wolf nie zareagował, za to drugi terrorysta rzucił się w jego kierunku i szturchnął inżyniera w żebra lufą karabinu. Niewiele brakowało, żeby pociągnął za spust i rozplątał Patroniego na dwoje.

- *Nein!* - krzyknął Wolf.

Inżynier stał bez ruchu, najwyraźniej nie zważając na przystawioną broń. Na twarzy miał leniwy uśmiešek. Znajdował się tuż przed otwartymi drzwiczkami, za którymi mieścił się układ wykrywający odpalenie szalup. Rękę trzymał zaledwie kilka centymetrów od bezpiecznika, który zasilał tę płytkę.

Strażnik cofnął się, przysunął uzi do boku i skierował go na innych członków załogi. Nie wpatrywał się w żaden punkt dłużej

niż chwilę i od razu przenosił wzrok na coś innego. Wszystko, co widział, stanowiło potencjalny cel.

JoAnn Riggs zerwała się z fotela, popędziła trzema szybkimi krokami na drugą stronę mostka z prawą ręką podniesioną, by uderzyć Patroniego. Choć знаła głównego inżyniera od niedawna, to wiedziała, że ten wybuch nie pasował do jego osobowości. Działo się tu coś dziwnego. Wolf zrobił krok do przodu i w tej chwili zatrzeszczała czarna krótkofalówka przy jego pasie.

- Chyba kogoś znalazłem - odezwał się głos z oddali.

Elektryk rzucił się pierwszy. Podniósł się z podłogi z ciężkim kluczem w ręku. Rzucił go. Lśniące chromem narzędzie błysnęło, pędząc w powietrzu między nim a narwanym strażnikiem. Wolf wyszarpnął pistolet z kabury i strzelił, zanim jeszcze zdążył wycelować, ale dziewięciomilimetrowa kula trafiła elektryka pod prawą ręką, odrywając kawałek mięśnia, przeszrywając dwa płuca i rozrywając na strzępy bijące jak szalone serce.

Patroni zareagował o ułamek sekundy szybciej.

Życie Hausera nic nie znaczyło. Skończyło się w chwili, kiedy porwano jego statek. Uświadomił to sobie w tych ostatnich sekundach i pogodził się z tym. Flara płonęła jasno, wrzynając się w pierś strażnika, parząc i topiąc jego ciało.

Zbierało mu się na mdłości na widok umierającego terrorysty, nic nie mogło go przygotować na nieludzki krzyk tego człowieka. Strażnik nie mógł dotknąć płonącej rany w piersi. Mimo bólu system nerwowy nie pozwalał mu nawet zbliżyć ręki do takiego ogromnego żaru. Temperatura w szalupie skoczyła z okolic zera do prawie pięćdziesięciu w zaledwie kilka sekund. Syczący dym wypełniał zamkniętą przestrzeń trującą mieszanką zwęglonego ciała i płonącego fosforu.

Z zewnątrz szalupa wyglądała jak japońska latarnia. Wzmocnione wsporniki odznaczały się wyraźnie na tle karmazynowego ognia płonącego w środku. Snujący się ze środka dym zwiewała od razu mocna bryza wywołana przez pęd tankowca.

Terrorysta upuścił colta kaliber 45, kiedy flara wbiła mu się w pierś, ale o dziwo zaczął sięgać po wiszący mu na szyi uzi. Wymodelowany plastikowy uchwyt izraelskiego karabinka pasował idealnie do dłoni. Mężczyzna płonął, życie z niego uciekało z sykiem, ale unióś broń i pochylił się do przodu, tak że był do połowy w szalupie, do połowy na zewnątrz. W ostatnim geście pragnął przeszyć swego zabójcę serią pocisków. Krótka lufa uzi uniosła się, terrorysta powoli naciskał spust, gotów wysłać Lyle'a Hausera do piekła.

Klucz rzucony przez elektryka uderzył terrorystę w gardło. Opuścił broń, nim zdążył pociągnąć za spust. Kule zaczęły świstać na całym mostku, rozbijając szkło, rozrywając konsolę sterującą i niszcząc dalej delikatną elektronikę. W piersi elektryka pojawiły się cztery dziury, jego martwe ciało wypadło przez osłabioną strzałami przednią szybę.

George Patroni rzucił się do działania, nie zważając na zniszczenie wokół. Natarł na biorącą na niego zamach JoAnn Riggs i odepchnął ją na bok. Trafiła dłonią w jego potylicę. Zwykłego mężczyznę pewnie by ogłuszyła, ale on działał jak w transie. Choć dziewięćmilimetrowe kule świstały po całym mostku, Patroni wyrwał wnętrze z szafki, gdzie mieścił się panel kontrolny szalupy. Ciągnął za kable i płytki drukowane, obszedł system sterowania ręcznego i wyrzucił jednocześnie wszystkie szalupy. Na mostku powiało mroźne powietrze, które rozproszyło zapach wystrzałów. Patroni barkiem powalił Riggs na pokład. Upadła bezładnie, ale gorączkowo chwyciła go za nogi.

H&K Wolfa strzelił raz, potem drugi. Drugi strzał był właściwie niepotrzebny, bo Patroni runął przed siebie z rozpostartymi rękoma prosto na stanowisko sternika. Dziury wyrwane w szarym kombinezonie rozkwitły niczym letnie kwiaty. Sternik już nie żył - miał roztrzaskaną czaszkę - zginął podczas pierwszych sekund zamieszania.

Patroni zamierzał odpalić szalupę Hausera tak, by nikt tego nie zauważył. Mógł to zrobić podstępnie, by nikt się nie zorientował do następnego dnia albo i w ogóle. Rozmawiał o tym z elektrykiem, przekonując przerażonego człowieka, że warto zaryzykować. JoAnn Riggs i jej ludzie niczego nie będą podejrzewać, tłumaczył.

Ilu jeszcze naszych ludzi zginie dzisiaj z zemsty? - myślał Patroni, umierając.

W ostatniej możliwej chwili, kiedy Hauser widział już wymierzoną w siebie lufę uzi, George Patroni zdołał wypuścić szalupę. Nie zważając na terrorystę stojącego u wjazdu do szalupy, mechaniczne wysięgniki zrobiły zamach na zewnątrz, unosząc zamachowca i nie pozwalając mu wcelować w kapitana. Seria z karabinu podziurawiła dach szalupy, a terrorysta wisiał we władzie, z nogami nad spienionym kilwaterem tankowca.

Lyle Hauser był zbyt oszołomiony, by zareagować. Trujący dym z flary wytworzył taką gęstą chmurę, że prawie nie było widać, co się dzieje. Automatyczna sekwencja opuszczania szalupy trwała dalej.

Łódź spadła tak szybko, jakby nagle siła ciężkości zaczęła działać z większą mocą.

Przy pełnym wysunięciu między szalupą a płaską rufą „Krzyża Południa” zostawała szczelina nieco ponadpółmetrowej szerokości. Kiedy bloki puściły szalupę, terrorysta utknął w tej wąskiej luce. Nogi zaczepiły mu się o reling tankowca, zaś tułów został w szalupie. Upadek łodzi rozdarł go gładko na dwie części. Wciąż pływający tors wpadł do szalupy, a oddzielone od niego nogi poszybowały w spienioną wodę północnego Pacyfiku.

Hauser krzyknął jak opętany, kiedy większa część zwłok terrorysty wpadła do szalupy, skwiercząc jak stek na grillu. Łódź uderzyła o powierzchnię wody z hukiem, a przez otwarty właz do środka chlusnęła kaskada wody. Chwilę później elektryczny łuk błysnął nad linami trzymającymi szalupę przy tankowcu i przeciął je z taką łatwością, jakby to były nitki. I oto szalupa była wolna, podskakując w kilwaterze tankowca.

Dwie szalupy zawieszono przy burtach uderzyły w wodę równocześnie z łodzią Hausera, ale pęd supertankowca sprawił, że obie wyrzuciły się i zatoneły w kilka chwil po wypuszczeniu. Dzięki temu, że szalupa Hausera była na rufie, utrzymała się na wodzie, choć rzucało ją mocno, póki nie wydostała się z kilwata.

Ledwo oddychając w chemicznym dymie z fosforowej racy, Hauser kopniakami wyrzucił nadpalone szczątki terrorysty przez właz do wody. Wewnętrzny właz był pokryty zwęglonymi strzępkami ciała, mimo obrzydzenia Hauser zmusił się, żeby go zamknąć. Były dwie minuty po północy.

Nie miał pojęcia o zdarzeniach na mostku, które umożliwiły mu ucieczkę, ale chciał jak najlepiej wykorzystać szansę od losu. Radar nie działał, więc Hauser był pewien, że Riggs nie będzie w stanie nigdy znaleźć szalupy na pustkowiu północnego Pacyfiku. Ale mogłaby obliczyć jego pozycję za pomocą triangulacji, gdyby za wcześnie nadał sygnał alarmowy. Radiostacja na szalupie była mała, w najlepszych nawet warunkach miała ograniczony zasięg. Aby zadziałała właściwie i aby się nie zdradzić, Hauser musiał odpłynąć jak najdalej od tankowca i zbliżyć się jak najbardziej do brzegu. Musiał też mieć nadzieję, że ktoś go usłyszy w tę ciemną noc. Był dwieście trzydzieści mil od lądu i nie wiedział, że najbliższy odbiornik radiowy znajdował się na trawlerze rybackim, a nasłuch prowadził jedenastoletni chłopiec, syn właściciela łodzi. Chłopiec spał jak zabity.

Miami, stan Floryda

David Saulman owdowiał tyle lat temu, że przywykł już do wstawania do pracy o nieprzyzwoitych godzinach. Szedł po labiryncie korytarzy w swoim biurze krokiem waźniaka, włączał światła, brał ekspresowe przesyłki z biurków swoich prawników i w końcu docierał do własnego gabinetu. Ekspres do kawy sprzężony z włącznikiem światła w recepcji zaczynał parzyć mocną kawę, kiedy tylko wchodził do biura, które zajmowało całe piętro w biurowcu jednego z banków w Miami.

Nim Saulman dotarł do swego biurka, czekał na niego pełen dzbanek kawy. Nalewając ją do kubka wielkości beczki, nie patrzył na pierwsze łososiowe przebłyski dnia na morskim horyzoncie. Dwadzieścia siedem pięter niżej miasto jeszcze drzemało, korzystając z ostatnich chwil ciszy, nim dzień porwie je w kolejny upalny interwał istnienia.

Prawnicy rozpoczynający pracę w kancelarii Berkowitz, Saulman & Little dowiadywali się przede wszystkim, że nie ma żadnego Berkowitza ani Little'a i nigdy nie było. Nazwiska były jedynie wytworem wyobraźni Dave'a Saulmana, miały dodać powagi jego kancelarii, kiedy zakładał ją trzy dekady temu. Następnie dowiadywali się, że choćby nie wiadomo jak wcześniej przyszli do pracy, zastaną w niej szefa - i że będzie on przeglądał ich pocztę.

Dave Saulman był dobrotliwym dyktatorem, który kiedyś miał powiedzieć: „Skoro trafiło to do mojego biura, to znaczy, że należy do mnie”. W połowie lat osiemdziesiątych, kiedy kurierzy rowerowi rutynowo dostarczali narkotyki części młodszych prawników, zgromadził tyle kokainy co okręgowa policja. Nigdy nie beształ tych, którzy korzystali z narkotyków, bo wiedział, że normalny człowiek nie może pracować przez sto godzin tygodniowo, jak to się zdarzało prawnikom. Saulman był za to pewien, że część ryb w zatoce Biscayne na pewno przeżyła dzięki niemu niezapomniane chwile.

Poprzedniego wieczoru doręczono tylko dziesięć czerwono-białoniebieskich kopert ekspresowych. Po biurze roznosili je pracownicy firmy sprzątającej. Otworzył i przeczytał je wszystkie w ciągu kilku minut. Większość uznał za objawy niepokoju u nadmiernie nakręconych klientów. To zadziwiające, jak perspektywa utraty albo zarobku kilku milionów dolarów potrafiła wywołać panikę u klienta.

Saulman miał na sobie ciemny garnitur, którego delikatne prążki akcentowały jego korpulentną sylwetkę. Jedwabny krawat nie był do końca zawiązany, węzeł wisiał kilka centymetrów pod rozpiętym

górnym guzikiem wykrochmalonej koszuli. Ze względu na spotkanie o wpół do dziewiątej przyczepił sobie protezę utraconej ręki. Jeśli miał wybór, wolał chodzić z pustym rękawem, ale ten widok często przeszkadzał klientom. Paski przytrzymujące plastikową rękę już go zaczynały drażnić.

Choć Saulman miał niecałe metr sześćdziesiąt pięć i coraz większy brzuch, wydawał się wyższy z powodu niezwyklej ilości nerwowej energii, którą emanowało jego ciało. Nie potrafił usiedzieć w miejscu. Bez ustanku stukał prawą nogą, czy siedział, czy stał. Zdrowa ręka i kikut drugiej wiecznie się poruszały. Nawet brwi, dwie ciemne, onieśmielające kreski, podskakiwały i tańczyły, kiedy mówił. Nie robił tego świadomie, była to wrodzona konieczność ruchu, która dobrze mu służyła. Mimo niewielkiej postury potrafił onieśmielić prawie każdego poznanego człowieka.

Siedząc za szerokim jesionowym biurkiem, stukając nogą jak chory z porażeniem mózgowym, skończył listy do swoich prawników i zaczął myśleć o nowym londyńskim biurze, które niedawno otworzył. W Londynie dochodziło już południe i na pewno wszyscy uwijają się jak w ukropie. Większość londyńskiej filii była zaangażowana w kredytowane przejęcie pewnego holenderskiego armatora holowników przez grupę Niemców, ale miał tam dość prawników, by niektórzy mogli zajmować się bardziej przyziemnymi i mniej lukratywnymi sprawami.

Już sięgał po telefon, żeby ich trochę zdyscyplinować, kiedy nagle ktoś wparował do gabinetu. Saulman rozpoznał go z miejsca, ale łachmaniarski wygląd mężczyzny wstrząsnął nim bardziej, niż był skłonny przyznać. Bud Finley opadł przed jego biurkiem na jedno z krzeseł z wysokimi oparciami, obitych czerwoną skórą. Pracował jako prywatny detektyw.

Finley wyglądał żałośnie. Tani, źle dobrany garnitur, włosy - a raczej kilka przetłuszczonych kosmyków zaczesanych na czerwoną spoconą czaszkę - znajdowały się w niewiele lepszym stanie. Był mocno zbudowany, barki miał mocne jak rama szubienicy, a ręce złowieszcze niczym sznur kata. Brzuch, choć wielki i napinający tanią koszulę z dyskontu, miał twardy. Obfita twarz wraz z wiekiem roztyła się i straciła świeżość, ale żwawe oczy błyskały inteligencją. Wyglądał jak kocur ze śmietnika, ale był dwukrotnie od niego sprytniejszy.

Choć Saulman spodziewał się Finleya, i tak nie mógł się nadszywić, jak można tak nie mieć szacunku do siebie. Finley nigdy nie był elegantem, ale teraz wyglądał, jakby dopiero co padł ofiarą wypadku w fabryce.

- Ranny ptaszek z ciebie - powiedział Saulman, żeby zama skować swoje zmieszanie. Dokładnie pamiętał, że zamykał drzwi do biura. Ale najwyraźniej to nie wystarczyło, by zatrzymać Finleya.

Przybysz zapalił zapalniczkę o paznokieć, a kiedy już prawie parzyła go w palce, spokojnie wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę zwykłych papierosów, odpalił jeden i dopiero wtedy się odezwał. Mówił czystym akcentem z głębokiego Południa, który zdradzał ubogie drzewo, a raczej słup genealogiczny.

- Chiba nie chcesz usłyszeć, co mam ci do pedzenia.

Kiedy Mercer zadzwonił z prośbą o informacje o tankowcach w zatoce Alaski, a konkretnie o jednostki Petromax Oil, Dave Saulman połknął haczyk, wyczuwając, że Mercer wplątał się właśnie w jedną ze swoich słynnych afer. Na własny koszt Saulman wysłał swego najlepszego detektywa, Buda Finleya, do centrali Petromaksu w Delaware, a potem do Luizjany, gdzie swoją siedzibę miało Southern Coasting and Lightering.

Choć znali się od lat, Mercer nie przestawał fascynować Dave'a Saulmana. Potrafił znajdować proste rozwiązania złożonych problemów albo doszukać się skomplikowanego planu zaszytego w jakiejś prostej sprawie. Mercer miał niezwykły instynkt. Saulman doskonale wiedział, że kiedy Mercer dzwonił z prośbą o przysługę, był to zaledwie początek czegoś znacznie bardziej skomplikowanego.

Kiedy więc zadzwonił kilka dni temu, pytając o statki w zatoce Alaski, Saulman wiedział, że pod tym prostym właściwie pytaniem kryje się coś znacznie więcej. Jeśli za opóźnieniem „Petromaksu Arctiki” przy wejściu do portu w Valdez czało się coś groźnego, to tak doświadczony śledczy jak Finley na pewno to odkryje. I choć Saulman sam bezskutecznie rozpytywał ostrożnie o dziwne warunki sprzedaży floty Petromaksu na rzecz Southern Coasting and Lightering, był pewien, że Finley dowie się, co kryje się naprawdę za tą transakcją.

Saulman spodziewał się Finleya najwcześniej wieczorem. Na zebranie informacji miał zaledwie czterdzieści osiem godzin. Nie był w stanie sobie nawet wyobrazić, jak Finley szybko mógłby wydobyc cokolwiek z tak śliskiej korporacji jak Petromaks, nie mówiąc o podejrzanym SC&L. Żaden z kontaktów Saulmana, choć mocno naciskał, nie potrafił powiedzieć nic ponad to, że samo SC&L zostało niedawno przejęte przez nieznanego inwestora. Saulman był przerażony, że ktokolwiek mógł poruszać się po zawilum, ale przecież zamkniętym świecie handlu morskiego bez jego wiedzy.

- Słyszałeś kiedyś o Arabie o nazwisku Hasaan bin-Rufti? - zaczął Finley.

Dwadzieścia minut później, usłyszawszy pełną opowieść Finleya, Dave Saulman chwycił za telefon i nagrał się na pocztę głosowej Mercera:

- Wiesz, kto mówi. Oddzwon jak najszybciej, a najlepiej natychmiast. To, że „Petromaks Arctica” spóźnił się podczas ostatniego rejsu, to tylko czubek góry lodowej. Dzwon do mnie do domu. Po tym co usłyszałem dziś rano, biorę wolne na resztę dnia.

Londyn

Atmosfera w szpitalnym holu stanowiła dziwne połączenie urzędowego chłodu i przygnębienia tych, którzy musieli w nim czekać. Rodziny zbijały się w ciasne grupki, w których panowało nerwowe oczekiwanie i zawođenje. Na tle sterylnych ścian wyłożonych kafelkami i wytartej wykładziny zdeptanej niezliczonymi stopami lady Millicent Gray wyglądała zjawiskowo. Długie nogi ukryte w większości pod luźną lnianą sukienką szły z niewymuszoną gracją, a wspaniała cynamonowa burza jej włosów płonęła niczym latarnia. Twarz, piękna nawet o tak wczesnej porze, subtelnie tylko muśnięta makijażem, by zakryć co wyraźniejsze ślady nocnych ekscesów seksualnych, promieniała pewnością siebie daną przez Boga i potwierdzoną przez królewskie przywileje. Ludzie pogrążeni do tej pory w otępiąłym bezruchu zaczęli podnosić głowy i patrzeć na nią otwarcie. Na krótką chwilę, kiedy przechodziła, zapominali o własnym bólu.

Gdyby spytać później którąkolwiek z czterdziestu osób, które patrzyły na lady Gray, czy pamiętają, kto siedł obok niej, pewnie nikt nie przypominałby sobie Arabki zakrytej od stóp do głów i przesłoniętej chustą, zgodnie ze zwyczajami co bardziej konserwatywnych odłamów islamu.

Przy biurku szpitalnej ochrony Millicent odezwała się do towarzyszącej jej postaci półgębkiem:

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, Trevor, że kiedy tu skończymy, to ja włożę ten strój i chcę, żebyś mnie posiadał jak jakiś barbarzyński pirat.

- Chyba żartujesz - odciął się po cichu Trevor James-Price. -W życiu nie oddam tego przebrania. Teraz wiem, dlaczego babki noszą spódnice. Boże, co za przyjemne uczucie czuć powiew wiatru między nogami. Moje klejnoty nigdy dotąd nie zaznały takiej wolności.

- Jesteś niepoprawny - mruknęła z uśmiechem Millie Gray.

Ochroniarz przy dyżurce pielęgniarek nie pytał Millicent, co ją łączy z Khalidem Khuddarim ani po co przyszła. Nie mógł oderwać oczu od jej piersi i chyba nie zauważył, że nie przyszła sama. Omal nie przewrócił się o własny język, kiedy zaczął jej wyjaśniać, że Khalid leży w izolatce na czwartym piętrze. Millicent Gray i przebrany Trevor James-Price ruszyli w stronę wind. Oboje ledwo się powstrzymywali, by nie wziąć się za ręce. Lord Harold Gray miał wrócić z myśliwskiej wyprawy do Afryki za piętnaście dni. Żadnej zmarnowanej sekundy romansu nie da się potem odzyskać.

Pięć minut po tym jak Trevor i Millie weszli do windy, do holu wszedł młody Kurd o zaciętej twarzy. Lewą kieszeń płaszcza khaki na piersi wypinał mu składany telefon komórkowy. Prawą z kolei - sig sauer P220 z tłumikiem.

Tariq spotkał się z nim w podziemnym parkingu przed potężnym szpitalem i podał mu numer pokoju Khalida. Zdobył go poprzedniego wieczoru podczas długiego rekonesansu. Kurd miał dokładnie dwadzieścia minut, by dotrzeć do Khuddariego, zabić go i wrócić na parking, skąd Tariq miał go zabrać. Młody człowiek zatrzymał się w holu, marnując pięć minut na to, by zebrać w sobie odwagę. Ochrona nie była szczelna, ale na swoim stanowisku siedzieli dwaj zwaliscy strażnicy, pogrążeni w swobodnej rozmowie z dziennikarzami czekającymi na oświadczenie na temat nieznaney ofiary leżącej cztery piętra wyżej.

Zamachowiec uznał, że nadszedł czas, by działać. Jeśli jakimś cudem go złapią, to wiedział, że odbierze sobie życie i poniesie w ten sposób pokutę za wczorajszą porażkę. W ten sposób jednak zostanie męczennikiem. Tłumik przykręcony do wielkiego pistoletu nigdy jeszcze nie był używany. Będzie pracował z optymalną wydajnością. Strzał będzie słychać najwyżej w promieniu kilku metrów od sali Khuddariego. Strażnicy nawet nie spojrzeli w jego kierunku, kiedy ruszył do pionu z windami.

Khalid Khuddari nie spał od blisko dwóch godzin. Ból podstępnie wyrwał go ze snu po narkotyku. Szwy na plecach paliły mimo zabezpieczających je warstw gazy i piekielnie swędziały. Ilekroć mrugnął, delikatne mięśnie wokół oczu naciągały świeże rany na twarzy i po policzkach ciekły mu łzy. A kiedy łzy zaczynały kapać na zadrapania, czuł się dosłownie, jakby ktoś sypał mu sól na rany.

Ta myśl tak go rozbawiła, że parsknął bolesnym śmiechem.

- Chyba nie cierpisz aż tak bardzo, skoro śmiejesz się o tak nieludzkiej porze.

Khalid spojrział w drugi koniec sali. Ledwie pamiętał Millicent Gray, ale znał doskonale głos dochodzący spod chusty. Nie sły-

szał, jak wchodzili. Trevor James-Price zdjął czarny czador z głowy, a jego cienkie włosy wzburzyły się od tego ruchu, po czym opadły mu naturalnie na chłopięcą twarz. Mimo zawadiackiego uśmiechu w intensywnie niebieskich oczach widać było prawdziwy niepokój.

- Boże, Khalidzie, wyglądasz strasznie, nawet jak na turbaniarza.

- Lepiej nie mówić.

- Nie będę plebejuszem i nie będę pytał, jak się czujesz. Wczoraj rozmawiałem z tym tępym lekarzem, a dziś rano czytałem gazety, więc nie muszę pytać, co się stało. Chcę tylko wiedzieć, po co mnie tu ściągnąłeś i to w tym uroczym przebraniu? Swoją drogą, wiesz, że ochrona tutaj praktycznie nie istnieje?

- Nic dziwnego. Nikt nie wie, kim jestem, i lepiej niech tak zostanie aż do mojego wyjścia. - Powoli, niczym starzec stojący jedną nogą nad grobem, Khalid usiadł, a każdy ruch pogłębiał grymas na jego twarzy. Kiedy zwiesił w końcu stopy z wysokiego szpitalnego łóżka, brakowało mu tchu i pocił się jak mysz.

- Spokojnie, stary. - Trevor podszedł bliżej i położył Khalidowi rękę na barku. Arab skrzywił się pod tym delikatnym dotykiem.

- Trev, muszę stąd się wydostać - wydyszał posiniałymi ustami, trupioblady na twarzy. - Muszę wrócić do Emiratów.

- Myślę, że nie nadajesz się do żadnej podróży - wtrąciła się Millicent, stając obok Trevora. Nie знаła Khalida, ale trudno było patrzeć na niego i nie okazywać mu bezgranicznego współczucia.

- Muszę jechać, lady Gray. Trevor może pani wyjaśnić dlaczego, ale w tej chwili potrzebuję pani pomocy, nie litości - oświadczył Khalid z takim zdecydowaniem, że w sali zrobiło się chłodniej.

Trevor już ściągał czarną szatę przez głowę. Wbrew temu, co mówił wcześniej Millicent, pod spodem miał spodnie od garnituru i białą koszulę Turnbull and Asser z poprzedniego wieczoru. Na kołnierzyku po prawej stronie widać było rozmazany ślad szminki.

- Co ma zrobić?

- To ona powinna założyć czador. Mówiłem ci wczoraj. - Khalid martwił się, że go nie posłuchali.

- To nieistotne, stary - rzucił nonszalancko Trevor, próbując uspokoić przyjaciela. - Zresztą zawsze chciałem spróbować takiej przebranki.

Khalid nie mówił nic więcej. Trevor wyjął paczkę ubrań, które zwędził z garderoby lorda Graya. Mąż Millicent Gray był postawnym mężczyzną, który w pasie mógłby pomieścić dwóch Khalidów i jeszcze zostałyby trochę miejsca. Trevor pomógł Khalidowi się

ubrać, narzucił mu szatę na głowę i obciągnął tak, że spod czarnej bawełny wystawały mu tylko buty.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Khalidzie. Kompletnie nie nadajesz się, żeby wyjść z tej sali, nie mówiąc o powrocie do Emiratów.

- Nie mam wyboru. - Przeszła go kolejna fala bólu, ale każde jej uderzenie było łatwiejsze do zniesienia niż poprzednie. Choć trudno w to uwierzyć, jego ciało zaczynało się przyzwyczajać do obrażeń.

Millicent zrobiła szybko krok do przodu i chwyciła chwiejącego się Khalida za ramię.

- Trevorze, nie powinieneś mu pomagać. On ledwo żyje.

- Millie, tu chodzi nie tylko o jego życie - stwierdził James-Price z pełną powagą. - Przepraszam, że cię w to wciągam. Nie mam do tego prawa, ale proszę, pomóż nam. Ci ludzie, którzy wczoraj chcieli go zabić pod British Museum, z całą pewnością spróbują ponownie. Leżąc tutaj, jest jak na strzelnicy.

- Czemu nie zawiadomisz swojej ambasady? - zapytała.

- Bo nie wiem, komu tam mogę teraz zaufać. Tak będzie najlepiej - odparł Khalid.

- Ale przecież nie polecisz bez rezerwacji. - Millie mówiła do Trevora, jakby Khalida nie było w sali.

- Ma paszport dyplomatyczny. Na pewno znajdzie się dla niego miejsce. - Trevor podniósł cienką książeczkę, którą zabrał z pokoju w hotelu Khalida. - Dlatego zniknąłem rano. Ponieważ w szpitalu nie wiedzieli wczoraj, kim jest, doszedłem do wniosku, że zostawił dokumenty w hotelu.

Khalid kiwnął z wdzięcznością do przyjaciela i wziął paszport.

- To jedyny przywilej lepszy niż samochody na numerach dyplomatycznych wypożyczane z ambasad. Lady Gray, przepraszam, ale nie ma innego wyjścia. I jak mówił Trev, nie chodzi tylko o moje życie.

- W porządku, pomogę wam. Ale Trevor, dopilnuj, żeby na Heathrow czekali na nas jacyś ochroniarze. I lekarz. - Choć była przekonana, że obaj panowie nadmiernie dramatyzują, postanowiła im pomóc. Choćby dlatego, że była piękną żoną milionera i deputowanego do parlamentu, znudzoną na śmierć.

- Trevorze, lepiej, żeby lady Gray tu została - odezwał się Khalid. - Mogą nas śledzić w drodze ze szpitala.

- Nonsens - zaprzeczył Trevor, naciągając chustę Khalidowi na głowę. - Nikt nie zwróci na ciebie najmniejszej uwagi.

Wyjął kluczyki do starego bentleya, którym jeździł od rozwodu, i położył je na otwartej dłoni Millicent, pieszcząc wąskie przerwy

między jej palcami. Uśmiechnęła się na ten intymny gest, a on mru-
gnął szelmowsko.

- Dasz radę wywieźć go ze szpitala? Mogę ci pomóc w drodze
do samochodu.

- Nie! - krzyknął Khalid. Głos miał stłumiony przez chustę, ale
mimo to słyhać było w nim powagę i strach. -Weszło tu dwoje ludzi
i dwoje musi wyjść. Nie możemy zwracać na siebie uwagi. Dam radę.

Przy drzwiach Khalid przystanął i odwrócił się, żeby podzięko-
wać przyjacielowi. Mdłe promienie słońca wpadającego przez okno
pozłociły włosy Jamesa-Price'a.

- Do zobaczenia wkrótce, cholerny Angolu.

- Trzymaj się, śmierdzący turbaniarzu.

W roli pogrążonego w smutku członka rodziny odchodzącego
od łóżka umierającego krewnego Khalid starał się iść jak najbardziej
wyprostowany i pozwolił, by Millicent Gray wyprowadziła go z sali.
Żadne z nich nie zwróciło najmniejszej uwagi na mężczyznę w tren-
czu, który szedł w ich stronę korytarzem. Millicent nie miała pojęcia,
gdzie mogą czaić się zagrożenia, a Khalid starał się ze wszystkich sił
nie zemdleć. Gdyby się odwrócili, zobaczyliby, że mężczyzna, pod-
chodząc do sali, w której leżał wcześniej Khalid, sięgnął do kieszeni
płaszczka. Mogliby ocalić Trevora.

Kiedy ciężkie drzwi otworzyły się do środka, wbrew automatycz-
nej sprężynie do zamykania, Trevor właśnie wchodził do łazienki.
Sądził, że to może Millie wróciła po buziaka na do widzenia.

Nawet uśmiechnął się, odwracając. Kanonada wystrzelonych
szybko dziewięciomilimetrowych pocisków rozerwała drzwi do ła-
zienki, a jedna z kul trafiła go prosto między oczy. Nie trysnęła stam-
tąd krew, bo serce przestało już bić i kiedy upadł na twardą podłogę
z linoleum, rozprysnęło się tylko kilka kropel.

Zabójca wyjrzał z powrotem na pusty korytarz. Stwierdziwszy,
że nikt nie słyszał strzałów, wszedł do sali i pozwolił, by drzwi po
cichu się za nim zamknęły. Zanim przyjrzał się zwłokom, zabezpie-
czył pistolet i wsunął go z powrotem do kieszeni płaszczka. Dopiero
wtedy zrozumiał, że popełnił fatalny błąd. Człowiek leżący na pod-
łodze nie był Khalidem Al-Khuddarim.

Telefon w kieszeni zaświergotał.

Sięgnął po niego, odebrał połączenie, ale się nie odzywał. Nagle
zaniemówił, nie był w stanie wydobyć z siebie słowa, uświadomiw-
szy sobie, jak bardzo zawiódł.

- No i? - odezwał się Hasaan bin-Rufti. Kurd miał nadzieję, że
zadzwoń Tariq, z nim łatwiej było się dogadać niż z jego korpu-
lentnym przełożonym.

Bez namysłu powiedział prawdę:

- Uciekł, *effendi*.

- Co?! - ryknął Rufti do telefonu.

- Kiedy przyjechałem, już wyszedł ze szpitala. Nie wiem kiedy ani nie wiem dokąd. - Zamachowiec sądził, że kłamiąc, ocali życie. Rufti go zabije za tę pomyłkę.

- Znajdź go albo, na krew Proroka, wypatroszę cię żywcem i zrobię z twojej skóry pokrowiec na fotel w samochodzie. - Hasaan Rufti trzasnął telefonem i odwrócił się do stojącego nad nim stewarda w uniformie tak śnieżnobiałym, że niemal sam świecił. - Powiedz pilotowi, że jeśli nie wystartuje w ciągu sześćdziesięciu sekund... - Rufti przerwał i nie mogąc wymyślić naprawdę porządnej groźby, powtórzył poprzednią: -Wypatroszę go żywcem i zrobię z jego skóry pokrowiec na fotel w samochodzie.

- Tak, panie ministrze - odparł steward, kłaniając się lizusowsko. Popędził na dziób prywatnego odrzutowca Hawker Siddeley, schylając głowę przed wejściem do kokpitu.

Choć wnętrze samolotu zawierało wszystkie najlepsze udogodnienia, jakie oferowała firma Hawker - w tym brazylijskie drewno i turecką skórę - nikt by nie zaprzeczył, że samolot był mały i ze względów ekonomicznych miejsca na pokładzie nie było za wiele. Większość ludzi byłaby przeszczęśliwa, mając do dyspozycji taki samolot, ale Ruftiego hawker irytował. Khuddari mógł korzystać z boeinga, choć ten głupiec nigdy tego pewnie nie zrobił. Boeing to szerokokadłubowa maszyna, w której mógłby zainstalować nawet trampolinę, gdyby naszła go taka ochota.

Ten samolot powinien należeć do kogoś, kto go doceni, pomyślał Rufti. Do kogoś takiego jak on.

Stali wciąż przy rękawie na lotnisku Gatwick. Mieli już dwie godziny opóźnienia, bo jeden z samolotów linii El Al zgłosił sytuację awaryjną w drodze na Heathrow i postanowił wylądować na Gatwick, blokując lądowanie dziesiątkom maszyn i opóźniając start dziesiątkom innych, w tym HS 125 600 Ruftiego. Przed dziesiątą miał być w Abu Zabi, a wyglądało na to, że spóźni się o co najmniej cztery godziny.

- Pieprzeni Żydzi - mruknął ponuro, jakby to jedno przekleństwo mogło rozwiązać wszystkie jego problemy.

Kerikow miał uruchomić zestawy zamrażające na rurociągu na Alasce, Irańczycy i Irakijczycy byli gotowi w każdej chwili do ataku, a on utknął na lotnisku, czekając, aż banda bogatych Żydów wyjdzie z samolotu i wykupi kolejny kawałek świata. Dwustu jego żołnie-

rzy czekało w Zatoce, by poprowadził ich w chwale do uwolnienia Emiratów spod rządów marionetki, którą Brytyjczycy zainstalowali w latach siedemdziesiątych.

Wielki książę, choć podejrzliwy, nie spodziewał się rewolty. Rufti wiedział, że dobre zgranie pierwszego etapu rewolucji było niezbędne, by przejąć władzę w Zatoce Perskiej. Zwlekanie i czekanie, aż Arabia Saudyjska, Kuwejt i Emiraty przygotują się na zmiany związane z zawieszeniem importu ropy przez USA, tylko zaszkodziłoby jego sprawie. Musi uderzyć teraz, póki rządy nie są pewne, co przyniesie przyszłość.

Rufti nie pamiętał, gdzie po raz pierwszy usłyszał to powiedzenie, ale pasowało teraz jak ulał: „Głodnym człowiekiem łatwo kierować, a zdeorientowanego łatwo pokonać”.

Kraje Zatoki były teraz zdeorientowane, w rządach aż wrzało. Czas sprzyjał uderzeniu. W ciągu ostatniego roku, od kiedy Rufti wkupił się w plan Iwana Kerikowa, by zablokować amerykańskie złoża ropy naftowej, pracował niezmiernie, potajemnie, by ów wielki spisek mógł się urzeczywistnić. Bez Iranu i Iraku nigdy nie byłby w stanie marzyć o tronie Emiratów dla siebie. Ale jeśli nie uda mu się przeprowadzić wymuszonego pod pistoletem zabójstwa Khud-dariego, może zapomnieć o władaniu Bliskim Wschodem. Właściwie może zapomnieć o dalszym życiu. Irakijczycy podkreślali starannie, że jeśli Rufti nie wywiąże się z zadania, zginie.

Irackie czołgi były gotowe, by wjechać do Kuwejtu, kiedy tylko Rufti zneutralizuje amerykańskie zagrożenie. Unieruchomienie rurociągu wywoła w Stanach Zjednoczonych kryzys, przez który Ameryka nie będzie w stanie zareagować na inwazję. Kuwejt padnie w ciągu kilku dni, Arabia Saudyjska może tydzień później. Jeszcze tylko kilka naładowanych węglikiem scudów wymierzonych w Tel Awiw i Jerozolimę i będzie po wojnie. Ameryka nie będzie miała baz, z których mogłaby przypuścić kontratak, a nigdy nie posuną się do użycia broni atomowej, by wykurzyć Irakijczyków i sprzymierzonych z nimi irańskich towarzyszy.

Bez ropy z Alaski, przy strategicznych rezerwach wystarczających na miesiąc lub dwa, Stany Zjednoczone będą musiały usiąść do rozmów z nowym bliskowschodnim triumwiratem - Iranem, Irakiem i Emiratami. Rufti snuł wizje dziesięciokrotnej podwyżki cen ropy. A to miał być dopiero początek. Już widział się w roli jednego z najbogatszych ludzi na świecie. Dzięki miliardom baryłek ropy w złożach pod rozpalonym piaskiem Emiratów będzie w stanie tego dokonać.

Oby wreszcie ten przeklęty samolot wzbił się w powietrze i poleciał do Abu Zabi.

Telefon wbudowany w podłokietnik fotela zabezpieczał jak owieczka. W swym poirytowaniu omal nie przegapił dyskretnego dzwonka. W końcu odebrał po czwartym sygnale.

- Co?

- Panie, tu Tariq. - Tariq był najbardziej zaufanym zausznikiem Ruftiego zaraz po Abu Alami. Był sierotą z libańskiej brutalnej wojny domowej. Wychował się w obozach dla uchodźców na diecie nienawiści i strachu. Tariq był niezwykle oddany i całkowicie pozbawiony skrupułów. Abu Alam zabijał z palącej potrzeby człowieka uzależnionego, za to Tariq wykonywał swoje obowiązki na chłodno, jak zawodowiec. Rufti wysłał go do szpitala w ramach wsparcia dla tego kurdyjskiego kretyna.

- Co jest?

- Jestem na obwodnicy i jadę w stronę lotniska Heathrow za niebieskim bentleyem. - Połączenie przez komórkę nie było najwyraźniejsze. - Tuż po tym jak Kurd poszedł do sali Khuddariego, ze szpitalnego garażu wyjechały dwie kobiety, jedna z Zachodu, jedna Arabka. Arabka miała na sobie czador i zasłoniła twarz. Wcześniej widziałem, jak wjeżdżały do garażu. Wygląda na to, że samochód należy do Arabki, bo to ona kierowała w tę stronę, ale kiedy wyjeżdżały, to kobieta z Zachodu usiadła za kierownicą i najwyraźniej nie była obyta z tym samochodem.

- Tariq, do rzeczy - warknął Rufti.

- Myślę, że te szaty to przebranie i że jadę za Khuddarim, który próbuje uciec z tego kraju.

- Jesteś pewien? - Promyk nadziei, który dał mu Tariq, przypomniał Ruftiemu, że nic nie jadł od blisko pół godziny. Nie przerywając rozmowy, wezwał stewarda. - To naprawdę Khuddari?

- Tak mi podpowiada instynkt.

- Ile masz jeszcze do Heathrow?

- Jakieś dziesięć minut do głównego wjazdu. Podejrzewam, że jadą na terminal międzynarodowy, terminal czwarty.

- Tak, tak, tak, daj mi pomyśleć. - Nie było czasu na atak, nim Khuddari wejdzie na bezpieczną strefę lotniska. Rufti musiał teraz zatrzymać Khuddariego w Londynie na kilka godzin, byle tylko dostać się do Emiratów i uruchomić swoją część przewrotu. - Masz ze sobą jakieś materiały wybuchowe?

- Mam tylko dwa granaty - przyznał Tariq. Głos zaczął mu się rwać, bo fale komórkowych stacji przekaźnikowych trafiały na pulsujący sygnał radarów na Heathrow.

- Doskonale - ucieszył się Rufti. Steward położył przed nim całego łososia. Mięso ryby było tak różowawe i delikatne, że rozcięcie wzdłuż boku przypominało intymną część ciała kobiety. - Kiedy się rozłączę, zadzwoń do tego kurdyjskiego kretyna i przekaż mu moje rozkazy. A teraz posłuchaj, co macie zrobić...

Choć Bentley najlepsze czasy miał za sobą prawie dekadę wcześniej, tak luksusowy pojazd wciąż budził respekt, mknąc po M-4 na wschód od Heathrow. Millicent zapoznała się już z samochodem na tyle, że wymuszała na innych kierowcach, by ją przepuszczali. W ten sposób przesuwała się o jedno czy dwa miejsca na zakorkowanej obwodnicy. Jakaś ciężarówka z przyczepą zatrąbiła na jej agresywną jazdę, na co lady Gray odpowiedziała zupełnie nie jak dama - wystawiając środkowy palec. Przeprosiła Khalida za ten gest, ale wyjaśniła, że nikt nigdy nie narzekał, kiedy równie bojowo jeździła swoim Rolls-Royce'em Silver Cloud.

Khalid milczał przez większość drogi, świadomie walcząc z bólem, który przeszywał go niczym prąd po plecach i tyłach nóg. Chwilami udawało mu się nad nim zapanować, ograniczyć go siłą woli, a potem nagle powracał ze zdwojoną siłą. Musiał zastanowić się nad tyłoma rzeczami, zrobić tyle planów, ale zupełnie nie mógł się skupić. Czuł, że Millicent Gray co chwila na niego spogląda, ale nie mógł się zdobyć na to, żeby się odwrócić i spojrzeć na nią.

Zjechali krętym zjazdem z ekspresówki. Za trawnikami i krzewami widać było rozległy wyasfaltowany obszar i magazyny z blachy faliastej. Millicent jechała za drogowskazami na odloty międzynarodowe, wymijając autobusy, które blokowały wąskie uliczki i buchały kłębam dymu, krążąc bez końca po kilku kilometrach kwadratowych Heathrow.

- Jaka linia? - zapytała Millicent, kiedy zbliżali się do terminalu czwartego.

- Nie ma znaczenia - odparł apatycznie Khalid, zdejmując czador. - Kiedy już wejdę do środka, zadzwonię do rezerwacji, żeby znaleźli najbliższy lot do Abu Zabi.

- Jesteś pewien? - Zaparkowała Bentleya przy chodniku przed drzwiami z logo British Airways, wpasowując się elegancko za autokarem, z którego wysypywali się biednie ubrani ludzie kończący właśnie ekspresową wycieczkę po Europie. - Mogę cię zawieźć do innego szpitala albo do przychodni tu na lotnisku. Na pewno mają jakiegoś lekarza dyżurnego.

Z kieszeni spodni wyciągnął zawiniątko w chusteczce higienicznej. Rozłożył je, pokazując kilka kapsulek.

- Jestem pewien - powiedział, łykając szybko jedną z nich. - Odkładałem je sobie, to chyba percodan. Powinienem wytrzymać.

- Chwileczkę, a nie powinni na nas czekać jacyś ludzie z ochrony? - zapytała.

- Trevor blefował, żeby namówić panią do współpracy. Nie miałby czasu na zorganizowanie czegoś takiego. Muszę już iść. - Khalid otworzył drzwi. - Dziękuję, lady Gray. Myślę, że już niedługo zobaczy pani skutki tego, czego dokonała pani dziś rano.

Wysiadł z samochodu, ostrożnie sprawdzając swoją siłę, zanim zrobił pierwsze ostrożne kroki w stronę budynku terminalu. Nie zważał na kłębiących się wokół ludzi. Kiedy wszedł do środka, połknął go tłum, stał się niewidzialny, kolejna twarz pośród kręcących się i stojących w kolejkach tysięcy pasażerów oraz bliskich, którzy ich odprowadzali. Nogi mu drżały, a ubranie na plecach i ramionach drażniło liczne rany nawet pod grubymi bandażami. Przewróci się, jeśli pigułki szybko nie zadziałają.

Po kilku minutach miał już zarezerwowane miejsce na najbliższy lot do Abu Zabi - rejsem British Airways z przesiadką w Rijadzie. Aby dostać bilet, musiał tylko pokazać swój paszport w saloniku dla VIP-ów. Po raz pierwszy skorzystał z tego dyplomatycznego przywileju i przysiągł sobie, że nie będzie się do tego przyzwyczajał, ale czuł się pewniej, wiedząc, że może to zrobić.

Trevor pomyślał o tym, żeby włożyć mu do kieszeni spodni kilka dwudziestofuntówek. Za jedną z nich kupił solidny parasol i okulary przeciwsłoneczne. Parasol potraktował jak laskę, by nie przeciążać jednej z nóg, która bardziej ucierpiała. Choć wielkie okulary nie zakrywały wszystkich ran na twarzy, kilka z nich jednak zakamuflowały. Z zaczesanymi do przodu włosami mógł prawie uchodzić za ofiarę niedawnego wypadku samochodowego.

Na szczycie ruchomych schodów, tuż przed bramkami bezpieczeństwa, podeszła do niego młoda kobieta w niebieskim mundurze.

- Ministrze Khuddari, nazywam się Vivica Smith. - Hostessa British Airways uśmiechnęła się olśniewająco. Była młoda, dopiero co przekroczyła dwudziestkę. Miała krótkie blond włosy i łagodne oczy. Sprawdziła, czy dane z paszportu zgadzają się z informacjami z systemu biletowego. Widząc, że Khalid utyka, Vivica Smith wezwała jeden z elektrycznych wózków krążących po lotnisku, by zawiózł ich do rękawa, gdzie boeing 767 czekał na swojego ostatniego pasażera.

- Dziękuję za opiekę, to naprawdę bardzo miłe - rzekł Khalid. Środki przeciwbólowe w końcu zaczęły działać, łagodząc szarpanie co większych ran. Kiedy jechali wyłożonymi wykładziną korytarzami,

pożyczył od Viviki komórkę, by zadzwonić do pułkownika Wayne'a Bigelowa w Abu Zabi. Starego pustynnego lisa nie było w jego zagraczonym kawalerskim mieszkaniu, ale Khalid nagrał mu się na automatyczną sekretarkę. Poinformował go, że przylatuje za kilka godzin, podał numer lotu i poprosił, by Bigelow odebrał go z lotniska.

Objuczeni pasażerowie rozstępowali się przed wózkiem, który mijał sklepy wolnocłowe, niezliczone kioski i eleganckie butiki, z których sływał terminal czwarty. Po kilku minutach dojechali do bramki Khalida. Vivica Smith zeskoczyła z wózka i przyprowadziła wózek inwalidzki, który czekał przy wejściu do rękawa. Bez najmniejszych problemów Khuddari został wwieziony do samolotu i zaprowadzony na swoje miejsce w pierwszej klasie. Aby dostać w ostatniej chwili takie miejsce i opóźnić samolot, trzeba było zapłacić prawie dziesięć razy tyle, ile kosztował normalny bilet. Przywileje kosztują.

Khalid nie był w stanie dłużej czuwać i zapadł w błogi sen, z którym walczył, kiedy wielki odrzutowiec ruszał ze swojego stanowiska.

Zapalnik opóźniający czeskiego granatu RGD-5 został zmieniony tak, że wybuch następował nie po czterech, a po sześćdziesięciu sekundach. W ten sposób powstała pomysłowa broń używana przez terrorystów w zatłoczonych miejscach, gdzie bardziej wyrafinowane urządzenia zostawione na dłużej mogłyby zostać wykryte. Czekając, aż wskazówka sekundowa zegarka dotrze na miejsce, Tariq wypił resztę napoju z puszki, wyjął granat z kieszeni kurtki i wrzucił oba przedmioty do kosza na śmieci, przy którym czekał od piętnastu minut. Spokojnie wyszedł z lotniska i udał się do samochodu stojącego na parkingu krótkoterminowym. Nawet gdyby ktoś rozpoznał w nim człowieka, który podrzucił granat, to i tak była to jego pierwsza akcja poza Bliskim Wschodem i trudno byłoby władzom trafić na niego wyłącznie po rysopisie.

Pięćdziesiąt dziewięć i osiem dziesiątych sekundy po zwolnieniu zawleczonego sto dwadzieścia gramów trotylu w okrągłym panczerze wybuchło, a pokrywa kosza na śmieci utkwiała w suficie terminalu. Potężna siła rozerwała pancierz wzdłuż linii podziału, rozsiewając wokół setki drobnych odłamków. Najbardziej ucierpiała dziewiętnastoletnia norweska niania wracająca do domu. Spore fragmenty jej rozerwanego ciała wylądowały wiele metrów od miejsca wybuchu. Rany odniosło osiem innych osób. Jedna z nich, nigeryjski ksiądz, zmarł później w izbie przyjęć na lotnisku.

Jeszcze zanim w wielkim budynku wybuchła panika, zadzwonił telefon kierownika lotniska. Geoff Wilberforce był już w podłym

nastroju z powodu zmian lotów wywołanych przez awaryjne lądowanie El Al na Gatwick, nie miał więc ochoty podnosić słuchawki.

- Co? - warknął, spodziewając się jakiegoś tchórzliwego kontrolera lotów z Gatwick.

- W chwili, kiedy zadzwonił twój telefon, w głównym korytarzu terminalu czwartego nastąpiła eksplozja. To był niewielki ładunek w porównaniu z tymi, które rozmieściliśmy na całym lotnisku i w kilku samolotach czekających na pozwolenie na start. Jeśli jakikolwiek samolot będzie próbował wystartować z Heathrow w ciągu dwóch minut po zakończeniu tej rozmowy, zdetonują pozostałe bomby. Będziecie mieli na rękach krew niewinnych ludzi. Zezwolę na lądowanie samolotów przez następną godzinę, ale jeśli jakiś samolot wyląduje potem, zdetonują pozostałe ładunki. Lotnisko Heathrow zostaje zamknięte z rozkazu Zjednoczonego Kurdystanu.

Rozmówca się rozłączył, a Wilberforce słuchał w słuchawce ciągłego sygnału, który brzmiał niczym sygnał EKG martwej osoby. Właśnie zrywał się na równe nogi, kiedy do gabinetu wpadła jego sekretarka. Była bliska łez.

- Geoff, był wybuch.

Ogromne silniki boeinga 767 British Airways mruczały cicho, kiedy wielki samolot jechał drogą dojazdową do pasa startowego za jumbo jetem do Nowego Jorku. Mieli już czwarte miejsce w kolejce do startu, kiedy nagle silniki całkowicie ucichły. Światła w kabinie przygasły, a klimatyzacja przełączyła się na oszczędniejszy tryb zasilania wewnętrznego.

- Panie i panowie, mówi kapitan. Obawiam się, że mamy problem techniczny na Heathrow. Główny radar właśnie przestał działać, a wraz z nim komputery. Prawdopodobnie będziemy musieli trochę poczekać, póki wszystko nie zostanie naprawione. W imieniu British Airways i reszty załogi przepraszam za nieznaczne opóźnienie. Będę przekazywał państwu informacje, kiedy tylko będą napływać. Tym czasem poleciłem personelowi pokładowemu, by poczęstował państwa napojami. Dziękuję.

Khalid Khuddari przespał cały komunikat.

24 kilometry na południe od Fairbanks, stan Alaska

Z wysokości półtora kilometra nad płytką doliną na brzegach rzeki Chena, gdzie leży Fairbanks, największe miasto w głębi Alaski,

łatwo było dostrzec szalejący pożar na południowy zachód od centrum miejscowości. Ogromne płomienie strzelały w górę i na boki w nocnym powietrzu, mimo że z nieba lał mocno smagany wiatrem deszcz. Pożar wybuchł na lotnisku międzynarodowym, dokładnie w nowym magazynie sprzętu należącym do Alyeski. Eddie, Mercer i Mike Collins patrzyli, jak ludzie i sprzęt uwijają się jak w ukropie, by ugasić szalejący ogień. Obracające się światła na dachach wozów pożarowych migotały wściekle. Z wysoka widać było, że liczba wozów strażackich jest nieadekwatna do obszaru objętego ogniem. Co najmniej hektar terenu był pokryty falującymi płomieniami i czarnym chemicznym dymem.

- Jezu Chryste, co się tam dzieje? - zapytał czwarty pasażer śmigłowca, młody sierżant przydzielony im przez pułkownika Knoffa, by zajmował się łącznością między Eddiem Rice'em i dwoma hueyami lecącymi prawie kilometr przed nimi.

- Ścierna na całego - odparł Mercer z tylnego fotela w jetran-gerze. - Wygląda na to, że nie mamy co liczyć na wsparcie na ziemi z Fort Wainwright.

Przed wylotem z Elmendorf pułkownik Knoff zaproponował, żeby wysłać do stacji pomp pięć i sześć konwój żandarmerii wojskowej z lotniska wojskowego Fort Wainwright w Fairbanks. Mercer się zgodził - wiedział wprawdzie, że trzy śmigłowce dotrą do stacji o wiele wcześniej niż żandarmeria, ale jeśli Kerikow zdążył już uciec, to po drodze natknie się na wojskowy konwój.

Sytuacja awaryjna taka jak ten pożar będzie zdecydowanie ważniejsza dla miejscowych władz niż misja Mercera. Każdy zdrowy żołnierz z Wainwright na pewno zostanie zmobilizowany do pilnowania tłumów, poszukiwań i pomocy medycznej. Trzy śmigłowce lecące na północy były zdane same na siebie.

Mike Collins siedział obok Mercera i patrzył przez okno. Z twarzą przyciśniętą mocno do szyby przyglądał się zniszczeniom. Usta miał zaciśnięte i blade, nerwowo zaciskał dłonie leżące na kolanach.

- Czy ci debile zdają sobie sprawę, że w tym magazynie leży prawie tysiąc ton ładunków sejsmicznych i innych materiałów wybuchowych?

- Pewnie tak - skwitował spokojnie Mercer.

- To wcale nie jest śmieszne. - Collins obrócił się i rzucił Mercerowi gniewne spojrzenie.

- Mike, wiem, że nie. Ale gwarantuję ci, że to tylko ścierna, a główna atrakcja wieczoru dopiero przed nami. Kerikow wie, że

zareagujemy, kiedy stracimy łączność ze stacjami pomp. Próbuje odwrócić naszą uwagę.

- A skąd to wiesz? Skąd wiesz, że nie chodziło mu tylko o ten pożar?

- Bo wiem, jak ten sukinsyn myśli, i to jest dla niego tylko drobiazg. - Mercer miał zamiar mówić dalej, ale przerwał mu sierżant. Pułkownik Knoff chciał z nim porozmawiać. Mercer włożył słuchawki. - Tak, pułkowniku, co się dzieje?

- Dostałem właśnie pilną wiadomość z Wainwright. Potrzebują naszych śmigłowców, żeby ewakuować rannych do Anchorage. Szpital w Fairbanks jest przepelnięty. Potrzebują wszystkiego, co tylko lata, żeby przewozić rannych na południe, a na północ lekarzy i środki medyczne.

- Nie zgadzam się, lecimy dalej.

- Sam mówiłeś, że to może być tylko pogoń za cieniem, a tam umierają ludzie. Jesteśmy im potrzebni.

- Gdyby któreś ze stacji pomp nie zaatakowano, nie byłoby tego pożaru. Pułkowniku, to tylko dywersja, nic więcej.

- Ta dywersja kosztowała już życie dwudziestu trzech osób, doktorze Mercer - zauważył kwaśno Knoff.

- Moja misja jest ważniejsza. Przykro mi. Bez odbioru.

- Ty zimny sukinsynu - mruknął Mike Collins i odwrócił się do okna, za którym Fairbanks zniknęło już pod płaskim brzuchem śmigłowca.

Mercer siedział w milczeniu z rękoma skrzyżowanymi na pierśsiach. Oczy miał spokojne i nieprzeniknione. Za tą fasadą krył się gorączkowo pracujący mózg. Czy mam rację? - zadawał sobie pytanie. A może skazuję niewinnych ludzi na śmierć, odmawiając im pomocy śmigłowców?

- Mercer, dzwoni Andy Lindstrom - odezwał się Eddie Rice przez słuchawki. - Mówi, że nie ma odpowiedzi ze stacji pięć, ale szóstka się zgłasza. Czuwa tam szczątkowa załoga. Pyta, czy ma wysłać kogoś do piątki.

- Nie! W żadnym wypadku nie mogą opuszczać stacji numer sześć. Zostaną poszatkowani na kawałki, zanim dotrą do sterowni. Piątka jest pod kontrolą terrorystów. Sierżancie, proszę wywołać pułkownika Knoffa i powiedzieć mu, że lecimy do stacji numer pięć. Eddie, za ile dolecimy?

- Jeszcze co najmniej godzina i dwadzieścia minut. Pogoda jest koszmarna. Hueye lecą jeszcze wolniej niż my, zwłaszcza w pełnym obciążeniu.

- Cholera! Stacja numer pięć przestała odpowiadać godzinę temu. Możliwe, że Kerikow już się zdażył zwinąć.

Czas się włókł. Ilekroć Mercer obracał nadgarstek, by zerknąć na zegarek, wskazówka minutowa pokonywała coraz krótszy łuk. Rytmiczne dudnienie łopat wirnika nad głową miało właściwości usypiające. Zapadł w jakiś trans, nie myślał o niczym, ledwo dochodziły do niego przyciszone rozmowy między Eddiem Rice'em a pilotami dwóch hueyów. W końcu nadeszły myśli - najsilniejsze były obawa i zwątpienie, a do tego ogromne wyczerpanie, pieczenie pod powiekami, przez które trudno było mrugać. Nie spał od dwudziestu dwóch godzin. Ale nie to go najbardziej męczyło.

Nagle przestała się liczyć pogoń za nieznanym, poszukiwanie wiedzy, które zdominowało jego życie, które uczyniło z niego tego, kim jest. Miał ochotę kazać Eddiemu zawrócić śmigłowiec do Anchorage. To nie jego problem, nie jego walka. Robił to za często, za często narażał życie dla jakiegoś ideału, przekonania, którego nie mógł nawet określić ani nazwać.

Czekanie było zawsze najgorsze. Leciał już tak raz z Eddiem, a także z innymi - pakowali się prosto w paszczę lwa, strach ciążył im w żołądkach, a wątpliwości pulsowały w skroniach niczym uporeczywy ból głowy. Już dawno temu przestał dziwić się, dlaczego ciągle otacza go niebezpieczeństwo, ale i tak zastanawiał się, jak długo jeszcze ta dziwna obsesja pozwoli mu żyć. Ile jeszcze razy może zjeżdżać pod ziemię do jakiegoś szybu, który wymaga natychmiastowej naprawy? Ile razy może wsiadać do śmigłowca, by lecieć na spotkanie kogoś takiego jak Iwan Kerikow i wrócić? Pesymizm aż palił go pod żebrami.

Boże, ależ był zmęczony.

- Dziesięć minut do stacji pomp - oznajmił Eddie.

Mercer wyprostował się i zauważył dziwne spojrzenie Mike'a Collinsa, jakby szef ochrony Alyeski czytał mu w myślach. Nie zważając na Collinsa, pochylił się do przodu, by wyjrzeć przez szybę kokpitu. W ciemności światła pozycyjne dwóch hueyów błyskały niczym klejnoty. Ten chłodny sygnał dodawał otuchy, bo oznaczał obecność innych ludzi pośród tej wielkiej zalesionej pustki na ziemi. Tysiące kilometrów kwadratowych brzoź i srebrzystych świerków oddzielało Góry Alaskie od Gór Brooksa, do których podnóży właśnie się zbliżali. Teren był pocięty dziesiątkami rzek, strumyków i maleńkich jezior.

- Widać jakiś ruch na Drodze Daltona?

- Niczego nie widziałem, a lecimy już nad nią od pół godziny. Nie widziałem też radiowozów tam, gdzie podobno zjechały

z drogi furgonetki Alyeski - odparł Eddie. - Tak jakby w ogóle nie było tej drogi.

- Wywołaj Knoffa. Powiedz, że dolatujemy.

- Już to zrobiłem. Jego chłopaki nie mogą się już doczekać.

- Świetnie. Masz się trzymać co najmniej półtora kilometra za nimi, póki nie wylądują i Knoff nie da nam sygnału. Jeśli Kerikow i jego ludzie jeszcze tam są, to żołnierze Knoffa powinni sobie z nimi poradzić. Przez te fajerwerki w Fairbanks pewnie nie spodziewa się takiej silnej reakcji.

- Czy to znaczy, że przeszła ci ochota na nadstawianie karku?

- droczył się Eddie. - Kiedy ostatnio lecieliśmy razem, kazałeś mi lądować w strefie zero bomby atomowej, która miała wybuchnąć za dwie minuty.

Mercer się roześmiał.

- Rządowe cięcia budżetowe ograniczyły mój dodatek za niebezpieczną pracę poniżej poziomu płacy minimalnej. Robię naloty tylko na barki z alkoholem, chyba że dostanę bezpośrednie polecenie od prezydenta. Ano właśnie, mógłbym naprawdę... Co to jest, do cholery?

Błysk światła, niczym promień lasera, wystrzelił z ciemnej ziemi tak szybko, że wyglądał jak ciągła linia, a nie poruszający się przedmiot. Dosięgnął pierwszego hueya i zderzył się z nim w potężnym wybuchu. Sylwetka śmigłowca pojawiła się na chwilę w rozbłysku ognia, który go zniszczył. W mgnieniu oka maszyna upadła na ziemię jako płonący wrak. Pilot drugiego hueya zrobił unik, kiedy druga rakietka SA-7 Grał wystrzeliła w górę, ciągnąc za sobą jasny pióropusz spalonego paliwa.

Choć siły NATO uważały grale za całkowicie niecelne i słabo uzbrojone - w głowicy przenosiły tylko cztery kilogramy materiałów wybuchowych - to rakiety tego typu były śmiertelnie groźne dla nisko lecących śmigłowców, zwłaszcza tych z odsłoniętymi dyszami wydechowymi, jak UH-1. Grał wystrzelony w stronę drugiego hueya nie był ulepszony o mechanizm chłodzący, który wspomagał czujnik podczerwieni w wyszukiwaniu plam gorąca, ale i tak nie miał problemu, by wyszukać cel na tle zimnej alaskiej nocy. Drugi huey rozpadł się w powietrzu.

Mercer zaczął domyślać się, co to za atak, kiedy Eddie Rice położył jetranger na bok, dając pełny gaz turbinom i wirnikom. Wyciskał każdy kilometr szybkości, by uciec z zasięgu odpalanych ręcznie rakiet. Szczątki dwóch śmigłowców spadły na ziemię jak deszcz meteorytów. Palące się kadłuby uderzały z większym wybu-

chem, wyrzucając w górę odłamki metalu, szczątki załogi i płomień płonącego paliwa. Od ognia z wraków zajęty się kawałki lasu wokół. Sosny płonęły jak zapalki. Deszcz miał zdusić ten pożar dopiero po kilku godzinach.

- Wypatrujcie tych rakiet! - krzyknął Eddie, szarpiąc za wolant to w jedną, to w drugą stronę, by zmylić terrorystów czających się na ziemi. Jetranger, zaprojektowany raczej do wygodnego niż do takiego sportowego latania, jęczał pod sterami Eddiego. Drzwi i szkielet maszyny przechodziły obciążenia o wiele większe niż w dokumentacji technicznej.

- Następny strzelił po prawej! - wrzasnął Mercer, patrząc z niezdrawą fascynacją na kolejną raketę unoszącą się z ciemnego lasu.

- Widzę. - Eddie położył jetranger na bok, robiąc szybko tak ciasny zakręt, że śmigłowiec w kilka sekund stracił ze trzysta metrów wysokości.

Grał minął ich, bo czujnik podczerwieni nie zdołał namierzyć dyszy wydechowych śmigłowca. Paliwo w rakiecie się skończyło i pocisk spadł na ziemię. W czasie gwałtownego manewru nikt nie zauważył kolejnego grała wzbijającego się w niebo.

Leciał bezpośrednio na nich, system naprowadzania wiódł go z bezwzględą precyzją. Namierzywszy w końcu źródło ciepła, stu-trzydziestocentymetrowej długości rakietę zmieniła trajektorię ataku i obniżyła poziom, żeby zaatakować bella od dołu.

- Boże! - wrzasnął Mike Collins, a młody żołnierz na fotelu drugiego pilota darł się wniebogłosem.

Mercer się rozluźnił. Strach, który ścisnął mu pierś, kiedy zaatakowano pierwsze dwa śmigłowce, opuścił go w ostatniej chwili, by mógł spokojnie stawić czoło śmierci. Oglądał to z niemal kliniczną obojętnością.

Tylko Eddie Rice się nie poddał. Na ułamek sekundy przed uderzeniem głowicy w spód jetranger znowu szarpnął mocno śmigłowcem, wystawiając rakiecie pochylone podwozie maszyny. Pocisk uderzył mocno w miejscu, gdzie do kadłuba przymocowany był drugi wirnik, i wybuchł.

Dzięki błyskawicznemu myśleniu i wyjątkowemu refleksowi Eddiego główna siła wybuchu poszła nie na śmigłowiec, ale jetranger był śmiertelnie ranny. Kabinę wypełniły kłęby dymu, a maszyna miotła się w powietrzu wyrwana przez wybuch niemal do góry nogami. System elektryczny wysiadł, a chwilę później zaczęła dławić się turbina - uruchomiła się jeszcze na chwilę, a potem zaczęła się dusić, nie mając dopływu paliwa przez rozerwane przewody. Smród

benzyny lotniczej zaczął dusić całą czwórkę, która próbowała usiedzieć na miejscu w wierzgającej maszynie. Na szczęście śmigłowiec się nie zapalił. Na razie.

Idąc za głosem instynktu, Eddie zdołał wyrównać lot jetranger. Dym był tak gęsty, że nie widać było konsoli z przyrządami niecały metr od niego. Wpadli w autorotację i zaczęli spadać. Śmigłowiec kręcił się wokół własnej osi po coraz ciaśniejszym kręgu, a ludzie w środku byli przypierani do ściany kadłuba. Eddie wykorzystał ten ruch i spowolnił spadek resztką obrotów głównego wirnika.

- Nic nie widzę! - krzyknął przez ogłuszający huk rozpadającego się śmigłowca.

Mercer pochylił się, macając na ślepo w dymie, póki nie trafił na zimny metal karabinka Heckler & Koch MP-5, który sierżant zgubił, kiedy rakietę trafiła w jetranger. Wyprostował się i odbezpieczył broń.

- Zakryj twarz!

Mierząc nad ramieniem Eddiego, puścił serię w przednią szybę.

Pleksiglas popękał, a następnie rozpadł się całkowicie, ulatując w ciemność niemal w jednym kawałku. Kilka fragmentów wpadło do kokpitu. Jeden odłamek wielkości sztyletu utkwił w barku nieprzytomnego Mike'a Collinsa. Wir wiatru wyssał dym z kabiny, a wraz z nim paralizujący smród benzyny lotniczej. Eddie znów widział i mógł lepiej zapanować nad spadającym spiralnie śmigłowcem.

- Już po nas! - ryknął Eddie przez świst wiatru.

Trzysta metrów niżej leżała ciemna otchłań ziemi, w której trudno było cokolwiek rozróżnić. Bezgwiezdna noc skrywała wszystko dokładnie. Nie byli w stanie stwierdzić, czy mają pod sobą skaliste góry, miękkie pole czy wodę. Eddie musiał spróbować lądować po omacku. Nie mógł nawet posługiwać się wysokościomierzem - jego strzałka zamarła, kiedy dostali rakietę.

- Tam! - zawołał Mercer, wskazując w lewą stronę.

Z mroku wyłonił się zagajnik wysokich, prostych świerków. Ich wysokie trójkatne czubki przypominały średniowieczne wieże kościelne. Lasek wydawał się bardzo gęsty i mógłby osłabić kontrolowane uderzenie spadającego śmigłowca. Eddie skierował maszynę w to miejsce, a silnik kaszłał, spalając łapczywie resztki paliwa.

- Nie damy rady, stary. Wydaje się, że to blisko, ale to prawie kilometr stąd! - krzyknął Eddie. Deszcz przemoczył ich wszystkich. Żołnierz rękawem munduru ocierał wodę z ciemnej twarzy Eddiego, bo pilot nie mógł oderwać dłoni od dźwigni nawet na sekundę. Na gle Eddie wpadł na pomysł. - Panowie, drzwi mają rygle awaryjne na zawiasach! Pociągnijcie je i odrzućcie drzwi!

Mercer i sierżant wykonali prośbę Eddiego, szarpnęli za wielkie czerwone rączki i kopnęli drzwi na zewnątrz. Do kabiny zaczęło wpadać jeszcze więcej deszczu, a silne wiry wody zaczęły hulać nagle we wszystkie strony. Wiatr wył jak potępiony.

- Jestem w stanie utrzymać go tylko przez sekundę, a i tak trzeba będzie skoczyć z jakichś sześciu metrów na czubki drzew, ale nic więcej nie da się zrobić.

- Nie ma mowy, Eddie! - stwierdził Mercer. - Nie zostawię ciebie i Collinsa.

- Mercer, albo wszyscy się rozbijemy, albo może da się ocalić waszą dwójkę. Wykorzystaj tę szansę, do jasnej cholery!

Mercer nie spierał się z brawurowo nastawionym Eddie. Podszedł do dziury po drzwiach. Wiatr szarpał mu ubranie i kręcił się wokół niego. Patrzył, jak Eddie nadlatuje na skraj zagajnika, tuż nad czubkami drzew. Echo obracających się łopat odbijało się mocno od ziemi. Przy bliższych oględzinach świerki nie były tak gęste, jak mu się początkowo wydawało. Między wieloma z nich widać było spore dziury. Spadając z takiej wysokości prosto na ziemię, człowiek pękłby jak worek cementu. Trzymając MP-5, czekał na sygnał Eddiego. Jedną ręką przytrzymał się ramy po drzwiach, nie dając się wyssać wiatrowi w próżnię.

- Skaczcie! - polecił im Eddie, unieruchamiając na chwilę śmi głowiec w niepewnym zawieszeniu. Następnie odprowadził jetran gera kawałek dalej, by płyty wirnika rozbijające się o drzewa nie poszatkowały Mercera i sierżanta.

Żołnierz zawahał się przez sekundę. Skoczył, dopiero kiedy śmigłowiec zaczął się odwracać. To opóźnienie sprawiło, że nie trafił na drzewo, które sobie wypatrzył. Jego ciało pomknęło przez noc, nabierając prędkości w tempie wykładowym, tak że kiedy dotarło do piaszczystego gruntu, wbiło się weń z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Uderzenie połamało mu czaszkę, kręgosłup, żebra, barki, biodra, ręce i nogi. Nie żył, zanim system nerwowy zdążył odebrać sygnał o obrażeniach.

Mercer obserwował Eddiego i skoczył w chwili, kiedy czarnoskóry pilot otworzył usta pełne żółtych zębów, nie czekając nawet, by usłyszeć polecenie. Spadał tylko trzy i pół metra, aż uderzył w najwyższe gałęzie szczególnie wysokiego drzewa. Cienkie gałązki chwyciły go w locie, a każde takie zderzenie bezlitośnie go drapało, ale też spowalniało upadek. W pierwszy gruby konar uderzył barkiem. Szorstką, grubą korę poczuł przez kilka warstw swojej skórzanej kurtki.

Leciał dalej, smagany gałęziami jak biczami. Zdzierały mu skórę z rąk i twarzy. Jedna uderzyła go w brzuch tak, że zabrakło mu tchu, a inna w udo, tak że zdrewniała mu cała prawa noga od krocza do palców. Ziemia zbliżała się za szybko. Każde kolejne zderzenie było koszmarem. Drzewo szarpało go jak dzikie zwierzę, choć zarazem ocalało mu życie. W końcu, po niemal dwunastu metrach tortur, upadł na większy konar. Spróbował objąć go rękami, ale nie udało mu się, za to zdołał przyłgnąć do następnego, przerywając spadanie nieco ponad metr przed końcem korony drzewa, pod którą była już tylko ziemia. Wisiał tak wyczerpany, zaczepiony nogą i ręką o gałąź jak gibbon. Z twarzy i rąk kapłała mu krew.

Wtedy poczuł, jak jetranger się rozbija. Łopaty wirnika rozpadły się w zderzeniu z czubkami pobliskich drzew i rozleciały się spiralnie wokół niczym kosy. Na swej zabójczej drodze ścinały kawałki drewna i całe gałęzie. Kawałek łopaty przeleciał zaledwie trzydzieści centymetrów nad miejscem, gdzie wisiał Mercer. Zamiast czekać na kolejny, Mercer puścił się i spadł ostatnie półtora metra, lądując na ziemi jak wór.

Śmigłowiec uderzył w korony drzew tak gwałtownie, że osłabiony ogon odpadł i wylądował oddzielnie, wycinając dwumetrowy rów w ziemi. Reszta kabiny uwięzła w grubych konarach kilku gęsto rosnących drzew. Kadłub nie uderzył w ziemię, ale wisiał prawie sześć metrów nad nią, chwiejąc się niebezpiecznie, w miarę jak drzewa się prostowały.

Mercer leżał na plecach. Deszcz, który spadał mu na twarz, był lekko kwaśny z powodu kontaktu ze świerkiem. Szczypał go w oczy i zmusił, by się przekreślić. Dopiero po minucie poczuł się na siłach, żeby stanąć, jęcząc, bo barki i plecy łupały go od przeciążenia. Kiedy usłyszał wyraźne wołanie o pomoc, ruszył szybkim truchtem, zabierając ze sobą pistolet maszynowy, który wylądował obok. Odłamki metalu i kawałki świeżo połamanych drzew pokrywały całą ziemię.

Po kilkudziesięciu metrach trafił na rozbite o ziemię ciało sierżanta. Mercerowi wystarczyło tylko szybkie ponure spojrzenie, by przekonać się, że to nie młody żołnierz woła o pomoc. Biegając dalej, dotarł na miejsce zderzenia, a właściwie trafił pod nie. Podniósłszy głowę, zobaczyłabinę jetrangerana nad sobą. Śmigłowiec wisiał, zaczepiwszy się o splątane mocno gałęzie. Eddie krzyknął ponownie, a w końcu zakaszłał mokrym kaszlem.

- Eddie, co ty tam robisz, do jasnej cholery? - Mercer zmusił się, by zabrznieć beztrosko. - Nie słyszałeś, że rozbijać należy się o ziemię?

- Stary, ktoś z was zapisał numery tej ciężarówki, która właśnie mnie walnęła?

- Wszystko w porządku?

- Raczej tak, biorąc pod uwagę okoliczności. Jakaś gałąź wpadła do kokpitu i wybiła mi z dziesięć zębów. Chyba mam też złamaną szczękę. Cholera, jestem teraz pewnie tak brzydki jak ty. - Eddie przerwał, walcząc z falami omdlenia. - Collins nie przeżył. Widzę, że ma skręcony kark.

- Dzieciakowi też się nie udało. Ale dwóch na czterech to i tak nieźle. Naprawdę szacunek. Dasz radę tam poczekać na przyjazd kawalerii? Nie mam cię jak ściągnąć.

- Nie przejmuj się mną, a jak jeszcze jesteś w stanie, to zabij tych drani w moim imieniu, dobra?

- Mało ważne, czy jestem w stanie. I tak zapłacę. - Głos Mercera był twardy jak kamień. Właśnie uruchomiła się w nim wola przetrwania i wszelkie wątpliwości, jakie miał wcześniej, gdzie się ulotniły. - Eddie, sierżant miał w kokpicie swoją kamizelkę bojową. Leżała na podłodze przy jego nogach. Widzisz?

- Chwileczkę. - Sekundę później Eddie odkrzyknął: - Tak, mam ją!

- Zrzuć mi, będzie mi potrzebna. Ale pistolet sobie zatrzymaj. Ciężka kamizelka spadała przez gałęzie i kilka razy omal się na nich nie zawiesiła, a w końcu wylądowała metr od Mercera. Podniósł ją, założył sobie nylonowe szelki na barki i zapiął pasek w talii. Obok noża, zestawu opatrunkowego, latarki i - co najważniejsze - kompasu, miała też cztery dodatkowe magazynki do pistoletu maszynowego.

- Eddie, trochę może potrwać, nim lotnictwo wyśle ekipę ratunkową. Nie wiem, czy byliśmy na radarze, kiedy trafiły nas te rakiety. Ale kiedy się w końcu pojawią, daj im znak z beretty. Znasz sygnał ratunkowy: trzy szybkie strzały. Na wypadek gdybym nie dał rady w stacji pomp i Kerikow wyśle tu kogoś, żeby upewnić się, że nikt nie przeżył, sprawdź, czy to swoi, czy obcy, zanim zaczniesz wołać o pomoc.

- Dasz sobie radę?

- Odpowiem ci jutro przy drinku w Great Alaskan Bush Company - zażartował Mercer, wspominając najslynniejszy bar ze strip-tizem w Anchorage.

- Ty stawiasz - roześmiał się Eddie, ale Mercer już sprawdził kompas i ruszył w drogę.

Ulewny deszcz zagłuszał jego przedzieranie się przez drzewa, dzięki czemu mógł się puścić lekkim biegiem. Wzrok miał wyczulony

na każdą odrobinę światła, więc wypatrywał przeszkód, unikał pniaków, gęstych krzewów i wszystkiego, co mogłoby go spowolnić. Oceniał, że Eddie przeleciał co najmniej trzy kilometry od miejsca, skąd wystrzelono rakiety, więc nie musiał się martwić, by nie wpaść na jakichś zwiadowców.

Nie zważając na dokuczliwy ból, dobiegł do Drogi Daltona w zaledwie trzydzieści minut. Przez ostatnie czterysta metrów wspinał się po stromym zboczu. Droga była w tym wypadku określeniem na wyrost - właściwie był to dukt pokryty gęsto ubitym żwirem, który kiedyś stanowił drogę dojazdową do budowy alaskiego rurociągu. Mercerowi brakowało tchu. Pot na jego skórze mieszał się z deszczem, od którego przemókł do suchej nitki. Temperatura wahała się w pobliżu dwóch stopni powyżej zera. Tak przemoczony mocno ryzykował wyziębienie organizmu. Skóra będzie oddawać ciepło ciała, póki Mercer nie upadnie i nie umrze.

Rurociąg biegł po drugiej stronie drogi na patykowatych wspornikach. W deszczową noc ponadmetrowej grubości rura połyskiwała srebrzyście niczym ciało jakiegoś robaka ciągnącego się na północ i południe po sam horyzont. Żwir na drodze przez lata ubił się mocno pod kołami ciężarówek jeżdżących na bogate złoża naftowe nad zatoką Prudhoe. Na brzegach rosła wierzbówka kiprzyca, której niezliczone fioletowe kwiaty zwiędły przez lato. Teraz zostały tylko ogołocone górne pędy, rozczapierzone niczym palce pokręcone artretyzmem.

Gdzieś po prawej Mercer miał stację pomp numer pięć, której pilnowało nie wiadomo ilu terrorystów uzbrojonych w rakiety i Bóg wie co jeszcze. Po lewej rozciągała się otwarta droga prowadząca z powrotem do cywilizacji. Wystarczyło przejść kilka kilometrów, by trafić na jakąś przytulną chatkę leśnika z kubkiem ciepłej kawy i łóżkiem. Odbezpieczył H&K i skręcił w prawo, idąc dalej na północ w nieznaną, polegając wyłącznie na sokolim wzroku i instynkcie, które miały go ustrzec przed wpadnięciem w pułapkę.

Przeszedł trzy, cztery, pięć i sześć kilometrów Drogą Daltona. Nie myślał, prawie zahibernował mózg, oszczędzając energię dla biegnących stóp. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak wycieńczony, zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Tracił energię, a wraz z nią koordynację. Potykał się coraz bardziej, lecąc przed siebie. Raz nawet wyrznął o ziemię, a żwir wbił mu się głęboko w i tak już poranione dłonie.

Leżąc na śliskiej drodze z twarzą na ziemi, zamknął oczy z bólu i zmęczenia. Nagle usłyszał wyraźnie odgłos uruchamianego silnika ciężarówki. Kierowca dodał gazu i wrzucił bieg. Mercer podniósł głowę i przez mżawkę zobaczył światła odjeżdżające w mrok. Gdy-

by był szybszy o pięć minut, wbiegłby prosto na tylną straż Kerikowa. Pojazd wycofał się na północ w stronę stacji pomp numer pięć.

Mercer nie był pewien, czy to znaczy, że Kerikow zamierza zaraz się wycofać, czy że nie obawia się już ataku lądowego od strony Drogi Daltona i chce zacieśnić kordon obronny. Musiał się pospieszyć. Jeśli Kerikow zaraz odjedzie ze stacji pomp, Mercer nie będzie miał szansy go dopaść. Sam z jednym pistoletem maszynowym nie da rady konwojowi ciężarówek. Jednej może tak, ale był przekonany, że Kerikow musiał użyć przynajmniej czterech ciężarówek, by przewieźć dość ludzi i sprzętu, by opanować stację pomp i móc rozmieścić strzelców z wyrzutniami rakiet. Jeśli chciał wyeliminować Kerikowa, nim ten znów się gdzieś zaszyje, musiał się dostać do stacji, zanim ludzie Rosjanina ją opuszczą.

Tym razem biegło mu się łatwiej, pewniej, był bardziej skupiony. Deszcz się wzmógł, a utwardzona żwirowa droga zmieniła się w gęstą papkę. Gлина przylepiała mu się do głębokiego protektora butów. Mercer zbiegł na skraj drogi, gdzie nawierzchnia była bardziej zbita i biegło się po niej łatwiej. Wychodząc zza ostrego zakrętu wokół postrzępionego wzgórza, które zasłaniało mu widok na północ, Mercer wypadł z drogi i stoczył się po niskim poboczu do małego strumyka deszczówki. Przed sobą miał stację pomp oświetloną silnymi lampami halogenowymi zamontowanymi na ciężarówce. Przysadzisty budynek i jego bezpośrednie otoczenie były skąpane w plamie białego światła. I nagle Mercer zrozumiał, dlaczego Kerikow zaryzykował bezpośredni atak na rurociąg.

Przy rurze stało sześć wywrotek. Na dwóch z nich zamontowano dźwigi, które zakładały na rurę z ropą długie cylindryczne kołnierze. Mężczyźni i kobiety krzżeli się wokół i nawet z tej odległości Mercer słyszał ich okrzyki i przekleństwa. Po to właśnie był Kerikowowi ciekły azot. Okładał schłodzonym gazem strategiczne części liczącego tysiąc trzysta kilometrów rurociągu, by spróbować zatrzymać przepływ ropy. Oceniał, że to musi być ostatnia partia cylindrów, która zastąpiła te, które odkrył na pokładzie „Jenny IV”.

Przyglądał się uważnie, jak rozcinano palnikiem kołnierz ochronny wokół rury i w jego miejsce zakładano bliźniaczo podobną konstrukcję. Mercer zrozumiał, jak inteligentnie przygotowano całą operację. Gdyby nie widział tego na własne oczy, nigdy by nie uwierzył, że ze zmienioną częścią rurociągu jest coś nie tak. Kto wie, jaką część rurociągu obłożyli ciekłym azotem?

Ruszył naprzód, brnąc przez wodę i błoto w rowie melioracyjnym. Nie zważał na deszcz, zimno i własny ból. Mimo żółtych kurtek

przeciwdeszczowych i pociemniałych od wody czapek Mercer rozpoznał kilku działaczy PEAL, których widział w barze w Valdez. Poruszali się jak doświadczeni budowlańcy, przenosząc zdejmowane fragmenty rurociągu na ciężarówkę. Kiedy wypuszczą azot pod fałszywą osłoną, tygodniami i miesiącami trzeba będzie odszukiwać zaatakowane miejsca, a nawet wtedy, kto by wierzył w taki śmiały i przebiegły plan?

Przypomniał sobie, co Andy Lindstrom mówił o zamrożeniu ropy w rurociągu, doszedł do wniosku, że PEAL może by i była usatysfakcjonowana zamknięciem rurociągu na kilka miesięcy, w czasie których usuwano by z niego zestaloną ropę i wymieniano uszkodzone partie. Ale trudno mu było uwierzyć, żeby Kerikow zadowolili się takim symbolicznym, ale jednak bezwartościowym aktem ekoterroryzmu. Musiało się za tym kryć coś jeszcze, coś, czego Mercer jeszcze nie rozumiał. Miarowe wycie głównej turbiny stacji pomp brzmiało jak stłumione wycie wiertła u dentysty. Nie ustawało mimo to, co działo się wokół.

Nagle coś pchnęło go twardo w kark, coś o koncentrycznym kształcie, którego wewnętrzny krąg miał dokładnie dziewięć milimetrów średnicy. Lufę uzi wbijającą mu się w ciało trzymał jeden z byłych wschodnioniemieckich zabójców pod komendą Kerikowa. Mercer nie słyszał jego kroków - był zbyt zaaferowany widokiem, jaki miał przed oczyma. Kiedy powoli splatał z tyłu palce, przeklinał sam siebie za brak ostrożności.

- Wstawaj - padło polecenie, a kiedy zaczął wstawać, usłyszał, że ma to robić powoli. Pistolet cofnął się, żeby nie mógł się obrócić i chwycić za lufę. Człowiek, który go pojmał, wiedział dobrze, jak się obchodzić z więźniem.

Mercer wstał powoli i się obrócił. Na piersiach wisiał mu pistolet maszynowy H&K. Widząc broń, Niemiec zrobił odruchowo krok w tył, ściskając mocniej własny pistolet. Lewa stopa pośliznęła mu się minimalnie na błocie w rowie i na ułamek sekundy bardziej skupił się na własnej równowadze niż na więźniu. Mercer wykorzystał to w pełni. Przewidział to tak dokładnie, że rzucił się na terrorystę, kiedy tylko ten się zachwiał.

Skoczył w przód, wpadł na zamachowca, podbijając mu rękę, tak że lufa uzi podskoczyła w górę i wymierzyła nieszkodliwie w drzewa. Rana po kuli, którą dostał podczas napaści Burta Manninga na jego dom, odezwała się ze wznowionym bólem, bo długie draśnięcie znów się rozerwało i buchnęło świeżą krwią. Pęd Mercera powalił ich obu na dno rowu. Niemiec został przygnieciony w mokrym błocie. Mercer zgiął prawą rękę i uderzył najmocniej, jak potrafił - trzy

razy w szczękę terrorysty. Niemiec był jeszcze przytomny, ale ledwo. Bez wahania Mercer przytrzymał głowę zamachowca pod bulgoczącą wodą na dnie rowu, póki jego ciało zupełnie nie znieruchomiało.

Dopiero kiedy mężczyzna zmarł, Mercer zdał sobie sprawę, że serce wali mu jak młotem ze strachu, dyszał, jakby nie był w stanie zaczerpnąć dość tlenu. Jego palce drżały od adrenaliny. Leżąc w rowie plecami w śliskim błocie, przechylił głowę i otworzył usta, by zimna słodka woda obmyła mu gardło i ugasiła pragnienie wywołane przez nagły zastrzyk adrenaliny. Odpoczywał jeszcze przez chwilę, po czym wygramolił się z błota, by sprawdzić, czy ta szamotanina zwróciła uwagę pracowników przy stacji pomp.

Wyjrząwszy z dołka, stwierdził, że nikt niczego nie zauważył. Dalej pracowali nad przytwierdzeniem ostatniej paczki z ciekłym azotem do rury. Wycie wielkiej turbiny w budynku i mruczenie dieslowskich silników w ciężarówkach musiało zagłuszyć hałas, jaki Mercer wywołał, zabijając strażnika.

Bez ostrzeżenia przy twarzy Mercera wybuchła fontanna ziemi. Mokry piasek zasypał mu oczy, zatkał nozdrza i wpadł do ust. Znów zanurkował, wciskając się w ziemię, kiedy po chwili dobiegł go odgłos broni maszynowej. Tuż po lewej kolejna seria wyrwała błoto z brzegu rowu tak blisko, że czuł ciepło kul wbijających się w ziemię. Został przygwożdżony do ziemi i był bezbronny. Następny ruch należał do tego, kto strzelał.

- Człowiek, którego właśnie zabiłeś, był kiedyś funkcjonariuszem tajnej wschodnioniemieckiej policji i za radzieckie pieniądze otrzymał najlepsze dostępne wykształcenie. Muszę pogratulować amerykańskim siłom specjalnym kompetencji. Spisałeś się naprawdę świetnie. - Głos, który odezwał się z ciemności, był szorstki i gardłowy, słowa urywały się tak mocno, że były wyprane ze wszelkich emocji. - Ale nie sądzę, żebyś był kuloodporny. Odrzuć broń jak najdalej, unieś ręce nad głowę i wyjdź z rowu.

Mercer, pojmany drugi raz w ciągu niecałych dwóch minut, odrzucił hecklera & kocha i wstał. Z odległości około dwunastu metrów w górę drogi, tuż poza terenem stacji, błysnęła latarka. Snop światła przecinał bezlitośnie strugi deszczu. Mężczyzna, który ją zapalił, widział ze swojego miejsca całą walkę, ale nie interweniował, choć mógł strzelić bez pudła, kiedy Mercer topił terrorystę. Mercer nie miał pojęcia, dlaczego darowano mu życie, ale był pewien, że ten powód mu się nie spodoba.

- No to powiedz... - Promień latarki zaczął falować i podskakiwać, kiedy mężczyzna zbliżał się do Mercera. - Jesteś z rangersów czy ze

zwiadu marines? Wiem, że wasz rząd nie miał czasu, żeby zmobilizować jednostkę SEAL czy Delta i przewieźć ich tak szybko na Alaskę.

- Przykro mi cię rozczarować, ale nikt nie uznał was za takie zagrożenie, żeby warto było wysłać tu prawdziwych żołnierzy. Jestem drużynowym skautów. Nazywam się Niebe Z. Pieczny. Kurczę, nawet nie jestem żołnierzem, tylko geologiem.

Kule kaliber 9 milimetrów wbijały się w ziemię u stóp Mercera. Pociski odbijały się od kamieni i rykoszetem leciały w las. Nie mógł nic zrobić, tylko stać i patrzeć, jak ze śmiertelną zaciętością rozrywają ziemię tuż przy nim.

- Wyszedłem, żeby się rozejrzeć, kiedy jeden z moich zwiadowców zgłosił, że widzi intruza. Nawet nie przypuszczałem, że to może być sam doktor Mercer. Och, nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że twoje życie jest teraz w moich rękach. Umrzesz naprawdę straszną śmiercią, geologu. Możesz być pewien.

Mercer zrozumiał, że został pojmany przez samego Iwana Kerikowa.

Kilka sekund później otoczyło go dwóch mężczyzn, szarpnęli go za ręce i związali mu nadgarstki taśmą tak mocno, że krew odpłynęła z dłoni. Celnym uderzeniem karabinu w nerkę popchnięto go przed podświetlonego od tyłu Kerikowa. Z tej odległości wydawało się, że ramiona Rosjanina zajmują całą szerokość Drogi Daltona.

- Od roku czekałem na ten dzień - powiedział Kerikow do Mercera, którego trzymali terroryści. - Kiedy dowiedziałem się, że to przez ciebie operacja „Kuznia Wulkana” nie doszła do skutku, rozważałem, czy nie wynająć zabójcy i nie zgładzić cię w twoim domu w Arlington, ale uznałem, że naprawdę wolę to zrobić osobiście, jeśli tylko nadarzy się okazja.

Kiedy Kerikow mówił, jego usta wykrzywiały się w okrutnym grymasie, a oczy o kolorze wypranego błękitu błyszcząły jak płaskie kawałki szkła. Nawet w chwili triumfu okazywał niewiele emocji. Zderzenie słów i tej miny było nienaturalne, o wiele bardziej przerażające, niż gdyby upajał się sukcesem i przechwalał.

Niezależnie od tego, jak bardzo spotkanie z demonicznym Kerikowem wpłynęło na Mercera, Amerykanin nie zamierzał tego okazywać. Nie zamierzał się ugiąć ze strachu, nie teraz, nie przed Rosjaninem.

- Kerikow, skoro podporządkowałeś wszystko zemście na kimś tak nieważnym jak ja, to powinieneś poważnie przemyśleć swoje życiowe cele. Jesteś żalosny.

Kerikow rzucił swój karabin szturmowy na drogę i rzucił się naprzód, biorąc zamach prawą ręką. Trzasnął go w policzek z taką

siłą, że Mercer przewrócił oczami, jeszcze zanim uderzył o ziemię. Stracił przytomność na kilka godzin.

- Zanieście to ścierwo do śmigłowca - polecił Kerikow. - I powiedzcie pilotowi, żeby przygotował maszynę. Odlatujemy.

Odwrócił się i poszedł w stronę budynku stacji pomp, ukradkiem masując prawą pięść. Skrzywił się tylko przez chwilę, nastawiając sobie wybity palec, ale ból nie zakłócił nawet tempa jego kroków.

Prace przy rurociągu zostały prawie zakończone. Ostatni kołnierz z ciekłym azotem wisiał już pod rurą. Jego dwie połówki były otwarte i gotowe do zaciśnięcia się na rurociągu. Szef ekipy montażowej dał znak operatorowi dźwigu. Ten uniósł fałszywy kołnierz, posłusznie podążając za szybkimi znakami, które dawał mu rękoma jeden z działaczy PEAL stojący na rurze. Kiedy dół zestawu z ciekłym azotem dotknął spodu rury, operator dźwigu uniósł go jeszcze o kilkadziesiąt centymetrów i dwie połówki domknęły się naturalnie, obejmując kolejny sześciometrowy odcinek rurociągu alaskiego dwiema kolejnymi tonami schłodzonego azotu, którego temperaturę utrzymywała cienka próżniowa osłona. Sprytnie ukryte rygle zaskoczyły i zacisnęły kołnierz na rurze. Kolejny odcinek rurociągu był skazany na atak Kerikowa.

Jedna z kobiet wspięła się na rurę, a tymczasem robotnicy zaczęli rozmontowywać dźwig. Za pomocą przenośnego komputera aktywowała elektroniczny zapalnik wbudowany w pojemnik z azotem i dostroiła go do częstotliwości, którą Kerikow wybrał do detonacji. Sprawdziła też komunikację z innymi ułożonymi przez PEAL detonatorami, które miały uruchamiać się w zaprogramowanej kolejności. Taka kaskada miała wywołać najwięcej zniszczeń. Palcami skostniałymi z zimna sprawdziła obwód główny i zapasowy, upewniając się, że nie ma w nim żadnych przerw ani spięć. Odłączyła komputer od gniazda wbudowanego w kołnierz, po czym oderwała gniazdo. Jedynym śladem po nim została nitka przewodu widoczna jedynie pod mikroskopem. Uwolniony azot i mały ładunek wybuchowy zniszczą resztę elektroniki. Kiedy nastąpi wybuch, zostanie po nim tylko kilka kawałków skruszonego kołnierza i drutów. Zestawy z azotem były dosłownie niewykrywalne. Kobieta pokazała szefowi ekipy uniesiony kciuk.

- To już ostatni, Janie! - krzyknął szef do Voerhovena, który stał kawałek dalej.

Kerikow podszedł do Voerhovena, dziwiąc się w duchu, czemu Holender nie zamarzył na śmierć, skoro miał na sobie tylko cienką kurtkę od wiatru narzuconą na koszulkę z krótkimi rękawami.

- Każ się swoim ludziom związać. Ciężarówka trzeba zniszczyć, a wszyscy muszą jak najszybciej wracać na „Nadzieję”. Kiedy jutro uwolnimy azot, wszyscy twoi ludzie mają być w Valdez, niewinni jak przedszkolaki.

Kiedy wszyscy będą rano na pokładzie „Nadziei”, Abu Alamowi będzie łatwiej szybko ich pozabijać. Arabski rzeźnik chciał to robić pojedynczo albo małymi grupami, ale Kerikow uznał, że większy sens ma wysadzenie w powietrze całego statku.

- Spisali się lepiej, niż się spodziewałeś, co? - odezwał się Voerhoven z nieskrywaną dumą.

- Wszyscy świetnie się spisaliście - odparł Kerikow, pamiętając, że Voerhoven też potrzebował swojej dawki budulca dla ego. - Masz wyśmienitych współpracowników, a ich lojalność wobec ciebie jest naprawdę niezwykła. W nagrodę chcę ci wręczyć to. - Kerikow podał mu czarny telefon komórkowy. - To zapalnik do wszystkich tych zestawów. Wystarczy wybrać numer 555-2020 i zieloną słuchawkę. Sygnał dotrze do detonatorów azotu w ciągu jednej dziesiątej sekundy. Trzymasz w rękach przyszłość całego stanu, Janie... oto dowód, jak bardzo ci ufam i jak cię podziwiam. Zostaniesz zapamiętany jako największy obrońca Ziemi.

- Czasami zastanawiałem się nad tobą, Iwanie, nad twoimi motywacjami, przekonaniem. Ale to - Voerhoven podniósł telefon - to dowód o wiele bardziej przekonujący niż jakiegokolwiek słowa. Kiedy nadejdzie czas, nie zawaham się.

Kerikow miał ochotę parsknąć śmiechem, słuchając ekologa, ale zdołał zapanować nad głosem i mówił dalej spokojnie i zdecydowanie:

- Czas ruszać w drogę. Poleć ze mną śmigłowcem. Chcę, żebyś się z kimś spotkał, kiedy już odzyska przytomność.

- Wracamy na „Nadzieję”?

- Nie. Nadłożymy kawałek drogi, żeby odwieźć najpierw mojego więźnia, a potem polecimy do Valdez.

Idąc do czekającego śmigłowca, Kerikow zadzwonił z innej komórki do Teda Mosseya pracującego w terminalu morskim Alyeska. Komputerowy geniusz zapewnił go, że program wgrany przez KGB został już uruchomiony i potrzebował tylko kodu aktywacyjnego, by rozprzestrzenić się po systemie. Kiedy Kerikow wysłał kod do komputera, przejmą pełną kontrolę nad całym tysiąc tysięcznym rurociągiem i dziesięcioma stacjami pomp. A wtedy nikt nie będzie w stanie powstrzymać zaprogramowanej sekwencji wydarzeń.

Lotnisko Heathrow, Londyn

Nie było żadnego logicznego powodu, by Khalid Al-Khuddari się obudził. Był tak poobijany i obolały, że każdy normalny człowiek na jego miejscu zapadłby w co najmniej dwudziestoczterogodziną śpiączkę. A jednak coś kazało mu się ocknąć, coś przedarło się przez warstwy bólu, zmęczenia i leków, by wyciągnąć jego umysł ze stanu upragnionego odrętwienia.

Nie otworzył oczu, ale powoli, za wolno, pozostałymi zmysłami zaczął zbierać informacje. Dopiero po minucie zdał sobie sprawę, że nie słyszy uspokajającego wycia silników samolotu ani nie czuje ruchu, żadnych drobnych skrętów czy zmian wysokości dokonywanych przez autopilot, by utrzymać kurs.

Zaskoczony wyjrzał przez okno. Spodziewał się widoku otwartego nieba i przesuwających się w dole piaszczystych fal Sahary, ale zamiast tego ujrzął terminale i potężne hangary obsługi lotniska. Na otwartej przestrzeni do kołowania zobaczył długą kolejkę wesoło pokolorowanych samolotów ustawionych jeden za drugim, niczym słonie wykonujące sztuczkę w cyrku. Szare jak ścierka chmury prawie dotykały ziemi, przepuszczając jedynie nieliczne promienie słońca.

Khalid obrócił się do pasażerki obok, potężnie zbudowanej kobiety gorączkowo stukającej w laptop palcami z manikiurem za sto dolarów. Zauważył, że jego sąsiadka za wszelką cenę stara się nie zauważyć, że Khalid się obudził. Zważywszy na to, jak wyglądał, nie mógł jej za to winić.

- Przepraszam, ale zasnąłem tuż po wejściu na pokład. Dlaczego jeszcze nie wystartowaliśmy? - zapytał uprzejmie, siłąc się na swój najlepszy brytyjski arystokratyczny akcent.

Odwróciła się do niego zdeglustowana i westchnęła ciężko. Odezwała się tak, jakby każde słowo drogo ją kosztowało, jakby miała ich tylko ograniczony zasób i nie chciała marnować ani jednego.

- Z tego co wiem, jesteśmy zakładnikami.

Sprawiała wrażenie kobiety, która była przekonana, że aby odnieść sukces w męskim świecie, musi ograniczyć się do bycia automatem.

- Co? - Serce Khalida niemal zamarto.

Kobieta zapisała plik, na którym pracowała, i odwróciła się do niego, mówiąc powoli, jak do idioty:

- Terrorysty opanowali Heathrow i zakazali wszelkich startów i lądowań. W przeciwnym wypadku zdetonują podłożone bomby, prawdopodobnie w niektórych samolotach i w terminalu. - Mówiła z dziwnym, nienaturalnym spokojem. Khalidowi trudno było

uwierzyć w to, co słyszał. - Początkowo piloci próbowali nam wmówić, że to jakieś uszkodzenie radaru - kontynuowała. - Ale kiedy zauważyłam, że przez godzinę samoloty nadal lądowały, domyśliłam się, że to nieprawda. Powiedziałam o tym stewardesie i po mojej krótkiej dyskusji z pilotem... straszny człowiek swoją drogą... musieli poinformować pasażerów, co się naprawdę dzieje. Na terminalu czwartym wybuchła bomba, zginęło dwoje ludzi. Na razie ochrona jeszcze nie znalazła innych materiałów wybuchowych. Moim zdaniem to bluff. - Kiedy kobieta zdecydowała się mówić, usta jej się nie zmykały. - Moim zdaniem to jakiś wariat, na pewno obcokrajowiec, próbuje podczepić się pod wczorajszy atak w British Museum. Jak napisał Melville w *Moby Dicku*: „Szaleńcy rodzą szaleńców”. Wystarczy, że jeden terrorysta zaatakuje, i nagle wszyscy chcą iść w jego ślady. Ale podejrzewam, że po Lockerbie władze wolą nie ryzykować, choćby nie wiem jak niewygodne to było dla pasażerów. Khalid był zdumiony brakiem wrażliwości u rozmówczyni. Zginęło dwoje ludzi, a ona przejmowała się niewygodą tej sytuacji. Nigdy nie będzie w stanie zrozumieć ludzi Zachodu i był za to wdzięczny Allahowi. Spojrzał na zegarek i próbował przypomnieć sobie, o której samolot miał wystartować. Nie miał pojęcia, jak długo tkwili na lotnisku. Zapytał o to współpasażerkę.

- Już cztery godziny - marudziła, spojrzawszy na swój wąski zegarek wysadzany diamentami.

Khalid zaczął przytomnieć i jaśniej myśleć, przynajmniej przez chwilę. Ból w plecach i barkach otepiał na tyle, że prawie mógł na niego nie zważać. Zawołał przechodzącą stewardesę.

- Z jakiego powodu nie pozwolono nam wysiąść z samolotu?

- Przepraszam, sir. To część żądań terrorystów. Żaden z samolotów na drodze kołowania nie może się poruszyć. Drugi komunikat wysłali zaraz po pierwszym. Powiedzieli, że jeśli któryś samolot się poruszy albo wypuści pasażerów, wysadzą jednocześnie wszystkie bomby. Twierdzą, że obserwują lotnisko. Bardzo mi przykro z tego powodu, ministrze Khuddari. Słyszałam, przez co pan przeszedł. Czy mogę coś dla pana zrobić? Obawiam się, że na pokładzie nie mamy niczego silniejszego od midolu, ale może zechciałby pan drinka?

- Na razie dziękuję - odmówił szybko Khalid.

Po raz pierwszy w życiu kusiło go, żeby złamać nakazy Koranu i napić się alkoholu. Nie chodziło o to, by ukoić ból, ale by zdusić świadomość, że Rufti wkrótce wygra.

Zrozumiał, że ten tłuścioch musiał się dowiedzieć, że Khuddari próbuje wrócić do Emiratów. Pewnie kazał go śledzić od samego

szpitala. Nawet nie chciał myśleć o tym, co będzie, jeśli Rufti dowiedział się, że Trevor i Millicent Gray mu pomagali. Obojgu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Spał przez cztery godziny, więc pewnie było za późno, żeby im pomóc.

Khalid przestał się przejmować kochankami i zaczął rozmyślać o najważniejszej stawce. Rufti z całą pewnością był już w drodze do Emiratów. A tam natychmiast wcieli w życie swój plan przejęcia władzy. Wielki księżę był w pułapce - z jednej strony musiał zadowolić Stany Zjednoczone, z drugiej - wojownicze nastroje reakcyjnych sił w Zatoce. Starych wrogów obudziły zmiany na światowym rynku ropy.

Rufti mógł przejąć Emiraty tak łatwo, że międzynarodowe media z pewnością określą zamach jako „bezkrwawy”. A wtedy do gry wejdą Iran i Irak i rejon Zatoki stanie się twardą dyktaturą. Dzięki ekonomicznej broni w postaci ropy spiskowcy w ciągu kilku tygodni rzucą Europę, Azję i Amerykę na kolana.

- Potrzebny mi telefon. - Khalid nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos, póki pasażerka obok nie spojrzała na niego dziwnie.

Znów wezwał stewardesę i wyjaśnił, że musi odbyć ważną rozmowę telefoniczną. Ta podkreśliła, że póki samolot jest na ziemi, nie można korzystać z telefonów. Władze obawiały się, że wszelkie zakłócenia elektroniczne - z radia czy z komórki - mogą uruchomić ładunki wybuchowe.

- Nie ma więcej ładunków, zapewniam panią. Muszę zadzwonić, i to natychmiast.

Ponownie pokręciła głową i się odwróciła.

- W takim razie muszę porozmawiać z kapitanem - zażądał ostro. Wstał z fotela bardziej pewnie, niż sądził, i stanął twarzą w twarz z młodziutką stewardesą.

- Przepraszam, panie ministrze, ale to także niemożliwe - odparła, zdecydowanie przeciwstawiając się uporowi Khalida.

- Natychmiast, do cholery! - krzyknął. Cofnęła się w milczeniu, a Khalid stanął w przejściu między fotelami. Stukał stopami o pokład niczym potwór Frankenstein. Sztywność ran pozbawiła go niemal całej koordynacji.

Ustępując przed ministerialną szarżą, stewardesa poprowadziła go do kabiny pilotów. Załoga siedziała w wykrochmalonych białych koszulach, czarnych krawatach i spodniach. Wyglądali imponująco, nawet nic nie robiąc. Kapitan, srebrzystowłosa mężczyzna o mocno opalonej skórze i spokojnych oczach, obrócił się, żeby zobaczyć, kto wtargnął do jego świątyni. Kiedy zobaczył Khalida w źle

dopasowanych ubraniach, z ledwo zagojonymi ranami na twarzy i rękach, ścisnął mocniej wolant samolotu.

- Kapitanie Darson - odezwała się formalnie stewardesa. - To minister Khuddari, pasażer, który przybył na pokład w ostatniej chwili.

Darson nadal mierzył Khalida podejrzliwym wzrokiem.

- Słucham, panie ministrze. Co mogę dla pana zrobić?

- Zamach na lotnisko miał opóźnić mój wylot do kraju, kapitanie. Nie ma żadnych innych ładunków wybuchowych ani żadnego spisku terrorystów. Mój rywal próbuje obalić rząd w moim kraju i tylko ja wiem o jego zamiarach. Zamykając lotnisko i opóźniając ten lot, może zdołać odebrać władzę naszemu prawowitemu przywódcy. - Khalid mocno się starał, żeby mówić wyraźnie. Umysł znów zaczynał mu wirować, a wzrok powoli mętniał.

- Rozumiem, że chciałby pan opuścić samolot.

- Tak, kapitanie, a jeśli to niemożliwe, to proszę przynajmniej pozwolić mi zadzwonić z ostrzeżeniem.

- Rozumiem pańską sytuację, ministrze, ale musi pan zrozumieć i moją. Mam ścisłe polecenia, by nie używać radia, póki władze nie ustalą, czy w samolotach i na lotnisku są jeszcze jakieś inne bomby. Wbrew temu, co pan mówi, rząd traktuje tę pogroźkę poważnie, zważywszy na to, co stało się wczoraj wieczorem w British Museum.

- Kapitanie, to ja byłem celem wczorajszego zamachu. To mnie próbowano zabić, nie rozumie pan? Cały ten wyrafinowany spisek - machnął ręką w stronę widoku za oknem kokpitu - wymyślono tylko po to, żeby powstrzymać jedną osobę, właśnie mnie.

- Przykro mi, ale mam związane ręce. Antyterrorysty powinni sprawdzić wszystko w ciągu kilku godzin. Muszą zachować ostrożność, na wypadek gdyby terrorysty rzeczywiście obserwowali lotnisko. Dopilnuję, żeby opuścił pan samolot od razu, kiedy tylko nas sprawdzą. Przykro mi, ale nic więcej nie mogę zrobić.

- To za mało! - krzyknął Khalid. Drugi pilot szybko wstał i zaczął iść w jego stronę z ponurą miną. Jego intencje były oczywiste i Khalid dał się wypchnąć z kokpitu, bo zdał sobie sprawę, że nic więcej tu nie wskóra.

Stewardesa odprowadziła go na miejsce. Khalid usiadł, rozmyślając gorączkowo. Nie tylko nad swoim problemem, ale także nad tym, jak nie dać się wszechogarniającemu bólowi. Musiał wysiąść z boeinga, skontaktować się z pułkownikiem Bigelowem i przez niego ostrzec wielkiego księcia. Nic innego się nie liczyło.

Opadł na fotel, trzymając się rękoma za głowę. Poczul pierwsze oznaki kapitulacji. Mimo jego desperackich wysiłków, poświęcenia

i wytrzymałości Rufti miał zwyciężyć. Nie miał wyjścia, musiał siedzieć w przedziale pierwszej klasy i czekać, aż opanowany żądzą władzy maniak zniszczy jego kraj.

Akurat. Khalid rzucił się do działania, nim zdążył sobie w pełni uświadomić, na co się porywa.

Główne drzwi do samolotu znajdowały się zaledwie o dwa metry od niego. Khalid rzucił się w ich stronę gorączkowo, potykając się o pasażerkę z sąsiedniego fotela, ale nie zważając na jej protesty. Kątem oka dojrzał, że stewardesa stoi mniej więcej w jednej czwartej długości korytarza i obraca się, by na niego spojrzeć, ale nie zaniepokoiła się, póki nie zobaczyła, że Khalid sięga dłonią do rygła drzwi. Krzyknęła do niego, upuściła koce na kolana pasażera z klasy ekonomicznej i zaczęła biec w stronę Khuddariego.

Jedyny steward na pokładzie obrócił twarz modela w stronę zamieszania i aż rozszerzył oczy, widząc, że niechłujnie odziany pasażer mocuje się z drzwiami.

Resztkami sił Khalid szarpnął klamkę i w końcu złamał pieczęć. Doskonale wyważone przez inżynierów Boeinga drzwi obróciły się z łatwością, złożyły i otworzyły mu szeroką drogę do wolności. Wystraszeni pasażerowie zaczęli krzyczeć, kilku zerwało się z siedzeń i zaczęło biec na tył samolotu, obawiając się, że Khalid jest w zmo-wie z terrorystami. Część ludzi w niemym przerażeniu patrzyła, jak Khuddari przygotowuje się do skoku na płytę lotniska.

Steward rzucił się, by chwycić go za ubranie, ale zabrakło mu około dziesięciu centymetrów. Wyciągnięta ręka złapała jedynie powietrze. Musiał chwycić się ramy drzwi, żeby nie wypaść za Khalidem.

Spadając z wysokości trzech metrów na lotniskowy asfalt, Khalid przez krótką chwilę poczuł, że jego ciało i umysł znów stanowią jedno, razem unosiły się bezwładnie w pustce bez żadnych doznań. I nagle uderzył o ziemię. Nogi ugięły się pod nim całkowicie, głowa uderzyła o asfalt niczym ciężki melon. Spadał luźno, nawet nie przyszło mu do głowy, żeby napiąć mięśnie przed uderzeniem.

Leżąc na płycie, słyszał oburzone krzyki załogi samolotu. To nie miało żadnego znaczenia. Był wolny. Mógł zadzwonić do Bigelowa, zakończyć tę szaradę i być może przywrócić spokój na Bliskim Wschodzie. Kiedy spróbował wstać, zdał sobie sprawę, że nie może się poruszyć. Nogi leżały bezwładnie, choć mózg krzyczał na nie, by się ruszyły, podniosły go i biegły jak najdalej stąd. Z przerażeniem przypomniał sobie, że kiedy uderzył o ziemię, usłyszał suchy odgłos pęknięcia, jakby mocny wiatr odłamał kawałek drzewa. Teraz był pewien, że przy upadku złamał sobie kręgosłup. Boeing 767

górował nad nim niczym ogromna ciężarna samica walenia. Jego opuchnięty metalowy brzuch sięgał niemal do ziemi. Khalid spróbował przetoczyć się pod to zaokrąglenie kadłuba, ale po prostu nie był w stanie się ruszyć.

Do samolotu podjechała cysterna z wymalowanym logo jakiejś firmy sanitarnej i zatrzymała się pod wylotem kanalizacyjnym wielkiego samolotu. Trzech mężczyzn wyskoczyło z ciężarówki i wyćwiczonymi doskonale ruchami przytwierdziło gruby gumowy wąż do brzucha samolotu, tymczasem po kryjomu czterech innych wyskoczyło spod ciężarówki i podbiegło do Khalida. Komandosom SAS, najbardziej elitarnej jednostki bojowej w Wielkiej Brytanii, wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że każdy ruch mógłby zabić Khuddariego. Mieli jednak konkretne rozkazy, żeby sprawdzać każdą podejrzaną sytuację w samolotach czekających na drodze kołowania i zgłaszać to kontrolerom w terminalu.

Każda sekunda blokady lotniska kosztowała dziesiątki tysięcy funtów i im szybciej będą w stanie zabezpieczyć teren, tym szybciej przestanie bić licznik długu. Dwaj mężczyźni wzięli Khalida pod ramię i zaciągnęli go do cysterny sanitarnej, którą wykorzystali jako przykrywkę. Mieli rozkaz sprawdzić jeszcze cztery inne samoloty i wrócić do terminalu, ale Khalid mógł być jednym z podejrzanych, więc dowodzący oddziałem postanowił natychmiast wrócić do bazy.

Czternaście minut później niemal martwy Khalid Khuddari został porzucony w jednym ze spartańskich gabinetów na terenie terminalu. Dwaj komandosi stanęli na warcie tuż przy drzwiach. Minęło kolejnych dziesięć minut, nim do gabinetu wszedł Geoff Wilberforce. Ciężkie powieki zwisały mu tak mocno, że prawie zasłaniały oczy. Twarz, zaczerwieniona na co dzień, teraz płonęła, a na gardle, policzkach i czole wystąpiły czerwone plamy. Od dwudziestu ośmiu lat, od kiedy zarządzał lotniskami, nie przeżył jeszcze takiego dnia i zamierzał się na kimś wyżyć. Słusznie czy nie, to nie miało znaczenia. Nie miał zamiaru brać tego wszystkiego na swoje barki.

- Halo? - odezwał się Wilberforce, uderzając w policzek Khalida, leżącego na stalowym biurku w pustym gabinecie. - Wstawaj albo spoczywaj w pokoju na wieki.

Ciało Khalida przekraczało wszelkie granice ludzkiej wytrzymałości, umysł gonił ostatkami sił. Khuddari otworzył oczy i obrócił głowę, żeby spojrzeć na Wilberforce'a. Twarz miał otepiałą i bez życia, wyglądała niczym wykuta w kamieniu maska bólu. A jednak zdołał przykuć uwagę Wilberforce'a siłą swoich oczu, błyszczących niczym obsydian i skupionych.

- Muszę zadzwonić - wycharczał Khalid.
- Nie ma sprawy - drwił Wilberforce. - Za jakieś pięćdziesiąt lat, kiedy wypuszczą cię z pudła. Międzynarodowy terroryzm to chyba jedyna zbrodnia, jaką ten kraj traktuje jeszcze poważnie, i wierz mi, facet, że prawo dopadnie cię z całą surowością. Twój przyjaciel nie powinien był zabijać nastolatki i księdza. Popęłnił ogromny błąd.
- To ja jestem celem - powiedział bezradnie Khalid. Próbował sięgnąć po paszport i się wylegitymować, ale w końcu opadł całkiem z sił. - To mnie chcieli dopaść.
- Powiesz to cholernemu sędziemu, ty pieprzony turbaniarzu.
Policyjna karetka zabrała Khalida Khuddariego z Heathrow. Syrena wyla jak szalona, kiedy samochód przedzierał się z powrotem do Londynu. Khuddari został uspijony przez ratowników, którzy widzieli już w swoim życiu najkoszmarniejsze wydarzenia w całej Anglii. Żaden z nich nie mógł uwierzyć, jak mocno szarpał się ich nowy pacjent. Do ostatniej chwili, nim zaczęła działać nowa dawka leków, Khalid domagał się telefonu i na próżno próbował wyjaśnić, kim jest.

Sto osiemdziesiąt mil na północ od cieśniny Puget

Morze było ciemne jak hałda wyrzucona prosto z pieca hutniczego, twarde i niepowstrzymane. Zmierzwione grzywy fal wyginały się na zachód, odpychając na bok wszystko, co spotkały na swojej drodze, w tym kuter rybacki „Duma Suzy”, trawler z ciężkim dziobem. Trzydziestoletnia łódź tak daleko zapuściła się na Pacyfik za rybami, że jej przestarzały radar nie widział już poszarpanego wybrzeża.

Była ciemna noc, najmroczniejsze godziny między pierwszą a piątą, kiedy nie spali tylko najwięksi desperaci. Od blisko siedemdziesięciu godzin Steve Hanscom prowadził swój kuter za grupą żerujących strzępieli, w nadziei że trafi na wielką ławicę sardynek. Miał pecha, bo dwie poprzednie ławice rozproszyła grupka orek, które postanowiły śledzić jego zmęczoną łódź.

Choć początkowo był zachwycony, że może pokazać orki swemu młodemu synowi, teraz Hanscom przeklinał kapryśne ssaki za ich psią wierność, z jaką płynęły za „Dumą Suzy”. Był rybakiem w czwartym pokoleniu i już wiedział, że nie będzie piątego, ale nadal próbował zarobić na życie na morzu, które żywiło jego rodzinę od połowy poprzedniego stulecia. Miał kredyt na łódź, na dom i samochód, który palił więcej oleju niż benzyny, więc doskonale

wiedział, jak ważny był duży połów dla niego i rodziny. Jeszcze dwa, może trzy kursy na otwarte wody za cieśniną Puget i zbankrutuje, jeśli nie wróci z pełną siecią.

To dlatego Steve zabrał na miesiąc ze szkoły swego jedenastoletniego syna Joshuę i zabrał go do pracy na łodzi. Liczył, że w ciągu tych kilku wspólnych tygodni nauczy chłopaka, co to znaczy pracować na swoim, i zaszczepi mu dumę, której jego nauczył ojciec. Za kilka miesięcy, na pewno do wiosny, Steve zasili szeregi ludzi pracujących dla kogoś innego, ale na razie był sam sobie sterem i okrętem i przysiągł na Boga, że syn też pozna smak takiego życia.

Choć utrata łodzi zaszkodzi także innym, zwłaszcza George'owi Boudette'owi, staremu wilkowi morskemu, który zdążył zapomnieć więcej o łowieniu ryb, niż inni zdołali się nauczyć, Steve Hanscom najbardziej obawiał się o własnego syna. Josh wychował się na morskiej tradycji. Z branży Steve wypadł przez prostą ekonomię - i twardą rzeczywistość nadmiernych połowów na północno-zachodnim Pacyfiku - ale najbardziej obwiniał siebie, że nie będzie w stanie przekazać tradycji, którą sam odziedziczył. Uważał to za osobistą porażkę.

Koło sterowe poruszało się gładko pod delikatnym dotykiem Steve'a Hanscoma. Lakierowany dąb wygładziły pokolenia pieszczących je rąk. Stojąc samotnie w sterówce „Dumy Suzy”, tak jak przez całą drogę od wyjścia z Seattle, Hanscom obserwował sonar, licząc, że ławica sardynek znów przepłynie pod dnem łodzi, a wtedy da sygnał, żeby rzucić wielką sieć przez płaską rufę.

- Zmienię cię. - Głos wyrwał go z zamyślenia. Zaskoczony Hanscom zobaczył, że zaciska pięści na kole sterowym.

Obrócił się.

- Nie, dzięki, Georgie. Prześpij się.

- Mam osiemdziesiąt lat. Nie potrzebuję snu. Już się w życiu napałem, teraz czekam tylko na ten najdłuższy. - Oczy George'a Boudette'a błyszczały ostatnią iskierką życia, jak żarówka, która płonie najjaśniej, nim się przepali. George pływał ze Steve'em, jego ojcem i jeszcze jako chłopiec z dziadkiem Steve'a.

- Jak tam Josh? - zapytał Steve. Syn siedział pod pokładem.

- Śpi przy radiostacji jak asystent Marconiego - powiedział z czułością George. - Nie trzeba było kazać mu iść spać i słuchać radia jednocześnie. Drugie polecenie wziął sobie bardziej do serca niż pierwsze.

- Niczego nie złapiemy, więc niech chociaż poczuje, że robi coś ważnego podczas tego kursu. Lepiej słuchać pogawędek między kontenerowcami do Seattle, niż siedzieć na pokładzie i dłużyć w nosie.

- Przed świtem coś złapiemy - stwierdził George z niezachwianą pewnością.

Pod pokładem Josh Hanscom znów się przebudził. Czuł podniecenie, które nie opuszczało go, od kiedy ojciec powiedział mu, że w tym miesiącu nie będzie musiał chodzić do szkoły. To było fajne jak świąteczny poranek, jeszcze zanim zbudzą się rodzice. Ale kryła się za tym jeszcze silniejsza emocja. Powierzono mu zadanie. Ojciec kazał mu nasłuchiwać radia, na co Josh miał ogromną ochotę. Nie wiedział, że chodziło głównie o to, by miał się czym zająć.

Zawstydzony, że zasnął na wachcie, Josh przetarł oczy, ziewnął i skupił się na odbiorniku. Już trzeci dzień chodził w tych samych ciuchach i tak jak tata zaczął od razu po przebudzeniu spryskiwać sobie pachy zimnym dezodorantem. Josh naśladował nawet grymas ojca, kiedy aerozol dotykał jego delikatnej skóry. Spryskawszy się right guardem, Josh przebiegł po częstotliwościach, nasłuchując czegokolwiek, co pomogłoby tacie odnaleźć ryby. Obsługiwał dwa pokrętła delikatnymi palcami. Przeskakiwał z jednej częstotliwości na drugą tak subtelnie, że przejście było niezauważalne dla nikogo, kto nie wsłuchiwał się mocno w szum dobiegający z głośnika.

Omam nie przegapił. W dolnym paśmie VHF rozległ się szybki pisk, nieco różniący się od szumu w tle, ale nie aż tak bardzo, więc Josh w pierwszej chwili go zignorował. Wrócił jednak w to miejsce na skali i nagle znowu usłyszał. Ktoś zdecydowanie nadawał, ale sygnał dobiegał ze zbyt dużej odległości, by słychać go było wyraźnie. Zniekształcony szum, ostre bulgotanie podobne do tego, co starsze dzieciaki w szkole nazywały muzyką. Nie zdając sobie sprawy z konsekwencji złapania sygnału na częstotliwości 2182 MHz, Josh nasłuchiwał intensywnie, aż w końcu z szumu dobiegł go głos:

- Mayday, mayday, mayday. Tu supertankowiec „Krzyż Południa” do wszystkich statków w okolicy.

Zaskoczony tym komunikatem Josh wypadł z kabiny i popędził na mostek.

- Tato, hej, tato! - krzyknął.

- Chwileczkę, Jakey - powiedział Steve Hanscom, używając przydomka syna. Stał pochylony nad ekranem sonaru, a George Boudette pochylał się obok, trzymając koło sterowe jedną ręką pełną blizn. Nie musiał nawet patrzeć na morze.

- Popatrz, jakie draństwo wielkie. - George westchnął. Był zdumiony, choć w ciągu kilku dekad na morzu przeżył niejedno. - W życiu nie widziałem takiej ławicy.

- Cholera jasna, Georgie, rozbiliśmy bank. - Steve wyprostował się i odwrócił do syna. - Jake, biegnij budzić chłopaków. Czeka nas sporo łowienia.

George Boudette zwolnił i kuter ledwie pełznął po falach. Obrócił koło tak, że „Duma Suzy” zaczęła zataczać szeroki łuk wokół potężnej masy ryb kłębiących się tuż pod powierzchnią wody, wystraszonych przez strzępiele przepływające przez sam środek ławicy. Steve odwrócił się od sonaru, pewien, że Georgie poradzi sobie z obowiązkami na mostku. Tymczasem on i dwóch pomocników mieli zarzucić sieć na ławicę sardynek.

- Ale tato - nie dawał za wygraną Josh. - Usłyszałem właśnie przez radio mayday. Na fali 2182.

Dopiero po kilku sekundach Steve Hanscom zrozumiał, co mówi jego syn.

- Usłyszałeś wezwanie na 2182? Jesteś pewien? - Nagle podniecenie ławicą pod kutrem gdzieś się ulotniło.

- Tak, jakiś człowiek krzyczał „mayday” i tak dalej - odparł Josh z podnieceniem, choć nie w pełni zdając sobie sprawę z wagi tego, co mówi.

- Gotujcie się do rzucenia sieci! - zarządził George, skupiając się całkowicie na tym, żeby zbić ryby w jak najgęstszą ławicę, aż powierzchnia wody zaczęła od nich kipieć.

Steve zawahał się, patrząc na rozemocjonowaną twarz syna. Chciał uwierzyć, że chłopak nie słyszał wezwania na 2182 MHz, jednej z międzynarodowych częstotliwości ratunkowych. Musiał podjąć decyzję w ciągu kilku sekund, inaczej ławica się rozbiegnie, pęknie od własnej wielkości.

- Rzucać! - krzyknął na pokład, gdzie pomocnicy już byli gotowi do działania, obudzeni wcześniej przez George'a Boudette'a tupaniem w pokład tuż nad ich kajutą.

Sieć poszła za rufę, rzucona wyłącznie siłą ludzkich mięśni. Wiele metrów siatki i dziesiątki pływaków i ciężarków ciągnęło się po wodzie, aż w końcu cała sieć rozwinęła się za rufą. Moment wyrzucenia był obliczony dokładnie z uwzględnieniem stałego terkotu silnika i wielkości kręgu, jaki kuter zataczał po wodzie. Sieć rozwinęła się na samym skraju ławicy, by zagarnąć jak najwięcej ryb.

Zwykle Steve sam nadzorował wypuszczanie sieci, pilnując, żeby drogie narzędzie nie splątało się w wodzie. Tym razem jednak chwycił syna za rękę i zaciągnął zmieszanego chłopca do kajuty, w której na półce stała radiostacja.

- Pokaż - mruknął z zaciśniętymi ustami, prawie drżąc.

Przerażony Josh uruchomił starą motorolę, unikając wzroku ojca. Radiostacja rozgrzała się, pokręta zajaśniały białawo w mrocznej kabinie. Przeleciał po skali i ustawił częstotliwość 2182 MHz. W głośniku słychać było tylko jednostajny szum - ciszę radiową. Steve zaczął znów oddychać, dziękując opatrności, że syn się pomylił. Nikogo nie ma, nikt nie wzywa ich pomocy.

Gdyby naprawdę usłyszeli wołanie o pomoc, to zgodnie z prawem morskim ratowanie ludzkiego życia jest ważniejsze niż cokolwiek innego. Steve musiałby odciąć ciężkie sieci wypełniające się właśnie za rufą i jak najszybciej płynąć na pomoc. Gdyby do tego doszło, mógłby zapomnieć o pieniądzach na wymianę sieci. Ale Josh się pomylił. Nikogo nie było i Steve mógł zająć się wyciąganiem ryb.

Już sięgał, żeby wyłączyć radio, kiedy z głośników rozległ się głośny, wyraźny głos. Brzmiał tak blisko, jakby jego właściciel był w kajucie razem z nimi:

- Mayday, mayday. Mówi kapitan supertankowca „Krzyż Południa”. Wzywam wszystkie statki w okolicy. Mayday. Mayday.

Hanscomowi stężała krew. Ale przeraziła go nie własna ponura przyszłość, lecz sama wiadomość. Znał się dość na morzu, by wiedzieć, że supertankowiec to nie jakaś przybrzeżna łajba. To jeden z tych wielkich smoków kursujących między Alaską a Kalifornią. Przypomniawszy sobie godziny programów telewizyjnych pokazujących skutki katastrofy „Exxon Valdez”. Jeśli jednemu z tych potworów pęknie brzuch i wyleje swoją truciznę w okolicy cieśniny Puget, Hanscom będzie tylko jednym z tysięcy rybaków, którzy więcej nie znajdą pracy.

Steve potrzebował tylko chwili do zastanowienia, bo prawdę mówiąc, nie miał wyboru. Nie to że musiał pomóc tankowcowi, który wysłał sygnał mayday, ale chciał to zrobić. Jeśli choć trochę może zapobiec katastrofie i ocalić wody wokół cieśniny, to bez wahania odetnie sieci i popędzi z wszelką pomocą, jakiej będzie w stanie udzielić.

- Josh, każ Paulowi odciąć sieć, a Georgie niech doda gazu - powiedział zdecydowanie Steve. Jeśli miał przez to stracić kuter, to niech przynajmniej ta ofiara nie będzie daremna. Sprawdził czy fry na wyświetlaczu kierunkowym i szybko wyliczył kurs. - I powiedz Georgiemu, żeby skręcił o trzysta czterdzieści dwa stopnie i szedł pełną parą.

Josh wybiegł z kajuty, krzycząc w podnieceniu wysokim głosem. Robił to z dużym zaangażowaniem, jak człowiek, który ma do wypełnienia misję. Steve podniósł mikrofon.

- Mówi kapitan trawlera „Duma Suzy”, słyszymy cię czwórka na skali. Wzmocnij swój sygnał. Płynę pełną parą w twoją stronę. Potwierdź pozycję i powiedz, co się dzieje.

Lyle Hauser poczuł ulgę, która mogła się równać tylko seksualnemu uniesieniu.

- Bogu dzięki, że pan tam jest, kapitanie. Nie sądziłem, że przez najbliższe dziesięć godzin ktoś będzie w stanie odebrać moje wezwanie. Mój statek porwali terroryści współpracujący z częścią załogi. Dryfuję na szalupie ratunkowej około czterystu kilometrów na północ-północny zachód od Bellingham. Nie jestem w stanie dokładniej określić swojej pozycji.

Steve miał wrażenie, że słyszy historię jak z *Buntu na „Bounty”*. Porwanie statku i wysłanie kapitana w szalupie ratunkowej? Przecież mamy początek XXI wieku. Takie rzeczy się już nie zdarzają. Niewiarygodne. Czy to jakiś ponury żart?

Ale „Duma Suzy” znajdowała się daleko poza zasięgiem niemal wszystkich radiostacji wybrzeża, poza tym monitor kierunkowy wskazywał, że sygnał dobiega gdzieś z morza. To może być prawda. Jezus, pomyślał, supertankowiec w rękach terrorystów?

- Musi pan przekazać wiadomość władzom - ciągnął głos z głośników. - Ale pod żadnym pozorem nie można informować o tym armatora mojego statku. Obawiam się, że może współpracować z terrorystami.

- Nie rozumiem. Powtórz ostatnie zdanie. Kapitanie, nie jestem w stanie nadać informacji na brzeg, mam za słabą radiostację. Za kilka godzin dotrzemy do ciebie. - Steve czuł, że łódź nabiera prędkości.

- Nie ma mowy. Dobijcie jak najszybciej do brzegu i zgłóście, co się stało, Straży Wybrzeża. Muszą zatrzymać „Krzyż Południa”. Tankowiec pewnie już zbliża się do Seattle, o ile dobrze się domyślam, zamierzają rozbić go w cieśninie Puget.

Steve włączył światło w kajucie i wyciągnął mapę z szafki pod radiostacją. Przytrzymał jej rogi pustymi kubkami do kawy i podręcznikiem do nawigacji, z którego uczył Josha. Zanim odpowiedział, zerknął szybko na mapę, robiąc w głowie przybliżone obliczenia.

- Kapitanie, jestem w równej odległości od Port Hardy i Bamfield w Kolumbii Brytyjskiej. Mogę pana uratować i mimo wszystko szybko dotrzeć na brzeg. Powtarzam, dotrę do pana za jakiś... - Steve wyliczył orientacyjną odległość, biorąc pod uwagę siłę sygnału, uwzględniając też warunki atmosferyczne - ...pięć godzin. A trzy godziny później skontaktujemy się radiowo z Port Hardy. Nic więcej nie mogę zrobić.

- Rozumiem, kapitanie - odparł Hauser, zdając sobie sprawę, że zdryfował dalej na ocean, niż mu się wydawało. I że miał szczęście, że ktoś nasłuchiwał radia o tej porze na tych zwykle spokojnych wodach. Do najbliższych szlaków morskich mieli prawie dwieście mil.

- Będziemy monitorować tę częstotliwość, póki nie nawiążemy z panem kontaktu wzrokowego. „Duma Suzy” bez odbioru. - Steve odłożył mikrofon na widelki.

Wrócił do sterówki. George Boudette stał za sterem, sunąc po falach, które zaczynały rozbijać się o tępy dziób trawlera. Josh stał obok. Steve dostrzegł, że George nie przesunął do końca dźwigni napędu silników. Sięgnął i pchnął dwie ręczki maksymalnie naprzód. Diesel pod pokładem ryknął ostro w odpowiedzi, a kuter zaczął wibrować. Rejs z tą szybkością trwający więcej niż kilka godzin na trwałe uszkodzi silniki i wały śrub.

- Jeśli po tym wszystkim bank zabierze nam łódź, to przynajmniej nie dostaną jej w pełni sprawnej.

Płycizna Cooka, Alaska

Od zarania cywilizacji człowiek wykazywał niesamowitą zdolność do wykorzystywania elementów naturalnych wokół swoich najwcześniejszych osad. Ale od czasów Sumerów i Mezopotamii oraz starożytnego Egiptu ludzie nie potrafili znaleźć zbyt wielu zastosowań dla czarnych, lepkich żywic wydobywających się z głębi ziemi. Wprawdzie niektóre cywilizacje wykorzystywały tę smolistą substancję do budowy dróg i uszczelniania łodzi, a egipscy mistrzowie balsamowania owijali mumie w nasączone bitumiczną masą prześcieradła, jednak prawdziwy potencjał ropy przez tysiąclecia pozostawał nieodkryty.

Dopiero w połowie XIX wieku, kiedy ruszyły tryby rewolucji przemysłowej, człowiek wrócił do cuchnących, śliskich dołów z ropą rozsiąanych po całym globie. Ta naturalnie zbierana ropa była rafinowana i przerabiana na doskonałe smary przemysłowe. Równocześnie floty statków wielorybnych dziesiątkowały światową populację waleni. Olej z wielorybów zaczął drożeć i nie nadawał się już do oświetlania domów i fabryk. Na rynku pojawiła się pochodna ropy - nafta - która wypełniła tę niszę i zgubiła wielorybników z Nowej Anglii. Przez prawie sześćdziesiąt lat firmy naftowe uzyskujące w procesie rafinacji naftę paliły produkty uboczne, zwłaszcza

łatwopalną, ale bezużyteczną substancję zwaną benzyną. Niezliczone miliony, a może i miliardy jej litrów poszły z dymem.

W owym czasie pojawiało się niewiele innowacji w dziedzinie wydobycia ropy, jeśli nie liczyć Edwina Drake'a i jego pomysłu wyflukowania ropy za pomocą solanki, który zastosował w szybie w Titusville w stanie Pensylwania. Jego prosta metoda wiertnicza i dość duży wybór płytkich złóż sprawiły, że łatwo było nadażyć za rosnącym popytem na naftę. Nie było potrzeby, więc nie było wynalazków, póki dwaj niemieccy inżynierowie - Nikolaus Otto i Gottlieb Daimlerowie - nie połączyli swoich pomysłów: jeden wynalazł czterosurowy silnik spalinowy napędzany benzyną, zaś drugi - gaźnik, który wstrzykiwał mgiełkę benzyny do cylindrów silnika. Daimler wpadł zresztą na ten pomysł, podpatrując atomizer do perfum u żony.

W połączeniu z wynalazkiem światła elektrycznego dokonany przez Edisona w 1879 roku wprowadzenie samochodu przestawiło produkcję rafineryjną z nafty na benzynę. Wyścig toczył się o to, kto zaspokoi niespotykany dotąd popyt na paliwo, które napędzało nowe samochody.

Wtedy narodziła się branża naftowa, jaką znamy dzisiaj.

W 1901 roku w teksaskim Spindletop po raz pierwszy użyto obrotowej wieży wiertniczej, a w ciągu roku w okolicy było już blisko czterysta podobnych szybów. Poszukiwania ropy szybko zaczęły też sięgać oceanów. Wczesne eksperymenty H.L. Williamsa z wierceniem ze specjalnie wybudowanych nabrzeży w kalifornijskim Summerland doprowadziły do powstania wolno stojących platform wiertniczych zbudowanych na drewnianych palach wbitych w muliste dno Zatoki Meksykańskiej. Popyt na ropę zmusił firmy do odkrywania ropy coraz głębiej, w coraz to nowych rejonach. Wymuszał też nowe pomysły na jej wydobywanie. W 1930 roku można było prawie przejść suchą stopą przez wenezuelskie jezioro Maracaibo, tak wiele było na nim platform wiertniczych.

Poszukiwania szły coraz dalej, obejmując tereny, na które człowiek rzadko się zapuszczał, był tam intruzem i bez współczesnej technologii nie byłby w stanie przetrwać, nie mówiąc o wydobywaniu ogromnych ilości ropy, jakich żądało dziś społeczeństwo. Platformy wiertnicze sięgały coraz głębiej - trzydzieści metrów, sześćdziesiąt, trzysta, dziewięćset. Poszukiwania kończyły się dopiero wtedy, kiedy kończyła się ropa. Ale głębokość wierceń nie była jedyną przeszkodą do pokonania przy tworzeniu morskich platform wiertniczych.

Kapryśna natura umieściła jedne z największych złóż ropy w najbardziej niegościnnych miejscach - Zatoce Perskiej, gdzie wysokie

temperatury zmieniają smary w wodę; w Zatoce Meksykańskiej, gdzie wielkie burze piaskowe z Afryki zmieniają się w huragany pędzące trzysta kilometrów na godzinę; pod Morzem Północnym, gdzie prawdziwa furia północnego Atlantyku bije o wybrzeża Europy. Teraz firmy naftowe podejmowały pierwsze ostrożne próby zapuszczenia się w skute lodem wody zatoki Prudhoe na Oceanie Arktycznym. Niezłomnie wznosiły tam budowle mające znieść miazdzący nacisk polarnej czapy lodowej.

Choć każda innowacja w technologii morskich wierceń jest uznawana za najnowszą, najnowocześniejszą i ma stanowić ostatnie słowo we wzornictwie, zawsze przyćmiewa ją coś nowego i lepszego, zwykle już po kilku miesiącach. Jednak „Petromaks Prudhoe Omega”, stojąca u wejścia do Płycizny Cooka, zakotwiczona na płytkich wodach i wznosząca się niczym miasto nad ciemną tonią oceanu, zasłużenie mogła nosić sztandar najnowszej i najlepszej innowacji w dziedzinie platform wiertniczych i przetwórczych, która wyznaczała standardy XXI wieku.

Ta pływająca zakotwiczona platforma była - jak sama nazwa „Omega” wskazywała - ostatnim słowem w technologii wiertniczej. Prostokątna podstawa zajmowała grubo ponad hektar i wspierała się na czterech pływających kesonach, każdy o obwodzie blisko dwudziestu siedmiu metrów. Każda noga była zakotwiczona w dnie morskim pięcioma łańcuchami cumowniczymi. W najwyższym miejscu, na czubku największego dźwigu, wznosiła się osiemdziesiąt metrów nad poziom morza i ważyła blisko czterysta dwadzieścia pięć tysięcy ton.

W linii osiągnięć ciągnącej się nieprzerwanie od wielkich piramid w Egipcie aż po współczesność „Petromaks Prudhoe Omega” stanowiła najnowszy symbol człowieka budowniczego i jego chęci zademonstrowania woli i geniuszu.

Śmigłowiec wiozący Mercera, Iwana Kerikowa i Jana Voerhova szybko pokonał drogę na południe od stacji pomp numer pięć. Kiedy smukła maszyna wyleciała nad wodę, pilot zszedł niżej. Wirujące łopaty cięły powietrze zaledwie piętnaście metrów od płaskiej powierzchni Płycizny Cooka.

- Pływy - odezwał się pilot do niezainteresowanego tematem Kerikowa, który siedział obok w kokpicie eleganckiego śmigłowca - to największe zagrożenie w tej płyciźnie. Jasne, zdarza się, że dotrze tu kilka większych fal z zatoki Alaski, a zimą trafi się czasem i wysoka góra lodowa, ale najgroźniejsze są pływy. Podnoszą wodę o dziewięć metrów i więcej w ciągu dziesięciu godzin i tworzą

prądy zdolne zatrzymać frachtowiec idący pełną parą. Właśnie dlatego większość towarów rozładowuje się w Whittier i wozi pociągiem do Anchorage, a nie przez płyciznę.

Pilot nie zamykał ust, od kiedy wylecieli ze stacji pomp przy rurociągu, a jego bezmyślne uwagi doprowadzały Kerikowa do obłądu. Choć Kerikow pojmał Philipa Mercera i za kilka godzin miał uruchomić operację „Przystań Charona”, wpadł w czarny, zły nastrój. Żołądek ścisnął mu się w supeł, a kwasy nadzerały wnętrzności tak mocno, że czuł bulgotanie w brzuchu mimo hałasu śmigłowca. Bal się, że za chwilę wpadnie w kolejny napad szału, jeden z bezmyślnych okresów utraty przytomności, w których czaiły się przemoc i śmierć. Walczył z tym ponuro, tak jak pasażer na kołyszącej się łodzi walczy z chorobą morską. Zacisnął szczęki i zaczął myśleć o czymś innym niż bezpośrednie otoczenie. Czuł się, jakby w środku szamotał się ktoś inny, kto chce się wyrwać na wolność, przez co Kerikow musiał starać się za wszelką cenę zachować własną tożsamość. Napicie poprzedniego roku, całego życia, w końcu zaczęło go rozsadzać. Trzymał się mimo wszystko, nie chciał się poddać, nie chciał się pogryźć we własnym szaleństwie. Gdyby tylko ten burak za sterami śmigłowca zamknął usta.

Szarpnął głowę w bok, kiedy śmigłowiec gwałtownie podskoczył. Zdziwił się, że z kącika ust pilota sączy się strużka krwi. Kerikow spojrzał i dojrzał podobną plamę na wierzchu swojej dłoni. Nie pamiętał, by uderzył pilota. Ten patrzył na niego wstrząśnięty i przerażony, a Kerikow w odpowiedzi się uśmiechnął. Odwrócił się, żeby zobaczyć, jak miewa się jego pasażer.

Mercer siedział między ochroniarzem Kerikowa a Janem Voe rhovenem. Był związany i zakneblowany srebrną taśmą klejącą, ale głębokie spojrzenie wyrażało niesłabnący opór. Kiedy Kerikow patrzył, Mercer się wykrzywił. Rosjanin był pewien, że pod grubym kneblem geolog się uśmiecha. Obezwładniony i pod uzbrojoną strażą, całkowicie bezbronny Amerykanin z niego drwił. Niewiarygodne.

- Oto i ona - oznajmił nieśmiało pilot po kilku minutach. W ciemności trudno było docenić pełny rozmiar „Petromaksu Prudhoe Omegi”, zwłaszcza że nie przetwarzała ropy. Wysokie na sześćdziesiąt metrów pochodnie stały w mroku, wygaszono też wszystkie światła pokładowe. Świeciło się tylko w kilku z ośmiuset bulajów, a były one tak rozrzucone, że wydawało się, jakby nie należały do jednej konstrukcji. Czerwone migające światła ostrzegawcze na żurawiach dzieliło sto pięćdziesiąt metrów, a każdy z nich wzno-

sił się sześćdziesiąt metrów nad śmigłowcem. Nawet najbardziej niewyraźna sylwetka platformy musiała budzić wstrząs i szacunek.

Zbliżając się do „Omegi”, śmigłowiec zyskał dość wysokości, by usiąść na jednym z dwóch lądowisk wysuniętych na boki od modułu mieszkalnego. Kwatery mieszkalne załogi mieściły się w pudełkowej konstrukcji wielkości bloku, zdolnego pomieścić sześćset osób. Mimo to był to najmniejszy z czterech modułów tworzących nadbudowę platformy. Pozostałe moduły - użytkowy, produkcyjny i wiertniczy - były wielokrotnie większe. Każdy z nich został zbudowany niezależnie i przymocowany do platformy, nim odholowano ją na Alaskę. W blasku światła lądującego śmigłowca nadbudowa platformy błyszczała białą, kontrastując z czerwonym pokładem i żółtymi pątkami żurawi oraz pochodni. Na lądowisku wymalowano logotyp Petromax Oil. Samo zaś lądowisko zbudowano z kraty, przez którą mógł przelatywać podmuch powietrza od wirnika, znacznie ułatwiając lądowanie.

Śmigłowiec zbliżył się do lądowiska, a wysuwane koła dotknęły stalowego pokładu. Dwaj robotnicy podbiegli, by zablokować opony. Turbina zwolniła i łopaty wirnika zaczęły obracać się coraz wolniej, aż w końcu kręciły się leniwie jak w zmęczonym wentylatorze pod sufitem. Kerikow jako pierwszy wyskoczył z maszyny. Otworzył drzwi pasażera i chwycił Mercera za bark, wyciągając go ze śmigłowca i ciągnąc przez smagany wiatrem pokład. Zły nastrój zastąpiła chwilowa radość, która była równie niebezpieczna.

Kerikow zaprowadził związanego więźnia na skraj lądowiska. Nie czekając, by podkreślić dramatyzm sytuacji - stali trzydzieści metrów nad lodowatą wodą - pchnął geologa w krzyż i Mercer poleciał w ciemność.

Ze związanymi rękoma i zakneblowaną twarzą Mercer nie mógł nawet krzyknąć, kiedy zaczął spadać. Z przerażenia otworzył szeroko szare oczy. Sekundę później spadł na siatkę bezpieczeństwa rozciągniętą wokół lądowiska. Jedną nogą wysunął mu się przez grube liny. Ten lot głową w dół zakończył się po zaledwie dwóch metrach. Był na tyle wysoko nad falami rozbijającymi się o kesonowe nogi platformy, że słyszał w głowie głęboki śmiech Kerikowa.

- Popuściłeś w spodnie, twardzielu? - zawołał Rosjanin radośnie. - Założę się, że kiedy moi ludzie zejda, żeby cię ściągnąć z tej siatki, będą musieli trzymać się za nosy.

Nie pobrudził spodni, ale niewiele brakowało. Leżąc na siatce, Mercer nabierał powietrza, boleśnie wciągając je nosem. Serce omal nie wyskoczyło mu spod zeber. Nagłe pchnięcie przeraziło go

bardziej niż sam upadek. Stało się to tak szybko, tak gwałtownie i nieprzewidywalnie. Kiedy dwaj ludzie zeszli, żeby ściągnąć go z siatki i zaprowadzić na wąską kładkę, Mercer wiedział, że nim skończy się noc, znów będzie musiał spać, tyle że tym razem bez siatki zabezpieczającej. I się nie mylił.

Choć określenie „główny wiertniczy” kojarzy się z twardą pracą fizyczną, przy samym wiertle, po łokcie w buchającej ropie i błocie, w praktyce tego rodzaju zajęcia spadają na brygadzystę ekipy wiertniczej. Na platformie wielkości „Omegi” stanowisko głównego wiertniczego miało charakter raczej administracyjny, dlatego kajuta zarezerwowana dla niego była duża i dość wygodna. Przypominała trochę apartament biznesowy w luksusowym hotelu.

Kiedy Mercer został wprowadzony do gabinetu, Iwan Kerikow siedział na głębokiej zielonej sofie z kieliszkiem w ręku i żarzącym się pomarańczowo świeżym cygarem w prawej dłoni. Światła w kajucie świeciły ostro w porównaniu z lampkami śmigłowca, ale przywykł do nowego oświetlenia błyskawicznie. Nigdzie nie widać było Jana Voerhovena. Na twarzy Kerikowa wciąż trwał wyraz zadowolenia po tym, jak zepchnął Mercera z platformy.

- Cóż za ironia. - Kerikow machnął na jednego ze strażników, by odlepił taśmę kneblującą usta Mercerowi. - Gdybyś nie przedstawił się jako geolog, zabiłbym cię na miejscu, nie podejrzewając nawet, że stoi przede mną człowiek, którego chcę dopaść najbardziej na świecie. Wtedy straciłbym przyjemność obserwowania twojej powolnej śmierci, ale oszczędziłbym ci godzin, a może i dni tortur. Twój dowcip będzie cię kosztował więcej bólu, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

Kiedy odklejano mu taśmę, Mercer poczuł, jakby polano mu usta wrzątkiem, i aż sapnął. Choć chciał kiedyś spotkać na swojej drodze Iwana Kerikowa, wolałby, aby stało się to w zgoła odmiennych okolicznościach. Ale nie zamierzał okazywać, że przejmuje się sytuacją, w jakiej się znalazł.

- Nie wiem, pod jakim kamieniem się chowałeś do tej pory, ale zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem biedak sam nie uciekł z obrzydzenia - zakpił.

- Dowcipny do końca, co? Szykuje nam się wielki pojedynek między czarnym charakterem a bohaterem, siły dobra i zła zmierzą się na słowa przed ostatecznym starciem?

- Jeśli masz ochotę, wchodzę w to. Po prostu czekam, aż zjawi się tu wojsko i rozniesie tę platformę w pył.

- Wojsko takie jak w tych śmigłowcach, które wam rozbiłem? Nie sądzę. Nie tym razem. - Rosjanin popił drinka. Twarz i głos miał spokojne, był w nastroju do rozmów. - Nie mieliście czasu, żeby zorganizować choćby szczątkowy kontratak. Nie stać was na nic więcej niż ta wieczorna żałobna szarża. Zważywszy na twoją reputację, liczyłem na coś więcej.

- Apeluję o odrobinę uczciwości. - Mercer uśmiechnął się z udawaną skromnością. - W ciągu tygodnia udało mi się uniknąć dwóch zamachów na życie.

- Amatorzy wynajęci w pośpiechu, i tyle - odparł lekceważąco Kerikow. - Moja matka poradziłaby sobie z nimi, nawet się nie budząc.

- Muszę zapamiętać, żeby nie wkurzyć nigdy twojej matki - mruknął Mercer pod nosem. - Czy PEAL wie, że Alyeska przywróci pracę rurociągu w kilka miesięcy?

- Uwierz mi, nie przywróci. Nasi mili ekolodzy są wprawdzie przekonani, że pracowali nad tym, żeby zapchać rurę, ale zapewniam cię, że rurociąg wybuchnie mniej więcej w osiemdziesięciu miejscach i wycieknie z niego jakieś pół miliona baryłek ropy. - Kerikow urwał na chwilę. - To jakieś dziewięćdziesiąt milionów litrów, prawie dwa razy tyle, ile wyciekło z „Exxon Valdez” w 1989 roku.

- Zamrożona ropa nie rozerwie rury. Stalowy płaszcz ma ponad centymetr grubości. Wewnętrzne ciśnienie będzie za małe, żeby go rozerwać - zauważył Mercer.

- Owszem, ale zapewniam cię, że ciśnienie będzie aż nadto wystarczające, żeby rozrzuć ropę na parę kilometrów od rurociągu. - Kerikow uśmiechnął się oślizgle.

Nagle Mercer zaczął obawiać się nie tylko o własne życie. Bez wątplenia Kerikow mówił prawdę. Miał jakiś sposób rozerwania rurociągu alaskiego niczym balonu o długości tysiąca trzystu kilometrów. Jako człowiek, który pracował w wielu dziewiczych miejscach Ziemi i starał się równoważyć potrzeby ludzkości z delikatnością natury, Mercer nie chciał nawet myśleć, jakie zniszczenia wywołałaby katastrofa tej skali. Stan Alaska zostałby podzielony na pół czarną krechą ropy, wstrętą plamą, której usuwanie zajęłoby całe lata, o ile w ogóle da się całkowicie zlikwidować tak wielkie szkody. Nie mógł uwierzyć, że nawet najbardziej radykalna i niebezpieczna organizacja, jaką jest PEAL, byłaby w stanie przyłożyć rękę do takiego podłego ataku. Równie dobrze jakieś palestyńskie ugrupowanie terrorystyczne mogłoby spuścić bombę jądrową na Jerozolimę. Byłoby to tak samo bezsensowne. Grupy takie jak PEAL chciały zwrócić uwagę na sprawę, o którą walczą, a nie niszczyć to, co tak bardzo starają się chronić.

Ochoczo zgodziliby się na zamrożenie ropy i zamknięcie rurociągu na kilka miesięcy albo na zawsze, jeśli tak im wmówiono. To byłoby dla nich ogromne zwycięstwo. Ale zniszczenie rurociągu? Rozlanie setek tysięcy baryłek ropy, która nim płynie? Na to nigdy by się nie zgodzili.

Próbował sobie wyobrazić, że Aggie Johnston bierze udział w czymś tak ohydny, czymś tak sprzecznym z wszelkimi prawami natury i człowieka, i był przekonany, że nigdy by na to nie poszła. Nie patrzyłaby na pewno z założonymi rękoma, jak jej grupa niszczy Alaskę. Stąd Mercer wywnioskował, że pewnie nic nie wiedziała o prawdziwych planach Kerikowa. A jeśli ona, narzeczona Jana Voerhovena, nic o nich nie wiedziała, to z całą pewnością cała reszta organizacji została podobnie oszukana. Wezbrał w nim gniew: na Kerikowa i na siebie samego, że wcześniej nie uświadomił sobie zagrożenia, że nie bił na alarm, kiedy znalazł wrak „Jenny IV”.

Kerikow obserwował zmianę na twarzy Mercera. Miał tak duże doświadczenie w obserwacji nastrojów i charakterów, że prawie potrafił czytać w myślach. Ten dar świetnie mu służył w czasie całej kariery w Związku Radzieckim.

- Właśnie zacząłeś dostrzegać potęgę tego, czego dokonałem - zadrwił. - A wyobraź sobie, że to, co się stanie tutaj, zniszczenie rurociągu i dewastacja cennego ekosystemu, to tylko przygrywka do tego, co naprawdę ważne. To tylko jeden mały fragment trzyczęściowej operacji. Gdyby Rosja miała jaja, żeby wprowadzić ją w życie, „Przystań Charona” zakończyłaby się tu, na Alasce. Ale ja rozwinąłem ten plan, przystosowałem go do współczesnego świata i sprawiłem, że przyniesie astronomiczne zyski. Zdziwiłbyś się, ilu ludzi chce, by Stany Zjednoczone nadal były uzależnione od ropy z importu. - Zaśmiał się chrapliwie. - I zdziwiłbyś się, ilu jest wśród nich Amerykanów.

- „Przystań Charona”? Tak się nazywa ten twój mały wyglup?

- W czasie zimnej wojny był to pomysł, jak spowolnić produkcję ropy w Ameryce, w czasie gdy nasze siły przypuszczą błyskawiczny atak na Europę Zachodnią. Plan zakładał jednoczesny atak komandosów na rurociąg i terminal. Jego twórcy wyobrażali sobie, że w okolicy Valdez wybuchnie pożar, o jakim można było usłyszeć tylko w mitach, więc nazwali operację od miejsca, gdzie mitologiczny Charon cumował swą łódź, którą przewoził dusze zmarłych na drugą stronę Styksu.

- Słowem piekło.

- Otóż to.

- To może opowiesz o tych dwóch pozostałych frontach - odezwał się Mercer jak najbardziej swobodnie. - W końcu co masz do stracenia.

Wypowiedziawszy te słowa, geolog już wiedział, że popełnił błąd. Nastrój Kerikowa zmienił się nie do poznania. Nie siedział leniwie na sofie. Odłożył cygaro do szklanej popielniczki na stoliku po lewej i odstawił drinka - przez kilka sekund ustawiał go dokładnie w miejscu, gdzie widniała mokra plama po szklance. Twarz Kerikowa w najlepszych chwilach była brutalna, ale kiedy zwrócił się do swojego więźnia, zrobiła się śmiertelnie groźna. Ściągnął grube brwi, jakby starał się, żeby oczy nie wyszły mu na wierzch.

- To, że chciałem mieć cię za przeciwnika, nie znaczy, że będę się zachowywał przy tobie jak idiota. - Kerikow mówił mrozącym krew w żyłach głosem, dobywanym z samego dna jakiejś studni nienawiści. - Alam, chodź tu! - Obite drewnem drzwi otworzyły się i wszedł Abu Alam, Ojciec Bólu. Przy chudym boku w specjalnej kaburze miał półautomatyczny karabinek Franchi SPAS-1. Mercer z drugiego końca kajuty czuł, że w tym człowieku czai się coś groźnego.

- Możemy się z nim zabawić? - zapytał Arab.

- Nie. Zamknij go w tym samym miejscu. I na razie włos ma im nie spaść z głowy. Dziś wieczorem czeka nas jeszcze mnóstwo pracy.

- Obiecałeś. Na krew świętych proroków, zapłacisz mi, jeśli ich nie dostanę.

Mercer zrozumiał, że ten rozedrgany maniak boi się, że nie będzie miał okazji, żeby zabić jego i jeszcze jakiegoś innego więźnia. Widać było, że nie może się doczekać.

Dostrzegł też, że obaj terroryści mocno ze sobą rywalizują. Widać było jak na dłoni, że Arab zaciska zęby, słuchając poleceń Kerikowa. Nie znając Alama, Mercer wyczuł, że pracuje on dla kogoś innego i że jest z Kerikowem na zlecenie właśnie tego człowieka. Ale był to tylko sojusz z konieczności, nic więcej. Mercer bardzo chciał się dowiedzieć, co to za sojusznik, choć w obecnych okolicznościach i tak nie miało to większego znaczenia.

- Mamy ważniejsze rzeczy na głowie niż nasi goście. - Kerikow zerknął na Mercera. Nie uważał go już za zagrożenie. Następnie popatrzył na Abu Alama. - Weź kilka worków z ładunkami wybuchowymi z zapasów, które przywiozłem. Kiedy jutro skończymy, gwarantuję ci, że będziesz mógł się zabawić do woli z naszym szacownym doktorem. Z drugim więźniem na razie musimy poczekać.

- A czy nie pora już pozbyć się ekologów? - zapytał radośnie Alam.

- Owszem, czas się do tego przygotować. - Kerikow zaczynał mieć dość Alama. Mercer stwierdził, że Arab ma problemy z zapamiętaniem nad żądzą krwi oraz miłością do zadawania bólu i cierpienia. - A teraz zabierz go na dół, weź ładunki i przyjdź tutaj. Za godzinę chcę odlecieć z platformy.

Mercer doszedł do wniosku, że Kerikow wprawdzie odnosi się do Abu Alama protekcyjnie, ale gdzieś w głębi duszy wiele łączy go z młodym zabójcą. Mimo większego wyrafinowania i wielkomięskiej ogłady Rosjanin był równie obrzydliwy jak arabski zabójca. To tak jakby porównywać szaleństwo Hitlera z tym, co opętało jego prawą rękę - Józefa Goebbelsa - to samo zło tylko w ciemniejszej i jaśniejszej wersji.

Alam szarpnął Mercera z krzesła i popchnął przez pokój. Mercer oszacował szanse ucieczki i odrzucił ten pomysł jako samobójczy. Ręce miał wciąż związane, a Alam i jego dwaj ludzie mieli siedem widocznych sztuk broni. Wiedział, że nie posiadaliby się ze szczęścia, żeby sięgnąć po któryś z pistoletów i rozplatać go na pół. Pozwolił się więc popychać. Zaczęło go ogarniać przygnębiające uczucie porażki. Znalazł się w podbramkowej sytuacji, w pułapce, w labiryncie bez wyjścia. Ale nie miał zamiaru się poddawać. W drzwiach Mercer odwrócił się i raz jeszcze spojrzął na Kerikowa. Rosjanin w milczeniu sączył drinka jak gdyby nigdy nic.

- Szkoda, że komputery w Valdez dwa tygodnie temu wykryły spadek temperatury ropy płynącej przez rurociąg. Jeden z twoich ze stawów zaczął przeciekać, Kerikow. Alyeska chodzi za twoimi ekipami z PEAL i usuwa te zbiorniki z azotem równie szybko, jak je zakładacie.

Kerikow odwrócił się i spojrzął na twarz Mercera z miną prawie litościwą. Kiedy się odezwał, mówił znudzonym tonem, jakby blef więźnia był tak żalony, że nie zasługiwał na odpowiedź:

- Łziesz jak pies. - Uśmiechnął się drwiąco. - Od prawie mnie sięca mam te komputery pod kontrolą. Od kiedy jestem wpięty do waszej sieci, nie było ani jednego odczytu, który odbiegałby od normy. Naprawdę spodziewałem się po tobie więcej.

I tu cię mam, powiedział Mercer w duchu.

Abu Alam wbił lufę broni w plecy więźnia, wypychając go na korytarz. Mercer nie miał wyjścia, musiał pozwolić wyprowadzić się w mechaniczne trzewia platformy. Zamiast jasnego oświetlenia nad głowami wiły im się kanały inspekcyjne i robocze szyby, których znaczenia Amerykanin nawet się nie domyślał.

Szli przez prawie kwadrans i Mercer w końcu się zgubił, mimo dobrze wyrobionej orientacji przestrzennej w ciągu wielu lat pracy

w labiryntach kopalnianych korytarzy. Wiedział, że jest gdzieś głęboko we wnętrzu nadbudowy na platformie, ale nie miał pojęcia, gdzie konkretnie. Ciemne serpentyny kładek przechodziły jedna drugą tak gładko, że każde nowe skrzyżowanie przypominało to poprzednie. Jeśli miałby kiedykolwiek stąd uciec, musiałby snuć za sobą nić Ariadny.

Zatrzymali się przed włazem o wysokości metra osiemdziesięciu centymetrów. Zamykające go koło było odkręcone. Właz nie różnił się niczym od dwudziestu podobnych, które minęli w czasie milczącego marszu przez „Omegę”. Mercer obrócił się, ale Alam zdążył już odsunąć się do tyłu i stał z uniesionym SPAS-12.

- Otwieraj - warknął Alam i jeden z jego ludzi szarpnął za drzwi, odsłaniając małą kabinę. Arab mierzył z karabinu, jakby spodziewał się, że w pomieszczeniu wielkości budki telefonicznej ktoś mógłby się czaić. Mercer uświadomił sobie, że to kabina windy. Platforma wiertnicza była tak nowa, że smar wokół włazu miał jeszcze przezroczysty żółty kolor, a nie ciemny od brudu. - Do środka. - Alam znów popchnął Mercera. Amerykanin wszedł do małej windy, sądząc, że Alam, nie posłuchawszy Kerikowa, strzeli mu w plecy, ale nic takiego się nie stało. Mercer próbował przemawiać Alamowi do rozumu, choć wiedział, że to na nic.

- Wiesz, że nie ujdzie ci to na sucho? Złapią cię i zabiją.

- Nie modłę się o nic innego, tylko o śmierć męczennika w walce z wielkim szatanem - powiedział Alam, a jego dwaj ludzie potakiwali głowami.

- Ostrożnie, życzenia potrafią się spełniać. - Drzwi zatrzasnęły mu się przed nosem i winda zaczęła zjeżdżać.

Nie była to prawdziwa winda, raczej otoczona siatką platforma poruszająca się na zamontowanej w głębi szybu szynie. Powoli opadała do wnętrza jednej z pustych kolumn wspierających platformę. Ściany wokół Mercera poszerzały się i zakrzywiały niczym w wielkim silosie zbożowym. Wyjrząwszy za krawędź otwartej platformy, ocenił, że do dna ma jakieś trzydzieści metrów. Z tej perspektywy na dole szybu widniała tylko ciemna plama, nie większa niż pokrywa studzienki drogowej.

Platforma zjeżdżała w dół, kółka obracały się gładko po szybie, pod spodem ziała wielka, otwarta pustka. Mercer nigdy nie cierpiał na zawroty głowy, ale stwierdził, że lepiej nie kusić losu. Wpatrywał się w przeciwległą ścianę szybu pozbawionego wszelkich znaków szczególnych. Powietrze było chłodne i wilgotne. Na białobłękitnych ścianach wisiały kropelki pary wodnej niczym przezroczyste

grube pijawki. W pewnej chwili Mercer poczuł, że winda minęła linię wody. Temperatura spadła o kolejnych kilka stopni. Otulił się mocniej skórzaną kurtką.

Kiedy w końcu dotarł na dno, wystarczyło mu kilka minut, by przeciąć taśmę na rękach o bramkę przymocowaną do podłogi. Po prawej odnalazł przyciski, które powinny wysłać windę z powrotem na górę, ale ktoś przy nich majstrował. Guziki zwisały na kilku poczerńiałych kablach. Mercer mimo wszystko wcisnął zielony przycisk i wcisnął go z całej siły, jakby mocą własnej woli mógł przekonać uszkodzoną windę, by zaczęła jechać w górę.

Nic takiego się nie stało. Obwód spięto tak, że działały tylko przyciski na górę. Znalazł się w pułapce. Mercer usiadł z załamanymi rękoma, lecz zaraz zaczął szukać innego wyjścia, zaczynając od samej windy. Największą nadzieję dawała lina, która sprowadzała ją na dół. Wszedł na otwartą platformę, żeby przyjrzeć jej się bliżej.

Tak jak się spodziewał, pleciona z licznych stalowych drucików lina była pokryta smarem i tak śliska, że trudno było ją chwycić, a co dopiero mówić o wspinaczce. Ale musiał spróbować. Kiedy już przygotował się do podciągnięcia, jakiś głos z mroku ostrzegł go:

- Kiedy tego spróbowałam, spadłam i omal nie złamałam nogi.
- Aggie?! - Mercer nie mógł uwierzyć własnym uszom, ale to jej głos roznosił się echem po potężnym cylindrze. - Co ty tu robisz, u licha?

Rozejrzał się po słabo oświetlonym dnie wspornika. Okrągłe pomieszczenie było duże, ale spartańskie. Połowę zajmowała maszyna wyjęta żywcem z koszmarów szalonego hydraulika. Trudno było prześledzić wijącą się ścieżkę choćby jednej z setek rur z niezliczonymi zaworami, licznikami i kranikami. Nieco dalej od zagmatwanego lasu stalowych rur stał niski blat z szafkami i prawie pustym wieszakiem na narzędzia. Dno stanowiło jedną płaską powierzchnię, choć widać w niej było kilka dużych krat, przez które dałoby się zejść na jeszcze niższe poziomy.

- Czytam sobie jeszcze raz *Wojnę i pokój*... A jak ci się wydaje? Jestem więźniem tak jak ty. - Aggie wyszła zza wielkiej wodoszczelnej szafy i stanęła w plamie mdłego światła z niskowatowej żarówki.

Mercer skoczył z powrotem na podłogę i kilkoma szybkimi krokami przebył dzielącą ich odległość. Wziął ją w ramiona i przycisnął usta do jej ust, gorączkowo ją całując, jakby nic innego w świecie się nie liczyło i nie miało się już liczyć.

Po chwili Aggie cofnęła się bez tchu.

- Co ci się stało?

- Nie wiem - odparł Mercer z zakłopotanym uśmiechem. - Ale nie zaprzeczysz, że było przyjemnie.

- Na pewno nie będę narzekać, ale wybrałeś mało romantyczne miejsce na okazanie swoich uczuć. - Oczy błyszczały jej jasną głęboką zielenią, mimo że była cała poobijana i zmęczona tym, co przeszła.

- Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową. Mercer zapytał, od jak dawna jest na platformie.

- Porwali mnie z parkingu przed twoim hotelem tuż po wyjściu od ciebie. Napadło mnie dwóch mężczyzn. Zabili jakiegoś biedaka w hotelowym oknie, a potem zabrali mnie furgonetką. Czymś mnie odurzili, a kiedy się ocknęłam, byłam już tutaj. - Mówiła mocnym, zdeterminowanym głosem, ale wyglądała delikatnie i krucho jak dziecko. Jednocześnie była tak atrakcyjną kobietą, że Mercer na chwilę oderwał się od problemów i przez minutę tylko patrzył na nią i się upajał. Aggie szybko zauważyła to spojrzenie i przeczesała nerwowo krótkie włosy. - Co? - zapytała. - Nie patrz na mnie. Wyglądam jak straszdyło.

- Wcale nie. Jesteś piękna - szepnął, zakłopotany własną emocjonalną reakcją na jej obecność. Oderwał od niej wzrok i szybko rozejrzał się po pomieszczeniu. - Musimy znaleźć stąd jakieś wyjście i ich powstrzymać. Wiesz w ogóle, co ma zamiar zrobić wasza grupa?

- Nie wiedziałam, póki nie porozmawiałam z tym rąbnętym Ruskiem. Opowiedział mi, jak razem z PEAL zamierza zamrozić ropę w rurociągu.

- Na tym nie koniec. Zamierza wywołać pęknięcie rurociągu i wyciek pół miliona baryłek ropy po całej Alasce.

Aggie zbladła. Miłość do przyrody sprawiła, że była wstrząśnięta do głębi.

- Boże, nie, nie może tego zrobić.

- Obawiam się, że może i zrobi to, o ile go nie powstrzymamy. I jeszcze jedno. Twój narzeczony siedział w tym po same uszy od początku.

- Niemożliwe... - Aggie automatycznie zaczęła bronić Jana Voerhovena. - Uwierzyłam Kerikowowi, kiedy powiedział, że Jan pomagał mu zakładać zbiorniki z ciekłym azotem, ale niemożliwe, żeby pozwolił na rozerwanie rury i wyciek jej zawartości. Prędzej wolałby umrzeć.

- Możliwe, że nie zna całości planów Kerikowa - przyznał Mercer. - Ale i tak jest świadomym współnikiem największego aktu sabotażu w historii. Trzeba spróbować uruchomić windę.

- Już próbowałam. Guzikom na dole odcięto zasilanie, więc nie mamy nawet jak zewrzeć obwodu - mówiła bez zająknięcia. - Zało żę się, że ktoś wyłączył bezpiecznik w szafce na górze.

Mercer poczuł przyływ męskiego szowinizmu. Uznał, że Aggie pewnie nie ma pojęcia o elektronice i że jemu uda się jakoś dojść do ładu z kabelkami zwisającymi z panelu kontrolnego. Obejrzał je szybko i odwrócił się do Aggie.

- Mówiłaś, zdaje się, że masz magisterium z nauki o środowisku czy coś takiego?

- To był mój główny fakultet. Ale ojciec zażądał, żebym zrobiła też licencjat z inżynierii mechanicznej i elektrycznej.

- Naprawdę?

- To była część jego wielkiego planu, by przygotować mnie do przejścia Petromaksu. Wiedział oczywiście, że nigdy się na to nie zgodzę, ale i tak liczył, że kiedyś rzucę tę ekologię.

- No dobrze - poddał się Mercer. - A co z planem B?

- Czyli?

- Nie wiem. Cholera, nie wiem nawet, gdzie jesteśmy, poza tym że gdzieś w Ameryce.

Aggie zaczęła mówić jak gadatliwa przewodniczka.

- Masz przed sobą wspomagający system sterowania pompami wypornościowymi w kolumnie trzeciej platformy „Petromaksu Prudhoe Omegi” zbudowanej dla Petromaksu przez Sosen Heavy Industries z Pusan w Korei. Kosztowała prawie półtora miliarda dolarów. Zamówiono ją w 1998 roku i ukończono osiemnaście miesięcy później. Budująca ją ekipa dwóch tysięcy stoczniovców pracowała przez całą dobę. „Omega” zawiera wszelkie zabezpieczenia wymyślone dla takich morskich struktur: od detonatorów akustycznych Baldta zamontowanych na wszystkich dwudziestu linach napinających aż po piętnaście szalup ratunkowych dla wszystkich członków załogi. Ponieważ „Omegę” zaprojektowano do pracy w warunkach arktycznych, została zbudowana na wspólnej płycie, nieco uniesionej, by umożliwić swobodny przepływ wody, a liny cumujące są specjalnie wzmocnione, by nie pękły od warunków pogodowych ani od kry. Kilka zaworów bezpieczeństwa wytrzymuje ciśnienie czterech tysięcy atmosfer i nie pozwala, by gaz i ropa wytrysnęły na powierzchnię. Może tu pracować sześciuset ludzi, mieści ponad milion litrów słodkiej wody, dwa miliony dwieście tysięcy litrów oleju napędowego do pomp, wiertel oraz wszelkich innych maszyn, a kiedy pracuje pełną parą, jest w stanie zaspokoić w pełni potrzeby energetyczne miasta wielkości Rochester w stanie Nowy Jork.

Aggie uśmiechnęła się zalotnie.

- Interesuje cię coś jeszcze? Nie zapominaj, że to platforma mojego taty. W czerwcu nawet ją zwodowałam, zanim ją tu przyholowano na przygotowanie i próby. Wiosną przyszłego roku ma trafić do zatoki Prudhoe.

Mercer był pod wrażeniem.

- Zawsze lubiłem takie panny mądrałińskie. Skoro tyle wiesz, to powiedz mi jeszcze, jak się stąd wydostać.

Aggie milczała przez chwilę zawstydzona.

- Winda to jedyna droga na zewnątrz, więc nic nie możemy zrobić, póki Kerikow albo ten odrażający Arab po nas nie przyjdzie. Swoją drogą to właśnie jemu dałeś w pysk w barze, kiedy mnie obmacywał. I to on był jednym z tej dwójki, którzy porwali mnie sprzed hotelu.

- Kolejne dwa powody, żeby go skasować. - Mercer starał się mówić beztrzesko, ale jego głos brzmiał lodowato. - Rozejrzyjmy się, sprawdźmy, co tu mamy, i spróbujmy wymyślić jakiś plan.

Przez dwadzieścia minut przeszukiwali ogromną sterownię, zbierając narzędzia i inne rzeczy z wodoodpornych szafek oraz magazynków. Kiedy skończyli, mieli przed sobą żałośnie małą kupkę sprzętu, głównie bezużytecznego: dwie skrzynki z ręcznymi narzędziami: kluczami, śrubokrętami, kombinerkami i tak dalej; do tego cztery rolki taśmy klejącej; cztery kawałki jednocalowej rurki, najdłuższy miał tylko metr osiemdziesiąt długości. I wreszcie podarty morski kombinezon ratunkowy Sternsa, którego pomarańczową powierzchnię przybrudził smar, z kilkoma przekłutymi i pustymi komorami. Znaleźli również wielką niebieską płachtę folii z polipropylenu oraz dwie puste butle tlenowe, takie jak noszą strażacy, ale bez masek czy reduktorów. Trafili też na apteczkę pierwszej pomocy i pojemnik ze spleśniałym jedzeniem, którego zapomniał jakiś stoczniowiec budujący platformę.

- To na nic. - Aggie powiedziała na głos to, co oboje czuli.

Minęła minuta. Mercer popatrzył na kupkę zebranego sprzętu, po czym zerknął w górę potężnego cylindrycznego kesonu. Miał wrażenie, jakby spoglądał w górę studni. Minęła kolejna minuta, po czym wreszcie spojrział na Aggie jaśniejącymi oczyma.

- Mówiłaś, że to wspomagający system sterowania pompami? - Przytaknęła. - Jesteś w stanie je uruchomić?

- Tak, ale co to ma za znaczenie?

- Wydostanę nas stąd za jakieś dwie godziny - oznajmił z diabelskim uśmieszkiem.

- Odbiło ci?

- Nie. Popłyniemy w górę.

Na pokładzie „Petromaksu Prudhoe Omegi”

Kerikow wyszedł z kabiny prysznicowej, jego zwykle szara skóra pojaśniała i nabrała różowego odcienia, a włosy na klatce piersiowej i plecach przylegały do niej niczym futro. Jednym ręcznikiem owinał się w pasie, drugim zaczął się wycierać. Wezszedł się ogolił. Przyjemny rytuał porannego mycia go ożywił. Była trzecia nad ranem, a on nie spał od blisko trzydziestu godzin. Prysznic działał cuda, niemal takie same jak druga szkocka, którą wlał w siebie przed wejściem do łazienki.

Zaczynał się właśnie ubierać, kiedy ktoś zapukał do drzwi kajuty. Abu Alam wszedł bez zaproszenia, przemaszerował do sofy i zerkał na nagiego Kerikowa z mieszanką nienawiści i seksualnego zainteresowania. Arab napawał Kerikowa odrazą jak nikt inny wcześniej.

- Siedzi na dole z tą kobietą - zakomunikował Alam. - Nie rozumiem, dlaczego ich po prostu nie rozwalimy.

- Bo z Mercerem nie chcę się spieszyć. To osobista sprawa. A kobieta jest córką jednego z naszych pryncypałów i dopóki ją tu trzymamy, dopóty mamy pewność, że dotrzyma swojej części umowy. Jeśli Maks Johnston postanowi nas wystawić, kiedy dowie się, że wyprowadziliśmy go w pole, będziesz mógł ją sobie wziąć, na jak długo chcesz, ale musimy wtedy wysłać ojcu nagrania z waszymi igraszkami. - Kerikow wyobraził sobie, jak młoda dziedziczka zostaje wielokrotnie gwałcona na śmierć przez Alama i jego dwóch pomagierów. - Jeśli jednak dotrzyma słowa, musimy ją natychmiast wypuścić. A jeśli dowiem się, że coś jej zrobiliście, osobiście cię zabiję.

Arab się postawił:

- Nie boję się takich czczych pogroźek.

Rosjanin nie zważał jednak na jego prężenie mięśni.

- Idź poszukaj swojego kumpla Voerhovena i wracajmy do Valdez. Kiedy PEAL wycofa się ze stacji pomp numer pięć, zablokują drogę na północ, wysadzając kilka mostów. Za kilka godzin władze dogaszą pożar w Fairbanks i będą miały wolne śmigłowce, by sprawdzić, co się dzieje w stacji. Ile czasu potrzebujesz, żeby podłożyć ładunki wybuchowe na „Nadziei”?

- Mam ją całkowicie zniszczyć czy tylko zatopić?

- Ma się rozpaść na kawałki nie większe od znaczka pocztowego - odparł Kerikow.

- Jakaś godzinę, najwyżej dwie. Będę musiał założyć ładunki wokół wszystkich zbiorników z paliwem i za pomocą primacordu tak zsynchronizować wybuchy, żeby ich siła rozerwała obie burty

jednocześnie. - W głosie Alama słyhać było doświadczenie z wielu lat szkoleń terrorystycznych, najpierw w Algierii, a później na ulicach Libanu i w pustynnych bazach Libii, Iranu i Iraku.

Kerikow obserwował nerwowy tik na policzku Alama, tak nieznaczny i rzadki, że gdyby go nie wypatrywał, pewnie by nigdy nie zauważył. Podejrzewał, że Alam dostał rozkaz, by zabić go zaraz po zniszczeniu rurociągu alaskiego i zatopieniu supertankowca u wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Rufti chciał go zdradzić.

Kerikow zdawał sobie z tego sprawę, jeszcze zanim zaczął rozmawiać z Ruftim. Ten Arab był w żaloszny sposób przewidywalny. Naprawdę sądził, że on, Kerikow, nie jest w stanie zabezpieczyć się przed zdradą?

Boże, chroń nas przed ambicjami kretynów.

Mercer zdołał wymówić zaledwie kilka słów wyjaśnień na temat swojego planu uciezki, kiedy Aggie poczerwieniła z wściekłości.

- Chyba ci odbiło. Zdajesz sobie w ogóle sprawę, co byś narobił? Równowagę tego potwora monitoruje się dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy przyjdzie zima, to nawet jeśli nie będzie pompowała ropy, cały czas będzie tu dyżurować załoga, żeby kra przypadkiem niczego nie naruszyła. Na platformie tej wielkości zaledwie pięć centymetrowa warstwa lodu waży jakies czterysta pięćdziesiąt ton i mogłaby ją wywrócić, gdyby nikt tego nie pilnował.

Przełknęła ślinę.

- A ty sobie mówisz o stokrotnie silniejszym naruszeniu jej równowagi, jeśli pokład „Omegi” jest załadowany, jeśli gotowe są wiertła, a ładownie i magazyny na muł z odwiertów są pełne, wywróci się, zanim dotrzemy na górę wspornika. Pamiętasz te ponad dwa miliony litrów ropy, o których wcześniej wspominałam? Jeśli platforma fiknie koziołka, pokryje ona lepka warstwą całą płycznę.

- Aggie, pozwól mi...

Nie dała mu nawet dojść do słowa.

- Nawet gdybyśmy mieli gdzieś ekologię i gdyby nam się udało wydostać na górę, to chyba nie sądzisz, że przeżylibyśmy w tej wodzie? Jezuu, na górze jest lodowato. W dwadzieścia minut wychłodziłoby się organizmy, a pięć minut później byłoby po nas.

Mówiła cała rozemocjonowana i choć w wielu punktach miała rację, Mercer wiedział, że Aggie sprzeciwia się głównie ze strachu. Nie mógł jej o to winić. To, co wymyślił, jego samego też przerażało.

- Aggie, na litość boską, zamknij się na chwilę i daj mi dokończyć. - Zamilkła i w obronnym geście postawiła kołnierz kurtki. -

Dobrze wiesz, że to jedyny sposób. Jeśli tu zostaniemy, oboje zginemy, więc czemu przynajmniej nie spróbować ucieczki? Myślisz, że ktoś się przejmie, że platforma się wywróci i zaleje Płyciznę Cooka, skoro reszta Alaski będzie pokryta trzydziestocentymetrową warstwą ropy? Jeśli istnieje choćby cień szansy, jeśli nie zamrozimy, jeśli platforma się nie wywróci i jeśli uda nam się ostrzec Andy'ego Lindstroma z terminalu w Valdez, to zdołamy powstrzymać cały ten koszmar. Wiem, jak Kerikow zamierza rozerwać rurociąg po zamrożeniu ropy. Żeby go powstrzymać, muszę się na dziesięć sekund dorwać do telefonu albo radiostacji.

Zawahała się, strach powoli ustępował, bo też zrozumiała, że chodzi o ważniejsze rzeczy. Tak czy inaczej, czeka ich śmierć, więc może lepiej zginać, próbując ucieczki? W oczach Aggie widać było, że postanowiła przystać na jego plan.

- Ale i tak uważam, że jesteś świrem.

- Wszystko się uda. Zaufaj mi.

- Ostatnio mówił mi tak czterdziestodziewięcioletni profesor, z którym zgodziłam się pójść do łóżka - zażartowała. - I mu nie wyszło.

Plan Mercera zrodził się z desperacji, ale w teorii był niewiarogodnie prosty. Mercer zamierzał zalać puste wnętrze wspornika „Petromaksu Omegi”. Za pomocą ręcznego sterowania pomp wspomagających był w stanie wypełnić wodą morską cały cylinder o pojemności pięćdziesięciu siedmiu tysięcy metrów sześciennych. Wraz z Aggie będzie pływał po powierzchni przybierającej wody, póki nie uniesie ich ona do drzwi windy trzydzieści metrów wyżej. Jak zauważyła Aggie, największym zagrożeniem była utrata równowagi przez całą platformę - w końcu w jednym zbiorniku znajdą się tysiące ton balastu, a pozostałe będą puste. Mercer mógł mieć tylko nadzieję, że wszystko dobrze się zakończy. Jeśli chodzi o wychłodzenie, miał plan, jak nie dać się zmoczyć.

Zajął się budową prowizorycznej tratwy, w której jego własne ciało miało tworzyć dno, zaś Aggie zmagala się z zagmatwaną płataniną rur, zaworów i przełączników przy pompach. Sześć pomp mieściło się kolejne piętnaście metrów niżej, ale sterować można było nimi zdalnie. Na prośbę Mercera Aggie wyjaśniała, jak działa cały system pomp.

- Każdy keson, bo tak się nazywają te nogi, ma komputer połączony z główną sterownią pomp w centrum operacyjnym platformy, więc każdy można balastować indywidualnie w zależności od warunków. Przy dużych falach całą platformę można zanurzyć tak,

że główny pokład jest prawie pod wodą, albo podnieść nawet trzydzieści metrów nad poziom fal. Łańcuchy cumujące przechodzą przez wyciągarki hydrauliczne, więc cały czas są odpowiednio napięte, a kotwice leżą pewnie na dnie, niezależnie od tego, na jakim poziomie jest platforma. Chwyliła oddech.

- Mój ojciec brał udział w opracowaniu tego systemu. Jego szkice stanowiły podstawę do dokumentacji platformy liczącej czterdzieści tysięcy stron.

W jej głosie dosłyszała dumę.

- Najsłabszym ogniwem, poza oczywiście możliwością wywrotki, są same kotwice. Podejrzewam, że to flippery delta z holenderskiej firmy Ankar Advies Bureau. Muszą ważyć co najmniej dwadzieścia ton, dzięki czemu każda z nich opiera się ruchom platformy z siłą czterystu ton. Ten typ kotwic idealnie nadaje się do dna morskiego w zatoce Prudhoe, ale nie jestem taka pewna co do Płycizny Cooka. „Omega” cumuje tu tylko tymczasowo, więc idealna równowaga nie jest tak ważna, jak w trakcie wydobywania ropy. Kiedy platforma zacznie się przechylać z powodu dodatkowego obciążenia, a kąt kinematyczny łańcuchów kotwicznych zmieni się choćby o dziesięć stopni, kotwice stracą w przybliżeniu trzydzieści pięć procent swojej wydajności. A w końcu mogą zupełnie puścić.

Mercer rozumiał mniej więcej połowę wykładu Aggie. Nie miał najmniejszego pojęcia, co to jest kąt kinematyczny, i tak naprawdę nie musiał wiedzieć. Chciał po prostu, żeby dziewczyna się czymś zajęła, żeby w ten sposób uspokoiła i siebie, i jego. Mówiła więc dalej o kątach równowagi i łapach kotwic oraz o mechanizmach samych pomp. Dysponowała encyklopedyczną wiedzą, którą przekazywała energicznym, ale i niewiarygodnie urzekającym głosem.

- Gotowe - oznajmiła po blisko pół godzinie. - Zdjęłam zabezpieczenia z regulatorów przepływu i mierników zanurzenia. Pompy będą działać nawet po przekroczeniu punktu krytycznego. System wyłączy się dopiero wtedy, kiedy woda zrobi zwarcie w panelach elektrycznych na górze.

- A co ze światłami ostrzegawczymi w głównej sterowni?

- Nic na to nie poradzę - przyznała Aggie. - Kiedy pompy się włączą, konsola zaświeci im się jak bożonarodzeniowa choinka. Musimy mieć tylko nadzieję, że Kerikow nie ma dość ludzi, żeby monitorować tę konsolę. Jeśli tak, to cały twój plan zakończy się przekręceniem jednego wyłącznika na górze.

- No to miejmy nadzieję, że akurat wyszli do łazienki, bo ja jestem już gotów.

Mercer naprawił rozerwany kombinezon ratunkowy Sternsa. Zużył całą rolkę taśmy klejącej, żeby zalepić niezliczone pęknięcia i dziury w zewnętrznej nylonowej tkaninie. Srebrnej taśmy było tak dużo, że wyglądał, jakby miał na sobie zbroję. Równie dużo uwagi jak kombinezonowi poświęcił samemu sobie. Korzystając z apteczki, przez prawie dziesięć minut opatrywał rany i tamował krwawienie z co głębszych rozcięć. Połknął też dwie tabletki kodeiny, które znalazł. Potrzebował leków, jeśli miał przetrwać szykującą się przeprawę.

Tratwa spoczywała na kilku skrzynkach z narzędziami i wyglądała tak, że na pewno spodobałaby się Rubemu Goldbergowi. Cztery znalezione kawałki rury skleili w kształt diamentu. Pod nimi rozpostarli płachtę i przytwierdzili ją do szkieletu taśmą. Tratwa miała taki rozmiar, że kiedy Mercer położył głowę w jednym kącie, rękoma sięgał do dwóch innych, a nogi wisały mu nad przeciwległym połączeniem rurek. Napinając ciałem luźno zwisającą płachtę, miał nadzieję stworzyć wyporność, która pozwoli im się utrzymać na powierzchni i nie zamoczyć Aggie. Mercer włożył kombinezon, na wypadek gdyby woda jednak przelała się przez niskie burty tratwy. Aggie miała siedzieć na jego klatce piersiowej i powinna pozostać sucha. Gdyby ich załalo, kilka dodatkowych minut ochrony, jakie dawał Mercerowi kombinezon, i tak nie miałyby większego znaczenia.

Udało mu się zeskrobać trochę smaru z liny windy. Aggie patrzyła w zdumieniu, jak Mercer smaruje nim obficie kark i gęste włosy aż do samej skóry.

- Nie martw się, ciebie też to czeka.

- Ale po co?

- Wyczynowi pływacy robią to od lat. Tłuszcz izoluje skórę przed wodą, dzięki czemu unikasz największego zagrożenia, czyli utraty ciepła - wyjaśnił, pochylając się przed nią i podnosząc nogawkę jej spodni. Rozsmarowywał grubą warstwę smaru po jej gładkiej skórze, starając się nie myśleć, jak bardzo jest to erotyczne.

To samo zrobił jej na nadgarstkach i szyi. Kiedy sunął śliskimi rękoma po jej gardle, Aggie miauknęła prawie jak zadowolony kociak.

- Szkoda, że nie robisz tego w jakimś innym miejscu i że ten smar nie pachnie na przykład marakują.

Pocałował ją w czoło, a potem zaczął ją oklejać ostatnią rolką taśmy od stóp do głów.

- Kiedy dotrzemy na górę, będziemy musieli wysiąść z tratwy i przepłynąć kawałek, póki nie dotrzemy do drzwi windy. - Podał

jej największy ze śrubokrętów: czterdziestopięciocentymetrowy kawałek uszlachetnianej stali obłożonej plastikiem, doskonały łom do wyważenia włazu na samej górze kesonu.

Aggie drżała, i to nie tylko z zimna. Oboje za godzinę mogli już nie żyć. Mercer doświadczył już tego uczucia, ale wciąż nie mógł do niego przywyknąć. W przypadku Aggie było to jednak coś zupełnie nieznanego. Jej piękna twarz pobladła, a wydęta dolna warga zadrżała. Oczy zaszkliły się od niewylanych łez.

- Uda nam się, Aggie - powiedział Mercer. - Musi się udać.

Kiwnęła głową i nie mogła oprzeć się, by go nie pocałować.

Przywarła do jego ciała, otoczyła go ramionami. Być może miał to być ostatni uścisk w ich życiu, więc starali się, żeby był szczególny, żeby wykraczał poza strach i fizyczny dotyk. W zimnej sali pomp przeszył ich prąd, coś wyczuwalnego, czemu żadne z nich nie mogło ani nie chciało zaprzeczyć. Jeśli przeżyją kolejną godzinę, chcieli wspólnie dalej tego doświadczać.

- Gotowa?

- Do dzieła - potwierdziła Aggie, przygotowując się na najgorsze.

Mercer usadowił się w tratwie, układając głowę i nogi w jak najdogodniejszej pozycji. Pokryte smarem dłonie przełożył przez wykonane z taśmy kółka. Dzięki ułożeniu tratwy na skrzynkach woda będzie mogła podplłynąć pod nią i unieść ich ze sobą. W przeciwnym wypadku tratwa po prostu wypełniłaby się wodą.

Aggie podeszła do pulpitu sterowniczego i wcisnęła po kolei kilka ogumowanych przycisków. Każdy włączał kolejną pompę. Hałas potężnych pomp turbinowych szybko narastał i odbijał się ostrym echem od stalowych ścian. Przez każdą z pomp przepływało osiemnaście tysięcy litrów wody na minutę.

- Hałas ucichnie, kiedy pompy znajdą się pod wodą! - krzyknęła Aggie, zamykając wodoszczelne drzwiczki panelu z elektroniką. - Za jakieś dziesięć minut woda dotrze na ten poziom.

- Wskakuj na miejsce! - zawołał Mercer z podłogi. - Nie możemy dać się zaskoczyć.

Aggie położyła się na nim, przylegając plecami do jego klatki piersiowej. Pośladkami wtuliła się niemal seksualnie w jego miednicę. Poruszył się, żeby ją zepchnąć.

- Nie tak. Leż na plecach, ale obróć się i połóż głowę na moich udach, a potem obejmij nogami moją głowę. W ten sposób lepiej rozłoży się ciężar.

Wykonała polecenie, zmieniając zgrabnie pozycję. Mercer mógł dzięki temu wpatrywać się w tajemnicze miejsce między jej

rozchylonymi udami. Szybko otrząsnął się z tych myśli i skupił na czekającym ich zadaniu.

Czekanie dłużyło im się nieskończenie. Leżeli w milczeniu, nie odzywając się nawet, kiedy pompy w końcu się zanurzyły i ich przesywający jęk zmienił się w znacznie cichszy głuchy szum. Woda podnosiła się tak szybko, że czuli, jak wypycha powietrze, zmieniając je w lodowaty podmuch. To był dopiero zwiastun prawdziwego zimna, jakie ich czekało. Minuty się wlekły. Mercer wciąż patrzył w bok, spodziewając się, że woda zacznie się pienić i wznosić przez kratki w podłodze. Ale nie było jej widać.

Każda kolejna sekunda płynęła wolniej niż poprzednia, oczekiwanie i strach sprawiły, że ani jedno, ani drugie nie było w stanie uleżeć spokojnie. Nerwowo się drapali albo poprawiali, by ułożyć się wygodniej. Mercer oddychał tak głęboko, że ruch klatki piersiowej zmuszał Aggie do wygięcia się jeszcze bardziej w i tak już niewygodnej pozycji.

Szum wody słuchać było coraz głośniejszy, lodowaty podmuch przybierał na sile. Woda mogła pojawić się w każdej chwili. Mercer jeszcze raz obrócił się w lewo. I nagle woda wystrzeliła jak gejzer.

- No to jedziemy! - wrzasnął przez szum. Zanim skończył zdanie, woda porwała ich i uniosła ze skrzynek. Niczym latawiec złapany w brutalny ciąg powietrza, prowizoryczna tratwa uniosła się z podłogi w wirze, od którego ścisnęło w dołku. Woda przelewała się przez bok w niepokojącym tempie, jej kropelki kłuły ich w wystawione twarze niczym szpilki. W ciągu kilku sekund wokół wygiętego pasa Mercera pojawiło się piętnaście centymetrów zimnej słonej wody. Jeszcze kilka centymetrów i zmoczy pośladki Aggie. Jeśli wleje jej się jeszcze więcej i dziewczyna przemoknie, zginie, nim dotrą na szczyt kesonu.

Ale Mercer nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Niepokoiło go coś innego. Nie był w stanie utrzymać siebie i jej jednocześnie. Kółka z taśmy wrzynały mu się w ciało, ręce wyginały się boleśnie. Podróż na górę miała potrwać pół godziny, a on już bał się, że nie wytrzyma nawet pół minuty.

Wirująca woda zakreśliła tratwę, obracając ją spiralnie wokół własnej osi. Jak na takie warunki tratwa była zaskakująco stabilna, ale kiedy kręciła się w szalonym tempie, przez burtę dalej przelewała się woda. W kilku miejscach, gdzie nie było izolacji, Mercer czuł ją przez kombinezon. Zimno było koszmarnie. Ciało tak mu odrętwiało, że miał wrażenie, jakby się poparzył. I to wszystko mimo wodood-

pornego kombinezonu Sternsa i dżinsów. Jeśli woda dotknie jego skóry, wiedział, że nie wytrzyma dłużej niż kilka minut.

- Jak tam? - zdołał zapytać przez zaciśnięte zęby. Ze wszystkich sił starał się zachować sztywność ciała.

- Chyba nic z tego! - krzyknęła Aggie.

- To samo powiedzieli do siebie bracia Wright. - Mercer próbował rozładować napięcie lekkim tonem.

- Za pierwszym razem im się nie udało.

- My nie możemy sobie pozwolić na ten luksus.

Choć początkowo wydawało się, że tratwa unosi się szybko, owo poczucie szybkości zmieniło się całkowicie, kiedy dotarło do nich, jak wielkie czeka ich wyzwanie. Aggie leżała tylko jakieś pięć centymetrów nad wodą lejącą się do tratwy i nic nie można było na to poradzić. Mercer musiał mocno trzymać szkielet tratwy, żeby jej nie wyrzucić, więc nie mógł w żaden sposób ratować ich przed zalaniem. Z kolei Aggie robiła wszystko, żeby nie spaść z Mercera. Pierwsze dziesięć minut było koszmarem, a potem wcale nie było lepiej.

Mercerowi zaczęły drżeć ręce, bo opuszczały go siły. Bezwiednie zaczął zapadać się coraz głębiej w tratwę. Aggie znajdowała się coraz bliżej wody. Zauważyła to i krzyknęła. Mercer znów naprężył mięśnie brzucha i pleców niczym postronki. Wysilek był jak przy supertrudnym ćwiczeniu gimnastycznym. Choć w kesonie panowała temperatura tylko pięć stopni, to Mercer się pocił, a po twarzy spływały mu słone strużki.

Aggie czuła jego wysilek.

- Mogę ci jakoś ulżyć?

Dopiero po kilku sekundach zebrał siły, by odpowiedzieć. Był już u kresu, ale do góry mieli jeszcze osiemnaście metrów.

- Przejdź na najszybszą dietę w historii.

Powoli, o wiele za wolno, poziom wody podnosił się i jej powierzchnia znacznie się uspokoiła w porównaniu z pierwszymi przerażającymi momentami wznoszącego wiru. Odliczali kolejne etapy po spawach na ścianach - każdy z nich to trzy metry wyżej. Kolejne trzy metry bliżej końca tortury. Góra kesonu wciąż wydawała się nieosiągalna, jak jakiś cień nad ich głowami, mroczny cel, który ciemniał coraz bardziej, w miarę jak woda zalewała kolejne linie świateł na okrągłych ścianach.

Początkowo Mercer sądził, że to skurcz mięśnia tak nagle szarpnął go w udo. Sekundę później uświadomił sobie, że kombinezon przecieka. Lodowata woda znalazła sobie drogę przez jakieś

pęknięcie, które przeoczył, albo po prostu taśma zaczęła się odklejać. Woda paliła jak kwas.

Krzyknął z bólu, a jego krzyk zmieszał się z szumem pomp i bulgotaniem wody.

- Co się stało?

- Mam dziurę w kombinezonie, woda przecieka.

- Tak źle?

- Nie jest dobrze - jęknął, kiedy lodowata woda zalała mu kolejny kawałek skóry. Tak bardzo miał ochotę rozetrzeć sobie to miejsce, że musiał zamknąć oczy i skupić wszystkie siły na tym, by nie puścić kółek tratwy. Jeszcze dziewięć metrów. - Aggie, musisz wygiąć plecy i zdjąć ze mnie trochę ciężaru. Dłużej nie wytrzymam.

Zrobiła to, o co prosił, wbijając buty mocniej w jego barki i ramiona w piszczele. Kiedy więc wygięła się niczym w orgazmie, główny nacisk poszedł na kości, a nie na mięśnie Mercera. Westchnął, kiedy Aggie go odciążyła, bo po raz pierwszy od dwudziestu minut mógł rozluźnić mięśnie brzucha. Teraz to ją bolało tak, jak jego wcześniej. Znosiła to, jak długo mogła. Była gibka i wytrzymała po latach szermierki i ćwiczeń, ale wytrzymała tylko kilka minut i musiała na niego opaść.

- Przepraszam - wydyszała. - Nie mogę dłużej.

- Już w porządku - skłamał. - Zresztą, jesteśmy prawie na miejscu.

Głęboko pod platformą, w czarnych wodach płycizny, pod pięciometrową warstwą piaszczystego mułu leżało pięć potężnych kotwic przytrzymujących keson numer trzy. Kiedy noga zaczęła się zanurzać, zaczęła również naciągać piętnaście innych kotwic utrzymujących platformę w miejscu. Aby utrzymać siłę zakotwiczenia, łańcuchy muszą być cały czas napięte. By zatopić tylko jedną nogę, Aggie musiała wyłączyć hydrauliczny system automatycznego napinania łańcuchów. Kiedy keson wypełnił się wodą, łańcuchy naprężyły się tak, że jeden po drugim zaczęły pękać. Siedemnaściościowej grubości stalowe ogniwa pękły równiutko. Części przymocowane do kotwic opadły cicho w mroczną toń, zaś reszta zwiisała pod platformą niczym macki potężnej ośmiornicy.

Pozostałe kotwice Delta Flipper w kształcie pługa były tak dobrze zaryte w dnie, że ani drgnęły i ciągnęły tak mocno, że platforma zaczęła przechylać się w drugą stronę. Zamiast opaść na zanurzoną nogę, „Omega” zaczęła się przewracać w drugą stronę. Choć dynamikę całego systemu kotwic mierzyło się w tysiącach ton, platforma

była teraz tak rozchwiana, że każde kilka litrów wody przepompowywanej do kesonu pochylało całość coraz bardziej.

Tylko nadchodzący przyływ sunący z prędkością dwudziestu węzłów utrzymywał platformę na powierzchni, stabilizując kesony. Jednak delikatna równowaga siły, przeciwności, wagi, wyporności i ciągu była tylko krótkotrwała, bo pompy cały czas wypełniały wsporniki „Omegi”.

- Jeszcze tylko metr! - wykrzyknęła zdumiona Aggie.

- Ile mamy do drzwi windy? - zapytał ponuro Mercer. Bliskość celu nie była w stanie stłumić bólu i odrętwienia, które ogarniało dolną część jego ciała.

- Jesteśmy tuż pod nimi. Twoje stopy znajdują się zaledwie kilkanaście centymetrów od liny windy.

- Kiedy tylko zbliżymy się do drzwi, musisz wcisnąć śrubokręt między nie a framugę. Powinien być tam jakiś mechaniczny rygiel, który otwiera je w przypadku awarii automatu i uwięźnięcia kogoś w środku.

- Tak jak w filmach?

- Właśnie.

Aggie próbowała wyciągnąć rękę, ćwicząc ruchy, jakimi będzie musiała odblokować drzwi. Kiedy tylko poruszyła ramieniem, z krzykiem spadła z klatki piersiowej Mercera.

Znalazła się w wodzie zebranej na tratwie i zaczęła się gwałtownie szamotać. Przerwała przy tym folię i zniszczyła tratwę. Mercer puścił rurki i wpadł do wody wraz z Aggie. Dzięki kombinezonowi utrzymywał się na powierzchni. Chwycił tonącą Aggie i przycisnął do siebie, próbując ją uspokoić, by nie utopiła się z paniki.

- O Boże, ale boli. O Chryste, nie mogę, nie mogę... - Usta posiniały jej, kiedy lodowata woda zaczęła podciekać pod taśmę, którą ją owinął. - Mercer, proszę, o Boże, zaraz umrę.

- Aggie! Aggie! - krzyczał Mercer, patrząc jej w oczy, ale Aggie poddała się panice. Patrzyła na niego pustym wzrokiem, obawiał się, że jest w szoku. Prawie nie zauważył, że kombinezon Sternsa też przeciekł i on sam jest już przemoczony do suchej nitki. W ciągu kilku sekund koniecznie muszą się wydostać z wody.

Dokładnie w tej chwili cztery dwudziestotonowe kotwice trzymające platformę zostały wyrwane z dna morskiego. Wzbiły chmury piasku pod wodą i przeorały muliste dno. Przeciwności rzędu tysięcy ton zniknęła. Nic już nie było w stanie powstrzymać „Omegi” przed wywrotką. Jeden róg platformy był za bardzo obciążony i niezakotwiczony. Wyporność pozostałych trzech kesonów wywróci „Omegę”

w ciągu kilku minut. Zostało jeszcze jedenaście kotwic. Wystarczy, że puszcza trzy, a platforma obróci się do góry dnem i zniknie pod wodą.

Skutki tego wydarzenia w kesonie numer trzy dało się odczuć natychmiast. Dopiero co Aggie i Mercer szamotali się tuż pod drzwiami windy, a po chwili platforma pochyliła się i woda poniosła ich do pustego przedsionka. Kombinezon Mercera przycisnął ich do sufitu. Znaleźli się całkowicie pod wodą, zupełnie bezbronni.

Lodowata woda kąsała Mercera w skronie. Ostre dźgnięcia sprawiały, że zbierało mu się na mdłości. W głowie wirował mu szary obłok bólu. Nie miał już żadnych rezerw. Zawiódł. Zginął.

Aggie poruszyła się tak nieznacznie, że prawie tego nie poczuł, a jednak - choć to niewiarygodne - chwyciła jego dłoń, otworzyła mu palce i włożyła coś do ręki. Nie chciał patrzeć, nie chciał otwierać oczu w słonej wodzie, ale coś go zmusiło. Spojrzał w dół i w rozproszonym świetle zobaczył, że jakimś cudem, mimo rozdygotania i strachu, na progu śmierci, Aggie nie puściła śrubokrętu i miała dość przytomności, by wcisnąć mu go w dłoń.

Rzucił się ze śrubokrętem na drzwi. Wprawdzie minął cel o dobrych piętnaście centymetrów, ale wbił go pod takim kątem, że płaski koniec zsunął się po drzwiach i utkwił mocno w szczelinie. Końcówka trafiła na ciśnieniowy rygiel i odblokowała drzwi. Szarpnął za klamkę i drzwi otworzyły się popchnięte przez tony wody.

Aggie i Mercer wypadli przez wąski korytarz, wyrzuceni niczym dzieci podczas porodu, pchani przez tysiące litrów wody. Odbijali się od ścianek i pędzili jeszcze przez dobrych dziesięć metrów, zanim nie zatrzymali się na zakręcie korytarza. Woda płynęła coraz mniejszym strumieniem.

Oboje zwymiotowali tak, że bolały ich płuca. Trzęśli się z zimna w stalowym korytarzu, którym obok płynęła nadal woda. Musieli się zatrzymać, odpocząć i zdjąć przemoczone ubranie, ale nie mogli. „Petromaks Omega” podskakiwał niczym łódka na dużych falach, napięte łańcuchy kotwiczne już dawno przekroczyły nominalne obciążenie, a mimo to jakimś cudem jeszcze nie popękały. Ale każde szarpnięcie było coraz mocniejsze. Nadbudowa platformy pochyliła się o piętnaście stopni w stosunku do łagodnie bujających się łańcuchów.

- Musimy iść - udało się wydyszeć Mercerowi. Jego zęby dzwoniły w tempie młota pneumatycznego. - Możesz iść?

Aggie nie odpowiedziała. Straciła przytomność.

Nie zważając na własne potrzeby, Mercer zdjął z Aggie ubranie. Zerwał przemoczoną kurtkę, sweter, koszulkę i odkleił jej od nóg mokre dzinsy. Zyskał kilka minut, nim zamarznie na śmierć. Spoj-

rzał wzdłuż korytarza i zamknął na chwilę oczy. Przypomnił sobie krętą drogę pod strażą Abu Alama. Nie myślał o niczym - o swoim bólu, o zimnie ani o katastrofie platformy - i odtworzył całą drogę zakręt po zakręcie.

Bohater greckiej mitologii Tezeusz, pokonawszy Minotaura, wyszedł z labiryntu dzięki nitce. Mercer miał do dyspozycji tylko własny zamglony umysł. Niosąc Aggie, biegł pustymi korytarzami, stukając stopami o stalowy pokład. Choć z trudem przypominał sobie trasę, bezbłędnie wybierał drogę na skrzyżowaniach, schodach i skręcał w odpowiednie korytarze. Za każdym razem podejmował właściwe decyzje, kierując się instynktem. Gdyby przestał myśleć, zgubiłby się w mgnieniu oka. Ciemne korytarze pod pokładem platformy niczym się między sobą nie różniły. Nie było żadnych znaków szczególnych, które mogłyby być dla niego wskazówką, a mimo to biegł i dotarł do kajut załogi w czasie dwukrotnie krótszym niż ten, którego potrzebował Alam, żeby sprowadzić go do kesonu. Kiedy wpadł przez otwarte drzwi do części mieszkalnej, spartańskie stalowe ściany ustąpiły miejsca drewnopodobnym panelom i cienkiej wykładzinie.

Pokład pochylił się już o co najmniej dwadzieścia stopni. Mercer biegł szerokim korytarzem w dół, niosąc w ramionach bezwładną Aggie. Obite panelami drzwi poszczególnych kajut zlewały mu się w jedną smugę. Nie ośmielił się zatrzymać, żeby sprawdzić jej puls. W całym korytarzu wyl alarm, a czerwone stroboskopowe światła migwały jak obłądna dyskoteka. Gdzieś nad całym tym szumem rozlegał się wygenerowany komputerowo głos, który kazał załodze natychmiast opuścić platformę.

Mercer kopnął drzwi wyjściowe i obrócił się, żeby Aggie nie uderzyła o nie głową albo nie zaczepiła nogami o stalową framugę. Schody wyglądały jak konstrukcja z wesołego miasteczka - przechyliły się tak mocno, że były niemal pionowe. Mercer zaczął iść ostrożnie w górę, pilnując się, by nie stracić równowagi. Przypominało to trochę wspinaczkę na klif, a z każdą sekundą platforma pochylała się coraz bardziej. Przebrnął przez dwa kolejne podesty, dotarł w końcu na główny pokład, po czym wypadł w smaganą wiatrem noc.

Kiedy czujniki wychwyciły przechył platformy, komputer uruchomił światła awaryjne, dzięki którym pokład skąpany był w różowej poświacie sodowych lamp. Wieża z pochodnią i żurawie podświetlone w ciemności wyglądały jak pomniki. Mercer zmrużył oczy i w oślepiającym świetle szukał żółtych szalup ratunkowych, które zauważył, kiedy schodzili do lądowania na platformie. Wisiały

na zewnętrznych ścianach modułu niczym szalupy na eleganckim statku pasażerskim.

Na zewnątrz przechył potężnej platformy widać było wyraźniej. Mercer sądził, że mają jeszcze kilka minut, ale teraz zrozumiał, że w ciągu najbliższych sekund „Petromaks Omega” przewróci się na bok i zatoni. Mógł mieć jedynie nadzieję, że Kerikow i Alam ugrzęźli gdzieś pod pokładem, choć wiedział, że tak nie jest. Śmigłowiec, który ich tu przywiózł, zniknął.

Aggie ciążyła mu bezwładnie, kiedy rzucił się na skraj stojącej dęba platformy. Ślizgał się po pokładzie, który pochyłał się coraz bardziej. Sygnał alarmowy wyjący z uporem maniaka mógł doprowadzić każdego do szaleństwa. Mercer uderzył o reling, ale zdołał uchronić przed tym Aggie. Jego bark minął o kilka centymetrów ostrą jak brzytwa śrubę napędową szalupy. Górna część szalupy stanowiła idealny cylinder, zaś kadłub był mocno wcięty, żeby nadać jej stabilność na nawet najbardziej wzburzonych falach.

Mercer nie miał pojęcia, jak obsługiwać skomplikowane wysięgniki, na których wisiała szalupa. Mógł się tylko modlić, że mechanizm da się uruchomić z wnętrza. Oparł Aggie o reling, a wolnymi rękoma chciał otworzyć właz, ale nagle szalupa się uniosła, wysunęła nad wodę i zniknęła tak szybko, że czuł, jak wsysa go powstała po niej próżnia.

W środku musieli siedzieć ludzie Kerikowa.

Mercer stracił czas, którego już nie miał. Następna szalupa wisiała sześć metrów dalej. Podniósł Aggie i ruszył szybko w jej kierunku, szorując biodrem o reling. Bez tego wsparcia nie byłby w stanie utrzymać się na nogach. W połowie drogi zobaczył, że także i ta szalupa uniosła się, skierowała nad wodę i zniknęła równie szybko jak pierwsza.

- Cholera!

Odepchnął się mocniej, niż wydawało mu się, że potrafi i popędził, ślizgając się na każdym kroku. Otchłań po prawej stale próbowała go wessać. Ilekroć wydychał powietrze, czuł, że w płucach następuje stłumiona eksplozja, a prawa noga aż trzeszczała, ilekroć ją obciążał. Minął kolejne dwie szalupy, ryzykownie kalkulując, i skupił się całkowicie na ostatniej po tej stronie modułu mieszkalnego.

Kiedy do niej dobiegł, nie marnował czasu, żeby położyć Aggie na pokładzie. Przerzucił ją sobie przez ramię i szarpnął za rygiel włazu. Rygiel ustąpił lekko i właz otworzył się do środka. Światła w szalupie włączyły się automatycznie, grzejniki zaczęły ogrzewać wnętrze. Rzucił bezceremonialnie dziewczynę na miękką ławkę wzdłuż burty

szalupy. Zanurkował tuż za nią i zaraz obrócił się, żeby zamknąć właz. Obok wejścia znajdował się mały panel kontrolny z dwoma guzikami. Wcisnął ten z napisem „Start”.

Wydawało się, że to wieczność, ale wszystko trwało niespełna dwie sekundy. Hydrauliczne tłoki uniosły szalupę z pokładu, ale platforma była pochylona za mocno. Łódź zaczęła dnem o reling, niemal idealnie zrównowazona. Wysięgniki zaczęły wypuszczać liny. Szalupa chwiała się przez sekundę, po czym zaczęła przechylać się w stronę pokładu. Gdyby tam spadła, Mercer i Aggie zostaliby uwięzieni na pokładzie „Omegi”. Mercer wyczuł, co się dzieje, i zareagował natychmiast - rzucił się na drugą stronę szalupy, uderzając o burzę. Swoim ciężarem przeważył dwunastometrową łódź.

Szalupa ześliznęła się z relingu i, tak jak Mercer przewidział, kolejny raz zaczęła spadać z platformy. Wysięgniki rozwinęły dość lin, by szalupa spadła o sześć metrów. Na koniec wyhamowała jednak ostro, omal nie zrywając lin. Tańczyła na uwięzi, rzucając bezlitośnie Mercerem i Aggie po całej kabinie.

Bez ostrzeżenia uderzyła w końcu o wody Płycizny Cooka. Bezład i ciężar sprawiły, że wpadła pod wodę, a w końcu wypłynęła, rozchlapując wodę niczym pies myśliwski po polowaniu. Mercer leżał oszołomiony na podłodze, a Aggie na nim z głową na jego piersi, jakby po prostu zasnęła. Musiał wstać, odczepić szalupę i włączyć silnik, żeby odpłynąć jak najdalej od straconej platformy, ale nie był w stanie się ruszyć. Chciał tak leżeć i przytulać Aggie, póki ból nie minie.

Ostatnie kotwice w końcu puściły, kapitulując pod obciążeniem, o jakim producenci nawet nie marzyli. „Petromaks Prudhoe Omega” szarpnął się gwałtownie. Wieże żurawi i pochodnia odłamały się równiutko i spadły do wody zaledwie dwadzieścia metrów przed szalupą. Czteryście metrów długości liny wiertniczej ułożonej w pojemnikach w module produkcyjnym zaczęło się zsuwać do morza niczym długi wąż, a tuż za nią posypały się niezliczone beczki z chemicznymi substancjami ułatwiającymi wiercenie.

Kiedy platforma się przechyliła na dobre, zaczęła pękać. Moduł mieszkalny oderwał się od pokładu i cała konstrukcja ważąca trzydzieści tysięcy ton zsunęła się do morza, wzbudzając apokaliptyczny wir. Szalupa Mercera i Aggie nadal była przywiązana do szybko tonącego modułu. Następnie do wody wpadł górny pokład i w tej samej chwili drugi keson wynurzył się całkowicie z wody, a potem oderwał od platformy.

Z pękniętych zbiorników zaczął wyciekać olej napędowy, a kiedy zetknął się z jednym licznym pożarów od spięć elektrycznych,

wybuchnął wielkim płomieniem, a w niebo podniosły się czarne kłęby dymu. Kiedy platforma zanurzyła się w wodzie, podskakiwała jeszcze przez chwilę, bo odpadały z niej kolejne części. Tonęła powoli, walcząc niczym żywa istota, która uświadamia sobie, że idzie na dno. Głęboko spod pokrytej płomieniami wody dochodziły stłumione grzmoty wybuchów.

W tych ostatnich chwilach Mercer leżał bez ruchu, oddychał coraz spokojniej, chłonąc ciepło z grzejników szalupy. Wiedział, że coś musi zrobić, coś, co wymagało wstania z podłogi, ale nie pamiętał, co to takiego. Mimo wszystko zmusił się i wstał, po czym poszedł na rufę, gdzie w skromnej desce rozdzielczej umieszczono urządzenia sterujące silnikiem i kursem szalupy. Zastanawiał się, jak uruchomić silnik, ale przypomniał sobie, że przecież nie odczepił szalupy od modułu mieszkalnego!

Płycizna Cooka w miejscu, gdzie tymczasowo zacumowano „Omegę”, miała głębokość osiemdziesięciu metrów, zaś liny mocujące szalupę do modułu jedynie czterdzieści pięć metrów. Wrócił do panelu obsługi wysięgnika. W chwili kiedy wyciągał rękę w jego stronę, moduł mieszkalny zatonął poniżej czterdziestu pięciu metrów. Liny napięły się, a potem maleńka łódka w mgnieniu oka wykonała fikołka i zaczęła sunąć w stronę mrocznego dna, skazana na podwodny grób.

Mercer i Aggie kolejny raz zostali gwałtownie rzućeni, spadli na sufit szalupy obróconej do góry dnem i ciągniętej pod wodę przez tonącą część platformy. Choć łódź zaprojektowano, by nie przeciekała w nawet najgorszych warunkach na powierzchni wody, to jej kadłub z włókna szklanego nie miał szansy wytrzymać długiego zanurzenia. W ciągu kilku sekund łączenia kadłuba i nadbudówki zaczęły trzeszczeć i stukać, a spod jednego z nitów strzyknął mały strumyczek.

Na kilka sekund przed implozją kadłuba Mercer doczołgał się do panelu kontrolnego i wcisnął drugi z dwóch guzików. Sprężyny przytrzymujące liny odskoczyły. Uwolniona od ciężącego jej modułu mieszkalnego szalupa pomknęła jak rakieta na powierzchnię morza otoczona szampańską fontanną pęcherzyków powietrza. Wyskoczyła z wody jak humbak. Zaprojektowano ją tak, że szybko usiadła równo na wodzie. Dwoje ludzi w środku było ledwie żywych. Mercer resztkami sił zdjął z siebie kombinezon i mokre ubrania, po czym skulił się pod kilkoma kocami, które wypadły z szafki. Do piersi mocno przyciskał Aggie Johnston.

- Udało się nam, kochanie - wymamrotał, po czym przypomniał sobie, że ucieczka z platformy to dopiero połowa bitwy. Prawdziwe starcie dopiero ich czekało.

Zjednoczone Emiraty Arabskie

Obraz w telewizorze był ziarnisty i rwał się co kilka sekund z powodu złej pogody, na ziemię trafiał bowiem za pośrednictwem jednego z satelitów telekomunikacyjnych. Na ekranie widać było kobietę stojącą przed potężną fasadą terminalu czwartego na lotnisku Heathrow. Piękna twarz reporterki wyrażała jednocześnie żal i zapał. Jako zawodowa dziennikarka żyła dla takich chwil. Drzwi za jej plecami kłębiły się od ratowników w grubych ognioodpornych kombinezonach. Pośród nich widać było mundurowych policjantów i agentów służb specjalnych w garniturach. Wypadek, który ich tu wszystkich sprowadził, wydarzył się po drugiej stronie budynku, na ogromnej drodze dojazdowej do pasa startowego, gdzie samoloty czekały na sprawdzenie przez saperów. Raport specjalny BBC o wiele lepiej było słyszeć, niż widać w kabinie Hawkera Siddeleya, którym leciał Hasaan bin-Rufti. Do Dubaju, najbliższego międzynarodowego lotniska w okolicach Emiratu Adżmanu, mieli jeszcze tylko kwadrans.

Rufti siedział w głównej kabinie. Cielsko wylewało mu się na oparcie luksusowego fotela. Palce i usta miał usmarowane stopionym masłem kapiącym z homarów, które jadł. Kończył właśnie wysysać jasnoczerwone mięso spod szczypców dwóch ogromnych skorupiaków importowanych z Maine, kiedy informacje finansowe przerwał raport specjalny. Serwetka zwisająca mu pod szyją miała wielkość obrusa i była poplamiona na żółto masłem niczym zasikana pielucha.

Słuchając telewizora, nie przerwał popołudniowej przekąski, ale jego świńskie oczka nieco rozbłyły.

- Mówi Michaela Cooper, na żywo z Heathrow, gdzie zagrożenie terrorystyczne wzmożło się jeszcze bardziej. Dwadzieścia minut temu, kiedy lotnisko objęte było najwyższym stopniem alarmowym po wybuchu bomby w głównym holu, w stojącego na ziemi boeinga 767 linii British Airways uderzyła cysterna z paliwem, najwyraźniej prowadzona przez zamachowców samobójców. Niepotwierdzone do tej pory doniesienia mówią o zniszczeniu samolotu w tym zderzeniu. Jedno ze źródeł powiedziało mi, że zwłoki prawdziwej załogi cysterny z popodrzynanymi gardłami znaleziono w magazynie tuż przed wybuchem. Ale powtarzam, są to informacje niepotwierdzone.

Zerknęła na notatki w dłoni, a błyszczące blond włosy opadły jej na ramiona. Kiedy podniosła głowę, włosy pozostały udrapowane na silikonowych wzgórkach jej piersi.

- Samolot miał odlecieć do Rijadu w Arabii Saudyjskiej już kilka godzin temu. Jednak został zatrzymany na płycie z powodu trwającego alarmu terrorystycznego. Podobno zamach zorganizowało ugrupowanie o nazwie Zjednoczony Kurdystan. Ci sami terroryści przyznali się do ataku na British Museum wczorajszego wieczoru.

- A więc tym małpom jednak się udało - powiedział na głos Rufti, oglądając program. Kawałki homara wypadały mu z ust w kształcie wątróbek.

Detonacja bomby przez Tariqa w holu międzynarodowego terminalu na Heathrow oraz kilka dobrze zaplanowanych telefonów do biura kierownika lotniska dały Kurdom samobójcom dość czasu, by zorganizowali skuteczny atak na samolot Khalida Khuddariego. Choć Rufti szykował się do powrotu do Emiratów i konfrontacji z wielkim księciem, zdołał ułożyć błyskawicznie plan, który sprawdził się doskonale i nie ujawnił jego samego. Osobiście dzwonił dwa razy na Heathrow, a pilot zapewniał go, że sprzęt telekomunikacyjny na pokładzie hawкера jest nie do wyśledzenia.

Rufti wydał miliony dolarów na rekrutację, szkolenie i uzbrojenie kurdyjskich nacjonalistów, którzy zaatakowali Khuddariego pod British Museum. Operacja została zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach i nie mogła się nie udać. Ale oczywiście się powiodła. W końcu sam Rufti musiał improwizować i ułożyć nowy plan eliminacji swego największego rywala. Bez planowania i dosłownie w ostatniej chwili Kurdowie zdołali wykorzystać wybuch granatu podłożonego przez Tariqa, by przeniknąć na teren Heathrow, obezwładnić pracowników firmy paliwowej i wjechać ich cysterną w stojącego boeinga.

- Niewiarygodne - mruknął, powoli kręcąc otłuszczoną głową.

Zamach pod muzeum był prosty jak budowa cepa, tymczasem atak na lotnisko objęte już podwyższonym alarmem terrorystycznym wymagał naprawdę dużych umiejętności, które mieli tylko najbardziej doświadczeni zamachowcy. Wciąż nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że Kurdowie zawalili strzelaninę pod muzeum, a udał im się atak na lotnisku.

- Naprawdę niewiarygodne.

Kamera pokazała teraz ujęcie z daleka. Obiektyw o ogniskowej tysiąca milimetrów skupił się na pandemonium na płycie lotniska. Po wybuchu władze natychmiast ewakuowały resztę samolotów. Stały

samotnie na płycie z żółtymi nadmuchiwanymi schodkami zwisającymi z wyjść. Pasażerów zagoniono tymczasowo do magazynu towarowego. Przed jego zamkniętymi drzwiami stały trzy wozy Fox zwiadu bojowego z gotowymi do strzału karabinami Rarden kaliber 30 milimetrów. Z boeinga 767 British Airways została jedynie dymiąca kupa złomu na asfalcie. Ten osmalony wrak stał się stosem pogrzebowym dla stu sześćdziesięciu pasażerów i załogi. Kamera wyostrzyła obraz jeszcze bardziej, pokazując wozy strażackie spryskujące białą pianą pogięte metalowe szczątki. Strażacy w srebrnych ognioodpornych kombinezonach starali się podejść jak najbliżej do palącego się samolotu.

Michela Cooper smętnym głosem mówiła dalej, ale Rufti już jej nie słuchał. Khalid Khuddari był w tym samolocie, a teraz nie żyje. Rufti dotrzymał swojej części umowy z Irańczykami i Irakijczykami. Teraz Kerikow musi zniszczyć rurociąg alaski i rozbić tankowiec o zachodnie wybrzeże Ameryki, a za kilka dni mapy Bliskiego Wschodu trzeba będzie znów rysować od nowa. Rodzina Saudów zginie, ich kraj zajmą wspólnie Iran i Irak, Kuwejt zostanie wchłonięty przez północnego sąsiada, a on, Hasaan bin-Rufti, zostanie nowym absolutnym władcą wszystkich emiratów.

Rufti cieszył się jak dziecko. Udało mu się wrócić znad skrajnej przepaści i odnieść oszałamiające zwycięstwo, którym uwiarygodnił się w oczach partnerów. Jego negocjacje z ministrami Iranu i Iraku, ciągnące się miesiącami, ale zakończone na kilka dni przed szczytem w Londynie, zakładały od początku, że on i Kerikow jako pierwsi wykonają swoją część planu. Rufti mógł teraz usiąść wygodnie i czekać, aż Kerikow przeprowadzi swoją operację. A kiedy skończy, połączone armie dwóch najbardziej wojowniczych sąsiadów na Bliskim Wschodzie ruszą na południe, podczas gdy Stany Zjednoczone i Europa będą biernie patrzeć, jak ktoś zabiera im sprzed nosa ich drogocenną ropę.

Musiał przyznać, że Kerikow musi być geniuszem, by wymyślić taką śmiałą operację, ale po chwili przypomniał sobie, że „Przystań Charona” kiedyś była planem radzieckim i tak naprawdę wzięła się z ich zimnowojennej paranoi. To Rufti wymyślił, by do przewrotu dołączyły inne narody. Kerikow chciał jedynie sparaliżować krajowe wydobywanie ropy w Ameryce, zwiększając jej uzależnienie od państw Zatoki. Stąd też Rufti tak palił się do sfinansowania części tego planu. Ale Rufti uznał to za szansę na coś znacznie więcej. Kiedy Ameryka będzie tak spragniona ropy, może uda się w końcu oczyścić muzułmański świat z zachodnich wpływów, przegonić Stany

Zjednoczone z Arabii i wystawić Izrael na atak. Nadszedł czas, by znów odnowić arabskie imperium, które przed wiekami tak stanowczo rządziło w wielu krajach.

- Ministrze Rufti... - Z marzeń wyrwał go głos pilota. - Podchodzimy do lądowania.

Spojrzał na zegar na przedniej ścianie kabiny. Jeszcze kilka godzin i będzie po wszystkim.

Płycizna Cooka, Alaska

Kiedy lecieli na „Petromaks Omegę”, Mercerowi wydawało się, że morze jest spokojne, a obecność pływów zdradza jedynie delikatne falowanie powierzchni. Jednak w małej szalupie miotanej przez pływy o szybkości dwudziestu węzłów morze w Płyciznie było jak rozchybotana mocno huśtawka, która unosi się i opada, przyprawiając o mdłości. Załamywały się na niej góry wody spadające jak lawiny. Mała łódka trafiała w pustkę między falami, znajdowała tylko chwilę wytchnienia, by zaraz zostać bezlitośnie pchnięta w górę na kolejną falę. O szyby szalupy biła biała gęsta piana. Szalupa stanowała jaskrawożółtą kropką na czarnym pustym morzu.

Mercera obudził odgłos wymiotów, ostry charkot, który zdawał się wrywać wewnątrz. Kiedy oprzytomniał, stwierdził, że to on sam jest źródłem tego dźwięku. Gorzka wydzielina paliła mu usta i gardło, zbierała mu się wokół policzka przyciśniętego do dna rozbujałej szalupy. W kabinie było upiornie gorąco i śmierdziało jak w klatce jakiegoś zwierzęcia w zoo.

- Chryste - jęknął. - Z deszczu pod rynnę.

Tylko raz w życiu doświadczył choroby morskiej i już zapomniał, jakie to nieprzyjemne uczucie. Żołądek przypominał gniazdo wijących się węży gotowych w każdej chwili do ucieczki. Wiedział, że nie ma sensu się opierać, więc wymiotował wszystko, póki nie poczuł, jakby wnętrzności wychodziły mu na wierzch. Opróżniony żołądek, poczuł się nieco lepiej, ale wiedział, że wkrótce znowu poczuje nudności.

Zbadał Aggie leżącą obok niego na rufie łodzi, zwiniętą mocno w pozycji embrionalnej. Dotknął jej skóry i aż odetchnął z ulgą. Była ciepła, a jej cerze wrócił naturalny kolor. Ostukał jej palce, a ona westchnęła przez sen. Nie straciła czucia, więc można się nie martwić o odmrożenia. Spała głębokim snem, była wyczerpana, a nie w śpiączce, czego się obawiał.

Popatrzył na nią przez sekundę, myśląc, jaka to niezwykła kobieta. Gdyby nie ona, już by nie żyli. Ocaliły ich jej opanowanie na platformie, znajomość obsługi pomp i zdolność do pracy pod taką presją. Mercerowi ratowało życie już wielu ludzi, ale jeszcze nigdy kobieta, do której czuł... Powstrzymał falę emocji. Nie mógł sobie teraz pozwolić na kawalerskie katharsis, czekały go ważniejsze zadania. Zaczął od otulenia jej kocami.

Silnik szalupy mruczał na jałowym biegu, żaden wskaźnik nie zwiastował niczego niepokojącego, a przykręcony do tablicy rozdzielczej kompas pokazywał, że łódka kieruje się na północ, w stronę lądu. Mercer dodał gazu i szalupa zareagowała od razu, bardziej agresywnie atakując fale, mijając wiry najszybciej, jak potrafiła. Za rufą zostawiała wążutki kilwater. Szalupa była wyposażona w autopilot. Mercer zaprogramował go na dalszy rejs w stronę północnej części Płycizny. Według zegarka spędzili już w szalupie pięćdziesiąt minut. Zostało mu więc zaledwie kilka godzin, żeby skontaktować się z Andym Lindstromem z Alyeski i powstrzymać Kerikowa przed zniszczeniem rurociągu. Choć na półwyspie Kenai na południu było więcej miasteczek, Mercer postanowił płynąć w stronę lądu. Mieli do niego znacznie bliżej. Liczył, że w jednej z chat rybackich znajdzie jakieś radio albo telefon.

Szalupa płynęła we właściwym kierunku, a Mercer wyspany znów poczuł się jak człowiek, więc zaczął sprawdzać szafki, szukając w nich wszystkiego, co mogło im się przydać. Z apteczki wyjął kilka tabletek triptone'u. Lek na chorobę lokomocyjną działał najskuteczniej, kiedy zażyło się go przed wystąpieniem objawów, ale pomyślał, że nie zaszkodzi łyknąć i teraz. Odkrył parę wełnianych kombinezonów i szybko włożył jeden z nich, a potem poświęcił dodatkową minutę, by ubrać w drugi śpiącą Aggie. Nawet się nie poruszyła. Za apteczką, wciśniętą między dwie latarki, wisiała chyba najlepsza rzecz, jaką udało mu się znaleźć - pełna butelka whisky. Choć nie znalazł tej marki, dziękował niebiosom za trunek. Pociągnął długi łyk, a alkohol wpadł mu do żołądka jak roztopiona surówka z hutniczego pieca.

Spodziewał się, że za chwilę znów zwymiotuje, ale miło się zdziwił, że alkohol uspokoił mu żołądek. Przypomniawszy sobie, ile whisky wypija dziennie Harry White, i doszedł do wniosku, że coś w tym musi być.

Wytarł kocem wodę i wymiociny z podłogi, po czym okrył Aggie dodatkowymi pledami, dokładnie ją otulając. Przesunął dłonią po jej gładkim policzku. Boże, jaka ona piękna. Znów ogarnęły go emocje, z którymi sobie nie radził, ale odepchnął je i skupił się na

rzeczywistości, która go otaczała, a nie na fantazjach na temat ewentualnej wspólnej przyszłości.

Usiadł za sterami łodzi i dodał gazu do końca. Sunęli na północ, a Mercer włączył automatyczną sygnalizację ratunkową - nadajnik wysyłał powtarzalny pojedynczy sygnał na awaryjnej częstotliwości 121,5 MHz. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie wezwać pomocy przez radio, ale wiedział, że co najmniej dwie inne szalupy z „Omegi” płyną w stronę lądu. Nie chciał puścić w eter, że on i Aggie przeżyli wywrotkę platformy. Na razie byli sami przeciw armii terrorystów, całkowicie odcięci od pomocy.

Przez następne dwie godziny walczył ze sobą i z chorobą morską. Silnik Saaba na rufie pracował bez zarzutu. Dziewczyna przez całą podróż leżała nieprzytomna. Była tak wyczerpana, że nawet dzikie podskoki szalupy nie były w stanie jej obudzić. Mercer nie miał tyle szczęścia. Im dalej płynęli, tym gorzej reagował jego żołądek. Przez chwilę próbował płynąć z otwartym włazem, żeby wpuścić do zatechłej kabiny trochę świeżego powietrza, ale przez niski otwór wpadało za dużo wody.

Sił dodawała mu jedna jedyna iskierka nadziei, która nadawała sens tym wszystkim koszmarnym przeżyciom - nadziei, że uda mu się powstrzymać Iwana Kerikowa. Bez tego już dawno by się poddał. Ale kiedy żołądek skurczył mu się w konwulsjach po raz dwudziesty, kiedy opadł zlany potem i osłabiony, wiedział, że jest w stanie przetrwać wszystko, by tylko powstrzymać Rosjanina.

Świt nadchodził powoli, srebrząc niebo perłowym brzaskiem, który zwiastował nowy dzień. Przez zalewane falami okna północne wybrzeże nad Płycizną wyglądało jak szarozielony pasek wciśnięty między ciemną wodę a niebo, falujący horyzont z górami porośniętymi sosnami. Skaliste góry i bezimienne strumyki zmierzały do skraju wody, gdzie napotykały ostry napór wody z Płycizny Cooka, poruszanej wpływem faz księżyca. Okolica była bezlitosna, szorstka, zamieszkała jedynie przez najwytrwalszych.

Z nadejściem dnia morze nieco złagodniało. Wielkie fale ustąpiły delikatniejszemu kołysaniu wody, która nadal bujała szalupą, ale już jej nie zagrażała. Mercer w końcu mógł otworzyć właz i rozkoszować się mglistym powietrzem, które chłodziło skórę i oczyszczało zaczerwienione oczy. Potrzebował snu tak bardzo, że niemal zapomniał, jak to się robi. Kręgosłup zesztyniał mu jak stalowy pręt, a barki miał napięte niczym liny kotwiczne.

Zaczął płynąć wzdłuż wybrzeża, w stronę Anchorage, ale modlił się, żeby znaleźć jakąś chatę o wiele wcześniej. W pobliżu nie było

widać pozostałych szalup z „Omegi”, ale zachowywał czujność. Gdyby natknął się na którąś z nich, uzbrojony jedynie w nóż znaleziony na pokładzie szalupy, musiał się liczyć z ponownym więzieniem dla siebie i Aggie albo - co bardziej prawdopodobne - ze śmiercią.

Po lewej przesuwała się panorama anonimowego wybrzeża ze skalistymi plażami i górującymi nad nimi lasami. Po dwudziestu minutach Mercer zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił poważnej pomyłki. Może powinien popłynąć na południe, w stronę wiosek rybackich na półwyspie Kenai? Cenny czas, który zaoszczędził, płynąc na północ, gwałtownie uciekał, a on wciąż nie był w stanie znaleźć jakiejś rybackiej chaty. Wybrzeże przeszło w głęboko wciętą zatokę. Linia brzegu wchodziła głęboko w ląd. Pośrodku szerokiej zatoki do morza wpadała rzeka niosąca resztki letnich opadów. Spieniona woda spływała po kamieniach i w końcu nikała w oceanie.

Na brzegu rzeczki stała chata. Nieokorowane pnie, z których ją wzniesiono, nosiły ślady kilkudziesięciu lat działania wiatru, wody, słońca i śniegu. Parterowa chata miała z boku komin z surowego kamienia i niską werandę schodzącą w stronę wody. Wyglądała jak zwykłe górskie siedlisko bez żadnych wygód, ale Mercer uważał ją za najprzytulniejszy budynek, jaki widział w życiu.

Skierował łódź w stronę brzegu. Pokonując wiry tworzące się przy brzegu, zbliżył się do chatki i ujrzał coś, od czego serce zabiło mu żywiej. Za zagajnikiem karłowatych świerków dojrzał czerwony wodnopłat przycumowany w miejscu, gdzie rzeka wpadała do morza. Grube konopne liny trzymały go pewnie, choć wirujące fale szarpały go za pływaki w kształcie torped.

Jeśli w chacie nie ma radia, a pewnie tak jest, to na pewno znajdzie się ono w samolocie.

Skierował łódź na brzeg jakieś sześć metrów na południe od rzeki i rzucił ją mocno na zwirowatą plażę, póki pewnie nie osiadła na brzegu. Wtedy wyłączył silnik. Nogi chwiały mu się, jakby wciąż był na wodzie, ale kiedy chwilę odczekał, uczucie przeszło i odzyskał równowagę.

Wyskoczył z szalupy, buty zapadły mu się w kamienną plażę. Poranne powietrze było rześkie, pachniało sosnami i niską mgłą, która wisiała tuż nad czubkami drzew. Zazdrościł właścicielowi chatki, że ma taką samotnię z pięknym widokiem.

Mercer zajrzał przez brudne okna do wnętrza i stwierdził, że od dłuższego czasu nikogo w niej nie było. Na meblach leżała warstwa kurzu, a ze zdjęć na kamiennym parapecie przy kominku zwiślały eleganckie pajęczyny. Z tego co zdążył się zorientować, wyposażenie

chatki było bardzo proste. Kuchnia składała się z małego zlewu, do którego wodę dostarczała pompa z żelaznym kurkiem, oraz z kuchenki turystycznej. Podejrzewał, że wyposażenie łącznościowe będzie równie skromne. Cała nadzieja zatem w samolocie.

Stara cessna była w nienagannym stanie, farba błyszcząca, a kiedy otworzył tylne drzwi, zobaczył, że przedział towarowy ktoś idealnie wysprzątał. Mercer podejrzewał, że ten jednosilnikowy samolotik został tu jako zabawka rekreacyjna, a właściciel chaty korzysta z jakiegoś nowszego modelu albo dopływa tu jachtem motorowym z Anchorage. Mercer nie mógł uwierzyć, że ktoś zostawił taki samolot niezabezpieczony na zimę, ale nie miał przecież prawa osądzać tego, co robią inni.

Zanurkował do kokpitu, żeby sprawdzić radio, i usadowił się w fotelu pilota. Obrzucił wzrokiem prosty zestaw instrumentów, a potem przyjrzał im się uważniej. W miejscu, gdzie powinno znajdować się radio, w wyprofilowanym plastiku deski rozdzielczej ziała wielka dziura. Samolot nie miał łączności.

Sfrustrowany Mercer uderzył w wolant. Utknęli wraz z Aggie i muszą czekać, póki ratownicy szukający rozbitków z „Omegi” nie natkną się na tę chatę. To może potrwać wiele dni, a do tego czasu Kerikow i jego kumple z PEAL zniszczą rurociąg przez Alaskę. Mercer spędził setki godzin dowożony małymi samolotami do odległych kopalń i uważnie obserwował pilotów, przyswajał terminy, ale nigdy nie odbył żadnych lekcji latania. Obiecywał sobie to ciągle, ale nigdy nie miał na to czasu. Teraz przeklinał sam siebie za lenistwo.

Instrumenty, które miał przed sobą, wyglądały znajomo i uruchomienie samolotu nie byłoby żadnym problemem. Nie był już jednak tak pewien, jak się powinno właściwie posługiwać sterem, klapami, przepustnicą, jak wyrównać lot ani jaką mieszankę dobrać, żeby samolot poleciał. Ale przeszedł już za wiele, żeby teraz się poddać. Skoro nie zginąłem podczas ucieczki z platformy, to kradzież samolotu, sto pięćdziesiąt kilometrów lotu i lądowanie też mnie nie zabije, pomyślał lekceważąco. Kiedy tylko uświadomił sobie, na co się porywa, strach ścisnął go w dołku, poczuł paraliżujące ukłucie, które omal nie odwiodło go od tej decyzji.

Polegając na swojej fotograficznej pamięci, skupił się i odtwarzał w myślach ruchy, które obserwował już tyle razy. Ustawić się pod wiatr, przepustnica do końca, odpuścić i już jest się w powietrzu. Łatwizna. Ale jak wylądować? Piloci jakoś to robią, obniżają lot, suną gładko i nagle bach, samolot jedzie po ziemi.

Siedząc za sterami, czuł się jak nastolatek na pierwszej lekcji kursu na prawo jazdy. Wszystko wyglądało tak znajomo, a zarazem niezwykle skomplikowanie i przerażająco. O Jezu.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl i aż się uśmiechnął. Nie musi przecież wzbijać się w powietrze. Może płynąć wodnopłatem jak łodzią. Silnik Lycoming pozwoli mu ślizgać się po falach, a nie lecieć po niebie. Z tym sobie przecież jakoś poradzi.

Samozadowolenie szybko z niego wyparowało, kiedy daleko w zatoce usłyszał terkot morskiego diesla. Mgła unosząca się nad wodą utrudniała ocenę odległości, ale wyglądało na to, że coś płynie w stronę brzegu. Miał nadzieję, że zostawi Aggie w chatce przed ogniem w kominku, a sam ruszy na samobójczą misję, ale nie miał już wyboru. Szum silnika mógł oznaczać tylko jedno - że zbliżali się ludzie Kerikowa, którzy uciekli w jednej z szalup.

- Samolot linii lotniczych Mercer, lot numer 666 do piekła, za prasa na pokład - zażartował i wyskoczył z kokpitu, by pobiec na plażę, gdzie w szalupie ratunkowej zostawił Aggie.

Dziewczyna wciąż spała, kiedy podniósł ją razem z kocami. Kiedy zbierał się do wyjścia z szalupy, w oko wpadła mu jedna rzecz, którą szybko zabrał.

- Na pokładzie podamy darmowe napoje i tak dalej. - Popędził w stronę cessny, ściskając mocno butelkę whisky.

Mercer położył Aggie w otwartym przedziale bagażowym samolotu i przywiązał ją do pokładu, a następnie zdjął winylowe przykrywkę z rurek Pitota. Nie miał czasu, żeby rozplątywać cumy, więc przeciął je po prostu zabranym z szalupy nożem. Wskoczył do cessny, kiedy porwał ją wartki nurt rzeki i wypchnął na wody zatoki. Odgłos zbliżającego się silnika dochodził coraz wyraźniej, brzmiał, jakby był tuż-tuż, ale nadal ginął we mgle.

Kiedy usiadł w fotelu i zapiął pasy, dotarło do niego, jak karkołomne zadanie postawił przed sobą, zwłaszcza gdy przekreślił kluzyk, a silnik nie zaskoczył.

- No, daj spokój, mała, nie rób mi tego.

Spróbował raz jeszcze i tym razem również nic nie zaskoczyło. Wtedy przypomniał sobie, żeby przełączyć dźwignię oznaczoną jako „główny wyłącznik”. Nie wiedząc dokładnie, do czego służą iskrowniki, zostawił je w położeniu „obydwa” i spróbował jeszcze raz zapalić silnik. Zaskoczył raz, zgasł, zaskoczył ponownie, a w końcu ryknął głośno i buchnął siwym kłębem dymu.

- Świetnie - powiedział na głos.

Spojrzał na drżące wskaźniki silnika i szybko ustalił ich znaczenie.

- Temperatura oleju? Nieważne.
- Ciśnienie kolektora? Nieważne.
- Temperatura gaźnika? Nieważne.
- Wskaźnik szybkości, za wolno. - Otworzył przepustnicę i skrzywił się, kiedy jeden z cylindrów mocno strzelił, a potem znów zaskoczył.

Po chwili samolot już płynął na środek zatoki, gwałtownie nabierając prędkości. Dwa pływaki ryły głębokie ślady na wodzie. Mercer upewnił się, że mieszanka była ustawiona na pełne wzbogacanie, by silnik pracował jak największą mocą. Poeksperymentował z pedałami steru, a wodnopłat zareagował na polecenia, delikatnie się obracając. Spróbował ocenić, gdzie ostatnio słyszał silnik szalupy i wziął kurs, żeby ją ominąć - na oślep, bo we mgłę nie było nic widać.

Poczuł się pewniej i opuścił delikatnie klapy, zwiększając siłę nośną skrzydeł. Samolot wydał mu się lżejszy, a lot gładszy. Wzrosła też prędkość. Spojrzał na prędkościomierz i ze zdumieniem zobaczył, że płynie z prędkością ponad siedemdziesięciu węzłów. Pływaki ślizgały się po wodzie jak strzały, a cessa aż rwała się do lotu. Przewadził ją pewnie, ale czuł, że trudno mu zapanować nad nadmierną prędkością, więc sięgnął do dźwigni, żeby zredukować moc.

Szalupy ratunkowe z „Omegi” wyłoniły się z mgły tuż przed pędzącym wodnopłatem niczym Lewiatan z morza. Mercer miał tylko sekundę na reakcję, niewiele myśląc, pociągnął wolant do siebie i samolot odkleił się od wody, mijając zaledwie o niecałe pół metra zaokrągloną górę szalupy. Pierwszą myślą było sprowadzenie cesseny z powrotem na wodę, ale maszyna pięła się powoli do góry, a bezpieczna woda oddalała się z każdą sekundą. Ogarnęła go panika, a ręce na wolancie miał jak z ołowiu. O cholera.

Świadomie rozluźnił kurczowy uścisk na wolancie i dał samolotowi swobodę w jego naturalnym środowisku. Cessa przedzierała się przez srebrzystą mgłę. Walcząc z rosnącym strachem, Mercer próbował sobie przypomnieć szerokość Płycizny Cooka i wysokość gór po drugiej stronie. Ale kiedy samolot wzbił się na dziewięćset metrów i wzleciał prosto w słońce, Mercer zobaczył, że góry parku narodowego Kenai były za daleko i nie mogły zagrozić cessenie. Wykonał kilka uspokajających oddechów, otarł pot z czoła, ale serce wciąż waliło mu jak młotem. Wpakował siebie i Aggie w nowe tapaciki i nie miał pojęcia, jak z tego wybrnąć.

Nie poddając się panice, zaczął eksperymentować z wodnopłatem. Jeśli ma nim bezpiecznie wylądować, to musi się nauczyć, jak się lata, nim wskaźniki paliwa pokażą zero. Na szczęście w powie-

trzu panował spokój i już po kilku minutach przywykł, że cessna szybko reaguje na ruchy sterów. Po dziesięciu minutach obrał kurs na Valdez i prowadził samolot pewnie i równo. Zmniejszył moc do siedemdziesięciu procent i sunął po niebie, jakby przez całe życie nie robił nic innego.

Akurat.

Próbując nadaremnie zapomnieć o trudnym położeniu, w jakim się znalazł, zaczął myśleć o Kerikowie i o tym, jak Rosjanin zamierza zniszczyć rurociąg. Tak jak mówił Andy Lindstrom, zamrożenie ropy w rurze nie wystarczy. Jej stal jest za gruba. Ale gdyby Kerikow opanował komputery sterujące pompami, co zapewne uda mu się dzięki Tedowi Mosseyowi, będzie musiał tylko poczekać, aż większość rurociągu zamrznie, i włączyć pompy na pełną moc. Płynna ropa w niezamrożonych częściach wytworzy potężne ciśnienie, gdy napotka czopy z zamrożonego surowca. A kiedy do pracy włączy się dziesięć pomp ze stacji na całym rurociągu, nie pomoże nawet wytrzymałość rzędu pięćdziesięciu trzech atmosfer. Rura popęka w stu różnych miejscach, gdzie Kerikow umieścił zbiorniki z ciekłym azotem.

Mercer spojrział na zegarek. Jeśli nie dotrze do Valdez i nie ostrzeże Andy'ego Lindstroma przed Mosseyem, Rosjanin będzie mógł ogłosić zwycięstwo. Nie zważając na stale spadającą strzałkę wskaźnika paliwa i znajdujące się prawie na czerwonym polu strzałki na wskaźnikach silnika, Mercer otworzył przepustnicę jeszcze bardziej, zyskując dodatkowe dziesięć kilometrów na godzinę. Po kolejnych dwudziestu minutach cessna minęła wschodnie wybrzeże półwyspu Kenai i wyleciała nad wody Cieśniny Księcia Williama.

Ostrożnie skierował samolot na północ, zbliżając się do linii brzegu. Miasteczko Seward znajdowało tylko cztery minuty na południe od ich bieżącego położenia, ale skupiony Mercer nie zauważył wciśniętej między góry osady. Gdyby tam wylądował, oszczędziłby sobie kolejnych nieszczęść, jakie ich czekały.

Statek badawczy „Nadzieja”, należący do organizacji PEAL, przypominał raczej karnawałowy statek wycieczkowy, który zawiązał właśnie do jakiegoś tropikalnego raj. Członkowie załogi, wszyscy młodzi i pełni ideałów, wznosili toast za swój sukces butelkami taniego szampana. Dopiero przed godziną czy dwiema zakończyli największy w historii ruchu ekologicznego atak na przemysłowych trucielei. Wszystkie poprzednie akcje - podpalanie stacji benzynowych, manifestacje, bójki, okrzyki i malowanie sloganów sprejem -

prowadziły właśnie do tej chwili. Poszło im tak łatwo, że wielu z nich zaczęło się wydawać, że wielkie akty ekoterroryzmu są o wiele prostsze niż zwykłe protesty, w jakich do tej pory brali udział. Kilku już rozmawiało o następnej zemście na wielkim przemyśle.

Jan Voerhoven stał w otoczeniu swoich ludzi w mesie z kieliszkiem szampana w ręku. Uśmiech rozjaśnił przystojną twarz. Rozkoszował się nastrojem wokół niczym Kaligula przed osobiście wybranym senatem, czerpiąc siłę z ich podziwu. Jasność błękitnych oczu mącił mu tylko fakt, że z tego sukcesu nie cieszyła się z nim Aggie. Wiedział, co oznacza zostawienie pierścionka, który jej kupił. Była dla niego ważna, ale radosna uroczystość pomogła rozproszyć żal po stracie, którą przeżywał już coraz mniej. Kilka kobiet bez partnerów patrzyło na niego drapieźnie, bo plotki o odejściu Aggie szybko się rozeszły.

Jedna z nich - nie więcej niż dziewiętnastoletnia - spojrzała mu w oczy, a kiedy się uśmiechnął, odpowiedziała na jego spojrzenie szczerą miną pełną pożądania. Cóż, pomyślał, biorąc kolejny kieliszek szampana, jeszcze dzisiaj wieczorem będę miał nową partnerkę w łóżku.

- Ile jeszcze, Janie?! - krzyknął ktoś z tyłu zatłoczonej kajuty.

- Już niedługo! - odkrzyknął z uśmiechem. Detonator spoczywał w kieszeni jego koszuli. Cienki telefon komórkowy przylegał mu mocno do piersi.

Pod pokładem, na którym odbywało się gwarne przyjęcie, Abu Alam zdawał raport Kerikowowi. Przez ostatnie trzy godziny siedział w maszynowni „Nadziei”, przymocowując ładunki plastiku do przewodów paliwowych, zbiorników ropy i innych strategicznych miejsc. Kiedy zostaną zdetonowane, ze statku nie zostanie nic poza pokręconą stępką. Ubranie miał brudne, a ciemną cerę pokrywały brud i plamy smaru przemieszane z potem. Ręce miał tak brudne, że wyglądały jak w rękawiczkach. Siedzieli sami w przestronnej kajucie Jana Voerhovena. Alam zostawił brudne ślady na grubym dywanie.

Raport składał bez emocji, podając miejsca, gdzie podłożył ładunki, i informując, że musiał zabić trzech inżynierów, którzy podeszli do niego za blisko. Patrzył twardym i beznamiętnym wzrokiem. Ojciec Bólu z trudem skrywał swoje podniecenie, próbując zachować obojętność pod krytycznym wzrokiem Kerikowa.

Czy on wie? - zastanawiał się Alam.

To naturalne, że Kerikow mógłby podejrzewać Alama o zdradę - w końcu cały ich świat został oparty na kłamstwie - ale nie

wiedział, czy Rosjanin orientuje się, że nastąpi to tak szybko. Już za kilka godzin, nie dni.

Alam jeszcze nie przemyślał dokładnie, kiedy to zrobić, bo nie potrafił bawić się w takie drobiazgi. Był żołnierzem, nie oficerem, i z całą pewnością nie był strategiem. Hasaan Rufti powiedział wyraźnie, że rurociąg należy zniszczyć i nie może pozostać żaden ślad łączący to wydarzenie z samym ministrem. Eliminacji PEAL pragnęli zarówno Rufti, jak i Kerikow. Żaden z nich nie chciał, żeby banda młodych idealistów chwaliła się potem swoimi dokonaniem. Ale zabicie Rosjanina miało być o wiele trudniejsze. Alam musiał mieć pewność, że Kerikow zdetonuje zbiorniki z azotem i włączy ukryty program komputerowy, który uruchomi pompy w stacjach. Dopiero wtedy będzie mógł go zabić szybkim pchnięciem noża albo serią ze SPAS-12. Najlepiej byłoby, gdyby Kerikow zginął na statku w eksplozji podłożonych przez Alama ładunków, ale Arab nie wiedział, jak to zgrać w czasie.

Zaufaj Allanowi, przypomniał sobie. Jego Prorok cię poprowadzi.

- Bardzo dobrze. - Kerikow przerwał mu nietrudne do rozszyfrowania myśli, bo zdradę Arab miał wypisaną na twarzy. - Już prawie czas. Załoga pewnie się popiła. Kiedy zdetonujemy zbiorniki z azotem, pewnie nawet nie zauważą, jak odpłyniemy ze statku. Wtedy będziemy mogli zniszczyć „Nadzieję”. Sprowadź Voerhove-na na mostek. Chcę zobaczyć jego minę, kiedy uświadomi sobie, co zrobił swojej ukochanej przyrodzie.

Cessna stanowiła jasną plamkę nad szarymi wodami Cieśniny Księcia Williama. Samolot leciał tak wysoko, że ryku silnika nie było słychać na promie płynącym na wschód z Seward do Valdez. Mercer miał nadzieję, że prom płynie właśnie tam i skorygował kurs nieco na północ, w górę zatoki Valdez.

Wszystko szło idealnie - przynajmniej na razie. Czuł się swobodnie w fotelu pilota, nogami i rękami lekko, ale pewnie sterował kursem samolotu. Do przerażającej perspektywy lądowania miał jeszcze kilka minut. Teraz najbardziej niepokoił go nieuchronny ruch drugiej wskazówki zegarka, która zmierzała do celu. Nie był w stanie jej zatrzymać ani nawet spowolnić. Samolot leciał już na maksymalnej mocy. Żeby dotrzeć na „Nadzieję”, zostało im tak mało czasu, że było to prawie niemożliwe.

Potężny alaski łąd rozciągał się przed dziobem samolotu. W porannym świetle zdradzał tylko odrobinę swego piękna: potężnych gór, lodowatych strumieni i rozległych lasów. Jeśli mu się nie powiedzie,

Alaska stanie się miejscem jednej wielkiej katastrofy. Wiedział, że natura jest niezłomna, że potrafi zabliznić rany wyrządzone jej przez człowieka i choć z punktu widzenia ludzi trwało to bardzo wolno, ona zawsze jakoś dawała sobie radę. Ale po czymś takim, co próbował zrobić Kerikow, owo zabliznianie potrwa całe pokolenia. Alaska będzie zniszczona nadal w XXII wieku.

Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że kiedy popchnął przesuniętą, zdawało się, do końca dźwignię przepustnicy, silnik zaryczał jeszcze odrobinę mocniej. Obejrzał się i stwierdził, że Aggie wciąż śpi w przedziale towarowym.

Gdyby jeszcze miał pewność, że lecą we właściwym kierunku. Choć w samolocie były jakieś mapy, Mercer nie znał zbyt dobrze okolicy ani nie był obeznany z technikami nawigacyjnymi na tyle, by z nich skorzystać. Leżały złożone w winylowej kopercie na podłodze pod siedzeniem drugiego pilota.

- Bóg moim pilotem, a nadzieja nawigatorem - mruknął przez zaciśnięte usta.

Daleko przed sobą zobaczył długą, wąską wyspę leżącą kilka kilometrów od północnego wybrzeża cieśniny. Obserwował ją przez chwilę, a w końcu sięgnął po mapy. Może jednak mu się na coś przydadzą. Wyspa była tak symetryczna, że znaleźć ją na mapie nie powinno być trudno. Kiedy wyprostował się z powrotem, zobaczył za wyspą długą linię spienionej wody i zrozumiał, że to nie wyspa, tylko supertankowiec płynący na południe z Valdez. Nawet z dziewięciuset metrów wielkość statku robiła wrażenie. Rozejrzał się po cennie wielkości muchy i aż trudno mu było uwierzyć, że i jedno, i drugie jest dziełem ludzkiego umysłu, bo tankowiec z pewnością miał wymiar boski.

Podziwiając statek, uświadomił sobie, że dzięki niemu nie popełnił katastrofalnego błędu. Mercer kierował się za bardzo na wschód i przeleciałby obok wejścia do Valdez, nawet tego nie zauważywszy. Szybko poprawił kurs, lecąc śladem kilwatu potężnego tankowca. Spojrzał znów na zegarek. Za mało czasu, ale trzeba próbować.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakich instruktor uczy na kursie pilotażu, jest to, że wychylenie klap trzeba skoordynować z mocą silnika, aby nie stanąć w powietrzu albo nie zacząć nurkować. Zwykle po wyjaśnieniach słownych instruktor demonstruje tę podstawową regułę, pochylając samolot w pełnym pędzie. Kursanci są przerażeni na śmierć, kiedy samolot nurkuje jak bombowiec, i często kończy się to utratą dopiero co zjedzonego obiadu.

Mercer nigdy nie był na kursie pilotażu. Przepustnicę miał otwartą do końca, kiedy odepchnął wolant od piersi. Cessna zareagowała

jak zluzowany koń i wymknęła się spod kontroli. Okno wypełnił mu widok na wody Cieśniny Księcia Williama, którą z każdą sekundą widać było wyraźniej. Silnik wył, a samolot zaczął drżeć, bo skrzydła osiągnęły i przekroczyły swój punkt tolerancji strukturalnej. Lecieli prosto w dół z prędkością dwustu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Żołądek i tak już obolały po podróży szalupą wykonał prawdziwe salto, a kwasy cofnęły mu się aż do ust, tak że zaczął dusić się od ich ohydneho smaku. Mercer zdał sobie sprawę, że popełnił ogromny błąd, i szarpnął z powrotem za wolant, ale ciśnienie powietrza na powierzchniach nośnych było zbyt duże, by z nim walczyć. Mimo ogromnego wysiłku zdołał tylko napiąć linki manewrowe między wolantem a klapami. Wolant przestał w ogóle reagować. Samolot leciał w dół, a pilot, choćby nie wiem jak się wyęczał, nie był w stanie go powstrzymać. Wysokościomierz cofał się jak szalony. Tracili wysokość szybciej, niż sterowana ciśnieniem wskazówka była w stanie pokazać.

Do głowy mu nie przyszło, żeby dotknąć dźwigni przepustnicy, póki nie sięgnęła do niej elegancka damska dłoń. Kiedy zdjęła gaz, silnik natychmiast się uspokoił. Bez słowa Aggie Johnston usiadła w fotelu drugiego pilota i zaczęła mocować się z siłą ciągnącą samolot mocno w dół. Wspólnie z Mercerem i dzięki pomocy coraz wolniejszego silnika zdołała wyciągnąć maszynę z lotu nurkowego. Najpierw powoli, a kiedy skrzydła dostały już ciągu, coraz szybciej i bardziej gładko. Skrzydła przestały dygotać jak szalone, a cessa wyrównała lot zaledwie dwadzieścia pięć metrów nad wzburzoną wodą.

- O ile dobrze zapamiętałam, jeszcze chwila i mieliśmy utonąć, a tu o mało co się nie rozbiliśmy - powiedziała tak cicho, że Mercerowi trudno było uwierzyć w jej spokój. - Nie możesz się zdecydować, jak chcesz zginąć?

- Oczywiście, że mogę - odparł równie nonszalanckim tonem, czując ulgę, że Aggie potrafi latać. - Wyobrażam sobie, że zginę od rykoszetu, kiedy urodzę kamień nerkowy. A ty?

- Powiem tak: nie chcę zginąć przez twój kolejny idiotyczny pomysł. - Aggie zapanowała nad samolotem i stopniowo zyskiwała wysokość, trzymając się kursu wyznaczonego przez Mercera. - Widać wyraźnie, że nie masz pojęcia o lataniu, więc może wytłumaczysz mi, co się dzieje?

- Uciekliśmy z „Petromaksu Omegi” jakieś dziesięć sekund przed jej wywrotką. - Spojrzała na niego ostro. - Wiem, co sobie myślisz... rozlane paliwo spłonęło w pożarze, który mógłby zainspirować Dantego. Jakies dwie godziny później dotarliśmy do brzegu,

a tam znalazłem ten samolot i postanowiłem, że lepiej go ukraść, niż wpaść znów w łapska ludzi Kerikowa. Nie miałem zamiaru wzbijać się w górę, ale wiesz, jak to jest. Wprawdzie to ja wymyśliłem początek naszej ucieczki, ale nie mam nic przeciwko temu, żeby finał należał do ciebie. Wiesz, jak tym wylądować, prawda?

- Wylatałam dwieście pięćdziesiąt siedem godzin. Gdzie mamy najbliższe lądowisko?

- Och... - Mercer uśmiechnął się uroczo, by ukryć trwogę. - Ale to jest wodnopłat i mamy jakieś osiem kilometrów do „Nadziei”. Potrafisz lądować wodnopłatem, prawda?

- O cholera. - Twarz Aggie odzyskała kolory, ale teraz znów pobladła. Zacisnęła dłonie na miękkim wolancie cessny, w której siedziała pierwszy raz w życiu. - Nigdy jeszcze nie leciałam wodnopłatem.

- Ależ oczywiście, że tak - zadrwił Mercer. - Jesteśmy w powietrzu już od dłuższego czasu.

Nie zważał na kwaśne spojrzenie, które mu posłała, i mówił dalej już całkiem serio:

- Poza tym nie mamy czasu, żeby rozważać różnice między wodnopłatem a zwykłym samolotem. Na razie uznaj, że to tylko różnica semantyczna, bo tam widać już „Nadzieję”.

Statek ekologów wyglądał z góry jak żółta zabawka. Stał na kowcy pośrodku zatoki Valdez, w równej odległości od miasta i rozległego terminalu morskiego Alyeska. Góry u wejścia do cieśniny stanowiły ponure tło pokryte czapami śniegu. Valdez jawiło się jako rozmyta szara plama po lewej, otoczona pajęczą siecią nabrzeży i pomostów. Zmęczone łodzie rybackie i jachty wyglądały jak modelki po pracy.

- Aggie, musisz wylądować. Na tym statku jest Kerikow i tylko my dwoje możemy go powstrzymać - odezwał się ostro Mercer. - Nigdy w życiu się nie poddawałem i wiem, że ty też nie. Jeśli zależy ci na środowisku, jeśli zależy ci na naprawę, to nie myśl o lądowaniu, tylko zrób to.

Mercer zastanawiał się, czy nie kazać Aggie, by wylądowała obok terminalu Alyeska, ale raczej nie mieli na to czasu. Przelot na drugą stronę cieśniny potrwałby kilka minut, jeszcze dłużej biegłoby do centrum operacyjnego, by porozmawiać z Andym Lindstromem. A nawet wtedy nie mieli gwarancji, że potrafią powstrzymać Kerikowa przed uruchomieniem pomp i zniszczeniem rurociągu. Jediną możliwością było powstrzymanie Rosjanina przed detonacją samego ciekłego azotu.

Aggie milczała, nie miała czasu nawet spojrzeć na niego. Choć prowadziła nieznaną samolot i musiała lecieć na prawym fotelu, radziła sobie szybko i pewnie. Jeszcze bardziej zmniejszyła moc silnika, podniosła klapy na skrzydłach o dziesięć stopni i uniosła nieco dziób. Cessna radośnie słuchała jej poleceń, jakby wiedziała, że poprzedni pilot wykazał się całkowitym brakiem kompetencji, a teraz za sterami usiadł prawdziwy zawodowiec.

Aggie zbliżała się do lądowania. Leciała tak nisko nad wodą, że musiała wręcz ominąć kuter rybacki płynący w morze. Nie znając warunków pogodowych, ciśnienia, kierunku wiatru ani żadnych innych informacji, które pomagają pilotom szczęśliwie lądować, musiała zdać się na własne wyszkolenie. Wysokościomierz podawał, że mają jeszcze dwanaście metrów do powierzchni wody, ale wiedziała, że są nie wyżej niż sześć metrów. Zdała sobie sprawę, że Mercer nie ustawił wysokościomierza przed startem. Cessna była znacznie większa niż samolocik, którym latała poprzednio. Dwa pływaki pod kadłubem stawiały opór, kiedy zbliżała samolot do wody. Przebiebrała dłońmi i stopami po instrumentach niczym solistka w czasie koncertu fortepianowego.

Podniosła klapy jeszcze bardziej i ustawiła nos jeszcze wyżej, ale zrozumiała, że są za blisko „Nadziei”, żeby wylądować i dotrzeć się do niej, a raczej dopłynąć. Statek znajdował się zaledwie sto metrów od niej, a pływaki cessny wciąż dzieliły od wody jakieś trzy metry. Powinna była poderwać maszynę i wykonać kolejne podejście, ale schodziła dalej z ponurą miną. Wściekłość na Jana sprawiała, że zachowywała się lekkomyślnie.

Nieco ponad metr nad wodą, niesiona siłą nośną szerokich skrzydeł, cessna była wrażliwa na zmienny wiatr, który obrócił ją mocno w lewo. Aggie wcisnęła prawy pedał, by wyrównać lot i opuszczała samolot najlepiej jak potrafiła. Pływaki przecięły grzbiet fali, przeleciały nad doliną, po czym wbiły się w kolejne ponadpółmetrowe fale.

Wodnopłatomal się nie przewrócił, jakby ktoś go zrzucił z nieba. Śmigło znalazło się niebezpiecznie blisko zarycia w wodę. Cessna przebiła się przez kolejną falę i zwalniała coraz bardziej. Krople wody przyskały na szybę. Wylądowali. Aggie się udało. Odetchnęła głęboko, kiedy maszyna usiadła na wodzie niczym wielka patykowata wałka.

- Latające świnię mogą się schować. Jestem pilotem - mruknęła Aggie.

Mercer domyślił się, że to jakieś rytualne powiedzenie.

- Owszem, jesteście. A teraz dalej! - odezwał się bliski przedaw kowania adrenaliny. Przesunął dźwignię przepustnicy z powrotem,

nim silnik zdążył wydać ostatnie tchnienie. Motor zaryczał pełną mocą i samolot zaczął sunąć po wodzie. Do „Nadziei”, błyszczącej w świetle późnego świtu, mieli dwadzieścia metrów.

- Podpłyn obok - poleciał. - Jeśli zdołasz, to bliżej rufy. Mam pomysł.

Aggie nie zdążyła ochłonąć jeszcze z szoku po ucieczce z „Omegi”, nie mówiąc o samobójczym locie nurkowym Mercera ani własnym lądowaniu, które omal nie zakończyło się katastrofą. Była zbyt zmęczona, żeby się z nim klócić, nie miała energii na nic, mogła tylko wykonywać polecenia. Poprowadziła samolot w stronę „Nadziei”, pracując stopami na pedałach, by korygować kurs zmieniany przez fale bijące o pływaki samolotu.

Odległość od „Nadziei” szybko się zmniejszała, za szybko. Żółty kadłub wyrósł i zaczął górować nad kokpitem cessny, nim Aggie zdała sobie sprawę, że są tak blisko niego. Za wszelką cenę próbowała uniknąć zderzenia, ale właśnie w tej chwili wysoka fala pchnęła samolot na statek i cienkie aluminiowe poszycie oraz szkielet lewego skrzydła zostały zmiażdżone w zetknięciu ze wzmocnioną stalą kadłuba statku.

- Cholera jasna - zaklęła z powodu własnego błędu, ale nikt tego nie słyszał.

Mercer stał przy tylnych drzwiach przedziału bagażowego i mocował się z nimi. Otworzył je, wpuszczając podmuch lodowatego powietrza, które wymiotło z cessny odór strachu. Główny pokład „Nadziei” mieli cztery i pół metra nad głowami i nie mieli się tam jak dostać. Mercer skoczył na jeden z pływaków i chwiejąc się, poszedł na przód, gdzie chwycił się biegnącego pod kątem wspornika prawego skrzydła. Pływak był śliski, więc Mercer musiał wdrapać się na skrzydło za pomocą rąk i barków. Stare rany rozdzierał nowy ból.

Dysząc i wyciągając się, zdołał w końcu wdrapać się na nieuszkodzone skrzydło, a potem stanął na tej chybotliwej platformie. Pęd powietrza ze śmigła szarpał go za włosy i ubranie niczym huragan. Dynamika pływów i fal utrzymywała cessnę przy burcie „Nadziei”. Samolot zgrzytał o kadłub statku z każdą falą. Mimo że na skrzydle Mercer stał już wyżej, i tak miał za daleko, by podskoczyć i sięgnąć stalowego relingu wokół pokładu.

Mercer udał się na sam koniec skrzydła. Pod jego ciężarem ta strona samolotu zagłębiła się mocniej w wodzie. Potem pobiegł na drugą stronę, zatrzymując się tuż przed końcówką skrzydła zmiażdżonego podczas nieudanej próby podejścia do statku. Powtarzał

te ruchy, powoli uzyskując stabilne kołysanie. Każdy cykl zbliżał zniszczone skrzydło coraz bardziej do pokładu. Kiedy doszedł do wniosku, że samolot bardziej się już nie rozkołysze, popędził na zniszczoną końcówkę skrzydła i odbił się od niego, a zmiażdżony fragment aż ugiął się pod jego ciężarem.

Skok nieco mu nie wyszedł z powodu tego ugięcia i musiał łąpać się czegokolwiek. Udało mu się chwycić łuszczącego się wylotu kanału ściekowego. Wyprofilowana stal nie dawała praktycznie żadnego oparcia. Stopami próbował się zaprzeć o gładki jak szkło kadłub. Wisząc w powietrzu, Mercer modlił się, żeby Kerikow nie rozstawił na pokładzie żadnej straży. Lądowanie i rozbicie się cesseny były subtelne jak solidny kopniak w tyłek i można się było spodziewać, że ktoś wyjdzie na pokład, żeby sprawdzić, co się dzieje. Jeśli ktoś zauważy Mercera przyczepionego do kadłuba jak jakiegoś niechcianego małża, na pewno zmiecie go łatwym strzałem w sam środek czaszki.

Mercer podciągnął się, szukając podparcia dla stóp. Ostre krawędzie wylotu rozdzierały mu skórę na dłoniach. Pocięła z nich nowa struga krwi. Nie zważał na nią i wciągnął się na pusty pokład, desperacko przekładając nogi pod relingiem.

- Aggie! - krzyknął w dół do samolotu. Ryk silnika i szum wciąż kręcącego się śmigła prawie całkiem go zagłuszały.

Sekundę później śmigło zatrzymało się i silnik ucichł. Słychać było jedynie bicie wody o kadłub statku. I nagle w tej ciszy Mercer usłyszał śmiech dobiegający z nadbudówki.

- Aggie! - zawołał znów, aż w końcu pojawiła się w otwar tych drzwiach do części bagażowej cesseny. Zauważył, że jest blada, choć krótkie włosy zakryły jej połowę twarzy. W dziwnym świetle poranka zielone oczy zdawały się świecić. - Jesteś mi tu potrzebna. Inaczej nic z tego.

Mercer chciał ją wysłać na brzeg, żeby ostrzegła Lindstroma, ale potrzebował jej na statku. Jako że prowadził nalot Straży Wybrzeża na „Nadzieję”, był pewien, że każdy członek załogi od razu go zatrzyma. Ale z Aggie u boku wzbudzi mniej podejrzeń i będzie mógł swobodnie poszukać Kerikowa.

- Nie doskoczę. - Aggie stała na pływaku.

- Zaczekaj. - Mercer zniknął jej z oczu i pobiegł na rufę statku, gdzie z relingu zwisało pomarańczowe koło ratunkowe przymocowane do statku sześćdziesięcioma metrami nylonowej linki. Biegiem wrócił do burty statku, patrząc w stronę dziobu. Na szczęście nikt nie zainteresował się cesseną. - Łap. Wciągnę cię. - Przerzucił

koło przez burzę. Wylądowało w wąskim pasku ciemnej wody między statkiem a samolotem. Linka dyndała tuż przed twarzą Aggie. Bez wahania, bo przestała już cokolwiek kwestionować, Aggie owinęła się linką kilka razy wokół pasa. Szła po burcie „Nadziei” wciągana przez Mercera. Na górze, przytrzymując linkę jedną ręką, Mercer wychylił się przez burzę, chwycił ją za luźny kombinezon w pasie i wciągnął przez reling. Upadła tuż u jego stóp, klnąc go za to, że zaczepiła piersiami o reling.

- No dobra, i co teraz? - wydyszała, spoglądając na niego krytycznie.

- Znajdziemy Kerikowa i go zabijemy - odparł Mercer, patrząc twardo. - Kiedy ludzie z załogi zobaczą nas razem, masz pójść do radiostacji, skontaktować się z terminalem morskim i powiedzieć kierownikowi, nazywa się Lindstrom, żeby zatrzymał komputerowca. Komputerowiec ma na nazwisko Mossey. Powiedz Lindstromowi, że to Mossey unieruchomił komputery i wgrał nowy system operacyjny, który jest połączony z zapalnikami przy zbiornikach z azotem.

Widział, że Aggie nie ma najmniejszego pojęcia, o czym mówi. Nie było czasu na wyjaśnienia, więc zmienił plany.

- Do diabła z tym. Trzymaj się mnie i dopilnuj, żeby żaden z twoich kumpli nie wziął mnie za wroga.

Pobiegli do kajut. Otworzyli ciężkie drzwi i puścili się pędem pustym korytarzem. W porównaniu z chłodem na pokładzie, w środku poczuli się jak w saunie. Większość mijanych kajut miała pootwierane drzwi i było w nich pusto. Odgłosy imprezy narastały w miarę, jak się do niej zbliżali.

- Miejmy nadzieję, że nie jest za późno - powiedział Mercer ponuro. Zacisnął pięści, mijając z Aggie kilka włazów do kolejnych kajut.

Kiedy wpadli go głównej mesy, Mercer i Aggie stanęli jak wryci, widząc ogromny tłum. Świętowanie trwało w najlepsze, a zmiana nastroju po koszmarnych przejściach ostatnich godzin zaskoczyła ich całkowicie. Kiedy ekolodzy rozpoznali Aggie, podniósł się krzyk. Niektórzy krzyczeli z zadowolenia, inni z zaskoczenia.

Prawie nie zauważyli Mercera, zdecydowanie nie kojarząc go z człowiekiem, który aresztował kilku ich towarzyszy w czasie nalotu FBI. W mgnieniu oka działacze PEAL otoczyli jego i Aggie, przepychali się, by być jak najbliżej i zarzucili ich kieliszkami szampana. Mercer poczuł się tak nie na miejscu, jakby właśnie wpadł na własny pogrzeb.

- Już się zaczęło?! - przekrzykiwał rozemocjonowany tłum i jakiś głos odpowiedział mu, że jeszcze ze dwie minuty. Przygotowali się do finałowego odliczania.

Aggie spojrzała z obawą na Mercera. Zrobiła wielkie oczy. Było jasne, że nikt nie zdawał sobie sprawy z pełnych skutków tego, co miało się za chwilę stać.

- Gdzie Jan? - zapytała jakiegoś ekologa stojącego obok w masie innych pijanych imprezowiczów.

- Chyba na mostku - usłyszała w odpowiedzi. Mercer przedzierał się już przez tłum, odpychając każdego, kto stanął mu na drodze do drzwi.

Iwan Kerikow stał przed oknami mostka, kiedy odnalazł go Jan Voerhoven. Ręce założył na plecy, wypiął pierś i podbródek w stronę dzikiego ładu za grubym pancernym szkłem. Sztywne włosy błyszczały srebrzyście w porannym brzasku niczym futro srebrnego lisa. Różniło ich niecałe piętnaście lat, ale w obecności Rosjanina Jan czuł się jak sztabak. Stał przez kilka sekund w milczeniu, obawiając się zakłócić odpoczynek Kerikowa.

- Nadszedł czas, żebyś podłożył iskrę, która rozpocznie trzecią wielką rewolucję współczesnych czasów. - Kerikow wpatrywał się zniewalającym wzrokiem w Voerhovena.

Jan pomyślał, że takie oczy musiał mieć Rasputin. Nie chodziło o kolor, ale o intensywność spojrzenia.

- Trzecią?

- Oczywiście. Pierwsza była rosyjska rewolucja z 1917 roku, potem rewolucja faszystowska, która przyniosła Hitlera, Tita i Musoliniego, a teraz zielona rewolucja - odparł Kerikow, podając odpowiedź, która miała uspokoić rozemocjonowanego ekologa. Kerikow wiedział jednak, że trzecia rewolucja to zjednoczenie Bliskiego Wschodu pod wspólnym panowaniem Iraku i Iranu. - Masz detonator.

- Tutaj. - Jan wyciągnął telefon z kieszeni koszuli i otworzył go. Wszystko wokół wydawało się takie nierealne. Nagle poczuł, że pogrąża się w czymś, w czym nie chciał już brać udziału. Ale nie mógł się powstrzymać. Kerikow skinął głową, by zaczął, a on, jakby Rosjanin panował nad jego palcami, zaczął wstukiwać numer.

Mercer, kucając przy wejściu na mostek, usłyszał tylko, że Voerhoven ma detonator. Nie widział Rosjanina i nie miał czasu na określenie pozycji Kerikowa. Jan stał jednak tuż przed nim, w pobliżu centralnej konsoli. Mercer rzucił się ze swojej kryjówki, zmniejszając dystans do Voerhovena. Uderzył w Holendra z siłą kuli armatniej.

Obaj wpadli na konsolę, telefon wypadł Voerhovenowi z dłoni, kiedy uderzył o pokład. Żebra popękały mu pod ciężarem przygniatającego go Mercera. Wystarczyły dwa mocne ciosy, żeby ekolog stracił przytomność, ale to wystarczyło Kerikowowi, żeby sięgnąć do kabury po broń. Mercer zerwał się na równe nogi, obrócił się i zobaczył wymierzony w siebie pistolet.

Po wodzie zatoki Valdez niósł się odgłos syren, które krzyczały niczym ofiara gwałtu na opuszczonym parkingu. Krzyk był przenikliwy, ale było za późno, by zapobiec nieuchronnym wydarzeniom.

Coś działo się w terminalu morskim Alyeska.

Obaj mężczyźni wyrzeli przez szybę w stronę rozległego portu, jakby chcieli zobaczyć dowody koszmarnych zniszczeń zachodzących na trasie rurociągu o długości tysiąca trzystu kilometrów. Mercer spojrział na Kerikowa, a w jego szarych oczach płonęła niepohamowana nienawiść.

- Za późno, doktorze Mercer. - Kerikow odsłonił żółte zęby, siląc się na coś, co można było uznać za uśmiech. - Poprzednio wyprzedziłeś mnie o kilka godzin. Tym razem ja byłem szybszy za ledwie o kilka sekund.

- Zabiję cię, ty chory sukinsynu. - Mówiąc to, Mercer przesunął wzrok na prawo od Kerikowa.

- Obawiam się, że nie. - Kerikow obrócił się za wzrokiem Mercera, a kiedy to zrobił, Aggie Johnston wypadła z drzwi prowadzących na latający mostek po jego lewej. Kerikow nawet nie zobaczył gaśnicy, którą go ogłuszyła. Padł na pokład, a z otwartej rany w czaszce zaczęła się lać krew.

- Dzięki, że wcieliłaś w czyn moje pogroźki - powiedział Mercer, odbierając broń Kerikowowi i mierząc z niej w Rosjanina. Wiedział, że choć Kerikow leży, jęcząc, na pokładzie, wciąż jest groźny. Uderzenie Aggie nie wystarczyło nawet, żeby stracił przytomność. Już się poruszał i zaczynał otrząsać.

- Co to za dźwięk?! - zapytała Aggie, przekrzykując syreny dochodzące z drugiej strony zatoki.

- Za późno. Voerhoven odpalił zbiorniki z azotem.

Krzycząc jak szalona, Aggie przebiegła przez mostek do miejsca, gdzie leżał jej były kochanek. Zaczęła go kopać, wykrzykiwać jego imię i kłać, coraz bardziej się nakręcając. Twarz jej poczerwieniła, a oczy zaszyły łzami. Nikt nie był w stanie skrzywdzić jej bardziej niż Voerhoven, wyrządzając taką szkodę Alasce. Czuła ból tej ziemi, jakby to jej ciało pokrywało się toksyczną substancją.

- Aggie, przestań! - krzyknął Mercer i chwycił ją za ramiona, ale ona nadal kopała Voerhovena. - Muszę się skontaktować z terminalem. Może uda się jakoś ograniczyć straty. Aggie! Posłuchaj mnie!

W końcu przestała i spojrzała na niego dziwnie uspokojona.

- Gdzie są radiostacje?! - Mercer wciąż krzyczał, bo nerwy miał napięte jak postronki. Komórka Voerhovena leżała u jego stóp rozbita na kawałki.

- Zniszczone. Kiedy tu szłam, widziałam, jak ten Arab je rozbijał. Ukradł jedną łódź i właśnie odpływa od statku. Uznałam, że powinnam raczej iść na mostek, niż próbować go zatrzymać.

Zapomniany na chwilę Kerikow skoczył nagle niczym łapka na myszy. Mercer dojrzał jego ruch kątem oka i krzyknął do Rosjanina, żeby się nie ruszał, ale ten już zdążył wypaść przez boczne drzwi mostka. Mercer strzelił, kula trafiła Kerikowa wysoko w lewy bark. Zatoczył się i biegł nieco wolniej, ale nie przerwał ucieczki do wolności. Już stał na wąskim latającym mostku, poły jego płaszcz powiewały na wietrze. Ręką ścisnął ranę w barku, by powstrzymać krwawienie.

Mercer nie miał czasu na drugi strzał. Kerikow dotarł do końca mostka i rzucił się z niego, spadając dziewięć metrów w dół do lodowatej wody. Mercer ruszył błyskawicznie, żeby strzelić do Rosjanina, kiedy wypłynie na powierzchnię, ale zatrzymał się, obrócił i chwycił Aggie za rękę.

- Nic nie mów. Biegnij - ponagliła go.

Popędzili w stronę rufy statku, a strach ogarnął Mercera jak nigdy dotąd. Skoro Kerikow uciekł w ten sposób, to musiał być przekonany, że kula w plecy i skok do lodowatej wody dają mu większe szanse przeżycia niż pozostanie na pokładzie „Nadziei”. Zerwał się do biegu w chwili, kiedy usłyszał, jak Aggie mówi, że Abu Alama nie ma już na statku. Mercer przypomniał sobie, że obaj podłożyli na statku ładunki wybuchowe, i podejrzewał, że chory psychicznie Arab musi mieć własny detonator.

Wpadli do mesy, gdzie przyjęcie rozkręciło się jeszcze bardziej. Z zestawu stereo dudniła jakaś europejska kapela rockowa i większość ludzi wyginała się zapamiętale w tańcu. Mercer wymierzył szybko nad głowami tłumu i strzelił raz, a potem drugi.

Muzyka nagle ucichła, bo głośniki zmieniły się w deszcz czarnych kawałków plastiku i kabelków.

- Uciekajcie ze statku! Zaraz wybuchnie! - Kiedy Mercer dał im ostrzeżenie, na które jego zdaniem nie zasłużyli, znów chwycił Aggie za rękę i popędzili na pokład rufowy, gdzie cessa wciąż stała przytulona mocno do burty „Nadziei” przez fale przyływu.

Zeskoczył na samolot, a skrzydło ugięło się pod jego ciężarem, choć zamortyzował skok, uginając kolana. Obrócił się i spojrzął na Aggie przy relingu.

- Skacz!

Sądził, że będzie się wahać, ale posłuchała go od razu. Rzuciła się przez reling, zanim zdołał się właściwie przygotować. Upadła w jego ramiona z taką siłą, że oboje omal nie spadli do wody. Z wysiłkiem Mercer utrzymał Aggie, której stopy chwiały się na skraju skrzydła.

- Dosięgniesz do pływaka? - zapytał, opuszczając ją delikatnie.

- Prawie... Chwilę... Już stoję.

Puścił ją, a kiedy pochylił się, żeby pójść w jej ślady, Aggie już wskoczyła do kabiny i przygotowywała się, żeby uciec jak najdalej od „Nadziei”. Kiedy zeskoczył na pływak, silnik właśnie zapalił, a pęd śmigła omal nie zdmuchnął go z szerokiego na dwadzieścia centymetrów pływaka. Z trudem szedł pod wiatr, aż w końcu dotarł do kabiny.

- Leć. Leć. Leć, do cholery, leć! - krzyczał.

Aggie nawet nie zwracała sobie głowy pasami bezpieczeństwa, bo uszkodzone skrzydło i tak nie pozwalało cennie polecieć. Usiadła na skraju fotela, niczym dziecko kierujące po raz pierwszy samochodem. Oczy miała otwarte szeroko ze strachu. Miała dość przytomności, by odepchnąć wolant do przodu, aby zredukować jakąkolwiek siłę nośną skrzydeł samolotu oddalającego się po powierzchni wody od skazanego na zagładę statku. Po chwili Mercer siedział już w fotelu drugiego pilota.

- Ci ludzie... - powiedziała o członkach PEAL, którzy zostali na pokładzie „Nadziei”.

- Podpisali cyrograf śmierci, kiedy sprzymierzili się z Kerikowem - dokończył Mercer. - Daliśmy im szansę, której nigdy nie mieli dostać.

- Dokąd płyniemy? - Aggie była opanowana. Mercera nie przestawało to fascynować.

- Do terminalu morskiego. Nie wiem. Może coś się jeszcze da zrobić. - Mercer wiedział, że jest za późno, że zniszczenia już się do konały. Można było tylko pomóc w sprzątaniu. Mimo wibracji samolotu i ryku silnika słyszał syreny, których wycie niesło się po wodzie.

Zatoka Valdez

Abu Alam zostawił sobie niewiele czasu na to, by po podłożeniu ładunków wybuchowych zniszczyć radiostację na „Nadziei” i uciec

na podest, przy którym cumowały łodzie motorowe. Rezerwy miał naprawdę niewiele. Miał jeszcze dobre półtora kilometra do skalistej plaży nad zatoką Valdez, kiedy usłyszał syreny alarmowe terminalu morskiego. Kerikow odpalił zbiorniki z azotem. Alam był za bardzo na widoku, by zdetonować ładunki na pokładzie. Gdyby zrobił to teraz, ściągnąłby na siebie uwagę, a potrzebował jeszcze czasu, żeby ukraść jakiś pojazd, którym miał dotrzeć na lotnisko w Anchorage.

Każda sekunda zwiększała szanse Iwana Kerikowa na ucieczkę z tego przeklętego statku, a jeden z najwyraźniej szych rozkazów Ruffiego brzmiał: „Rosjanin nie może przeżyć”. Alam wybierał między ostrożnością a chęcią zabicia Kerikowa. Wiedział, że póki nie dotrze na ląd, z konieczności musi przeważać ostrożność. Zastanawiał się, czy nie popłynąć w stronę Valdez, ale istniało spore prawdopodobieństwo, że ktoś widział go, jak porywał Aggie Johnston. Rozsądniej było kierować się w stronę terminalu Alyeska, gdzie będzie mógł dobić do brzegu w pobliżu portu i ukraść jakiś samochód w zamieszaniu, jakie wywołał wybuch ciekłego azotu.

Obejrzał się przez ramię i stwierdził, że na pokładzie „Nadziei” wciąż panuje cisza. Młodzi na pewno nadal imprezowali. Alam nie znośił używać ładunków wybuchowych. To było takie odległe, bezosobowe. Wolał patrzeć, jak ofiara umiera, czuć zapach strachu, kiedy życie uciekało jej przez poderżnięte gardło albo ranę od kuli w piersiach. Korzystał już z bomb, ale zawsze w głębi duszy czuł się oszukany, bo to ładunki wybuchowe zabijały, nie on.

Wielka fala szarpnęła łodzią, zmuszając Alama, by skupił się na kursie. Tuż za płotem terminalu przeładunkowego do zatoki wpadał niewielki strumyk. Z obu stron otaczały go gęste rzędy drzew. To będzie idealne miejsce, by przybić do brzegu. Nawet z tej odległości Abu Alam dostrzegł niski mostek biegnący nad wypłukanym przez wodę wąwozem. Droga do terminalu przebiegała zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej. Idealnie.

Ponieważ Alam nie miał doświadczenia w pływaniu małymi łodziami, skupił całą uwagę na prowadzeniu motorówki i nie odwrócił się ani razu, póki dziób nie trafił na nurt strumienia. Śruba silnika zaczęła podrywać brązowy piasek z dna. Kiedy w końcu się obejrzał, natychmiast sięgnął do kieszeni kurtki po detonator. Przez żółtą burłę „Nadziei” przeskakiwał cały strumień małych figurek. Z tej odległości wyglądali jak przysłowiowe szczury ratujące się z tonącego okrętu. Członkowie PEAL uciekali, wśród nich zapewne i Kerikow. Alam nie marnował czasu na rozmyślania. Nie zauważył nawet odbijającej się od statku czerwonej plamki uszkodzonego

samolotu. Myślał tylko o kilogramach środków wybuchowych ułożonych z takim zjawstwem na pokładzie „Nadziei” i ofiarach śmiertelnych, jakie za sobą pociągną. Wyjął detonator z kieszeni, wpisał kod aktywacyjny, a kiedy zobaczył zieloną lampkę, wcisnął „Enter”.

Niczym kalekie piskłę, które nie wie, że nie może latać, cenna podrywana siłami aerodynamiki próbowała unieść Mercera i Aggie Johnston w górę, kiedy ślizgali się po powierzchni zatoki Valdez. Aggie starała się prowadzić wodnopłat równo, całą sobą naciskając na prawy pedał steru, by skompensować ubytek siły nośnej na zniszczonym lewym skrzydle. Była w stanie tylko sunąć bokiem po zatoce. Nos samolotu był odchylony o prawie trzydzieści stopni od kierunku podróży.

Mercer wiedział już o samolotach tyle, że miał świadomość, iż nie potrafi jej pomóc. Trzymał ręce i nogi z daleka od sterów. Skupił się za to na małym lusterku umieszczonym wysoko na desce rozdzielczej i patrzył, jak „Nadzieja” robi się w nim coraz mniejsza. Nieważne, jak szybko płynęli, wydawało się, że są wciąż za blisko statku. Skoro podłożono na nim dość ładunków, by Kerikow wpadł w panikę i wykonał samobójczy skok, to Mercera i Aggie czekała naprawdę ostra jazda. Nie mając nic do roboty, Mercer wziął butelkę whisky, która wciąż leżała w kokpicie, i wlał w siebie trochę trunku dla kurazu.

„Nadzieja”, wcześniej okręt badawczy klasy Hekla należący do marynarki brytyjskiej, zniknął w chwili, kiedy oderwał butelkę od ust.

Dopiero co widać było statek pośrodku lusterka, a po chwili zniknął w kwitnącym wybuchu czerwieni, żółci i czerni. Kadłub rozpadł się na wielkie kawałki. W powietrze poszybowały łukiem odłamki metalu, drewna oraz ciała. Zniszczenie było całkowite. Zanim fala uderzeniowa dobiegła do uciekającej cesseny, główna część statku zdążyła już zatonać pod wzburzoną wodą. Po ogromnej jednostce nie został nawet ślad, jeśli nie liczyć tłustego ognia szalejącego po powierzchni i ludzi wyjątych żałośnie wokół morskiego grobu „Nadziei”.

Fala ciśnienia wywołana wybuchem wybiła wszystkie szyby wystawowe w Valdez, zabiła cztery osoby i przewróciła prawie wszystkie łodzie stojące na kotwicy w publicznej marinie. Oparły jej się tylko największe jednostki. Przy okazji zginęło kolejne osiem osób. Gdyby wybuch nastąpił kilka minut później, ofiar wśród cywilów byłoby znacznie więcej, bo na brzegu zaczęli właśnie zbierać się gąpie zwabieni wyciem alarmu w porcie. Terminal leżał przecież nad

tą samą wodą, która utrzymywała wielu z nich. Dzięki ostrzeżeniu Mercera spośród ekologów z PEAL ocalała tylko dwunastka. Ośmiu zmarło od razu, a czterech później, w szpitalu.

Dwoma potencjalnymi ofiarami, których wybuch nie dosięgnął, byli Aggie Johnston i Philip Mercer, ale i tak niewiele brakowało.

- Przygotuj się! - krzyknął Mercer, kiedy zrozumiał, co się stało. Upuścił butelkę na podłogę.

Wstrząs wybuchu dotarł do cessny i przechylił ją tak mocno, że śmigło młóciło wodę, wzbudzając pianę, która przesłaniała im widok. Aggie natychmiast szarpnęła za wolant i jednocześnie odpuściła nieco ster. Wodnopłat próbował się wznieść i na krótką cudowną chwilę wrócił do równowagi. Pływaki ledwo trzymały się wody, a siła nośna skrzydeł i siła wybuchu trzymały samolot mniej więcej równo.

Potem jednak do samolotu dotarły koncentryczne fale powstające w miejscu wybuchu. Cessna skoczyła wyżej, niczym surfer, który złapał doskonałą falę, i zaczęła pędzić jeszcze szybciej przez zatokę Valdez. Z epicentrum wybuchu rozeszła się też potężna fala, płynąc z szybkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Zbierała się w ten sposób góra wody wysoka na dziewięć metrów. Na jej szczycie Aggie starała się zapanować nad cessną. Nie była pewna, czy udało się to dzięki jej zonglowaniu wolantem i sterem, czy też samolot był skazany na widzimisię nacierającej fali.

Kiedy przestało jej dzwonić w uszach i zaczęła rozróżniać dźwięki wokół, usłyszała, że Mercer się śmieje.

- Co w tym takiego śmiesznego, do cholery?! - wrzasnęła.

- Jeszcze pół godziny temu narzekałaś na moje latanie. Jakoś nie widzę szczególnej poprawy.

Nim Aggie zdążyła odpowiedzieć mu stekiem przekleństw, fala uderzyła o falochron chroniący terminal Alyeska. Góra uderzyła o betonową zapórę przygotowaną właśnie na takie tsunami, choć projektanci spodziewali się pewnie fal wywołanych wstrząsami ziemi, a nie tragicznymi wybuchami. Betonowy mur oberwał cessnie pływaki, ale solidna konstrukcja zatrzymała większość siły fali. Samolot przez chwilę żeglował swobodnie, po czym zarył w kamienisty grunt. Szorując brzuchem po ziemi, wytracili brutalnie prędkość, śmigło zawinęło się wokół silnika niczym macki jakiejś morskiej istoty.

Groził im pożar, więc kiedy tylko cessna stanęła na dobre, Aggie i Mercer rzucili się do ucieczki.

- Proszę pamiętać, że za ten lot dostają państwo podwójne punkty za mile. Dziękujemy państwu za wybór Mercer Airlines. Miłego

dnia. - Wymawiając ostatnie słowa, już wyskakiwał przez drzwi do przedziału towarowego cessny, a Aggie tuż za nim.

Sprint do centrum operacyjnego trwał wieczność. Obojgu dokuczały rany, musieli uskakiwać przed niezliczonymi pojazdami. Technicy i pracownicy terminalu pędzili, by ocenić sytuację. Mercer wpadł do środka. Jakaś pechowa pracownica poleciała ze trzy metry do tyłu, kiedy dostała prosto w pierś otwartymi z impetem drzwiami. Popędził do centrum dowodzenia, nie zważając zupełnie na oszołomioną kobietę. Po sali kręciło się mnóstwo ludzi. Ponad wyciem alarmów słychać było gniewne pokrzykiwania. Zwykle opanowani fachowcy stanęli na skraju paniki z uwagi na rozmiar katastrofy, która ich czekała. Andy Lindstrom siedział w środku tego wszystkiego z czerwoną twarzą. Z jego zdartego gardła okrzyki wydobywały się w postaci wściekłego ryku. Obrzucił wzrokiem liczne wskaźniki i wyświetlacze na konsoli, oceniając zniszczenia swojego drogiego rurociągu. Wokół niego zebrało się około dwudziestu inżynierów ustawionych według starszeństwa - najbardziej doświadczeni stali przy jego ramieniu, a ci najmłodszy z tyłu sali. Pozbawiony okien pokój był wypełniony dymem z papierosów i smrodem potu wywołanego strachem.

- Andy! - krzyknął Mercer ponad spierającymi się głosami, ale hałas zagłuszył wszystko.

Aby zwrócić na siebie uwagę, wyciągnął pistolet Kerikowa i strzelił w podłogę. Zapanowała cisza jak makiem zasiał.

- Andy, jaka sytuacja? - zapytał spokojnie Mercer. Jeśli martwił go tłum kręcący się wokół, to nie dawał tego poznać na kamiennej twarzy.

- Jezu Chryste, Mercer, co ty, u licha, tu robisz? - Lindstrom doznał wstrząsu, kiedy zobaczył Mercera z pistoletem i kiedy zobaczył, że Mercer w ogóle żyje. Do tego dochodził jeszcze stres wywołany świadomością, że ropa w rurociągu zamarza od ciekłego azotu niczym śmietanka w maszynce do lodów. - Miło cię znów widzieć, ale nie mam czasu... twój przyjaciel z Rosji zniszczył mi rurociąg.

- Wiem. - Mercer nie mógł sobie pozwolić na opóźnienia wynikające z emocjonalnych odpowiedzi. - Muszę wiedzieć, czy pompy pracują.

Nim Andy zdążył odpowiedzieć, odezwał się jakiś inżynier pochylony nad konsolą:

- Nie, z zapisów komputera wynika, że wyłączyły się jakaś minutę przedtem, zanim wybuchły zbiorniki z azotem. Teraz pompy nie pracują i wygląda na to, że więcej nie popracują. Ze wstępnych

doniesień wynika, że mamy co najmniej czterdzieści miejsc, gdzie przepływ został całkowicie zablokowany, a w kilku innych ropa sączy się z minimalną prędkością. Wygląda na to, że mamy też co najmniej dwa pęknięcia, jedno pośrodku wiszącego mostu nad rzeką Tanana.

- Most się zawalił? - zapytał Mercer z obawą w głosie.
- Tak. Ropa wciąż płynie przez otwarte zawory kontrolne.
- Gdzie jest ten komputerowiec, Mossey?
- Jeszcze przed chwilą siedział w sali komputerowej - odparł

jakiś technik stojący obok Mercera.

Mercer odwrócił się tak szybko, że wpadł na Aggie, o której zdążył już zapomnieć. Była przerażona tym, że rurociąg popęka od zmrożenia ropy azotem. Jako członek PEAL i ona była za to odpowiedzialna.

- To jeszcze nie koniec - stwierdził Mercer i pobiegł korytarzem.

Pokój komputerowy w porównaniu z centrum dowodzenia był sterylny, czysty i pusty, jeśli nie liczyć jednej postaci gorączkowo pakującej dokumenty i komputerowe płyty do miękkiej skórzanej torby. Mercer nawet nie dał Tedowi Mosseyowi szansy, by się odwrócił. Lewą ręką przycisnął mu głowę do biurka, a drugą przyłożył do twarzy lufę pistoletu tak mocno, że Mossey rozerwał sobie zębami delikatne dziąsło. Mercer odezwał się głosem pełnym wściekłości, a oczy ziały mu nienawiścią:

- Wyłącz program! Już!
- Nie mogę - wyjąkał Mossey. Ślina i krew kapąły mu z ust na komputer. - Straciłem dostęp, kiedy Kerikow zdetonował zbiorniki z azotem.

Mercer odciągnął kurek pistoletu. Ciche kliknięcie zabrzmiało złowieszczo w ciszy pokoju.

- To kiepsko. Miałeś ten program od miesiący. Myślałem, że się włamałeś i zostawiłeś sobie jakąś tylną furtkę. W takim razie to był twój ostatni błąd, koleś.

Miał zamiar poblefować jeszcze przez kilka sekund, a potem ogłuszyć Mosseya, ale nie było to konieczne. Mossey poddał się od razu.

- Chwila, proszę. Boże, nie zabijaj mnie. Jest tylna furtka. Umieściłem ją zaraz po tym, jak Kerikow mnie wynajął, żeby uaktywnił jego stary program.

- No to skorzystaj z niej, szczerze, i zablokuj uruchamianie pomp, albo przysięgam na Boga, że pociągnę za spust i rozsmaruję twój mózg na ścianie. - Mercer pozwolił Mosseyowi się podnieść, ale wciąż przyciskał mu pistolet do ucha. Komputerowiec zaczął pracować, a jego palce biegały po klawiaturze jak szalone.

Aggie stała zdumiona przy wejściu do pokoju, zafascynowana tym, jak Mercer panował nad sytuacją i nad Tedem Mosseyem. To nie pistolet dawał mu siłę, on miał ją w sobie. Jego przekonanie i niewzruszona wiara sprawiły, że stała jak urzeczona. Choć na pozór zachowywał się nieprzewidywalnie i dziko, to kiedy rozwiązanie stawało się jasne, okazywało się, że podejmował jedyne logiczne decyzje. Kiedy tak stał z zaciśniętą i ponurą twarzą, wydawał się Aggie najseksowniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Na sam jego widok czuła przyjemne drżenie.

- Jestem w środku - odezwał się w końcu Mossey. - Jeszcze minuta.

- Za trzydzieści sekund rozwalę ci czaszkę. - Nikt, nawet sam Mercer, nie wiedział, czy nadal blefuje, czy nie.

Andy Lindstrom przybiegł do pokoju komputerowego za Mercerem i Aggie. Popatrzył przez chwilę na sytuację i podszedł obok Mosseya do terminalu, na którym wyświetlał się stan pomp i rurociągu. Choć program został zainstalowany przez jakiegoś szpiega w szczycie zimnej wojny, uaktywnił się dopiero teraz. Wszystkie dziesięć pomp rozkręciło się do pełnej mocy, tworząc ogromne ciśnienie we fragmentach rury zaczopowanych zamrożoną ropą. Mercer nie zdążył temu zapobiec, ale rurociąg nadal był cały. Jeśli udałoby im się wyłączyć pompy na czas, rura nie pękłaby, jak chciał Kerikow.

- Ciśnienie wewnętrzne? - zapytał Mercer, nie odrywając wzroku od Mosseya.

- Osiemdziesiąt jeden atmosfer wewnątrz rury na niemal każdym czujniku! - krzyknął Lindstrom. - Przekroczyliśmy maksymalne obciążenie. Wszystko się za chwilę rozleci. Pompy nadal działają. Nie uda się.

- Ktoś mi to już dzisiaj mówił. - Mercer zerknął na Aggie, a ta uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Mossey odepchnął się od klawiatury komputera i osunął się w fotelu.

- Nic więcej nie dam rady zrobić.

- Stan? - warknął Mercer.

- Osiemdziesiąt trzy atmosfery. Zaraz wybuchnie! - wrzasnął Lindstrom. - Gwałtowny spadek ciśnienia na jednym z czujników. Pęknięcie rury. Pompy nadal... zaraz, pompy wyłączone. Zatrzymały się. - Głos Lindstroma ucichł, kierownik patrzył z obawą na monitor. Wewnętrzne ciśnienie mierzone przez czujniki w rurze nadal rosło, przekroczyło już maksymalną granicę tolerancji o piętnaście procent. W końcu znów się odezwał, przerywając ciężką ciszę słowami pełnymi

podniecenia: - Ciśnienie wszędzie spada, systematycznie. Kochana rura wytrzymała. O Boże, dzięki ci. I dzięki naszym spawaczom, że skleili to wszystko lepiej, niż nam się wydawało.

Mercer spojrział na niego z ulgą. Na jego twarzy i ciele widać było, co przeszedł od poprzedniego wieczora.

- A stalownie, które walcowały te rury?

- Ołać ich, to byli Japończycy. - Lindstrom wybuchnął śmiechem, dając ujście nagromadzonej emocjom. Choć i tak doszło do poważnej katastrofy: pojawiły się trzy wielkie przecieki buchające tysiącami baryłek ropy, to jej rozmiar udało się jednak ograniczyć do poziomu, z którym można dać sobie radę. Mając Mosseya za świadka, Alyeska wyjdzie z całej historii bez uszczerbku na reputacji.

- Ludzki błąd - powiedział Mercer, jakby czytał w myślach Andy'ego. - Nie zaniedbanie, ale błąd: coś złego, co człowiek robi ze złych powodów.

- Skąd wiedziałeś o Mosseyu?

- Jutro ci wszystko opowiem. Teraz muszę się napić, wziąć gorący prysznic i położyć się do łóżka... wszystko jedno w jakiej kolejności.

- Najpierw się napijemy. - Andy się uśmiechnął. - Zapraszam do mojego gabinetu. Ale łóżka ci nie proponuję mimo wszystkich twoich dzisiejszych zasług.

Mercer zerknął na Aggie i uśmiechnął się, widząc zawstydzenie na jej twarzy. Andy podążył za jego wzrokiem i wymusił prezentację.

- Andy Lindstrom, a to Aggie Johnston, córka Maksa Johnstona.

- Znam twojego ojca. - Lindstrom uściśnął rękę Aggie i po prowadził ich oboje do swojego gabinetu. - Słuchajcie, nie mam czasu, żeby się napić. Muszę wysłać ekipy do zniszczonych części rurociągu i zacząć naprawy. Po czujnikach dojdziemy, gdzie PEAL rozmieściła zbiorniki z azotem. Między czopami są całe kilometry czynnej rury, więc stracimy mnóstwo ropy. Tylko z dziury na moście Tanana wycieka jakieś dwadzieścia parę tysięcy litrów na godzinę. Każda minuta zwłoki to coraz większy bajzel.

Lindstrom przerwał, po czym zapytał:

- Słuchaj, Mercer, a może zaczekałbyś chwilę? Muszę dowiedzieć się szczegółowo, co się zdarzyło w stacji pomp numer pięć. Jeszcze nie zdążyliśmy tam wysłać ekipy. Pożar w magazynach w Fairbanks wciąż jest nieopanowany. Mnóstwo ludzi przy nim utknęło.

- Eddie nie przeżył? - Mercer był zdumiony. Sądził, że ekipy ratunkowe odnajdą dzielnego pilota śmigłowca, zanim umrze od ran.

- Eddie ma się dobrze. Leży w szpitalu w Fairbanks, ale po przylocie wprowadzili go w śpiączkę. Zabrał go wczoraj jakiś

śmigłowiec wojskowy, ale już nie wrócił do stacji pomp. Cały czas wywożą rannych z Fairbanks.

Wieść o tym, że Eddie Rice przeżył, okazała się dla Mercera ważniejsza niż to, że przeszkodził Kerikowowi w zniszczeniu rurociągu. Ale tak właśnie myślał - ludzkie życie liczyło się zawsze najbardziej. Jako ratownik górniczy wydał miliony, żeby ocalić życie jednego podrzędnego górnika, ale i tak uważał, że się opłacało. I niezależnie, czy chodziło o pieniądze, czy o ekologiczną przyszłość całego regionu, decyzja zawsze byłaby taka sama - życie, czyjekolwiek, liczyło się przede wszystkim. Takie podejście do życia mogło się wydawać górnolotne we współczesnych czasach, ale on taki już po prostu był.

- Andy, mówię poważnie, nie powiem ci nic więcej o tej stacji pomp. Porwali mnie ponad sto metrów od niej. - Mercer zasypiał na stojąco. - Opowiem ci wszystko, co wiem, jutro, ale na razie nie nadaję się do pogawędek.

Lindstrom nawet nie słuchał. Już rozmawiał z jakimś inżynierem. Klócili się o przydział materiałów na naprawy. Mercer odwrócił się, wprowadził Aggie do gabinetu Lindstroma i cicho zamknął za sobą drzwi. Delikatne kliknięcie zamka podkreśliło to, co przeszli, zakończyło to, co stało się do tej pory i oznaczało początek czegoś, co ma się między nimi wydarzyć. Oboje to czuli, spoglądali na siebie z tęsknotą i trwogą, jakby przygody, które przeżyli, były jedynie konieczną przerwą od tego, co ich teraz czekało.

W powietrzu aż iskrzyło.

- Drinka? - Mercer oderwał się od jej oczu i sięgnął do biurka Lindstroma, tam gdzie widział u niego butelkę.

- Tak, poproszę - odparła Aggie, pozwalając Mercerowi oderwać się na moment od buzujących między nimi emocji.

Nalał szkockiej do dwóch papierowych kubków, każdy napełniając niemal do połowy. Mercer wypił w swoim życiu niejednego porannego drinka, ale w tym wypadku był przekonany, że oboje z Aggie na niego zasłużyli. Wychylił swój kubek jednym haustem i zaczął nalewać kolejny, zanim ona zdążyła nieśmiało umoczyć usta. Znalazła paczkę papierosów na biurku Andy'ego i zapaliła jednego niemal tak szybko, jak Mercer pil.

- To już koniec? - zapytała.

- Wiesz, chyba naprawdę tak... - Stali obok siebie. Trzymała głowę nad jego barkiem, uniosła twarz, rozchylając pełne usta. W szmaragdowych oczach pojawił się intensywny blask.

Kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, drzwi do gabinetu Andy'ego otworzyły się z hukiem, a matronowata recepcjonistka, siedząca zwykle

przy wejściu, omal nie przewróciła się na podłogę z rozpędu. Zbierała się, żeby coś powiedzieć, ale kiedy zobaczyła, że nie ma Andy'ego, zaniemówiła. Mercer zauważył, że kobieta jest mocno zestresowana, o wiele bardziej niż inni ludzie uwijający się po budynku.

Nie pamiętał jej imienia, ale zapytał, czy coś się stało. Potok słów, jaki wylał się z jej ust, był nie do zatrzymania:

- Była strzelanina przy głównej bramie. Ralph, taki miły starszy wartownik, nie żyje. Ktoś jeszcze, nie wiem kto, leży na drodze w kałuży krwi. Zaatakował ich jakiś drań, postrzelił z karabinu maszynowego i ukraść firmową furgonetkę. O Boże, biedny stary Ralph, to był taki miły człowiek.

Opadła na krzesło przejęta tym, co się stało. Jej pulchne ciało rozlało się na drewnianym krześle, a po krągłych policzkach połały się łzy. Mercer rzucił spojrzenie na Aggie, która natychmiast zrozumiała, że powinna się zająć recepcjonistką. Tymczasem on znów zniknął, wybiegł z budynku, odpychając po drodze ludzi, którzy uwijali się jak w ukropie przy likwidacji skutków pęknięcia rury.

Powietrze pod ołowianym niebem aż szczypało w policzki. Mercer pędził w stronę wynajętego blazera, który wciąż stał na parkingu przed centrum dowodzenia. Mimo tego, co przeszedł od poprzedniego popołudnia, jakimś cudem zachował do niego kluczyki. Przełożył je do kieszeni kombinezonu, kiedy przebierał się w szalupie ratunkowej. Silnik ryknął od pierwszego strzału, a sekundę później auto przemknęło przez bramę terminalu, zgrabnie wymijając ludzi stojących wokół zmarłych wartowników. Popędził w stronę miasta z nadzieją, że ktoś z gapiów miał na tyle przytomności umysłu, żeby zawiadomić władze w Valdez.

Za paskiem wciąż miał pistolet, który zabrał Kerikowowi. Wyciągnął go i położył na plastikowej konsoli między przednimi siedzeniami. Jechał jak szalony. Grube opony piszczały, kiedy brał zakręty dwadzieścia albo i trzydzieści kilometrów na godzinę szybciej, niż zalecały znaki. Oceniał, że od ataku minęło dziesięć minut. Wziął pod uwagę odległość między bramą wjazdową a centrum dowodzenia i czas, po jakim świadkowie ruszyli się z miejsca po ataku.

Gdyby miał swojego jaguara, nadrobiłby ten czas bez problemu, ale blazera zaprojektowano do ciężkiej jazdy po wertepach, a nie do szybkich pościgów.

Nie więcej niż sekundę zajęło mu domyślenie się, kogo ściga. Kerikow zginął w zatoce, więc pozostał tylko Abu Alam. Logiczne wydawało się, że po odpaleniu ładunków wybuchowych na „Nadziei” Arab będzie starał się jak najszybciej opuścić Cieśninę Księcia Williama.

W miasteczku panował ogromny ruch, bo w stronę zatoki ciągnął sznur pojazdów ratunkowych. Nie miał szans, żeby dojechać na lotnisko. Pozostawały mu więc Droga Richardsona i Anchorage ponad czterysta kilometrów na północ. Tam ślad po nim zaginie.

Droga rozwijała się przed blazerem. Potężny silnik Chevroleta ryczał pod szeroką maską, a koła reagowały chętnie na polecenia Mercera. Jadąc, nie myślał o zmęczeniu, wiedział, że nie zostało mu zbyt wiele sił; jeśli przekroczy granicę, ciało po prostu przestanie reagować. Wszystko zaczęło się tu, podczas prób maszyny Howarda Smalla do drążenia tuneli. Zamierzał dopilnować, żeby wszystko też tu się zakończyło, nie więcej niż kilka kilometrów od miejsca, gdzie wierciło urządzenie Howarda.

Myślami wrócił do chwil sprzed zaledwie kilku tygodni. Przypominał sobie, że zjazd na teren wierceń znajduje się kilka zakrętów dalej. Mercer nie zdawał sobie sprawy, że się zdekoncentrował, póki nie wyjechał zza ostrego zakrętu, gdzie zobaczył przewrócony autokar wycieczkowy leżący na całej szerokości drogi. Wokół błyszczało rozbite szkło, niczym garść diamentów rzuconych na asfalt. Wokół kręcili się oszołomieni ludzie, wielu zakrwawionych. Inni dopiero wysiadali z rozbitego pojazdu.

Mercer wcisnął hamulec w podłogę obiema stopami. Opony zostawiły na drodze tłuste czarne smugi, a we wnętrzu blazera rozszedł się ostry smród gumy. Starsza kobieta z oczyma wielkimi jak sowa stała wpatrzona w zbliżający się do niej samochód. Mercer szarpnął kierownicą, wprowadzając blazera w poślizg i zatrzymując się zaledwie o metr przed staruszką. Kiedy tylko wóz stanął, Mercer wcisnął gaz. Wymijając kobietę na drodze, ustawił blazera na wprost polnego traktu odchodzącego od Drogi Richardsona w górę po prawej. Trakt prowadził prosto do miejsca, gdzie rurociąg przechodził przez Przełęcz Thompsona. Mercer znał ten trakt doskonale. To właśnie tu z Howardem prowadzili próby maszyny.

Kiedy blazer zjechał z asfaltu na błotnisty trakt, domyślił się, co stało się kilka chwil temu. Alam musiał wyjechać ostro zza zakrętu, dokładnie pod nadjeżdżający autokar. Tak jak Mercer przed chwilą, pewnie szarpnął autem w prawo, żeby wrócić na swój pas. I wtedy zauważył trakt prowadzący w góry. Nie zważając na manewrujący groźnie autokar, zapewne szybko uciekł w stronę miejsca, gdzie Mercer z Howardem wiercili. Tymczasem kierowca autobusu stracił panowanie nad ciężką maszyną.

Mercer nawet nie dopuszczał myśli, że Alam zdołał precyzyjnie się obok autobusu i pojechał dalej do Anchorage.

Trakt wił się ostro jak wąż. Niemal od razu Mercer zauważył świeże ślady opon na utwardzonym dukcie. Widać było ciemniejsze ślady ziemi wyrzucanej spod kół pędzącego pojazdu. Howard nie żyje, a teren wiercenia został zamknięty, póki ekipa z UCLA nie przyjedzie po minitarczę oraz resztę sprzętu. Nikt więc nie powinien tu zaglądać. Alam był tuż przed nim i wjechał w ślepią uliczkę. Mercer chwycił pistolet i położył go sobie na kolanach.

Droga była wąska. Drzewa i krzewy drapały boki pędzącego pod górę blazera. Kiedy w końcu wjechał na miejsce odwiertu, gęsty las się skończył i Mercer znalazł się na potężnym polu u stóp ogromnej skalnej ściany, górującej kilkadziesiąt metrów nad najwyższymi drzewami. Teren i drogę ogrodzono drutem kolczastym. Ustawiona brama była rozbita i zwisała bezwładnie na jednym zawiasie.

Wszystko wyglądało dokładnie tak jak w dniu, kiedy Mercer i Howard wyjechali na ryby, żeby uczcić sukces. Dwie zamknięte przyczepy stały obok siebie wsparte na cementowych bloczkach. Kawałek dalej stał osiemnastokołowy ciągnik. Minnie leżała pod skalną ścianą nakryta plandeką. Grube kable biegły od niej do szpul podłączonych do dużych przenośnych generatorów. Nadal stała wycelowana w główny tunel testowy - doskonale okrągły otwór w skale był tak czarny, że niemal wciągał światło. Czerwony pikap Alyeski stał obok jednej z przyczep, w której Howard i jego ekipa urządzili sobie biuro. Mercer schował kluczyki od blazera i popędził, żeby skryć się za wielkim ciągnikiem. Biegł skulony za niską przyczepą i omiatał pistoletem ogromny obszar. Alam nie miał czasu, żeby otworzyć wytrychem zamek którejś z przyczep i schować się w środku. Nie schował się też raczej za ciężarówką, bo z łatwością mógłby wtedy zdjąć Mercera, który biegł w tym kierunku. Pole wokół było porośnięte alpejską trawą i nie było się tu gdzie schować, więc Alam nie biegł ani nie wspiął się na klif, co byłoby zadaniem trudnym nawet dla doświadczonego wspinacza. Zostawały tylko minitarcza wiertnicza, generatory albo kilka palet sprzętu przystawionych obok otworu próbnego. Cztery inne dziury obok sięgały w głąb nie więcej niż na metr. Wiercili je, żeby skalibrować Minnie przed drażeniem głównego tunelu. Widać było, że Alam nie kryje się w żadnej z nich. Instynktownie Mercer się domyślił, że Abu Alam próbuje uciec przez wydrążony w górze tunel wysoki na metr dwadzieścia. Ale na wszelki wypadek, żeby to potwierdzić, przeczołgał się pięćdziesiąt metrów do generatorów. W napięciu czekał na strzał, który nie nastąpił. Mercer jedną ręką obsługiwał panel generatorów, a w drugiej trzymał pistolet wymierzony w wejście do tunelu. Generatory,

wielkie jednostki Ingersol-Rand napędzane ośmiocyndrowymi silnikami Diesla, zareagowały już po sekundzie. Kiedy je uruchomił, zdjął plandekę z Minnie, odsłaniając chyba najbrzydszą maszynę, jaką widział w życiu.

Minitarcza działała na podobnej zasadzie jak jej większe kuzynki, ale wszystko dopracowano tu do perfekcji. Nóż - dysk o średnicy metr dwadzieścia - wykonano z polimeru z włóknem węglowym i diamentowych okruchów połączonych niedawno odkrytą cząsteczką o nazwie *buckminsterfullerene*. Najtwardszą nawet skałę potrafiła obrócić w pył w jednej chwili. Tułów Minnie przypominał zaokrąglone pudełko, w którym mieściły się wyrafinowane pompy i zawory hydrauliczne oraz system nawigacji satelitarnej trzeciej generacji, który potrafił zlokalizować ją dokładniej niż atomowe okręty podwodne amerykańskiej marynarki. Napęd stanowiły dwie hydrauliczne nogi zaprojektowane na wzór nóg pasikonika. Pozwalały maszynie dobrze się zaprzeć i naciskać na tarczę tnącą, która drążyła granit w niesłychanym tempie sześćdziesięciu centymetrów na minutę. Potężny wentylator zamontowany z tyłu wywiewał pył i okruchy.

- Alam, wiem, że mnie słyszysz! - krzyknął Mercer do tunelu, a jego głos rozległ się donośnym echem. - Dźwięk, który słyszysz, to tarcza, ona wydrążyła ten tunel!

Abu Alam biegł zgięty wpół przez całkowicie ciemny tunel, ale teraz stanął jak wryty. Rozpoznał głos, mimo że był zniekształcony odbiciami od ścian: należał do człowieka, którego Kerikow zatrzymał w czasie ataku na stację pomp. Arab nie miał zamiaru zawracać i go zabijać. Philip Mercer był wrogiem Kerikowa, nie jego. Chciał jak najszybciej wydostać się z tego tunelu i uciec. Za jego plecami wejście do tunelu przypominało mały wizjer, przed sobą miał jedynie czerni.

- Zbudował ją człowiek, którego zabiłeś w Kalifornii - ciągnął Mercer, przygotowując Minnie do pracy. Sprawdzał połączenia i czy tarcza tnąca swobodnie się obraca. - Testował ją tu, zanim go zamordowałeś. Pechowo dla ciebie, Alam, nie dowierciliśmy nigdy tego tunelu do końca. Kończy się jakieś półtora metra przed drugą stroną góry.

Arab zbladł jak ściana.

Mercer uruchomił nogi maszyny i się odsunął. Niczym monstrualny kret Minnie ruszyła naprzód, a jej tarcza tnąca kręciła się z szybkością piętnastu tysięcy obrotów na minutę. Bez cięcia skały Minnie rozwijała szybkość około trzech i pół metra na minutę, posuwając się swoim dziwnym szarpanym krokiem. Aby dotrzeć do Alama, potrzebowała godziny. Mercer nie mógł sobie pozwolić,

by czekać do końca, więc zaprogramował Minnie tak, by sama się wyłączyła, przewierciwszy dodatkowe pół metra na końcu tunelu. Odwrócił się i ruszył z powrotem do blazera.

- Giń, sukinyśnu.

Abu Alam, Ojciec Bólu, do ostatniej sekundy kulił się na końcu tunelu, zwiął się w kłębek i wtulał w szorstki kamień, ale Minnie i tak go dopadła. Jego zwłoki rozmazały się na tarczy tnącej. Wiele dni później, kiedy tarczę wycofano z tunelu, największy kawałek Alama, jaki znaleziono, można było wcisnąć bez trudu do tubki po paście do zębów.

Przy wyjeździe na główną drogę Mercer zabrał troje najciężej rannych pasażerów autokaru, choć tak naprawdę żadnemu z nich nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Odstawił ich do szpitala w Valdez, ale odjechał, nim ktokolwiek zaczął zadawać mu pytania o cokolwiek innego niż miejsce wypadku. Dopiero kiedy wjeżdżał blazerem na teren terminalu, przypomniał sobie coś, co Iwan Keri-kow mówił poprzedniej nocy na platformie „Petromaksu Omega”: „Wyłączenie rurociągu to tylko jeden mały fragment trzyczęściowej operacji”.

Mercer miał się wkrótce przekonać, że drugi fragment planu Keri-kowa jest równie zabójczy, jak ten pierwszy, a może nawet bardziej.

Terminal morski Alyeska

Kiedy Mercer wrócił do centrum dowodzenia, Andy Lindstrom siedział w swoim gabinecie. Jeden telefon miał przy uchu, drugi leżał zdjęty z widełek na stercie dokumentów. Metaliczny, ale ostry głos dochodzący ze słuchawki przypominał głos poirytowanego liliputa. Przed biurkiem stali dwaj robotnicy w grubych kombinezonach umazanych ropą. Andy zobaczył Mercera stojącego w progu i zaprosił go do środka. Rzucił krótko polecenie do słuchawki, rozłączył się i sięgnął po drugą. Tu też wydał serię poleceń i odłożył ją na widełki. Oba telefony natychmiast zaczęły dzwonić znowu.

- Chryste, dom wariatów - jęknął Andy, podnosząc słuchawkę jednego z telefonów. Krzyknął do rozmówcy: - Dajcie mi chwilę, dobrze?!

Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę na biurko. Ignorując drugi dzwoniący telefon, zapalił papierosa. W popielniczce piętrzyła się cała góra na wpół dopalonych petów. Rozżarzoną końcówką papierosa wskazał na dwóch robotników.

- Wprowadźcie sodę od strony stacji numer dziesięć. Chcę znać stan rurociągu między terminalem a rzeką Tanana. Ekipa na miejscu twierdzi, że nie widać zniszczeń zewnętrznych ani śladów dłubania, ale muszę mieć pewność. Jeśli traficie na zamrożony odcinek, natychmiast wyłączacie pompę i dzwonicie do mnie. Spróbuję wykombinować od lotnictwa jeszcze jeden odrzutowy podgrzewacz.

Dwaj mężczyźni szybko skinęli głowami i wyszli.

- Mercer, mam problem jeszcze większy niż ten bałagan. Idź do salki łączności. Wszystko ci opowiedzą.

- Andy, wybieram się do łóżka - odparł Mercer znużony.

- Człowieku, jesteś mi potrzebny. Bez Mike'a Collinsa nie mam szefa ochrony. Słyszałem, że godzinę czy dwie temu kogoś zastrzelono przy głównej bramie. Miejskowa policja drze się, że w zatoce wybuchł statek PEAL, a firmy naftowe domagają się zaktualizowanego terminarza dostaw. Zarząd Alyeski mówi mi, że rurociąg musi ruszyć w ciągu trzech tygodni, a ja nawet nie wiem, jakie są zniszczenia. Cholera jasna, ceny ropy na świecie poszły od rana o trzy dolary w górę i chyba raczej szybko nie spadną. Pomóż mi, dobrze?

- W porządku. - Zrezygnowany Mercer westchnął. Nie pożegnał się nawet z Lindstromem, jego odrętwiały umysł już zaczął podejrzewać, że nowy problem Andy'ego może być kolejnym frontem Kerikowa.

Salka łączności była niewielkim pomieszczeniem, w którym dominowała spora konsola z kilkoma telefonami konferencyjnymi, faksem, telexem i dwoma potężnymi radiodbiornikami morskimi. Trzy osoby obserwowały faks, telex i ogromne radiostacje, zaś czwarta była pogrążona w rozmowie telefonicznej. Opodal przy biurku stała Aggie Johnston z papierosem prawie parzącym jej palce. Kiedy zobaczyła Mercera, podbiegła i przytuliła się mocno do niego.

- Co się stało? - zapytała, nie odrywając głowy od jego piersi.

- Abu Alam nie żyje. Nie chcesz znać szczegółów. A tu co się dzieje?

- Terrorysty porwali tankowiec, ale kapitanowi udało się uciec. Właśnie dzwoni. Jego zdaniem porywacze chcą rozbić statek gdzieś pod Seattle.

- To kolejny pomysł PEAL?

- Prawie cały aktyw PEAL znajdował się na „Nadziei” podczas wybuchu - rzekła Aggie ze smutkiem. - Z organizacji ocaleli tylko pracownicy biurowi i skrajni członkowie, którzy dzięki nam nawiązywali kontakty z europejską elitą intelektualną.

- Przepraszam. Masz rację - odparł Mercer, rumieniąc się lekko. Do wczoraj wierzyła w nich i ich sprawę, a dziś rano straciła mnóstwo znajomych i byłego kochanka. W tych warunkach i tak zareagowała łagodniej, niżby mogła. - W takim razie Kerikow musiał to zaplanować z jakąś inną grupą. Jak się nazywa ten kapitan? - zapytał kobietę ze słuchawką przy uchu.

- Hauser, kapitan Lyle Hauser.

- Czy ktoś potwierdził jego tożsamość? Może to jakiś głupi dowcip?

- Skorzystaliśmy z protokołu uwiarygodniania. Hauser jest kapitanem tego supertankowca. - Kobieta nie oponowała, kiedy Mercer odebrał jej słuchawkę.

- Kapitanie Hauser, nazywam się Mercer. Jestem pełniącym obowiązki szefa ochrony w Alyeska. Przepraszam, ale musi mi pan opowiedzieć jeszcze raz, co się stało.

- Nie ma na to czasu! - krzyknął Hauser. - Ci wariaci zatopiają statek i powstanie plama ropy wielkości Jeziora Górnego.

- Gdzie pan teraz jest?

- Na Wyspie Wiktorii w Kolumbii Brytyjskiej, w miasteczku Port Alice. Wysadził mnie tu trawler, który mnie uratował.

- Czy pański statek płynął do Seattle?

- Nie, na litość boską, ile razy mam wam to powtarzać, ludzie? Płynęliśmy do Long Beach, kiedy mój pierwszy oficer i grupa terrorystów przebranych za robotników opanowała statek. Zdołałem uszkodzić silniki i być może opóźnić ich o dzień czy dwa. Po tym uszkodzeniu musieli zmienić plany i zamiast rozbić „Arcticę” w zatoce San Francisco wybrali Seattle.

- „Arctica”? Czy to nie statek Petromaksu? - rzucił Mercer, a Aggie spojrzała na niego uważnie, kiedy usłyszała nazwę firmy ojca.

- Tak. Nie. Właściwie był. Dopiero co został sprzedany, ale to nie jest ważne - upierał się Hauser. - Musimy ich powstrzymać.

- A żebyś pan wiedział, że musimy ich powstrzymać. - Kawałki układanki zaczęły się dopasowywać, a wnioski były tak przerażające, że Mercer nie miał ochoty się nad nimi zastanawiać. - Kapitanie, muszę podzwonić w parę miejsc i zaraz się do pana odezwę, ale musi pan się dostać jak najszybciej do Seattle. Najlepiej byłoby wynająć samolot. Na razie proszę mi podać numer do siebie i czekać na mój telefon. Odezwę się za dziesięć minut. - Mercer już miał się rozłączyć, kiedy przypomniał sobie coś ważnego. - Kapitanie, czy ta firma, która kupiła pański statek, to przypadkiem nie SC&L?

- Tak.

- Zaraz oddzwonię. - Mercer rozłączył się i wybrał numer komórki Dicka Henny.

Kiedy czekał na połączenie, podeszła do niego zaniepokojona Aggie.

- O co chodzi z tym Petromaksem?

- Porwano jeden z tankowców twojego ojca.

- Ale przecież je sprzedał.

- Może - odparł Mercer, a potem szybko się odwrócił, kiedy w słuchawce odezwał się dyrektor FBI. - Dick, tu Mercer, nie mam czasu na pierdoły. Weź coś do pisania i notuj. Muszę się dowiedzieć, czy firma o nazwie Southern Coasting and Lightering zgłosiła lot swojego odrzutowca albo z lotniska Sea-Tac w Seattle, albo z Vancouver w Kolumbii Brytyjskiej gdzieś do Luizjany. W cieśninie Puget płynie tankowiec porwany przez ludzi Kerikowa. Kiedy go rozbiją, będą chcieli szybko uciec. Musisz też załatwić mi w Seattle jakichś chłopców z sił specjalnych, najlepiej SEAL. Zostało nam w najlepszym wypadku kilka godzin.

Henna próbował przerwać, ale Mercer zgasił go, zanim zdołał wydobyć z siebie choćby sylabę:

- Dick, żadnych pytań, bierz się do roboty. Pewnie już słyszałeś, co się tu stało. Kerikow ostrzegł mnie, że akcja z rurociągiem to tylko zasłona dymna. Jeśli nie weźmiemy dupy w troki, to w Seattle będzie można założyć składowisko toksycznych śmieci. Zadzwoni, kiedy dowiesz się czegoś o tym samolocie. - Mercer podał mu numer przyklejony do telefonu w salce łączności i się rozłączył.

- Mercer, o co tu chodzi? - Aggie opadła na krzesło obok. Zauważył, że zdążyła wziąć prysznic i przebrała się w luźny kombinizon z grubego dżinsu. Musiała podwinąć sobie rękawy i mocno zacisnąć pasek w wąskiej talii. W tym workowatym ubraniu mogła się wręcz zgubić.

- Kerikow nie żyje, ale jego plan jest wciąż realizowany. Powiedział mi, że zniszczenie rurociągu to tylko podpucha. Mam przeczucie, że zatopienie tankowca to kolejny podstęp, że ma to odciągnąć naszą uwagę od czegoś jeszcze gorszego.

- Czego na przykład? I co to ma wspólnego z moim ojcem?

- Nie znam prawdziwego celu Kerikowa ani nie wiem, jaki może mieć w tym udział twój ojciec, ale pogódź się lepiej z myślą, że w ten czy inny sposób przyłożył do tego rękę.

- Jak to możliwe? Przecież jest nafcjarzem. Niszczenie rurociągu czy zatopianie tankowca to dla niego rzecz nie do pomyślenia, zwłaszcza własnego tankowca.

- Może w to nie uwierzysz, ale statkiem, który opanowali terroryści, wożono ciekły azot, którym zamrożono rurociąg. Podejrzewam, że twój ojciec może w tym siedzieć o wiele głębiej. Pamiętaj, że wczoraj w nocy przetrzymywano nas na platformie twojego ojca, a nie widziałem żadnych śladów, by Kerikow przejął ją siłą.

Siedziała w milczeniu, uciekając wzrokiem, jakby nie chciała patrzeć na to, co wyjaśniał jej Mercer. Jej sylwetka, tak krucha w wielkim kombinezonie, sprawiała teraz jeszcze delikatniejsze wrażenie, jak figurka z porcelany.

Znów się od niej odwrócił, dał jej czas do przemyśleń, do oceny, co może być prawdą. Mercer wykręcił numer do biura Dave'a Saulmana w Miami, ale tam poinformowano go, że prawnik poszedł do domu. Już miał wykręcić numer domowy Saulmana, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

- Tak, Dick, co masz?

- Southern Coasting and Lightering ma umowę czarterową na samolot Gulfstream IV. I wczoraj zadeklarowało lot z Vancouver do Baton Rouge. Samolot już tam stoi, zeszłego wieczoru przyleciał z...

- San Francisco - dokończył Mercer.

- Skąd, do cholery, to wiesz?

- Bo tam Kerikow planował zatopić tankowiec. Tyle że kapitan, któremu udało się uciec, uszkodził trochę statek. Przez to musieli zmienić plany i wybrali cieśninę Puget zamiast zatoki San Francisco. Samolot czekał w Kalifornii, więc kiedy okazało się, że tankowiec nie dopłynie tak daleko na południe, odlecieli samolotem do Vancouver.

- Co wiesz o samym statku?

- Niewiele. Szczegóły poda ci Straż Wybrzeża, ale Dick, na tym statku przewożono ciekły azot, który odkryłem na pokładzie „Jenny IV”. Według mojego przyjaciela tankowiec został dopiero co sprzedany małemu armatorowi o nazwie SC&L, ale wcześniej należał do floty Maksa Johnstona. Wypełniony jest po brzegi ropą z Alaski i jeśli rzucą go na brzeg w cieśninie Puget, to tutejsza awaria rurociągu będzie przy tym wyglądała jak ptasia kupka na plaży. Załatwiłeś tych komandosów z SEAL?

- Jeszcze nawet nie zacząłem. Służby specjalne to nie piekarnia, na litość boską.

- Nie wyjeżdżaj mi tu z biurokracją. Złap admirała Morrisona i powiedz, że ich potrzebujesz. Jeśli będzie trzeba, wykorzystaj prezydenta... jest ci w końcu coś winien.

- Zrobię, co będę mógł - odparł Henna, nagle zdając sobie sprawę z powagi sytuacji.

- Prawdopodobnie będziemy musieli zacząć atak na tankowiec z Victorii. Musisz to ustalić z kanadyjskim rządem. Wiem, że to nasi sąsiedzi i tak dalej, ale w sprawach dotyczących suwerenności potrafią być bardzo drażliwi.

- Już na to wpadłem. Bądźmy w kontakcie. Jesteś najbliżej tego, co się dzieje. Będziesz pod tym telefonem w czasie akcji?

- Nie, lecę do cieśniny Puget. To jakieś pięć godzin lotu stąd, ale jeśli mam to koordynować, muszę tam być. Kiedy tylko zorganizuję sobie łączność, odezwę się do ciebie.

- W porządku - zgodził się Henna. - Czy to już ostatni numer Kerikowa?

- Chciałbym powiedzieć „tak”, ale wątpię. - Mercer rozłączył się z Henną i wykręcił numer kapitana Hausera. - Kapitanie, tu Philip Mercer. Załatwił pan sobie transport do Seattle?

- Tak, wynająłem wodnopląt. Pilot mówi, że dolecimy w dwie godziny.

- Świetnie. Ale musi pan zmienić cel lotu: niech pan leci do Victorii. Tam na terrorystów będzie czekać łódź, która zabierze ich z tankowca.

- Jest pan pewien?

- SC&L ma wynajęty odrzutowiec, który czeka w Vancouver, żeby zabrać tych ludzi do Luizjany. Kiedy zatopią tankowiec, będą chcieli uciec z okolicy najszybciej, jak się da. Patrząc właśnie na mapę na ścianie i wychodzi na to, że najszybciej z „Arctiki” łodzią można się dostać do Victorii, potem szybki skok śmigłowcem do Vancouver i hulaj dusza.

Hauser nie mógł się doszukać błędów w rozumowaniu Mercera.

- No dobrze, a co potem?

- Za minutę wylatuję z Valdez, ale pan będzie w Victorii jakieś trzy godziny przede mną. Niech pan czeka w głównym terminalu lotniska. Prześlę panu wiadomość, kiedy dowiem się czegoś więcej. - Rozmawiając z Hauserem, Mercer poprosił jednego z pracowników, żeby przyprowadził Andy'ego Lindstroma. - Już powiadomiłem dyrektora FBI o tym, co się stało do tej pory. Maszyna się kręci, kapitanie. Proszę się nie martwić. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, pańskiemu statkowi nic się nie stanie.

- Panie Mercer, nie chodzi mi o statek. Chodzi o cieśninę Puget.

Aggie chwyciła Mercera za rękę, kiedy zabierał się do wybrania kolejnego numeru.

- Co ty wyprawiasz? Nie możesz lecieć do Vancouver.

- Aggie, muszę - odparł, wiedząc, że dziewczyna go nie zrozumie.

- Padasz z nóg. Już dość zrobiłeś. Niech ktoś inny się tym zajmie.
- Myślisz, że bym nie chciał? Ale taki już jestem, zawsze to robiłem. Aggie, kiedy ludzie mówią „niech ktoś inny się tym zajmie”, to właśnie ja jestem tym kimś.

- Nie odpowiadasz przecież za cały świat - prychnęła.

- Masz rację, ale odpowiadam za to, co mogę zrobić. - Mercer jeszcze nigdy w życiu nie pragnął rzucić tego wszystkiego w diabły, wyjechać gdzieś daleko z Aggie i zapomnieć o wszystkim. Przez chwilę żałował, że nie jest jednym z tych ludzi, którzy ślepo wierzą, że zawsze znajdzie się ktoś inny, kto naprawi całe zło tego świata. Odezwał się zrezygnowany i zmęczony: - Aggie, muszę tam polecieć i zająć się tą sprawą, doprowadzić ją do końca, jakkolwiek będzie.

Kochała go za to poświęcenie, ale rozumiała, że choćby nie wiem jak bardzo odwzajemnił kiedyś tę miłość, nigdy nie będzie tylko i wyłącznie dla niej. Kolejne ważne i niebezpieczne wyzwania odciągną go od niej tak, jak innych mężczyzn odciągały romanse. Choć nie należała do kobiet, które pragną posiadać mężczyznę na własność, wiedziała, że pragnie od Philipa Mercera więcej, niż on może jej dać. A gdyby stał się taki, jaki powinien, nie byłby tym człowiekiem, w którym się zakochała. Taka była niepisana reguła, a jedynym rozwiązaniem było zakończenie tego wszystkiego już teraz, by nie cierpieć jeszcze bardziej. Sama myśl o zerwaniu związku, który na dobre jeszcze się nie narodził, wywołała pustkę w jej piersi, fizyczny ból. Już zawsze będzie go odczuwać.

- Rozumiem - skłamała.

- Kiedy to się skończy, chcę... No wiesz, ty i ja... - Jąkał się, a w końcu zamilkł na chwilę. - Chyba wiesz, co chcę powiedzieć. Odezwę się.

- Oczywiście - odparła. Targały nią takie emocje, że nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. Kiedy w końcu się opanowała i podniosła wzrok, by wyznać Mercerowi, że nie chce się z nim już widzieć, ten zniknął.

Mercer natknął się na Andy'ego Lindstroma tuż przed jego dyrektorskim gabinetem. Bez wstępów oznajmił:

- Potrzebuję odrzutowca, żeby zawiózł mnie do Victorii w Kolumbii Brytyjskiej. I to jak najszybciej.

- Co się stało?

- Moim zdaniem Kerikow zamierzał zniszczyć rurociąg, a potem jego kolejni ludzie mieli rozbić supertankowiec o brzeg pod San Francisco. Kapitan tankowca uszkodził statek, więc nie mogli dopłynąć tak daleko na południe. Terrorysty mają go teraz zatopić w cieśninie

Puget. To drugi front Kerikowa. Od samego początku chciał przerwać dostawę ropy z zatoki Prudhoe, a potem uniemożliwić jej transport wzdłuż Zachodniego Wybrzeża. Po katastrofie „Exxon Valdez” zatopienie tankowca w cieśninie Puget zakończyłoby przewóz ropy do Kalifornii na zawsze. Agencja Ochrony Środowiska i ekolodzy nigdy by nie pozwolili na jego wznowienie. Nawet jeśli zdołasz uruchomić rurociąg, to i tak nie będziesz miał dokąd wysłać swojej ropy. Zniszczenie rurociągu i rozbicie tankowca zablokowałyby najnowsze i zapewne największe źródło krajowej ropy w Ameryce. Andy przytaknął.

- Ale jaki byłby tego skutek? No i o co mu chodzi?

- O co chodziło. Kerikow nie żyje, ale nie mam pojęcia, co chciał osiągnąć - przyznał Mercer. - Na razie możemy tylko udaremnić jego taktyczne ataki i liczyć na to, że kiedy nam się uda, zdołamy dostrzec całą jego strategię. Masz samolot?

- Jasne. I masz szczęście, bo stoi tu w Valdez. Alyeska trzyma go zwykle w Anchorage.

- Zadzwoń na lotnisko i powiedz, żeby szykowali się jak najszybciej do lotu na lotnisko międzynarodowe w Victorii. I niech mi coś przygotowują do jedzenia. Jestem głodny jak wilk. - Odwrócił się do wyjścia.

- Jaki masz plan?

Przy drzwiach Mercer obejrzał się na Lindstroma.

- Jak tylko jakiś wymyślę, pierwszy się o nim dowiesz.

Trzydzieści minut później odrzutowiec firmowy Alyeski, zakupiony niedawno citation, poderwał się z pasa i poleciał na południe w stronę regionu Seattle i Vancouver. Po drodze na lotnisko Mercer zdążył jeszcze zabrać zmianę ubrań z hotelu i spakować sobie małą torbę, do której trafił między innymi pistolet Iwana Kerikowa. Nie wiedział, ile go nie będzie, więc resztę rzeczy oddał do hotelowej przechowalni i wymeldował się z pokoju. Wynajętym blazerem miał się zająć ktoś z Alyeski.

Rozparty w wygodnym skórzanym fotelu w samolocie Mercer rozmyślał o tym, o co pytał go Andy Lindstrom, o ostatecznym celu Kerikowa. Co mogło być tak ważne, że w porównaniu z tym zniszczenie rurociągu i zatopienie tankowca Rosjanin uważał za niegroźne zmyłki? Coś musiał knuć, coś, co miało oczywiście związek z ropą. Ale też coś, co wymagałoby, by Ameryka zrezygnowała z eksploatacji własnych źródeł.

Odpowiedź była tak oczywista, że aż sam siebie przeklinał, że wcześniej na to nie wpadł. Zrzucił to na karb zmęczenia. Sięgnął

po telefon i zerknął na zegarek, żeby sprawdzić, pod który numer powinien zadzwonić. Była jedenasta wieczorem na Alasce, czyli dopiero czwarta po południu w Waszygtonie. Zaryzykował i wykręcił własny numer domowy. Po trzech dzwonekch chciał zrezygnować.

- Halo. - Głos Harry'ego White'a brzmiał tak, jakby ktoś przetarł mu struny głosowe papierem ściernym.

- Czemu, do cholery, siedzisz u mnie i opijasz mnie, skoro właśnie zwędziłeś kilka skrzynek alkoholu z hotelu Willard?

- Tiny brał ode mnie cztery dolce za szklanekę piwa imbirowego. Poza tym masz świeższe precele.

- Mam nadzieję, że masz dużą polisę ubezpieczeniową i wpiśałeś mnie jako spadkobiercę, stary capie.

- To zabawne, to samo pomyślałem o tobie - odparł Harry.

- Odebrałeś przenośny telefon?

- Tak, a co?

- Zejdz do mojego gabinetu. Musisz coś dla mnie zrobić. - Mercer przypomniał sobie, jak Dave Saulman mówił, że Petromaks sprzedał też dwa pozostałe tankowce Southern Coasting and Ligh-tering. Jeden jest gdzieś w pobliżu Japonii, a drugi niedaleko Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

- Jestem w gabinecie - burknął w końcu Harry, kiedy przyczłapał po schodach od barku.

- Świetnie, włącz mój komputer i przewiń przez menu, aż dojdiesz do elektronicznego notesu.

Mercer czekał kilka minut, słuchając przekleństw Harry'ego mocującego się z domowym komputerem. Silniki samolotu szumiały jednostajnie.

- Jasna cholera. Jak to się robi? - zapytał w końcu Harry znie-smaczony.

- Myszka - wyjaśnił Mercer.

- Nie, nie to. Jak się włącza komputer?

- No dobra, Harry, oto pierwsza lekcja współczesnej technologii. Z tyłu komputera, na prawo od kabli masz mały guzik. Czujesz? - Ropa. Petromaks. Bliski Wschód. Ta sprawa nie może czekać. - No dalej, Harry.

- A chrzanić to. Wezmę tę starą maszynę, którą trzymasz w szafie. Tym się potrafię posługiwać.

- To nie to samo, Harry. Potrzebuję komputera. - Wraca-jąc do terminalu z miejsca prób minitarczy, Mercer słyszał w ra-diu, że w Londynie próbowano zabić jakiegoś dyplomatę ze

Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Czy to ma związek z Kerikowem? Prawdopodobnie.

- No dobra, dobra, chwila. Jest, włączyłem. Telewizorek na tym kwadratowym pudełku miga jak neon przed lokalem ze striptizem.

- Świetnie. Widzisz na biurku takie szare coś wielkości paczki fajek? To właśnie myszka. Kiedy ją przesuniesz, poruszy się mała strzałka na telewizorku.

- A niech mnie diabli. Faktycznie. - Harry był wniebowzięty swoim osiągnięciem. - O kurczę, to jest dopiero fajne.

- Co? - zapytał zaniepokojony Mercer.

- Automatyczna półeczka na drinki, która wysuwa się spod telewizorka. Twoje szklanki do whisky idealnie na nią wchodzą.

Dopiero po dłuższej chwili Mercer zrozumiał.

- Nie, Harry, to taca napędu CD-ROM, nie półka na napoje.

Zjednoczone Emiraty Arabskie. Mało który Amerykanin słyszał w ogóle o tym kraju. Czy ktoś by w ogóle zauważył, gdyby dokonano tam zamachu? Mercer wiedział, że nie - oczywiście póki ceny ropy byłyby stabilne.

Przez kolejne dziesięć minut Mercer prowadził Harry'ego White'a za rączkę wprost do elektronicznego kalendarza. Harry cieszył się jak dziecko, ilekroć komputer reagował na jego polecenia.

- To pudło jest świetne. Muszę sobie taki kupić - powtarzał.

- A teraz, Harry, skup się. Terminarz zawiera też informacje o adresach i krajach. Kliknij dwa razy na małą mapkę świata, a kiedy powiększy się na ekranie, kliknij dwa razy w okolicy Bliskiego Wschodu.

- Mam - odparł Harry. - Człowieku, jestem hakerem, mogę się włamać wszędzie.

- Ty, haker, pilnuj, żeby ktoś się do ciebie nie włamał.

- Miło się rozmawiało, Mercer - drażnił się Harry. - Muszę lecieć. Tiny już otworzył.

- Bardzo śmieszne. Jest tam nazwisko jednego faceta. Nie pamiętam go dokładnie, ale to geolog ropy i pracuje w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Przewijaj listę i czytaj wszystkie nazwiska, przy których jest ZEA.

Harry czytał nazwiska. Wielu Mercer nie rozpoznawał, a wiele osób na pewno nie pracowało już nad Zatoką. Od dwóch lat nie aktualizował terminarza i teraz musiał tracić czas.

- Zaraz, przeczytaj jeszcze raz ostatnie nazwisko?

- Jim Gibson.

- To on - oznajmił triumfalnie Mercer. Przypomniał sobie wielkiego rumianego Teksańczyka i jego mosiężny teleskop, bez które-

go nigdzie się nie ruszał. Mercer poznał Gibsona w Nigerii wiele lat temu, kiedy obaj pracowali nad rozwojem eksportu surowców naturalnych z jednego z krajów Afryki Zachodniej. Gibson specjalizował się w ropie, a Mercer pracował nad obiecującym polem diamentowym w środku tego kraju. Należeli do zaledwie garstki Amerykanów obecnych wówczas w Nigerii, więc chodzili wspólnie na wódkę, ilekroć spotykali się w Lagos. Gibson za pomocą teleskopu podglądał kąpiące się dziewczyny z wiosek, przy których prowadzili odwierty. Chwalił się, że nawet na Księżycu potrafiłby dojrzeć ładną dziewczynę.

- Podaj mi ten numer i wielkie dzięki. Wiszę ci kolejkę.

- Daj spokój. Okłamałem cię zresztą. Mam tę skrzynkę Jacka Danielsa w domu, ale i tak popijam twojego Jima Beama.

- Prawdziwy z ciebie przyjaciel, Harry. - Głos Mercera ociekał sarkazmem.

W Zjednoczonych Emiratach Arabskich była północ, więc Mercer musiał zadowolić się wiadomością zostawioną w skrzynce głosowej Gibsona w ministerstwie do spraw ropy. Zostawił mu swój numer w samolocie, na wypadek gdyby Jim przyszedł wcześniej do biura, ale przekazał też, że będzie jeszcze próbował się kontaktować z nim rano.

Lot zajął prawie pięć godzin. Mercer przespał z tego tylko trzy. Przez resztę czasu organizował kontratak przeciw „Krzyżowi Południa”, wcześniej „Petromaksowi Arctice”. Drzemka znacznie go wzmocniła, ale daleko mu było do szczytowej formy. Przed lądowaniem dzwonił jeszcze do Waszyngtonu, Victorii, gdzie czekał kapitan Hauser, oraz do Andy'ego Lindstroma w Valdez, który obowiązkiem oszacowania zniszczeń rurociągu rozsądnie obarczył swojego zastępcę. Z Davidem Saulmanem z Miami rozmawiał prawie pół godziny, ale każda minuta była tego warta. Odkrycia Saulmana rzuciły cień na plan Mercera, ale nie miał wyjścia, musiał się go trzymać.

Kiedy odrzutowiec Alyeski wylądował w Victorii, wszystko było już gotowe. Hauser czekał w wynajętym samochodzie, żeby zawieźć Mercera do portu, gdzie stała w gotowości drużyna komandosów SEAL z bazy marynarki w Bremerton w stanie Waszyngton. Henna mówił, że musiał wykorzystać wszystkie swoje względy u prezydenta, żeby ten zgodził się na użycie komandosów.

- Zawiadomiliście już władze Kanady? - Mercer nie przestawał rozmawiać, choć odrzutowiec podjeżdżał już do terminalu.

- Ciesz się, że udało mi się pozłatwiać wszystko z naszymi. Politycy mają pamięć pięciolatka, a skupić się potrafią nie dłużej

niż dwupółroczne dziecko. Na kanadyjską policję konną będziesz musiał trochę poczekać. Kanadyjczycy co do zasady nie mają nic przeciw, ale muszą ściągnąć na miejsce swoich. Na razie zgodzili się, że SEAL przeprowadzi atak, a ich ludzie będą czekać w odwodzie.

- Dick, kapitan Hauser podejrzewa, że terroryści czekają, aż odwróci się pływ. Wtedy wraz z przyływem rozleją ropę w cieśninie Juan de Fuca. Według faceta, z którym Hauser rozmawiał tu w Victorii, przyływ zaczyna się za jakieś pół godziny. Ruszamy, kiedy tylko dotrę do portu, z Kanadyjczykami czy bez nich. To jedna z tych sytuacji, kiedy mówi się „przepraszam”, a nie pyta o zgodę.

- Mercer, nie mogę ci na to pozwolić. Chodzi o międzynarodowe reperkusje.

- Nie rozumiesz. Nie proszę cię o błogosławieństwo... informuję cię, że ruszamy. - Mercer rozłączył się, kiedy tylko pilot wyłączył silniki, a pracownik obsługi otworzył drzwi do samolotu. Wraz z nim w wejściu stanął celnik.

- Witamy w Kanadzie, *bienvenu au Canada*. Ma pan coś do zadeklarowania?

- Tak, stan wyjątkowy. - Mercer westchnął i wygramolił się z samolotu.

Lyle Hauser czekał przy fordzie taurusie na parkingu przed terminalem. Miał na sobie rybacki kombinezon i pożyczone gumowce. Ubranie było czyste, ale twarz miał nieogoloną i ściągniętą.

- Gdybym miał lusterko, pewnie przekonałbym się, że wyglądam tak samo kiepsko jak pan.

- Tak źle wyglądam? - mruknął Mercer. Kapitan od razu przypadł mu do gustu. - Wszystko gotowe?

- Czekamy tylko na pana. Skontaktowali się ze mną ludzie z marynarki. Czekają w porcie na swoim kutrze bojowym.

- Opowiedział im pan o porywaczach... ilu ich jest, jaką mają broń i tak dalej?

- Najlepiej jak potrafiłem. Większość moich informacji pochodzi z drugiej ręki, przekazał mi je główny inżynier, nim uciekłem - odrzekł Hauser, siadając za kółkiem taurusa i włączając silnik. - Dowódca komandosów mówił mi, że ćwiczyli już takie ataki. Stwierdził, że wszystko mają przemyślane.

- To się dopiero okaże. - Mercer zgodził się z niezbyt entuzjastyczną oceną Hausera.

Lotnisko dzieliło od portu w Victorii zaledwie piętnaście kilometrów. Jechali ulicą Blanshard, nie paląc się do rozmowy. Za-

den z nich nie miał ochoty mówić o tym, co będzie, jeśli im się nie uda. Konsekwencje były zbyt przerażające, by się nad nimi zastanawiać.

Niebo miało kolor czystego jasnego błękitu, tylko wysoko widać było kilka rozmazanych chmur. Choć powietrze nieco szczypało, słońce świeciło na tyle mocno, żeby rozgrzać wszystko i nadać temu jesiennemu dniowi posmak wiosny. Jeśli ropa się rozleje, powietrze zmieni się w truciznę, węglowodory zanieczyszczą atmosferę tak bardzo, że nawet chwila w niej spędzona będzie grozić poparzeniem płuc i bardzo poważnym ryzykiem raka.

W porcie pięcioosobowa drużyna SEAL rzucała się w oczy tak jak butelka szkockiej na spotkaniu anonimowych alkoholików. Stali na pokładzie kutra w kamizelkach kuloodpornych i czarnych kombinazonach idealnie dopasowanych do łodzi, ale kontrastujących ze zwykłymi kolorowymi kurtkami zebranych na nabrzeżu ludzi, którzy gapili się na nich, jakby to było przedstawienie. Groźnie wyglądający kuter o wysokich burtach otoczonych gumowym pływakiem, napędzany dwoma silnikami za burtą, wyglądał jak brzydkie kaczątko w porównaniu z eleganckimi jachtami wokół.

- O rany! - wykrzyknął Mercer. - Cyrk przyjechał do miasta.

Przeszli z Hauserem przez port jak najszybciej, modląc się, żeby kapitan portu nie zauważył kutra i nie zaczął o niego rozpytywać.

- Aż się dziwię, że miejscowa żandarmeria nie zapakowała ich do pudła.

- Porucznik Krutchfield?! - zawołał Hauser. - Jestem kapitan Hauser, a to doktor Mercer. - Wskoczyli do kutra, a ich łączna waga nie wywarła żadnego wpływu na stabilną łódź. Mercer przytrzymał przez chwilę rękę młodego porucznika, po czym kazał mu odbijać.

Krutchfield miał twarz gładką jak dziecko, z oczami jak bławatki i nosem tak ostro zadartym, że nozdrza wyglądały jak koniec lufy dwururki. Nie wyglądał na takiego twardego jak pozostali żołnierze z jego drużyny. Sprawiał wrażenie zbyt obojętnego, jak szczeniak czekający, by go pogłaskać.

- Doktorze Mercer! - Młody porucznik przekrzykiwał ryk silników. Kuter pędził już z szybkością blisko pięćdziesięciu mil morskich na godzinę. Rozpędził się szybciej niż jakakolwiek motorówka, którą widział Mercer. - Słyszałem o tym, co pan zrobił w zeszłym roku na Hawajach razem z naszymi kolegami, sir. To zaszczyt móc pana poznać.

Mercer nie zareagował na komplement, więc Krutchfield mówił dalej:

- To szczęście, że akurat byliśmy w okolicy, kiedy nas wezwano.

- Poruczniku, tamten atak na Hawajach przeżył tylko jeden z waszych. Wstrzymałbym się z entuzjazmem, aż będzie po wszystkim - stwierdził ponuro Mercer. - Ile mamy do „Krzyża Południa”?

- Zwiad satelitarny ustalił jego położenie na jakieś czterdzieści mil w głąb cieśniny. Dopłyniemy w pięćdziesiąt minut.

- W tej trumience na pewno nie damy rady. Zmiotą nas z powierzchni wody, gdy tylko nas zobaczą. Nie macie jakichś cywilnych ciuchów? Jakiegoś przebrania?

- Nie, sir. Powiedziano nam, że to bezpośredni atak i nie ma potrzeby niczego takiego. - Krutchfieldowi nie podobało się, że ktoś kwestionuje jego taktykę.

- Tyle jeśli chodzi o subtelność - mruknął Hauser.

Cały plan Mercera polegał na tym, żeby przechwycić łódź, która miała odwiedzić JoAnn Riggs i jej drużynę zamachowców, a potem na jej pokładzie zbliżyć się do supertankowca. Ale nie będzie łatwo zbliżyć się do tej łodzi bez wzbudzania podejrzeń jej załogi. Po pierwsze, kuter komandosów od razu rzucił się w oczy, po drugie, nie wiedzieli wciąż, która z setek łodzi krążących po cieśninie ma odebrać terrorystów. Bez tych kluczowych informacji równie dobrze mogli wrócić do domu i obserwować sobie w telewizji największą katastrofę ekologiczną w historii Ameryki.

- jaki sprzęt łącznościowy macie na pokładzie?

- Tylko to. - Młody komandos podniósł małą przenośną krótkofalówkę z anteną w postaci małego guzka na wzmocnionej obudowie.

- A co to jest, do cholery?

- Manta, Manta, tu Poskoczek. Zgłoś się. - Krutchfield podał krótkofalówkę Mercerowi. - Ma pan teraz łączność z okrętem podwodnym USS „Tallahassee”. Płynie jakieś dwanaście metrów pod nami i będzie nam towarzyszyć aż do samego tankowca. Nie znajdzie pan lepszego centrum łączności niż szybki atomowy okręt podwodny, doktorze. Ponieważ alarm ogłoszono kilka godzin temu, od tego czasu cały czas monitorują morską łączność w okolicy, a wszelkie rozmowy trafiają do komputera, który śledzi ruch wszystkich jednostek w cieśninie Puget. Mój dowódca powiedział, że zdaniem admirała Morrisona z Kolegium Połączonych Szefów Sztabów przyda się panu taka pomoc. Zdaje się, że panu kibicuje.

- Tu Manta, odbiór - odezwał się głos w krótkofalówce, którą Mercer trzymał w ręku.

Mimo że był oszołomiony obecnością okrętu podwodnego i wiary, jaką pokładał w nim szef Kolegium Połączonych Szefów Sztabów,

nie dat tego po sobie poznać, kiedy się odezwał. Skupił się całkowicie na czekającym ich zadaniu.

- Manta, szukamy łodzi, która wypłynęła z Victorii w ciągu ostatniej godziny i płynie w stronę „Krzyża Południa”. Musiała nawiązać przynajmniej raz łączność z tankowcem, na krótko. Słowo kluczowe, jakiego szukam, to „Arctica”. Macie coś, co pasuje do tego opisu?

- Poskoczek, zaczekaj. - Po chwili marynarz z okrętu podwodnego zgłosił się ponownie. - Potwierdzam. Dwusilnikowa łódź płynąca z szybkością dwudziestu węzłów wypłynęła z Victorii czterdzieści siedem minut temu. Była jedna łączność z tankowcem, cytuję treść: „Arctica, tu Ratunek, jesteśmy w drodze. Czas przybycia czternasta dwadzieścia. Potwierdźcie”. A tankowiec odpowiedział: „Potwierdzam”. To wszystko. Aktywny sonar wskazuje, że łódź ma jedenaście metrów długości, trzy metry trzydzieści szerokości. Podejrzewamy, że to jakaś łódź rybacka albo morska motorówka wycieczkowa. Odbiór.

- Zrozumiałem, Manta. Poskoczek bez odbioru. - Mercer oddał krótkofalówkę Krutchfieldowi. - Mamy mało czasu. Musimy przejąć tę łódź, zanim znajdzie się w zasięgu wzroku załogi tankowca. Inaczej nie mamy szans.

- Skąd pan wiedział, że znów użyją nazwy „Arctica”? Przecież kiedy uciekałem, nazywała się jeszcze „Krzyż Południa”. - Hauser stał obok Mercera w małej kabynie kutra.

- Mam dobrego prawnika - powiedział Mercer, nie rozwijając tematu. A potem odwrócił się do Krutchfielda. - To wszystko, na co stać tę łajbę?

- Ależ skąd. - Krutchfield się uśmiechnął, a sternik przesunął dźwignie gazu do końca. Wiatr na odsłoniętym pokładzie zaczął wyć. Płynęli sześćdziesiąt mil na godzinę.

Mercer odwrócił się do Hausera i wyjaśnił mu, co stało się z rurociągiem alaskim i opowiedział o Iwanie Kerikowie.

- To druga część jego planu, zatopienie tankowca na amerykańskich wodach, zatrucie wybrzeża na długości około trzystu kilometrów. Maks Johnston brał w tym udział od samego początku. Na jednym z jego statków przewożono ciekły azot. Wiedział, że statek będzie rozbity, więc żeby uniknąć miliardowych kosztów czyszczenia wybrzeża, po cichu sprzedał swoją flotę, łącznie z „Arctica”. Dopilnował, żeby na pokładzie zostali najważniejsi ludzie, tacy jak ta JoAnn Riggs, o której mi pan mówił.

- Zgadza się. „Petromaks Pacifica” miał zostać nazwany „Południową Gościnnością”, a „Arabię” przerobiono na „Południowy Akcent” - stwierdził Hauser.

- Pan pojawił się w tym układzie niespodziewanie, kiedy poprzedni kapitan „Arctiki”, z pewnością też jeden ze spiskowców, został ranny i trzeba było go zastąpić. Bez obrazy, ale na pewno szukali kapitana, który dosłużył już wieku emerytalnego i nie był na morzu od kilku lat. Gdyby pan zginął, łatwo byłoby zrzucić ten „wypadek” na pana.

- Ale to się kupy nie trzyma. Skoro Maks Johnston sprzedał swoje tankowce, to czemu statek wciąż nazywają „Petromaksem Arctica”, a nie „Krzyżem Południa”?

- Bo dziś rano, jak twierdzi Dave Saulman, mój znajomy prawnik, transakcja sprzedaży floty Petromaksu na rzecz SC&L została anulowana. Własność tankowców wróciła do Johnstona, a wraz z nią odpowiedzialność za wyciek dwustu tysięcy ton ropy, do którego ma dojść lada chwila.

- Nie rozumiem. - Hauser patrzył na Mercera skonfundowany.

- To Kerikow w jakiś sposób finansował Southern Coasting and Lightering i od początku zamierzał wykiwać Maksa Johnstona. Potrzebny był mu sprzęt Maksa: tankowiec i platforma wiertnicza, ale nie chciał go jako pełnoprawnego partnera. W grę wchodzi coś jeszcze, do czego Kerikow nie chciał dopuścić Johnstona. Kerikow porwał córkę Johnstona, żeby mieć pewność, że nie będzie rozpowiadał o swoim udziale w spisku. Maks miałby na głowie sprzątanie całego tego bałaganu i nie mógłby pisać słowa o swoim współudziale. - Mercer zamilkł.

Staął z ręką opartą o jedną z rur szkieletu kabiny. Potrzebował czasu, żeby przygotować się do ataku. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, komandosi z SEAL bez problemu przechwyćą łódź ucieczkową, a potem kryjąc się na jej pokładzie, podpłyną do supertankowca. Hauser mówił, że statku pilnuje tylko garstka terrorystów, a jednostka SEAL słynie z najlepszych komandosów na świecie. Czują się równie pewnie na lądzie, jak i w wodzie. Według Krutchfielda opanowywanie statków to ich popisowa sztuczka.

Z drugiej strony, Mercer nie był w stanie brać udziału w ich ataku. Po tym wszystkim, co przeszedł, właściwie nie powinien już oddychać. Był wyczerpany. Całe ciało miał w siniakach i obolałe, a ramiona, nogi i klatkę piersiową tak poobijane, że aż kręciło mu się w głowie. Nie miał złudzeń co do swojej przydatności podczas strzelaniny. Reagował powoli, refleks przytłumiło mu wyczerpanie. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że Krutchfield klepie go w ramię.

- Wiadomość od Manty! - krzyknął Mercerowi do ucha. - Ich sonar wskazuje, że jesteśmy jakieś pięć mil za naszym celem i siedem od tankowca. Tak jak pan mówił, będzie ciężko.

- Jaki macie plan?

- W zasadzie chcemy podpłynąć obok, a kiedy się zrównamy, ostrzelamy ich, a dwóch moich ludzi przeskoczy na ich łódź.

- A jeśli ktoś przetrwa pierwszą salwę i zdoła ostrzec „Arcticę” przez radio?

Krutchfield uśmiechnął się chłopięco. Naprawdę uwielbiał tę robotę.

- Na mój rozkaz „Tallahassee” zacznie zakłócać wszelkie transmisje radiowe w promieniu pięćdziesięciu mil. Za kilka minut paru dyskdżokejów się wkurzy.

Cieśnina Juan de Fuca była tu szeroka, przypominała raczej szerokie jezioro niż cieśninę. Po obu stronach majaczyły klify i lasy, ale tak daleko, że wydawało się, jakby powstrzymała je wznosząca się woda w kanale. W innym czasie, w innych okolicznościach Mercer rozkoszowałby się tą przejażdżką. Ale teraz stał ponuro i obserwował wodę przed nimi, licząc, że wypatrzy jakoś kilwater łodzi terrorystów. W ostatnich kilku minutach przed dojściem łodzi pożyczył od jednego z komandosów trochę naboju kaliber 9 milimetrów i włożył je do magazynku pistoletu Kerikowa.

- Tam! - krzyknął Hauser, który wyszkolonym wzrokiem wypatrzył daleko łódź ratunkową szybciej niż którykolwiek z młodszych mężczyzn. Miał o wiele większy interes w tym, by ocalić „Petromaks Arcticę” alias „Krzyż Południa”. Dla komandosów była to jedna z wielu operacji. Dla niego była to sprawa osobista. Chodziło o jego statek, pod jego komendą.

Z tej odległości łódź wyglądała jak biała kropka na szarej wodzie, a kilwater śledził ją niczym duch. Tankowca nadal nie było w zasięgu wzroku. Załoga łodzi ratunkowej nie mogła ich zobaczyć. Czarny kadłub kutra SEAL ginał całkowicie pośród fal. Jego niezwykłą sylwetkę było widać dopiero z odległości pół mili. Ale Krutchfield nie ryzykował. Podniósł do ust krótkofalówkę, kiedy tylko zauważył łódź.

- Manta, tu Poskoczek. Czas zgasić światło. Powtarzam, czas zgasić światło. Daj nam siedem minut, sprawdź, a jeśli nie będzie kontaktu, znów zakłócaj, póki nie usłyszysz, jak rozpada się tankowiec. Wtedy wprowadzasz wariant Bravo.

- Co to jest wariant Bravo? - zapytał Mercer.

- „Tallahassee” wynurza się, mierzy do tankowca z torpedy MK48 i przekonuje się, czy ci kretyni mają ochotę zginać za swoją sprawę.

Mercer nie miał ochoty wyjaśniać, że torpedując tankowiec, komandosi wykonaliby zadanie za terrorystów. Ale nie mógł milczeć:

- Tylko nie mówcie mi, że macie też wariant Charley. Nie chcę o nim słyszeć. - Wodził palcem po pistolecie, bezwiednie bawiąc się kurkiem.

- Poruczniku, mam pomysł - oznajmił Hauser tuż przed tym, zanim zauważyła ich łódź ratunkowa. Wyjaśnił swój plan w mgnieniu oka i wszyscy na niego przystali.

Zbliżyli się do pędzącej łodzi. Była to płaskodenna motorówka. Białe burty mocno się odbarwiły po wielu latach w brudnych wodach północnego Pacyfiku, a pokład zniszczyły słynne w tym regionie letnie ulewy. Jednostka wyglądała na zużytą i nic dziwnego, że przy dwudziestu węzłach jej silniki pracowały z maksymalną mocą. Ponieważ terroryści nie mieli zbyt dużo czasu na przygotowania po zmianie planów z San Francisco na Seattle, właściciela łajby wepchnięto do magazynka dziobowego. Mózg z rozbitej czaszki przykleił się do ścianek z włókna szklanego. Mężczyźni, którzy ukradli łódź, zostali przerzuceni do Vancouver odrzutowcem Southern Coasting and Lightering, który miał potem zabrać JoAnn Riggs. Niczego nie pozostawiali przypadkowi, by nie można było kiedykolwiek skojarzyć ich z rozbiciem supertankowca.

Kuter SEAL zmniejszył dystans do motorówki tak szybko, że komandosi musieli się uwijać, by zdążyć zająć pozycje. Skulili się za burtą. Wprawdzie byli wystawieni na ewentualny ogień przeciwnika, ale niewidoczni, póki kuter nie zrównał się z łodzią terrorystów. Kapitan Lyle Hauser stał z Mercerem za sterem kutra. Obaj mieli na sobie cywilne ubrania i wyglądali na zrelaksowanych. Hauser leniwie zmniejszył gaz, póki obie łodzie nie zaczęły płynąć z tą samą szybkością. Dzielił je jakiś metr czy dwa. Wyglądało to, jakby chciał pokazać tym z białej motorówki: „popatrzcie na moją nową zabawkę”.

Trzej skuleni na pokładzie motorówki mężczyźni byli zaskoczeni, kiedy zobaczyli płynący obok zwinny kuter. Aby rozwiać ich obawy, Mercer i Hauser pomachali do nich entuzjastycznie i uśmiechnęli się, jakby wybrali się po prostu na popołudniową przejażdżkę. Krutchfield i jego komandosów nadal nie było widać.

- Ilu ich jest? - zapytał Krutchfield przyczajony za Mercerem. W rękę trzymał pistolet maszynowy.

Mercer, nie przestając się uśmiechać, odezwał się półgębkiem:

- Widzę trzech na mostku. Chyba Arabowie. Nie widać broni, ale wszyscy mają sztormiaki, pod którymi mogą mieć cokolwiek.

Wygląda na o, że co najmniej jeden siedzi w kabinie na dole. Widzę ruch w jednym z bulajów. Nie widać, czy ma broń.

- Panowie, atakujemy za trzydzieści sekund - zawołał cicho Krutchfield do swojej ekipy. - Kapitanie Hauser, niech pan wysunie się przed nich o jakieś sześć metrów, a kiedy krzyknę, proszę znów zrównać szybkość i przytulić się do ich burty.

Hauser przyjął polecenie i ścisnął dźwignie przepustnicy. Kuter natychmiast wysforował się przed motorówkę, przecinając klin wodny, który odrywał się od jej dziobu. Mercer znów pomachał, ale bez odpowiedzi.

Komandosi SEAL działali z doskonałą precyzją. Krutchfield nie zdążył nawet krzyknąć, kiedy prawdziwy sternik kutra odepchnął Hausera od konsoli i zmniejszył gaz, zbliżając się znów do podnieszonej motorówki. Trzej mężczyźni jak na komendę odwrócili głowy, kiedy zaczęli wyprzedzać dziwną łódź, która dopiero co ich minęła. Ale zanim zdążyli się zorientować, trzech komandosów wstało zza burty i otworzyło ogień, zaś Krutchfield i jeden z jego ludzi przeskoczyli przez wąską szczelinę dzielącą obie pędzące łodzie.

Karabinki H&K MP-5 w rękach komandosów zawyły jak piły łańcuchowe, w ciągu kilku sekund zalewając motorówkę gradem kul, które odrywały kawałki włókna szklanego i zniszczonego drewna, a także powaliły trzech ludzi za sterami. Z dolnej kabiny łodzi dochodził stały dźwięk ognia przeciwnika. Słychać było wyraźnie charakterystyczne stukanie AK-47. Partner Krutchfielda w połowie skoku na motorówkę dostał serią z rosyjskiej broni po kevlarowej kamizelce. Żadna z kul jej nie przebiła, ale wstrząs sprawił, że żołnierz wpadł w wąską szczelinę między łodziami. Jego ciało zniknęło w obłokach kordytu, który wypełnił powietrze. Komandos huknął o wodę, łamiąc kręgosłup, ale odgłosy bitwy zagłuszyły jego krzyk.

Kolejna seria ze strony komandosów wyrwała dziurę w kadłubie motorówki w pobliżu bulaja, z którego strzelono. Ponad strzałami rozległ się krótki krzyk i nagle wszystko się skończyło. Krutchfield stał za sterami motorówki, dumnie prężąc się w głębokiej po kostki kałuży krwi z poszarpanych ciał. Zmniejszył gaz i w tej samej chwili sternik zwolnił też kurs kutra. Obie jednostki zaczęły płynąć leniwie. Echo odgłosów krótkiej bitwy powoli cichło.

Mercer jako pierwszy przeskoczył z kutra na motorówkę, która, jak dostrzegł, nazywała się „Happyhour”. Hauser skoczył tuż za nim. Dwaj pozostali komandosi Krutchfielda znaleźli się na niej chwilę później. Wyglądali jak statysci z filmu o piratach - oczy błyszczały im od bitewnego podniecenia, a z luf pistoletów jeszcze smużył dym.

Sternik kutra odbił od „Happyhour” i zatoczył ciasny łuk, żeby popłynąć po zaginionego towarzysza. Potężne silniki zawyły jak uwolnione z klatek zwierzęta, kiedy dodał im gazu. Krutchfield wyrzucał ciała za burtę porwanej łodzi, a dwaj jego ludzie zeszli po wąskich schodkach do kabiny na dole. Nim Krutchfield skończył, wrócili na mostek. Jeden z nich, niski Latynos z dziurą po jednym zębie, wycierał nóż o serwetkę zabraną z kambuza. Tam gdzie ją przesunął, na serwetce wykwiwały czerwone smugi.

- Było ich dwóch, *jefe* - stwierdził spokojnie, wsuwając nóż z powrotem do odwróconej pochwy na szelkach.

- Jasna cholera! - krzyknął Krutchfield. Odwrócił się przez ramię na kilwater kutra.

Na pokładzie motorówki było pięciu terrorystów. Jeden komandos spadł do wody, a drugi popłynął po niego. Na „Happyhour” zostało jedynie trzech komandosów.

Mercer wiedział, o czym myśli młody porucznik, i odezwał się, zanim Krutchfield z czymś wyskoczył.

- Nie mamy czasu, żeby na nich czekać - powiedział. - JoAnn Riggs spodziewa się tej łodzi za kilka minut. Nie możemy podsycać jej podejrzliwości, spóźniając się. Na spotkanie wysłano pięciu mężczyzn. Nas jest też pięciu, licząc ze mną i kapitanem Hauserem.

- Doktorze Mercer, szkolono mnie do takich zadań, za to mi płacą. Rozumiem, dlaczego pan i kapitan Hauser tu jesteście, ale nie pozwolę panu wejść na pokład „Arctiki”, póki jej nie zabezpieczymy.

- Poruczniku, szkoda czasu na kłótnię. Chodźmy już. Podyskujemy po drodze, ale choćby nie wiem co, nie możemy tu czekać na pańskich ludzi. - Mercer wiedział, że Krutchfield nie ma wyboru, musi go zabrać ze sobą. Będzie im potrzebny dodatkowy ogień.

- Panie Mercer, JoAnn Riggs rozpozna mnie z miejsca. Będę bardziej kulą u nogi - zauważył Hauser.

- Wiem. O tym samym pomyślałem. W takim razie może wejdziesz pan pięć minut po nas? Powinniśmy do tego czasu zabezpieczyć teren wokół drabinki. Proszę mi wierzyć, kapitanie, będziemy pana potrzebować, jeśli Riggs już puściła statek w dryf. Nie mam zielonego pojęcia o tankowcach.

- A wydawało mi się, że pracuje pan w Alyeska?

- Nie. Oddaję przysługę Andy'emu Lindstromowi, dyrektorowi operacyjnemu. Jestem tu trochę w zastępstwie.

- O cholera, to mamy kłopot. - Hauser westchnął.

- Coś o tym wiem. - Mercer patrzył na dziób pędzącej łodzi motorowej. Osiemset metrów przed nimi pojawił się supertankowiec

„Petromaks Arctica”. Czterdziestoosmiometrowa szerokość sprawiała, że widziany od frontu statek wyglądał jak potężna ściana ze stali wzniesiona wzdłuż północnego brzegu szerokiej na piętnaście kilometrów cieśniny Juan de Fuca.

Choć widok potężnego tankowca musiał budzić podziw, to Mercer nie mógł się opędzić od myśli, że wygląda on jak statek widmo.

Na pokładzie „Petromaksu Arctiki”, cieśnina Juan de Fuca, Kolumbia Brytyjska

Kiedy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych miasta Seattle i Vancouver zaczęły się szybko rozwijać dzięki imigracji z Azji i firmom technologicznym, które powstawały dosłownie w każdym garażu i piwnicy, podjęto szczególne środki ostrożności, żeby zachować jak najbardziej dziewiczy stan północno-zachodniego Pacyfiku w tym regionie.

W przeciwieństwie do megalopolis rozciągającego się od Bostonu do Waszyngtonu, które przez dwieście lat rozwoju zniszczyło środowisko, w okolicach cieśniny Puget wciąż można było zobaczyć dzikie lasy i góry oraz czystą wodę, w której łowić mogli zarówno zawodowi rybacy, jak i zapaleni sportowcy. Dzika fauna kwitła, zwłaszcza w samej cieśninie, gdzie pod dostatkiem było morskich stworów, od potężnych wielorybów po dokazujące wydry. Seattle słynęło wręcz z siedlisk krabów; nawet po wielu latach połowów wciąż nie brakowało tam tych wyśmienitych skorupiaków. Lasy dawały schronienie jeleniom, bobrom i dziesiątkom innych leśnych gatunków. Nawet dla najbardziej wymagających ekologów obszar ten był przykładem, że środowisko i przemysł mogą harmonijnie współistnieć.

W miejscu, gdzie morze przeciska się między Wyspą Victorii a lądem, kilka zaledwie kilometrów od miasta Port Angeles, supertankowiec „Petromaks Arctica” sunął mocno zanurzony, z brzuchem wypełnionym dwustu tysiącami ton ropy. Można było odnieść wrażenie, że relingi wystają zaledwie metr czy dwa ponad bijące o statek fale. Choć tankowce nie były czymś niespotykanym w cieśninie, to statki rozmiarów „Arctiki” - owszem. Bardziej niepokojący niż sama jego obecność w tym miejscu był lekki dym wydobywający się z kwadratowego komina. Silniki pracowały tylko z taką mocą, by opierać się pływowi wchodzącemu do cieśniny.

Choć ostatnie ćwierćwiecze jest pełne opowieści o katastrofach supertankowców - najśłynniejsze przypadki to „Exxon

Valdez", „Amaco Cadiz" czy „Torrey Canyon" - to wiele tych wielkich statków padło ofiarą burz, wypadków albo awarii mechanicznych. Tylko w jednym miesiącu w 1969 roku trzy tankowce z ponad dwustu tysiącami ton ropy na pokładzie zatonięły albo zostały poważnie uszkodzone. I mało kto poza branżą wiedział o tych zdarzeniach. Choć przyczyny katastrof bywają różne, rzadko kiedy zdarza się, że pojedynczy błąd może zatopić takiego olbrzymia. Aby tankowiec poszedł pod wodę, musi wystąpić wiele czynników, począwszy od błędu w projekcie, poprzez pogodę, aż po zwykłą ludzką pomyłkę. Do czasów promów kosmicznych żadne urządzenie nie miało tylu systemów zapasowych i zabezpieczeń - wszystko to miało zapobiec takiej katastrofie, jaka miała się niedługo wydarzyć na wodach prowadzących do cieśniny Puget.

Zgodnie z planem Iwana Kerikowa zniszczenie tankowca miało nastąpić tuż po odwołaniu jego sprzedaży spółce Southern Coasting and Lightering. Ponieważ uszkodzony statek nie mógł dopłynąć aż do zatoki San Francisco, umowę zerwano kilka dni wcześniej. Ten drobny szczegół tylko w niewielkim stopniu zmienił pożądany skutek całej operacji. Heroiczne działania kapitana Hausera sprawiły po prostu, że miastem docelowym stało się Seattle. Choć nie tak nastrojowe jak San Francisco, miało równie delikatny ekosystem, który miał ucierpieć nie mniej, kiedy ropa zaleje wybrzeże.

JoAnn Riggs miała za zadanie dopilnować, by do morza wyciekło jak najwięcej ropy, przy tym tak, by wyglądało to na wypadek, a nie celowe działanie. Ponieważ załoga miała zostać wkrótce wymordowana, a łódź ratunkowa dla terrorystów była już w drodze, nie będzie żadnych świadków ani fizycznych dowodów, że największy wyciek ropy w historii był aktem sabotażu. Najbardziej zachowawcze szacunki mówiły, że plama ropy rozciągnie się od Bellingham aż do Everett, a w najlepszym scenariuszu mogła pokryć dwieście osiemdziesiąt kilometrów wybrzeża od Vancouver do Tacoma. Na tym odcinku linia brzegowa była nieregularna i pozawijana w tysiące kilometrów płycizn, wysepek i zatoczek.

Rozkaz zabicia pozostałych członków załogi wzbudził u JoAnn Riggs chwilę refleksji. Powinien go wydać kapitan Albrecht, ale teraz obowiązek spadł na nią. Choć milion dolarów, jaki miał jej przypaść w udziale za tę operację, na pewno do pewnego stopnia zagłuszy poczucie winy, to i tak ociągała się z wydaniem Wolfowi tego polecenia. Stali po lewej stronie mostka. Wolf wyczuł jej niepokój i wiedział, że będzie musiał zabić załogę nawet bez wyraźnego rozkazu. W swoim życiu zamordował już tylu ludzi, że kilku więcej nie robi-

ło mu różnicy. Jednak stracił trochę szacunku dla tej kobiety, która przejęła tankowiec, jakby była urodzoną terrorystką. Odwrócił się do wyjścia, a milczenie Riggs uznał za ciche przyzwolenie. Choć to Wolf miał zabijać, odpowiedzialność i tak spadała na nią. Riggs zebrała się w sobie, żeby dokończyć to, za co jej zapłacono.

Maks Johnston dopilnował, żeby „Petromaks Arcticę” wyposażono we wszystkie możliwe automatyczne i systemowe zabezpieczenia przed rozlaniem choćby kropli ładunku. Aby więc celowo zatopić statek i mieć pewność, że ropa rozleje się w dużych ilościach i nic tego nie powstrzyma, trzeba było skorzystać z pomocy wszystkich terrorystów poza Wolfem i jednym z jego ludzi, który stałe mu towarzyszył. Pozostali otrzymali konkretne zadania i mieli je wykonać z wojskową dokładnością.

Ogromny kadłub „Arctiki” był podzielony na osiemnaście oddzielnych zbiorników. Taki system nie tylko zapobiegał wyciekowi całej ropy w przypadku uszkodzenia poszycia, ale też zapewniał tankowcowi większą stabilność na wzburzonych falach. Zbiorniki łączył złożony system zaworów i pomp, przez który głównie utrzymywano równowagę tankowca, kiedy wypompowywano z niego część ładunku. Komputer monitorował poziom ropy w każdym z przepastnych zbiorników i nie pozwalał, by tankowiec stracił równowagę nawet na najbardziej wzburzonym morzu, automatycznie wyrównywał poziom ropy w zależności od stanu statku i morza.

Riggs ze swoją ekipą musiała wyłączyć komputer i sterować ręcznie pompami, zaworami i pływakami, które odpowiadały za przepływ ropy. Komputer nie mógł stworzyć warunków niezbędnych do wyrzucenia towaru - nie pozwalały na to mechaniczne blokady oraz zabezpieczenia w samym programie. Ludzkie ręce, pchane chciwością lub szaleństwem, musiały pokonać wiele blokad i otworzyć je szeroko, choć komputer domagał się, by je zamknąć. Binarna moralność maszyny potrafiła zawstydzić moralność ludzi.

Pierwsza część ich planu zrzucenia ładunku „Arctiki” wiązała się z otworem wlotowym dla wody morskiej umieszczonym na rufie. Przez tę rurę o średnicy siedemdziesięciu pięciu centymetrów trzy pompy wciągały wodę morską do zbiorników w czasie czyszczenia i balastowania statku. Aby ładunek wyciekł ze zbiorników tą właśnie drogą, trzeba było otworzyć osiem różnych zaworów. Następnie siła ciężkości sprawi, że dwieście tysięcy ton ropy rozleje się po morzu. Co więcej, w miarę wyciekania ładunku statek będzie się podnosił, zwiększając ciśnienie wylotowe, a kiedy już rura znajdzie się ponad wodą, będzie tryskać ropą nawet na sześćdziesiąt metrów. O ile jakiś

nurek ratownik po zatopieniu jednostki nie sprawdzi sterowni i każdego zaworu z osobna, nie będzie żadnych dowodów sabotażu. Druga część planu polegała na tym, by czasowo usunąć górne kłapy w kilku zbiornikach i za pomocą systemu hydraulicznego zalać pokład ropą. Kiedy Riggs będzie gotowa do otwarcia rury wlotowej, kłapy zbiorników zostaną z powrotem założone, by usunąć wszelkie dowody majstrowania przy statku. Ekipy ratunkowe będą marnowały cenny czas na walkę z płomieniami, nie zdając sobie sprawy, że w sterowni pomp dokonano już znacznie większej szkody. Po trzecie, w szczelinie między podwójnym poszyciem tankowca wybuchnąć miały ładunki tak nastawione, by wysadzić dno, kiedy większość ropy będzie już sączyć się w stronę brzegu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to zatonięcie „Petromaksu Arctiki” pozostanie zagadką.

Riggs czekała w sterowni pomp, a kilku członków jej zespołu pracowało w labiryncie korytarzy wewnątrz kadłuba, podkładając ładunki wybuchowe i otwierając pokrywy sześciu zbiorników. Do tej pory komputerowe czujniki wykazywały, że system działa bez zastrzeżeń. Zbiorniki były doskonale zrównoważone, stosunek gazów w obojętnej mieszance zapobiegającej zapłonowi ropy mieścił się we właściwym zakresie.

Riggs chciała koordynować prace za pośrednictwem ręcznych krótkofalówek, ale wszystkie nagle przestały działać. Żaden z nadajników nie przesyłał nic a nic. JoAnn podejrzewała, że to kiepska seria baterii, nie przyszło jej do głowy, że ktoś zagłusza sygnał. Szybko sporządziła prowizoryczny plan i czekała teraz na odpowiednią godzinę, by wyłączyć komputer i uruchomić potężne pompy kontrolujące przepływ ropy po statku.

Kiedy tylko otwarto pokrywę jednego ze zbiorników, w sterowni rozległ się alarm komunikujący zmianę stosunku gazów w mieszance. Od tej pory groziła ona wybuchem. Po każdym alarmie Riggs przełączała kilka wyłączników i zawory kontrolujące przepływ ropy kierowały ją do zbiorników z otwartymi kłapami. Wypływała przez nie, bulgocząc gęstymi zakrzepami niczym z pierwotnych smolnych jezior, rozlewała się coraz większymi plamami. Pompowana w tempie piętnastu tysięcy ton na godzinę ropa już po kilku sekundach pokryła główny pokład grubymi na kilka centymetrów językami, które kanałami odpływowymi trafiały prosto do wód cieśniny. Radar Saaba mierzący wypełnienie zbiorników zaczął wyć jeszcze bardziej przenikliwie niż pozostałe dzwonki alarmowe. Riggs nie zważała na niego, pilnując, by cały pokład o powierzchni osiemnastu tysięcy metrów kwadratowych pokrył się ropą. Zadowolona wyłączyła pompę

i czekała, aż jej ekipa zamknie z powrotem pokrywy zbiorników, brnąc w śmierdzącym czarnym szlamie.

Wypuściła ropę tylko z sześciu przypadkowo wybranych zbiorników na osiemnaście. Kadłub zaczął żałośnie trzeszczeć z powodu dodatkowego nacisku wywołanego nierównym obciążeniem. Kiedy wybuchną ładunki podłożone we wnętrzu kadłuba, ten dodatkowy nacisk na stępkę przyspieszy rozpad statku. Wokół ciemnego kadłuba „Arctiki” zebrała się już lśniąca plama połyskująca kolorami tęczy, a ponad falami widać było kilkanaście centymetrów czerwonej minii pokrywającej kadłub pod linią zanurzenia.

Riggs spojrzała na zegarek. Było dziesięć po drugiej. Łódź wysłana po nią i resztę terrorystów miała się zjawić za kilka minut. Jakby czytając w jej myślach, stanął obok niej Wolf i powiedział:

- Łódź się zbliża. Już czas. - Jego twardy akcent maskował wszelkie ewentualne emocje, ale Riggs wątpiła, czy w ogóle jest zdolny cokolwiek odczuwać.

- Już po wszystkim? - zapytała o morderstwo załogi.

- Tak, nie żyją.

Na wszelki wypadek, gdyby wydobyto jakieś ciała albo morze wyrzuciło je na brzeg, Wolf i jeden z jego ludzi utopili po kolei wszystkich członków załogi tankowca w basenie pływackim ze słoną wodą na pokładzie rekreacyjnym. Każdego marynarza trzeba było zaprowadzić do basenu oddzielnie, ogłuszyć ciosem w głowę i przytrzymać pod wodą, póki nie przestanie się szarpać. Zabicie wszystkich dwudziestu czterech zajęło mu więcej czasu, niż przypuszczał.

Riggs i Wolf czekali w milczeniu przez kilka minut. Grupa terrorystów w tym czasie zamykała otwarte wcześniej zbiorniki. Kiedy zegarek Riggs wskazał drugą dwadzieścia po południu, ręcznie otworzyła osiem zaworów śrubowych prowadzących od ujęcia wody morskiej do głównych linii biegnących do zbiorników tankowca. Kiedy otworzyły się ostatnie zawory, ciśnienie ropy płynącej przez dwudziestopięciocentymetrowej średnicy rury dawało się odczuć aż w sterowni. Brzmiało to jak przejazd świszczącej lokomotywy przez długi tunel. Tam, gdzie trzy rury zbiegały się w jedną arterię o średnicy siedemdziesięciu pięciu centymetrów, potok ropy wydawał odgłos nieustannej eksplozji. Ropa zaczęła cieknać ze statku jak krew ze śmiertelnej rany.

Riggs się uśmiechnęła.

- Wynośmy się z tej trumny. Muszę tylko wpaść do łączności i nadać wołanie o pomoc, żebyśmy wypadli wiarygodnie jako bezbronne ofiary w obliczu śmierci. A potem możemy uciekać.

Rozmowa, jaką zamierzali przeprowadzić Mercer i Krutchfield na temat udziału cywilów w odbiciu „Petromaksu Arctiki”, skończyła się, kiedy zobaczyli ropę bulgoczącą wokół rufy supertankowca. Słona bryzaniosła ostry zapach, który czuć było nawet z odległości pół mili.

- *Madre de Dios* - mruknął Latynos i szybko się przeżegnał.

- Nie czekali na łódź ratunkową - Krutchfield stwierdził coś, co było widać gołym okiem. - Spóźniliśmy się.

- Może nie - rzekł sztywno Mercer. Spojrzał na Hausera, który przyglądał się z przerażeniem uszkodzonemu statkowi. - Kapitanie?

- Sam nie wiem - odparł w końcu Hauser. - Nie powiem, jak poważny to wyciek, póki nie znajdę się na pokładzie. Wygląda na to, że odwrócili obieg cieczy w rurze ssącej wodę morską i przerobili ją na otwór wylotowy. Albo zrobili dziurę. Nie mam pewności.

„Arctica” stała rufą do oceanu, a dziobem na wschód, do środka cieśniny Puget. Łódź motorowa przepłynęła całe czterysta metrów długości tankowca do miejsca, gdzie z rufowej części zwisała sznurowa drabinka. Kiedy mijali tankowiec, i tak nie byli w stanie wyobrazić sobie jego ogromu, niczym w przypadku góry lodowej, której cztery piąte zawsze znajduje się pod wodą. Burta statku czarna jak noc i gładka jak szkło ciągnęła się nieskończenie, kiedy Krutchfield podprowadzał „Happyhour” do drabinki. Aż trudno było uwierzyć, że człowiek mógł zbudować coś takiego własnymi rękoma, ale i tak Mercer i reszta drużyny widzieli tylko część statku. Kadłub sięgał pod wodą na głębokość dwudziestu metrów, czyli sześciopiętrowego budynku.

Kiedy dopłynęli do rufy, Mercer obejrzał się, by spojrzeć na cały tankowiec. Przypomniały mu się zdjęcia Wielkiego Muru Chińskiego - pas ciągnący się aż po horyzont. Ciarki przechodziły na ten widok.

Cały kadłub otaczała gruba trująca plama ropy.

- Czekajcie! - krzyknął ktoś z góry. Nad relingiem „Arctiki” wychyliła się mała plamka będąca czyjaś twarzą. - Schodzimy.

Krutchfield i dwóch pozostałych komandosów włożyli żółte sztormiaki, żeby zakryć swoje czarne mundury. Wyglądało, że na razie udało im się oszukać człowieka z tankowca. Kluczowe miało być następne kilka minut, kiedy komandosi będą się wspinać po drabinie z bronią ukrytą pod nieprzemakalnymi kurtkami.

- Nie, wracajcie na łódź. Już skończyliśmy! - zawołał terrorysta z tankowca. Bryza wiejąca przez cieśninę Juan de Fuca poniosła jego słowa.

Krutchfield zignorował rozkaz i szedł po chwiejącej się drabinie, bez trudu przebijając stopami po szczeblach. Pozostali członkowie

jego drużyny podążali tuż za nim. Kiedy się wspinali, wyglądali jak jeden organizm poruszający się płynnym falującym ruchem. Mercer odczekał chwilę, po czym sam wskoczył na drabinę, wiedząc, że za nim ruszy też Hauser. Kapitan miał gdzieś, czy Riggs albo któryś z terrorystów go rozpozna. „Petromaks Arctica” to jego statek, formalnie pod jego dowództwem, więc zamierzał zrobić wszystko, by zapobiec zniszczeniu.

Mercer znajdował się w trzech czwartych na górze drabinki, kiedy Krutchfield przeskoczył przez reling na pokład. Przypomniawsobie drabinki, na jakie wspinał się w dzieciństwie w kamieniołomach w Barre w stanie Vermont, gdzie się wychował. Skakał kiedyś po nich jak małpa, bez strachu, który teraz ścisnął mu żołądek i powodował skurcz w każdym bolącym mięśniu ciała. Nad jego głową ostatni z komandosów dotarł do szczytu i zniknął z pola widzenia. Nie wiedząc, co go czeka, ruszył za nim.

Nagle drabinka szarpnęła tak mocno, że Mercer zatrzymał się, żeby zobaczyć, czy przypadkiem Hauser nie ma jakichś kłopotów. Spojrzał w dół i stwierdził, że kapitan potrząsa drabiną, żeby zwrócić jego uwagę. Odruchowo Mercer uniósł wzrok i zobaczył, jak jeden z komandosów przelatuje nad relingiem. Chwilę później doszedł go odgłos wystrzałów.

Martwe ciało latynoskiego komandosa przeleciało obok niego, wirując w powietrzu, póki nie wylądowało płasko w wodzie. Biała piana wyglądała jak policyjny obrys wokół zwłok. Mercer wyszarpnął pistolet zza paska i nasłuchiwał odgłosów wystrzałów nad głową. Nie mógł stać w miejscu, bo był bezbronny jak kaczka wystawiona na strzał. Zamiast się cofnąć, pomknął na górę i wychylił na moment głowę przez reling, żeby ocenić sytuację.

Stalowy pokład był pusty, jeśli nie liczyć garstki błyszczących mosiężnych pocisków, które się po nim turlały. Smużki gryzącego dymu wciąż unosiły się z opróżnionych łusek, drażniąc jego nos jeszcze bardziej niż wyciekająca ropa. Po drodze do zamkniętych drzwi widać było strugi krwi.

Mechanicznie brzmiały głos sprawił, że Mercer omal nie spadł z drabinki.

- Manta do Poskoczka. Jesteśmy w pogotowiu.

Zapomniawsobie, że ma przy sobie krótkofalówkę Krutchfielda do komunikacji z „Tallahassee”. Wepchnął pistolet pod pachę, żeby uwolnić rękę, i sięgnął po nadajnik.

- Tu Poskoczek. Jesteśmy... Cholera jasna, sam nie wiem. Cze kajcie. Odezwę się.

Weisnął radio do kieszeni kurtki i przetoczył się na pokład, kryjąc się za wysięgnikiem szalupy ratunkowej na lewej burcie. Pozbawiony łodzi mechanizm dawał osłonę z każdej strony.

Ból, jaki przechodził wcześniej - od bicia, postrzału, upadku, utonięcia i podczas ucieczki z pożaru - nie miał teraz żadnego znaczenia. Adrenalina, naturalny narkotyk, od którego uzależnił się już dawno temu, zaczęła krążyć w jego organizmie. Widział, czuł i wyczuwał wszystko wyraźniej. Mercer działał jak automat i nie liczyło się nic innego.

- Hauser, ruszaj. Nie mamy czasu! - krzyknął, przebiegając obok drabinki.

Kiedy Hauser wszedł na pokład, Mercer już uderzał barkiem w drzwi do wnętrza nadbudówki. Ciężkie, stalowe drzwi walnęły o ściankę. Za nimi ciągnął się mroczny korytarz wyłożony wykładziną. Jakies dwa i pół metra dalej leżało coś ciemnego - jak się okazało, zwłoki jednego z terrorystów z piersią rozprutą przez serię z karabinu maszynowego komandosa. Kiedy Mercer pochylił się, żeby podnieść pistolet leżący obok trupa, podszedł do niego Hauser. Powietrze było aż ciężkie od ropy. Jej opary pokrywały gardła jak gęsta wydzielina i paliły w oczy, które stawały się czerwone i swędziały.

- Musimy dostać się do sterowni pomp. - Przez strach i napięcie Hauser mówił nienaturalnie głośno, jego głos niósł się echem po korytarzu.

W oddali rozległy się wystrzały. Pokład niżej toczyła się zacięta bitwa.

- Tędy nie przejdziemy - stwierdził Mercer, podejrzywając, że odcięto ich od sterowni pomp.

- Możemy dojść z drugiej strony statku, ale musimy się wycofać i przejść przez pokład na pokładzie kominowym. Ja poprowadzę.

- Nie, stój za mną. Jeśli wpadniemy w pułapkę, nie mogę ryzykować twojego życia. Mów tylko, którądy mam iść. - Mercer już biegł w stronę, z której przyszli. W zaciśniętych pięściach trzymał pistolety niczym rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu.

Hauser poprowadził Mercera przez liczne schody, na których stalowych stopniach się ślizgali. Na pokładzie pod mostkiem, gdzie mieściły się mesa załogi, kino, biblioteka i ambulatorium, Hauser zatrzymał się, by zajrzeć do mesy. Kiedy zobaczył, że jest pusta, przez twarz przemknął mu cień. Obawiał się najgorszego. Na samej górze, na pokładzie kominowym, przeszli przez całą szerokość tankowca. Z tego miejsca, blisko dwadzieścia pięć metrów nad wodą, Mercer widział doskonale plamę ropy rozrastającą się wokół niczym rak. Nie

był w stanie ocenić, ile ropy już wyciekło, ale nawet jedna kropla to było za dużo. Wysoka fala przechodząca przez cieśninę Juan de Fuca napotkała opór plamy i została stłumiona przez ciężar ropy. Został z niej ledwie wir, który nawet nie pofalował lśniącej powierzchni morza. Mercer i Hauser przemknęli przez pokład kominowy. Kapitan „Arctiki” deptał po piętach Mercerowi, który mijał nawiewy wentylacyjne, obudowy maszyn i mechanizm napędu windy. Hauser omal nie wpadł na Mercera, kiedy ten zatrzymał się tuż przed basenem. Bezwładne ciała załogi Hausera pływały po powierzchni wody jak porzucone zabawki. Ponury widok na długie sekundy zatrzymał obu mężczyzn, patrzących bez słowa na ten koszmar.

- Mercer, chcę ich dopaść. Muszą za to zapłacić... - Hauser nie mógł dalej mówić, tylko patrzył na to, co zrobili z jego załogą. Do oczu zaczęły mu napływać łzy wściekłości i frustracji. Starał się jednak zapanować nad emocjami.

- Obaj tego chcemy - powiedział cicho Mercer. Widział śmierć wielokrotnie pod jej tysiącem przebrań, ale nie mógł i nie chciał się na nią uodpornić. Był równie wstrząśnięty, jak kapitan Hauser.

Obok otworzyły się drzwi. Mercer w mgnieniu oka zlustrował ubranie mężczyzny wyglądającego na pokład. To nie był żaden z komandosów, więc Mercer strzelił błyskawicznie z obu pistoletów. Osiem pocisków wystrzeliło, kiedy tylko pociągnął za spusty. Sześć kul utkwilo w terroryście, przesywając go od uda po gardło. Kiedy padał na pokład, był już martwy.

Głęboko poniżej linii wody, na samym kilu „Petromaksu Arctiki”, mikroszczeliny spawalnicze na łączeniach kadłuba zaczęły rosnać, w miarę jak rósł nacisk niezrównoważonego ładunku w zbiornikach. Niczym drzewo targane mocnym wichrem, statek jęczał, metal tarł o metal, a zgrzyt niósł się echem po całej cieśninie. „Arctica” zaczynała pękać.

- Chodźmy. Musimy coś zrobić, żeby statek się nie rozpadł.

Hauser zaprowadził Mercera na przód nadbudówki, tuż nad mostkiem. Obaj stanęli jak wryci. Spodziewali się zobaczyć pomalowany czerwoną minią pokład wielkości trzech boisk futbolowych, tymczasem zastali potężną plamę ropy. Nad cuchnącą czarną breją widać było tylko podniesioną kładkę i dwie wieże mechanizmu hydraulicznego pośrodku statku.

- Co to znaczy? - wykrztusił w końcu Mercer.

- Prawdopodobnie zamierzają też podpalić statek. Nie wystarczy im, że wyleją z niego ropę, chcą też go spalić.

Daleko za dziobem tankowca, wydawało się, że wiele morskich mil dalej, Mercer dostrzegł białą pianę wody rozcinanej przez

zbliżający się kuter Straży Wybrzeża. Ale za późno było już na kawalerię. Trucizna łała się z tankowca tak szybko, że nim przybędą władze, dziewicze wody cieśniny Puget zostaną splamione dziesiątkami tysięcy ton ropy.

- Musimy zamknąć rurę ssącą! - wykrzyknął Hauser.

- Prowadź! - odkrzyknął Mercer i puścił się szybkim biegiem za Hauserem w stronę wnętrza supertankowca.

Przebiegli przez pomieszczenia dla załogi. Żaden z nich nie zważał na to, że ktoś mógł ich zaskoczyć. Gdyby natknęli się na jednego z terrorystów Riggs, mieliby szansę wyładować choć część nienawiści i gniewu. Na skrzyżowaniu pod koniec długiego korytarza Hauser poprowadził Mercera w lewo, a potem dwie kondygnacje niżej po schodach. Na razie nie spotkali nikogo. Statek zaczął się przechylać. Widać to było wyraźnie, kiedy weszli do środka, bo biegnąc, jednym ramieniem musieli opierać się o ścianę. Chemiczny smród stawał się z każdym oddechem silniejszy.

- Ile jeszcze? - Płuca Mercera płonęły od zmęczenia i petrochemicznej mgiełki, którą wdychał z każdym krokiem.

- Jeszcze jeden pokład - wydyszał Hauser. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Mercer znów ruszył do biegu, zacisnąwszy szczęki z determinacją. Dwanaście godzin wcześniej walczył, żeby uciec z tonącej platformy, teraz biegł do środka tonącego tankowca. Dostrzegł ironię tej sytuacji i ponuro zachichotał.

Wtem usłyszał głosy na dole schodów i przyległ płasko do ściany. Przez wycie alarmów nie mógł rozróżnić słów. Głosy mężczyzny i kobiety dochodziły najprawdopodobniej z korytarza, do którego omal z Hauserem nie weszli.

Zaryzykował i wyjrzał zza klatki schodowej. Zobaczył dwie odchodzące postaci. Żadna z nich najwyraźniej nic sobie nie robiła z sytuacji na statku ani nie przejmowała się wyjąkami alarmami. Hauser też wyjrzał i omal nie puścił się biegiem za JoAnn Riggs i terrorystą o nazwisku Wolf, ale Mercer go przytrzymał. Przycisnął kapitana do ściany i spojrzał mu w oczy.

- Oni nie są najważniejsi. Wiem, co czujesz, ale najpierw musy uratować statek. Musisz zatrzymać ropę.

Hauser z niechęcią przyznał mu rację i obaj pędem puścili się mrocznym korytarzem w stronę sterowni pomp. Kapitan od razu zaczął prostować statek i włączył trzy pompy, by spróbować wessać skażoną ropą wodę z powrotem do ładowni. To był akt desperacji, który się nie powiódł. Nacisk ropy, która pozostała w ładowniach,

był zbyt duży, by pompy mogły go pokonać. Ropa wciąż wyciekała z tankowca. Hauser musiał zamknąć podwójne zawory na głównej siedemdziesięciopięciocentymetrowej rurze i trzech mniejszych przewodach. W ten sposób zatamował wyciek ropy. W tym samym czasie Mercer próbował wyłączyć alarmy. Wznoszący się i opadający dźwięk był tak przenikliwy, że uszy bolały.

- Jak idzie?! - Mercer próbował przekrzyczeć alarmy. Hauser uwijał się jak w ukropie, skakał od jednego stanowiska do drugiego, przerzucał włączniki i sprawdzał wyświetlacze, po czym wracał do systemu komputerowego Damatic, przeskakiwał po pozycjach menu i przesuwiał myszką niczym dziecko, które gra na komputerze w wyścigi samochodowe.

- Chyba nam się uda. Próbuję przepływać ropę w zbiornikach. Muszę zrównoważyć statek. - Hauser spojrzał poważnie na Mercera. - Gdybyśmy przyszli tylko minutę później, nic nie byłbym w stanie zrobić, statek by pękł.

Nagle, bez ostrzeżenia, powietrze w sterowni ożyło, jakby przeszedł przez nie łuk elektryczny. Szalona seria dziewięciomilimetrowej amunicji przeorała stalowe ściany i sufit, rozbijając go na setki kawałków o naddźwiękowej prędkości; wypełniły powietrze jak oszalały rój. Poza świstem tych wystrzałów pojawiły się też dwa dudniące odgłosy broni większego kalibru. Mercera ocaliła metalowa szafka, w której przechowywano próbki ropy pobierane ze zbiorników podczas załadunku. Hauser nie miał tyle szczęścia.

Kapitan dostał brutalną serię w szerokie plecy. Na jego kurtce w miejscach, gdzie gorący metal przebił tkaninę i skórę, wykwitły czerwone plamy. Poleciał do przodu z krzykiem. Uderzył w biurko, zachwiał się na chwilę, a w końcu padł na podłogę, drgając jak w apopleksji.

Mercer wychylił się zza szafki i zobaczył, jak przez drzwi wypada jakaś ciemna postać. Strzelił raz, ale od razu wiedział, że się spóźnił. Podbiegł do drzwi i wyrzwał szybko na korytarz, czego omal nie przyplącił poderżniętym gardłem. Do ściany korytarza przywarł porucznik Krutchfield z pobrudzoną i zakrwawioną twarzą. W mundurze miał trzy krwawiące rany, a jego kevlarowa kamizelka wyglądała, jakby przebiegło przez nią spłoszone stado bizonów. Nóż, który przystawił Mercerowi do gardła, zdążył wyłobić cienką linię krwi, nim komandos zdał sobie sprawę, że omal nie zabił jednego ze swoich, i cofnął rękę.

- Prawie miałem tego sukinsyna, ale skończyła mi się amunicja. - Pistolet, który Krutchfield trzymał w drugiej dłoni, nie miał już naboju i jeszcze dymił. - Myślałem, że jesteś z nim.

- Chryste, przecież dopiero co ostrzelał tę salę. - Strach sprawił, że Mercer stracił nerwy. - Myślisz, że strzelały do swoich?

- Przepraszam. - Krutchfield zgasł szybko. - Nie najlepiej ze mną. Trochę za wolno myślę.

- Nie dziwię się. Straciłeś kupę krwi. - Mercer zaprowadził komandosa do sterowni i położył go na podłodze obok Hausera. Kapitan wydawał z siebie tylko od czasu do czasu ciche jęknięcia. Mercer obawiał się, że to groźny wstrząs. - Krutchfield? Ten twój drugi człowiek jeszcze żyje?

- Nie sądzę. Nieźle nas pokieroszowali przy wchodzeniu. Cze-kało na nas co najmniej sześciu. Zabezpieczyliśmy okolice drabinki, a potem rozdzieliliśmy się i pobiegliśmy za nimi. To nie był najlepszy pomysł - przyznał komandos.

- Musisz przeżyć, żeby mieć czego żałować. - Mercer sprawdził magazynki w dwóch pistoletach i z dwóch do połowy pustych zrobił jeden pełny. - Zostań z Hauserem. Zrób dla niego, co tylko możesz. Widziałem, że płynie do nas okręt Straży Wybrzeża. Pewnie Manta go wezwała. Pomoc będzie za kilka minut.

Mercer prawie zdążył wybiec ze sterowni, kiedy Krutchfield krzyknął za nim:

- Uwważaj na tego typa! Miałem go na muszce, kiedy pociągną-łem za spust, ale zdążył się uchylić, nim dostał kulę. To najszybszy sukinsyn, jakiego w życiu widziałem.

- Dzięki. - Mercer nie potrzebował takich wieści.

W korytarzu Mercer przez sekundę przyglądał się śladom krwi na podłodze. Może uciekający terrorysta jednak nie będzie aż taki szybki. Szedł z wyciągniętym przed siebie pistoletem po śladach krwi. Krył się najlepiej, jak potrafił. Kiedy krew zaczęła prowadzić go na zewnątrz nadbudówki, przyspieszył kroku. Uznał, że terroryście bar-dziej zależy na ucieczce niż dokończeniu tego, co zaczął w sterowni.

Kiedy w końcu wyszedł do naturalnie oświetlonego korytarza, do którego przez kwadratowe okna wpadało blade słońce, uświado-mił sobie, że terrorysta nie idzie w stronę drabinki linowej. Wyszedł bowiem na główny pokład po przeciwnej stronie tankowca i znacz-nie bliżej dziobu. Będąc tak blisko pokładu, Mercer poczuł ciepło bijące od leżącej na nim ropy. Kiedy wypompowywano ją spod ziemi w zatoce Prudhoe, miała prawie pięćdziesiąt stopni Celsjusza i od tego czasu straciła niewielką część tej temperatury. W porównaniu z ostrym październikowym powietrzem było to nawet przyjemne uczucie, ale smród był tak potężny, tak silny, że Mercer widział wręcz opary unoszące się znad plamy.

Spoglądając na połać głównego pokładu, łatwo było dostrzec ślady stóp zostawione przez ostatniego terrorystę JoAnn Riggs. Ropa powoli je zacierała, ale i tak było je widać. Bardzo daleko, za wieżami hydraulicznymi, biegła jakaś postać, utykając na jedną nogę, ale z całkiem niezłą prędkością jak na tak śliskie podłoże.

Mercer rzucił się w stronę biegnącej wyżej metalowej kładki, ciągnącej się nad środkiem pokładu. Miał nadzieję, że po jej suchej powierzchni pobiegnie szybciej, niż ścigając terrorystę bezpośrednio po pokładzie. Z radosnym zdziwieniem zobaczył przy wsporniku stary rower. Poobijany bicykl stał tu dla wygody członków załogi, którzy musieli czasem udać się podczas rutynowych operacji na dziób statku. Na każdym tankowcu zwykle można znaleźć taki rower.

Po kilku sekundach zaczął szybko doganiać terrorystę. Wolf był pewien, że słyszał jakieś głosy, kiedy wychodzili z JoAnn Riggs ze sterowni. Kiedy szli, niemal czuł na plecach czyjś wzrok, ale się nie odwrócił. Dopiero kiedy znaleźli się na głównym pokładzie i zobaczyli rzeź jego ludzi, postanowił wrócić do wnętrza statku i pozbyć się przeciwnika. Riggs szła dalej w stronę drabinki i motorówki. Wolf wiedział, że sterownia będzie logicznym celem kontrataku. Tylko z tego miejsca można było zapobiec rychłej katastrofie tankowca.

Kiedy uciekał po pokładzie, biegnąc najszybciej jak mógł z bolesną raną uda, w które postrzelił go Krutchfield, zrozumiał, że powrót do sterowni był poważnym, może nawet śmiertelnym błędem. Wbrew wszystkiemu, czego go uczono, poddał się emocjom. Nawet gdyby komuś udało się powstrzymać katastrofę „Petromaksu Arctiki”, on i tak wykonał przeciw swoje zadanie. A mimo to wrócił do sterowni i dał się poważnie postrzelić.

Teraz popędził na dziób, licząc, że komandos SEAL, który go postrzelił, pobiegnie za nim. Jeśli ma zginąć na tym przeklętym statku, to chciał mieć okazję zabić chociaż jednego Amerykanina. Wolf obejrzał się za siebie, spodziewając się, że jest ścigany, i wtedy kątem oka zobaczył jakiegoś szaleńca na rowerze pędzącego w jego stronę po znajdującej się wysoko kładce. Rzucił pusty pistolet na pokład i z głębokich kieszeni bojówek wyciągnął pokrytą woskiem flarę, którą nosił ze sobą od początku operacji. To on miał podpalić ropę leżącą na pokładzie, zanim ucieknie ze statku wraz z Riggs i resztą drużyny.

Mercer, zobaczywszy, że postać poniżej odwraca się i odrzuca karabin, wyhamował ostro na kładce. Rzucił rower na metalową

podłogę i stanął, żeby starannie wycelować. Zanim jednak zdążył przyjąć właściwą postawę, terrorysta szarpnął prawą ręką i w dłoni błysnęło mu czerwone słońce. Z flary, którą trzymał, poszły kłęby ostrego dymu.

- Rzuć broń albo cały statek stanie w płomieniach! - krzyknął Wolf do człowieka na kładce.

- Nie musisz tego robić. Wyrzuć flarę za burtę - odparł Mercer. Wolf stał w kałuży ropy głębokiej na pięć centymetrów, ale rozlanej na obszarze kilkunastu tysięcy metrów kwadratowych. Tuż za jego plecami pokład bulgotał - spod niedokładnie domkniętej klapy wciąż lała się ropa.

Dwieście tysięcy ton bardzo wybuchowej ropy. Dwieście kiloton. W obliczu śmierci Mercer obojętnie zastanawiał się, czy tona trotylu ma większą siłę wybuchu niż tona ropy. Przypomniawszy sobie, że siłę wybuchu w Hiroszimie oceniano na odpowiednik dwudziestu kiloton. Nawet jeśli trotyl jest bardziej wybuchowy niż ropa, to i tak w tej chwili Mercer stał nad bombą wielokrotnie silniejszą niż Mały Chłopiec.

Próbował sobie przypomnieć to, co Hauser mówił o gazach w zbiornikach. Dlaczego powietrze w ładowni musiało być obojętne? Mercer był tak zmęczony, że nie pamiętał, dlaczego to powietrze w zbiornikach z ropą było takie ważne.

- Owszem, muszę to zrobić! - odkrzyknął Wolf, machając flarą niczym w Święto Niepodległości. Ruch światełka w jego dłoni hipnotyzował go niczym taniec kobry. - Choćby po to, żebyś zginął razem ze mną.

Mercer zacisnął dłoń na pistolecie i wycelował w pierś Wolfa. Wtedy sobie przypomniał. Ropa pali się tylko w bardzo wąskim przedziale mieszanki gazów. Aby zaczęła płonąć, musiała się zmieszać dokładnie z jedenastoma procentami tlenu. Jeśli tlenu było za dużo albo za mało, mieszanka była niepalna, chyba że ropę się wcześniej podgrzało. Licząc na to, że mieszanka jest bezpieczna, i nie myśląc dalej, Mercer poprawił cel i strzelił szybko trzy razy. Dziewięciomilimetrowe pociski oderwały rękę Wolfowi, tak że zaczęła mu zwisać bezużytecznie u boku, przytrzymywana jedynie skrawkami skóry i mięśni. Flara, której końcówka płonęła w temperaturze kilkuset stopni, wypadła mu z martwych palców i wylądowała z leniwym plaśnięciem na pokładzie.

Wolf krzyknął z bólu i padł na kolana. Wtedy zobaczył obok siebie karmazynową flarę. Jasny płomień buchał z końcówki niczym mały silnik raketowy. Próbował wstać, ale rany w nodze i ręce pozbawiły go koordynacji tak bardzo, że przewrócił się na twarz na pokład. Po kilku sekundach utonął w ropie, nie mogąc odwrócić twarzy.

Kiedy tylko Mercer wystrzelił i zobaczył, że Wolf upuścił flarę, przeskoczył przez reling kładki. Choć ropa się nie zapaliła, nie chciał nadmiernie ryzykować. Wylądował twardo na pokładzie i pośliznął się w zalegającej go mazi tak, że upadł w końcu na plecy. Aż go zapiekły pośladki i krzyż, uderzył też mocno tyłem głowy. Bardziej ślizgając się niż pełzając, sięgnął w końcu po flarę, podniósł i trzymał wysoko nad sobą. Kapiące z niej kropelki ropy zaczęły płonąć żółtymi płomykami, które zatrzymały się na jego ciele. Wolną ręką zdusił te płomienie i ostrożnie wstał, a potem podreptał do relingu „Arctiki”. Rzucił flarę daleko w wody zatoki, poza granicę plamy ropy, która wyciekła z ładowni.

- Poskoczek, tu Manta. Zgłoś się, proszę.

Mercer stał przy relingu, obserwując flarę, która dogasła w wodzie. Nie miał ochoty odpowiadać na wezwanie okrętu podwodnego czającego się pod tankowcem, ale zaczął go dochodzić niepokojący hałas. Sięgnął do kieszeni po krótkofalówkę.

- Tu Poskoczek. Mów.

- Sonar wykrył ruch łodzi z napędem na dwie śruby, która szybko odpływa od tankowca. Sygnał pasuje do waszej motorówki. Możecie potwierdzić, że jesteście na jej pokładzie?

Spojrzał wzdłuż statku, za miejsce, gdzie skrzydło mostka wystawało poza burtę. Za rufą zobaczył, jak „Happyhour” ucieka od tankowca na otwarty Pacyfik. Krutchfield i Hauser leżeli w sterowni, reszta komandosów nie żyje - podobnie jak załoga tankowca. Tylko któryś z terrorystów albo JoAnn Riggs mogą uciekać motorówką.

- Nie, Manta. Na motorówce płyną terroryści. Możecie ich zdjąć?

- Tak jest.

USS „Tallahassee” przemknęła zaledwie dziewięć metrów pod powierzchnią wody, tworząc wir niczym jakaś wielka ryba. Mercer nie mógł wręcz uwierzyć, jaką szybkość rozwijał okręt podwodny i jaką niezwykłą zwinnością wykazywał się w pościgu za uciekającą jednostką. Obserwował całą scenę w napięciu, czekając na wybuch torpedy uderzającej w rufę motorówki, ale wybuch nie nastąpił. „Happyhour” była już tylko maleńką plamką na horyzoncie, kiedy nagle tuż za nią z morza wynurzył się lśniący czarny lewiatan.

Niczym skory do zabawy delfin „Tallahassee” wynurzyła nos w kilwaterze „Happyhour”, po czym wielki kadłub wynurzył się na dwanaście metrów z wody. Potężna masa przewyciężyła w końcu rozpęd, jaki nadały jej atomowe silniki, i okręt wpadł z powrotem do wód cieśniny, wzbijając ściany spienionej wody. „Tallahassee” zniknęła niemal tak szybko, jak się pojawiła. Od razu po wyjściu

na powierzchnię zanurzyła nos i poszła pod wodę, tworząc potężny wir za odpływającą motorówką. Próżnia wytworzona przez kadłub okrętu zaczęła wsysać cztery tysiące ton wody.

JoAnn Riggs i „Happyhour” zostały pochłonięte przez wir, jakby nigdy nie istniały. Motorówka zniknęła tak szybko, że przelatująca nad nią akurat mewa też poszła pod wodę i utonęła. Po kilku sekundach buzująca woda się uspokoiła. W miejscu gdzie zginęła Riggs, nie zostały nawet żadne szczątki łodzi.

Gdyby Mercer nie widział tego na własne oczy, w życiu by w to nie uwierzył. Dopiero co widział, jak „Happyhour” ucieka na otwarty ocean, a za chwilę została wessana przez stwora z koszmaru, niczym Jonasz połknięty przez wieloryba. Zniknęła. Na zawsze.

- Manta do Poskoczka, Manta do Poskoczka. Misja wykonana. Straż Wybrzeża donosi, że dopłyną do was za dwie minuty. W drodze są tankowce, które mają przepompować wasz ładunek, a władze Seattle dostały już ostrzeżenie o wycieku. Ekipy ratunkowe już jadą. Odmeldowujemy się na naszą planową misję.

Mercer uśmiechnął się, słysząc radosny głos w krótkofalówce. Nie miał pojęcia, że to kapitan okrętu podwodnego, ale nie zdziwił się potem, kiedy się o tym dowiedział.

- Rozumiem, Manta. Tu Poskoczek. Rozłączam się, bez odbioru. I ogromne dzięki. - Zaczął brnąć w stronę nadbudówki, gdzie kuter Straży Wybrzeża już podchodził do cumowania.

Na osiem minut przed wybuchem ekipa Straży Wybrzeża odkryła i rozbroiła ładunki umieszczone w podwójnym poszyciu „Arctiki”. Przyływ, który według Riggs i Kerikowa miał rozlać plamę ropy na całym wybrzeżu nad cieśniną Puget, nie był tak wysoki, jak przewidywano, a ponad pięćdziesiąt milionów litrów ropy - choć to więcej niż wypłynęło z „Exxon Valdez” - nie spowodowało takiej katastrofy ekologicznej, jaka się marzyła terrorystom.

Śmigłowiec odwiózł kapitana Hausera i porucznika Krutchfielda do szpitala. Obaj przeżyli. Mercer wiedział, że musi się zająć jeszcze tylko jednym drobiazgiem, i zaczynał czuć, że w końcu może uda mu się zakończyć całą tę sprawę.

Zjednoczone Emiraty Arabskie

Patrząc na kulę ziemską, trudno wyobrazić sobie punkt bardziej odległy od Seattle niż Zatoka Perska. Leżą niemal dokładnie na przeciwnych krańcach planety. Ale i tak Mercer nieco szybciej dotarł

tam, lecąc najpierw do Nowego Jorku, potem przez całą Europę, aż na Bliski Wschód, zamiast przez Eurazję. Nie pamiętał lotu przez Amerykę. Zasnął, kiedy tylko wszedł na pokład w Seattle, i obudził się, gdy samolot dotknął kołami lotniska w Nowym Jorku. Ponieważ atak terrorystyczny na londyńskim Heathrow zdeorganizował ruch lotniczy, do Europy można się było dostać szybko jedynie na pokładzie naddźwiękowego concorde'a linii Air France. Wolałby jakiś wolniejszy środek transportu, zwłaszcza że przez lotnisko Kennedy'ego snuł się jak zombi i zamierzał spać przez całą drogę nad Atlantykiem. W wąskim i opływowym niczym pocisk samolocie udało mu się zdrzemnąć jedynie na dwie godziny.

W Paryżu na lotnisku Charles'a de Gaulle'a panował całkowity chaos, bo tysiące uziemionych pasażerów próbowało jakoś dostać się na Wyspy Brytyjskie. Gdyby był czujniejszy, może bardziej by się tym przejął, ale w tym stanie po prostu przespał godzinę, jaka została mu do wylotu do Abu Zabi.

Brutalny blask pustynnego słońca w Abu Zabi był ulgą po niedawnych przygodach w chłodzie i wilgoci. Czuł, że będzie potrzebował wielu tygodni, aby dostatecznie się wygrzać po lodowatej wodzie w czasie ucieczki z platformy Petromaksu. Miał ze sobą jedynie małą torbę z ubraniami kupowanymi w pośpiechu na lotnisku Kennedy'ego, więc przez cło przeszedł w kilka minut. Minął potężną wolnocłową galerię handlową i wyszedł na drogę przed lotniskiem międzynarodowym.

Czekając na człowieka, który miał go odebrać - pułkownika o nazwisku Wayne Bigelow - Mercer postawił torbę na ziemi i nie zważając na taksówkarzy ani szoferów z limuzyn oferujących podwiezienie do stolicy Abu Zabi, znów zamknął oczy i zdrzemnął się oparty o latarnię. Kiedy już się wreszcie wygrzeje, nadal będzie spłacał potężny dług snu, jaki zaciągnął podczas niedawnych wydarzeń.

Tuż obok rozległ się klakson samochodowy. Mercer oprzytomniał. Podczas rozmowy z Seattle wyrobił sobie dość konkretne wyobrażenie, jak wygląda pułkownik Bigelow, i spodziewał się, że stary żołnierz przyjedzie po niego poobijanym land-roverem bez dachu i z wielką oponą z tyłu. Tymczasem Bigelow wychylił się z okna nowiutkiego mercedesa 600 SEL sedan. Czarny lakier błyszczał w słonecznym świetle.

- Doktor Mercer, jak mniemam? - Bigelow mówił po angielsku z akcentem z ery kolonialnej. Brzmiał jak głos dawno minionej epoki. Przysypałe siwizną wąsy miał nawoskowane aż po same koniuszki,

a twarz ogorzałą i ciemną jak pień drzewa. Choć siedział w luksusowym aucie, widać było po nim twardy wojskowy dryl. Mercer podejrzewał, że kiedy Bigelow umrze, rigor mortis pewnie nieco go rozluźni. Z miejsca polubił staruszkę.

- Przynajmniej to, co ze mnie zostało. - Mercer odepchnął się od latarni, wziął torbę i podszedł do samochodu.

- Przepraszam za spóźnienie, ale nie mogłem sobie rano darować fajerwerków. Te hornety waszej marynarki robią cholernie dobre wrażenie. Wyją jak ogary. - Bigelow zauważył, że Mercer powoli obchodzi mercedesa i ostrożnie usadawia się w skórzanym fotelu pasażera. - Zdaje się, że macie z Khalidem Khuddarim tego samego krawca. - Prawą rękę Mercer nosił na temblaku, żeby zmniejszyć napięcie naderwanych więzadeł barku.

- Niesamowite, ile to budzi współczucia. Nawet stewardesy w Air France zachowywały się po ludzku.

- Trzeba było przylecieć BOAC. - Starszy pan wciąż używał dawnej nazwy British Airways. - Ale podejrzewam, że zamieszanie na Heathrow pokrzyżowało im szyki na kilka dni.

- Wszystko poszło zgodnie z planem? - zapytał Mercer. W czasie gdy leciał przez kilka lotnisk na wschód i przekraczał trzynaście stref czasowych, gubiąc po drodze kilka godzin, minął cały dzień, od kiedy wraz z kapitanem Hauserem zapobiegli zniszczeniu „Petromaksu Arctiki”.

- Jak w szwajcarskim zegarku - potwierdził Bigelow z szerokim uśmiechem. Mercedes sunął jakieś sto sześćdziesiąt na godzinę po wstążce asfaltu rozcinającej biały pustynny piasek. - Ale niech już minister Khuddari wprowadzi pana w szczegóły.

- Z rozmowy z jego sekretarką zrozumiałem, że minister odniósł w Londynie poważne obrażenia podczas ataku pod British Museum i później na Heathrow.

- Siri ma do niego słabość. W jej opisie rany wyglądają o wiele gorzej niż w rzeczywistości. Dostał paroma odłamkami, ale nie było to nic groźnego dla życia. A przy skoku z samolotu nabawił się okropnego przesunięcia kręgosłupa. - Bigelow po chwili dodał czule: - Chłopak spadł z trzech metrów i na parę godzin się wyłączył. A znam facetów, którzy skakali z półtora kilometra bez spadochronu, po czym wstawali i szli dalej, lekko tylko utykając. Mówiłem, że powinien pójść do Sandhurst, a nie do Cambridge i London School of Economics. Chłopak jest o wiele za miękki.

- Od dawna go pan zna? - Mercer uśmiechnął się, słysząc szorstką czułość w głosie pułkownika.

- Od kiedy ojciec przyniósł go z pustyni jako chłopca. Ludzie tacy jak on to przyszłość Zatoki. Mogą funkcjonować w świecie za chodnim, ale zachowują tradycje i wiarę. Wszystko ma swoje właściwe miejsce i udaje się zachować prawdziwą równowagę. Ten populamy dziś fundamentalizm to ślepa uliczka. Niezależnie, czy chodzi o wiarę w Allaha, czy we współczesną cywilizację, Arabowie muszą się nauczyć, żeby zachować umiar. Niestety, do wszystkiego podchodzą tak emocjonalnie, że nie zauważają subtelnych kompromisów życia.

Mercer się roześmiał.

- Niedawno wygłosiłem podobne przemówienie o ekologach.

- Bo to dotyczy każdego - przytaknął Bigelow.

Kiedy wjechali do miasta, pułkownik zaparkował w garażu pod nowoczesnym biurowcem ze szkła i stali. Stał na miejscu z tabliczką z własnym nazwiskiem przykręconą do betonowej ściany.

- Może pan zostawić torbę. Zresztą na czas pobytu w Abu Zabi samochód i tak należy do pana. Mam nadzieję, że będzie się panu jeździło lepiej niż mnie. Ja wolę mojego starego rovera od tych nie mieckich burdelików na kółkach ze skórzanymi obiciami.

Choć budynek nie mógł mieć więcej niż kilka lat, Bigelow zaprowadził Mercera w miejsce, w którym czuło się ducha wiktoriańskiego gmachu: gipsowe ściany, ciemne drewno i sufity na wysokości co najmniej trzech i pół metra. Można było poczuć dezorientację, ale było to bardzo miłe uczucie w tym sterylnym mieście. Drzwi do biura Khalida Al-Khuddariego składały się z dwóch skrzydeł, każde z jednego kawałka mahoni o rozmiarach metr dwadzieścia na dwa metry siedemdziesiąt. Mercer wiedział, że drzwi muszą być zabytkowe, bo nie znajdowało się już dziś takich drzew.

Sekretariat biura był duży, bogato zdobiony i zachęcający. Odcienie kolorów dobrano tak, by pasowały do pobliskiej pustyni i lazuru Zatoki na północy. Biurko na końcu pomieszczenia miało wielkość stołu do tenisa, ale było doskonale zorganizowane. Nawet kable biegnące od komputera były ciasno zwinięte, by nieco ukryć ich brzydką funkcjonalność. Mercer zakładał, że kobieta wychodząca z biurka to sekretarka Khuddariego Siri Patal. Nie był gotowy na jej wyjątkowo delikatne piękno. Oczekiwał ciężkiej matrony, takiej, jakie widywał w hinduskich restauracjach w całym Waszyngtonie. Siri Patal mogłaby być modelką. Jej płynne ruchy i ciało niczym trzcina wyglądały wręcz wyjątkowo. Przyszła mu do głowy całkowicie szowinistyczna myśl, że Khuddari pewnie ma dość oleju w głowie, żeby mieć romans z tą kobietą. Na miejscu Khuddariego on na pewno by miał.

- Witam, pułkowniku - przywitała go Siri z szacunkiem. Ten, nie zważając na jej formalizm, musnął ją wąsem w policzek.

- Cześć, skarbie. Jak się ma moja dziewczynka?

- Ależ panie pułkowniku... - Zarumieniła się i wskazała głową w kąt pomieszczenia.

Na jednej z dwóch skórzanych sof siedział, wertując jakiś nafciar-ski magazyn, Jim Gibson. Podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

- Nie przejmuj się mną, panienko, rób swoje. - Kiedy odezwał się swoim donośnym teksaskim głosem, stetson i kowbojskie buty od razu wydawały się jak najbardziej na miejscu. - A niech mnie gęś kopnie! Mówili mi, że przyjedziesz, Mercer, ale nie chciałem w to uwierzyć. Mercer to górnik, mówiłem, a w tym kraju poza ropą pod dostatkiem jest tylko piasku. A że nikt już nie mierzy czasu klepsy drą, to nie bardzo jest po co go wydobywać.

Mercer uściśnął niezdarnie dłoń Gibsona lewą ręką. Cała pięść zniknęła mu w wielkim łapsku Tekszańczyka.

- Jim, dzięki za wszystko. Gdybyś nie skontaktował mnie z pułkownikiem Bigelowem, świat mógłby dziś wyglądać zupełnie inaczej.

- Cholera jasna, nie rozmawialiśmy od czasu Nigerii, a ty nagle dzwonisz i mówisz coś o spisku przeciw rządowi i sabotażu. Kiedy usłyszałem o aferze z rurociągiem na Alasce i upewniłem się, że nie kopnąłeś w kalendarz, zrobiłem to, co zrobiłby każdy bohater. - Gibson się roześmiał. - Nauczyłem się tego od samego Księcia, Johna Wayne'a. Co się robi, kiedy okrażają cię Indianie? Wzywa się kawalerię, prawda? Cieszę się, że mogłem pomóc. A skoro już o tym mowa, to czas, żeby bohater odebrał swoją nagrodę.

Mercer uniósł brew, patrząc na krzepkiego geologa.

- Wielki ksiązę chce powiększyć swoją stadninę, a że zna mnie jako doskonałego eksperta od koni, wysłała mnie na wielkie zakupy do Europy i Stanów. Powiedział też, że jeśli wpadną mi w oko jakieś klaczki, to mam się nie krępować i kupić coś dla siebie. Na czeku, który dostałem, jest więcej zer niż na głównej wygranej w loterii. - Gibson pstryknął w kapelusz. - Panno Siri, pułkowniku. Mercer, szkoda, że tak krótko się widzimy, ale muszę zdążyć na samolot.

Kiedy tylko Gibson wyszedł, otworzyły się drzwi prowadzące do gabinetu ministra Khalida Al-Khuddariego. Minister miał na sobie sportowe ubranie - amerykańskie dżinsy i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Podpierając się dwiema łaskami, powoli, ale pewnie wszedł do sekretariatu. Prawie cały ciężar ciała opierał na rękach. Mercer szybko zerknął na Siri Patal i pozazdrościł Khuddariemu spojrzenia, które posłała mu sekretarka. Bolesnie przypomniała mu

się Aggie Johnston. Nie zamienili słowa od wydarzeń na Alasce. I pewnie już nigdy nie porozmawiają.

- Doktorze Mercer, to zarówno przyjemność, jak i zaszczyt pana poznać - odezwał się minister, podchodząc bliżej. Przyjrzał się uważnie Mercerowi i dokonawszy osobistej oceny, uśmiechnął się lekko. - Założę się, że pańskie obrażenia są znacznie poważniejsze, niż to wygląda na pierwszy rzut oka.

- Wygląda na to, że jeszcze żyję. - Mercer nie zrobił żadnego gestu, żeby uścisnąć dłoń Khuddariemu, bo mógł poruszać tylko lewą ręką, a wiedział, że podawanie Arabom tej ręki, uważanej przez nich za nieczystą, było oznaką braku szacunku.

- Obaj sporo przeszliśmy - powiedział Khuddari tak cicho, że usłyszał go tylko Mercer. Amerykanin skinął głową w milczeniu, doskonale rozumiejąc znaczenie tych słów. Powaga zniknęła z twarzy Khuddariego tak szybko, jak się pojawiła, i znów stał się czarującym gospodarzem. - Zapraszam do mojego gabinetu. Czeka nas długa rozmowa, każdy z nas ma wiele wojennych opowieści. Myślę, że nawet pułkownik Bigelow będzie pod wrażeniem. Jak pan sądzi?

Mercer się roześmiał.

- O ile któryś z nas nie pokonał własnoręcznie Rommla, to chyba nie zaimponujemy pułkownikowi.

Khuddari był rozbawiony tym trafnym opisem swojego przyjaciela i mentora. Uśmiechnął się, widząc, jak Bigelow się krzywi.

Zaprowadził ich do swojego gabinetu i zajął miejsce za biurkiem, kładąc nogi na otomanie i opierając laski o ścianę niczym szable po pojedynku. Bigelow i Mercer usiedli naprzeciwko. Ponieważ wewnętrzny zegar Mercera rozregulował się zupełnie przez wyczerpanie i zmiany stref czasowych, nie odmówił, kiedy Bigelow zaproponował whisky z flaszki ze złotą zakrętką, którą wyjął zza pazuchy bluzy koloru khaki.

- Zacznijmy od tego, że najbliżsi przyjaciele zwracają się do mnie Khalid. Chciałbym, żeby i pan się do nich zaliczał. Czy mogę darować sobie formalny tytuł i zwracać się do pana Philip?

- Przyjaciele mówią do mnie Mercer. Podobnie zresztą jak wrogowie, ale to naprawdę nie ma znaczenia.

- W takim razie pozwól, Mercer, że oficjalnie ogromnie ci podziękuję w imieniu Zjednoczonych Emiratów Arabskich i wszystkich innych mieszkańców krajów Zatoki. Obawiam się, że bez ciebie to, co postrzegaliśmy jako nasz wewnętrzny problem, rozrosłoby się i objęło cały region. Ostrzegłeś nas w samą porę i udało się zapobiec nie tylko rewolucji u nas, ale i destabilizacji na całym Bliskim Wschodzie.

Mercer próbował się krygować, ale Khuddari ciągnął dalej:

- Od pewnego czasu mieliśmy na oku pewnego wywrotowca tu w Emiratach, Hasaana bin-Ruftiego, ale nie wiedzieliśmy, do jakiego stopnia jest w zмовie z innymi... powiedzmy... mniej przyjazny mi krajami. O koneksjach Ruftiego z Irakijczykami i Irańczykami dowiedziałem się później, w Londynie, ale byłem unieruchomiony i nie mogłem przekazać tych wiadomości do kraju.

Po chwili podjął:

- Na szczęście, kiedy tylko pułkownik Bigelow się dowiedział, że mój wylot z Londynu opóźnił atak terrorystyczny na Heathrow, słusznie wydedukował, że była to próba zamachu na mnie. Z własnej inicjatywy aresztował Hasaana Ruftiego po powrocie ze szczytu OPEC. Choć mieliśmy Ruftiego w rękę, wciąż nie wiedzieliśmy, gdzie ukrył swoich ludzi. I wtedy pojawiłeś się ty.

Minister zaczerpnął powietrza.

- Łącząc zamachy na Alasce z Petromax Oil i Southern Coasting and Lightering, podsunąłeś nam pomysł, gdzie mogą się kryć ludzie Ruftiego. W trakcie sprzedaży floty Petromaksu na rzecz SC&L, ich statek „Petromaks Arabia” został przemianowany na „Południowy Akcent”. Statek o tej nazwie, którego nikt nie znał, od paru tygodni stał w naszym porcie. Bez ciebie nigdy nie domyślilibyśmy się, że ma on związek z całą sprawą. Mówię poważnie. Ludzie, których ukrył na nim Rufti, mogli zejść na brzeg i przejąć ten kraj szybciej, niż Saddam zajął Kuwejt w 1990 roku.

- Czy słusznie podejrzewam, że zamachy na rurociąg na Alasce i zatopienie „Petromaksu Arctiki” miały być sygnałem dla Ruftiego do rozpoczęcia rewolucji tutaj?

- O ile się orientujemy, to tak - przyznał Khalid.

- A cały ten plan narodził się w głowie byłego agenta KGB o nazwisku Iwan Kerikow...

- Wiemy wszystko o Kerikowie - wszedł mu w słowo Bigelow. - Widziano go w zeszłym roku w Stambule na spotkaniu z Hasaanem Ruftim. To wtedy uknuli ten plan.

- Nie uknuli, pułkowniku, tylko ukradli - odparł Mercer. - Od komputerowego eksperta, którego zatrudnił Kerikow, dowiedzieliśmy się, że uruchomiony przez niego program w systemie Alyeski został tam umieszczony przez uśpionego agenta KGB jeszcze w czasach zimnej wojny. Wiele lat temu Kerikow natknął się na ten plan i kody niezbędne do przejęcia kontroli nad komputerami Alyeski. Czekał na kogoś takiego jak Rufti, kogoś, kto będzie chciał zapłacić za trwałe unieruchomienie rurociągu na Alasce.

- Ale po co? I dlaczego teraz?
- Niszcząc rurociąg, a potem zatapiając tankowiec z ropą, Kerirow i Rufti mogli mieć pewność, że Stany Zjednoczone porzucą plan odcięcia się od dostaw ropy z zagranicy i przerwania się wyłącznie na krajowe dostawy oraz energię ze źródeł alternatywnych. Prezydencka polityka energetyczna, której nie znosi wielu wysoko postawionych ludzi w Waszyngtonie i finansistów z Nowego Jorku, poszłaby do kosza, zanim zdążono by ją wcielić w życie.
- A więc Rufti chciał wykorzystać ataki w Ameryce zarówno jako sygnał, jak i odwrócenie uwagi, dzięki czemu wraz ze swoimi nowymi współnikami z Iranu i Iraku miał opanować Bliski Wschód. - Khalid dopiero teraz zaczynał rozumieć, jak daleko sięgał spisek mający na celu przejęcie władzy w jego kraju. - Rufti wykorzystał taktyczne lekcje z wojny w Zatoce i chciał uderzyć, kiedy Ameryka będzie zajęta wewnętrznymi sporami po podwójnej katastrofie związanej z ropą. W ciągu kilku dni przejąłby Emiraty, a w ciągu kilku tygodni resztę regionu. Niewiarygodne! Ale skąd miał pieniądze? Wielki książe wspominał o tym przed moim wyjazdem do Londynu. Wbrew temu, co sądzi reszta świata, nie każdy mieszkaniec kraju należącego do OPEC jest obrzydliwie bogaty. Owszem, Rufti jest milionerem, ale na pewno nie stać go było na sfinansowanie tak skomplikowanej operacji.
- Obawiam się, że tu właśnie pojawia się Maks Johnston - rzekł Mercer. - W pewnym sensie sfinansował całą tę operację. Początkowo była to prosta biznesowa decyzja, ale później odkrył, że kryje ona ciemniejszą stronę. Z powodu nowej prezydenckiej polityki energetycznej firmy naftowe starały się zarobić jak najwięcej w ciągu dziesięciu lat, jakie im zostały. Do Johnstona zgłosił się Rufti, a potem Irańczycy i Irakijczycy, którzy obiecywali mu, że w zamian za jakąś zaliczkę Petromaks dostanie na wyłączność wszelkie prawa do eksploatacji ropy w Iranie, Iraku i Emiratach. Dla Johnstona sto pięćdziesiąt milionów dolarów, o jakie prosili, było po prostu łapówką dla trzech ministrów do spraw ropy, dzięki której miał zdominować rynek.
- Umowa miała obowiązywać również po tym, jak Stany odetną import ropy, więc Petromaks wciąż miałby prawie monopol na dostawy ropy z Bliskiego Wschodu do Europy i Japonii. Nawet gdyby reszta świata poszła za naszym przykładem i ograniczyła zużycie ropy, to i tak mówimy o miliardach dolarów w ciągu kolejnego ćwierćwiecza.
- Jak to miło, że Rufti negocjował jako nasz minister do spraw ropy - skomentował sarkastycznie Khalid.

- Johnston musiał wiedzieć, że jako przeszkoda na drodze do realizacji planu Ruftiego będziesz musiał zginać, ale chyba nie wiedział, że Iran, Irak i Rufti chcieli zdominować cały region Zatoki. Sądził, że zawiera umowy z trzema oddzielnymi krajami, a nie z triumwiratem. Johnston nie mógł zebrać stu pięćdziesięciu milionów dolarów, nie sprzedając części majątku. I tu pojawia się Southern Coasting and Lightering. Sprzedał im flotę tankowców, a dzięki promesom sprzedaży oraz kontraktom na transport zebrał gotówkę, emitując jakieś finansowe instrumenty pochodne. Nie jestem pewien, jak to miało działać, ale mówiąc krótko, sfinansował własny upadek.

- Chwileczkę - przerwał mu Bigelow. - Przecież to nie ma sensu. Sprzedał tankowce, żeby zebrać pieniądze, dzięki którym miał zostać wyłącznym importerem ropy z nowych złóż na Bliskim Wschodzie.

- Dopiero co kupił prawa do wierceń na terenach, gdzie znajduje się połowa światowych złóż ropy. Wątpię, czy podejmował się tymi kilkoma milionami dolarów rocznie, jakie zarabiał na tankowcach. Ale tu właśnie cała opowieść obiera istic makiaweliczny zwrot.

- Znowu? - zdziwił się łagodnie Khalid.

- Mam przyjaciela w Miami, jednego z najlepszych na świecie specjalistów od prawa morskiego. To on wykrył wszystkie szczegóły tej operacji. Jeszcze rok temu Southern Coasting było niewielką firmką z Luizjany. Miała dwa tankowce o pojemności stu tysięcy ton, które kursowały między Galveston a Wenezuelą. Nagle spółka Southern Coasting została przejęta i zyskała pieniądze na zakup trzech supertankowców. To potężny skok jak na firmę, która w zeszłym roku wykazała bardzo skromne zyski.

- Kto ją kupił?

- Pamiętacie program Ropa za Żywność, który Organizacja Narodów Zjednoczonych zaproponowała kilka lat temu Irakijczykom, by utrzymać międzynarodowe sankcje, ale dopuścić jednak nieco pomocy humanitarnej do tego kraju? Część zysków ze sprzedaży tej ropy trafiła do Southern Coasting. Właścicielami firmy było państwo irackie oraz Hasaan bin-Rufti, o czym Maks Johnston nie miał pojęcia. Sądził, że zrobił interes życia. Tymczasem sam położył głowę pod topór.

- To znaczy, że Irakijczycy zapłacili za wszystko? To po co był im Maks Johnston, skoro sami byli w stanie sfinansować całe przedsięwzięcie? - zdziwił się minister Khuddari.

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, Irakijczycy chcieli wypruć pieniądze poza granicami kraju przez legalną transakcję biznesową. W czasie programu Ropa za Żywność ONZ uważnie obserwowała przepływ irackich pieniędzy, żeby nie kupowano za nie broni. Mój

przyjaciel Dave Saulman pociągnął za nitkę, badając właścicieli SC&L, i doszedł do kłębka. Wystarczyło kilka sfalszowanych dokumentów i trochę łapówek, by zakup za sto pięćdziesiąt milionów dolarów soi i innej żywności zmienił się w transakcję kupna floty tankowców. Southern Coasting zapłaciła Johnstonowi za jego statki, a on zwrócił od razu pieniądze Irakijczykom, którzy w ten sposób zyskali potężną fortunę na zakup broni. Część tych pieniędzy poszła do Kerikowa, po to by przygotował zniszczenie rurociągu i „Arctiki”. Za te pieniądze wynajął swoich terrorystów i mocno wspierał PEAL, by zrobić z nich swoje niczego nieświadome pionki. Mercer urwał na chwilę, po czym kontynuował:

- Drugi powód wykorzystania Johnstona to jego sprzęt, a konkretnie tankowce, na jednym z nich przewożono potężne ilości ciekłego azotu na Alaskę, a drugi Rufti wykorzystał jako bazę dla swoich ludzi tu, w Emiratach. Johnston miał się stać też ich kozłem ofiarnym po zakończeniu całej operacji. Maks nie wiedział bowiem, że Kerikow i Rufti od samego początku zamierzali odwołać transakcję i zostawić go samego z bałaganem po zniszczeniu „Petromaksu Arctiki”. Maks wypełnił już własną część umowy, pozwalając im używać swoich statków i piorąc pieniądze, więc zamierzali go zdradzić. Aby nigdy nie ujawnił tego, co zrobił, pomagier Kerikowa i Ruftiego, Abu Alam...

- Och, doskonale znamy Alama - wtrącił się Bigelow. - To psychopata żądny krwi.

- Teraz została z niego już tylko krew. Może zachowały się jakieś strzępki, choć wątpię. Ale nieważne. Alam i Kerikow porwali córkę Johnstona, Aggie. Kerikow mógł szantażować Maksa, że ją zabije, jeśli Johnston piśnie choćby słówko o ich transakcji. Maks miał związane ręce.

- Czyli Maks Johnston nie wiedział, że pieniądze od Ruftiego, które wyprał, w końcu go zniszczą? - zapytał Khalid.

- Nie miał o tym pojęcia. Kerikow i Rufti wykorzystali jego chciwość, a od początku zamierzali go zdradzić. To tragedia prawie jak z Szekspira. Jeszcze nie zrobiło się o tym głośno, ale wiem, że wczoraj FBI zrobiło nalot na dom Maksa. Dick Henna powiedział mi, że Johnston się zastrzelił. Wątpię, czy wiedział, że Kerikow nie trzyma już jego córki, więc musiał wybrać własną śmierć za jej życie.

- I uniknął w ten sposób długiej odsiadki - zauważył Bigelow.

- Znałem Maksa od lat. Poszedłby do więzienia, żeby odpokutować. Myślę, że uznał samobójstwo za sposób na uratowanie córki, a nie ucieczkę przed odpowiedzialnością.

- Czy Johnston wiedział, że Kerikow wykorzystywał platformę, z której uciekliście?

- Tak, wiedział. W istocie Kerikow ją przejął, a potem powiadomił o tym Maksa. Ale było już za późno, by mógł cokolwiek zrobić. Siedział w tym za głęboko.

- A ty zdołałeś wszystko powstrzymać, zanim się na dobre zaczęło?

- Cóż, w Stanach Zjednoczonych trochę się jednak zaczęło, ale owszem, teraz już po wszystkim. Dwa wycieki na Alasce i w cieśninie Puget nie są aż tak straszne, jak mogłyby być. Czyszczenie pochłonie setki milionów dolarów, ale był to zamach terrorystyczny, więc sporą część kosztów weźmie na siebie rząd federalny. Za to tu, w Zatoce, operacja Kerikowa i Ruftiego nawet nie zdążyła się rozpocząć. Pułkownik Bigelow opowiedział mi trochę o dzisiejszej akcji. W ten sposób ostatecznie wszystko stało się: plan Kerikowa, przewrót Ruftiego i irańsko-iracki pakt na rzecz dominacji na Bliskim Wschodzie.

Khalid uśmiechnął się po raz pierwszy od początku rozmowy.

- Dziś o świcie eskadra amerykańskich F-18 Hornet z lotniskowca „Carl Vinson” wykonała serię przelotów z prędkością pod dźwiękową nad tankowcem stojącym przy nabrzeżu, „Petromaksem Arabią” czy też „Południowym Akcentem”... jak go zwał, tak zwał. Wasz admirał Morrison sam zadzwonił do mnie, żeby zaproponować wsparcie z powietrza dla naszego ataku od strony morza.

Bigelow kontynuował opowieść Khalida, dodając jej niezbędnego kolorytu.

- Kiedy myśliwce ostrzeliwały lewą burtę tankowca z działek Gatling i salwą rakiet, siły specjalne Emiratów weszły na statek od prawej burty, przejmując go bez jednego wystrzału. Po bombardowaniu z powietrza wszyscy najemnicy Hasaana Ruftiego byli wręcz szczęśliwi, że mogą się poddać.

- Ze wstępnych informacji naszego wywiadu wynika, że mieli listy tych, których należy zabić, i tych, którzy mieli być lojalni wobec nowego reżimu, a także cały terminarz współpracy z wojskami przetaczającymi się przez Kuwejt i Arabię Saudyjską - zakończył Khalid.

- Dlaczego wasza CIA nie wykryła ruchów wojsk w Iranie i Iraku? - zapytał Bigelow Mercera, jakby to on odpowiadał za brak danych u Amerykanów.

- Żołnierzy można przewozić szkolnymi autobusami, działa na ciężarówkach, a czołgi można przenosić jak przyczepy kempingowe. Jeśli działania są odpowiednio skoordynowane, to trudno je wykryć -

skłamał Mercer. Bardziej prawdopodobne wydawało mu się jednak, że amerykański wywiad znów został zaskoczony, tak jak wtedy, kiedy Saddam Husajn po raz pierwszy zajął Kuwejt. Zmieniając delikatny temat, zapytał: - W takim razie co teraz? Wszystko już załatwione?

- Raczej tak - odparł Khalid. - Żołnierze, których zatrzymaliśmy dzisiaj, i ci z dywizji zostawionej przez Ruftiego w Adżmanie będą sądzeni za zdradę i rozstrzelani pewnie w przyszłym miesiącu. Ci, którzy nie są obywatelami Emiratów: najemnicy oraz irańscy i iraccy instruktorzy, zostaną deportowani w ciągu tygodnia. Po powrocie pewnie będą witani jak bohaterowie, ale to już cena dyplomacji.

- A co z Ruftim? - dociekał Mercer.

- Dla niego zaplanowaliśmy coś szczególnego. Może chciałbyś popatrzeć? Nie będzie to przyjemne, ale zapewniam, że na pewno satysfakcjonujące. - Khalid spojrział na zegarek. - Czas na obiad. Potem spotkamy się z szacownym Hasaanem bin-Ruftim.

Obiad zjedli w prywatnej sali na ostatnim piętrze biurowca, w którym urzędował minister. Na wystawny posiłek podano baraninę w curry. Zapach i dobór przypraw sprawiły, że Mercer zjadł jej o wiele więcej, niż trzeba było, żeby się najeść. Choć Khalid Khuddari nie pił, to Wayne Bigelow miał chyba niewyczerpany zapas win z jakiejś prywatnej piwniczki. W osobie Mercera znalazł prawdziwego kompana. Do obiadu wypili trzy butelki wina, a na drogę, która ich czekała, pułkownik wepchnął sobie pod bluzę butelkę osiemdziesięcioletniej brandy.

Siedząc z tyłu limuzyny pędzącej przez pustynię drogą na Al Ain, Bigelow i Mercer najpierw z szacunkiem powąchali aromatyczny trunek, a potem przekazywali sobie nawzajem butelkę i popijali z gwinta jak żołnierze pijący z jednej manierki. Podróż, podobnie jak posiłek, była celebrowana. Po godzinnej jeździe klimatyzowanym autem trzech pasażerów przesiadło się do przerobionej ciężarówki. Jej spartańskie wnętrze przemodelowano tak, by bardziej nadawało się do jazdy w trudnych pustynnych warunkach. Khalida trzeba było przenosić z jednego pojazdu do drugiego. Próbował iść, ale laski zapadały mu się w miękki piasek. Znosił to upokorzenie ze stoickim spokojem.

Jadąc po pustyni powybijaną drogą, a właściwie ubitym szlakiem na spalonej ziemi, pasażerowie i kierowca ciężarówki podskakiwali na wybojach i zagłębiali się coraz bardziej w pusty bezkres. Temperatura powietrza w samochodzie zbliżała się do trzydziestu ośmiu stopni i nawet bryza wiejąca przez otwarte okna była za gorąca, by im ulżyć. Po kabinie hulały drapiące drobinki piasku, osiadające na

siedzeniach, desce rozdzielczej i samych ludziach. Gdyby nie brandy, Mercer uznałby podróż za koszmar.

Dwie godziny po zjechaniu z głównej drogi ciężarówka przejechała przez wał dawnego starorzecza i dotarła na jego dno. Słońce stało wysoko nad głowami, ziejąc największym popołudniowym skwarem. W dawnym korycie rzeki stała już inna ciężarówka, stare, kanciaste auto z dziesięcioma kołami i zwykłą paką, której plandeka po latach spędzonych na pustyni wypłowiła i porozrywała się w wielu miejscach. Wokół małego ogniska bez dymu skupiło się kilku beduinów. Długie szaty chroniły ich skórę przed brutalnymi promieniami słońca. Wstali, kiedy zobaczyli, że w ich stronę sunie Khalid Khuddari. Na utwardzonym dnie starej rzeki laski dawały mu jakieś podparcie.

Rozmawiał z beduinami przez kilka minut. Jak to mieli nomadowie w zwyczaju, gestykulowali i śmiali się razem jak starzy znajomi, którzy nie widzieli się od dłuższego czasu. Khuddari przyjął od nich kubek mocnej herbaty, a Mercer i Bigelow poszli w jego ślady. Jeden z nomadów odłączył się od grupy i poszedł na tył ciężarówki. Wrócił po chwili i postawił przy Khalidzie dużą plastikową klatkę.

Ze środka dobiegł wyraźnie głos raroga - jakby witał swojego pana.

Hasaan bin-Rufti został przywiązany do czterech metalowych kołek wbitych w ziemię. Leżał nagi, z rozłożonymi rękoma i nogami w słonecznym żarze. Promienie słońca popaliły mu skórę tak, że pokryła się oparzelinami. Pozbawione włosów ciało, krągłe i pokryte zwałami tłuszczu, przypominało skandynawską sofę obciążoną jaskrawoczerwonym winylem. Od kilku godzin to tracił, to odzyskiwał przytomność. Koszmarne pragnienie, które paliło mu gardło, mogło się równać jedynie z głębokim burczeniem w pustym żołądku. Nie jadł nic od wielu godzin i brak posiłku odbierał mu jasność myślenia.

Przez chwilę wydawało mu się, że jest w paryskim hotelu, przywiązany do łóżka przez wynajętą prostytutkę, która pieściła go w najbardziej wyrafinowany sposób. Słyszał jej delikatny głos, kiedy długimi włosami muskała go między nogami. Jęknął, czując jej dotyk, aż nagle ta dziwka zatopiła mu w piersi swoje paznokcie i Rufti aż krzyknął. Poczul ból, jakby ktoś wwiercał mu w skórę stalowe haczyki.

Kiedy Rufti ocknął się nieco, zebrał w sobie dość sił, by podnieść głowę z ziemi i zobaczyć, że stoi na nim jakieś niewielkie stworzenie. Szlachetną głowę zwróciło w stronę pustyni, a groźnie

zakrzywiony dziób mierzył prosto w jego bezbronne ciało. Wiedział, co się za chwilę z nim stanie, i ta świadomość sprawiła, że przeszył go nowy dreszcz strachu.

- Zacznie od twoich oczu, Hasaanie - odezwał się Khalid Khuddari, który pojawił się w polu widzenia Ruftiego. - O ile wiem, najłatwiej się do nich dostać i jest to jedna z najsmaczniejszych części ludzkiego ciała. Kiedy wyrwie ci je z czaszki, pewnie chwilę odpocznie i będzie trawić, aż zgłodnieje na tyle, żeby dobrać ci się do genitaliów. To kolejny łatwy cel. Podejrzewam, że Sahara bez trudu oderwie ci jądra, ale penis pewnie będzie rozdziobywała kę sek po kęsku.

Khalid gwizdnął, a drapieżnik wzbil się z otyłego cielska Araba i przysiadł na rękawicy okrywającej lewą pięść swojego pana. Ten pogładził pierś ptaka, zaczął do niego szeptać, uspokajając go i chwając jego piękno. Samica raroga była szczęśliwa, prężąc się na jego rękę i gruchając z zadowoleniem. Choć miała ochotę na polowanie, nie zamierzała wzgardzić bankietem, który specjalnie dla niej przygotowano.

- Jestem sobie w stanie wyobrazić wiele koszmarnych rodzajów śmierci, Rufti - ciągnął Khalid. - Ale wierz mi, pożarcie żywcem musi być chyba jednym z najgorszych. Jeśli Sahara będzie chciała, może to trwać nawet kilka dni. Podejrzewam, że umrzesz, nim skończy swoją ucztę, ale i tak będziesz miał mnóstwo czasu, żeby zastanowić się nad tym, co zrobiłeś, i błagać o przebaczenie mnie, wielkiego księcia i samego Allaha. Gwarantuję ci, że jesteśmy tak daleko na pustyni, że nikt nie usłyszy twoich prośb. Możesz nawet wypluć sobie płuca, ty draniu. Saharze lepiej posmakuje posiłek, jeśli będzie wiedziała, że wciąż żyjesz. Twoja śmierć nie przywróci życia ludziom z samolotu, których kazałeś zabić w Londynie, ani księdzu czy dziewczynie z lotniska. Nie pomści nawet Trevora Jamesa-Price'a. Nie masz co liczyć na wybaczenie za zamachy na mnie, zniszczenie środowiska w Ameryce czy próbę przewrotu w moim kraju. Twoja śmierć nie będzie nawet ostrzeżeniem dla innych, bo nikt nie będzie wiedział, jak zginąłeś. Zabijając cię, chcę tylko poczuć się trochę bezpieczniej w nocy i uwolnić świat od przynajmniej jednego psychopaty. Dziś wieczorem przed snem pomyślę sobie o twoich rozszarpanych zwłokach, Rufti, i się uśmiechnę.

Khalid czekał na odpowiedź, ale dusza Ruftiego już umarła. Leżał potulnie, nie mając siły nawet jęknąć. Khuddari w końcu się odwrócił i puścił Saharę, by wzbłą się w czyste niebo, a potem rzuciła się z góry na swój posiłek.

Kiedy wrócili do ciężarówek, około stu metrów od miejsca, gdzie leżał przywiązany Rufti, Khalid odezwał się do Bigelowa i Mercera:

- To potrwa jeszcze całe popołudnie. Może przeżyje nawet trochę nocy. Chcę tu zostać i dopilnować, żeby naprawdę zdechł, ale nie musicie ze mną czekać. Może wróćcie do Abu Zabi i się zabawcie? Jutro spotkamy się na śniadaniu.

To była kusząca propozycja. Przez cały poprzedni tydzień Mercer napatrzył się na śmierć tyle, że wersja pustynnej sprawiedliwości zaserwowana przez Khuddariego była trudna do zniesienia. Ale odmówił, chciał być świadkiem końca „Przystani Charona”. Beduini rozpalili kolejne ognisko, zbudowali namiot dający cień i wyciągnęli garnek, by przyrządzić strawę na wieczór. Gotowali też wodę i nieustannie podawali herbatę. Trzej mężczyźni gawędzili leniwie przez całe popołudnie, nie zważając na krzyki dochodzące zza wału starorzecza.

- I co teraz? - zapytał Mercer Khalida, kiedy słońce schowało się za horyzontem. Niebo rozbłysło krwistoczerwoną łuną, która za chwilę miała ustąpić miejsca zmierzchowi.

- Biorę kilka tygodni wolnego, żeby wyzdrowieć. Lecę do Londynu na pogrzeb, a potem pewnie na południe Francji albo do Malagi ze swoją sekretarką. Chyba oboje na to zasłużyliśmy - odparł Khalid ze szczerością, która zaskoczyła pułkownika Bigelowa. - A co z tobą?

- Liczyłem na to, że zabiorę twoją sekretarkę na południe Francji albo do Malagi, ale w takiej sytuacji nie mam co na to liczyć - zażartował Mercer, starając się ukryć emocje po utracie Aggie Johnston. - W czasie przesiadki w Nowym Jorku odsłuchałem dość intrygującą wiadomość z Departamentu Stanu, więc podejrzewam, że niebawem wrócę do górnictwa.

Hasaan bin-Rufti przestał krzyczeć chwilę po tym, jak pustynię okryła ciemność rozświetlana jedynie poświatą księżycy i chłodnymi błyskami odległych gwiazd. Raróg Khalida wrócił do nich kilka minut później. Pióra miał całe ochlapane czerwonymi strzępkami, a głowę unurzaną we krwi Ruftiego.

Mercer, Khalid i Bigelow spędzili noc w obozie beduinów, śmiejąc się jeszcze grubo po północy z niezwykle przesadzonych opowieści wojennych pułkownika. Sahara w tym czasie jeszcze raz odleciała, by kontynuować ucztę. Żaden z nich nie uważał, by dość okaleczyła ciało mordercy. O świcie wrócili do miasta, zostawiając zwłoki Ruftiego na pastwę szakali i myszołowów, które zaczęły zbierać się w nocy. Khalid jeszcze tego samego dnia wyjechał na długi urlop z zarumienioną i szczęśliwą Siri Patal, zaś Mercer został w Emiratach

przez kilka dni, odpoczywając i sprawdzając przechwałki Bigelowa, że potrafi przepić każdego.

Bigelow wygrał wszystkie zawody, ale Mercer chciałby zobaczyć pojedynek pułkownika z Harrym White'em. Anglik nie miałby szans.

Arlington, stan Wirginia

Mercer otworzył frontowe drzwi i napawał się uczuciem powrotu do domu. Stał przez kilka minut bez ruchu, patrząc na słońce igrające w trzykondygnacyjnym atrium. Powietrze było rześkie - Waszyngton ogarnął nagły i nieoczekiwany ziąb, a Mercer jeszcze nie rozgrzał pieca. Rozmyślanie o takich domowych obowiązkach jak rozpalenie w piecu dało mu więcej przyjemności, niż sobie wyobrażał. Wszystko w końcu wracało do normalności.

Na stole w mało używanym salonie leżała duża szara koperta zaadresowana do niego. Zaciekawiony otworzył ją i wyjął złożony papier oraz chyba najbardziej pożądany przywilej w Waszyngtonie - dyplomatyczne tablice rejestracyjne. Na kartce przeczytał: „Podarunek od narodów Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Parkuj, gdzie chcesz, i jedź, jak szybko się odważysz”. Pod listem podpisał się Khalid Khuddari.

Mercer śmiał się serdecznie, idąc na górę po spiralnych schodach. Kiedy zadzwonił telefon, przebiegł ostatnie kilka stopni, wpadł do baru i chwycił słuchawkę.

- Dzięki Bogu, jesteś. - W głosie Harry'ego White'a słychać było nutkę desperacji. - Zapomniałem kupić rano gazety i nie mogłem sprawdzić rozwiązania wczorajszej krzyżówki. Dziewięć pionowo: Uwiedziona przez Zeusa?

- Harry, dopiero co wszedłem do domu - jęknął Mercer i wszedł za bar. Zobaczył w koszu cztery puste butelki po alkoholu, których nie było tam przed wyjazdem.

- Wiem, wiem, ale musisz mi pomóc. Nie daj mi to spokoju. Uwiedziona przez Zeusa? No daj spokój, na pewno wiesz, o kogo chodzi - smęcił Harry.

- Leda?

- Nie, nie ona, ta druga. Zeus przyszedł do Ledy przebrany za łabędzia. Chodzi o tę drugą, którą uwiódł złotym deszczem.

Mercer się śmiał, aż go rozbolała klatka piersiowa.

- Deszczem złota, Harry, nie złotym deszczem. To ogromna różnica, wierz mi. - Wyjął piwo z lodówki przy barze i zobaczył do

połowy opróżnioną butelkę wina przy potrójnym szeregu heinekenów. Kumpel musiał mieć jakieś damskie towarzystwo. Kolejnym dowodem były niedopałki papierosów w popielniczkach. Harry takich nie palił.

- No to co, znasz odpowiedź?

- Spróbuj Danae. Chyba była matką Perseusza - rzucił odruchowo Mercer. Wydawało mu się, że usłyszał coś w sypialni na górze, jakiś trzask deski w podłodze albo delikatne uderzenie mebla.

- Wreszcie, o to chodziło, Chryste. Słuchaj, Tiny, ja i kilku facetów umawiamy się dziś wieczorem na pokera. Wpadniesz?

Mercer stęzał. Ktoś schodził po spiralnych schodach. Stąpał miękko po zabytkowym drewnie, jakby nie chciał zdradzić swojej obecności. Mercer szepnął do telefonu:

- Harry, ktoś jest u mnie w domu. Dzwon na policję.

- Oczywiście, że ktoś jest. Chryste, przecież sam ją wpuściłem i dałem jej swoje klucze! - huknął Harry w odpowiedzi.

Aggie Johnston weszła do baru od strony biblioteki w pończochach na czarnym pasie oraz dopasowanych koronkowych staniku i figach. Na to narzuciła jedną z koszul Mercera, której poły ocierały się o jej gładkie uda. Włosy miała pięknie upięte, lśniące jak szlachetny metal. Zręcznie nałożyła makijaż tak, by podkreślić to, co najpiękniejsze w jej twarzy - czyli dla Mercera wszystko. Jeśli ktoś szukałby symbolu uwodzenia, to Mercer miał go właśnie przed sobą.

- Muszę kończyć, Harry - wyjąkał i odłożył słuchawkę.

- Wcześniej wróciłeś. Dick Henna mówił, że przyjedziesz po południu. Chciałam wyjechać po ciebie na lotnisko. - W jej głosie słychać było coś niezwykłego, po części pożądanie, po części przeprosiny.

- Załapałem się na wcześniejszy lot - powiedział Mercer, byle tylko przerwać ciszę. Był przytłoczony jej obecnością. Stała, skupiając na sobie całkowicie jego wzrok, jakby mózg odmawiał patrzenia na cokolwiek innego. - Nie sądziłem, że cię jeszcze kiedyś zobaczę.

- Ja też nie sądziłam. - Aggie przeszła przez pokój, a Mercer poczuł w końcu jej oddech na swojej skórze. Zapach jej perfum oszałamiał. - Nie mogłam odejść. Chciałam. Wiem, że nie wytrzymamy ze sobą długo, ale musiałam być z tobą. Wbrew sobie. Oczarowałeś mnie.

- Jak się miewasz? - szepnął Mercer.

W niemożliwie zielonych oczach Aggie błysnęła irytacja na takie pytanie Mercera w chwili, gdy próbuje go uwieść, ale wiedziała, że pyta z troski o nią.

- W porządku. Minęło już kilka dni, więc miałam czas, żeby się z tym pogodzić.

- I co teraz?

- Po śmierci ojca otoczyła mnie zgraja prawników. Wczoraj podpisywałam się chyba tysiąc razy tylko po to, żeby przenieść własność Johnston Trust na moje nazwisko. Nawet jeszcze nie zaczęliśmy się przebijać przez dokumenty firmowe Petromaksu.

- Przejmiesz firmę?

- Co za ironia, że pani ekolog będzie teraz konkurowała jak równy z równym z największymi koncernami naftowymi świata, co?

- Nie znalazłbym nikogo lepszego na to stanowisko. Będzie ci łatwiej z nimi walczyć od wewnątrz niż z zewnątrz.

Aggie się uśmiechnęła, nie tylko ustami, ale oczami i całą sobą.

- To samo sobie pomyślałam.

- Ale pytałem raczej, co teraz z nami?

Podeszła i przycisnęła się do niego tak mocno, że drobne piersi rozplaszczyły się na jego klatce. Wsunęła mu udo między nogi.

- Zabierzesz mnie do łóżka i będziemy się kochać tak długo,

że nie będziemy w stanie potem chodzić - odparła Aggie. - Praw

nicy w końcu mnie tu namierzają, więc zostało nam tylko kilka dni. A potem, Philipie? Nie wiem. Ty masz swój świat, a ja swój. Może to jeden i ten sam świat... czas pokaże.

Później wieczorem, i to o wiele później, Mercer i Aggie leżeli na łóżku ze splecionymi mokrymi rękoma i nogami. Oddechy wracały im powoli do normalnego rytmu. Patrząc na naprawiony świetlik nad łóżkiem, Aggie zapytała, kto wydał rozkaz ataku na jego dom.

- Nie twój ojciec, jeśli to masz na myśli - powiedział Mercer. - FBI znalazło u niego w domu stos rachunków od prywatnego detektywa. Kazał cię śledzić od kilku miesięcy. Tak naprawdę od kiedy sprowadziłaś się z powrotem do Waszyngtonu. Henna uważa, że to po prostu efekt nadmiernej ojcowskiej troskliwości.

- Stąd wiedział, o której tu byłam?

- Właśnie. I to właśnie tego prywatnego detektywa usłyszałem tej nocy po przyjęciu u twojego ojca, gdy uciekał po pierwszym zamachu na mnie. Musiał mnie śledzić po tym, jak odwoziłem cię do domu w Georgetown.

- Był chorym z chciwości człowiekiem - podsumowała Aggie swojego ojca i wtuliła się mocniej w ramiona Mercera. - Ale ulżyło mi, że nie miał z tym nic wspólnego.

Wyjaśnił jej swoją teorię na temat samobójstwa Maksa i chyba poprawił trochę Aggie nastrój. Pozostawał jeszcze jeden drobiazg,

z którego jej się nie zwierzył, coś, w co sam nie chciał uwierzyć. Opowiedział mu o tym Dick Henna, kiedy Mercer odzyskiwał siły w Abu Zabi w towarzystwie Wayne'a Bigelowa.

Detonator, za pomocą którego wysadzono ciekły azot na rurociągu na Alasce, uruchomiony przez Jana Voerhovena, nie uaktywnił jednocześnie wirusa komputerowego w systemie Alyeski. Program komputerowy ktoś włączył, kiedy Mercer i Aggie byli już w sali operacyjnej terminalu morskiego, kwadrans po wybuchu „Nadziei”. Henna i Mercer doszli do tego samego wniosku.

Iwan Kerikow wciąż żyje.

Podziękowania

Z każdą książką coraz bardziej wydłuża się lista osób, którym muszę podziękować. Przede wszystkim dziękuję Debbie Saunders za to, że zbyt często musiała cierpliwie znosić słowa: „Nie dziś wieczór, kochanie, muszę pisać”. Kocham Cię.

Następny w kolejce jest mój agent Bob Diforio, któremu dziękuję za wiarę i cierpliwość. O pisaniu marzyłem całe życie - dzięki Tobie, Bob, mogłem to marzenie zrealizować. Chcę też podziękować wszystkim z Forge, a zwłaszcza Melissie Ann Singer, za doprowadzenie tej książki do czytelnego stanu. Obiecuję, że kiedyś nauczę się pisać na maszynie.

Chcę też podziękować mojemu tacie za trzymanie dla mnie posady, gdy pisałem tę powieść. Wreszcie dziękuję tym wszystkim, z których mądrości skorzystałem. Są to między innymi (ale nie tylko): kapitan Robert Foale, Michael McCleary i Chris Flanagan, który wie o broni więcej, niż może wiedzieć jeden człowiek. Dziękuję też mamie za jej ostre redaktorskie pióro. To im zawdzięczam wszystko, co dobre na tych stronach, ale błędy biorę na siebie. Chcę też podziękować Clive'owi Cusslerowi za fantastyczny cytat i krytykę oraz Jackowi Du Brulowi, Toddowi Murphy'emu, Cathey i Billowi Bachmanom, Andy'emu Lecountowi i całej ekipie z Florydy. Kumpłom z What Ales You chcę tylko powiedzieć, że żaden z nich nie jest Harrym White'em, ale wszyscy mogliby nim być.

Na koniec dziękuję tym, którzy kupili moją pierwszą książkę i którzy po lekturze napisali do mnie tyle miłych listów - dziękuję Wam. Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo mnie wzruszyły.